

Ann Cleves

Przynęta

The Crow Trap

Przekład Ewa Kowalska

PROLOG

Gdyby na mapie Ordnance Survey szukać chaty Baikie, nie dałoby się jej znaleźć, chociaż farma Black Law już jest. Zaznaczona kwadratem i podpisana drobnym drukiem widnieje na mapie numer osiemdziesiąt – „Północne Penniny, Kimmerston i okolica”. Trudno ją wypatrzeć, bo wypada akurat na zgięciu. Szlak odchodzący od głównej drogi wyznacza kropkowana linia, co oznacza drogę publiczną. Na mapie farmę z trzech stron otaczają jasnozielone plamy. Są zadrukowane małymi, wygenerowanymi w komputerze choinkami – to las. Z czwartego boku mapa jest biała, nie licząc brązowych linii konturowych dochodzących aż do strumienia. W tym miejscu strumień jest szeroki, zaznaczony niebieskim paskiem obrzeżonym granatowymi liniami. Linie są zygzakowate jak w dziecięcym rysunku rzeki. To potok Skirl. Zaraz za nim zaczynają się gęsto ułożone poziomicę, czyli strome stoki. Szczyty oznakowano symbolami przypominającymi chmurki. To skalne turnie o nazwach Fairburn, Black Law, Hope. Między potokiem a turniami znajduje się brązowy punkt podpisany: „Kopalnia Ołowiu (Nieeksploatowana)”.

Z okna sypialni na farmie Black Law Bella przyglądała się wzniesieniu Fairburn. Szczyty wciąż pokrywał śnieg. Przesunęła wzrok na ciemny zarys lasu i na szare kamienne budynki za obrębem podwórza. Potem odwróciła się od okna do toaletki. Pewną ręką umalowała usta, zacisnęła wargi, po czym lekko przycisnęła do nich

papierową chusteczkę. W lustrze widziała odbicie leżącego w łóżku Dougiego. Napotkała jego spojrzenie. Widziała, że zadrgała mu powieka. Pewnie próbował do niej mrugnąć, powiedzieć: No, no, ale ty dzisiaj ślicznie wyglądasz, dziewczyno. Po tym jak dostał udaru, dawali nadzieję, że wróci mu mowa, ale nie wróciła.

– Skoczę do Baikia – powiedziała. – Jeśli zastanę Rachael, pewnie trochę tam posiedzę. Nie masz nic przeciwko, kochanie?

Kiwnął głową, uśmiechnął się połową ust i sprawną dłonią poklepał ją po ramieniu.

– Włączyć ci telewizor?

Znowu kiwnął głową. Nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

– To na razie – rzuciła.

W kuchni włożyła kalosze, a czarne lakierki spakowała do torby. Na zewnątrz wschodni wiatr, w którego porywach na podwórzu wirowały resztki siana, zaparł jej dech w piersi.

Część I RACHAEL

1

Rachael skreśliła z drogi gruntowej i zaraz gwałtownie zahamowała. O mały włos wjechałaby w tarasującą przejazd nową stalową bramę. Któryś z dzierżawców z majątku Holme Park chciał się popisać. Kiedy wysiadła z samochodu, żeby otworzyć bramę, zbłąkana utuczona owca ze skołtunionym futrem i zapaćkanym zadem otarła się nosem o jej kolana. Dziwne, nikt tu nie wypasał owiec aż do końca kwietnia. Stalowa klamka przy bramie była tak zimna, że prawie przymarzała do ręki.

Dojazd był gorszy, niż pamiętała, miejscami nawierzchnię ścinał lód. Jechała bardzo wolno, starając się trzymać pobocza, ale i tak zahaczyła rurą wydechową o kamień.

Po prawie dwóch kilometrach zorientowała się, że wybrała złą przecinkę. Z lasu powinna wyjechać na otwarty teren, powinna już być przy strumieniu. A wylądowała na jakiejś piaszczystej drożynie, niezbyt wyboistej, za to bardzo wąskiej. Iglaki z obu stron nie przepuszczały wieczornego światła. Sunęła dalej z nadzieją, że znajdzie miejsce, gdzie będzie mogła zawrócić, jednak dróżka przechodziła w dwie leśne ścieżki z dachem utworzonym z koron drzew.

Cofnęła się do rozwidlenia. Gałęzie drapały lakier z piskiem, jaki wydaje kreda na mokrej tablicy. Zderzak walnął w zakryty poszyciem kamienny nasyp. Wrzuciła jedynekę i ostro dała do przodu, potem wykręciła. Kiedy

dotarła do głównej drogi, było już prawie ciemno, a ona trzęsa się z zimna.

Przy brodzie zatrzymała się, żeby sprawdzić poziom wody. Pięć lat temu w tym miejscu utonął student – wracał do chaty Baikie z nocnego wypadu do pubu. Nagły przyptyw przewrócił jego samochód. Światło reflektorów odbijało się od wody, dlatego nie dało się ocenić głębokości. Ponieważ wiosna była prawie bezdeszczowa, Rachael postanowiła zaryzykować. Strugi wody parowały i syczały w zetknięciu z rozgrzanym silnikiem, mimo to dość łatwo przeprowiła się na drugi brzeg.

I znowu drogę zablokowała jej brama, tym razem drewniana. Było za ciemno, żeby mogła coś przeczytać, ale wiedziała, że wisi tam tabliczka z napisem: „Przejazd tylko do farmy Black Law i chaty Baikie”. Zostawiła samochód na luzie i poszła otworzyć bramę. Auto stało na stoku, więc reflektory świeciły w górę, na zbocze. Jej uwagę musiał przyciągnąć jakiś ruch, bo podniosła wzrok i wtedy w blasku świateł zobaczyła zarys postaci, kogoś ubranego jak na pieszą wędrowną, w goreteksową kurtkę z kapturem. Dostrzegła błysk odbitego światła i domyśliła się, że ten ktoś niesie lornetkę albo aparat fotograficzny. Była przekonana, że to mężczyzna, chociaż z tak dużej odległości mogła się mylić. Nieznajomy odwrócił się i rozmył w mroku.

Miała nieprzyjemne wrażenie, że przez jakiś czas ją obserwował. Pokonując ostatnie kilkaset metrów dzielące ją od chaty, zastanawiała się, kto jest aż tak nierozsądny, żeby chodzić po górach prawie w ciemności.

Postanowiła nie wstępować na farmę. Dougie nie lubił odwiedzin bez zapowiedzi. Bella na pewno usłyszy samochód i – jeśli będzie mogła, kiedy Dougie zaśnie – zejdzie do chaty. W kuchni na farmie się świeciło, jednak zasłony były zaciągnięte. Psy, głośno ujadając, wybiegły ze stodoły na podwórze. Hałas rozszedł się echem po całej okolicy, ale Rachael stwierdziła, że to dobrze. Gdziekolwiek jest, Bella na pewno usłyszy szczekanie. Potem zauważyła światło na piętrze i pomyślała, że Bella prawdopodobnie szykuje Dougiego do snu.

Rachael przejechała uprzątnięte, zamiecione podwórze. Chata Baikie, z której rozciągał się widok na dolinę, stała na końcu drogi. Dom otaczały drzewa, dosadzone przez lata, żeby osłonić budynek przed wiatrami.

Klucz leżał tam, gdzie zawsze, pod ozdobną terakotową doniczką przy tylnym wejściu. W środku Rachael wymacała włącznik światła. Poczowała odór wilgoci, ale wiedziała, że dom jest czysty. Była tu w listopadzie, po tym jak wyjechali stąd ostatni studenci, i wszystko wyszorowała. Odwiedziła ją wtedy Bella z dwiema butelkami wina domowej roboty i urządziły sobie prawdziwą popijawę. Skończyły na farmie, dopijając whisky Dougiego. Rachael spała w pokoju gościnnym – pokoju Neville'a, jak go nazywała Bella, chociaż o ile Rachael się orientowała, Neville od lat nie był na farmie – i obudziła się z najgorszym kacem w życiu. Wtedy jeden jedyny raz nocowała na farmie.

Odkręciła stojącą na zewnątrz butlę gazową, potem

przeszła do kuchni wstawić wodę na kawę. Kuchnia była maleńka – dobudówka tak wąska, że dało się jednocześnie dotknąć rękoma przeciwległych ścian. Podłączyła do prądu zardzewiałą lodówkę, zamknęła drzwiczki i odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że agregat zaczął szumieć. Płomień na palniku syczał, ale czajnik ani trochę się nie nagrzewał. Czekając, aż woda się zagotuje, przeszła do salonu zaciągnąć zasłony, żeby nie wiało. Kiedyś były szare, ale wyblakły od słońca i porobiły się na nich jaśniejsze pasy. Meszek weluru zupełnie się wytarł, tak że teraz całe stały się prawie gładkie. W salonie stały: sofa z indyjską narzutą, którą Rachael rok wcześniej przywiozła z domu, para foteli – je też przydałoby się czymś przykryć, żeby zasłonić plamy, regały z książkami nakrapianymi pleśnią i w jednym rogu szklana gabłota, a w niej wypchany lis. Meble wyglądały tak znajomo, że Rachael nie zwracała na nie uwagi. Myślała tylko o tym, żeby się rozgrzać. Nawet w domu panował taki ziąb, że gdy oddychała, z ust ulatywały jej obłoczki pary.

Ruszt w kominku był wyłożony gazetami i podpałką, ale kosz na drewno świecił pustką. Na gzymsie leżało pudełko zapalek, niestety zawilgoconych. Po kilku próbach zapalenia jednej z nich Rachael zwinęła gazetę i poszła ją podpalić od płomienia na kuchence. Przypomniała sobie sposoby, jakich się nauczyła ostatnim razem, i rozniecila ogień. Czajnik zagwizdał, więc wreszcie zrobiła sobie kawę rozpuszczalną – przywiozła ją ze sobą na wszelki wypadek. Wypiła gorący napój przy kominku, pilnując płomienia, aż była pewna, że nie zgaśnie.

Potem wyładowała rzeczy z samochodu i wstawiła na palnik garnek wody. Na kolację planowała zjeść spaghetti, a później zamierzała napić się wina z Bellą. Z koszem na drewno wyszła po polana składowane na tyłach stodoły. Tam stał też traktor i trzymano zrzucone na stertę bele siana. Światło z domu nie docierało tak daleko, więc zabrała ze sobą latarkę. Noc była jasna i mroźna. Gwiazdy na bezkresnym niebie, których nie przyćmiewały światła miasta, wydawały się jaśniejsze niż tam, gdzie mieszka.

Bella zaaranżowała samobójstwo tak skrupulatnie jak wszystko, co robiła w swoim życiu. W świetle latarki jej ciało zwisało z pętli zrobionej z mocnego nylonowego sznura. Twarz miała białą jak kreda. Przygotowała się na tę okazję: umalowała usta i włożyła jedwabną bluzkę, którą Rachael w zeszłym sezonie podarowała jej w prezencie w ramach podziękowań. W czarnych wypolerowanych na glans butach odbijało się światło latarki. Przyciągnęła spod ściany dwie bele siana, wspięła się na nie, żeby zawiązać sznur na stropie. Potem, kiedy była gotowa, odkopnęła tę z wierzchu.

Oczywiście zostawiła list. O tym też pomyślała. Był zaadresowany do Rachael i zawierał przeprosiny, że to ona musi znaleźć zwłoki. „Nie mogłam narazić na to Dougiego, a Ty na pewno sobie poradzisz”. Dalej pisała, że drzwi kuchenne na farmie zostawiła otwarte, więc Rachael bez przeszkód dostanie się do telefonu, nikomu nie przeszkadzając – znowu chodziło o Dougiego. Ale konkretnego powodu, dlaczego się zabiła, nie podała. Wyjaśniła tylko, że po prostu dłużej tego nie znieśie.

Wiedziała, że zostanie znaleziona późnym wieczorem, bo kosz na drewno zostawiła pusty. Rachael od zawsze podejrzewała, że Bella jest bardzo sprytna.

Kiedy ją zobaczyła – rozpoznawalną po jedwabnej bluzce, eleganckiej trwałej szmince, ale tak naprawdę zupełnie do siebie niepodobną, bo za życia nigdy nie była tak spokojna – Rachael wpadła w furję. Wręcz oszalała z wściekłości. Miała ochotę potraktować jej ciało jak worek treningowy, walić pięściami po brzuchu. Chciała wspiąć się na siano i spoliczkować białą, pozbawioną życia twarz. Bo Bella była jej przyjaciółką. Więc jakim prawem zrobiła coś takiego, nie omawiając z nią tego wcześniej? A poza tym, ponieważ Rachael słyszała, że projekt ruszy naprzód, czekała na ten wieczór. Myślała, że usiądą razem w chacie i przy butelce wina obgadają nowiny.

Jednak nie uderzyła ciała. Zamiast tego odwróciła się i zaczęła boksować belę z sianem do momentu, aż kostki palców zaczęły jej krwawić.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę z upływu czasu. Wróciła do domu, żeby wyłączyć gaz. Przeklęty płomień był tak słaby, że dopiero po pół godzinie woda się zagotowała.

Dom, który z czasem zaczęto nazywać chatą Baikie, krótko po wojnie odkupiła od farmy Constance Baikie – przyrodniczka i ilustratorka, stara panna. Lubiła spacerować po wzgórzach w poszukiwaniu inspiracji, jednak ze względu na otyłość dość szybko musiała zrezygnować z wędrówek. Wtedy zaczęła przesiadywać w fotelu przy oknie i szkicować wszystko, co za nim widziała: ptaki, rośliny, owady. To był jej najpłodniejszy okres. Oryginały ilustracji z jej książek sprzedawały się na rynku za zaskakująco duże pieniądze. Zainteresowała się nią też londyńska galeria – urządzili jej nawet jednoroczną wystawę. Nikt dokładnie nie wiedział, co Constance robiła z honorariami, bo żyła bardzo oszczędnie. W ramach odskoczni od rysowania pisywała dowcipne sarkastyczne listy do pism naukowych. W tych tekstach wyszydzała badania swoich kolegów.

Dougie, wtedy jeszcze aktywny i sprawny, raz w tygodniu przywoził jej swoim land roverem zapasy z Kimmerston. Baikie nie płaciła mu za tę przysługę, ale każdego roku w Boże Narodzenie w prezencie podarowywała mu jakiś swój szkic przedstawiający farmę albo okoliczne wzgórza. Później Bella znalazła te rysunki upchnięte w szufladzie biurka i dała je do oprawienia. Panna Baikie nie wiodła samotniczego życia. Chętnie przyjmowała gości, oczekiwała jednak, że będą przychodzili z gościńcem – ciastami, słodyczami i whisky.

W 1980 roku niespodziewanie zmarła. Znalazł ją

Dougie, w fotelu przy oknie, gdy pewnego poranka przywiózł do chaty świeże mleko. Okazało się, że Constance siedziała tak całą noc. W testamencie zleciła utworzenie funduszu charytatywnego, który miał wspierać edukację ekologiczną i badania środowiska naturalnego. Na ten cel dała funduszowi do dyspozycji chatę. Zastrzegła tylko, że z funduszu nie mogą korzystać osoby poniżej osiemnastego roku życia. Constance nigdy nie lubiła dzieci. Studenci wykorzystywali chatę jako bazę wypadową do badań terenowych. Rachael spędziła w niej minioną wiosnę, żeby móc spokojnie dokończyć doktorat. Gdy zarząd fundacji uznał, że potrzebna im świeża krew, została wybrana na opiekuna chaty.

A ta wyglądała mniej więcej tak, jak ją Baikie zostawiła. Wszystkie meble były jej. Ci studenci, których los obdarzył większą wyobraźnią, opowiadali, że nocami widują jej ducha.

– Jeśli chodził, to nie ona – tłumaczył wykładowca, znajomy Constance. – Connie nie chodziła. Przynajmniej nie w czasach, kiedy ją znałem.

Rachael nie wierzyła w duchy.

I właśnie to: „Nie wierzę w duchy”, powiedziała Anne i Grace następnego dnia, kiedy zrobiły szum wokół śmierci Belli. Zamierzała od razu zająć się pracą, jednak nie miała wyjścia, musiała znowu przez to przejść. Ale była poirytowana. Pierwszy raz występowała w roli kierowniczkii zespołu i nie chciała, żeby ją cokolwiek rozpraszało. Tak naprawdę jednak nie czuła się pewnie jako liderka. Przyjechały do chaty, aby dokonać pomiarów terenu, a nie

na ploty, mimo to, kiedy Anne i Grace się zjawily, musiala im opowiedziec, co sie stalo z Bella.

Anne pochodziła z tej okolicy. Rachael już z nią wcześniej pracowała. Nie wiedziała jednak, jak Anne – starsza od niej, pewna siebie – przyjmie to, że będzie musiała wykonywać jej polecenia. Grace, zoolog, przybywała ze świetnymi rekomendacjami, ale Rachael nigdy wcześniej jej nie spotkała. W kwestii jej zatrudnienia nie miała nic do powiedzenia, co nadal bolało. Grace, szczupła, blada – na wieść o samobójstwie poblądła jeszcze bardziej. Wydawało się to przesadzoną reakcją, bo przecież nie znała Belli. Były sobie zupełnie obce.

Za to Anne chciała znać wszystkie szczegóły.

– Straszne – westchnęła, kiedy już usłyszała całą opowieść o tym, jak zostało znalezione ciało. – I co wtedy zrobiłaś?

– Poszłam do Black Law, do telefonu. – Wemknęła się po cichu, żeby nie wystraszyć Dougiego, chociaż przypuszczała, że pewnie uznałby, że to Bella. Z piętra dobiegły ją jakieś głosy, więc zdenerwowana przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem wszystkiego sobie nie uroiła. Skradając się po schodach, myślała: Boże, ale będzie głupio, jeśli Bella wyjdzie z pokoju i mnie tu przyłapie. Potem usłyszała erupcję głośnej muzyki i zdała sobie sprawę, że odgłosy dochodzą z telewizora w pokoju Dougiego.

– Ja chyba nie wiedziałabym, do kogo zadzwonić, jakby ktoś popełnił samobójstwo. – Anne mówiła ze współczuciem, ale też z lekkim rozbawieniem. To trochę

wkurzyło Rachael. Chryste, pomyślała, mam nadzieję, że nie będziemy sobie działać na nerwy już od samego początku.

– Zadzwoiłam pod numer alarmowy. Tylko to mi przyszło do głowy. Kobieta z centrali połączyła mnie z policją, a oni zorganizowali przyjazd lekarza. Powinnam przewidzieć, że tak czy inaczej będzie potrzebny Dougiemu.

Rachael martwiła się, że lekarz – pan Wilson – zgubi się po drodze, ale on bywał już z wizytami u Dougiego, a poza tym znał okolicę. Jeździł range roverem, chodził w butach turystycznych i bryczesach – wyglądał bardziej jak weterynarz.

– Stwierdził, że Bella nie żyje od dwóch godzin – opowiadała dalej. – Potem przyjechała policja. Wezwali z Kimmerston przedsiębiorcę pogrzebowego.

Rachael zaproponowała, że pojedzie do rozwidlenia, żeby go stamtąd pokierować. Pan Drummond był bardzo miły, biorąc pod uwagę okropne warunki na drodze i późną porę. Miał okrągłą twarz cherubinka i nosił okulary. Powiedział, że samobójstwa są zawsze bardzo przygnębiające. Potem lekarz musiał wezwać karetkę. Dougie nie mógł zostać w Black Law bez opieki. Bardzo możliwe, że pan Wilson oczekiwał, że Rachael zaoferuje pomoc, ale ona nie była w stanie tego zrobić, nie mogłaby się opiekować Dougiem nawet przez jeden dzień. Zresztą uważała, że chyba lepiej dla niego, jeśli opuści dom wraz z panem Drummondem i Bellą, ale oczywiście nie śmiała wypowiedzieć tego na głos.

– A pan Furness? Jak on to przyjął? – dopytywała się Anne. – Ty go powiadomiłaś?

Rachael zauważyła, że Anne dobrze się bawi. Ona zawsze lubiła sensacje.

– Oczywiście – odparła. – Bella by tego chciała.

– Zrozumiał, co do niego mówisz?

– O tak.

– I jak zareagował?

– Rozpłakał się.

– Powiedziałaś mu, że się zabiła?

– Nie. Tylko że nie żyje.

Rachael i pan Wilson stali na czystym, zamiecionym podwórzu i przyglądali się, jak sanitariusze wytaczają Dougiego z domu na noszach na kółkach. Lekarz drżał z zimna, ale ona już nie czuła przenikliwego chłodu.

– Przypuszczam, że to z powodu stresu – stwierdził Wilson. – Żyła na pustkowiu. Musiała się zajmować gospodarstwem i opiekować panem Furnessem. Chyba nie była do tego stworzona i coś w niej w końcu pękło.

– Nie – stanowczo sprzeciwiła się Rachael. – Nie sądzę, żeby o to chodziło. Bella uwielbiała Black Law. Kochała każdą minutę, którą tu spędzała.

Lekarz spojrzał na nią współczująco. Pewnie podejrzewał, że ona nie jest w stanie realnie ocenić sytuacji. Wtedy po raz pierwszy zadała sobie w duchu pytanie, co Bella miała na myśli, pisząc, że dłużej tego nie zniesie.

Kiedy karetka, lekarz i przedsiębiorca pogrzebowy odjechali w konwoju, została sama z młodym policjantem.

Mężczyzna z niejakim żalem patrzył, jak tylne światła ostatniego pojazdu znikają w ciemności, jakby się czuł opuszczony. Potem zapytał:

– Nie wie pani przypadkiem, czy w domu jest jakiś alkohol? – Wyraźnie miał ochotę wejść do środka, ale to nie wydawało się zbyt profesjonalne, nawet gdy dodał: – Sądzę, że kieliszeczek czegoś mocniejszego dobrze by pani zrobił.

W kredensie w salonie znalazła butelkę whisky. Usiedli w kuchni, bo tam było najcieplej. Policjant nalał sobie drinka, nie czekając, aż ona mu to zaproponuje, i przesunął do niej butelkę.

– Co pani robi na tym odludziu?

– Pracuję.

– U Furnessów?

– Nie, w Agencji Ochrony Środowiska. Stowarzyszenie Petera Kempa. Prowadzimy badania ekologiczne. Chatę za farmą udostępniono nam na bazę.

Miał taką minę, jakby nic nie rozumiał.

– Słyszał pan o projekcie wybudowania kopalni na terenie parku narodowego?

– Słyszałem. – Ale mówił bez przekonania jak uczeń, który liczy, że zwiedzie nauczyciela i ten uwierzy, że dzieciak nauczył się zadanej lekcji. Więc mu opowiedziała. O kopalni, o wniosku o pozwolenie na budowę, przepisach, które nakazują oszacować ewentualne szkody.

– Zostaliśmy wynajęci, żeby wykonać badania i sporządzić raport.

– I siedzi pani na tym wygwizdowie zupełnie sama?

– Tylko dzisiaj. Jutro przyjeżdżają inni pracownicy. – Popatrzyła przez okno na jaśniejące niebo. – Dzisiaj.

– Pewnie Peter Kemp?

– Nie. Peter teraz rzadko osobiście zajmuje się tego typu pracą. Przyjeżdżają Anne Preece, botanik, i Grace Fullwell, znawca ssaków.

– Trzy dziewczyny?

– Kobiety.

– A tak – zamilkł. – Czyli chodzicie po wzgórzach i liczycie różne rzeczy?

– Coś w tym stylu. Są ustalone metody.

– Czy to niebezpieczne?

– To znaczy: dla kobiet?

– Nie, tak w ogóle.

– Przed wyjściem zapisujemy trasę i planowany czas powrotu do bazy. W razie problemów reszta może zorganizować poszukiwania.

Widziała, że policjant przedłuży rozmowę tylko po to, żeby nie musiał iść lasem po ciemku.

– Nie pochodzi pan ze wsi, co?

– To widać? – uśmiechnął się. – Nie. Urodziłem się i dorastałem w Newcastle. Ale Jan, moja żona, uważała, że wieś to lepsze miejsce do wychowywania dzieci, więc poprosiłem o przeniesienie. Najlepsza decyzja w moim życiu.

A jednak teraz, w dziczy, nie sprawiał wrażenia przekonanego. Już wcześniej się domyśliła, że jest żonaty. Nie tylko dlatego, że nosił obrączkę. Po prostu taki zadbany, wychuchany.

– Nie powinien pan już wracać? – spytała. – Rodzina będzie się o pana niepokoiła.

– Nie, Jan pojechała z dziećmi do babci. Ściągną dopiero po weekendzie.

Poczuła zazdrość o tę kobietę, chociaż nigdy jej nawet nie widziała. Było oczywiste, że młody policjant tęskni za żoną. Nie wyłącznie za wyprasowanymi koszulami i obiadekami. Chodziło też o puste łóżko i że nie ma z kim porozmawiać po powrocie z pracy.

– A może, jeśli nie miałyby pani nic przeciwko temu, udzieliłaby mi pani kilku informacji o zmarłej. Wiem, że przeżyła pani wstrząs, ale i tak będę musiał kiedyś zebrać zeznania.

– W porządku – odparła. – Nawet lepiej, że będę to miała z głowy. Zdam się jeszcze przespać, zanim pojawi się reszta. Co chce pan wiedzieć?

– Wszystko, co pani o niej wie.

Ciekawe, czy tak samo byś odpowiedział, gdyby żona czekała na ciebie w domu? – pomyślała. Ale i tak zaczęła mówić, bo chciała komuś opowiedzieć o Belli i o tym, jak bardzo się przyjaźniły. Zaczęła od tego, że to historia jak z bajki. Że Bella przyjechała na farmę opiekować się matką Dougiego i zakochała się w nim, w Black Law i we wzgórzach. Wzięli ślub i potem naprawdę żyli długo i szczęśliwie, nawet po udarze Dougiego.

– No to dlaczego popełniła samobójstwo?

Rachael odniosła wrażenie, że on w ogóle jej nie słuchał. Mimo to pytanie, które zadał, ją też gnębiło.

– Nie wiem.

– Ale w tym liście... to był jej charakter pisma?
– O tak. I nie tylko to. Styl też był jej. Jakbym ją słyszała.

– Kiedy ostatnio widziała pani Bellę?
– W zeszłym roku w listopadzie.
– No to wszystko jasne. Przez cztery miesiące mogło się dużo zmienić.

– Pewnie tak. – Ale jakoś nie wierzyła, że przyjaciółka się zmieniła. Poza tym Bella musiała mieć świadomość, że Rachael tak tego nie zostawi. Że będzie miała wątpliwości, że nie spocznie, dopóki się nie dowie, co się za tym kryje. Więc dlaczego nie dała więcej wskazówek, na których można by się oprzeć?

– Nie chciałbym tu pani zostawiać – oświadczył policjant. – Jest ktoś, do kogo mogłaby pani pojechać?

Chcesz zapewnić sobie towarzystwo na drogę? – odparła w duchu z przekąsem.

– Zaczekam, aż przyjedzie reszta, potem może wybiorę się do matki, do Kimmerston.

Powiedziała tak, żeby się go pozbyć, żeby wiedział, że ona też ma rodzinę. Kogoś, kto się nią zaopiekuje. A może faktycznie wybrałaby się na kilka dni do domu. Pomoże Anne i Grace rozłokować się w chacie, a później odwiedzi Edie. Ale nie żeby ta ją pocieszyła. Ona nie z tych matek.

3

Zamiast otworzyć drzwi wejściowe własnym kluczem, Rachael zeszła kilka stopni i zapukała w kuchenne okno. Nie chciała wejść do domu zniecacka, pojawiać się nagle jak duch albo włamywacz. Matka jej się nie spodziewała.

Ale drzwi otworzyła nie Edie, tylko jakaś kobieta w średnim wieku, z włosami ufarbowanymi na dramatyczną czerń. Grzywka przycięta prosto, w stylu Kleopatry. W uszach duże złote kolczyki. Rurkowata wydziergana na drutach sukienka do kostek krwistoczerwona, zupełnie jak szminka na ustach. W domu była jeszcze dziewczynka w dżinsowym ubranku, znudzona i nadąsana. Rachael poczuła w sercu znajome ukłucie. Powietrze w dusznym pokoju przesycił dym z papierosów. Kobieta z dzieckiem najwyraźniej gościła u Edie na proszonej kolacji, bo na stole stały jeszcze resztki jedzenia. Miski ze spaghetti przywiezionym z wakacji w Toskanii, skrawki francuskiego pieczywa, pusta butelka niewyobrażalnie taniego rumuńskiego czerwonego wina. Edie parzyła kawę w niebieskim cynowym czajniczku. Spojrzała w okno bez większego zainteresowania. Ludzie ciągle pukali w okno jej kuchni.

– Kochanie – zawołała. – Wchodź, proszę. Tylko zamknij drzwi, bo strasznie wieje.

Rachael zamknęła za sobą drzwi, ale stanęła tuż za progiem.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Napijesz się kawy? – spytała Edie z roztargnieniem, wciąż trzymając czajniczek w ręce.

– Mamo! – Tylko to jej przyszło do głowy, żeby przyciągnąć uwagę matki. Nigdy tak się do niej nie zwracała.

Edie spojrzała na nią i zmarszczyła czoło.

– To coś pilnego?

– Tak, w zasadzie tak.

Edie fachowo, uprzejmie i w tempie, które wywołało podziw Rachael, pozbyła się Kleopatry i jej dziecka. Czarnowłosa nie miała szansy napić się kawy.

– Tak mi przykro, że musicie już iść – mówiła Edie przy drzwiach, jakby decyzja o wyjściu była podyktowana wyłącznie wolą gości.

Kiedy wróciła do kuchni, Rachael właśnie odkorkowała znaną w szafce butelkę wina.

– Wolałabym, żebyś nie pozwalała palić w domu.

– Wiem, skarbie, ale dziewczyna była zrozpaczona. Jej mąż od niej odszedł z jedną ze swoich studentek.

– I rozmawiałyście o tym tutaj? W obecności jej córki?

– Nie otwarcie. – Edie szukała odpowiedniego słowa.

– Staraliśmy się być oględne. Pracował ze mną w college’u. Sama go zatrudniłam, więc czuję się trochę odpowiedzialna.

– Jasne. – Było to powiedziane z ironią, którą Edie doskonale wyczuła.

Usiadła naprzeciwko Rachael przy porysowanym sosnowym stole i spokojnie przyjęła od niej kieliszek z winem. Niedawno przeszła na emeryturę, ale się nie

zaniedbała. Mimo radykalnych poglądów, które tak krępowały Rachael w dzieciństwie, zawsze uważała, że wygląd ma znaczenie. Włosy miała ładnie krótko obcięte, cerę wypielęgnowaną. Ubierała się z gustem w staroświeckim hippisowskim stylu, w długie spódnice i etniczne, watowane w ramionach żakiety. Rachael zastanawiała się, czy matka ma teraz partnera. Wokół Edie zawsze kręcili się jacyś mężczyźni, chociaż starała się być pod tym względem bardzo dyskretna, co czasami graniczyło z obsesją. Ani razu żadnego nie zaprosiła do swojej chaotycznej, przepełnionej ludźmi kuchni. Im wszystkim jasno dawała do zrozumienia, że nigdy nie zostaną dopuszczeni do jej życia rodzinnego.

Edie popatrzyła na córkę znad obrzeża kieliszka.

– Mam nadzieję – zaczęła – że nie przyszłaś roztrząsać starych spraw.

Chodziło o ojca Rachael.

– Nie.

– W takim razie, w czym ci mogę pomóc? – zapytała ciepło.

Rachael w milczeniu sączyła wino.

– Jakieś kłopoty z chłopakiem?

– Daj spokój. Przecież nie mam czternastu lat. Zresztą, myślisz, że rozmawiałabym na taki temat z tobą?

– Cóż, czemu nie. – W głosie Edie zabrzmiało rozżalenie i Rachael zrobiło się głupio, że zachowała się jak gburowata smarkuła.

– Bella nie żyje – poinformowała. – Powiesiła się wczoraj wieczorem i ja ją znalazłam.

– Dlaczego nie przyjechałaś od razu? A przynajmniej nie zadzwoniłaś? Pojechałabym po ciebie.

– Sądziłam, że sama sobie z tym poradzę.

– Nie w tym rzecz. Dobrze wiem, że sobie poradzisz. Trochę potrwało, zanim Rachael znów się odezwała.

– Nie – mruknęła. – Tym razem sobie nie poradzę. Nie sama.

– Ach. – Edie dopiła wino, które zostawiło czerwone plamy na jej ustach i szerokich przednich zębach. Rachael odziedziczyła po niej te zęby. – Zawsze byłam zazdrosna o Bellę. Tylko trochę, ale byłam. To nie znaczy, że nie jest mi przykro. Bardzo mi przykro. A jednak nie podobało mi się, że jesteście ze sobą tak blisko.

– Ty jej nie poznałaś, prawda?

– I przez to czułam się jeszcze gorzej. Wyobrażałam sobie... To, jak o niej mówiłaś... Myślałam...

– Że wolałabym, żeby to ona była moją matką?

– Coś w tym stylu.

– To nie tak – zapewniła Rachael. – Ale się przyjaźniłyśmy. Byłyśmy prawdziwymi przyjaciółkami.

– Jeśli chcesz o niej opowiadać, mogę słuchać całą noc.

– Boże, nie. – To takie w stylu Edie i znajomych z jej kręgu: wydawało im się, że rozmowa wszystko załatwi. W dzieciństwie Rachael nasłuchiwała się mnóstwa rozmów. Były jak zupa ze słów, w której ona tonęła. Może dlatego tak bardzo lubiła liczby, lubiła liczyć różne rzeczy. Liczby są dokładne, nie pozostawiają miejsca na niejasności.

– Więc czego potrzebujesz?

– Muszę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła.
– A to był na pewno jej wybór? Nie wypadek? A może nawet zabójstwo?

Rachael pokręciła głową.

– Policja oglądała to miejsce. Poza tym Bella zostawiła list. Poznałam jej charakter pisma. I już tłumaczyłam policjantowi, że list był napisany jej słowami. Rozumiesz?

Edie przytaknęła.

No jasne, o słowach wiesz wszystko.

– Wiedziała, że przyjeżdżam. Jeśli miała jakieś problemy, mogła mi o tym powiedzieć. Może uważała, że jej nie pomogę.

– Nie, na pewno nie.

– Powinnam odezwać się do niej zimą. Wtedy pewnie by mi się zwierzyła. A ja nawet nie zadzwoniłam.

– A ona do ciebie dzwoniła?

– Nie.

– Posłuchaj, poczucie winy to częsty objaw towarzyszący utracie kogoś bliskiego.

– Edie!

Edie uczyła angielskiego i prowadziła zajęcia z wiedzy o teatrze w college'u, ale była też opiekunem rodzinnym*. Uczęszczała na kursy doradztwa. Bezsensowne psychologiczne uwagi matki zawsze irytowały Rachael.

– Tak, tak – mruknęła Edie zupełnie niezrażona. – Psychologiczna paplanina. Ale to nie znaczy, że nie mam racji.

– Naprawdę nie potrzebuję tych twoich mądrości.

– Rzecz w tym, że nie całkiem rozumiem, czego

potrzebujesz.

– Praktycznej pomocy. Muszę się dowiedzieć, co skłoniło Bellę do samobójstwa. Nie mogę się tym zająć, siedząc w Black Law. Poza tym to twoja działka, jesteś w tym dobra. Gadanie. Słuchanie. Nawet plotkowanie. Ktoś musi się orientować, dlaczego postanowiła się zabić.

– A ona by chciała, żebyś to drażyła? Trochę mi to wygląda... jakbyś wtrącała się w cudze sprawy.

– Wszystko zaaranżowała tak, żebym to ja ją znalazła. Znała mnie. Wiedziała, że będę miała wątpliwości.

– Cóż, w takim razie od czego zaczynamy? – To samo pytanie Edie zadawała, gdy wybierały się razem autobusem na długą wólczęgę po Newcastle, co na szczęście zdarzało się dość rzadko.

Wysiadały w Haymarket i, stojąc na chodniku, spoglądały w głąb ulicy Northumberland pełnej zatłoczonych sklepów. Rachael od zawsze wolała otwarte przestrzenie, widok tłumów ją przytłaczał, wpadała w panikę. Ale Edie podchodziła do kwestii zakupów metodycznie.

– Więc od czego zaczynamy? – Wyciągała listę i planowała im dzień: w Farnons kupimy mundurek szkolny, w Bainbridge's materiał na zasłony, lunch zjemy w tej taniej kafejce naprzeciwko Theatre Royal, w M & S kupimy bieliznę i skarpetki, i na trzecią wracamy do autobusu.

Rachael poczuła, że wraca jej pewność siebie.

– Chyba od pogrzebu.

– Kto się tym zajmie?

– Neville, syn Dougiego. Musiałam go powiadomić, co

się stało, chociaż na początku nie przyszło mi to nawet do głowy. Nigdy nie myślałam o nim jak o kimś bliskim Belli. Mało o nim mówiła. Ale oczywiście trzeba było mu powiedzieć o Dougiem, no i ktoś musi się zająć farmą. Niedługo okres wykotów...

– I on zorganizuje pogrzeb.

– Tak, powiedział, że chce. Spytałam, czy mogę zamieścić nekrolog w „Gazette”. Bella cieszyła się poważaniem wśród innych farmerów. Ktoś z rodziny albo znajomych może zobaczyć nekrolog i przyjdzie na pogrzeb. – Odwróciła się do Edie. – Tak długo się znałyśmy, a tak naprawdę nic o niej nie wiem. Czy żyją jej rodzice, czy miała siostry, braci? Nie wiem nawet, gdzie się urodziła. Tyle ze sobą rozmawiałyśmy, ale głównie na mój temat. Jeśli mówiła o sobie, to najczęściej chodziło o Dougiego i o farmę. Neville zapytał, czy powiadomić kogoś z rodziny, a ja nie umiałam odpowiedzieć.

– A Dougie nie pomoże?

– Nie mam pojęcia, jak się z nim porozumieć. Bella rozmawiała z nim tak samo jak przed wylewem, ale czasami odnosiłam wrażenie, że się oszukuje, że coś z tego rozumie. Na pewno reaguje na proste pytania: „Chcesz coś do picia?”, „Otworzyć okno?”, ale poza tym...? – Wzruszyła ramionami. – Zresztą jemu też mogła niewiele wspominać o swojej przeszłości. Tak bardzo ją kochał, że pewnie mało go to obchodziło.

– Gdzie teraz jest?

– W domu opieki. W Rosemount. Znasz to miejsce?

– Mhm. Znam pielęgniarkę z nocnej zmiany. Uczyłam

jej syna. Borykał się z pewnymi problemami. Trochę im pomogłam, więc...

– Jest ci winna przysługę?

– Może nam pomoże, zobaczymy?

– Masz mnie za wariatkę, co? – powiedziała Rachael.

Poziom wina w butelce zbliżał się do dna. – Pewnie uważasz, że powinnam pogodzić się z tym, że odeszła, i już. Po cholere się grzebać w przeszłości, no nie?

– A potrafiłabyś? Odwrócić się i zapomnieć?

– Nie.

– Więc po co takie pytania?

Rachael już chciała iść do łóżka, gdy Edie zagadnęła:

– To chyba nie mogło mieć nic wspólnego z tą kopalnią odkrywkową?

– To znaczy?

– Mówiłaś, że Bella kochała wzgórze. Zniosłaby, że ktoś je naruszy? Te wszystkie ciężarówki, wybuchy? Jasne, nie robiłoby tego na jej ziemi, ale patrzyłaby na to. Każdego dnia.

– Nienawidziła tego pomysłu. Ale nigdy by się nie poddała. Chciała walczyć. Położyłaby się przed spychaczami, gdyby musiała.

– A gdyby wiedziała, że to i tak nic nie da?

– Skąd mogłaby to wiedzieć? Jeszcze nie rozpoczęliśmy badań. Dopóki ich nie zakończymy, a komisja środowiskowa nie rozpatrzy sprawy, nie zapadną żadne decyzje. A poza tym dla niej najważniejszy był Dougie. Na nim zależało jej najbardziej.

Rachael korzystała z mapy wielkoskalowej. Z wykorzystaniem naniesionych na niej naturalnych granic wyznaczyła obszary, które zamierzała obejść. Żaden nie leżał na ziemi przypisanej do Black Law. Pierwszy teren, należący do jednego z dzierżawców Holme Park, usytuowany przy potoku i nieczynnej kopalni ołowiu, mocno wygryzły owce. Łatwy obszar do wędrowki, ale mało interesujący dla ptaków. Drugim był pas wrzosowisk uprawianych pod dzikie ptactwo. Holme Park dzierżawił ten teren konsorcjum włoskich przedsiębiorców. Myśliwi zapewne nie będą zachwyceni odgłosami towarzyszącymi powstawaniu kopalni, ale Rachael przypuszczała, że firma wydobywcza Slateburn Quarries przedstawiła majątkowi Holme Park tak kuszącą ofertę, że brak wpływów z praw do odstrzałów nikomu nie spędzi snu z powiek.

Kwadrat badawczy na nizinie łatwo dało się wyznaczyć. Potok Skirl posłużył jej za pierwszą granicę. Dwie następne wyznaczało skręcające pod kątem prostym ogrodzenie dla owiec. Czwartą stanowił dawny trakt – biegł obok chaty przez mostek nad potokiem i ciągnął się aż do kopalni. Rachael podzieliła kwadrat na mapie równoległymi do potoku liniami. W rzeczywistości odległość między nimi wynosiła dwieście metrów. Chodząc po tak wyznaczonych pasach, Rachael musiała liczyć wszystkie ptaki, które usłyszy lub zobaczy. To sposób znany jako metoda Kempa.

Oznakowanie obszaru wrzosowisk okazało się

większym problemem. Na mapie znalazła oznaczenia wskazujące kanały odpływowe oraz wyschniętą kamienną studnię, ale nawet przy dobrej widoczności w tak mało zróżnicowanym terenie trudno trzymać się wytyczonych linii. Niektórzy ekolodzy nie dbali o takie detale. Uważali, że małe odstępstwo od mapy nie ma znaczenia. Rachael była innego zdania. Miała obsesję na punkcie dokładności, gardziła przybliżonymi i dokonywanymi na prędce obliczeniami. Odmawiała też wykonywania pracy, jeśli warunki pogodowe mogły wpłynąć na obliczenia. Mniejszy deszcz nie przeszkadzał, ale gdy wiało, nie pracowała. Wiatr zmuszał ptaki do niskiego lotu i zagłuszał odgłosy ptaków brodzących.

Do chaty wróciła za późno, żeby zabrać się do liczenia, to trzeba zacząć o brzasku i zakończyć w ciągu trzech godzin. Dzień piękny, bezwietrzny, z czystym niebem, jakby to był czerwiec, nie kwiecień. Rachael trochę żałowała, że pojechała do matki. Sądziła, że w chacie nie zastanie Anne i Grace, że – korzystając z ładnej pogody – już wyruszyły w teren, ale się pomyliła. W domu roznosił się zapach smażonego boczku i kawy. Grace klęczała w salonie nad rozłożoną na podłodze mapą. Anne się opalała. Siedziała przy kuchennym wejściu na białej ławce z kutego żelaza, z twarzą zwróconą do słońca. Na widok Rachael pomachała do niej kubkiem.

– Nalej sobie kawy. Na pewno trochę zostało w czajniczku i chyba jest jeszcze ciepła. Przywiozłam własną, bo nie znoszę rozpuszczalnej – powiedziała i rzuciła na trawę skórkę z boczku.

– Nie powinno się karmić ptaków o tej porze roku – zganiła ją Rachael. – To niedobre dla młodych.

– Przepraszam, pani profesor – zażartowała Anne z kpiącym uśmiechem.

Rachael, czując, że się czerwieni, uciekła do kuchni. Panował tam straszny bałagan. Wszędzie stały brudne naczynia z poprzedniego dnia, ale postanowiła tego nie komentować.

– Idę na wrzosowisko sprawdzić, czy wszystkie graniczne obiekty są dobrze widoczne – zawołała do Anne. – A ty się wybierasz w teren?

– Za chwilę. Na razie zbieram siły.

– Tylko przed wyjściem posprzątajcie. – Pożałowała tych słów już w chwili, gdy je wypowiadała. Zachowywała się jak drużynowa z harcerstwa. Anne musiała ją usłyszeć, ale nic nie odpowiedziała. Kiedy Rachael przechodziło obok niej w drodze na wzgórze, ta nadal się opalała. I się nie pożegnała.

Na murku na poboczu siedziały trzy białorzytki – strzygły ogonkami, pokazując białe kuperki. Każdego roku Bella zwracała uwagę, że już są. Czerń i biel, powiedziała kiedyś. To przecież kolory zimy. Dziwne, że białorzytki pojawiają się wiosną. Tak samo drozdy. Z drugiej strony tu zawsze zima jest blisko.

Pewnego razu Rachael zasugerowała, że Bella powinna wybrać się na jakieś wakacje. Gdzieś w ciepłe strony, gdzie jest dużo mocnych, ostrych kolorów. Opieka społeczna na pewno zorganizowałaby dla Dougiego tymczasową pomoc. Ale Bella była oburzona tym

pomysłem.

– Jak mogłabym go zostawić – zachnęła się. – Za bardzo bym za nim tęskniła. Zresztą i tak bym nie odpoczywała, cały czas tylko martwiłabym się, co oni tu z nim robią?

– A Neville nie mógłby przyjechać?

– Mógłby. Ale nie zna się na opiece nad Dougiem. To by się nie sprawdziło.

Trakt przecinał strumień i docierał do zamkniętej kopalni ołowiu. Właściciel gruntu mówił kiedyś o remoncie, przekształceniu kopalni w muzeum, ale nic z tego nie wyszło. A wkrótce nie będzie czego remontować. Co prawda komin jeszcze stał, ale kruszył się od góry, nadszarpnięty czynnikami atmosferycznymi. Ceglana konstrukcja wyglądała jak prujący się stary sweter. Obok stał rząd baraków – dawniej mieszkali w nich pracownicy kopalni – jednak tylko jeden zachował dach. Wszędzie unosił się odór zgnilizny i rozpadu. Przy wejściu do maszynowni Rachael dostrzegła bukiet kwiatów – konwalie i jasne narcyzy. Pomyślała, że to jakieś dziecko zakradło się podczas spaceru z rodzicami do ogrodu przy chacie Baiki. Potem sobie przypomniała, że już kiedyś widziała tu kwiaty.

Jeśli Godfrey Waugh dopnie swego, to miejsce stanie się centralnym punktem nowej kopalni. Zdaniem Waugha wzgórze od zawsze miały przemysłowe zastosowanie. Nie były tu tylko po to, żeby turyści się na nie gapili. Baraki planowano rozebrać, a zamiast nich postawić budynek bardziej dopasowany do charakteru przedsięwzięcia – o

prostych liniach, wzniesiony ze szkła i miejscowego kamienia. Rachael widziała już rysunek tej budowli wykonany przez artystę plastyka. Niska, nierzucająca się w oczy konstrukcja wtopiona w krajobraz. W dużych oknach było widać zarysy sylwetek kobiet przy komputerach. Otoczenie zagospodarowano pasem nowo zasadzonych drzew. Ale samej kopalni na szkicu nie ujęto. Nikt nie narysował wybuchów, ciężarówek i olbrzymich koparek. Za to istniały plany renowacji kopalnianego komina. Według człowieka z PR-u był symbolem ciągłości. Już widniał w logo firmy.

Przy kopalni Rachael odbiła od drogi, żeby szybciej się wspiąć na szczyt turni Hope. Stamtąd miała łatwe przejście na wrzosowiska. Teren przed nią – seria płaskowyżów – lekko biegł w dół. Linię horyzontu łagodził zarys lasów otaczających pałacyk w Holme Park i wieś Langholme. Wrzosowiska wypalano systemem rotacyjnym, aby zapewnić kuropatwom świeże zielone pędy. Były oznaczone pasami i kępami krzewinek w różnych stadiach wzrostu. W takim środowisku Rachael lubiła pracować najbardziej. Położyła się na brzuchu i obserwowała. Owiewała ją miękka bryza, zewsząd dochodził śpiew świergotków łąkowych, skowronków i kulików.

Od razu się zorientowała, że – tak jak przypuszczała – wyznaczenie obszaru badań będzie kłopotliwe, jednak teraz podchodziła do tego jak do wyzwania. Za pierwszą linię graniczną obrała przecinający wrzosowiska rów melioracyjny, drugą miał być miejscami zapadający się

kamienny murek. Co do reszty granic, będzie musiała posłużyć się mapą i kompasem. Niewielu mierniczych potrafiło osiągnąć satysfakcjonującą dokładność tą metodą, ale ona umiała.

Kiedy już to sobie uświadomiła, poczuła, że wraca jej pewność siebie. Poderwała się na nogi i odchyłona do tyłu, mocno wbijając piętę w podłoże, ruszyła w dół zbocza. Przez szkółkę leśną założoną przez nadleśnictwo wiodła ścieżka bezpośrednio na podwórko farmy Black Law. Rachael przypuszczała, że Anne Preece nadal ślęczy w chacie nad mapami. Chciałaby, żeby tak było, bo zamierzała oczyścić atmosferę. Niedobrze, gdyby sytuacja pozostała napięta. Oczywiście Edie doskonale wiedziałyby, co powiedzieć. Ale Rachael w przypadku konfliktów albo reagowała na nie przesadnie, albo w ogóle ich nie zauważała. Jednak teraz, jako kierownik zespołu, musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Zeszła ze wzniesienia w dużym pędzie. Na dole na chwilę zatrzymała się, żeby złapać oddech przed wędrówką przez podmokły teren porośnięty sitowiem i wełnianką. Zrobiła przysiad, żeby rozluźnić mięśnie, potem odwróciła się i rzuciła ostatecznie spojrzenie na turnię.

Ktoś tam stał, dokładnie w miejscu, w którym jeszcze kilka minut wcześniej leżała na brzuchu. Raczej niemożliwe, żeby nie zauważyła nadejścia tego kogoś. Musiał się wspiąć na szczyt drogą od strony kopalni, ale zrobił to cicho, nie dając znaku swojej obecności. Ponieważ Rachael patrzyła pod słońce, widziała tylko zarys sylwetki obok zbocza, prawie jakby to był odłamek skały.

Postać stała nieruchomo i chyba się jej przyglądała. Rachael natychmiast przypomniał się mężczyzna, który chodził po wzgórzach w noc samobójstwa Belli. Powróciło nieprzyjemne odczucie, że jest obserwowana.

Tylko że tym razem wydawało się jej, że to kobieta. Z krótkimi włosami albo związanymi w kucyk, w spódnicy. Przez chwilę myślała, że może to Bella, która wolała spódnice od spodni, i często, pracując na farmie, nosiła je do kaloszy. Wychodząc z chaty, Rachael zabrała ze sobą lornetkę. Teraz, kiedy już się otrząsnęła ze zdumienia, ściągnęła ją z ramienia i przyłożyła do oczu. Ale w czasie gdy nastawiała ostrość, kobieta musiała przejść za skałkę, bo teren znów był pusty, nie licząc skaczącego z kamienia na kamień białorzytka.

To pewnie jakaś turystka, stwierdziła Rachael, albo Anne, szuka mnie, żeby się pogodzić. Tylko że Anne, podobnie jak Grace, chodziła w dżinsach.

Po raz drugi zdenerwowała się, gdy się natknęła na pułapkę na wrony. Klatka stała na kawałku suchszego gruntu, w pobliżu szkółki leśnej. Rachael wiedziała, że farmerzy nienawidzą wron – nawet Bella chciała się ich pozbyć – ale uważała, że taka forma kontroli jest straszna, nie dla ptaków, które po dostaniu się w pułapkę były zabijane, ale dla tych, które służyły za przynętę.

Pułapka była zrobiona z drucianej siatki i na górze miała komin. W środku żywa oswojona wrona prowokacyjnie wymachiwała skrzydłami, zachęcając inne wrony do walki o terytorium. Kiedy jakiś intruz wleciał przez komin do środka, nie miał już drogi odwrotu. Pewnie

oba ptaszyska jakoś koegzystowały do czasu, aż pojawiał się człowiek i wyjmował tę nieoswojoną wronę.

Farmer co jakiś czas przesuwał klatkę. Wrony są stworzeniami terytorialnymi i nie odlecają daleko, nawet żeby walczyć. Ostatnio Rachael widziała klatkę na skraju wrzosowiska blisko kopalni. Była wtedy z Peterem, który dał pokaz swojego rażącego playboyowego poczucia humoru. A ona, jeszcze tak naiwna, brała te jego żarty za dobry znak. Na widok dwóch ptaków w klatce powiedział:

– Zobacz, są tak jak my. Złapałaś mnie i teraz już nie mogę uciec.

Uśmiechnęła się, ale nawet wtedy, chociaż chciała mu wierzyć, wiedziała, że jest dokładnie odwrotnie.

Kiedy poznała Petera Kempa, była doktorantem na uniwersytecie Durham. Studia magisterskie zrobiła w Cambridge, tak daleko od Edie, jak się tylko dało. Później jednak wróciła na północ – nie żeby być blisko matki, po prostu góry stały się jej pasją. Zaczęła od badań nad cietrzewiami, potem jej zainteresowanie przeniosło się na ptaki brodzące z obszarów górskich, takie jak kuliki i bekasy. Kiedy poznała Petera, opracowywała system dokładnego ich przeliczania. Jako bazę wykorzystywała chatę Baikie. Już wtedy przyjaźniły się z Bellą.

Był wietrzny dzień kwietniowy. Przyjechała do Kimmerston na prośbę Boba Hewletta, inspektora ochrony środowiska, który dostrzegł w jej projekcie możliwość uzyskania tanim kosztem przydatnych informacji. Już wcześniej spotkała Boba i nie zapalała do niego sympatią. Był panem w średnim wieku, nosił tweedowe marynarki, jeździł land roverem – z tyłu woził parę czarnych labradorów – i wyglądał jak właściciel ziemski. Uważała, że facet zbyt się spoufala z miejscowymi farmerami, że za bardzo mu zależy na ich akceptacji i na poprawnym wykonywaniu swoich obowiązków. Mieszkał w Langholme. Rachael widziała go w tamtejszym pubie w towarzystwie farmerów. Traktował ich jak starych kumpi od kieliszka. Ale ona miała swój rozum i nie zamierzała krytykować Boba – a nuż kiedyś zechce się zatrudnić w rządowej Agencji Ochrony Środowiska. Więc kiedy Bob zaproponował jej, żeby razem zjedli lunch w White Hart i

przy okazji omówili projekt, uprzejmie się zgodziła.

– Zaprosiłem też Petera Kempa, ale trochę się spóźni – oznajmił Hewlett niespodziewanie, kiedy kelner podał im jedzenie. – Zajmuje się tym samym co ty, tyle że w Wildlife Trust. Moglibyście sobie pomóc.

Wtedy pierwszy raz usłyszała o Peterze, chociaż Bob zakładał, że wiedziała, o kim on mówi.

White Hart to solidny hotel z kamienną fasadą. Stoi przy szerokiej głównej ulicy Kimmerston. Kiedyś tylko tam można było coś zjeść poza domem. Później miasto dorobiło się restauracji indyjskiej, pizzerii i chińskiej knajpki z daniami na wynos, i White Hart zszedł na psy. W piątkowe wieczory bar oblegały małolaty. Często dochodziło wtedy do awantur i bijatyk, aż musiała interweniować policja. W ciągu tygodnia w hotelu panowała atmosfera szacownego rozkładu. Podstarzali kelnerzy w czarno-białych uniformach nie mieli kogo obsługiwać, nawet w ten jeden dzień targowy, gdy hotelowe pokoje się zapełniały. Prowadzona tam kuchnia należała do tradycyjnych w tym sensie, że warzywa zawsze były rozgotowane i do wszystkiego podawano brązowy zawieszisty sos. Kiedy Rachael oznajmiła, że jest wegetarianką, obsługa wpadła w lekką panikę. Potem jednak wylądował przed nią na stole gumowaty omlet serowy.

Po wzmiance o Peterze Kempie Bob posłał jej nad stołem promienny uśmiech. Mówił tonem dobrodusznego wujaszka, jak dla Rachael zbyt poufale. Chociaż na parkingu stało jego auto, to, kiedy czekali na realizację

zamówienia, wypił kilka szkockich, a po posiłku, na trawienie, zamówił jeszcze piwo. Rachael uznała, że Peter Kemp musiał niedawno zatrudnić się w Wildlife Trust, inaczej by o nim słyszała. Znała stamtąd prawie całą ekipę. Była też przekonana, że go nie polubi; nie potrzebowała pomocy przy swoim projekcie. Edie ostro rozprawiłaby się z protekcyjnym nastawieniem Boba – z dwuznacznymi uśmieszkami, poklepywaniem po plecach – ale Rachael nigdy nie potrafiła zwracać komuś uwagi tak, żeby to nie brzmiało niegrzecznie.

Pierwsza dostrzegła Petera, kiedy stanął w drzwiach restauracji. Do połowy zasłaniał go ciemny dębowy kredens, pełen zatłuszczonych szklanych pojemników na przyprawy i porcjowanych torebek z sosem tatarskim. Do nowo przybyłego gościa podeszła artretyczna kelnerka, żeby poinformować, że na lunch już za późno. Peter pokręcił głową, obdarzył kobietę słodkim uśmiechem i wskazał ich stolik. Rachael mogła się założyć, że starsza kelnerka będzie pamiętała uwodzicielski uśmiech do końca dnia. Kemp wyglądał bardzo młodo – jak licealista zwolniony po południu ze szkoły, prawie na pewno z dobrej prywatnej szkoły. Zmierzając ku nim, uśmiechał się z uroczą nieśmiałością – to jego znak rozpoznawczy – ale Rachael ze skrepowaniem wyczuwała bijącą od niego pewność siebie, która cechuje osoby z doskonałym wykształceniem.

Wysportowany. To też od razu dało się zauważyć. Szedł po wzorzystym dywanie długim sprężystym krokiem. Jak tylko dotarł do stolika, na powitanie oficjalnie uściśnął

doń Hewlettowi. Panowie wymienili kilka zdań, po czym Peter odwrócił się do Rachael. Żeby dosięgnąć jego wyciągniętej ręki, musiała się lekko unieść i to ją trochę speszyło.

– Oczywiście znam pani nazwisko z raportów o ptakach – powiedział. – I słyszałem o pani od kolegów. Ma pani imponującą reputację.

Mówił z przejęciem, gorliwie. Znowu robił wrażenie uczniaka, który próbuje przypodobać się nauczycielowi. Rachael dobrze wiedziała, że ją urabia, ale ona też nie potrafiła się oprzeć temu jego uśmiechowi.

Mimo wszystko, chociaż dała się zwieść pochwałam, zdawała sobie sprawę, że Peter czegoś od niej chce. Oznajmił, że chętnie odwiedziłby jej teren badawczy, żeby porównać swoje sposoby z metodą, jaką stworzyła na potrzeby sondażu. I gdy już Hewlett wypił drugie piwo, a ona i Kemp podzielili się dzbanuszką kawy, w końcu zaprosiła Petera na kilka dni do chaty, żeby mógł poobserwować, jak pracuje. Kiedy wychodziła z hotelu, miała wrażenie, że gorzej trzyma się na nogach od Boba, który z pewnością nie był zupełnie trzeźwy, a jednak, machając im na pożegnanie, odjechał samochodem z wściekle ujadającymi labradorami.

Tej wiosny Peter spędził w chacie więcej niż kilka dni. Pod koniec bywał tam częściej niż w biurze i zwykle zostawał na noc. Tłumaczył, że Wildlife Trust zamierza kupić górski rezerwat – co prawda w innym regionie, ale trzeba zapoznać się z charakterystycznymi gatunkami krain wrzosowisk, żeby potem wytypować odpowiedni

teren. Rachael wiedziała, że to tylko wymówka – mógł skorzystać z jej danych już po zakończeniu projektu – ale była tym zachwycona.

Ona natomiast to, że Peter tak bardzo zawrócił jej w głowie, tłumaczyła swoim brakiem doświadczenia. Owszem, na studiach spotykała się z pewnym starszym mężczyzną, wykładowcą materiałoznawstwa, ale ten związek od początku był skazany na niepowodzenie. Nawet ona sama, mimo że nienawidziła psychologicznej paplaniny Edie, zdawała sobie sprawę, że szukała w nim nie partnera, lecz ojca, a Euan okazał się mało satysfakcjonujący w obu kategoriach. Nigdy wcześniej nie umawiała się z równolatkiem, nawet nie miała przyjaciela w swoim wieku, tak więc jej uczucia do Petera charakteryzowały się intensywnością młodzieńczego zadurzenia.

Oczywiście Edie od razu przejrzała Petera. Rachael popełniła błąd i którejś niedzieli przyprowadziła go do matki. To był parny majowy dzień, więc obiad jedli w ogrodzie. Powinno być przyjemnie, ale Edie już na samym początku zapalała niechęcią do Petera. Kiedy oni rozmawiali między sobą, matka wlepiła wściekłe spojrzenie w swój kieliszek z winem. Im większą wrogość mu okazywała, tym bardziej starał się ją oczarować. Nawet Rachael uważała, że Kemp sprawia wrażenie nieszczerzego bufona. Spodziewała się, że matka zrobi jej później wykład na temat doboru partnerów, ale Edie była zaskakująco powściągliwa.

– Jak na mój gust za bardzo się popisuje – oznajmiła

scenicznym szeptem, idąc za Rachael do kuchni z tacą brudnych naczyń. – A efekciarzom nie wolno ufać.

Ale to właśnie te efekciarskie gesty tak pociągały Rachael, co zresztą ją zgubiło. Uwielbiała, kiedy Peter, pod pozorem, że ma zebranie w firmie, urywał się z chaty, żeby wrócić o zmierzchu z kwiatami i szampanem. Uwielbiała tańczyć z nim na trawie przy płycie puszczonej na starym nakręcanym gramofonie Constance. Wcześniej nikt nigdy tak jej nie nadszkakiwał.

Nie mogła rozmawiać o tych ekstrawagancjach z Edie, bo ta, nawet gdyby lubiła Petera, na pewno skrytykowałaby takie zachowanie, nazywając je męskim szowinizmem. Więc gdy miała ochotę podzielić się z kimś swoim szczęściem, szła do Black Law na plotki z Bellą. Przyjaciółka utwierdzała ją w jej wierze w miłość od pierwszego wejrzenia – czyż właśnie nie to przytrafiło się jej i Dougiemu? – i z sympatią i zainteresowaniem śledziła rozwój romansu.

– To jakie masz plany na przyszłość? – pytała. – Będiesz się z nim spotykać, jak zakończysz projekt?

– Rzadko o tym rozmawiamy – odpowiadała Rachael. – Żyjemy chwilą.

Nie zagłębiała się w szczegóły, żeby wyjaśnić, jak wyglądało to życie chwilą, ale Bella ją rozumiała. Rachael wydawało się niestosowne opowiadać o tym, że kąpią się nago w górskim stawie w świetle księżyca i kochają się na wrzosowiskach, w sytuacji gdy Dougie nie mógł samodzielnie się poruszać. Ale miała plany, potajemne marzenia, których nie zdradziłaby nawet Belli. Może nie

dotyczyły ślubu i białej sukni, chociaż podejrzenie podobne obrazy pojawiały się od czasu do czasu na obrzeżach jej świadomości. Nie, ona marzyła, żeby założyć z Peterem wspólny dom, mieć dzieci. Edie oczywiście osłupiałaby z przerażenia, ale Rachael naprawdę pragnęła stworzyć rodzinę i zostać dobrą matką.

Do pierwszej zdrady, najgorszej, doszło dwa miesiące po tym, jak Peter odszedł z Wildlife Trust, żeby otworzyć własną agencję konsultingową. Rachael wiedziała o jego planach zawodowych od początku i jak tylko obroniła doktorat, zatrudniła się u niego. Miała własne biurko i komputer w małym biurze, bo tylko na takie Petera było stać. Pełniła funkcję recepcjonistki, sekretarki i głównego konsultanta naukowego.

Skończyły się prezenty w postaci butelek szampana, upojnych nocy było coraz mniej. Ale Rachael nadal marzyła. Rozumiała, że Peter musi się teraz liczyć z pieniędzmi i że żyje w dużym stresie. Nie jest łatwo porzucić stałą posadę i przejść na własny rozrachunek. Dlatego wystarczało jej, że mogła go widywać w zatłoczonym biurze, w którym zawsze panował chaos, że mu pomagała i że on od czasu do czasu muskał ją ustami po włosach i mówił: „Bez ciebie nigdy bym tego wszystkiego nie ogarnął, wiesz o tym prawda?”

Później w „New Scientist” przeczytała artykuł Petera. Przedstawiał w nim nową metodologię liczenia ptaków z okolic górskich. To była jej metodologia, ona ją wymyśliła. I zresztą jej nazwisko widniało na końcu w podziękowaniach, wymienione małym drukiem wraz z

nazwiskami sześciu innych osób, w tym Anne Preece. Ale opracowanie nowego systemu przypisał sobie. Twierdził, że on jest pomysłodawcą. W pochwalnym komentarzu wydawca napisał: „To oczywiste, że metoda Kempa – precyzyjna, przejrzysta i przystępna – stanie się punktem odniesienia dla badań ankietowych z obszarów górskich. W przyszłości powinno się ją zalecać jako najodpowiedniejszą w takich projektach”.

Z powodu artykułu Kemp nagle stał się rozchwytywany. Zamówienia spływały do biura tonami, a Petera proszono, aby organizował szkolenia dla innych agencji. Rachael często musiała przygotowywać dla niego notatki i slajdy z wykresami. Robiła to bez skargi, ale już nie mogła znosić jego pieśzcot.

Wiele razy się zastanawiała, dlaczego nie wypomniała mu tej zdrady. I dlaczego wciąż u niego pracowała, pomagała przenieść rozrastającą się firmę do większego biura? Oczywiście istniały przyczyny praktyczne. Na północy Anglii miałyby problem ze znalezieniem odpowiedniej pracy, opłacanej tak, żeby wystarczyło na utrzymanie się. Ale w głębi duszy wiedziała, że nie to było ważne. Chodziło o dumę. Gdyby odeszła ze Stowarzyszenia Kempa, potwierdziłaby przed sobą i innymi, że Peter wywiódł ją w pole. Musiałaby zaakceptować fakt, że uwiódł ją tylko po to, żeby wykraść jej pomysł. I musiałaby uznać, że Edie miała rację.

O drugiej zdradzie dowiedziała się, gdy pewnego dnia rano znalazła na swoim biurku dużą kwadratową kopertę. W środku znajdowało się zaproszenie na ślub Petera.

Wydawało się, że nie miał złych intencji, informując ją w ten sposób o tym, że zamierza się ożenić. Sądził, że Rachael uznała spotkania w chacie za przelotny romans, za dobrą zabawę. Bądź co bądź już od miesiący nie dochodziło między nimi do intymnych zbliżeń. Od kolegów w pracy dowiedziała się, że narzeczona ma na imię Amelia. Więcej szczegółów dostarczyła Anne Preece, kiedy akurat wpadła do biura w poszukiwaniu zleceń.

– Amelia? – powtórzyła. – Strasznie nadęta i tandetna. Nie pochodzi z arystokracji, nic interesującego. Ginie w tłumie. Może byłaby dość ładna, gdyby rodzice dopilnowali, żeby w dzieciństwie nosiła aparat na zębach.

Nikt w pracy nie podejrzewał, że informacja o ślubie szefa jest dla Rachael czymś więcej niż tylko nowinką dnia. W końcu już nie mogła wytrzymać, że nie może się nikomu zwierzyć ze swojego nieszczęścia i pod byle pretekstem ulotniła się do chaty Baikie. Zaprosiła Bellę na kolację i przy dwóch butelkach wina i paczce chusteczek higienicznych wypłakała się przyjaciółce w mankiet. Następnego dnia obudziła się z kacem i przekonaniem, że uwolniła się od obsesji na punkcie pana Kempa.

Teraz przypomniwała sobie o nim tylko dlatego, że zobaczyła tę wronę dramatycznie podskakującą w drucianej klatce.

6

Rachael ze szczegółami obmyśliła, co powie Anne po powrocie: Słuchaj, przepraszam, że jestem taką zręczliwą babą, ale pierwszy raz zostałam kierownikiem zespołu i trochę się stresuję. Tak czy inaczej nie chcę żadnych niesnasek.

Kiedy jednak dotarła na miejsce, dom był pusty. Kuchnia uprzątnięta, brudne naczynia zmyte i wytarte. Grace i Anne zostawiły wiadomość, dokąd idą i mniej więcej kiedy wrócą. Zachowały się lepiej niż Rachael, która poirytowana bałaganem wypadła z chaty i nie zostawiła żadnych namiarów, chociaż sama nalegała, żeby nikt nigdy nie łamał tej zasady. Białe kartki z zapisanymi współrzędnymi i przewidywaną godziną powrotu leżały obok siebie na stole w salonie i oskarżycielsko kłuły ją w oczy.

Anne wróciła dokładnie o czasie, który podała w notatce. Kiedy Rachael próbowała ją przeprosić za swój wcześniejszy wybuch, Anne machnęła ręką.

– Nie wygłupiaj się – rzuciła. – Nie musisz za nic przepraszać. Powinniśmy bardziej się ogarnąć. W końcu jesteśmy dorosłymi ludźmi, a nie bandą dzieciaków, co nie?

Z początku Rachael wzięła odpowiedź za gest pojednania, po chwili jednak uznała, że bardziej wyglądało to na kolejny przytyk. Zarzut, że Rachael traktuje Anne i Grace jak dzieci.

Ta niemożność natrafienia na właściwy sposób, w jaki

powinna komunikować się ze współpracownicami, to wrażenie, że albo za bardzo wszystko kontroluje, albo zupełnie traci kontrolę, zaprzętały jej myśli przez kolejnych kilka dni. Nie mogła jednak obu traktować tak samo, bo bardzo się różniły. Anne była pewna siebie, wygadana, niemal beztroska. Grace sprawiała wrażenie niezwykle zamkniętej w sobie. To przede wszystkim o nią się niepokoiła. Wydawało się, że Grace od przyjazdu jeszcze bardziej zbladła i schudła. Sama z siebie niewiele mówiła, chyba że o pracy. Odzywała się do innych jakby w nagrodę. I prawie w ogóle nie jadła. Przesuwała jedzenie po talerzu, dziobała je widelcem. Rachael zastanawiała się, czy to nie anoreksja. Pewnego razu, już całkiem zdesperowana, bo Grace nie wzięła nic do ust przez cały dzień, powiedziała do niej:

– Musisz jeść. Zwłaszcza kiedy dużo chodzisz. – Potem już cieplej dodała: – Chyba nie masz problemu, no... z jedzeniem?

Rachael nie lubiła takich rozmów. Całe dzieciństwo i okres dojrzewania była pod bacznią obserwacją Edie, która wypatrywała oznak traumy. Dyskretnie lub mniej dyskretnie matka wypytywała, czy inne dzieci jej nie dokuczają, czy nie bierze narkotyków, a nawet kiedyś podejrzewała, że córka jest w ciąży. Co jakiś czas Rachael znajdowała na swoim łóżku ulotki na temat antykoncepcji. Tak więc doskonale znała wagę prywatności.

Ku jej wielkiej uldze Grace się uśmiechnęła. Może jednak problem tkwił tylko w nieśmiałości.

– Zawsze byłam niejadkiem, bo niestety mało co mi

smakuje. Ale przywiozłam zapas czekolady. Nie martw się. Jestem silna jak tur.

Tego powiedzenia Rachael nie słyszała od czasów dzieciństwa; używali go tylko starsi ludzie.

A Grace faktycznie sprawiała wrażenie silnej. Każdego dnia pokonywała wiele kilometrów rzecznej nabrzeża i wracała do chaty bez oznak zmęczenia. Czasami Rachael przyglądała się jej, kiedy nadchodziła po płaskim terenie od strony potoku. Szła tak równym krokiem, dosłownie jakby płynęła. W świetle wieczoru była tak blada jak te sowy z krótkimi uszami, które polują nad polami w pobliżu farmy.

Dzień przed pogrzebem Belli w chacie zjawił się Peter Kemp. Rachael wstała o czwartej, o piątej była na wzgórzach, a teraz, po powrocie, jadła śniadanie, próbując się rozgrzać. Przez noc na szczyty stoków spadł śnieg. W tej chwili świeciło słońce, ale na ostatnim wycinku, który badała, wiał silny wiatr. Gdyby tak dmuchało, kiedy zaczynała, nie zawracałaby sobie dzisiaj głowy pracą. Grace robiła rozeznanie na nabrzeżu na terenie majątku Holme Park. Anne kręciła się po kuchni, napełniała termos, prawie gotowa do wyjścia. Ona pierwsza usłyszała podjeżdżające auto i poszła wyrzeć, kto przyjechał.

– Jezu święty! Chodź i to zobacz! – zawołała po chwili.

Rachael wcale nie chciało się wstawać, odchodzić od ognia i zostawiać upieczonej grzanki, ale Anne nie zawsze dopisywał taki dobry nastrój. Rachael wołała więc tego nie

psuć. Wzięła ze sobą kubek z kawą i przeszła na bosaka, w samych tylko skarpetach, do drzwi kuchennych. To Peter. Przyjechał nowiuteńkim range roverem z dyskretnym logo firmy na drzwiach od strony pasażera. Rachael nie widziała wcześniej tego auta, nawet nie wiedziała, że miało być kupione, ale nie skomentowała tego ani słowem. Anne nie była tak powściągliwa.

– To dlatego tak mało płacisz swoim pracownikom – rzuciła żartobliwie, chociaż w jej tonie wyczuwało się nutę wyrzutu. Zawsze czuła się niedoceniana. – My ledwie zarabiamy na utrzymanie, żeby szef mógł się rozbijać range roverem.

Peter nie wyglądał na obrażonego, uśmiechnął się przebiegle. Rachael odwróciła się, żeby wrócić do salonu.

– To tylko po to, żeby zaimponować klientom – usłyszała, jak wyjaśniał. – Jesteś kobietą, dobrze wiesz, jak to jest, i na pewno mnie rozumiesz.

Mówił zalotnym tonem. Rachael, która znała reputację Anne, jej skłonność do szaleństw i rozwiązłości, zaczęła się zastanawiać, czy ci dwoje mieli kiedyś romans, czy mimo Amelii spotykają się nadal.

– Cóż, jestem tylko płatnym niewolnikiem – odparła Anne. – Więc lepiej pójdę popracować. Nie chciałabym zostać wylana.

– Nie ma takiej opcji, skarbie – zapewnił żartobliwie Peter. – Jesteś najlepszym botanikiem w całym kraju.

Jeśli Anne coś odpowiedziała, Rachael tego nie usłyszała. Peter wszedł do salonu i stanął przed kominkiem, odcinając ją od źródła ciepła.

– Nie idziesz w teren? – spytał.

– Już byłam, z samego rana. Później liczenie nie ma sensu. Powinieneś to wiedzieć, sam pisałeś instruktaż.

Spojrzał na nią tak, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi. Czasami wydawało jej się, że to tylko jakieś zwidy z tą całą metodologią Kempa, że traci rozum. Peter usiadł w fotelu naprzeciwko.

– Słyszałem o Belli – powiedział. – Bardzo mi przykro. Dlatego przyjechałem. Sprawdzić, jak się trzymasz.

– Jest dobrze.

– Nie, ale naprawdę. Wiem, jak byłyście sobie bliskie.

– Naprawdę. To był szok, ale dochodzę do siebie.

– Nie wiesz, dlaczego to zrobiła?

– Nie mam pojęcia.

– A co się stanie z farmą?

– Dougie na pewno się nią nie zajmie. Jeśli Neville się tego nie podejmie, przypuszczam, że zostanie sprzedana. Dougiego przeniesiono do domu opieki. Trzeba będzie za to zapłacić.

– I co tam się teraz dzieje? To chyba czas kocenia się owiec?

– Pilnuje tego Geoff Beck z Langholme. Pewnie Neville go wezwał.

Peter przepytывał ją intensywniej niż tamten młody policjant.

– Neville Furness. Był tutaj?

– Nie, musiałam do niego zadzwonić. Organizuje pogrzeb.

– Wiesz, że on pracuje w Slateburn Quarries?

– Tak, podobno.

Peter przybrał słodką minę i uśmiechnął się do niej z chłopięcym wdziękiem.

– Pewnie nie mam co liczyć na kawę?

Zrobiła mu kawy, ale nie zaproponowała niczego do jedzenia. Po zakupy trzeba maszerować aż do Kimmerston. Rachael nie widziała powodu, żeby dzielić się z nim ich zapasami. W przeszłości, kiedy razem mieszkali w chacie i Peter pracował w Agencji Ochrony Środowiska, zawsze przywoził ze sobą jakieś smakołyki: świeży chrupiący chleb z piekarni w Slateburn, pasztet i ser brie z delikatesów w Kimmerston, hiszpańskie truskawki z supermarketu, chociaż oboje zdawali sobie sprawę, że ich uprawa niszczy rezerwat Doñana, więc nie powinni ich tykać, gdyby mieli sumienie. Dzisiaj przyjechał z pustymi rękoma i wbrew sobie Rachael czuła się zawiedziona.

– A projekt? – spytał. – Jak wam idzie praca?

– Na razie świetnie.

– Anne to oczywiście stara wyga, ale Grace pewnie dopiero się przyzwyczajają? Słyszałem o niej dużo pozytywnych opinii.

– Zna się na swojej robocie. To pewne.

Rachael nie zamierzała dyskutować z Peterem o kondycji Grace, fizycznej i psychicznej. Nabrała nawyku, żeby opowiadać mu jak najmniej. Poza tym omawianie problemów innej kobiety wyglądało na zwykłe plotkowanie.

– A więc nie mamy opóźnień?

– Wręcz przeciwnie. Jesteśmy do przodu, bo pogoda

nam sprzyja.

– To dobrze. Bardzo dobrze.

Ale wciąż ociągał się z wyjściem. Siedział w sfatygowanym fotelu – taki mebel raziłby nawet w pokoju w akademiku, nie wspominając o mieszkaniu, które dzielił z Amelią – i ścisnął w dłoniach już pustą filiżankę. Rachael domyśliła się, że ma ochotę z nią o czymś porozmawiać. Zbierał odwagę, żeby się zwierzyć albo wyjawić jakąś tajemnicę, a może nawet przeprosić. Nie chciała słuchać jego wynurzeń. Nie interesowały jej ani jego żona, ani sprawy dotyczące pracy, ani jego romanse.

– Przyjdiesz na pogrzeb? – spytała niespodziewanie.

– Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– Powinieneś. Bella dużo pomagała Stowarzyszeniu Petera Kempa.

– W takim razie może przyjdę.

– I jeśli chcesz się dowiedzieć co z farmą, przy okazji zapytasz Neville'a.

– Tak, racja. – Ale wciąż się wahał.

– Posłuchaj – zaczęła. – Jestem wykończona. Chętnie bym się trochę przespała, zanim znów wyjdę wieczorem w teren. – Chociaż już teraz wiedziała, że nigdzie nie pójdzie z powodu silnego wiatru.

– Jasne. I tak muszę lecieć. Mam spotkanie z rządową Agencją Ochrony Środowiska. Może dostaniemy zlecenie. Dobra wiadomość, co?

W odpowiedzi wstała, żeby dać mu do zrozumienia, że chce, żeby wyszedł natychmiast. Jego kurtka leżała w kuchni. Przechodząc do salonu, cisnął ją na ławkę. Buty

zostawił przy drzwiach. Teraz je zasznurował, włożył kurtkę i postawił kołnierz. Rachael nie zarzuciła na siebie nic cieplejszego, ale stanęła w progu, żeby stamtąd patrzeć, jak Peter odchodzi. Przy range roverze odwrócił się i smętnie do niej pomachał.

Samochód odjeżdżał wolno. Rachael nagle ruszyła pędem. Krzycząc, bębniła pięścią w drzwi, te z logo firmy. Chociaż skarpety były grube, pod stopami wyraźnie czuła chłód kafli podwórkowych. Peter zahamował i skwapliwie wyjrzał przez okno. Może sądził, że jednak będzie miał szansę się zwierzyć.

– Zapomniałam cię o coś zapytać.

– Pytaj, o co chcesz.

– Odwiedziłeś Bellę w ten wieczór, kiedy się powiesiła?

Ze zdumienia na chwilę go zatkało. Ale może po prostu spodziewał się usłyszeć co innego.

– Nie – odparł w końcu. – Po co miałbym ją odwiedzać? To twój projekt.

– Nie było cię na wzgórzach?

– Nie. A co?

Pokręciła głową i odsunęła się od samochodu. Peter przez moment się wahał, potem odjechał.

Rachael była pewna, że skłamał. Kiedy odwrócił się przy samochodzie, żeby do niej pomachać, przypomniała się jej ta tajemnicza postać. Było coś znajomego w zarysie tamtej sylwetki... i ten postawiony kołnierz. Tak, to Peter. To jego dostrzegła w świetle reflektorów, kiedy pokonywała bród w noc samobójstwa Belli. Więc kłamał.

Zwłoki Belli zostały spalone w dużym krematorium w Kimmerston. Z jakiegoś powodu Rachael sądziła, że Bella będzie pochowana na cmentarzu w Langholme – w gruncie rzeczy to zwykły kawałek pola, gdzie tuż za niskim kamiennym murkiem pasą się owce, a w oddali widać turnię Fairburn. Gdyby tak się stało, Rachael mogłaby przynajmniej chodzić do niej na grób. Ale Neville i Dougie – jeśli Dougie miał coś w tej kwestii do powiedzenia, w co wątpiła – wybrali kremację. Ponurą ceremonię przy muzyce Vivaldiego poprowadził pastor, który chyba zupełnie nic o Belli nie wiedział.

W dzień pogrzebu Grace została w chacie, chociaż Rachael zaproponowała, że podwiezie ją do miasta.

– Nie oczekuję, że pójdziesz na pogrzeb. Niby dlaczego miałabyś iść? Nie znałaś Belli. Ale należy ci się trochę odpoczynku. Wybierz się na jakiś dobry obiad albo pomyszkuj po księgarniach. Albo później się spotkamy i razem coś zjemy...

Grace odrzuciła propozycję.

– Wiem, że nie wolno mi wychodzić w teren, jak nikogo tu nie ma. Ktoś przecież musi kontrolować powroty. Ale mam mnóstwo pracy. Przy okazji spokojnie przejrzę też materiał, jaki do tej pory zebrałam. – Zamilkła i się zaczerwieniła. – Poza tym może wpadnie do mnie znajomy. Nie masz nic przeciwko, prawda?

– Ależ skąd! – Rachael cieszyła się, że nie tylko na niej spoczywa odpowiedzialność za Grace. – W takim

razie, skoro ktoś dotrzyma ci towarzystwa, nie będziemy się spieszyły z powrotem.

Chociaż Rachael sama przed sobą niechętnie się do tego przyznawała, nie miała ochoty jechać do Kimmerston z Grace, której roztargnienie i grobowe milczenie peszyły ludzi. Anne Preece była irytująca i uparta, ale przynajmniej normalna. Na tę myśl Rachael poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. W głowie usłyszała głos Edie: Jakim prawem kogoś osądzasz? A poza tym, co to w ogóle znaczy „normalna”?

Do krematorium dojechały za wcześnie – Rachael nie potrafiła się spóźnić – więc przez chwilę czekały na zewnątrz. Nie bardzo wiedziały, co ze sobą zrobić w takiej sytuacji. Nadal ostro wiało. Wichura napędzała na niebo szare chmury i przyginała do ziemi rosnące wzdłuż muru przywiedle żonkile. Rachael już kiedyś była w tym krematorium. Jesienią. Na cmentarzu ktoś wypatrzył rzadki gatunek ptaka, świstunkę górską. Z całego kraju zjechali się ptasiarze z lunetami i statywami. Kręcili się między pogrążonymi w żalobie członkami rodzin zmarłych i poirytowanymi przedsiębiorcami pogrzebowymi. Później Rachael opisywała tę scenę Belli, a ta zaśmiewała się z opowieści do łez. Rachael zobaczyła Bellę w wyobraźni, jak stoi w kuchni z czajniczkiem w poplamionej herbata nakładce, i chichocze tak, że herbata chlapie na stół. Po raz pierwszy tego dnia poczuła, że chce jej się płakać.

W kaplicy wybrała miejsce przy przejściu, żeby mogła obserwować żałobników. Budynek był prawie pusty. Pojawiła się Edie – wcisnęła się na miejsce obok córki i

chwyciła ją za rękę. Współczucie matki wydawało się wręcz namacalne. Rachael czuła się tak jak wtedy, gdy ktoś stawał zbyt blisko niej w kolejce albo przysuwał twarz do jej twarzy, oczekując na odpowiedź. Miała ochotę odepchnąć Edie. Myślała: Po co ja do niej jechałam, po co prosiłam ją o pomoc?

Zobaczyła kilka osób z Langholme. Rozpoznawała je: kierowniczka poczty z mężem, młode małżeństwo z farmy Wandylaw, dzierżawcy. Kemp z żoną siedzieli z tyłu. Peter wbił się w elegancki garnitur, pewnie żeby wywrzeć wrażenie na potencjalnych klientach. Gdyby w kaplicy zgromadziło się więcej osób, Rachael czułaby się dotknięta obecnością pani Kemp. Amelia nie znała Belli i pewnie przyszła pod przymusem, ale też się wystroiła. Siedziała w pewnej odległości od Petera i z wielkim skupieniem wpatrywała się w swoje nienagannie wypielęgnowane paznokcie. Ale żałobników było mało, więc Rachael cieszyła się, że odejście Belli upamiętni jedna osoba więcej.

– Rany boskie! – Ten mimowolny okrzyk wydała Anne na widok wchodzącej do kaplicy pary w średnim wieku.

Szli ze sobą pod rękę. Sprawiali sympatyczne wrażenie. Rachael miała nadzieję, że to wreszcie ktoś z rodziny Belli, a przynajmniej znajomi z przeszłości.

– Co to za ludzie? – spytała.

– Godfrey Waugh we własnej osobie. Z żoną. Co oni tu robią, do diabła? Ma facet tupet.

Godfrey Waugh, dyrektor Slateburn Quarries, siła napędowa inwestycji na terenie Black Law, przyczyna

pobytu Anne, Grace i Rachael w chacie Baikie. Tego, że sporządzały spis zasobów przyrodniczych miejscowych wzgórz. Jak na kogoś, kto wywołał tyle zamieszania, wyglądał stanowczo zbyt dobroduszenie i nieszkodliwie. Rachael była zawiedziona i dziwnie się z tym czuła, że staje w obronie Waugha.

– Mieszkają w Slateburn, prawda? Czyli w pewnym sensie po sąsiedzku.

Ale Anne nadal kipiała wściekłością.

– No i co z tego? Jak dla mnie to bezczelność, że przyszedł.

Rachael pomyślała, że Anne pewnie jeszcze dobitniej dałaby wyraz swojej złości, ale musiała się zamknąć, bo zaczynała się ceremonia.

Dougie siedział na wózku inwalidzkim, który pchał Neville. Zdaniem Rachael Bella by się rozczarowała, gdyby widziała, jak Dougie jest ubrany. Co prawda miał na sobie garnitur, ale koszula była wygnieciona. I ten, kto go golił, przeoczył kępkę zarostu na policzku. A buty przydałoby się wyczyścić. Natomiast Neville – niski, atletycznie zbudowany mężczyzna z kruczoczarnymi włosami i ciemną gęstą brodą – prezentował się nienagannie. Jego koszula na tle ciemnej karnacji aż raziła bielą, a pantofle lśniły.

Pastor już rozpoczął modlitwę, gdy drzwi kaplicy znowu otworzyły się z hukiem. Rachael przyszedł na myśl stary kiepski film, chociaż nie umiała sobie przypomnieć, czy to była komedia, czy dreszczowiec. Pastor umilkł w połowie zdania, a zebrani odwrócili się, żeby popatrzeć. Nawet Dougie próbował odwrócić głowę w stronę drzwi.

Próg przekroczyła kobieta po pięćdziesiątce. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to jakaś bezdomna, która tylko przez przypadek znalazła się w kaplicy. Na ramieniu duża skórzana torba, w ręce plastikowa torebka z supermarketu. Twarz szara, poznaczona plamami. Nieznajoma miała na sobie spódnicę do kolan i długi zapinany sweter z wypchanymi kieszeniami na przodzie. Była bez rajstop. A mimo to szła tak pewnie i dumnie, że nikt nie wątpił, że ma prawo uczestniczyć w pogrzebie. Usiadła, schyliła głowę jak do modlitwy, potem popatrzyła prosto na pastora, chyba na znak, że wolno mu kontynuować.

Neville zarezerwował pokój w hotelu White Hart i po pogrzebie zaprosił wszystkich na lunch. Anne powiedziała, że jest jej przykro, ale nie może iść, a potem dyskretnie posłała Rachael przebiegły uśmieszek.

– Chyba się nie obrazisz? Bo rozumiesz, mam lepsze rzeczy do roboty w wolne popołudnie niż napychać się kanapkami z jajkiem w White Hart i unikać rozmów o tym, że Bella popełniła samobójstwo. W końcu chciała tego, tak czy nie? Dlatego jakoś trudno mi ją opłakiwać. Wiem, że się przyjaźniłyście, ale nie zamierzam ściemniać.

Rachael się domyślała, że Anne umówiła się na randkę. Jej apetyt seksualny był legendarny. Poza tym miała na sobie małą czarną i żakiet – taki strój równie dobrze nadawał się na intymną kolację, jak i do zimnej kaplicy. Anne wyraźnie już nie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie.

– Gdzie się spotkamy? – spytała Rachael.

Anne się zawahała.

– Słuchaj, nie wiem, jak się wieczór potoczy, a zresztą mam ochotę przespać się we własnym łóżku. Dlatego przyjadę do chaty rano. Poproszę Jeremy'ego, to mnie podwiezie.

Rachael dopiero po chwili przypomniała sobie, że Jeremy to bardzo wyrozumiały i cierpliwy mąż Anne.

W White Hart było jeszcze mniej osób niż na ceremonii. Godfrey Waugh wpadł tylko na chwilę. Przeprowadził z Neville'em krótką, choć ożywioną rozmowę, która – zdaniem Rachael – miała więcej wspólnego z interesami niż z Bellą. Żona Waugha w ogóle się nie pojawiła.

Lunch zorganizowano w stylu bufetowym, przekąski stały na stole pod ścianą. Szynka i wołowina na zimno w grubych plastrach, sałatka w miskach, krojone gotowane jajka i w metalowych miseczkach rzadki sos do sałaty, na oko lekko zwarzony. Przyjaciele Belli, farmerzy, zajadali ze smakiem. Hotel podał sherry i whisky w małych kieliszkach, ale panowie zniknęli w barze i wrócili z dużymi piwami. Neville chodził do szkoły z córkami i synami tych ludzi, jednak wbrew oczekiwaniom Rachael nie było widać, żeby łączyła ich szczególna zażyłość. Inaczej sprawa wyglądała w przypadku Edie, ta swobodnie poruszała się wśród gości, słuchała, rozmawiała, pytała o dzieci, najczęściej o swoich dawnych uczniów.

W końcu pojawili się też Peter i Amelia. Odnosili się do siebie oziębło. Rachael uznała, że pewnie pokłócili się po drodze. Amelia ostentacyjnie nie tknęła poczęstunku,

potem zniknęła w damskiej toalecie.

– Widzisz – zagadnął Peter. – Przyszedłem. Zawsze słucham twoich rad.

Jezu, jęknęła w duchu Rachael, naprawdę dawałam się nabierać na taki żalosny podryw?

Peter się rozejrzał. Najwyraźniej sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Dlaczego myślałaś, że byłem u Belli w dzień jej śmierci?

– Czy ja wiem? Coś mi się tam ubzdurało.

Naciskał na nią, ale nie powiedziała nic więcej. W końcu dał jej spokój.

Po lumpowatej kobiecie z torbami nie było śladu. Rachael została w hotelu dłużej, niż planowała. Liczyła na to, że nieznajoma zrobi podobnie teatralne wejście jak do kaplicy. Rozpytywała o nią, ale nikt nie miał pojęcia, kto to taki. Potem zauważyła też nieobecność Dougiego i przyszło jej do głowy, że może ta kobieta to ktoś z rodziny, że ona i Dougie chcieli pobyć sami.

Właśnie zamierzała zawołać Edie i wyjść, gdy nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu. Szybko się odwróciła i znalazła się twarzą w twarz z Neville'em. Stał tak blisko, że widziała pojedyncze siwe włosy w brodzie i czuła zapach jego mydła.

– Jesteś Rachael, prawda? Miło mi, że przyszłaś na pogrzeb. Chociaż to dla ciebie na pewno bardzo trudne. Byłyście...

Szybko przerwała Neville'owi, nie dlatego, żeby mu oszczędzić zażenowania, bo wcale nie wyglądał na

zażenowanego, tylko koniecznie chciała coś zaznaczyć.

– Nie mogłabym nie przyjść. Bella była moją prawdziwą przyjaciółką.

– Dużo o tobie mówiła.

– Naprawdę? – spytała zaskoczona. Nie zdawała sobie sprawy, że Bella utrzymywała aż taki kontakt z Neville’em.

– O tak. – Ponieważ jak na mężczyznę był dość niski, jej oczy znajdowały się prawie na wprost jego oczu. – Często ostatnio się widywałyście?

– Nie.

– Och, bo sądziłem, że może się orientujesz dlaczego...

– Nie.

– Muszę ci powiedzieć, że bardzo lubiłem Bellę. Miałem zaledwie dwa lata, jak zmarła moja matka, i cieszyłem się, że tata kogoś sobie znalazł. Cieszyłem się ze względu na nich oboje.

– Rozumiem. – Bella rzadko wspominała o Neville’u, ale Rachael uznała, że nie wypada go o tym informować. – A jak się czuje ojciec?

Dopiero teraz Neville zrobił zakłopotaną minę.

– A kto to wie?

– Bella jakoś zawsze wiedziała.

– Tak? Mnie się wydawało, że się oszukiwała. Chodzi mi o to, jak traktowała chorobę ojca. Ja tak nie potrafię. Nie umiałem się z tym zmierzyć. Dlatego nieczęsto ich odwiedzałem.

– Przywiezie go tutaj ktoś z domu opieki?

Liczyła, że Neville wymieni nazwisko kobiety z

torbami, ale on odparł ostrym tonem:

– Tata nie przyjedzie. Wrócił do Rosemount. Jego opiekunowie twierdzą, że lepiej, żeby trzymał się typowego rozkładu dnia.

– Rozumiem. – Rachael miała nadzieję, że Neville przynajmniej zapytał ojca, czy ten chce od razu wracać do domu.

Dougie lubił przyjęcia, nawet po wylewie. Jedno odbyło się w chacie, kiedy Rachael zakończyła pracę nad swoim projektem. Peter też na nim był i reszta studentów. Jeden z nich miał skrzypce. Bella ciepło opatuliła Dougiego i przewiozła na wózku do chaty. Rachael widziała go teraz w wyobraźni, jak roziskrzonym wzrokiem przygląda się tańcom i zdrową ręką uderza do taktu w poręcz wózka.

8

Rachael i Edie stały przed hotelem. Uwagę Rachael przykuł na chwilę czarny samochód, który przejechał obok ulicą. Wydało jej się, że na miejscu pasażera dostrzegła Anne Preece, ale kierowcy nie widziała.

– Chodź do domu, zjesz coś porządnego – zaproponowała Edie. – Ugotowałam zupę. Pokrzepisz się.

– Bardzo mamuśkowate.

– Potrafię być opiekuńcza – odparła wyniośle Edie. – Jeśli chcę.

Jadły zupę w kuchni w Riverside Terrace.

– No i co o tym sądzisz? – zagadnęła Edie.

Rachael wyobraziła sobie, że takie samo pytanie matka zadaje swoim studentom z zajęć wiedzy o teatrze po wyprawie do Theatre Royal w Newcastle. A oni pewnie, tak jak ona teraz, odpowiadają skrępowanym milczeniem, nie chcąc zdradzić swoich wrażeń, zanim nie usłyszą jakiejś konkretnej wskazówki.

– Sama nie wiem.

– No pomyśl. – Edie nigdy nie wychodziła z roli nauczycielki. – Zastanów się, co to nam mówi.

– Nic – mruknęła z frustracją. – Zupełnie nic.

– Ależ oczywiście, że mówi. Nie wydaje ci się dziwne, że nie pojawił się nikt z jej przeszłości? Żaden znajomy z lat szkolnych, żaden krewny.

– Była ta kobieta, co wyglądała jak bezdomna.

– Hm... Jeśli to ktoś bliski, dlaczego się nie

przedstawiła?

– Może Bella nie pochodziła stąd. „Gazette” dociera tylko do Kimmerston i okolicznych wsi.

– Czyli jednak coś nam to mówi, prawda?

– Bardzo niewiele.

– Tyle ze sobą rozmawiałyście. Musiała napomknąć, co robiła, zanim przybyła na farmę, żeby opiekować się matką Dougiego.

– Nie pamiętam czegoś takiego. – Po zastanowieniu Rachael uzmysłowiła sobie, że rozmowy z Bellą były zawsze jednostronne. Rachael opowiadała o swoim dzieciństwie, o tym, jak to jest wychowywać się przy takiej beztroskiej matce jak Edie, o swoim bólu z powodu tego, że w ogóle nie знаła ojca. Bella słuchała, komentowała, ale rzadko włączała do rozmowy wątki z własnego życia.

– Nie wydaje ci się to dziwne? – powtórzyła Edie. – To może znaczyć, że miała coś do ukrycia.

– Wcale nie – prychnęła ze złością Rachael. – Nie wszyscy odczuwają potrzebę omawiania swoich dziecięcych traum z osobą stojącą za nimi w kolejce w supermarkecie.

Edie puściła mimo uszu złośliwy przytyk.

– Jednak większość ludzi czasami opowiada o swojej rodzinie, szkole, pracy...

– Myślę, że mogła być po szkole rolniczej. Po ogrodnictwie. A może jej rodzice prowadzili sklep ogrodniczy. Znała się na tym, chociaż nie lubiła tego. Wspominała, że niechęci do grzebania w ziemi nabrała w dzieciństwie. Dlatego w Black Law nie założyła ogródka

warzywnego. Sądziłam, że chodzi o wiatry i mróz, ale ona wyjaśniła, że to dla niej luksus, że może kupować warzywa w supermarkecie.

– Niewiele tych informacji, żeby cokolwiek z nich wywnioskować.

– Przykro mi. Bella ceniła sobie prywatność, co tobie pewnie trudno zrozumieć.

– Wręcz przeciwnie, doskonale to rozumiem. – Znowu w niewypowiedzianych słowach stanął między nimi ojciec Rachael. – A wcześniej miała męża?

– Nie.

– Skąd ta pewność?

– Mówiła, że Dougie to jej jedyna prawdziwa miłość.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Ludzie nie zawsze pobierają się z miłości.

– Bella wyszłaby za mąż tylko z miłości.

– Bzdury gadasz! Jak brzmiało jej panieńskie nazwisko? To chyba wiesz?

– Davison.

– A Bella? To skrót od Isabella? Miała drugie imię? Pytam, żebym ją mogła odszukać w aktach.

– Podpisywała się I.R. Furness. Ale co znaczyło to „R”? – Rachael wzruszyła ramionami.

– Naszym zdaniem nie pochodziła stąd, tak?

– Mówiła z miejscowym akcentem – odparła niepewnie Rachael. – Ale miałam wrażenie, że przez dłuższy czas przebywała gdzie indziej.

– Jak znalazła pracę w Black Law? Przez agencję?

– Nie. Dougie umieścił ogłoszenie w „Gazette”.

Opowiadała mi o tym. Że zobaczyła ogłoszenie i zadzwoniła pod wpływem impulsu. Gdyby nie fakt, że bardzo potrzebowała pracy, nigdy by się na to nie zdobyła. Tak twierdziła. Spotkali się na przystanku autobusowym w Langholme i Dougie zabrał ją na farmę. To miała być rozmowa kwalifikacyjna, ale skończyło się na tym, że plotkowali jak starzy znajomi. Pytałam, czy nie bała się jechać z kimś zupełnie obcym na takie pustkowie. Powiedziała, że nie, nabrała zaufania do Dougiego, jak tylko go zobaczyła. – Rachael spojrzała na matkę. – Jasne, romantyczne brednie. Ale właśnie dlatego sędzę, że nie była wcześniej w poważnym związku. Nie zdążyła zgorzknąć.

– A referencje? Dougie nie pytał o nie?

– Nie przypuszczam. Spodobała mu się, więc pewnie nawet nie przyszło mu to do głowy.

– Kiedy to się działo?

– Siedem lat temu. Starsza pani zmarła dwa lata później. Niedługo potem się pobrali. Skromny ślub w urzędzie. Bez fanfar. Bella tak wolała, chociaż coś mi się wydaje, że Dougie chciałby hucznej ceremonii.

– Dlaczego czekali, aż umrze jego matka?

– A skąd mogę wiedzieć? – wybuchła mimowolnie Rachael. Miała dosyć tej rozmowy. – Słuchaj, muszę wracać. – Liczyła na to, że wyrobi się jeszcze przed zmrokiem na wieczorne liczenie. Myślała o zachodzącym słońcu i śpiewie skowronków.

– Na pewno musisz?

– A co?

– No tak, racja. To nie u ciebie trzeba szukać odpowiedzi. Powinniśmy porozmawiać z Dougiem.

– Grace zaprosiła do chaty znajomego, więc chyba mogłabym wrócić dopiero jutro rano. – Sama słyszała brak przekonania w swoim głosie. Wolałaby być na wzgórzach.

– Jeśli nie chcesz jechać ze mną, umówię cię w Rosemount samą.

– Mamo! – Rachael uderzyła płasko dłonią w stół. – Skończ z tą cholerną wyrozumiałością. – Później, po chwili milczenia, dodała: – I nie bądź śmieszna. Oczywiście, że chcę, żebyś ze mną pojechała.

Dougie był już przyszykowany do spania. Miał na sobie piżamę – w paski, jak jakiś przedpotopowy więzienny pasiak – z czerwonym stemplem prywatnego domu opieki w Rosemount na kołnierzyku, cienki szlafrok z frotté, a na nogach brązowe kapcie w kratkę. Włożone odwrotnie. Mieszkał w jednoosobowym pokoju, dosyć przyjemnym, z widokiem na ogród, chociaż nie dało się tego porównać z widokiem z okien w Black Law. W pomieszczeniu panowała duchota. Dougie siedział cały spocony. Rachael ściągnęła sweter, zaraz jak tylko weszła do budynku.

Na korytarzu rozbrzmiewał nieustający harmider – wózki inwalidzkie skrzypiały, personel nawoływał do kąpieli. Ktoś szukał nocnika, ktoś inny dopytywał, co się stało z tabletkami pani Price, pacjenci wydawali się zagubieni i zdenerwowani.

Kiedy przyjechały, Dougie wpatrywał się w przenośny

telewizor stojący na sosnowej fornirowanej komódce. Głos ustawiono tak cicho, że Rachael mało co słyszała. Dougie sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego migającymi na ekranie nieostrymi obrazami.

Uważają, że jest głuchy, pomyślała Rachael. Ze złością zastanawiała się, co takiego powiedział personelowi Neville. A jednak, kiedy weszły do pokoju, Dougie najwyraźniej je rozpoznał. Pielęgniarka, która je wprowadziła, była zaskoczona szybkim krzywym uśmiechem. Dougie zdrową ręką uderzał w poręcz fotela na znak, że chce, aby Rachael się zbliżyła.

– Ma pan gości, panie Furness – krzyknęła pielęgniarka takim tonem, jakby podejrzewała, że pacjent specjalnie udaje, że niedosłyszy. Zresztą prawdopodobnie po raz pierwszy odezwała się do niego bezpośrednio.

Choćby z tego powodu dobrze, że go odwiedziły.

Rachael przykucnęła przy nim i dotknęła jego ręki.

– Och, Dougie – westchnęła. – Tak mi przykro.

Pielęgniarka zerknęła na zegarek, wymamrotała do Edie, że gdyby jej potrzebowały, to jest w pokoju pielęgniarek, i wyszła.

To była dziwna rozmowa, pełna skupienia jak na sesjach terapeutycznych Edie. Dougie komunikował się za pomocą kiwania głową, pochrząkiwania i ściskania ręki, ale się rozumieli. Od czasu do czasu ich uwagę przyciągało jakieś skrzypienie na korytarzowym linoleum, wysoki pisk – Rachael przywodził na myśl szczury w stodole – jednak szybko wracali do tematu rozmowy. A dotyczyła ona tego, że Bella się zabiła i nikt nie rozumie dlaczego.

– Chcę się tego dowiedzieć – wyjaśniła Rachael. – Nie masz nic przeciwko? Może wolałbyś, żebyśmy nie zakłócili jej spokoju?

Dougie wyraźnie dał do zrozumienia, że wręcz odwrotnie.

– Chciałabym też rozejrzeć się po domu.

Odwrócił głowę i wbił wzrok w telewizor. Z początku Rachael przypuszczała, że sprawiła mu przykrość i się obraził, ale on jeszcze mocniej uściśnął jej dłoń. To Edie, podążając za jego spojrzeniem, podeszła do komody i wróciła z pękiem kluczy.

– To do farmy, Dougie?

Ale Rachael już je rozpoznała. Wisiały w kuchni na wieszaku na kubki między kubkiem Dougiego z logo Newcastle United a dużą żółto-zieloną filiżanką, w której Bella piła kawę.

– Powinnam powiedzieć Neville’owi, prawda? Że zamierzam porozglądać się po domu?

Czekała na odpowiedź, ale Dougie odplynął. Na korytarzu znowu coś się działo. Jakaś kobieta wysokim przenikliwym głosem krzyczała: „Odejdź, nie dotykaj mnie. Masz mokre ręce. Masz mokre ręce!” Potem rozległy się szybkie kroki, uspokajające głosy, ale Dougie jakby tego nie słyszał.

– Powiedz, pamiętasz dzień śmierci Belli? – zagadnęła Rachael.

Nie przestawał wpatrywać się w migające obrazki na ekranie, ale Rachael odnosiła wrażenie, że on próbuje uruchomić pamięć. Co widział? Jak Bella pochyła się nad

łóżkiem? Przebiera się w eleganckie ciuchy, pasujące do pożegnania się z życiem?

– Ktoś was wtedy odwiedził? Pewnie słyszałeś mój przyjazd. Wieczorem. Psy się rozszczękały. Ale czy ktoś wpadł do was wcześniej?

Wyglądał na zagubionego w myślach.

– Czy przede mną ktoś był na farmie, Dougie?

Widziała, jak trudno mu przywołać wspomnienia. Kiwnął głową.

– Wchodził do domu?

Znowu kiwnięcie.

– Widziałeś kto to? A może słyszałeś głos i go rozpoznałeś?

Z wyraźnym bólem pokręcił głową, że nie.

Przez noc wiatr się uspokoił. Zagłębienia dolin i podnóża kamiennych murków ściał mróz. Dym wydobywający się z komina chaty Baikie unosił się prosto do nieba.

Grace robiła sobie grzanki w kuchni. Małą patelnię trzymała tuż pod płomieniem w piekarniku. Inaczej musiałaby czekać godzinami. Była sama.

– I co, przyszedł znajomy? – spytała Rachael. Zapach pieczonego chleba sprawił, że poczuła się głodna. Z domu wyjechała, specjalnie, jeszcze zanim wstała Edie.

– Wczoraj po południu.

– Został na noc?

Grace pokręciła głową, nie w ramach odpowiedzi, ale żeby dać do zrozumienia, że więcej nie powie.

– Jak tam na pogrzebie? – Zsunęła grzanekę na talerz, posmarowała cienką warstwą margaryny, przekroiła i zaproponowała, żeby Rachael poczęstowała się połówką.

Rachael przyjęła poczęstunek i nałożyła na grzanekę trochę dżemu.

– Och, no wiesz, zwyczajnie.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była na pogrzebie.

Rachael stwierdziła w duchu, że Grace dziwnie to ujęła. Takich ceremonii raczej się nie zapomina. Potem drzwi się otworzyły i weszła Anne, z zaróżowionymi policzkami, rześka jak dziecko, które po zabawie z kolegami na podwórku wpada do domu i domaga się

czegoś do picia.

– Nie słyszałam samochodu – zauważyła Rachael.

– Nie słyszałaś, bo poprosiłam Jema, żeby mnie wysadził na początku drogi. Jest tak ładnie, że chciałam się przejść.

– Też niedawno przyjechałam. Musiałam was przeoczyć.

Anne szeroko się uśmiechnęła. Pewnie to wcale nie Jeremy wysadził ją na początku drogi, tylko jeden z kochanków, z którym spędziła noc, przyszło do głowy Rachael.

– Jadłaś śniadanie? – spytała Grace. Ukroiła kolejną kromkę i wsunęła ją do piekarnika. Rachael jeszcze nie widziała, żeby Grace szykowała sobie jedzenie bez upominania.

– Nie – odparła Anne. – Nie miałam czasu.

Takie zarozumiałe, zadowolone z siebie osoby same się proszą, żeby o nich plotkować, pomyślała Rachael. Zaczekała, aż Anne i Grace wyjdą w teren, i dopiero wtedy wybrała się do domu na farmie. Nie chciała zdradzać im swoich planów. Mogłyby uznać, że popada w paranoję.

Dom miał dwa wejścia. To, z którego zawsze korzystała Rachael, prowadziło wprost z podwórka do kuchni. Drzwi były nowoczesne, drewniane, z prześwitem z podwójną szybą i fabrycznie wmontowanymi dwoma zamkami. Dougie kupił je, kiedy odnawiał kuchnię. To miała być niespodzianka dla Belli, coś w rodzaju prezentu ślubnego, a już na pewno symbolu nowego początku. W czasach starszej pani kuchnia była mała, ciemna i zimna.

Obok znajdowała się przeciekająca komórka, w której stała dwukomorowa pralka z wyżymaczką. Bella trochę się uskarżała na tę pralkę. Rachael знаła tę historię tylko z opowiadań.

– Wtedy prawie codziennie musiałam prać pościel. Ivy nie trzymała moczu. Wyrobiłam sobie mięśnie jak ciężarowiec od tego tachania, namaczania, wirowania. Biedaczka. Nie chciałabym tak skończyć.

Po ślubie Bella wyjechała na kilka dni – ciekawe dokąd, zastanawiała się teraz Rachael – i gdy wróciła, zastała nową kuchnię. Dokładnie taką, jaką pokazała Dougiemu kiedyś w jakimś czasopiśmie. Poszła na to spora część ze spadku po starszej pani.

Ale Bella najbardziej się ucieszyła z nowej pralki, chociaż – jak się z przekąsem zwierzała Rachael – to urządzenie przydałoby się bardziej za życia Ivy.

W kuchni było czystiej niż zwykle. Bella przed śmiercią zmyła podłogę. Na parapecie stały rośliny. Należałoby je podlać, ale Bella i tak nigdy specjalnie się nimi nie opiekowała. W szufladach i szafkach Rachael nie znalazła nic, co mówiłoby o przeszłości przyjaciółki.

Przeszła do małego saloniku, w którym starsza pani Furness siedziała wieczorami, zanim poszła spać. Od tamtego czasu niewiele się w tym pomieszczeniu zmieniło. Pianino, małe ciemne drewniane stoliki przykryte serwetkami zrobionymi na szydełku, oprawione w ramki haftowanki, lampa z abażurem z frędzlami. I fotografie, Dougiego z pierwszą żoną i małego Neville'a. W swoim czasie Ivy Furness musiała być silna i energiczna. Pierwsza

żona Dougiego zmarła niespodziewanie, dostała wylewu. Neville miał wtedy dwa lata. Ivy przyjęła syna i wnuka pod swój dach. Dopiero teraz Rachael uzmysłowiła sobie, że Neville musiał traktować babcię prawie jak matkę. Może miał z nią bliższy kontakt niż z Dougiem. Ciekawe, czy odwiedzał ją chętniej niż ojca.

Pierwsza żona Dougiego była piękną kobietą. To po niej syn odziedziczył czarne włosy, ciemną karnację i intensywny kolor oczu. Bella czasami o niej wspominała, choć bez zazdrości.

– Była młoda, kiedy się poznali, i podobno dość szalona. Wystarczy popatrzeć na jej zdjęcie, żeby wiedzieć, dlaczego się w niej zakochał.

Pochodziła z południa, studiowała na akademii sztuk pięknych i przyjechała odwiedzić mieszkających w okolicy krewnych. Dougie natknął się na nią na wzgórzach. Robiła szkic kopalni ołowiu. Skończony obraz nadal wisiał w salonie, ozdabiał ścianę nad kominkiem.

– Nie przeszkadza ci to? – spytała kiedyś Rachael.

– Ależ skąd. Oboje mamy swoją przeszłość.

Ale o przeszłości Belli nigdy się nie rozmawiało. I teraz choćby części tamtego dawnego życia nie odkryły przed Rachael ani salonik Ivy Furness, ani główny salon z widokiem na wzgórze i dużym obrazem przedstawiającym kopalnię, stałym przypomnieniem pierwszej miłości gospodarza domu.

Gdy Dougie pierwszy raz wrócił ze szpitala, Bella planowała, żeby salonik Ivy przerobić na sypialnię dla niego, ale, jak to powiedziała: „Łazienka jest na piętrze, a

ja przecież nie mogę myć męża w zlewie w kuchni". W końcu opieka społeczna zamontowała na schodach jeżdżący fotel, żeby małżeństwo mogło korzystać z sypialni, której używało od dnia ślubu, a pewnie i wcześniej. Bella nieszczególnie przejmowała się konwenansami.

Ktoś musiał zaglądać do sypialni po jej śmierci, żeby wziąć garnitur dla Dougiego na pogrzeb. Może Neville. Przyjechał, kiedy one we trzy wyszły w teren. Rachael nie słyszała samochodu. Ale Neville tylko zabrał ubranie i opuścił dom. To wszystko. W pokoju wciąż czuło się środki odkażające i perfumy Belli. Rachael przeszukała go tak samo dokładnie jak inne pomieszczenia, jednak bez większej nadziei, że coś znajdzie. Jeśli Bella miała jakieś tajemnice, sypialnia była ostatnim miejscem, w którym by je ukryła.

Pokój Neville'a – tak to nazywali – ten, gdzie Rachael spała po wypiciu zbyt dużej ilości whisky Dougiego, został opróżniony ze wszystkiego oprócz jednoosobowego łóżka i szafy. W domu Edie pokój Rachael wciąż był pełen jej rzeczy z dzieciństwa i okresu dorastania. Rachael przypuszczała, że nawet jeśli kiedyś kupi własne mieszkanie, pokój u Edie, z zasłonkami, które sama wybrała, z jej rysunkami na ścianach, nadal będzie jej pokojem. W pokoju Neville'a nie została ani jedna jego rzecz.

Na piętrze znajdował się jeszcze jeden pokój, trzeci. Rachael nigdy dotąd tam nie zaglądała. Usytuowany na tyłach, dwa stopnie niżej od reszty. Był mały, ze skośnym

sufitem i dużym kredensem ze zbiornikiem na gorącą wodę. Stała tam też wąska otomana nakryta kremową narzutą, lekko pogniecioną, jakby ktoś na niej niedawno siedział. Obok biurko, takie jak dawniej w szkołach, z podnoszonym blatem i miejscem na kałamarz. Mimo że ktoś je wygładził i pomalował czerwonym lakierem, wgłębień po wyrytych na blacie rysunkach nie udało się całkowicie usunąć.

Wewnątrz leżała drewniana skrzyneczka, zdobiona intarsją i macicą perłową. Pewnie wcześniej Bella ukrywała ją starannie, ale po udarze Dougiego już się nie musiała pilnować. Dwa stopnie w dół z piętra – Dougie nie miał szans zajrzeć do tego pokoju. Rachael przeniosła skrzynkę do łóżka i otworzyła wieczko.

Początkowo poczuła się zawiedziona. W środku znalazła rzeczy należące jakby do kogoś zupełnie innego, Isabelli Rose Noble. Właśnie na to nazwisko wystawiono akt urodzenia. Data: szesnasty września 1942 roku; miejsce urodzenia: Kimmerston w Northumberland. Następny dokument to dyplom uczelni z 1963 roku. Isabella Rose Noble uczęszczała do studium nauczycielskiego w Newcastle i uzyskała uprawnienia nauczania w szkole podstawowej. Dopiero kiedy Rachael wytrząsnęła z brązowej koperty wyblakły wycinek gazety, połączyła osobę Isabelli Noble z Bellą Furness. Początkowo wycinek nic jej nie mówił. Jakiś artykuł o dziecku – porwane przez wartki prąd utonęło w rzece. Ciało nigdy nie odnaleziono. Ale tekst był ucięty w połowie zdania, więc Rachael odwróciła kartkę na drugą stronę.

Tutaj widniał nekrolog z lokalnej gazety z 1970 roku. Dwie kolumny druku i zdjęcie. Mężczyzna, który patrzył na Rachael z fotografii, miał ciemne włosy i puciołowatą twarz. Nazywał się Arthur Noble. Zmarł w wieku siedemdziesięciu lat, zatem zdjęcie, które przedstawiało mężczyznę w kwiecie wieku, musiało zostać zrobione na długo przed jego śmiercią.

Te wszystkie szczegóły Rachael wchłonęła później. Bo na początku myślała, że to podobizna Belli. Kwadratowa twarz, takie same gęste ciemne brwi. Gdyby mężczyzna miał dłuższe włosy, a w uszach duże złote kolczyki, oboje wyglądałoby niemal identycznie. Czy Arthur Noble to ojciec Belli? Jeśli tak, dlaczego twierdziła, że jej panieńskie nazwisko brzmi Davison?

Rachael przeczytała dalszą część nekrologu, tekst drobniejszym drukiem. Arthur Noble zmarł w tragicznych okolicznościach po długiej chorobie. To nie była informacja prasowa, tylko mowa pożegnalna. Radny Noble, zanim zrezygnował ze swoich obowiązków, przez trzydzieści lat z oddaniem służył miastu Kimmerston. Ze względu na zły stan zdrowia musiał również odejść ze stanowiska naczelnika poczty. Pogrzeb odbył się w kościele metodystycznym w Kimmerston, w którym pan Noble sprawował funkcję zarządcy. Wszystkim będzie go bardzo brakowało. W nekrologu opisywano zmarłego jako wdowca, jednak o dzieciach ani słowa. Ale miał dzieci, bo jak inaczej wytłumaczyć zbieżność daty urodzenia z aktu z wiekiem Belli i zdumiewające podobieństwo?

Za dowód posłużyła druga fotografia, kolorowa, na

błyszczącym papierze, umieszczona w ozdobnej kartonowej ramce. Przedstawiała dwanaścioro dzieciaków w wieku od pięciu do siedmiu lat na boisku szkolnym. Część z nich siedziała na drewnianej ławce, część stała za nią. Schludnie ubrane dziewczynki z włosami związanymi w kucyki i chłopcy z rozczochranymi czuprynymi i dziurawymi uśmiechami. Z jednego boku stała Bella – naprawdę robiła wrażenie w krótkiej spódniczce i wydzierganej na szydełku bluzeczce. Na odwrocie widniał pochyły napis: „Szkoła Podstawowa Corbin County, 1966. Panna Noble z pierwszą klasą”.

Do zdjęcia zardzewiałym spinaczem był doczepiony odręczny list. A na nim adres: Szkoła Podstawowa Corbin County, Corbin, Nr Wooler, Northumberland. I data: kwiecień 1967 roku. Z żalem potwierdzał rezygnację panny Noble z posady: „Rozumiemy, że Pani decyzja jest podyktowana okolicznościami rodzinnymi, niemniej mamy nadzieję, że wróci Pani do nas w przyszłości”.

Podpisano: Alicia Davison.

Kiedy Bella poznała Dougiego, nazywała się Davison. Może Edie miała rację i Bella była wcześniej zamężna. Wyszła za kogoś z rodziny dyrektorki szkoły, w której pracowała? Za syna albo za brata? Teraz, gdy pojawiły się nowe informacje, to jakoś da się sprawdzić. Ale dlaczego trzymała tamto małżeństwo w tajemnicy?

W skrzynce został jeszcze tylko jeden list – zaproszenie dla panny Noble na bożonarodzeniowy koncert do szkoły podstawowej w Corbin, piętnastego grudnia 1969 roku, na godzinę dziewiętnastą. Na

przekąskę miały być podane miętowe paszteciki i herbata. W tamtym czasie Bella była jeszcze panną. Nie wiadomo, czy poszła na ten koncert i co się z nią działo w okresie między rezygnacją z posady nauczycielki w roku 1967 a jej pojawieniem się na przystanku autobusowym w Langholme w 1989 roku.

Trochę to zajęło, zanim Rachael zdecydowała, co zrobi z tymi informacjami. Serce jej mówiło, że skrzynka wraz z zawartością powinna zostać w Black Law. Na wypadek gdyby Neville zamierzał myszkować po domu – miał już ku temu sposobność, gdy przyjechał po garnitur Dougiego. Ale te dokumenty stanowiły jedyny łącznik z przeszłością Belli. W końcu, gdy w kuchni znalazła jakiś notes w brązowej kopercie, wetknęła między jego strony dokumenty wraz z fotografiami, i wszystko z powrotem schowała do koperty. Postanowiła trzymać ją w chacie do chwili, aż nadarzy się okazja zawieźć ją do domu.

Właśnie zamierzała wyjść, kiedy zadzwonił telefon. Przez moment nie odbierała, ale dzwonek uparcie brzęczał dalej. W końcu się poddała i podniosła słuchawkę. Okazało się, że to jeden z przedstawicieli firmy sprzedającej paszę, którzy w tych trudnych czasach bywali natarczywi. Rachael powiedziała, że Bella wyjechała, i ucinając handlową przemowę sprzedawcy, odłożyła słuchawkę. Potem wykręciła numer do Edie. Ta z początku udawała urażoną, że córka nie zabrała jej na przeszukiwanie domu, ale później się rozpogodziła. Wyglądało na to, że się nie myliła w kwestii wcześniejszego małżeństwa Belli. A z kontaktami Edie w

urzędach odnalezienie Alicii Davison, dawnej dyrektorki szkoły podstawowej w Corbin, nie powinno być trudne. Oczywiście jeśli kobieta jeszcze żyje.

Zdajesz sobie sprawę, że jej coraz bardziej odbija – powiedziała Anne.

Siedziały w pubie w Langholme. To był pomysł Rachael. Wszystkie trzy potrzebowały wyrwać się z chaty, wypić kilka drinków, zrelaksować się. Rachael czuła się odpowiedzialna za to, żeby się dogadywały. Jednak od pogrzebu między nimi ciągle iskrzyło, każda chodziła poirytowana, co skutkowało banalnymi sprzeczkami i wybuchami złości. A już ostatnio sytuacja stała się wręcz nie do zniesienia i Anne zakomunikowała, że przeniesie się do pakamery na tyłach – małego, zimnego pomieszczenia, gdzie prawie brakowało miejsca na łóżko. Ponieważ duży pokój z widokiem na stodołę i dalej na turnie był o wiele przyjemniejszy, już na samym początku ustaliły, że zajmą go wspólnie Anne i Grace. Rachael miała dla siebie mniejszy pokój. Więcej pomieszczeń w chacie nie było.

Anne zaczekała, aż Grace wyjdzie do budki telefonicznej, i wtedy wygłosiła swoje oświadczenie. Tego dnia w pubie panował większy tłok i gwar. Rachael podsłuchiwała, że właśnie odbywa się jakaś uroczystość rodzinna – chrzciny albo zaręczyny. Atmosfera była przesączona histerycznym patosem. Rachael czuła się dziwnie, że musi tak delikatną rozmowę przeprowadzać podniesionym głosem.

– Sądziłam, że jej się polepszyło. Wydaje się weselsza. A przynajmniej więcej je.

– Ale prawie nie śpi w nocy i łązi po domu.

– Przykro mi. Nie wiedziałam. Porozmawiam z nią.
– Skąd ty ją w ogóle wytrzasnęłaś?
– W zeszłym roku pracowała na zlecenie w Dumfries u znajomego Petera. Facet twierdził, że jest wybitna. Prawdziwy skarb.

Anne prychnęła pogardliwie. Grace wróciła, wlepiła wzrok w swoją pustą szklankę i nie odzywała się, kiedy Rachael do niej mówiła. Niedługo potem wyszły z pubu.

Po powrocie Anne poszła na górę spakować swoje rzeczy. Z hałasem tłukła się po pokoju. Grace usiadła w saloniku przy stole, który służył jej za biurko, i natychmiast zabrała się do roboty. Z kuchni Rachael słyszała, jak Grace wali w klawisze kalkulatora. Poszła do salonu. Dzień był dość ciepły, więc nie zawracały sobie głowy rozpalaniem w kominku. Ruszt pokrywała warstewka popiołu.

– Nie za późno, żeby zaczynać pracę? – spytała.

Grace, wystraszona, podskoczyła na krześle. Kalkulator z trzaskiem spadł na podłogę. Rachael schyliła się, żeby go podnieść.

– Miałyśmy sobie zrobić przerwę. Po wyprawie do miasta została mi jeszcze butelka wina. Otworzyć?

– Dlaczego nie? – Odpowiedź zabrzmiała nienaturalnie głośno, sztucznie radośnie.

– To idę po nią, a ty schowaj te rzeczy. Praca może poczekać do jutra. – Mój Boże, myślała Rachael, mówię zupełnie jak Edie, kiedy przed maturą dodawała mi otuchy i radziła, żebym sobie trochę odpuściła.

W tym, jak Grace poświęcała się pracy, jak zaciekle

chroniła swoją prywatność, Rachael rozpoznawała coś znajomego. Nalała wina do kubków – jedynych naczyń do picia, jakie ocalały po sezonie zmywania przez studentów – potem zaczęła, aż Grace usiądzie w fotelu i podała jej kubek.

– I jak ci idą badania?

– Bardzo dobrze. – Grace, pijąc wino dużymi haustami, przyglądała się Rachael znad obrzeża kubka nieco spłoszonym wzrokiem.

– Wyniki takie, jakich się spodziewałaś?

– Prawie.

– Przeglądałam zestawienia w twoim raporcie z zeszłego tygodnia. Są typowe? – Rachael, czekając na odpowiedź, czuła niezrozumiałe zdenerwowanie.

– Nie wiem. Na razie za mało danych. – Grace odpowiedziała swobodnie, wyraźnie pod tym względem nic jej nie niepokoiło.

– Rozumiem. – Rachael sama nie lubiła, jak ktoś ją wypytuje o postępy w pracy, więc porzuciła temat, chociaż niepokój pozostał. – Anne mówiła mi, że nie sypiasz najlepiej.

Grace powoli odstawiła kubek na podłogę obok fotela.

– Moim zdaniem Anne nie leży na sercu dobro projektu – oznajmiła poważnym tonem.

– To znaczy?

Milczenie.

– Powiedz, sypiasz w nocy?

Wino, które Grace tak szybko wypijała, musiało na nią podziałać, bo sprawiała wrażenie gotowej do kłótni.

– Śpię tyle, ile potrzeba.
– Wiesz, że możesz wziąć sobie w weekend wolne. Pojechałabyś do domu. Tylko ty dotąd nie wyjeżdżałaś.
– Nie potrzebuję przerwy. Traktuję pracę serio. – Rozumiane jako: w przeciwieństwie do Anne Preece. – Poza tym nie bardzo mam dokąd pojechać. – Wstała i dumnym krokiem odeszła do stołu i swojego kalkulatora.

Następnego dnia Rachael musiała wybrać się do Kimmerston. Jakiś czas wcześniej Peter i przedstawiciel Slateburn Quarries ustalili, że się spotkają, żeby omówić dotychczasowy przebieg projektu. Niechętnie zostawiała Anne i Grace same. Przypominały skłócone dzieci, których trzeba pilnować, żeby nie doszło do bijatyki.

Proszę, bądźcie grzeczne, chciała powiedzieć na odjeźdźnym.

Była zaskoczona, kiedy się okazało, że przedstawicielem Slateburn jest Neville Furness. Chociaż dotarła na miejsce przed czasem, siedział już w biurze, pogrążony z Peterem w poważnej rozmowie. Obaj w garniturach wyglądali bardzo mądrze, bardzo profesjonalnie. Sądziła, że spotkanie jest nieoficjalne i ubrała się jak do pracy w terenie. Nic ważnego podczas rozmów nie zostało ustalone, mimo to nasiadówka się przedłużała. Rachael odnosiła wrażenie, że Peter zbyt obszernie opisuje metodologię, przedstawiając ją w bardziej skomplikowanej formie niż to konieczne. Wszystko, żeby zaimponować Neville'owi. Po spotkaniu zmusił ją, żeby została i wypić z nim herbatę. Wydawało się, że znowu zbiera odwagę do zwierzeń, ale kiedy

zapropnował, żeby poszli na drinka, odmówiła. Całe popołudnie martwiła się o dwie kobiety, które zostawiła w chacie.

Wracała o zmierzchu. Drogę znała już tak dobrze, że pokonywała ją o wiele szybciej. Wiedziała, którą stroną jechać, żeby nie zaczepić rurą wydechową o wystające korzenie, i pod jakim kątem przekraczać bród, żeby nie zamoczył się silnik. Na kamiennym murku przy drewnianej furtce siedział drozd, świecąc w ciemności białym sierpem kołnierza z piór.

Ze szczytu skarpy spojrzała w dół na Black Law i chatę. Farma była wymarła, pusta. Zniknęły stamtąd wszystkie zwierzęta, nawet psy. Bez ich mieszkańców budynki gospodarcze wyglądały żałośnie. W ogrodzie przy chacie wisiało pranie – nikt go nie zebrał, chociaż wyraźnie zanosilo się na deszcz. Pod tym kątem nie widziała okien, ale na trawę padał kwadrat pomarańczowego światła. Ten ciepły domowy widok powinien przyciągać, jednak Rachael zorientowała się, że jedzie wolniej. Chciała odwlec moment, gdy będzie musiała zmierzyć się z wrogością między dwiema kobietami. Gdy zbliżała się do stodoły, jak zawsze w takim momencie przypomniął się jej obraz ciała Belli w świetle latarki.

Kiedy weszła do chaty, przede wszystkim zaskoczył ją zapach gotowania. Nie miały rytuałów związanych z posiłkami, żadnych wieczornych miłych spotkań przy stole, żeby porównać notatki. Rachael zaproponowała, żeby ustaliły harmonogram zmywania, ale nawet to nie wyszło. Jadały o różnych porach. Anne żyła głównie na

jajecznicy i wędzonym łososiu. Zdaje się, że miała znajomego w wędzarni w Craster i on regularnie uzupełniał jej zapasy. Wsuwała też belgijską czekoladę, która się pojawiała nie wiadomo skąd. Ale zawsze chętnie nią częstowała. Rachael czasami ulegała pokusie; Grace traktowała hojność Anne podejrzliwie.

Przechodząc przez salon, Rachael zauważyła, że stół został uprzątnięty z książek i papierów i nakryty do kolacji. Na trzy osoby. Ale wydawało się, że chata jest pusta. Podeszła do schodów i pilnując, żeby jej głos brzmiał naturalnie i spokojnie, zawołała:

– Halo! Już jestem.

Pojawiła się Anne. W czarnych dżinsach i bluzce bez rękawów. Kiedy przez jakiś czas paliło się w kominku, w chacie robiło się naprawdę bardzo ciepło, jednak bluzka, kremowa z jedwabiu, wydawała się dziwnym wyborem. Była zbyt lekka i strojna. Rachael zastanawiała się, czy Anne przypadkiem nie miała gościa.

– Przygotowałam zapiekanekę – oznajmiła. – Bez obaw, dla ciebie wegetariańską. A w lodówce chłodzi się butelka wina.

A zatem albo ktoś ją odwiedził, albo podrażowała na zakupy.

– Pomyślałam sobie – ciągnęła – że skoro i tak musimy tu razem mieszkać, czemu się nie postarać i nie spróbować zaprzyjaźnić.

– A gdzie Grace?

Anne spochmurniała.

– Ta niewychowana krowa jeszcze nie wróciła.

Mówiłam jej, że przyszykuję kolację.

Rachael podeszła do okna. Zrobiło się już prawie ciemno.

– Zostawiła wiadomość, dokąd idzie i kiedy zamierza wrócić?

– Chyba tak. W kuchni na tablicy. Jak grzeczna dziewczynka.

To był przytyk do Rachael, która znowu musiała skarcić Anne za to, że wychodzi i nie zostawia informacji, dokąd idzie. A w kuchni faktycznie wisiała kartka z mapką terenu położonego za potokiem i z planowanym czasem powrotu: ósma trzydzieści. Ta godzina właśnie się zbliżała.

Rachael odetchnęła z ulgą. Za wcześnie na panikę. Znowu podeszła do okna. Spodziewała się, że zobaczy, jak zza zarośli z paproci wyłania się szczupła sylwetka Grace.

– Och, cóż... – mruknęła Anne. – Zapiekanka może poczekać, ale wino już otworzę. Napijesz się?

– Jeszcze nie teraz. Na razie wolę mieć jasny umysł.

O dziewiątej powędrowała z latarką aż do strumienia. Przeszła przez mały mostek, potem przyłożyła dłonie do ust i zaczęła wołać Grace. Zerwał się lekki wiatr. Słyszała szum wody w potoku, szelest kęp wełnianki, skrobanie mniejszych zwierząt. Zając, oślepiony blaskiem latarki, zamarł w bezruchu. Gęste chmury zakryły księżyc i gdyby nie szum wody, Rachael zupełnie straciłaby orientację. Porządne przeszukanie terenu nie wchodziło w grę, nawet z pomocą Anne.

Kiedy wróciła do chaty, Anne piła drugi z kolei kubek wina. Żeby podkreślić, jak bardzo jest głodna, oderwała

kawałek bułki i zaczęła go chciwie pochłaniać. Stopy w skarpetkach opierała na obudowie kominka.

– Robi to umyślnie – powiedziała. – Chce mi dokuczyć, bo mówiłam, że przygotuję kolację. Dłużej nie zamierzam czekać. Kiszki mi już marsza grają.

– Na zewnątrz ciemno jak w kopalni. – Rachael nie mogła ustać w miejscu. Chodziła od okna do drzwi kuchennych, nasłuchując, wyglądając w mrok.

– Rany boskie, nie panikuj. Aż tak bardzo się nie spóźnia. Założę się, że o mnie byś się tak nie martwiła. Przecież to nie dziecko. Jest starsza, niż wygląda. Ma prawie dwadzieścia osiem lat.

Na chwilę Rachael zapomniała o niepokoju.

– Skąd wiesz?

– Zostawiła na toalecie paszport, więc zajrzałam. – Przeczuwając, że Rachael ją zgani, dodała: – No co, byłam ciekawa. Ciebie to nie interesuje? Nic o niej nie wiemy poza tym, że to cholernie dobry specjalista, jeśli chodzi o wyszukiwanie siedlisk wydr. Jeśli zaakceptujesz jej wyniki.

O dziesiątej Rachael poszła do Black Law, żeby zadzwonić do Petera.

– O, masz klucze? – zdziwiła się Anne.

– Dougie dał mi po pogrzebie. W razie gdyby coś się działo.

Petera złapała na jego komórce. Chyba siedział w restauracji, bo słyszała wysokie głosy kobiece i stukot talerzy. Ale przynajmniej poważnie potraktował jej telefon. Obawiała się, że będzie sobie robił z niej żarty, że jest przewrażliwiona.

– Daj mi minutkę – poprosił. – Oddzwonię do ciebie z jakiegoś spokojniejszego miejsca.

Pięć minut później zabrzączał telefon, dźwięk był bardzo głośny w pustym domu. Peter mówił zwięźle i zdecydowanie. Skontaktował się już z górską grupą ratowniczą, chociaż nie sądził, żeby dało się dużo zdziałać przed świtem. Ale przecież Grace nie robiła nic niebezpiecznego. Nie poszła się wspinać ani zwiedzać jaskiń.

– Ona nie jest lekkomyślna, prawda?

– Tak – potwierdziła Rachael. – Raczej tak.

Peter powiedział, że noc jest dość ciepła, więc nawet jeśli Grace miała wypadek, przetrwa do rana, ale grupa ratowników już i tak wyruszyła w drogę. Niech oni decydują co dalej. Wyjaśnienie, dlaczego tak szybko zareagował, pojawiło się pod koniec rozmowy.

– Inspekcja pracy nie będzie mogła się do nas o to przyczepić, co? Przestrzegaliście procedur?

– Oczywiście.

– No to powinniśmy się z tego wywinąć. Cokolwiek się wydarzy.

A wydarzyło się to, że przed chatą sześciu krzepkich mężczyzn pojawiło się w land roverze. Wszyscy tacy przystojni, muskularni, męscy. Anne po zjedzeniu zapiekanki i dokończeniu butelki wina poszła się położyć. Będzie żałowała, że ich nie widziała, myślała Rachael. Wśród ratowników był lekarz, który potwierdził zgon Belli i zabrał Dougiego do domu opieki.

– Przechodzi tu pani dramatyczne chwile – powiedział

takim tonem, jakby jej zazdrościł. Pewnie to najbardziej lubił w swoim fachu, że może występować we własnym filmie akcji.

Ratownicy wyszli w teren tuż przed świtem. Twierdzili, że z tak dokładnym opisem szlaku, jakim zamierzała się poruszać Grace, znajdą ją bez problemu. Nawet gdyby zboczyła z drogi. Lekarz niósł w plecaku składane nosze.

Rachael obserwowała ich z okna w sypialni. Nie zaproponowali, żeby z nimi poszła, a ona sama też wolała tego nie sugerować. Niebo wciąż zasnuwały chmury, na dodatek mżyło, więc wkrótce straciła grupę z widoku. Musiała przysnąć, chociaż siedziała w fotelu, bo nagle zdała sobie sprawę, że wrócili. Spojrzała na zegarek. Minęły dwie godziny. Szli czterej w szeregu. Z plecaka lekarza nadal wystawały nosze, ale nie wiedziała Grace.

Poszła do kuchni i wstawiła wodę na gaz. Przed wyjściem ratownicy żartowali, że po powrocie chętnie napiją się herbaty. Wciąż tkwiła przy kuchence i czekała, aż woda wreszcie się zagotuje. Mężczyźni ledwie się mieścili w małym pomieszczeniu. Czuła bijące od nich gorąco i zapach wosku na ich traperach.

– Znaleźliście ją? – spytała, ale to wypadło idiotycznie, bo przecież Grace z nimi nie było. – Domyślam się, że reszta nadal jej szuka.

– Znaleźliśmy – odparł lekarz.

– Jak się czuje?

– Nie żyje.

Jakbym znowu znalazła martwą Bellę, pomyślała. Teraz już wiem, jak to jest, kiedy człowieka napadną.

Kopią cię. Czujesz ból. Masz nadzieję, że już po wszystkim, obracasz się, zbierasz siły, żeby wstać, i wtedy ktoś znowu podchodzi i daje ci kolejnego kopniaka. A ty przez cały czas zdajesz sobie sprawę, że sama jesteś sobie winna.

– Co się stało?

– Nie wiemy. – Lekarz pokręcił głową. – Jeszcze nie.

Kiedy ją objął, żeby nie upadła, Rachael zastanawiała się, czy sytuacja jest dla pana doktora wystarczająco ekscytująca.

ANNE

O tym, że się nie dogadają, Anne wiedziała już w chwili, gdy zobaczyła Grace przed budynkiem stacji w Kimmerston. W tej chudej szczapie było coś, co od razu podziało jej na nerwy. Chyba to, jak tam siedziała zapatrzona w przestrzeń, jakby nic nie zasługiwało na jej uwagę, jakby tylko ona się liczyła. A tak w ogóle to nie Anne miała robić za taksówkę, tylko Peter. Ale w ostatniej chwili zadzwonił i roztoczył swój urok, który, jak głosiły plotki, kręcił sztywną Rachael, jednak na Anne nie działał.

– Cóż, to mi zupełnie nie po drodze – odparła. Ponieważ mieszkała w Langholme, do najbliższej wsi w pobliżu terenu badań i Kimmerston miała prawie pięćdziesiąt kilometrów.

– No, Anne, nie daj się prosić.

– Już dobrze, dobrze. Ale pod warunkiem, że firma zwróci mi za benzynę.

Zgodziła się, bo uważała, że powinna, że to nie moment, żeby odmawiać.

Ale się spóźniła. Pod stację podjechała dziesięć minut po przyjeździe pociągu. Grace już czekała. Był środek dnia i perony świeciły pustkami. Z wiszących kwietników sterczały wyschnięte badyle, w rynsztoku walały się puste puszki po coli. Anne z wściekłością pomyślała, że najchętniej zatłukłaby tych, którzy zaśmiecają ulice. Grace musiała się zorientować, że samochód przyjechał po nią, ale gdy się zatrzymał, nie ruszyła się z ławki. Najwyraźniej się zamyśliła. A może po prostu nie chciało jej się

podnieść tyłka. Anne musiała opuścić szybę i krzyknąć: „Czekasz na Petera Kempa?”

Wtedy rozplotła długie nogi i wstała. Nie spieszyła się, mimo że kobieta za kierownicą nie wyłączyła silnika. Anne wysiadła, otworzyła bagażnik i Grace wrzuciła do środka swój plecak bez słowa, nawet bez jednego uśmiechu.

Jak tak, to się chrzań, prychnęła w duchu Anne, ale siłą przyzwyczajenia była uprzejma. Wyciągnęła dłoń nad drążkiem do zmiany biegów.

– Anne Preece – przedstawiła się. – Botanik.

– Grace Fulwell, ssaki.

– Chyba nie z tych Fulwellów? – zażartowała Anne, bo przecież Grace na pewno nie mogła być spokrewniona z „tymi” Fulwellami, inaczej Anne by o niej słyszała. – Z Holme Park Hall? Właściciele ziemscy?

Grace dziwnie na nią popatrzyła.

Podejrzliwa krowa, stwierdziła Anne. Znała trochę takich, co to dorobiły się paru tytułów naukowych i wydawało im się, że są lepsze od reszty świata. To, że Grace była dobre dziesięć lat od niej młodsza, też nie pomagało.

– No tak, sorry. Nie jesteś stąd. Fulwellowie to duża znana rodzina w tej części hrabstwa. Są właścicielami prawie wszystkich tych terenów. A przynajmniej tak się wydaje.

– Naprawdę?

– Mhm. To moi sąsiedzi. Tak jakby.

Grace dziwnie posmutniała, odwróciła głowę.

– Och – mruknęła. – Rozumiem.

– Z daleka przyjechałaś?

– Tylko z Newcastle. Dzisiaj. – Co w sumie nic Anne nie powiedziało.

W drodze do chaty próbowała prowadzić rozmowę, ale w odpowiedzi słyszała tylko monosylaby, więc sama też pogrążyła się w milczeniu. Gdy przejeżdżały przez Langholme, Grace nagle się wyprostowała. Jak gdyby się wybudziła z głębokiego snu.

– Co to za miejscowość? – spytała.

Anne wyjaśniła.

– Langholme? – powtórzyła Grace ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

– Langholme. Chyba wiem, co mówię, mieszkam tu od dziesięciu lat.

– Dziwne, spodziewałam się czegoś innego – wymamrotała Grace.

– To znaczy?

– No... że tu jest bardziej elegancko. Ładniej.

– Rany, a skąd ten pomysł?

W Langholme nie było nic ładnego. Wzdłuż urwiska ciągnęły się szeregowo domy wystawione na północne wiatry. Farba na fasadzie pubu wyblakła, jakby ją ktoś przeciągnął papierem ściernym, dystrybutory paliwa przy warsztacie samochodowym zżerała rdza. Miejscowość miała więcej wspólnego z położonymi dalej na południe przykopalnianymi wsiami w Durham niż z widoczkami z broszur dla turystów reklamującymi Park Narodowy Northumberland.

– Oczywiście my nie mieszkamy w samej wsi – dodała

szybko Anne, kiedy sobie zdała sprawę, że jej uwaga musiała zabrzmieć tak, jakby miała poczucie niższości w związku z wyglądem tego miejsca.

I kiedy droga za kościołem opadła w dół i wreszcie pojawił się pas lasu, Anne pokazała palcem na Priory. Dom jej i męża. Jego jasną kamienną fasadę częściowo zasłaniały drzewa, ale ogród był doskonale widoczny. Zwolniła, żeby Grace mogła go podziwiać. Nawet tak wczesną wiosną prezentował się okazale. Kosztowało to dziesięć lat ciężkiej harówki, ale wysiłek się opłacił. Grace ledwie spojrzała w tamtą stronę.

– A gdzie jest Holme Park Hall? – spytała.

Anne nie odpowiedziała. Nie знаła drogi i musiała się skupić na mapie. Do Black Law jechała po raz pierwszy. Wszystkie wcześniejsze zlecenia, jakie dostawała od Petera Kempa, dotyczyły wybrzeża. A jeśli chodzi o Bellę i Dougiego Furnessów, to ona i Jeremy tak naprawdę nie utrzymywali z nimi kontaktów towarzyskich. Obracali się w odmiennych kręgach znajomych. To znaczy, jeśli założyć, że Bella i Dougie mieli jakichś znajomych. We wsi mówiło się, że są odludkami. Bella nie należała do koła kobiet ani nie chodziła do kościoła. Chociaż po chwili namysłu Anne doszła do wniosku, że kiedyś ją tam widziała.

Do jej pamięci nagle napłynął obraz okutanej grubym płaszczem kobiety – klęczy w ostatniej ławce, a po jej policzkach płyną łzy. To musiało być w ostatnie święta, szopka bożonarodzeniowa odgrywana przez dzieci. Wszystko było jak zawsze – fałszywie odśpiewane *Jezus malusieńki*, Maryja i Józef zdjęci nabożną czcią na widok

Gwiazdy Betlejemskiej, aniołki bawiące się błyszczącymi skrzydłami i aureolami z folii aluminiowej. Taki wyciskacz łez. W święta nawet zdarzało jej się zastanawiać, czy czegoś nie traci, przez to, że nie ma dzieci.

Pewnie podobne refleksje dopadły Bellę. Kiedy poznała Dougiego, była już za stara, żeby rodzić dzieci. Chociaż zdaniem Anne to żadne usprawiedliwienie – nie powinno się z tego powodu publicznie robić z siebie widowiska. Dlatego dobrze się stało, że Bella zaraz po mszy wybiegła z kościoła, przynajmniej Anne nie musiała z nią rozmawiać.

Kiedy dojechały do chaty, zapomniała o Belli. Rachael na nie czekała. Wydawała się zmęczona i miała wymięte ubranie, jakby w nim spała. W kominku się nie paliło, co oznaczało brak ciepłej wody. Anne to rozzłościło.

– Jezu. – Obrzuciła Rachael poirytowanym spojrzeniem. – Wyglądasz strasznie.

Rachael wytarła twarz rękawem i oznajmiła, że Bella nie żyje, że powiesiła się w stodole. Obraz zapłakanej kobiety w tylnej ławce w kościele znowu stanął Anne przed oczyma i chociaż nie wierzyła w przesady, uznała, że to dość przerażające, że akurat teraz po drodze myślała o Belli. Może to coś w rodzaju przeczucia?

Następnego dnia nie spieszyła się z wyjściem w teren. Z rana nigdy nie była w najlepszej formie, a przecież nie chodziło o ptaki, rośliny nigdzie nie odlecają.

Przejrzała wielkoskalowe mapy i mniej więcej się zorientowała, gdzie wyznaczy swoje stumetrowe kwadraty. Peter dostarczył satelitarne pomiary

geodezyjne, ale musieli potwierdzić te dane bezpośrednio w terenie. Uwielbiała to, pochylać się nad ziemią, grzebać w niej, sprawdzać różne rzeczy. Przez farmę prawie przebiegła – nie była przewrażliwiona, ale nie chciała, żeby coś jej przypominało o Belli wiszącej na sznurze w stodole. Potem poszła drogą w stronę brodu. Na poboczu widziała zakwitające pierwiosnki i fiołki. Na plecach czuła ciepłe promienie słońca. Ze wzniesienia miała dobry widok na starą kopalnię. Stwierdziła, że chętnie wyznaczyłaby kwadrat badawczy gdzieś w jej pobliżu. Odpady wapienne mogły znacząco zmienić rodzaj roślinności na tym terenie. Jednak najpierw chciała znaleźć torfowisko, które Peter zaznaczył na mapie jako warte obejrzenia. Zeszła z drogi i ruszyła zboczem, tracąc z oczu kopalnię i dom na farmie. Nie widziała nawet słupów energetycznych.

Prowadzenie badań wymagało specyficznych metod. To nie jest zwykłe chodzenie po terenie z rydlem i szkłem powiększającym.

Na początku, kiedy zajęła się tym fachem, lekceważyła zalecane zasady. Uważała, że wymyśla je wąskie grono zasiadających w wieżowcach ekspertów, którzy chcą od dochodowego interesu odsunąć amatorów. Potem Peter wysłał ją na kurs klasyfikacji roślin i Anne zaczęła widzieć sens tych metod.

Każdy obszar badawczy miał sto metrów kwadratowych. W jego granicach losowo umieszczano drewniane ramki, nazywane kwadratami. Losowość uzyskiwano tak, że badacz stawał na środku dużego kwadratu i rzucał pierwszą ramkę, przechodził do miejsca,

w którym upadła, i rzucał kolejną, i tak aż do ostatniej, piątej. Pięć kwadratów to teren badań.

Tym razem Anne miała czas wyznaczyć tylko stumetrowe boki dużego kwadratu za pomocą palików wyjętych z plecaka. Najbardziej jednak lubiła pracę w małych kwadratach, identyfikację roślin, ocenę ilościową. Uwielbiała przeczesywać mech w poszukiwaniu borówek, modrzewnicy, złotogłowów, klęczeć blisko ziemi, czuć zapach torfu i owady na palcach. Zawsze miała nadzieję, że znajdzie coś niezwykłego, jakąś roślinę, której nie będzie potrafiła sklasyfikować. Coś, od czego tym pieprzonym naukowcom gały wyjdą na wierzch.

Małe na to szanse przy tym zleceniu, myślała, wciskając palik w ziemię. Wykorzystywała do tego cały swój ciężar, bo nie chciała, żeby pierwsza wichura przewróciła paliki. Ten kawałek torfowiska był całkiem ciekawy, ale z tego, co wiedziała o reszcie terenu, raczej nie mogła liczyć na spektakularne znaleziska. Większość bagien została osuszona, a pole uprawiane przez dzierżawców Holme Park tak wygryzły owce i zające, że wyglądało jak stół do bilardu. Zresztą Anne nie do końca rozumiała, do czego w tym projekcie potrzebny jest botanik. Ale może tak sobie życzył Godfrey Waugh.

Kiedy się wyprostowała, dolinę wypełnił huk. Nad jej głową śmignął samolot myśliwski RAF-u. Leciał bardzo nisko. Miała wrażenie, że gdyby wyciągnęła rękę, między palcami poczułaby pęd powietrza.

Pierwszy raz Anne Preece zobaczyła Godfreya Waugha, prezesa spółki wydobywczej Slateburn Quarry, na spotkaniu w domu parafialnym przy kościele St Mary's w Langholme. Zebranie zorganizowali inwestorzy. Pragnęli przedstawić szczegóły przedsięwzięcia. Mówili, że w prasie pojawiają się różne spekulacje, ale gdy mieszkańcy wsi dowiedzą się więcej o kopalni, może się okazać, że chętnie przystaną na to, żeby została uruchomiona.

Kilka osób ze wsi prosiło Anne, żeby wzięła udział w spotkaniu. Chyba sądzili, że będzie potrafiła wpłynąć na decyzję inwestorów. Może dlatego, że jest wygadana i wie, jak się bronić. A może chodziło o jej zadziwiające podobieństwo do Camilli Parker Bowles, rzeczywiście tak duże, że czasami ludzie plotkowali, że Anne tak naprawdę jest kochanką księcia, tyle że incognito. Oczywiście to była totalna bzdura. Anne mieszkała z mężem w Langholme w Priory od dnia, kiedy się pobrali. Poza tym irytowało ją to porównanie. Była co najmniej dziesięć lat młodsza od Camilli.

Poszła jednak na to spotkanie, ale nie żeby zadowolić sąsiadów, miała w tym własny interes. To co kochała w Priory najbardziej, to ogród i widok na kotlinę Black Law. Tam właśnie planowano otworzyć kopalnię. Od początku rozumiała, że to przedsięwzięcie industrialne. Powstaną nowe drogi, zrobią oświetlenie, będzie nieustanny huk maszyn. Sam hałas doprowadziłby ją do szału. Ponadto musiała wziąć pod uwagę wpływ budowy na ogród. Już

teraz widziała, jak cienka warstwa wapiennego kurzu osadza się na jej roślinach, na kwiatach, na krzewach malin, na warzywach, i powoli je zabija, pomimo jej wysiłków.

Próbowała nakłonić Jeremy'ego, żeby z nią poszedł na zebranie.

– Pomyśl, jak ta budowa wpłynie na wartość domu – tłumaczyła. Ale Jeremy oznajmił, że musi jechać do Londynu w ważnej sprawie, więc wybrała się sama.

Usiadła w pierwszym rzędzie krzeseł. Chociaż się spóźniła, zostawiono dla niej wolne miejsce, ponieważ mieszkańcy oczekiwali, że przemówi w ich imieniu.

Spotkanie prowadził miejscowy radny, prawnik z Kimmerston. Anne rozpoznała go i dyskretnie do niego pomachała. Zignorował ją, więc pomyślała, że prawdopodobnie na zebraniu jest jego żona, siedzi gdzieś z tyłu. Od początku forsował pogląd, że wszelkie przedsięwzięcia przemysłowe będą korzystne dla tego obszaru, bo powstaną nowe miejsca pracy, tak bardzo tu potrzebne.

– Tracimy naszą młodzież – przekonywał.

Nadęty palant, prychnęła w duchu Anne.

To oczywiste, że chciał przeciągnąć ludzi na swoją stronę, chociaż, udając bezstronnego, wspomniał również o aspektach środowiskowych. W końcu Anne już nie wytrzymała. Przyszła na zebranie przygotowana. Podniosła rękę, wstała i uśmiechnęła się słodko.

– Czy wolno mi zadać pytanie prowadzącemu?

Benn lekko się zdenerwował, ale nie mógł odmówić.

– Proszę nam powiedzieć, gdzie pan mieszka?

Radny zaczął się jąkać.

– Nie sędzę, żeby to miało związek z omawianym tematem.

Anne obrzuciła go kpiącym spojrzeniem. Facet łysiał i był krótkowidzem. Dobrze się składa, że specjalizuje się w prawie własnościowym i pracowniczym, pomyślała. W sprawie karnej rozerwę go na strzępy.

– Tak czy inaczej, niech pan łaskawie odpowie. – Lekko się odwróciła, żeby zerknąć na ludzi za nią. Umiała rozgrywać duże zgrupowania. Rozległy się pomruki aprobaty. Niewinnie trzepocząc rzęsami, wróciła spojrzeniem do radnego.

– Mieszkam we wsi po południowej stronie Kimmerston. Ale to, że nie jestem stąd...

– Ta wieś to Holystone?

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawą, którą się zajmujemy.

I był tak durny, że faktycznie nie rozumiał. Anne ogarnęły wyrzuty sumienia, ten facet to łatwy cel. Zbyt dobrze się jednak bawiła, żeby się wycofać.

– Pozwoli pan, że zacytuję urywek z „Kimmerston Gazette” z dwudziestego pierwszego lipca? Tytuł: *Mieszkańcy Holystone protestują*. W artykule jest mowa o wniosku przedsiębiorstwa budowlanego British Coal o pozwolenie założenia kopalni gipsu. Przypomina pan sobie ten wniosek, panie Benn? Został złożony dwa lata temu.

Radny oniemiał, osłupiały gapił się na zebranych. Panika najwyraźniej odebrała mu chyba zdolność

racjonalnego myślenia. Otworzył usta jak ryba, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Anne bezlitośnie ciągnęła dalej:

– Proszę powiedzieć, panie Benn, nie był pan wiceprzewodniczącym organizacji o nazwie SMHPKG: Stowarzyszenie Mieszkańców Holystone przeciwko Kopalni Gipsu?

To wreszcie wyrwało radnego z odrętwienia.

– To niesłychane – wybuchnął. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek w ten sposób zakłócał przebieg naszego zebrania.

– Mam dowody – oznajmiła wesoło Anne. – Listy z pańskim podpisem od organizacji do lokalnych zwolenników protestu. Chyba pan nie zaprzeczy. Poza tym to trochę dziwne, że tak się pan przejmuje miejscami pracy dla młodych w naszej wsi, ale jakoś nie chciał pan zadbać o to samo na swoim terenie. Jestem przekonana, że kopalnia gipsu również zapewniłaby wiele miejsc pracy.

Usiadła. Za jej plecami rozległy się wiwaty, oklaski, kilka gwizdów. I dobrze mu tak, temu Derekowi Bennowi. Gdyby prowadził zebranie bezstronnie, nie poruszyłaby sprawy SMHPKG. Benn miał w nosie kopalnię gipsu, nawet się nie pojawiał na większości zebrań stowarzyszenia. Zaangażował się w utworzenie tej organizacji, żeby mieć alibi, wymówkę – mógł wyjść z domu i spotykać się z nią, Anne. Rany boskie, myślała teraz, co ja w nim kiedyś widziałam?

Po spotkaniu grupa protestujących udała się do pubu, żeby przedyskutować strategię działania. To działo się w

środku lata, więc wciąż było jasno. Anne wolałaby usiąść sobie w swoim ogrodzie, ale ostatecznie poszła z innymi do Ridley Arms po drugiej stronie ulicy. Fakt, że mieszkała w Priory, wiązał się z pewnym prestiżem. Odpowiedzialnością. Oczywiście nie należała do tej samej ligi co Fulwellowie z Holme Park. Od nich nikt nie oczekiwał, że wezmą udział w wydarzeniach wsi, może tylko, że okazjonalnie pojawią się na otwarciu organizowanego przez kościół letniego targu. Tak czy inaczej Anne się we wsi liczyła.

Mieszkańcy zaproponowali na przykład, żeby została świeckim zarządcą w kościele St Mary's, chociaż prawie do niego nie uczęszczała. Ale posada wydawała się przypisana do miejsca zamieszkania. Gdyby Anne odmówiła, wyszłaby na zarozumiałe babsko.

W pubie dyskutowali głośno i chaotycznie, więc dość szybko poczuła, że musi przejąć dowodzenie. Niektórzy proponowali, żeby wystosować petycję. Wybiła im to z głowy.

– Zrozumcie, ci z gospodarki gruntowej mają gdzieś petycje. Ciągłe je dostają. Wiedzą, że ludzie podpisują dokumenty bez czytania albo tylko dlatego, że nie lubią mówić „nie”. Powinniście, każdy z was, napisać list protestacyjny. To zrobi większe wrażenie.

Kiedy usiadła, Sandy Baines, właściciel warsztatu samochodowego z dystrybutorami paliwa, zapytał nieśmiało, czy się czegoś napije.

– Sądziłam, że będziesz za powstaniem kopalni – zwróciła się do niego. – W końcu ciężarówka muszą gdzieś

tankować.

Najwyraźniej dotąd nie przyszło mu to do głowy. Anne z rozbawieniem stwierdziła, że gdy przyniósł obiecane drinka, zaraz potem znikł. Sandy, jak reszta mieszkańców, uległ ogólnej histerii wywołanej strachem przed zmianami i obcymi. Anne wątpiła, żeby nawet korzyść własna coś pod tym względem zmieniła.

Później podszedł do niej niski mężczyzna, którego imienia nigdy nie pamiętała. Mieszkał w nowoczesnym brzydkim bungalowu przy drodze do wsi.

– Posłuchaj, przegadaliśmy to w kilka osób i chcielibyśmy, żebyś przewodniczyła komitetowi protestacyjnemu. No wiesz, żebyś nas reprezentowała.

Głowa faceta kształtem przypominała łeb owcy. Porastały ją białe, gęste jak wełna włosy. Anne śmiała się w duchu, że jego „no” w ostatnim zdaniu zabrzmiało trochę jak „bee”. Przypomniało jej się też, że chyba kiedyś pracował jako rzeźnik. Grzecznie odmówiła. Chociaż wspierała protest i bawiła ją walka, wiedziała, że wkrótce jej się to znudzi. Znudzą ją ci ludzie. Dokończyła drinka i wstała, żeby wyjść.

– Mąż już się na pewno o mnie niepokoi. – Ale zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli Jeremy jest w domu, nic go nie obchodzi, co się z nią dzieje.

Przed pubem na moment się zatrzymała, żeby posłuchać ostatnich wieczornych ptasich treli. Ktoś robił grilla w ogródku. Uświadomiła sobie, że jest głodna, i już prawie zawróciła do pubu. Liczyła na to, że Milly, właścicielka – chociaż na ogół fatalna gospodyni –

potraktuje ją, w końcu bohaterkę dnia, wyjątkowo i poczęstuje przynajmniej kilkoma kanapkami.

Ale wtedy niemal bezgłośnie z cienia wychynał elegancki czarny samochód i zatrzymał się tuż przed nią. Szyba z cichym szumem zjechała w dół. Anne zobaczyła Godfreya Waugha i domyśliła się, że na nią czekał.

– Pani Preece – rzucił takim tonem, jakby spotkali się zupełnie przypadkiem. – Może gdzie panią podwieźć?

Od razu rozpoznała w nim właściciela firmy wydobywczej. Na spotkaniu siedział na podium. Został przedstawiony, ale prawie się nie odzywał. W swoim garniturku i wypastowanych na błysk butach sprawiał wrażenie sztywnego i skrępowanego. Anne kojarzył się z kandydatem do pracy, który stara się dobrze wypaść na rozmowie kwalifikacyjnej.

– Przyjechałam samochodem, ale dziękuję.

Brzydkim niedużym fiatem. Kiedy wychodziła za Jeremy'ego, myślała, że pod względem finansowym upolowała dobrą partię. Wyszło inaczej.

– Bardzo chciałbym z panią porozmawiać. Jadła już pani coś? Może przyjąłaby pani moje zaproszenie na kolację? – Mówił nieśmiało, trochę jak ten starszy mężczyzna w pubie.

– Tak łatwo nie da się mnie przekupić.

– Ależ wcale nie o to chodzi! – Potraktował żart serio, wydawał się zaszokowany.

Uśmiechnęła się. Przy złym oświetleniu może przypominała Camillę Parker Bowles, ale doskonale znała siłę swojego uśmiechu.

– Och, cóż... W takim razie, czemu nie? – Było już zbyt ciemno, żeby coś zrobić w ogrodzie, a poza tym ciekawiło ją, o co chodzi.

– Wsiądzie pani do mnie, czy pojedzie za mną własnym samochodem? Proponuję, żebyśmy się wybrali do George'a.

Bardzo miłe miejsce, stwierdziła. Skromny hotelik w sąsiedniej wsi, ale szef kuchni wyczarowywał tam cuda z miejscowych składników.

– Nie, wolałabym zabrać się z panem, jeśli nie będzie panu przeszkadzało, żeby mnie później odwiedzić.

Nagle zdecydowała, że lepiej nie pokazywać z bliska swojego zdezelowanego fiacika. Waugh miał w sobie coś, co budziło w niej chęć wywarcia na nim wrażenia. Wtedy sądziła, że chodzi o jego pieniądze.

Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła. Siedziała przy stole naprzeciwko niego i opierała łokcie na białym obrusie. Na środku stała świeczka. Co za ulga. Ostatnio nad górną wargą dostrzegła drobne zmarszczki. Jakiś czas temu pogodziła się też z faktem, że już nie dla niej sukienki bez rękawów. To nie było w hoteliku George, ale w innej restauracji, wieczorem następnego dnia. Godfrey Waugh zadzwonił do niej z rana.

– Pomyślałem, że powinniśmy się znowu zobaczyć. Poprzednie spotkanie bardzo mi rozjaśniło w głowie i chętnie wysłuchałbym twoich sugestii, jeśli jakieś masz, w kwestii kopalni, żeby okoliczni mieszkańcy ją zaakceptowali.

Ale już w restauracji powiedziała mu, że wolałaby raczej rozmawiać o nim.

– Niewiele jest do opowiadania – odparł, chociaż widziała, że zrobiło mu się miło.

Mówił z miejscowym akcentem i lekko się jąkał. Był bardzo nieśmiały. Na pierwszym spotkaniu zorientowała się, że jeśli ktoś kogoś tu uwiedzie, to na pewno ona jego. To ona musiała wykazać inicjatywę, być stroną aktywną. Godfrey, pomimo jego wieku, cechowała jakaś młodzieńcza niezdarność. Cały czas czuł się skrępowany. Sądziła, że będzie miała do czynienia z twardym, szorstkim biznesmenem, a przed nią siedział nieopierzony żółtodziób. To ją ujęło.

Mówił niewyraźnie, więc wytężyła słuch, żeby go

rozumieć.

– Dorastałem w Kimmerston. Nie dostałem się do liceum, więc poszedłem do zawodówki. W szkole nie szło mi najlepiej. Szczerze mówiąc, dla mnie nauka nie miała sensu. Nie żebym się obijał, ale się nie przykładałem. Nie zależało mi. Kiedy skończyłem piętnaście lat, rzuciłem szkołę i poszedłem pracować do kopalni w Slateburn. Wtedy to nie było duże przedsiębiorstwo, nie to co teraz. Starszy pan obrabiał kamień ciosowy pod gzymsy kominków, ozdobne ściany, płyty nagrobne, takie tam, no wiesz. Z czasem przestało go to interesować, to znaczy strona biznesowa. Lubił dłubać w kamieniu, ale nie chciało mu się latać za dłużnikami. Tu zobaczyłem swoją szansę, żeby wkupić się w jego łaski. Pomnażanie kapitału zawsze mnie pociągało, nawet jeszcze w szkole. – Uśmiechnął się do niej przeprasząco. Może sądził, że dla Anne, zagorzałego ekologa, pieniądze są bez znaczenia. – W zasadzie to wszystko. Firma się rozrosła. Bardziej dzięki przypadkowi niż czemukolwiek innemu. Trafiliśmy w dobry moment. Rozumiesz. – Potem raptownie zamilkł, żeby po chwili dodać takim tonem, jakby cytował urywek z jakiegoś czasopisma: – Ale wystarczy już o mnie, bo to nieładnie tyle o sobie mówić.

– Jesteś żonaty? – spytała, bo przypuszczała, że ten zacytowany urywek pochodzi z jakiegoś kobiecego magazynu. Nie nosił obrączki, ale coś jej podpowiadało, że nie jest wolny. Miał ten wygląd.

Przez chwilę milczał, sądziła więc, że skłamię, jednak on odparł:

– Tak. Żona ma na imię Barbara i rzadko gdzieś wychodzi.

– Co ty powiesz? – zdziwiła się. Zaczęła na niego naciskać, żeby wyjawiał coś więcej, ale nie chciał. – Też jestem żoną – oznajmiła w końcu, wyzywająco się przeciągając. – Ale w domu mnie nie uświadczysz.

Z jakiegoś powodu ta uwaga wprawiła go w zakłopotanie. Nie odpowiedział, tylko uzupełnił jej kieliszek. Wypiła już prawie całą butelkę. Godfrey nie pił, bo kierował.

– Pochodzisz stąd? – zapytał uprzejmie, jakby się dopiero poznali. – Chodzi mi o to, czy urodziłaś się w tych okolicach?

– Mhm, całkiem niedaleko stąd.

Nienawidziła opowiadać o swoim pochodzeniu. Wstydziała się rodziców, uważała, że są okropnie małostkowi. Jej ojciec piastował stanowisko dyrektora prywatnej podstawówki dla chłopców. Zanim sama poszła do szkoły, wychowywała się w atmosferze tyranii, mało znaczących rytuałów, związanych z rywalizacją z sąsiadami i sztuczną tradycją. Matka władała innymi żonami, a ojciec panował nad nimi wszystkimi.

– To gdzie chodziłaś do szkoły? Pewnie do liceum, co?

Bawiło ją, że ta cała edukacja tak dużo dla niego znaczy. Sama raczej gardziła oficjalnym wykształceniem, ale Godfrey chyba w ten sposób definiował ludzi.

– Jezu, nigdy! Wysłali mnie do jakiegoś upiornego gruzowiska w North York Moors. Niczego się tam nie nauczyłam.

Zawsze tak opisywała lata spędzone w „upiornym gruzowisku”, chociaż prawda wyglądała nieco inaczej. Pracowała tam nauczycielka biologii, panna Masterman. Sprawiała wrażenie równie osamotnionej i znudzonej jak jej uczennice. Była młoda, świeżo po studiach, trochę szorstka. Szkotka, która lepiej czułaby się w miejskiej zawodówce niż w tej gotyckiej stercie gruzu. Nawet już wtedy Anne się zastanawiała, co ta kobieta robi w takim miejscu. Nie potrafiła sobie jej wyobrazić, jak pije popołudniową herbatkę w pokoju nauczycielskim w towarzystwie nadętych starych panien – bo one w większości tworzyły grono pedagogiczne. Tym bardziej że panna Masterman ewidentnie wolała towarzystwo małej grupki starszych uczennic niż swoich koleżanek nauczycielek. Lubiła organizować wycieczki na wrzosowiska i z dala od szkoły wydawała się bardziej wyluzowana. Nosila ze sobą szkicownik pełen rysunków ołówkiem. Były ładne, z mnóstwem szczegółów. Spryskiwała je lakierem o zapachu dropsów gruszkowych, żeby się nie rozmazywały.

Czasami zabierała swoje podopieczne na grzybobranie. Namawiała je, żeby poza szkołą zwracały się do niej Maggie, ale Anne zawsze myślała o niej jako o pannie Masterman. Niosły płaskie wiklinowe kosze i z przerażeniem słuchały, jak ze swoim suchym edynburskim akcentem opowiada o ludziach, którzy przez pomyłkę najedli się trujących grzybów. Żeby jak najdłużej odwlec powrót, o zmierzchu rozpałały ognisko i piekły w nim jadalne grzyby, pieczarki i kruchaweczki.

Teraz, gdy Anne siedziała w restauracji i przyglądała się migoczącemu płomieniowi świeczki, miała wrażenie, że znowu czuje zapach dymu z ogniska, chropowatą fakturę powyginanych cynowych talerzy, maślany smak soków wycieranych z talerza kawałkiem chrupiącego chleba. Czegoś jednak się nauczyła od Maggie Masterman. Mianowicie tego, że nigdy nie chciałaby być taka jak ta nauczycielka, której największą rozrywką było towarzystwo dorastających dziewczyn i pieczenie grzybów w ognisku. No i dzięki niej zrozumiała, że jej pasją są rośliny.

– Pracujesz? – Godfrey wyrywał ją ze wspomnień. – A może masz dzieci?

Jakby jedno i drugie się wykluczało.

– Nie, nie mam. I nie pracuję też nigdzie na stałe. Czasami tylko biorę jakieś zlecenia.

Gdy robiło się krucho z pieniędzmi. Kiedy tajemnicze interesy Jeremy'ego nie wypalały. Bardzo szybko po ślubie zorientowała się, że jej mąż jest gejem. Oczywiście on to wiedział, już jak się pobierali, ale może – tak jak stary arcybiskup Canterbury – liczył, że właściwa kobieta go uleczy. Anne nie podejrzewała męża o złe zamiary ani złośliwość, ale niestety oszukał ją też w innych sprawach – na przykład dawał do zrozumienia, że jest nadziany. Rzeczywiście był właścicielem Priory, co brzmiało wspaniale, ale się okazało, że to – mimo przechwałek – nic więcej jak tylko zwykły wiejski dom, tyle że postawiony z budulca z rozebranej kaplicy z epoki Tudorów. I Jeremy go nie kupił, a odziedziczył po dziadku.

Jej męża cechował cudowny optymizm. Jeremy zajmował się importem antyków, dzieł sztuki, książek i zwykle zarabiał tyle, że jakoś udawało im się przetrwać. Jednak ostatnio Anne zaczynała myśleć, że nawet to się skończy. Nigdy nie rozmawiali o pieniądzach. Kiedy poruszała ten temat, machał pulchnym palcem i mówił: „No, no, staruszko. Te sprawy zostaw mnie”.

Ostatnio rzadziej też snuli plany związane z przeróbkami w domu, mniej dyskutowali o jego wyglądzie, chociaż wcześniej Jeremy uwielbiał rozmawiać o wystroju wewnątrz i meblach. Anne nie po raz pierwszy się zastanawiała, czy przypadkiem nie jest szantażowany przez któregoś ze swoich kochanków.

Kłopot w tym, że ona sama nie lubiła pracować dla forsy. Człowiek musiał się namęczyć, a i tak dostawał grosze. Uważała, że to upokarzające. Na przykład mogła cały dzień projektować komuś ogród i nie zarobić na taką kolację, jaką właśnie jadła. To godziło w jej dumę, że jej praca jest tak mało warta, i z czasem się przekonała, że woli zatrudnić się z doskoku. Tak poznała Petera Kempa.

Odpowiedziała na ogłoszenie Wildlife Trust. Potrzebowali osób z botanicznym zacięciem do pomocy przy ogólnokrajowym spisie zasobów przyrodniczych. Wysłano ją na kurs, na którym zabłysła. Od tamtej pory regularnie współpracowała ze stowarzyszeniem i uwielbiała każdą minutę tej roboty. Odezwała się w niej stara miłość do przyrody z czasów panny Masterman.

Anne otrząsnęła się z rozmyślań. Uzmysłowiła sobie, że Godfrey patrzy na nią tak, jakby na coś czekał.

O Boże, chce, żebym teraz to ja zapytała o jego dzieci.

– A jak u ciebie wygląda sytuacja? Jesteś ojcem? – rzuciła zrezygnowana.

Odpowiedział bez zastanowienia i był bardziej ożywiony, niż gdy mówił o interesach.

– Mamy córeczkę. Felicity. Niedługo skończy dziesięć lat. Jest bardzo mądra jak na swój wiek. Przynajmniej my tak uważamy. Jeszcze chodzi do szkoły we wsi, bo Barbara twierdzi, że nauczyciele są tam nieźli. Ale później planujemy...

Anne zasłoniła usta wierzchem dłoni i dyskretnie ziewnęła. Tylko patrzeć, jak Godfrey wyciągnie zdjęcie, które na pewno nosi w portfelu. A jednak to właśnie w tym momencie doszła do wniosku, że może sobie pozwolić na romans z nim. Nie musiała się obawiać, że facet za bardzo się zaangażuje. Że będzie głądził o rozwodzie i o tym, żeby zamieszkali razem. Nie zrobiłby niczego, co mogłoby zasmucić córkę.

Restauracja już prawie całkiem opustoszała. Znajdowała się w Kimmerston, tuż przy nabrzeżu rzeki. Siedzieli sami w dobudówce, niemal w całości postawionej ze szkła. Woda w rzece miała zimną zielonkawą barwę. Jednym akcentem, który dodawał atmosferze ciepła, była stojąca na stole świeczka.

– Musisz wracać? – Pytanie zadała pod wpływem impulsu, bez cienia kokieterii w głosie. Nachyliła się i wyciągnęła do niego szczupłą jasną dłoń. Nigdy nie używała rękawiczek przy pracach ogrodowych i zdawała

sobie sprawę, że nie powinna pokazywać dłoni. Na kciuku miała plamę, nie mogła się jej pozbyć. Wszędzie zadrapania. Paznokcie musiała nosić krótko obcięte. Ale chciała dotknąć Godfrey'a, a on zafascynowany patrzył, jak jej ręka wolno przysuwa się do jego ręki. Kiedy ich palce się zetknęły, spojrzała mu w twarz i zobaczyła, że się zarumienił i że wstrzymał oddech. – Więc?

Skórę na palcach on też miał chropowatą.

– Sam nie wiem.

– Barbara czeka na ciebie?

– Mogę do niej zadzwonić. Powiem, że coś mnie zatrzymało.

Gładził wnętrze jej dłoni kciukiem. Była zaskoczona, jak silnie działała na nią ta prosta pieśczoła. Przypuszczała, że się starzeje, że już nic jej nie ruszy, a tu proszę, czuła taki pociąg do tego sztywnego starszawego pana, że aż robiło jej się słabo.

– No to zadzwoń. Bo wiesz, Jeremy jest w Londynie, więc mógłbyś do mnie wpaść na wieczornego drinka. Oczywiście, jeśli masz ochotę. – Ledwie łapała oddech, tak była rozgorączkowana.

Po wyjściu, trzymając się za ręce, przez chwilę stali nieruchomo. Anne zaciągnęła się zapachem rzeki. Chociaż od wybrzeża dzielił ich spory kawałek, wydawało jej się, że czuje lekką woń soli i wodorostów. Po drugiej stronie ulicy ktoś uruchomił silnik w samochodzie. Godfrey spojrzał w tamtą stronę, a jego dłoń na chwilę stężała. Odwrócił twarz, tak żeby nikt jej nie widział w świetle reflektorów. Jego reakcja, to że miał wyrzuty sumienia, schlebiało

Anne. Było jasne, że zdrada nie przychodzi mu łatwo. A może to pierwszy raz, kiedy postanowił być niewierny żonie.

– To jak? – spytała. – Jedziemy do mnie?

Ale nie zdążyli dotrzeć do Priory. Ich pierwszy stosunek odbył się na tyle bmw. Godfrey zjechał z szosy w osłoniętą zaroślami boczną dróżkę. Później, leżąc na plecach na skórzanym siedzeniu, Anne zobaczyła światło księżyca – przesączało się przez gęste letnie listowie. Rozpoznała, że to czarny bez i głóg.

Tego lata Anne widywała Godfreya regularnie, aczkolwiek w tajemnicy. Była dyskretna, co nie leżało w jej naturze. W przeszłości afiszowała się ze swoimi partnerami. Jeremy udawał, że mu to nie przeszkadza, i może naprawdę mu nie przeszkadzało, chociaż podobała mu się bajeczka, że są zamożną szczęśliwą parą, oddaną sobie i życiu na wsi. Anne bała się, że gdyby mąż dowiedział się o Godfreyu, wyśmiałby ją. Kpiłby z garniturów od Marksa i Spencera, pretensjonalnego złotego zegarka, wypolerowanych butów. Mimo towarzystwa, w jakim się obracał, Jeremy był snobem. Godfreyowi jeszcze bardziej niż jej zależało, żeby ich romans pozostał tajemnicą. Nie umiałby sobie poradzić, gdyby żona lub córka dowiedziały się, że ma kochankę.

Dlatego Anne ciągnęła tę szaradę. Lato było gorące i suche, więc dużo czasu spędzała w ogrodzie. Miała spaloną słońcem twarz, ramiona i kark upstrzyły się piegami.

– Wyglądam co najmniej na sześćdziesiątkę – powiedziała pewnego razu do Godfreya. – Naprawdę nie rozumiem, jak mogę ci się podobać?

Sądziła, że usłyszy zdawkową odpowiedź, coś, że on właśnie gustuje w dojrzałych kobietach, ale odparł:

– Ty mi się nie tylko podobasz. Chodzi o wiele, wiele więcej.

I Anne mu uwierzyła.

Z początkiem jesieni zajęła się zbieraniem wczesnej

odmiany jabłek. Owijała je w gazety i układała w skrzynkach na tyłach garażu. I wciąż z radością wyczekiwała kolejnych potajemnych randek.

Również z początkiem jesieni grupa sprzeciwiająca się powstaniu kopalni odkrywkowej złapała wiatr w żagle. Anne nadal się tam udzielała. Lubiła uczestniczyć w spotkaniach, na które zapraszano Godfrey'a. Kiedy stała przed starymi, zniszczonymi drzwiami kościelnej sali spotkań, wiedząc, że on tam jest, przechodził ją dreszcz ekscytacji. Czasami słyszała jego głos, niski, monotony, gdy coś komentował. Najczęściej jego uwagi dotyczyły kwestii formalnych. Może nie miał zakończonych szkół, ale statystyki znał na pamięć i bezbłędnie je cytował jak dziecko deklamujące ulubiony wierszyk. Uwielbiała publicznie się z nim sprzeczać.

Członkowie grupy protestacyjnej sądzili, że Anne wręcz nienawidzi Godfrey'a.

– Daj spokój, dziewczyno – studził ją facet z głową owcy. – Nie bierz tego tak osobiście.

Podczas tych konfrontacji Godfrey zawsze zachowywał się bardzo uprzejmie. Na osobności nigdy nie rozmawiali o kopalni. Anne odnosiła wrażenie, że pasuje mu to udawanie, że się nie lubią. Barbarze na myśl by nie przyszło, że mężowi mogła wpaść w oko taka agresywna, wyszczekana wiedźma.

Pewnego razu Anne widziała ich razem, jego i Barbarę. Nawet córka z nimi była. Godfrey przekazał na rzecz Wildlife Trust jedną z wyeksploatowanych kopalni odkrywkowych – jej obszar miał się stać sercem nowego

rezerwatu przyrody. Doły zostały zalane wodą i zamienione w stawy. Dyrektor organizacji z nadzieją rozwodził się na temat przyszłych trzcinowisk i ptasich łąch. Godfrey ofiarował też mnóstwo pieniędzy na wykonanie planów i zagospodarowanie terenu, ale wkrótce potem złożył w urzędzie wniosek o pozwolenie na wybudowanie wielkiej kopalni w Black Law, więc Wildlife Trust niepokoiło się, jakie naprawdę kierowały nim intencje. Czyżby dokonał darowizny, licząc na przychylnie załatwienie sprawy? Anne nie знаła odpowiedzi na te pytania, aczkolwiek nie chciało jej się wierzyć, żeby Godfrey był aż tak przebiegły.

Ponieważ nikt nie miał pewności co do motywów przedsiębiorcy, przyjęcie z okazji otwarcia nowego rezerwatu urządzono z mniejszą pompą. Anne podsłuchiwała, jak jedna z członkiń Wildlife Trust, pani w kaszmirowej garsonce, mieszkanka wsi, mówiła do innej pani:

– Chcieliśmy rozstawić duży namiot, ale w tych okolicznościach uznaliśmy, że lepiej sobie darować.

Wczesny październik, zbliżało się południe, dzień był cieplejszy niż nawet latem. Rezerwat leżał na terenie nizinnym. Płaskie pola ciągnęły się aż po wybrzeże, chociaż grobla, która powstała z naniesionych pozostałości po kopalni, zasłaniała gościom widok morza – jego bliskość zdradzały jednak migoczące refleksy na horyzoncie i ciągnący się w nieskończoność nieboskłon.

Na wale pasło się bydło i spoglądało z góry na uroczystość. Jeden dół, już zapełniony wodą, przyciągał

kaczki, łyski i pardwy.

Anne się spóźniła – specjalnie, żeby nie słuchać przemów – i dołączyła do osób wychodzących z pawilonu gościnnego, który się mieścił w jednym z odremontowanych budynków kopalni. Chyba akurat za chwilę rozpoczynała się ceremonia otwarcia. Między dwoma rachitycznymi, świeżo zasadzonymi drzewami rozciągnięto wstęgę. W przyszłości miał tu powstać wjazd na parking. Anne rozpoznała tył głowy Petera Kempa, przecisnęła się między gośćmi i stanęła tuż za nim.

– Wiadomo już, kto będzie czynił honory?

Peter, wystraszony, gwałtownie się do niej odwrócił.

– Jezus Maria, kobieto. O mało nie padłem na zawał.

– Gadaj lepiej, który celebryta przetnie wstęgę?

– Bachor Godfreywa Waughta. – Peter wykrzywił usta. –

Rzygać się chce, co?

– Słyszałam, że sam zostałeś grubą rybą. Przeszedłeś na swoje? Prowadzisz firmę konsultingową?

– No tak, ale to co innego.

– Jasne – mruknęła. – Zawsze się tak mówi.

– Bądź dla mnie miła, Annie, to może znajdę dla ciebie jakąś pracę. Prawdziwą, za pieniądze. Dostałem umowę na dokonanie oceny wpływu inwestycji na środowisko naturalne w Black Law.

– Rany, jak ci się udało to załatwić? – Naprawdę była pod wrażeniem. – Nie chcieli kogoś z większym doświadczeniem?

– Jestem najlepszy, Annie. To im wystarczyło. – Umilkł na chwilę. – Więc jak, nie szukasz roboty?

– Nie mam żadnych kwalifikacji.

– Za to masz zdolności. Zlecono mi opracowanie całościowego raportu i mogę zatrudnić, kogo zechcę.

Wciąż nad tym myślała, zastanawiała się, co na to powiedziałyby Godfrey, ale właśnie poproszono gości o uwagę. Przed zgromadzonych, prowadzona przez ojca, wyszła Felicity Waugh. Pulchna staromodnie ubrana dziewczynka, z policzkami jak u chomika i długimi kędzierzawymi włosami. Ojciec podał jej ogrodowy sekator i młoda dama zabrała się do przecinania wstęgi. Ale tępym sekatorem nie szło jej to najlepiej. W końcu Godfrey pomógł córce, obejmując jej dłonie swoimi dłońmi. Rozległy się głośne oklaski.

Godfrey wrócił do stojącej z przodu kobiety. To na pewno jego żona. Anne, wznosząc toast na cześć rezerwatu ciepławym białym winem, przyglądała się Barbarze.

Dotąd często ją sobie wyobrażała, tworząc w głowie jej obraz. W wydaniu Anne pani Waugh była otyła i nieciekawa. Godfrey zapewne poznał ją w liceum. W domu bez wątpienia panowała okropna atmosfera, małżeństwo prawie ze sobą nie rozmawiało. I nie uprawiali seksu od czasów, gdy spłodzili cudowną córusię. Okazało się, że jej wyobrażenia z rzeczywistością łączyła jedynie córka.

Anne od razu się zorientowała, że błędnie oceniła sytuację. Po pierwsze Barbara wcale nie była szarą myszką, tylko osobą elegancką i zadbaną. Miała arystokratyczne rysy twarzy, o jakich marzy wiele kobiet, włosy potraktowane lekką trwałą. W porównaniu z nią

Anne czuła się zabidzona i zapuszczona.

Widziała, że Waughowie zamienili kilka słów, po czym Barbara zostawiła męża i ruszyła trawnikiem w stronę Anne. Anne rozgniewana pomyślała, że Godfrey jednak powiedział żonie o romansie. Kiedy zobaczyła Barbarę, musiała zakwestionować własną ocenę ich związku. Może zależało mu na dyskrecji wyłącznie dlatego, żeby zachować swój medialny wizerunek szanowanego przedsiębiorcy. Może on i Barbara należeli do tych przyprawiających o mdłości par, które nie mają przed sobą tajemnic. Przygotowała się na scenę.

Ale wyglądało na to, że kobieta chce się tylko zapoznać. Podeszła i uśmiechnęła się niepewnie. Anne wyczuła w niej napięcie, wyraźne zdenerwowanie. Barbara mówiła zbyt szybko, uśmiech zastąpiły zmarszczone czoło i nerwowe gesty, chyba nawykowe.

To znerwicowana krowa, stwierdziła triumfująco Anne, zadowolona, że już wie, jaką osobą jest Barbara. Czuła nad nią wyższość. Uznała, że nie musi się obawiać. To żadna konkurencja. Teraz, kiedy stały blisko, było jasne, że są mniej więcej w tym samym wieku. Czyli Barbara dopiero koło czterdziestki urodziła dziecko.

– Pani Preece, czy mogłybyśmy zamienić kilka słów?

– Oczywiście.

– Chciałam tylko powiedzieć, że podziwiam pani działalność. Środowisko jest bardzo ważne, prawda?

Anne z trudem zapanowała nad mimiką, żeby nie pokazać zaskoczenia. Czegóż takiego w ogóle się nie spodziewała.

– Och, naturalnie – potwierdziła, z jedynie leciutką nutką rozbawienia. Ponad ramieniem Barbary widziała Godfreya, udawał, że przygląda się bydłu na grobli. Ale ona wiedziała, że jest spanikowany.

– Dlatego pragnę panią zapewnić – ciągnęła z zapalem Barbara – że ani ja, ani mąż, nie mamy tego za złe, że sprzeciwia się pani powstaniu kopalni w Black Law. Jesteśmy zwolennikami ochrony środowiska i jeśli ocena wpływu wykaże, że są jakieś problemy, zapewniam, że projekt nie zostanie zrealizowany. Nie będziemy czekali na decyzje urzędowe.

– Rozumiem. – Anne nie wiedziała, co więcej powiedzieć. – Dziękuję. – Miała mętlik w głowie, bo chociaż nie zmieniła zdania, że Barbara jest neurotyczką, to mimo wszystko kobieta wydawała się szczerą. Dziwiło ją też, że pani Waugh z taką pewnością wypowiada się w sprawach firmy. Godfrey nigdy nie wspominał o żonie w rozmowach związanych z interesami, więc Anne wyobrażała sobie, że to posłuszna kura domowa, która stoi przy garach, pierze skarpety i nie wtyka nosa w zawodowe sprawy męża.

– Jest pani zaangażowana w działalność spółki? – spytała. Może Barbara pracuje tam kilka razy w tygodniu.

– Prowadzimy ją wspólnie. Oczywiście, odkąd urodziła się Felicity, mniej się udzielam, ale Godfrey nadal się ze mną konsultuje. Kiedyś dorastałam w tym biznesie. Ojciec był właścicielem kopalni w Slateburn. Kiedy się pobraliśmy, odszedł na emeryturę, a my przejęliśmy stery. Szczerze mówiąc, było ciężko, tyraliśmy całymi dniami,

żeby tylko utrzymać firmę. Ale patrząc wstecz, chyba to lubiłam – uśmiechnęła się. – A jeszcze bardziej polubiłam, gdy zaczęliśmy zarabiać i mogliśmy nieco odetchnąć.

Wydawało się, że zagubiła się we wspomnieniach. Znowu miała na twarzy ten nerwowy grymas i mięła w dłoniach papierową serwetkę. Jakby skręcała jointa, choć to do niej nie pasowało.

Ciekawe, dlaczego Godfrey nie przyznał się, że poślubił córkę szefa. Może opowieść o samotnej walce, żeby odnieść sukces, brzmiała lepiej. Anne nie miała o to pretensji. Sama opowiadała bajki o własnej przeszłości, ponieważ prawda była tak mało ekscytująca.

Barbara przez chwilę milczała. Wokół nich ludzie rozmawiali, śmiali się. Wypito dużo ciepłego wina. Ponad harmidrem do Anne dotarł głos Petera. Kemp mówił po szkolnemu, wyraźnie, z nienaganną dykcją.

– Neville! Cóż, wszystko poszło gładko, prawda? Musisz być zadowolony.

Langholme to mała miejscowość, więc Anne słyszała o Neville’u Furnessie. Syn Dougiego poszedł na studia i się wybił. Najpierw pracował jako zarządca w majątku Holme Park, potem zwerbowała go Slateburn Querries, bo – jak wieść niosła – potrafił się dogadywać z właścicielami ziemskimi. Niedługo po tym, jak przyszedł do Slateburn, ogłoszono, że Godfrey podpisał umowę z Fulwellami. Anne widywała Neville’a, gdy jeszcze mieszkał na terenie majątku w jednym z domów należących do właściciela. Często wtedy spacerowała z psem i spotykała Neville’a, który wychodził pobiegać. Próbowwała go zagadywać, ale

nic z tego nie wyszło. Chciała się dowiedzieć, czy kogoś ma, ale chyba nie miał. Nagle zorientowała się, że pani Waugh patrzy w tym samym kierunku. Jednak, gdy w Anne widok śniadego, atletycznie zbudowanego mężczyzny budził niekłamany podziw, twarz żony Godfrefya wyrażała wrogość, a nawet lęk.

Barbara odwróciła się do Anne i chwyciła ją za ramię.

– Proszę mnie odwiedzić – zaproponowała. – W Alderwhinney. Tak się nazywa nasz dom. Wciąż mieszkamy w Slateburn. Każdy wskaże drogę. Chciałabym jeszcze porozmawiać. Niech pani wpadnie na kawę. Albo na lunch. Kiedy tylko będzie pani miała czas. Rzadko wychodzę z domu.

Prawie powtórzyła to, co mówił Godfrey, kiedy pierwszy raz o niej opowiadał. Cmoknęła Anne w policzek i odbiegła do córki. Anne odprowadzała ją zdumionym spojrzeniem.

Może powinnam ją odwiedzić, myślała, wbijając w ziemię ostatni palik. Następnego dnia zamierzała wrócić z kwadratami. Mogłoby być zabawnie. Chyba wciąż wypada złożyć jej wizytę. Opowiem o przebiegu oględzin terenu. W końcu do Slateburn nie jest daleko. Ciekawe, jak na to zareaguje Godfrey.

Następnego dnia lało, więc siedziały w chacie skazane na siebie. Anne przez godzinę słuchała gderania Rachael, że to dobry moment, żeby trochę posprzątać, w końcu stwierdziła, że dłużej nie wytrzyma. Swoim rozklekotanym fiacikiem pojechała do Langholme. Padało tak mocno, że musiała się zatrzymywać, bo wycieraczki nie nadążały zbierać wody z szyby. Z budki przy warsztacie zadzwoniła do Godfrey'a.

Bardziej byłoby jej na rękę pojechać do Priory, ale Jeremy wrócił do domu, a jej na myśl o narzekaniu męża robiło się niedobrze. Przez ostatnie kilka tygodni ciągle głądził, że muszą zacisnąć pasa. Napomknął nawet, że może przyjdzie im sprzedać Priory. Wówczas Anne uzmysłowiła sobie, jak duże znaczenie ma dla niej ten dom. Myśl, że musiałaby oddać ogród, rodziła w niej mordercze zapędy. Mało brakowało a powiedziałyby Jeremy'emu, że wyszła za niego tylko dla Priory. Szybko jednak uznała, że to nie byłoby najmądrzejsze. Wciąż istniała szansa, że jedna z dużych transakcji handlowych, którymi tak się przechwalał, mimo wszystko dojdzie do skutku.

Telefon odebrał chłopak, który chyba przechodził mutację.

– Halo? Slateburn Quarries. W czym mogę pomóc?

Kiedy Anne powiedziała, że chce rozmawiać z Godfreyem, w słuchawce zapadła cisza, a potem usłyszała przytłumioną rozmowę. Natychmiast ogarnęły ją

podejrzenia. W końcu chłopak znowu się odezwał:

– Pana Waugha w tym momencie nie ma.

– A kiedy będzie?

– Dopiero jutro wieczorem. Pojechał na konferencję.

– Dokąd?

– Przykro mi, nie wiem – odparł, wyraźnie skonsternowany.

To wtedy, w przypiływie złości, zadzwoniła do Barbary. Chciała się odpłacić Godfreyowi za to, że nie podszedł do telefonu, akurat kiedy ona czuła się taka nieszczęśliwa. Nie wspominał, że wybiera się na konferencję. Najpierw wykręciła numer centrali telefonicznej, co prawie ją zniechęciło do pomysłu, żeby zadzwonić do Barbary. Postanowiła, że jeśli Waughowie mają zastrzeżony numer, a najprawdopodobniej tak jest, zapomni o sprawie. Ale od razu ją przełączono i zanim zdążyła się zastanowić, Barbara odebrała z uprzejmym: „Waugh, słucham”. Tak bardzo przypominało to szczeknięcie psa, że Anne przez chwilę zapomniała języka w gębie. Kiedy wreszcie odzyskała mowę, starała się mówić pewnym głosem, jakby rozmawiała z dobrą znajomą.

– Zapraszała mnie pani do siebie, ale wolałam wcześniej zadzwonić, bo może jest pani zajęta.

Pani Waugh nie była jednak zajęta. Ponadto świetnie pamiętała Anne, chociaż widziały się tylko raz i to przed kilkoma miesiącami. Nalegała, żeby Anne odwiedziła ją jeszcze tego samego dnia.

– Proszę wpaść, jeśli ma pani czas. Zjemy razem

lunch. To doskonały moment, bo Felicity jest u koleżanki, a mąż na dwa dni wyjechał na konferencję.

A więc jeśli Godfrey kłamie, pomyślała Anne, to okłamuje nas obie.

On nigdy nie zapraszał jej do siebie. W końcu Barbara prawie nigdy nie wychodziła z domu. Podobno nawet jeśli zaplanowała wypad na zakupy albo do kina, nie zawsze dochodziło to do skutku. Może to jakaś choroba. Tak czy inaczej Anne wiedziała, gdzie znajduje się dom. Kiedyś z ciekawości przejechała obok niego. Zobaczyła dość surowy nowoczesny budynek z szarego kamienia, z dachem wyłożonym szarymi dachówkami z płytki łupkowej. Anne przełamałaby proste linie jakimiś roślinami pnącymi, ale ogród Waughów był konwencjonalnie pusty. Składał się przede wszystkim z rozległych połaci samego trawnika. Zabarwiały go symetrycznie umieszczone kępy krokusów i przebiśniegów, rosnące na tle starszych krzewów. Jediną oznaką wyobraźni był domek na sękatym jaworze. Mimo że platformę, na której stał, zamontowano tylko metr nad ziemią, wchodziło się do niego po drewnianej drabince. Anne pomyślała, że pewnie Godfrey sam go zbudował dla Ukochanej Felicity. Ostatnio tak właśnie w myślach nazywała jego córkę, a słowa widziała w wyobraźni napisane dużymi literami, jakby chodziło o jakąś średniowieczną świętą lub męczennicę.

Kiedy podjeżdżała, wciąż padało. Drzwi frontowe otworzyły się, zanim jeszcze wysiadła z samochodu. W progu stała pani Waugh. Anne pobiegła żwirową ścieżką, żeby się z nią przywitać. W holu, strzepując wodę z

włosów, przyglądała się gospodyni. Barbara była w niebieskich dżinsach, ale nie w takich jak Anne. Te się nie przecierały na kolanach i nie darły na szwach. Do tego granatowy sweterek z delikatnej wełenki. Dyskretny makijaż. Chyba nawet skropiła się perfumami. Anne przed przyjazdem chciała pojechać do domu, żeby się przebrać, ale zrezygnowała, bo nie zniosłaby widoku Jeremy'ego. Oprócz dżinsów miała na sobie dżersejową bluzkę z kołnierzykiem i nieprzemakalną kurtkę. Nie była umalowana, a włosy przydałoby się ufarbować. Zrobiły się jej już całkiem spore siwe odrosty.

Zwróciła uwagę na wywoskowany parkiet z drewnianych klepek, schody wyłożone bieżnikiem w kwietny wzorek, unoszący się w powietrzu aromat kawy. Barbara sprawiała wrażenie uradowanej wizytą i zarazem jakby wylęknionej. Mówiła bardzo szybko. Anne, otrzepując włosy, nie mogła jej do końca zrozumieć. Teraz, gdy już tu była, pomysł z przyjazdem nie wydawał się taki dobry. Miało być zabawnie, ale w tym momencie zastanawiała się tylko, jak tu się grzecznie wymówić i wyjść. Barbara jednak już prowadziła ją do dużego salonu, coś trajkocząc. Prawdopodobnie powtarzała to, co mówiła w holu.

– Tak się cieszę, że pani przyjechała. Mam pewien kłopot, więc szczęśliwie się złożyło, że pani zadzwoniła, bo akurat jest pani najwłaściwszą osobą, do której mogłabym się zwrócić z moją sprawą. – Potem zamilkła, chyba sobie uświadamiając, że się zagalopowała. – Przepraszam. To nieuprzejme z mojej strony. Proszę spocząć. Napije się

pani czegoś? Sherry, kawy? Ja chyba zaparzę sobie kawy.

Anne, oczywiście wolałaby drinka, ale poprosiła o kawę.

Kiedy gospodyni wyszła, Anne uznała, że musi wziąć się w garść i jakoś przeżyć tę wizytę. Siedziała w wygodnie urządzonej sypialni o dość staroświeckim wystroju. Nic tu nie było stare ani zapuszczone, jednak meble solidne, ciężkie i ciemne. Stał tu też piec do palenia drewnem i przy jednej ze ścian pianino. Na pulpicie leżały otwarte nuty z utworami dla dzieci. Na drugiej ścianie wisiał szkic ołówkiem przedstawiający Ukochaną Felicity. Anne zastanawiała się, czy to dzieło Barbary, ale rysunek wydawał się naprawdę dobry, więc doszła do wniosku, że raczej nie. Dziewczynka miała zmarszczone czoło, jakby rozważała problem nie do rozwiązania.

Barbara przyniosła kawę w szklanym dzbanku od ekspresu przelewowego. Zauważyła, że Anne przygląda się portretowi.

– Ma pani dzieci, pani Preece?

– Proszę, mówmy sobie po imieniu. Nie, nie mam dzieci. – Bez zastanowienia dorzuciła zdawkowe wyjaśnienie, które zawsze podawała w podobnych sytuacjach. – Jakoś nigdy nie czułam potrzeby, żeby je mieć.

Barbara zrobiła osłupiałą minę, jakby Anne co najmniej puściła bąka, jednak natychmiast się otrząsnęła.

– Tak się cieszę, że mnie odwiedziłaś – powtórzyła po raz kolejny.

Anne nie odpowiedziała. Nalała sobie kawy. Uważała,

że jedyną kwestią, jaką Barbara mogłaby chcieć z nią poruszyć, jest jej relacja z Godfreyem, ale nie wyczuwała wrogości. Wręcz przeciwnie. Barbara była żenująco wdzięczna, że Anne ją odwiedziła, nawet pomimo jej niechęci do dzieci.

– To dość delikatna sprawa – zaczęła, sięgając po dzbanek z kawą. – Chodzi o tę nową kopalnię. Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Co proszę? – wykrztusiła zaskoczona Anne.

– Pewnie uznasz, że jestem niełojalna wobec męża, że poruszam ten temat podczas jego nieobecności, ale gdyby z nami tu siedział, powiedziałabym to samo. Zresztą już mu mówiłam. Uważam, że budowa kopalni to błąd. Zniechęci do nas wielu naszych klientów. I źle wpłynie na wizerunek firmy. Działam w tym biznesie o wiele dłużej niż Goff. To dla mnie ważna kwestia.

– Dlaczego więc twój mąż tak się upiera, żeby ją wybudować?

Anne nigdy nie pytała o to Godfreya – i nigdy nie potrafiłaby myśleć o nim jako o Goffie – ale nagle wzięła ją ciekawość. Na jego miejscu pragnęłaby postawić kopalnię dla zwykłej radości z przeprowadzenia inwestycji, nawet dla tych wszystkich kłótni. Ale Godfrey to nie ona. Nie był pazerny i nie lubił znajdować się w centrum uwagi. Może do działania zmuszał go wyłącznie lęk, że jeśli przestanie się rozwijać, firma popadnie w stagnację.

Jednak Barbara miała na ten temat inne zdanie.

– Nie sądzę, żeby to on się upierał. Nie on osobiście. To Neville Furness przekonał go, że budowa nowej kopalni

jest jedynym sposobem, żeby Slateburn Quarries przetrwała.

– Neville Furness? – Anne potrzebowała chwili, żeby to przetrwać.

– Pracuje dla Goffa. Musiałaś go widzieć na zebraniach z mieszkańcami, taki śniady.

– Tak – mruknęła Anne. – Kojarzę go.

– Odkąd Neville zatrudnił się u nas, Goff stał się nerwowy. Jest ciągle zajęty. Prawie go nie widuję. Nie wiem, co się stało.

Mogłabym ci wyjaśnić tę tajemnicę, odparła w duchu Anne. Na głos jednak zapytała:

– Sądzisz, że pracownik ma na niego aż taki wpływ?

– Zwykle nie, ale... – przerwała, a jej nastrój znowu nagle się zmienił. – Chyba pora na lunch. Nie będzie ci przeszkadzało, że zjemy w kuchni? Wyjmę coś z zamrażarki, bo niestety nic nie ugotowałam. I napijemy się wina, dobrze? W lodówce chłodzi się muscadet.

Anne poszła za nią. Usiadły przy okrągłym sosnowym stole ustawionym w rogu kuchni urządzonej w stylu tych z czasopism wnętrzarskich. Anne omiotła wzrokiem lśniące blaty i szafki, czyściutką posadzkę z włoskiej terakoty, i doszła do wniosku, że muszą zatrudnić kogoś do sprzątnięcia. Ale nie była zazdrosna. Priory miało większą klasę. Taki porządek załatwiał przedmieściami.

Za to jedzenie zrobiło na niej wrażenie. Soczysta cebulowa tarta może i była odmrażana, ale przed podaniem Barbara ją upiekła. Wierzch obłożyła pomidorami, parmezanem, anchois i oliwkami. Do tego

podawała sałatę i ciepły chleb, chyba też domowej roboty. Przyrządzenie tego posiłku wymagało sporo zachodu. Anne, która lubiła imponować ludziom, chociaż może nie swoim gotowaniem, zastanawiała się, o co Barbarze chodzi.

– Wspominałaś o mężu i firmie.

Gospodyni sięgnęła po kieliszek z winem i opróżniła go do połowy niemal jednym haustem. Twarz jej zapłonęła. Przez chwilę Anne myślała, że kobieta znowu zmieni temat, ale ta wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Podejrzewam, że Neville Furness ma w tym interes, żeby kopalnia powstała na terenie Black Law. Sąsiednie grunty należą do jego rodziny.

– Wiem – przytaknęła Anne.

– A jego macocha zmarła.

– Popełniła samobójstwo.

– Znałaś Bellę Furness? – zainteresowała się Barbara.

– Niezbyt dobrze. Ale ją poznałam.

– Prowadziła farmę. Teraz przejmie ją Neville.

– Czyli ty też ją znałaś? – To nie zaskoczyło Anne. Na terenie z tak rozproszonymi siedliskami, Waughowie i Furnessowie mieszkali prawie po sąsiedzku.

– Słyszałam o niej.

– I co? Przypuszczasz, że jeśli dostaniecie zgodę na budowę kopalni, Neville będzie chciał wam odsprzedać ziemię? Dlatego tak mu zależy na tym przedsięwzięciu? Teraz popyt na grunty rolne jest raczej słaby.

– Nie sądzę, żeby chciał ją odsprzedać. Jest na to za sprytny. Najwygodniejszy dostęp na teren kopalni byłby

przez jego obejścia. Pobierałby za to opłaty. Inne wyjście to wybudowanie nowej drogi. Czyli praktycznie rzecz biorąc, Furness za przepuszczenie ciężkiego sprzętu przez swój teren mógłby żądać, ile chce.

– No ale Godfrey na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

– Tak by się wydawało.

– Ale? – Anne wytarła sos z talerza kawałkiem chleba. To rozproszyło uwagę Barbary. Jej córka z pewnością została nauczona nienagannych manier przy stole.

– Ale w kontaktach z Neville'em Furnessem mój mąż jakby tracił wszelkie wyczucie interesu. Chciałabym zrozumieć, czemu Goff tak chętnie słucha jego rad. To do niego niepodobne. Zwykle jest bardzo ostrożny. Sam o wszystkim decyduje i to dopiero po głębokim namyśle.

– A czego konkretnie się obawiasz? – Anne z żalem odsunęła pusty talerz i oparła się łokciami o stół. – Szantażu?

Barbara znowu wyglądała na zmieszaną, tylko nie wiadomo, czy przez te łokcie na stole, czy z powodu sugestii, że Godfrey może być szantażowany.

– Nie – odparła. – Tego na pewno nie.

Co za ulga, westchnęła w duchu Anne.

– Ogólnie chodzi mi o to – ciągnęła Barbara – że jeśli ty lub ktoś z twojego zespołu natknęlibyście się na coś, co miałoby wpływ na wynik ekspertyzy, gdybyście uznali, że inwestycja jednak nie powinna dojść do skutku... – przerwała. – Cóż, byłoby to w naszym wspólnym interesie, nieprawdaż?

Sprawa została ujęta tak taktownie i oględnie, że dopiero przy drzwiach, szykując się do wyjścia na ulewę, Anne uświadomiła sobie, że to, co się przed chwilą zdarzyło, było, jeśli nie szantażem lub czystym przekupstwem, to na pewno jakąś formą korupcji.

W drodze powrotnej, kiedy przecinała Langholme, zobaczyła nadjeżdżającą w swoją stronę range roverem Livvy Fulwell. Livvy gwałtownie się zatrzymała i błysnęła jej światłami. Anne pomyślała, że może od jej zdezelowanego fiacika odpadła jakaś część, ale Livvy tylko chciała pogadać. Zaskakujące, bo nie utrzymywały ze sobą bliskich kontaktów. Oczywiście Livvy wiedziała, kim jest Anne. Zostały sobie przedstawione, gdy Anne wprowadziła się do Priory, a Livvy, świeżo po ślubie, przejęła zarządzanie pałacykiem. Potem czasami na siebie wpadały. Livvy, jeśli akurat była w życzliwym nastroju, machała do niej ze swojego range rovera lub zamieniała z nią kilka słów, gdy się spotkały na poczcie, gdzie odbierała zasiłek na dziecko. Ale nigdy nie przejawiała ochoty, żeby się zaprzyjaźnić. Anne umiała odczytywać sygnały towarzyskie i wiedziała, że nie należy się wygłupiać i na przykład zapraszać Fulwellów na obiad.

Jednak dzisiaj Livvy okazała się nadzwyczaj rozmowna. Wysiadła z samochodu. Drzwi zostawiła otwarte na całą szerokość, chociaż zagradały drogę, a maluch w foteliku z tyłu darł się jak poparzony. Robert i Livvy mieli trójkę dzieci i Livvy się przechwalała, że jest matką z prawdziwego zdarzenia. Co prawda korzystała z pomocy nianiek, ale sama też dużo przy dzieciakach robiła. Chodziła z nimi kupować ubrania albo urządzała im przyjęcia urodzinowe. Teraz dwójka starszych była w szkole z internatem, ale na wakacje wracała do domu i

Livvy pozostawała całkowicie do ich dyspozycji. Przynajmniej taką wersję małżeństwo sprzedawało znajomym. Ale Anne na jakiejś imprezie dobroczynnej podsłuchiwała rozmowę Roberta z Jeremym.

– Jedziemy do Austrii. Livvy uwielbia narty, ale się upiera, żebyśmy zabrali bachory. Po prostu nie pojmuję tej kobiety!

Livvy była młodsza od Roberta, niedawno skończyła trzydziestkę. Wyszła za mąż młodo i pochodziła z prominentnej rodziny. Cerę miała jak nastolatka, jej krótko obcięte włosy kręciły się, jakby były mokre, a jej uśmiech należał do tych, co budzą w ludziach zaufanie. Ale ci, którzy znali jej rodzinę, twierdzili, że ta kobieta to twarda sztuka i że to ona steruje interesami Holme Park.

– Tak się cieszę, że cię zauważyłam. – Livvy była ubrana w robiony na drutach sweterek, džinsy i sportową kurtkę. Już nie padało, więc kurtkę miała rozpiętą. Na swetrze widniała plama, wyglądała jak po dziecięcych wymiocinach. – Od wieków zamierzałam cię zaczepić i poprosić, żebyś kiedyś wpadła na kawę.

Wcześniej, zanim rozpoczęły się badania środowiskowe, Anne byłaby zachwycona tą propozycją. Teraz zastanawiała się, czy może ją przyjąć. Nie wiedziała, jak zareaguje na to Rachael. Slateburn zamierzało wybudować kopalnię na terenie Holme Park. To miała być wspólna inwestycja. Kontaktami z inwestorami zajmował się Peter. Albo Rachael. Ale na pewno nie zwykły pracownik kontraktowy. Livvy uśmiechnęła się uroczo.

– Posłuchaj, bardzo szanuję to, co robisz. Oboje z

Robertem ogromnie cię podziwiamy. Priory to taki przytulny dom, a ty go zostawiłaś i zamieszkałaś na wzgórzach w tej starej chacie. Powiem ci, że tak naprawdę jesteśmy po tej samej stronie. W końcu Holme Park to dziedzictwo moich dzieci. Nie chcemy go zniszczyć. Jeśli wykryjecie jakieś istotne przeciwwskazania, to kto jak kto, ale my na pewno nie będziemy obstawali przy budowie kopalni.

Niemowlę zaczęło wyć jeszcze głośniej.

– O Boże, nie mogę teraz rozmawiać. Wiedziałam, żeby po Harrym dać sobie spokój. Dwójka to optymalna liczba dzieci. A może tak mi ciężko, bo między poprzednimi a tym jest duża różnica wieku.

Ale w rzeczywistości nie wyglądało na to, żeby jakoś szczególnie się męczyła. Wypięła dziecko z fotelika, oparła je na biodrze i lekko się kołysząc, mówiła dalej. Bobas przestał płakać.

– Możesz wpaść jutro? Około jedenastej? Chyba że o tej porze pracujesz.

Anne była już tak ciekawa, że postanowiła mieć w nosie Rachael.

– Nie – odparła. – Jedenasta to dobra godzina.

– Wspaniale. – Livvy znowu szeroko się uśmiechnęła. Tym razem z ulgą? Albo jakby z satysfakcją, że jej misja zakończyła się sukcesem? Potem zręcznie przypięła malucha w foteliku i odjechała, trąbiąc na pożegnanie.

Popołudniami w środy i niedziele Holme Park udostępniano zwiedzającym. Raz Anne postanowiła poświęcić trzy funciaki, żeby obejrzeć ogrody – wcale nie

zrobiły na niej specjalnego wrażenia – ale do samego pałacyku nigdy nie wchodziła. Kiedy następnego dnia się tam zjawiała, nie bardzo wiedziała, gdzie ma jechać. Może powinna wejść tylnymi drzwiami. Pogaduszki przy kawie to nieoficjalne spotkanie. Pewnie usiądą w kuchni, dziecko będzie bawiło się obok nich czymś konstruktywnym i brudzącym, a psy rozciągną się na podłodze.

Ale Livvy stała na froncie i rozmawiała z jakąś grubawą młodą kobietą. Widząc, że Anne się waha, czy zaparkować na publicznym parkingu, przywołała ją gestem dłoni. Nie skorzystały z głównego wejścia – z kamiennymi stopniami i portykiem – ale nie weszły też wejściem dla dostawców. Pałacyk miał dwa prostopadłe do niego skrzydła, niższe i mniej onieśmielające, i Anne została wprowadzona do holu jednego z nich.

– Poprosiłam Arabellę, żeby zabrała mojego diabełka na spacer, więc mamy spokój – oświadczyła Livvy.

Dzisiaj była lepiej ubrana, chociaż Anne przypuszczała, że nie wystroiła się tylko dla niej. Słyszała, że to Livvy zajmuje się interesami majątku. Pewnie bywała na wielu spotkaniach. Spółka ze Slateburn to jej pomysł. Robert odnosił się do niego krytycznie. Martwił się, że taka inwestycja źle wpłynie na myśliwskie odstrzały. Ale o nim w ogóle się mówiło, że jest mięczakiem, że nie umie się targować.

– Co tam u Roberta? – spytała Anne.

– Wyjechał w teren. Jakieś kłopoty z jednym z dzierżawców. Ale prosił, żebym cię pozdrowiła i przekazała, że mu przykro, że go nie będzie.

Kawę piły nie w kuchni, ale w ślicznym małym saloniku. Na kanapie obitej kremową tkaniną byłoby widać każdą plamę, więc Anne pomyślała, że pewnie dzieciom nie wolno się tu bawić. Kiedy Livvy przyniosła tacę z kawą i filiżankami, na chwilę zapadła krępująca cisza. Livvy musiała to potraktować jako swoją porażkę, bo uśmiechnęła się tym swoim czarującym uśmiechem i oznajmiła z żalem:

– To naprawdę przykre, że tyle nas łączy, a jednak do tej pory jakoś nie miałyśmy okazji się spotkać.

Anne nie odpowiedziała.

– Tak czy inaczej jestem bardzo ciekawa tych waszych badań. Na czym one tak naprawdę polegają?

– Jesteśmy we trzy – zaczęła Anne. – Same kobiety.

– To chyba dość nietypowe, prawda?

– Być może. Ja zajmuję się działką botaniczną. Rachael ptakami, a Grace jest ekspertem od ssaków.

– Grace?

– Grace Fulwell. Raczej nie żadna wasza krewna, ale to i tak ciekawy zbieg okoliczności.

– Och, w książce telefonicznej z Northumberland jest mnóstwo Fulwellów. To pospolite nazwisko i zresztą pewnie łączy nas jakieś pokrewieństwo. Skąd ta Grace pochodzi?

– Nie wiem. Nie jest zbyt rozmowna. – Anne uświadomiła sobie, że jej uwaga mogła zabrzmieć złośliwie, a nie chciała, żeby ktoś pomyślał, że w ich zespole są jakieś niesnaski. Przynajmniej nie chciała wyrzucić takiego wrażenia na Livvy, więc szybko dodała: –

Ale wiadomo, jak się mieszka i pracuje na kupie, zachowanie prywatności staje się ważne.

– O tak! – zawołała Livvy, jakby usłyszała coś niesamowicie odkrywczego. – Doskonale to rozumiem.

Anne opisała metody wykorzystywane przy pomiarach, wyjaśniła, na czym polega system z palikami i kwadratami. Livvy słuchała uważnie, zachęcając ją do rozwinięcia tematu. Anne już rozumiała, jak to się działo, że menedżerowie myśliwskiego syndykatu, dzierżawcy i biznesmeni pragnęli inwestować w posiadłość pani Fulwell.

– A konkretnie które tereny zamierzacie objąć badaniami?

– Ja planuję przebadać kilka wrzosowisk, torfowisk i oczywiście obszar przy kopalni ołowiu. Czasami odpady zmieniają kwasowość gleby. Może tam rosnąć coś naprawdę interesującego. Chyba nie masz nic przeciwko?

– Ależ skąd. Chodźcie sobie, gdzie chcecie. Macie absolutnie wolny wstęp na każdy teren. Jak wspomniałam, jesteśmy po tej samej stronie. – Na chwilę zamilkła. – Pewnie za wcześnie na jakieś wnioski?

– O wiele za wcześnie. Na razie nie rozpoczęłam szczegółowych prac.

– Ach. – Wyglądała na zawiedzioną i Anne pomyślała, że wreszcie rozumie, dlaczego została zaproszona. Albo Livvy była zbyt niecierpliwa, żeby poczekać na pełny raport, albo miała obsesję kontroli i zależało jej, żeby zobaczyć wyniki, zanim Peter Kemp dostanie je w swoje ręce. – Cóż, koniecznie wpadnij do mnie jeszcze kiedyś. Może, kiedy już będziesz znała więcej danych.

Anne poczuła się manipulowana. Poza tym nie zamierzała pozwolić, żeby ta młoda pewna siebie kobieta uważała, że to ona nadaje ton rozmowie. Dlatego postanowiła zapytać o Neville'a Furnessa. Wyszło jej to dość zawile.

– Wcześniej rozmawialiśmy o powiązaniach i pokrewieństwie. Przypuszczam, że to nieuniknione, że w tak małym hrabstwie wszyscy są w jakiś sposób ze sobą powiązani, ale to jednak duży zbieg okoliczności. Neville Furness najpierw pracuje dla was, a potem przenosi się do Slateburn. I jeszcze jest zainteresowany projektem ze względu na Black Law. Teraz nawet bardziej niż jakiś czas temu.

– Co za tragedia! – Livvy szeroko otworzyła oczy, dając w ten sposób wyraz swojemu zaszokowaniu i ubolewaniu. Ale uwagę o przenosinach Neville'a z Holme Park do Slateburn puściła mimo uszu. – Kiedy pogrzeb?

– Jutro.

– Zastanawialiśmy się, czy iść. Żeby wesprzeć Neville'a. Ale nigdy nie poznaliśmy pani Furness i pomyśleliśmy, że ze względu na okoliczności, może Neville wolałby, żeby w pogrzebie uczestniczyli tylko członkowie rodziny i najbliżsi znajomi.

– Przypuszczam, że teraz to on zajmie się prowadzeniem farmy.

– Pewnie tak.

– A wy nie jesteście zainteresowani jej odkupieniem?
– Pomysł wpadł jej do głowy dość nagle i nawet zdziwiła się, że dotąd o tym nie pomyślała. – Wtedy, jeśli

otrzymacie zgodę na wybudowanie kopalni, mielibyście kontrolę nad dostępem na jej teren.

– Nie sędzę, żebyśmy w ogóle brali to pod uwagę – odparła bez zająknienia Livvy. – Zresztą to działka Roberta, nie moja.

Anne przeczuwała, że Livvy zaraz zmieni temat na bezpieczniejszy, może znowu zacznie głądzić o dzieciach albo zapyta o Jeremy'ego, więc postanowiła szybko zadać kolejne pytanie.

– A tak w ogóle, to jaki jest ten Neville? – Przybrała plotkarski ton, taki jakim kobiety zwykle obgadują mężczyzn. – Był u was zarządcą, prawda? Kilka razy go widziałam, ale szczerze mówiąc, nie wiem, co o nim sądzić.

Livvy była zbyt sprytna, żeby coś takiego wywiodło ją w pole.

– Neville? – powtórzyła. – Och, to wspaniały człowiek. Skarb. Strasznie żałowaliśmy, że go tracimy.

Potem skierowała rozmowę na sprawy domowe. Mówiła, że okropnie tęskni za chłopcami, którzy po Wielkanocy wrócili do szkoły, i że gdyby w okolicy była jakaś porządna szkoła, natychmiast by ich do niej przeniosła, nieważne, co Robert na to.

Punktualnie o dwunastej młoda kobieta, ta z lekka przysadzista, wróciła ze spaceru. Najpierw usłyszały chrobot kółek wózka na żwirze, potem zobaczyły ją przez wysokie okna. Dziecko spało, rączki miało rozrzucone na boki, buzię otwartą.

– Przepraszam – powiedziała Livvy – muszę iść po

tego swojego szkraba. Arabella jest dzisiaj tylko na pół dnia. Ale ty oczywiście zostań.

– Nie, nie. Praca czeka – oznajmiła Anne. Dobrze wiedziała, że niania dostała ściśle wytyczne, kiedy wrócić z dzieckiem. Livvy przeznaczyła Anne dokładnie godzinę. Ani minuty więcej.

Nie miała ochoty wracać do chaty. Rachael na pewno zapyta, gdzie się podziewała, a ona prawdopodobnie przyzna się, że bratała się z wrogiem. Postanowiła więc zajrzeć do Priory. Odbierze pocztę i wrzuci kilka rzeczy do pralki. I może zadzwoni do Godfrey'a do biura i sprawdzi, czy już wrócił z konferencji.

Uliczka, którą jechało się z Holme Park do wsi, była niegdyś obsadzoną drzewami prywatną aleją biegnącą przez park aż do pałacyku. Teraz po obu stronach ciągnęły się ogrodzone pola uprawne. Na jej końcu znajdowały się dwa bliźniaki zbudowane w latach dwudziestych na mieszkania dla emerytowanych pracowników majątku i ich rodzin. I właśnie tutaj stała Grace Fulwell, wpatrzona w te domy jak w obraz.

Anne zjechała na pobocze i się zatrzymała. Grace jednak nadal nie odrywała oczu od bliźniaków. Wyglądało na to, że nie zauważyła ani nie usłyszała nadjeżdżającego samochodu. Anne opuściła szybę i zmuszając się do przyjacielskiego tonu, zapytała:

– A ty co tu robisz?

Grace się ocknęła.

– Szłam wzdłuż rzeki przez wieś – wyjaśniła. –

Słyszałam o Holme Park. To Vanburgh, prawda? Więc wybrałam okrężną drogę, żeby popatrzeć.

Z miejsca, w którym stała, gdyby się odwróciła i spojrzała w głąb uliczki, miałyby świetny widok na pałacyk, ale Grace nie podziwiała architektury Vanburgha. Interesowały ją tylko te skromne domki z maleńkimi ogródkami. A dokładniej mówiąc, bliźniak po lewej, gdzie na podwórku stała huśtawka i okrągła suszarka na pranie. Nawet teraz zerkała w jego stronę.

– Przyszłaś piechotą? – zaciekawiała się Anne. A gdy Grace skinęła głową, dodała: – Z chaty do tego miejsca jest z osiemnaście kilometrów, nawet jeśli się idzie wzgórzami. Mogłaś powiedzieć, tobym cię podrzuciła. Albo Rachael. Dziwne, że ci tego nie zaproponowała.

Na twarzy Grace pojawił się lekki rumieniec.

– Jak wychodziłam, jeszcze nie wiedziałam, dokąd pójde.

– No, no – rzuciła żartobliwie Anne. – Niegrzeczna dziewczynka.

Ale Grace chyba jej nie usłyszała.

– Cóż, przynajmniej teraz mogę cię odwiedzić.

– Nie, dzięki. Jeszcze nie skończyłam zwiedzać.

Więc Anne ją zostawiła, nadal wpatrzoną w bliźniaki, którym się przyglądała, mrużąc oczy, jakby próbowała ująć je w kadr.

Ech, cóż, pomyślała Anne, skoro tak lubi.

Co do cholery!?

Kobieta, która weszła do kaplicy w krematorium, może starała się cicho zamknąć drzwi, ale przeciąg sprawił, że zatrzasnęły się za nią z hukiem. Anne, nie słuchając pobożnego gładzenia pastora, śniła na jawie, i kiedy drzwi walnęły, gwałtownie się wzdrygnęła, jakby wyrwana z głębokiego snu. Okrzyk oburzenia, jaki jej się wyrwał, nie był głośny, ale i tak czuła niezadowolenie Rachael. Tak jak reszta zebranych obejrzała się przez ramię. Zobaczyła, jak nawą idzie kobieta w średnim wieku. Z podziwem obserwowała jej przemarsz do ławki. Ta babka nic sobie nie robi z wlepionych w nią zaciekawionych spojrzeń i wygłaszanych szeptem komentarzy na jej temat. Dobrze wiedziała, jak zaaranżować wejście, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Po ceremonii, kiedy czekała na Rachael, Anne znowu ją zobaczyła. Kobieta unikała kontaktu z innymi żałobnikami. Sprawnie między nimi lawirowała, chociaż w kaplicy wydawała się taka niezręczna i duża. Później wsiadła do range rovera – stał zaparkowany przy głównej bramie, pewnie po to, żeby mogła bez problemu i szybko odjechać. A więc to nie jest dzierżawca, uznała Anne. Ani żebraczka, pomimo workowatego ubrania i plastikowej torby na zakupy. Może to krewna Belli? I mniej więcej jej równolatka. Siostra? Nawet trochę podobna do Belli. Nie z wyglądu, ale z wyrazu twarzy – odpychającego, zagadkowego, dość ponurego.

– To była siostra Belli? – zwróciła się Anne do Rachael. – Ta, z torbami, co przerwała ceremonię.

– Nie wiedziałam, że Bella miała siostrę. – Rachael była zła. Jakby jej jednej na całym świecie przysługiwało prawo, żeby się orientować, czy Bella Furness posiadała bliższych krewnych.

– Ja też nic o tym nie wiem, tylko zgaduję. I pytam. – Umilkła na chwilę. – Słuchaj, ja lecę. Nie zniosę tego zlotu w White Hart, a poza tym przecież aż tak dobrze jej nie znałam. Zresztą to był jej wybór, tak czy nie? Zrobiła, co chciała.

– Jeśli chwilę zaczekasz, to cię podwiozę.

– Nie trzeba. Dam sobie radę. – Całe to krematorium wywoływało u niej ciarki, no i czuła, że Rachael zaraz wygłosi kolejny wykład.

Ruszyła szerokim chodnikiem w stronę centrum miasta i w pewnej chwili tuż za nią zatrzymało się auto Godfrey'a. Przypuszczała, że spławił żonę – może przyjechała własnym samochodem – i już zamierzała wsiąść, gdy nagle się zorientowała, że na fotelu pasażera siedzi pani Waugh. O mało nie umarła.

– Pani Preece, dzień dobry – zawołała Barbara przez otwarte okno. – Może panią podrzucić? – I po chwili: – Chyba mnie pani pamięta? Poznałyśmy się na otwarciu rezerwatu Wildlife Trust.

– A rzeczywiście – przytaknęła Anne.

Godfrey gapił się przed siebie ponad kierownicą. Najwyraźniej pomysł, żeby się zatrzymać, wyszedł od Barbary. Nie powiedziała mężowi o ich miłym spotkanku w

Alderwhinney i chciała mieć pewność, że Anne też o tym nie wspomni, gdyby na siebie wpadli w White Hart. Anne to odpowiadało. Z perspektywy czasu wykonany pod wpływem impulsu telefon do Barbary uważała za dziecinny odruch mściwości. Wolała, żeby Godfrey się o tym nie dowiedział.

– Szła pani do hotelu, pani Preece? – spytała Barbara, kiedy Anne wsiadła do tyłu. – Domyślam się, że pan Furness zaprosił wszystkich, którzy byli na pogrzebie.

– Nie, nie znałam Belli aż tak dobrze. A na pogrzeb przyszedłam tylko ze względu na Rachael. Żeby jej dodać otuchy, bo jest bardzo przygnębiona.

– W takim razie może podwiozę panią do Langholme? Zaparkowałam tu niedaleko swój samochód, a Langholme jest mi prawie po drodze.

– Chciałam się trochę poszwendać po Kimmerston. Od rozpoczęcia projektu nie miałam okazji...

Barbara wyglądała na zawiedzioną i Anne się wystraszyła, że zaraz zaproponuje wspólny babski lunch i rundkę po sklepach. Ale ona tylko rzuciła:

– Oczywiście, rozumiem.

Godfrey odwiózł żonę pierwszą i wysadził przy parkingu obok Centrum Sportu.

– Ja też tu wysiadę – oznajmiła Anne. – Stąd mam już niedaleko.

Ale Barbara nie chciała o tym słyszeć i uparła się, żeby Godfrey zawiózł Anne, dokąd ta sobie zażyczy. Tak więc pojechała z nim do White Hart. On poszedł do hotelu, żeby, jak to ujął: „przynajmniej się pokazać”, ona ruszyła

pieszo w głąb uliczki do kawiarni. Zamówiła cappuccino i czekając na Godfrey'a, czytała „Cosmo”.

Gdy się zjawili, pojechali na lunch do miasteczka na południu, wokół którego kiedyś były stocznie i kopalnie węgla kamiennego. Mieli pewność, że w takim miejscu nie spotkają nikogo znajomego. A poza tym wydawało się, że Godfrey czuje się w tej miejscinie jak w domu. Anna za to odnosiła wrażenie, jakby znalazła się w obcym kraju. Zabite płytami witryny sklepów, zaśmiecone ulice, kobiety z gołymi nogami, pchające wózki z upačkanymi bobasami – to wszystko, tak odległe od Livvy Fulwell i Holme Park, dziwnie ją ekscytowało.

Jednak nawet w takiej zapyziałej dziurze Godfrey znalazł wyjątkowe miejsce, żeby coś zjeść. Cudowna restauracyjka, nieduża, dyskretna, mieściła się w szeregowcu między staroświeckim parkiem a przystanią promową. Prom przewoził ludzi wracających z zakupów na drugą stronę ujścia rzeki. W przeszłości w tych budynkach mieściły się biura naczelnika portu i mała skromna jadłodajnia. Ściany pokryte fotografiami łodzi podwodnych i kapitanów statków nadawały pomieszczeniu wygląd mesy oficerskiej. Teraz, o drugiej po południu, sala świeciła pustkami. Właściciel od razu ich rozpoznał i posadził przy ich ulubionym stoliku.

– Podać coś do picia? – spytał. – To co zawsze? Czy może państwo się dzisiaj spieszą?

Czasami się spieszyli. Miejscowość znajdowała się godzinę drogi od Kimmerston, a Godfrey'a czekały jeszcze spotkania.

– Nie – odparł teraz. – Mamy wolne całe popołudnie.

Więc właściciel przyniósł im drinki, kartę i wrócił do swojego stołka za barem i książki. Czytał *Braci Karamazow*, ale zanim wziął się do lektury, podniósł na nich wzrok i zawołał:

– Szef kuchni jest dzisiaj w dobrej formie, więc możecie państwo liczyć na jakąś jego specjalność.

Szefowi zdarzały się gorsze dni. Był alkoholikiem, zwykle nie pił, ale od czasu do czasu ulegał silnemu pragnieniu, żeby sobie łyknąć. Anne i Godfrey uśmiechnęli się do siebie.

– Przepraszam za to, co się wydarzyło – zagadnął Godfrey. – Ale Barbara się uparła.

– Nie ma sprawy.

– Nabrałyby podejrzeń, gdybym się nie zatrzymał.

– Ale ona niczego nie podejrzewa, prawda? – Kiedy pani Waugh na otwarciu rezerwatu wyszła ze swoim zaskakującym zaproszeniem, Anne pomyślała, że prawdopodobnie chodzi o to, że chce się bliżej przyjrzeć swojej rywalce.

– Nie, oczywiście że nie.

– A jak tam było na... – Nie bardzo wiedziała, jakiego słowa użyć. „Przyjęcie” kojarzyło się z weselem, a „konsolacja” brzmiało stanowczo za poważnie na określenie zimnego bufetu serwowanego w White Hart. – Na spotkaniu po pogrzebie?

– W porządku. Chyba. Dość szybko wyszedłem.

– A Neville? Jak on to wszystko znosi? – Musiała podłapać jakąś dozę wrogości od Barbary, bo to, co miało

być zwykłym pytaniem, wypadło trochę jak sarkazm. Jednak Godfrey raczej nie zwrócił na to uwagi.

– Bella Furness była jego macochą, nie matką. Nie sądzę, żeby utrzymywali bliski kontakt. A co? Oczekiwałaś, że popadnie w rozpacz?

– Nie, skąd – odparła. – Zupełnie nie. Zawsze robił na mnie wrażenie zimnej ryby.

– Znaczy... to nie tak, że nic go to nie obeszło. Zorganizował przecież całkiem porządny pogrzeb.

– Czy teraz coś się zmieni w kwestii twoich planów dotyczących kopalni? Neville przejął zarząd nad ziemią w Black Law.

– A dlaczego miałyby to wpłynąć na moje plany?

– Dojazd do kopalni byłby o wiele łatwiejszy, gdyby Neville udostępnił ci drogę.

Godfrey, marszcząc czoło, pograżył się w studiowaniu karty. Anne zaczęła przypuszczać, że nie usłyszy odpowiedzi.

– Nie wiem, czy to do końca etyczne, żebyśmy rozmawiali na temat kopalni. – Przyjął żartobliwy ton, ale w rzeczywistości ją ostrzegał.

Teraz już rozumiała, dlaczego Barbara czuła się wykluczona.

– Jak to?

– Mógłbym wpływać na wyniki twoich badań.

– O tak! – wykrzyknęła. – No racja. Od przeszło roku mamy romans, ale to rozmowa o Neville’u Furnessie może zamącić mi w głowie i przeciągnąć mnie na złą stronę. Daj spokój, nie ośmieszaj się.

- Musimy być ostrożni. Właśnie z powodu romansu.
- Naprawdę? – Rozłościła się, że uznał, że musi to powiedzieć. Później coś w jego głosie, w sposobie, w jaki opuścił wzrok na kartę, kiedy chciała spojrzeć mu w oczy, sprawiło, że zapytała: – Bo co? Ktoś coś mówił?
- Nie.
- Ale sądzisz, że się może domyślać?
Wzruszył ramionami.
- Mam prawo wiedzieć, nie uważasz?
- Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do Riverside...
Kiedy wyszliśmy razem, wydawało mi się, że rozpoznałem samochód, który stał po drugiej stronie drogi. Ktoś nas mógł widzieć. To wszystko.
- Kto? Czyj był ten samochód?
- Neville’a Furnessa.
- Och! – jęknęła. – No to świetnie. – I pomyślała, że podejrzenie Barbary, że Neville wywiera nacisk na Godfrey’a, wcale nie musiało być aż tak bezpodstawne. Godfrey zgodziłby się na wiele, żeby tylko nie sprawić przykrości żonie i córce. – Czy Neville coś mówił? – spytała nerwowo.
- Nie.
- Nawet nie wprost? Na tej inwestycji zbiłby fortunę.
- Nawet nie wprost – warknął poirytowany.
- Anne jeszcze nigdy nie widziała, żeby tak się na nią wkurzał.
- Przepraszam – wymamrotała. – Chociaż nie pojmuję, dlaczego tak się irytujesz.
- Takich uwag wystarczająco dużo wysłuchuję w

domu.

– To znaczy jakich?

– Barbara uważa, że Neville ma na mnie za duży wpływ. Pomysł z wybudowaniem kopalni od początku jej nie leżał. A odkąd zabraliśmy się do realizacji, dostała prawdziwej obsesji.

– I może nie bez powodu.

– Nie, nie rozumiesz. Neville taki nie jest. – Podał jej kartę. – Słuchaj, złożmy zamówienie. Rod będzie się zastanawiał, co się dzieje. – Chociaż Rod nadal w najlepsze pochłaniał Dostojewskiego. – Może to? Kiełb zapiekany w szalotkach z młodymi ziemniaczkami?

– Dobrze – zgodziła się. – Wszystko jedno.

Do momentu, aż właściciel podał potrawy, milczeli, potem skupili się na jedzeniu.

– Powiedz mi w takim razie – przerwała ciszę Anne. – Jeśli Neville nie jest typem szantażysty, to jaki on w końcu jest?

– Zwyczajny, przyzwoity facet. Chyba trochę samotny. I nieco nieśmiały. – Godfrey się uśmiechnął. Anne widziała, że chce ją udobruchać. – Przydałaby mu się jakaś fajna babeczka. Poza tym, gdyby był takim potworem, jak go przedstawia Barbara, czy ja bym go zatrudnił?

– Gdybyś uważał, że do czegoś ci się przyda, czemu nie?

– Nieprawda. Oczywiście zależy mi, żeby firma się rozwijała. Miarą tego, jak mi idzie, są moje sukcesy. Ale nie zamierzam ich osiągać za każdą cenę.

– Dlaczego odszedł z Holme Park?

– Nie wiem. To znaczy nie znam szczegółów. Ale mogę ci opowiedzieć, jak ja go zatrudniłem, jeśli cię to interesuje.

– Tak, interesuje – odparła wyzywająco. – Chętnie posłucham, jeśli tylko uważasz, że to w porządku, że mi o tym opowiesz.

– Prowadziłem wstępne rozmowy z Robertem i Olivią Fulwellami na temat kopalni. To oni wyszli z pomysłem, żeby nawiązać współpracę. A raczej ona. Furness brał udział w niektórych spotkaniach. Przyznam, że mi zaimponował. Odniosłem też wrażenie, że nie jest za bardzo zadowolony. Jego stosunki z panią Fulwell wydawały się dość... napięte. Zaproponowałem mu pracę u siebie, a on się zgodził.

– A Livvy Fulwell? Co ona na to? – Jego spokojne wyjaśnienie przekonało Anne. Rozluźniła się i nawet rozbawiła ją myśl, że Godfrey podkradł Livvy Neville'a.

– Nie mam pojęcia. Nie mój interes. – Nalał sobie drugi kieliszek wina, chociaż rzadko aż tyle pił. Wyglądał na zmęczonego.

Anne odsunęła talerz, na którym zostały ości i gałązki tymianku. Wyciągnęła do Godfreya rękę ponad stołem, powtarzając gest, który ich połączył.

– Wybacz. Nie powinnam wątpić w twój rozsądek.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak w ostatniej chwili chyba zabrakło mu odwagi.

Przesiedzieli w restauracji całe popołudnie. Dokończyli wino, potem wypili kilka kaw. Pod koniec Rod przyjął od

nich zapłatę i powiedział, że ich zostawia i żeby sami się wypuścili. Już dużo wcześniej wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Anne znowu odniosła wrażenie, że Godfrey szykuje się do zwierzeń, ale siły na to zebrał dopiero wtedy, kiedy opuścili restaurację.

Spacerowym krokiem poszli do centrum miasteczka, gdzie na strzeżonym parkingu, z którego zawsze korzystali, zostawili samochód. Anne, czekając, aż Godfrey wydusi w końcu, co mu leży na sercu, spojrzała w swoje odbicie w witrynie sklepu z precenionym obuwiem. Wyglądam tak okropnie staro, pomyślała. On chce ze mną zerwać, właśnie o tym zamierza mówić. To dlatego się dzisiaj ze mną kłócił. W tym momencie Godfrey wreszcie powiedział:

– Chodzi o Barbarę.

– To znaczy? – Niepokój sprawił, że jej głos zabrzmiał agresywnie i nienaturalnie piskliwie.

– Nie wiem, czy potrafię z nią dalej żyć.

– Co ty gadasz?

Zatrzymał się na środku chodnika. Na ulicy było tłoczno, pełno spieszących się dorosłych, dzieci, które wracały ze szkoły. Przechodnie przepływali obok szerokim strumieniem, ale nie zwracali na nich uwagi. Przywykli do kłócących się publicznie par.

– Pytam, co ty o tym sądzisz?

– Nigdy nie chciałam was rozdzielić. Nie miałam takich intencji.

– Nie ty tu zawiniłaś. To Barbara. Ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile jej zawdzięczam...

– Gdybyś się z nią nie ożenił, wciąż byłbyś zwykłym kamieniarzem?

– Nie tylko to – zirytował się, bo stracił wątek. Gdy się znów odezwał, mówił podniesionym głosem, mimo to ludzie na ulicy nadal nie reagowali. – Cóż... wolałbym być z tobą. To znaczy... jeszcze nie teraz. Dopiero kiedy Felicity podrośnie, kiedy się usamodzielni. Po wybudowaniu kopalni. Ale muszę wiedzieć, jak ty się na to zapatrujesz.

Dopiero w tej chwili do Anne dotarło, że Godfrey wcale z nią nie zrywa.

– Mielibyśmy być razem oficjalnie, otwarcie?

– Gdybyś chciała, możemy się pobrać.

Następnego dnia rano, kiedy wysadził ją na początku drogi prowadzącej do chaty, czuła się tak, jakby znów miała piętnaście lat. Całą noc nie spała. To była ich pierwsza wspólnie spędzona noc. Godfrey zasnął dość szybko, a ona leżała obok niego i wsłuchiwała się w jego spokojny, równy oddech. Mimo to teraz czuła, że energią ją rozsadza, że mogłaby pracować cały dzień. I że zrobiłaby wszystko, o co Godfrey Waugh ją poprosi.

Gdyby nie to, że w ciągu tygodnia po pogrzebie od czasu do czasu wyrywała się na spotkania z Godfreyem, na pewno by zwariowała. Siedzenie w chacie z dwiema innymi kobietami znosiła gorzej niż pobyt w szkole. Myślała nawet, żeby się przenieść do domu, mimo że miałyby daleko do pracy, ale do Priory już wrócił z Londynu Jeremy i chyba planował zostać dłużej. Był jakiś skapcianiący. Może pokłócił się lub rozstał z kochankiem albo nie wyszedł mu jakiś interes, tak czy inaczej zachowywał się jak mały potrzebujący pocieszenia chłopiec i Anne nie miała do niego cierpliwości. Nie w tym momencie.

Rachael jakoś jeszcze potrafiła znieść. Miała ją za sfrustrowane, sztywne i zarozumiałe babsko, ale przynajmniej normalne. Lecz jeśli chodzi o Grace, od czasu, gdy ją zobaczyła przy bliźniakach pracowniczych w Holme Park, wiedziała, że dziewczyna jest porządnie stuknięta. Anne nie była paranoiczką ani panikarą, jednak kiedy Grace chodziła nocami po chacie – szeleszcząc koszulą nocną i klapiąc bosymi stopami po podłodze – ogarniał ją strach. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby tej pannie do końca odbiło. A wolą nie skończyć ze scyzorykiem Grace pod żebrami.

Tak więc w pubie powiadomiła Rachael, że się przenosi do pakamery. Drzwi nie miały zamka, ale przynajmniej mogła podeprzeć je od wewnątrz krzesłem i nie musiałyby się bać nocnych wędrówek Grace. Wypad

do pubu wymyśliła Rachael. Chodziła na kursy zarządzania i pewnie uznała, że to dobry sposób na zintegrowanie zespołu. Ale ponieważ Grace cały wieczór spędziła w budce telefonicznej na zewnątrz, a Anne wykorzystała jej nieobecność, żeby powiedzieć Rachael, co sądzi o ich koleżance po fachu, próba integracji raczej się nie powiodła.

– Widziałaś jej dokumenty? – pytała. Chociaż wiedziała, że Rachael się to nie spodoba, zdążyła już sporo wypić i to w dość krótkim czasie. Trudno, potrzebowała tego.

– Jeszcze nie. To znaczy tylko pobieżnie je przejrzałam.

– Mamy tu przypadek totalnego odlotu. Mówię poważnie. Raz spotkałam ją poza terenem badań. Daleko od najbliższej rzeki. A w ogóle, skąd ty ją wytrzasnęłaś?

Rachael wymamrotała coś, że to decyzja Petera. Żaden z niej materiał na menedżera, mimo kursów i stopni naukowych, pomyślała Anne.

Następnego dnia czuła, że przydałoby jej się coś, co by ją podniosło na duchu. Klasyfikacja roślin przebiegała bez problemów. Kwadraty na torfowisku obfitowały w ciekawe okazy. Nic na tyle wyjątkowego, żeby projekt kopalni mógł być zagrożony, ale Anne sprawiało radość, że jest tam tyle różnych gatunków. Po wizycie w pubie męczył ją kac, więc tym bardziej potrzebowała przerwy od pracy.

Podczas ostatniego spotkania Godfrey sprezentował jej komórkę, łatwiej mogli się ze sobą kontaktować.

Nikommu o niej nie powiedziała i kiedy Rachael i Grace były w pobliżu, trzymała ją wyłączoną. Nie musiała robić z tego takiej tajemnicy – najwyżej powiedziałyby, że sama ją sobie kupiła – ale wiedziała, co by się stało. Rachael potraktowałyby telefon jak wspólną własność i zasugerowała, żeby dla bezpieczeństwa zabierała go ze sobą ta osoba, która wybiera się najdalej w teren. Gdyby Anne się nie zgodziła, wyszłaby na bezdusznego potwora. A co tam, mam to gdzieś, myślała. Gdyby Peter Kemp nie był takim pieprzonym dusigroszem, każdą z nich zaopatrzyłby w komórkę. I jeszcze jeden powód, dla którego chciała mieć własny kąt: mogła ładować telefon, tak żeby nikt tego nie widział. Tego poranka Rachael pojechała do Kimmerston na spotkanie z Peterem i inwestorami. Grace, bardziej ogarnięta niż w ciągu wielu ostatnich dni, nawet zrobiła kawę i z własnej woli poinformowała, że wychodzi na cały dzień. Kiedy tylko obie się zmyły, Anne zadzwoniła do Godfrey'a na jego komórkę.

– Przyjedziesz do mnie? To się zabawimy.

– No nie wiem...

– Przecież nie planowałeś iść na spotkanie z Kempem?

– Bo dopiero teraz się dowiedziałem, że się odbędzie. Pewnie Neville je umówił.

– Skoro Neville jest takim cudownym facetem, jak twierdzisz, namów go, żeby poszedł sam. Każ mu przetrzymać Rachael, będziemy mieli więcej czasu.

– Nie mogę go w to wplątywać.

– Dlaczego? Przecież i tak już nas widział razem – umilkła na chwilę. – Masz długopis?

– Oczywiście.

– Zapisz, co kupić w Tesco. To po drodze.

– Mam przyjechać do Black Law?

– A czemu nie? Siedzę tu sama. Dziewczyny wybyły.

– No... – mruknął. – Ktoś może mnie zobaczyć.

– I co z tego? Masz prawo od czasu do czasu obejrzeć miejsce inwestycji.

– Chcę cię zobaczyć.

– Więc przyjedź.

Kiedy się zjawił, był objuczony siatami niczym podmiejski mężuś. Wydawało się, że ta rola mu odpowiada. Pewnie robi zakupy dla Barbary, stwierdziła Anne. Ona też jak podmiejska żoneczka rozpakowała sprawunki. Godfrey podał jej foliowaną tackę z piersiami kurczaka.

– Nie powinniśmy ich wstawić od razu do piekarnika, jeśli chcemy je zjeść na lunch?

– Żartujesz? Później się tym zajmę. Teraz nie zamierzam marnować czasu.

To był szary, pochmurny dzień, więc napaliła w kominku. Zrobili sobie przed nim ucztę. Anne kazała Godfreyowi kupić sałatę, pieczywo, ser, oliwki i czekoladę.

– Jest tu wszystko, co kocham najbardziej na świecie – cieszyła się.

– A ja?

– Ty? – powtórzyła. – Och, chyba nie mogłabym zakochać się w kimś, kto tak się domaga komplementów!

– Ale odsunęła na bok słoiczek z oliwkami i przyciągnęła Godfreya do siebie.

Akurat byli w środku akcji – Godfrey miał zsunięte spodnie, ona leżała pod nim bez stanika – gdy pojawiła się Grace. Usłyszeli, że drzwi kuchenne się otwierają, potem z trzaskiem zamykają, i zamarli. Godfrey zaczął szybko zbierać ubrania. Za późno. Grace wkroczyła do salonu i ich zobaczyła. Stała w drzwiach i patrzyła na nich pustym wzrokiem, rozproszonym, jakby myślami wędrowała zupełnie gdzie indziej.

Nie odezwała się ani słowem. Nawet nie powiedziała: „Przepraszam, że wam przeszkodziłam”, co Anne uznała za bezczelność. Po prostu odwróciła się i wyszła. Anne kusilo, żeby pozwolić jej odejść. A niech wygada, że Preece pieprzy się w chacie z Godfreyem Waughem. Zaraz jednak doszła do wniosku, że gdyby ich romans się wydał, kłopoty miałyby nie tylko Godfrey. Zapięła stanik i włożyła bluzkę. W kuchni Grace stała przy stole i pisała coś na kartce z notesu.

– Myślałam, że wrócisz dopiero wieczorem – zaczęła Anne.

Grace nie odpowiedziała.

– A w ogóle, dlaczego tu jesteś?

– Zapomniałam napisać, dokąd idę i o której wrócę.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o to, co właśnie...

– To nie moja sprawa, prawda?

Raczej go nie rozpoznała, myślała Anne, inaczej jakoś by to skomentowała.

– Nie obchodzi mnie, z kim się zadajesz – dodała

Grace.

Teraz Anne już nie była taka przekonana.

– Posłuchaj – powtórzyła i nawet ona wychwyciła nutę desperacji w swoim głosie. – On ma żonę. I dziecko. Nikt o nas nie wie. Zatrzymasz to dla siebie?

Dziewczyna popatrzyła na nią. Anne zupełnie nie umiała odszyfrować, co Grace czuje. Pogardę? Litość? Zazdrość?

– Nie martw się – odparła w końcu. – Nikomu nic nie powiem.

– Dzięki. – Anne była zaskoczona, jak dużą ulgę sprawiła jej ta odpowiedź. Dlatego chciała się zrewanżować. – Może później coś ugotuję. Dla nas trzech. Zapiekankę z kurczakiem. Czas zacząć się dogadywać. Co ty na to?

Grace wzruszyła ramionami.

– Okej – rzuciła tylko, choć wcześniej zamierzała przypomnieć, że jest wegetarianką. Ruszyła do drzwi, zatrzymała się przy nich i posłała Anne cień uśmiechu. – No to zostawiam was, żebyście się dogadywali.

Za tę próbę zażartowania, za to, że jej odpuściła, Anne chętnie by wyściskała Grace.

Ale kiedy wróciła do salonu, zobaczyła, że Godfrey jest już ubrany. Koszulę zapiął pod szyję, zawiązał krawat.

– Co robisz? Pozbyłam się jej.

– Co mówiła?

– Nic. I nic nie powie – umilkła. – A ja jej wierzę.

– Nie powinienem tu przyjeżdżać. Wiedziałem, że to ryzykowne.

Zrobił taką patetyczną minę, tak bardzo przypominał Jeremy'ego, że Anne się zirytowała.

– Myślałam, że mieliśmy się ujawnić. Nie o tym wspominałeś w restauracji na wybrzeżu?

– Ale jeszcze nie teraz. Nie w ten sposób. – Rozejrzał się po zabałaganionym pokoju, na podłodze wałały się resztki po posiłku.

– No i dobrze! – krzyknęła. – Bardzo dobrze! Bo ja też nie chcę się wiązać. Nigdy nie chciałam.

Gapili się na siebie.

– Przepraszam. – Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć rękawa jego bawełnianej koszuli. – Przynajmniej dokończ wino. Właśnie pierwszy raz się pokłóciliśmy. Jest co świętować.

– Nie. – Po chwili już łagodniej: – Przejdę się do kopalni. Żeby mieć wymówkę, gdyby ktoś rozpoznał mój samochód.

– A kto go rozpozna? Nie popadaj w paranoję.

– Idę. Jeszcze raz obejrzę teren.

– Pójdę z tobą.

– Nie, nie trzeba, naprawdę. Wolę sam się przejść.

Anne została i posprzątała salon. Zebrała pozostałości po uczcie, talerze i kubki, potem poszła na górę i w łazienkowym zlewie uprała kilka rzeczy. Dzień nie nadawał się do tego, żeby suszyć ubranie na dworze, mimo to wyniosła mokre ciuchy na zewnątrz i rozwiesiła na sznurku – z podwórka będzie widziała, jak Godfrey wraca ze wzgórza. Bez pretekstu nie poleciałaby go wyglądać. Ale ani po nim, ani po Grace nie było śladu.

Wróciła do domu i zaczęła przygotowywać zapiekankę ze składników kupionych przez Godfreya. Puściła sobie płytę Annie Lennox i słuchała jej bardzo głośno, tak żeby Godfrey, jak wróci, wiedział, że wcale na niego nie czekała. Ale powtarzała sobie, że na pewno wkrótce się zjawi, skruszony, rozpalony po marszu, zziębnięty. Pomyślała, że facet musi głupio wyglądać, chodząc po wzgórzach w garniturze, który włożył rano do biura.

Jednak mijały godziny, a on nie wracał. W końcu usłyszała warkot silnika jego samochodu. Wybiegła na podwórko, ale Godfrey już gazem odjeżdżał w stronę brodu. Musiała pójść i zamknąć za nim bramę. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się zatrzymać i samemu ją zamknąć.

Później próbowała go złapać w firmie, ale sekretarka – na pewno rozpoznała głos Anne – poinformowała, że szef nie odbiera żadnych telefonów.

Na początku dziwiła się, że Grace się spóźnia. Sądziła, że się porozumiały, nawet przypuszczała, że odtąd zaczną się lepiej dogadywać. Potem uznała, że dziewczyna chce jej w ten sposób coś pokazać i że niekoniecznie może liczyć na jej milczenie. Próbowała przekonać Rachael, że prawdopodobnie nic złego się nie stało, ale ta się uparła i polazła szukać tej głupiej krowy – darła się i tylko robiła widowisko.

Jeszcze później, gdy zapadł zmrok, a Grace wciąż nie było, zastanawiała się, czy przypadkiem Godfrey nie pobiegł za tą panną i czy jej nie nastraszył. Ogólnie nigdy by go o coś takiego nie podejrzewała – zwykle jest bardzo

opanowany, nie wpada w histerię – ale dzisiaj bardzo dziwnie się zachował. Odjechał bez pożegnania, a potem nie chciał odebrać telefonu. To do niego nie pasowało. Zresztą żeby wystraszyć Grace, naprawdę nie trzeba wiele. I bez tego wydawała się jakaś wypłoszona. Anne wyobraziła sobie, jak Grace maszeruje do najbliższej szosy, zatrzymuje okazję i odjeżdża tam, skądkolwiek przyjechała.

W końcu nie mogła już dłużej znieść paniki Rachael. Udawała, że jest spokojna, ale martwiła się o Godfrey'a. Że go straci. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak dużo planów na przyszłość z nim wiązała. Poszła się położyć i chociaż sądziła, że nie zmruży oka, bardzo szybko zasnęła. Nie słyszała przyjazdu ekipy ratowników i o śmierci Grace dowiedziała się dopiero następnego dnia. Wcześniej rano obudził ją płacz Rachael.

GRACE

W dzień po przyjeździe do chaty Baikie obudziła się raptownie. Widząc, że już jasno, zorientowała się, że zasnęła i że może mieć z tego powodu problemy. Rozglądała się, przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. W salonie stały piętrowe łóżka, pewnie żeby podczas zajęć w terenie w chacie pomieściło się jak najwięcej studentów. Na łóżkach nie było pościeli, ale na każdym w nogach leżał złożony szary koc. Poduszki obleczone w pasiaste powłoczki. W powietrzu unosił się lekki odór stęchlizny, który natychmiast wywołał u niej skojarzenia z innym miejscem, w którym mieszkała. Dlatego znów się pogubiła.

Potem Rachael zawołała ze schodów:

– Kawa już gotowa, jak chcesz. Co będziesz jadła na śniadanie?

Więc szybko wróciła do teraźniejszości. Zobaczyła, że jeszcze jedno łóżko jest posłane, i przypomniała sobie Anne, ich jazdę ze stacji przez Langholme. Pamiętała, jak skręciły z głównej szosy w leśną drogę, a potem wyjechały na otwarte wzgórza. I to uczucie, kiedy wyłaniały się z lasu, że znalazła się w zupełnie innym świecie. Dziecięca fantazja, snuta w szafie, o tajemniczym miejscu z bajki.

– Mogą być grzanki? – W głosie Rachael brzmiała nuta zniecierpliwienia.

– Tak, proszę. Już zaraz idę.

Rozsunęła zasłony. Za ogrodem, nadal spowitym cieniem, wzgórza tonęły w słońcu, więc zeszłoroczne

paprocie lśniły jak miedź. Ubrała się i zeszła do kuchni.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogłam nastawić budzika.

Rachael mierzyła ją wzrokiem. Z troską, współczująco. Grace widziała wcześniej takie spojrzenia.

– Nie ma problemu. Musimy tylko dotrzymać terminu, a jak sobie ułożymy grafik, to już nasza sprawa. Ale pomyślałam, że cię obudzę, bo zła pogoda na pewno zabierze nam kilka dni.

Anne się uśmiechnęła. Grace próbowała odpowiedzieć tym samym, chciała być miła, ale nie potrafiła oszukiwać. Kuchnia była tak mała, że musiały stać blisko siebie i czuła się odsłonięta. Zeszłego wieczoru to głównie Anne mówiła. Grace udawała, że słucha, ale tak naprawdę myślała głównie o swoich sprawach. Teraz wypła kawę, zjadła grzankę i jak najszybciej przygotowała się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – spytała Rachael, gdy Grace podeszła do drzwi.

– Słucham?

– Muszę wiedzieć, gdzie będziesz. Zasady bezpieczeństwa i higieny pracy. Już wyjaśniałam.

– Tak, tak, oczywiście.

Rachael, z grzanką w dłoni, nadal stała, bo nie miała na czym usiąść. Grace rozłożyła mapę na laminowanym stole.

– Stwierdziłam, że zacznę od terenów przy chacie. Przejdę się wzdłuż Skirl, przyjrzę się terenowi, zobaczę, czy są tam odchody wydr, popatrzę, jak wygląda brzeg. Do drugiej powinnam wrócić.

– W porządku.

Najwyraźniej uspokoiła Rachael, bo ta już tak dziwnie na nią nie patrzyła. Powinna bardziej uważać. Nagle przyszło jej na myśl, że Rachael – z tymi dużymi przednimi zębami, kasztanowymi włosami, które już siwiały, i wydatnymi ustami – sama wygląda jak wydra.

– Bierzesz coś do jedzenia? – spytała. – Jest ser, chleb też się jeszcze nadaje.

– Nie. – Potem, widząc, że przydałoby się jakieś wyjaśnienie, dodała: – Zjem, jak wrócę. – W rzeczywistości nigdy nie zawracała sobie głowy jedzeniem, co dość dziwne, biorąc pod uwagę profesję jej ojca.

Wyszła drzwiami kuchennymi, okrążyła chatę, minęła stodołę z traktorem i zajrzała do ogrodu. Trawnik, na którym latem studenci grywali w krykieta, nie był jeszcze skoszony. Dokoła rosły krzaki i krzewy, a granicę wyznaczał kamienny murek. Żadnej furtki prowadzącej na otwarte zbocze wzgórza, tylko dwa duże kamienie ułożone po obu stronach murku i drewniany palik wbity obok w ziemię. Do strumienia przez gęste paprocie wiodła ścieżka wydeptana zapewne przez studentów i owce. Potok Skirl miejscami był szeroki jak rzeka i zdaniem Grace mogły tu żyć wydry. Odnosiła nawet wrażenie, że czuje ich zapach.

Po sznurku płaskich głazów przeszła przez strumień. Od przejrzystej wody odbijało się słońce, w pewniej chwili ten ostry blask ją oślepił i mało brakowało a straciłaby równowagę. Po drugiej stronie rozciągał się mały bagnisty pas ziemi. Grace wdrapała się na spadzisty brzeg i ruszyła w stronę kopalni ołowiu.

Szła wzdłuż brzegu, wypatrując zagłębień w terenie i charakterystycznych, o silnym rybim zapachu odchodów wydr. Właśnie za całościowe studium odchodów tych ssaków otrzymała wyróżnienie na zakończenie studiów. Za to i za zaangażowanie. Życie towarzyskie i randki rzadko odciągały ją od nauki. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej, kiedy się ubiegała o tę pracę, Peter Kemp powiedział: „Chyba wiesz, że na tych wzgórzach nie za bardzo jest co robić. Przynajmniej wieczorami. Nie będziesz się nudziła?”

– O nie – zapewniła, w zasadzie zgodnie z prawdą. Oczywiście nie wyjawiała, że ma osobiste powody, żeby wziąć udział w projekcie.

Przemierzyła trasę wzdłuż strumienia od farmy Black Law aż po majątek i starą kopalnię. Tam nurt był ujęty w kamienny przepust. Pewnie kiedy jeszcze kopalnia działała, strumień wykorzystywano w procesie wydobywczym. Może do spłukiwania rudy albo do poruszania koła wodnego. Granica między Holme Park a farmą nie została zaznaczona na mapie, ale Grace zakreśliła ją ołówkiem. Wiedziała, że nie popełniła błędu, bo za kopalnią, gdzie strumień znowu się rozszerzał, natknęła się na wrzuconą do wody nieżywą łasicę. Rude futro wyglądało na nienaruszone, ale zwierzę już zeszywniało. Trochę dalej znalazła tunelową pułapkę, która zabiła łasicę. Sprężynowe sidła zamontowane w starej rurze ktoś umieścił w zapadlinie i przysypał kamieniami. Nie widziała śladów innych martwych zwierząt, ale w pobliżu pułapki roznosił się odór gnijącego ciała. To musiał być teren Holme Park, bo tylko nadzorca

zadałby sobie tyle trudu. Chciała zablokować wejście do pułapki, ale w końcu uznała, że lepiej tego nie robić. Na tym etapie wołała nie ściągać na siebie niczyjej uwagi.

Znalezienie truchła ją przygnębiło, chociaż nie bardzo rozumiała dlaczego. Może dlatego, że łasica nie miała żadnych widocznych ran. Postanowiła o tym nie myśleć i iść dalej, ale niemal po chwili wydało jej się, że gdzieś za sobą słyszy kroki i chlupotanie wody. Odwróciła się, jednak na wzgórzu nikogo nie zobaczyła. Nie było tam gdzie się schować, nie licząc starej kopalni, ale kto ukrywałby się w takim miejscu? Uznała więc, że znowu poniosła ją wyobraźnia.

Ruszyła wzdłuż brzegu i zaczęła liczyć, ale nie ślady wydr, tylko przybranych rodziców, którzy się nią opiekowali, chociaż dobrze wiedziała, ile było tych par. W myślach wymieniała ich nazwiska. Ostatnio ta wyliczanka stała się jej obsesją. Zdawała sobie sprawę, że to zaabsorbowanie przeszłością jest niezdrowe i może gdyby nie martwa łasica, słoneczny dzień i zapach torfowisk sprawiłyby, że stare wspomnienia by jej nie nachodziły.

A może jednak nachodziłyby. Opowieść Rachael o tym, jak w świetle latarki znalazła zwłoki Belli, spowodowała, że przeszłość mieszała jej się w głowie z teraźniejszością. To ta historia wywołała w niej chaos. Jakby dziecko potrząsnęło pudełkiem z puzzlami. Obrazek się rozpadł. Matka Grace też się powiesiła.

Przebywała w sześciu rodzinach zastępczych. W miejscowym oddziale pomocy społecznej, w przypadku takiego dziecka jak ona, to stanowiło pewnego rodzaju

rekord. Początkowo wszyscy uważali, że Grace szybko zostanie zaadoptowana. Ładna, biała dziewczynka, czteroletnia. Dobrze wychowana i grzeczna. Nie miewała napadów złości. Czasami moczyła się w łóżko, ale tego można się było spodziewać po dziecku, które weszło z ogrodu do domu i zobaczyło, że matka wisi na pasku od szlafroka przywiązany do żyrandola. Tamtego poranka też świeciło słońce. Psycholog twierdził, że Grace jest bardzo inteligentna.

Pierwsza para: ciotka Sally i wujek Joe. Ledwie ich pamiętała, bo po niedługim czasie ją stamtąd zabrano. Pewnie została umieszczona u nich na zasadzie awaryjnej, ale znała ich imiona, ponieważ pani z pomocy społecznej prowadziła dla niej album. Jednak zdjęć wujostwa w nim nie było.

Przecięła strumień, żeby wrócić na południowy brzeg. Tym razem brodziła w wodzie, czuła jej nurt pod miękką gumą drogich kaloszy. Chociaż to głupie, wolała ominąć zabudowania kopalni i rurę z siłkami. Głośno wymówiła imiona wujostwa: Sally i Joe, i nagle przez głowę przemknęło jej niewyraźne wspomnienie sukienki w kwiecisty wzorek, woni dymu z papierosów i że ktoś wbrew jej woli przytrzymuje ją na kolanach.

Drugą parę pamiętała lepiej. Ci ludzie mieli ją zaadoptować. Ostatnio ciągle wracała do nich pamięcią. To było jak szturchanie językiem bolącego zęba.

W tym domu była długo, na pewno kilka miesięcy, może rok. Poszła do szkoły. Szkoła mieściła się w nowoczesnym ceglany budynku z dużymi oknami. Na podłogach leżała wykładzina. Ze względu na nią uczniowie musieli bardzo starannie wycierać buty przed wejściem. Codziennie rano Lesley przeprowadzała ją przez białą drewnianą bramę, otwartą, żeby nauczyciele mogli wjechać na podwórze swoimi samochodami. Potem szła z nią do szatni i pomagała powiesić palto. Na do widzenia próbowała Grace całować. W klasie każdy miał po dwa pudełka, jedno na książki, drugie na śniadanie. Pudełko śniadaniowe Grace było z różowego plastiku i z boku widniał na nim rysunek Barbie. Do pudełka na książki każdego dnia Grace odkładała jedną książkę. Zaczęła już czytać te z pomarańczową naklejką na grzbiecie, chociaż większość dzieci w klasie wciąż czytała te z niebieskimi naklejkami.

Jeśli padało, do szkoły podwoził je Dave. Grace wkładała wtedy kalosze – różowe, żeby pasowały do pudełka na śniadanie – które w szatni zmieniała na kapcie. Lesley i Dave – tak się nazywali jej rodzice zastępczy, ale ona mówiła do nich „mamo” i „tato”. Chciała być taka sama jak reszta dzieciaków. Mogłaby już przejść do książek z zielonymi naklejkami, ale się wstrzymywała, żeby się za bardzo nie wyróżniać.

Mieszkali w nowym domu, na nowym osiedlu. On też był z cegły i też miał duże okna. W garażu stały jej

rowerek na trzech kółkach i wózek dla lalek. Na froncie domu rozciągał się mały skrawek trawnika ze skalniakiem, z tyłu znajdował się typowy ogródek. Lesley mówiła, że latem stanie tam huśtawka. Ulic na osiedlu jeszcze nie skończono, więc drogi wyglądały jak błotniste bajoro. Lesley nienawidziła błota i Grace też go nienawidziła. Obie lubiły czystość, więc wydawało się, że idealnie do siebie pasują.

To samo powiedziała pracownica pomocy społecznej, kiedy Dave i Lesley oznajmili, że nie chcą, żeby Grace dłużej u nich mieszkała.

– Ale wydawało się, że doskonale do siebie pasujecie.

Grace wiedziała, co mówiła pani z pomocy społecznej, bo podsłuchiwała pod drzwiami. Były lekko uchylone, ale nikt jej nie zauważył. Musiała słyszeć, jak Lesley z żalem wyjaśnia, że próba umieszczenia Grace w ich domu się nie powiodła, później jednak zapomniała o tym fragmencie rozmowy. Za to zapamiętała, jak pani z pomocy oświadczyła: „To taka słodka dziewczynka. Co państwu się w niej nie podoba?”

– Nie w tym rzecz. – Lesley i Dave patrzyli na siebie z nadzieją, że drugie wytłumaczy, co się stało. Równie dobrze mogliby odpowiedzieć, że Grace cała im się nie podoba.

– Nie dzwoniłście państwo, nie dawaliście znaku, że macie problemy. – Pracownica społeczna wydawała się w tym momencie już zdesperowana. Gdyby małżeństwo zrezygnowało z wychowywania dziecka, ona ponosiłaby winę za zły dobór rodziców zastępczych.

Pani z pomocy była niechlujna, miała potargane włosy, obstrzępioną spódnicę, krzywo zapięty długi sweter. Grace nie lubiła takiego braku staranności w ubiorze. Sama bardzo dbała o swoje ubrania, zwłaszcza o niebiesko-białą sukienkę do szkoły.

– Chodzi o to – ciągnęła kobieta – że moglibyśmy coś wam doradzić, jakoś pomóc. Czyżby znowu zaczęła się moczyć w łóżko?

– To akurat nigdy nie stanowiło problemu – odparł ostro Dave. Był głównym mechanikiem w dużym warsztacie samochodowym przy drodze wyjazdowej z miasta. Grace widziała go w pracy. Chodził w niebieskim kombinezonie ze swoim imieniem wyszytym na piersi i czasami w blezerze ze złotymi guzikami. Żeby uczestniczyć w spotkaniu, wrócił do domu wcześniej. Wyszorował ręce, włożył marynarkę i krawat. Był zdenerwowany niezręczną sytuacją i przez to agresywny. – Moczenie nam nie przeszkadzało. Gdzieżby tam. Za kogo nas pani uważa? Za potwory? To przynajmniej oznaczało, że ona jest człowiekiem, nie robotem.

– O czym pan mówi? – spytała pracownica piskliwym głosem, jakby miała się zaraz rozpłakać. I nawet Grace, mimo że tylko pięciolatka, wiedziała, że nie tak powinni się zachowywać odpowiedzialni dorośli ludzie.

– Proszę posłuchać. – Dave wychylił się do przodu. Ze swojej kryjówki Grace widziała jego przygarbione plecy. Był bardzo duży, a że patrzyła na niego z ukosa, wydał jej się zdeformowany, zupełnie jak jedna z postaci na obrazkach w książeczce, którą ostatnio czytała: *Jaś i*

magiczna fasola. Może, jak właśnie powiedział, faktycznie jest potworem. – Nie chcemy nikomu robić kłopotów, ale musimy rozmawiać szczerze, prawda? To znaczy lepiej, że mówmy o tym teraz, niż gdyby już pani wypełniła te wszystkie formularze. Przynajmniej oszczędzi sobie pani trochę trudu. – Roześmiał się krótko i szczekliwie.

Grace zrozumiała, że to miał być żart, ale pracownicy z pomocy społecznej nie wydał się zabawny. Dave'owi chyba też nie, bo dalej mówił już bardzo poważnie:

– My jej nie potrafimy pokochać – oświadczył. – Chcielibyśmy, ale nie potrafimy. Jest taka zimna. Patrzy na nas tym swoim dziwnym wzrokiem. Nie pozwala się dotykać. Powinno się kochać własne dzieci, czyż nie? – umilkł. – Może to przez jej pochodzenie.

– Co pan znowu opowiada? A niby skąd ona pochodzi? – Głos pracownicy stał się ostry, niemal histeryczny.

– No wie pani, oni są inni niż my, ci ludzie, prawda?

– To przecież jeszcze dziecko – upomniała go. – Potrzebuje rodziny. – Ale nie zanegowała zdania Dave'a. Odwróciła się do Lesley.

Dave usiadł prosto i Grace zobaczyła, że on wcale nie jest potworem. Wyglądał tak, jakby zbierało mu się na płacz.

– Pani też tak uważa? – spytała kobieta z pomocy społecznej.

– Próbowaliśmy – broniła się Lesley. – Z tego, co usłyszeliśmy od pani, wyciągnęliśmy wniosek, że Grace będzie dla nas idealna. Naprawdę tak myśleliśmy. Pomimo

różnic. A kiedy się dowiedzieliśmy, przez co przeszła, uznaliśmy, że ma prawo być smutna, przygnębiona. Ale to nie byłby problem. Umielibyśmy sobie poradzić z wybuchami gniewu, koszmarami nocnymi, płaczem. Przypuszczaliśmy, że zdołamy jej pomóc. Ale nie umiemy do niej dotrzeć. I to nas tak przeraziło. Ona nas nie potrzebuje.

– Mylicie się państwo! – wykrzyknęła pracownica z pomocy społecznej. – Nie widzicie, że potrzebuje was właśnie dlatego, że jest taka zamknięta w sobie? Powściągliwa? – Przerwała, po chwili jednak dodała stanowczym tonem: – Ale nie będę naciskała. Żeby zaadoptować dziecko, trzeba mieć do tego pełne przekonanie. Bo chyba o adopcję państwu chodziło, kiedy się zgłosiliście...

Groźba zawarta w niedokończonym zdaniu zawisła w powietrzu. Grace to wyczuła, chociaż nie rozumiała, o co dokładnie chodzi.

– Mówi pani, że jeśli odeślemy Grace, nie dostaniemy innego dziecka?! – Dave już się podrywał z kanapy, ale Lesley go powstrzymała, ciągnąc w dół za łokieć.

– Ależ ja nic takiego nie powiedziałam – odparła kobieta, choć jej głos zdradzał zadowolenie. Sugestia do nich dotarła. – Proszę posłuchać – ciągnęła. – Może nie podejmujemy pochopnych decyzji. Spróbujcie państwo jeszcze przez miesiąc i wtedy porozmawiamy.

Spróbowali, a Grace w tym czasie bardzo się starała. Dawała się całować Dave'owi na dobranoc. Pozwalała, żeby Lesley tuliła ją do siebie, kiedy na kanapie czytały

bajki przed snem, mimo że od dotyku miękkiego ciała „mamy”, które czuła przez nocną koszulkę z Kubusiem Puchatkiem, zbierało jej się na mdłości. Ciągłe się zastanawiała, co z nią nie tak. Wyglądała podobnie jak inne dzieci w szkole. Może tylko była trochę szczuplejsza i bardziej śniada. Ale czy właśnie to zniechęcało do niej Lesley i Dave’a? W końcu nie doszła do żadnych wniosków, a i jej wysiłki na nic się zdały. Po miesiącu przeniesiono ją do ciotki Carol i wujka Jima. Do nich już nie mówiła „mamo” i „tato”. Wiedziała, że to nie ma sensu.

Kolejnym żywym wspomnieniem były spacerzy z Nan. Przez jakiś czas w trakcie zawirowań związanych z przenoszeniem się z jednego domu do drugiego stale towarzyszyły jej dwie osoby. Nie widywała ich często, ale stanowiły stabilny punkt wśród zmieniających się ciotek i wujów. Pierwsza to panna Thorne, pracownica pomocy społecznej. Grace prawie zaczęła widzieć w niej przyjaciółkę. A jeśli nie przyjaciółkę, to sprzymierzeńca. Panna Thorne przynajmniej próbowała przekonać Lesley i Dave'a, żeby ją zatrzymali. Druga to starsza kobieta o imieniu Nan. Grace przypuszczała, że Nan jest jej babcią, chociaż nie pamiętała, żeby ktoś jednoznacznie o tym powiedział. Ale jej o niewielu rzeczach mówiono jasno i wyraźnie. Album, który miał pomóc, tylko jeszcze bardziej mieszał Grace w głowie.

Szczególnie zapadł jej w pamięci dzień, kiedy panna Thorne zabrała ją na pierwsze spotkanie z Nan. Jechały samochodem. Wszyscy rodzice zastępczy mieszkali w mieście, więc wycieczka na wieś była dla Grace przygodą. Siedziała z tyłu, za kierowcą, i przez okno od czasu do czasu widziała morze. Miasteczko, w którym mieszkała, znajdowało się na wybrzeżu, ale tam morze zasłaniały kominy elektrowni i dźwigi.

Jechały szosą jak tunel, porośniętą po bokach drzewami z czerwono-złotymi liśćmi. Potem skręciły w drogę biegnącą przez pole. Zobaczyła na nim trzy spalone samochody i wychudzonego srokatego kuczka. W głębi na

ceglach stała pordzewiała przyczepa kempingowa. Drzwi przyczepy otworzyła gruba stara kobieta.

– Ona jest trochę ekscentryczna – uprzedziła szeptem panna Thorne, jakby rozmawiała z dorosłą osobą. Grace miała wtedy tylko osiem lat, ale rozumiała, co znaczy „ekscentryczna”. Potem już głośniejszym głosem panna Thorne dodała:
– No chodź, Grace. Poznaj Nan.

Zaglądnąwszy przez otwarte okno, Grace – która nienawidziła bałaganu – zauważyła czarne worki na śmieci po brzegi wypchane szmatami i gazetami. Na kuchence siedział kot. Smród jego odchodów i karmy czuło się nawet na dworze.

– Chcesz, żebym chwilę pobyła? – spytała panna Thorne.

Grace przytaknęła, chociaż wolałaby, żeby obie nie musiały tam zostawać.

Kiedy wychodziły na spacer z Nan, panna Thorne już odjechała. Była jesień. Brzeg rzeki porastały krzaki czarnego bzu. Miały tak dużo owoców, że gałęzie się pod nimi uginały. Grace zapamiętała je, o barwie świeżej krwi, i owoce głogu, bardziej czerwone, a te już zeschnięte – prawie czarne. Rosły tam też jeżyny. Nan je zrywała i jadła. Poczęstowała Grace, ale ona nie chciała. Wcześniej na jednej widziała białego robaka. Oprócz tego polanę porastały wierzbowka, oset i barszcz zwyczajny. Barszcz był wyższy od Grace. Przełamała jedną brązową żebrowaną łodygę – w środku okazała się pusta, dlatego tak łatwo dała się złamać. Łodyżki na szczycie układały się tak jak druty w parasolu, a kiedy Grace uderzała łodygą o

ziemię, z gałązek sypały się nasionka.

Potem na czubku drzewa dostrzegła wiewiórkę. To nie Nan pokazała jej zwierzątko, sama je wypatrzyła. Wiedziała, że to wiewiórka, bo widziała obrazki w książce z opowiadaniem dla dzieci, ale i tak to była najbardziej ekscytująca rzecz, jaka jej się przydarzyła w życiu. Zachwyciła się wiewiórką nie dlatego, że ta ma śliczne futerko, ale że jest bardzo sprawna. Wiewiórka akurat jadła orzeszka laskowego. Trzymała go w przednich łapkach i skubała zębami. Potem, skacząc z gałęzi na gałąź – dawała naprawdę długie susy – przeniosła się na drugą stronę rzeki. Doskonale wymierzała odległość. Wyglądało na to, że wiewiórki zupełnie normalnie traktują to, że są mistrzami w tym, co robią. Dla Grace, która musiała udawać głupszą, niż jest, żeby dzieci w szkole chciały z nią rozmawiać, to było wielkie odkrycie.

Lata później nadal niemal z fotograficzną dokładnością pamiętała wiewiórkę: duże oczy, długie wąsy i ogon prawie czarny. Widziała, jak wiewiórka upuszcza orzech do rzeki. Widziała rozchodzące się na wodzie koła. Dobrze też pamiętała, że tamtego dnia nie spotkały nad rzeką wydr, mimo że to na pewno odpowiednie dla nich miejsce.

W czasie spaceru Nan się do niej nie odzywała, chociaż wydawało się, że rozmawia sama ze sobą. Na początku Grace starała się być uprzejma.

– Słucham? – spytała, kiedy usłyszała, że kobieta coś mamrocze.

Nan odwróciła się i łypnęła na nią złowrogo, ale nie

odpowiedziała.

Grace to pasowało. Ludzie ciągle pytali, jak się czuje, a potem gapili się na nią w oczekiwaniu na odpowiedź. Miała tego dość. Wolała przyglądać się wiewiórcie i pstrągom w rzece.

– Miło spędziłaś czas? – zagadnęła panna Thorne w samochodzie w drodze powrotnej.

– Tak, dziękuję. – Nie powiedziała tego tylko z grzeczności, spacer naprawdę jej się podobał. Jednak po chwili zastanowienia dodała: – Tylko nie rozumiałam ani słowa z tego, co mówiła Nan.

– Aha – mruknęła panna Thorne, a Grace zorientowała się, że ta kobieta w ogóle jej nie słuchała. Zresztą nie po raz pierwszy.

Wszystkie kolejne wizyty u Nan przebiegały identycznie. Opiekunka społeczna zawoziła ją na miejsce i później zabierała. Któregoś razu Grace spytała ją, dokąd wtedy jeździ. Przecież nie zdążyłaby wrócić do miasta. Usłyszała, że do innego podopiecznego.

– Wychowanka z rodziny zastępczej? – drażyła Grace z nutką nadziei. Chciałaby, żeby umieszczono ją w rodzinie mieszkającej na wsi.

– Nie. To ktoś, kto może kiedyś zdecydować się zostać rodzicem zastępczym.

Grace miała ochotę zapytać, czy ten ktoś wzięłby ją na wychowanie, ale to byłoby nieładne w stosunku do cici i wujka, którzy teraz się nią zajmowali i bardzo się starali.

Bez względu na pogodę Grace zawsze wychodziła na

spacer. Nie lubiła siedzieć w śmierdzącej przyczepie. Często szła sama. Ale nawet jeśli Nan jej towarzyszyła, mało ze sobą rozmawiały. Dla Grace to było wytchnieniem.

Z czasem uznała, że Nan to na pewno matka jej ojca. Grace go nie pamiętała. W albumie od panny Thorne znajdowało się zdjęcie z podpisem „tata”, ale ono nic jej nie mówiło. Nie było zdjęcia matki i ojca razem ani fotografii ich całej trójki. Na fotografii przedstawiającej ojca widniał wysoki, szczupły mężczyzna na tle domu z cegły o spadzistym dachu. Oszklona weranda, na niej rośliny. To z pewnością nie tam mieszkała z matką, nie tam ona odebrała sobie życie. Tamten dom pamiętała bardzo dobrze – prostokątny i nowy jak te wielu rodzin zastępczych.

Grace nigdy nie przyszło na myśl, żeby zagadnąć opiekunkę o to zdjęcie lub o ojca, nawet nie zapytała, czy on żyje. Wiedziała, że nie dostałaby jasnej odpowiedzi. Zdawało się, że panna Thorne obawia się udzielić konkretnej informacji. Potrafiła mówić o uczuciach, mogła o nich długo rozprawiać, ale fakty wprawiały ją w zakłopotanie. Może dlatego Grace tak bardzo je lubiła.

Wniosek, że mężczyzna ze zdjęcia jest spokrewniony z Nan, wyciągnęła na podstawie zdjęcia, ponieważ ogród przy ceglany domu był zaniedbany. Rosnące w nim zielsko sięgało pasa, a pod ogrodzeniem piętrzyły się sterty plastikowych worków. To właśnie ten czarny plastik z początku połączył w głowie Grace te dwie osoby. To oraz poza i mina mężczyzny – patrzył w obiektyw aparatu

jakby ze złością.

Nan też obrzucała wszystkich gniewnym spojrzeniem, nawet jak się na nikogo nie złościła.

Pewnego dnia siedziały razem w słońcu na stopniach przyczepy, czekając na przyjazd panny Thorne. Grace miała za sobą bardzo udany dzień. Pierwszy raz w życiu widziała zimorodka i wyśledziła jego gniazdo w zagłębieniu na brzegu rzeki. W lesie zakwitły dzwonki. Grace była już wtedy starsza, kończyła podstawówkę. Bez żadnych wstępów wypaliła:

– Gdzie jest mój tata?

Nie zaplanowała wcześniej, że o to zapyta, ale było jej dobrze, kiedy tak siedziała w słońcu po miłym spacerze, więc gdy pytanie do niej przyplłynęło, po prostu je wypowiedziała na głos. Zwykle właśnie tak robiła. Z jego powagi zdała sobie sprawę dopiero, kiedy padło. Uważnie przyglądała się Nan. Bezzębna staruszka zawsze mówiła niewyraźnie, ale Grace nauczyła się rozumieć jej mamrotanie. Tego dnia jednak Nan nawet nie zamierzała się odezwać.

– Wiesz, gdzie on jest, prawda? – Taki upór nie leżał w jej charakterze, mimo to czekała. Z oczu Nan spłynęła łza, która rowkiem między policzkiem a nosem potoczyła się aż na porośniętą wąsikami górną wargę. Grace nie odpuszczała. – No więc? – ponagliła.

Potem usłyszały warkot samochodu panny Thorne. Zachodzące słońce świeciło Grace prosto w oczy, dlatego nie widziała wyraźnie auta, dopóki nie zatrzymało się przed przyczepą. Nan wytarła twarz rogiem fartucha.

W drodze powrotnej panna Thorne spytała:

– Co się stało Nan?

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą Grace.

Wydawało się, że wtedy opiekunka zaakceptowała odpowiedź, jednak Grace już nigdy więcej nie została zawieszona w odwiedzinach do starszej pani. Nikt jej niczego nie wyjaśnił.

We wrześniu Grace rozpoczęła naukę w liceum.

Szkoła była duża, chodziło do niej ponad tysiąc uczniów. Mieściła się w trzech wielkich jak fabryki gmachach z rzędami okien rozdzielonymi niebiesko--żółtymi ekranami – popękkanymi, przez co okna się nie domykały. Pierwsze wrażenia Grace na temat szkoły sprowadzały się do tego, że toczyła się tam ciągła walka z budynkami: ogrzewanie szwankowało, dach przeciekał, w sali gimnastycznej kruszyła się posadzka, więc wuef w ogóle odwołano.

Grace to nie przeszkadzało. W podstawówce organizowano dużo zajęć sportowych, więc teraz miała ochotę poznać inne przedmioty. Najbardziej fascynowały ją biologia, fizyka i chemia. Kiedy pierwszego dnia szkoły wychowawca klasy, zagoniony pan w średnim wieku, rozdał uczniom plan lekcji, ona na swoim podkreśliła czerwonym długopisem właśnie te przedmioty. Uczyła się dobrze, należała do grona najlepszych uczniów. Odbijała sobie podstawówkę – tam nie bardzo się przykładała do nauki, żeby się nie wyróżniać.

W tym czasie mieszkała już u Franka i Maureen. Zanim do nich trafiła, krótko przebywała w ośrodku przejściowym, w którym, z jakiegoś powodu, nie było prawie nikogo poza nią. W tej placówce przeszła serię przesłuchań i rozmów. Pewnie mogła wtedy zapytać o ojca, ale tego nie zrobiła. Chciała sama go odnaleźć.

U Franka i Maureen było jej lepiej niż w innych domach zastępczych. Frank jeździł ciężarówkami, do czasu

aż przez problemy z kręgosłupem musiał porzucić to zajęcie. Maureen pracowała jako kucharka w szpitalu. Prowadzili dom zastępczy dla zarobku, co oszczędziło Grace wielu wysiłków. Nie musiała udawać, że ich kocha. Zwykle brali do siebie nastolatków, dzieciaki, których nikt inny nie chciał. Teraz mieli czwórkę wychowanków, a Grace była najmłodsza. Mieszkali w bliźniaku z 1930 roku z czterema sypialniami. Dom stał na terenie niegdyś porządnego, a obecnie zaniedbanego osiedla budynków komunalnych. Jako jedyna dziewczyna w grupie wychowanków Grace zajmowała osobną sypialnię, najmniejszą. Chłopcy, niezłe łobuzy, ciągle sprawiali kłopoty. Policja doskonale ich znała. Grace to nie obchodziło. Ignorowała ich i zamykała się w swoim pokoju z książkami.

Tamten okres dobrze wspominała jeszcze z jednego powodu – był tam pies, wabił się Charlie. Frank i Maureen jako jedyni do tej pory rodzice zastępczy trzymali w domu zwierzę. Charlie... zwariowany kundel o dzikich oczach, przybłąda. Frank przygarnął go z dobroci serca, tej samej, która kazała mu przyjmować do domu nawet najgorsze szumowiny. W tej rodzinie panował jednak chaos, więc pies często był zaniedbywany. Grace, jak tylko zamieszkała u Franka i Maureen, zaczęła się nim opiekować, a Charlie odpłacił się jej gorącym i entuzjastycznym oddaniem.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła ojca, dzień był słoneczny. Na ostatniej lekcji miała biologię, akurat poznawali budowę kwiatów. Grace narysowała schemat,

starannie pokolorowała poszczególne części kwiatu: płatki, pręciki, słupek. Pracownia biologiczna mieściła się na samej górze budynku, gdzie panowała okropna duchota. Inni uczniowie pozdejmowali bluzy i swetry, ale Grace się nie rozebrała. Maureen harowała w szpitalu i w domu już nie miała sił ani ochoty, żeby prasować. Tak więc Grace była trochę spocona, kiedy z wielką torbą na ramieniu wyszła ze szkoły i ruszyła na przystanek autobusowy.

Ten mężczyzna stał naprzeciwko szkolnej furtki po drugiej stronie ulicy. Miał na sobie całkiem zwyczajne ciuchy: dżinsy, bluzę od dresu. Udawał, że czyta gazetę, i właśnie to zwróciło uwagę Grace. Czytał „Guardiana”. Tak jak Carol i Jim, dwie rodziny zastępcze do tyłu. Jim uczył plastyki, a Carol pracowała w bibliotece. Ale Frank i Maureen, i inni dorośli, do których od czasu do czasu trafiała z wizytą, czytali „Mirror”, „Sun” albo „Express”. Czekając więc na autobus, z zainteresowaniem przyglądała się nieznanemu. Zastanawiała się, po kogo przyszedł. Myślała, że skoro kupił „Guardiana”, to jego dziecko, tak jak ona, też może być samotnikiem i dziwakiem. Może ten dzieciak to ktoś, kogo ona zna.

Ale mężczyzna najwyraźniej nie wiedział dokładnie, na kogo czeka. Zza rogu gazety z coraz większą desperacją obserwował mijający go strumień uczniów. Kilka razy chciał chyba któregoś o coś zapytać, ale w końcu zrezygnował. Przyjechał jej autobus, a ten człowiek wciąż tam stał. Dzieciaki przepychały się na górny pokład. Puściła je i skasowała bilet. Potem znalazła sobie wolne miejsce przy oknie. Ruszyli z hukiem i przejechali tuż obok

mężczyzny. Może to warkot dieslowskiego silnika rozproszył jego uwagę, bo wrogo popatrzył za autobusem. Dopiero wtedy Grace uświadomiła sobie, że czekał na nią. Był starszy niż na zdjęciu, ale to właśnie on, odkąd pamiętała, patrzył na nią nachmurzonym wzrokiem z karty albumu.

Pobiegła na tył. Miała nadzieję, że ojciec ją zauważy, rozpozna, ale on się poddał. Odwrócił się i odszedł. Patrząc za nim, myślała: To już koniec, więcej go nie zobaczę. Nacisnęła dzwonek, żeby kierowca się zatrzymał, ale ten, nawykły do wygłupów małolatów, tylko się obejrzał i na nią nakrzyczał.

– Proszę, niech się pan zatrzyma – błagała. Bez skutku. Czuła się strasznie, widząc, jak jej ojciec znika w oddali.

Następnego dnia rozglądała się za nim przed szkołą, jednak na próżno. Wtedy już miała stuprocentową pewność, że to nie wytwór jej wyobraźni, a naprawdę jej ojciec. Poprzedniego dnia wieczorem wyciągnęła album i dobrze przyjrzała się zdjęciu. Podobieństwo było tak uderzające, aż dziwiła się, że nie rozpoznała tego człowieka od razu. Przepuściła pierwszy autobus, licząc na to, że ojciec przyjdzie, ale nie przyszedł.

Dokładnie tydzień później, tak samo jak poprzednio po dwóch lekcjach biologii, znowu się zjawił. Do tej pory Grace zdążyła się już pogodzić z myślą, że więcej go nie ujrzy, chociaż jeszcze kilka dni wcześniej układała sobie, co do niego powie, jak go spotka. Teraz nie miała pojęcia, co powinna zrobić.

Przez chwilę stała w miejscu. Torbę miała bardzo ciężką, więc przechylała ciało i głowę na bok, przez co patrzyła na ojca pod dziwnym kątem. Tym razem nie czytał gazety; wydawał się zdenerwowany i zniecierpliwiony. Chodził nerwowo w tę i z powrotem i od czasu do czasu zaczepiał jakieś dzieciaki. Grace, która bardziej niż jej rówieśnicy zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczna może być ulica, pomyślała, że ojciec powinien być ostrożniejszy, bo inaczej zainteresuje się nim policja.

Zaczekała, aż kobieta przeprowadzająca uczniów zatrzyma ruch, potem przeszła na drugą stronę. Ojciec jej nie zauważył, bo przyglądał się innej jasnowłosej nastolatce. Grace ją знаła. To Melanie, i bardzo ładna dziewczyna.

– Przepraszam.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Chyba mnie pan szuka. Mam na imię Grace.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Odpowiedziała tym samym i spokojnie czekała na jego reakcję. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że jest zawiedziony, bo wolałby, żeby wyglądała na przykład jak Melanie. Trochę się odsunął. Nosił okulary, więc z bliska nie mógł jej się dobrze przyjrzeć. Uśmiechnął się.

– Tak – odparł bardzo głośno i wyraźnie, aż wszyscy w pobliżu odwrócili w jego stronę głowy. – Tak, faktycznie, to musisz być ty.

– Muszę?

– Jasne. Jesteś bardzo podobna do matki.

Już dawno nikt przy niej nie napomknął o matce. Psychologowie i lekarze w ośrodku przejściowym czasami wspominali o niej, ale bardzo zdawkowo, ostrożnie. Ojciec mówił zwyczajne, prawie radośnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Nie wiedziałaś? Nikt ci tego nigdy nie powiedział?

– Nie.

– Cóż, do mnie raczej nie jesteś podobna.

To akurat się zgadzało. Ojciec miał ciemne włosy, długą, pociągłą twarz. Siwiejące brwi łączyły się nad nosem w jedną linię. Grace gdzieś słyszała, że takie brwi to oznaka choroby psychicznej. Nie wierzyła w to, ale teraz zaczęły nachodzić ją wątpliwości. Chociaż to i tak bez znaczenia.

– No to co robimy? – wykrzyknął. – Czy ktoś się będzie o ciebie martwił, jeśli wrócisz później?

Pokręciła głową. Frank i Maureen mieli większe zmartwienia, na przykład musieli pilnować, żeby chłopaki dotarli do domu przed godziną nocną. I na tym kończyły się ich wymagania.

– Kolacja jest o siódmej – wyjaśniła. – W domu powinnam być przed dziesiątą.

Nie do końca tak to wyglądało. Kolacja była podawana różnie i jedzona na tacach przed telewizorem. Jeśli ktoś się spóźnił, odgrzewał ją sobie w mikrofalach. Grace myślała raczej o Charliem. Zwykle dostawał swój posiłek o siódmej i jak ona mu nie dała jedzenia, nikt o nim nie pamiętał.

– To znaczy, że mamy mnóstwo czasu. – Ojciec wetknął sobie jej rękę pod ramię i pomaszerowali hałaśliwą ulicą w stronę centrum miasta.

Wyglądało na to, że wiedział, dokąd ją prowadzi, więc przypuszczała, że idą do jego mieszkania. Na placu handlarze już zamykali stoiska. Grace często przychodziła na targ w soboty. Maureen wysyłała ją tutaj po warzywa, bo kosztowały mniej niż w sklepie. Na jej widok jedna ze sprzedawczyń zawołała:

– Wszystko w porządku, mała? – Pewnie uważała, że to dziwne, że Grace idzie pod rękę z obcym mężczyzną w średnim wieku.

– Tak, tak – odkrzyknęła. Miała ochotę wyjaśnić, że ten nieznamy to jej ojciec, ale już minęli budkę.

Przeszli przez ulicę, minęli aptekę sieci Boots i skierowali się w stronę portu, gdzie stały wielkie statki z drewnem ze Skandynawii. Ojciec zatrzymał się przed rzędem budynków. Grace pomyślała: to tutaj mieszka, ale zaraz zorientowała się, że stoją przed restauracją. Na drzwiach wisiała tabliczka „Zamknięte”, ale kiedy ojciec je pchnął, okazało się, że są otwarte. Chyba znał właściciela, bo chociaż restauracja jeszcze nie była czynna, człowiek za kontuarem przerwał polerowanie szklanek i z uśmiechem wskazał im stolik przy barze.

– Dostaniemy kawę? – zapytał ojciec, a kiedy barman skinął głową, dodał: – A lody? Masz ochotę na lody, Grace?

Przytaknęła, mimo że też wolałaby kawę.

Barman podał kawę w małej filiżance z białej grubej

porcelany. I trzy kulki lodów – o smaku truskawkowym, czekoladowym i waniliowym – w białej porcelanowej salaterce.

– A teraz – odezwał się ojciec – opowiadaj, co się u ciebie działo?

Filiżanka, którą odstawił na spodek, cicho stuknęła. Grace domyśliła się, że jest zdenerwowany. Pewnie też zbierał odwagę na to spotkanie, a przed szkołą tylko udawał wesołego, zupełnie jak Charlie, który, jak znajduje się wśród obcych, z niepewności zaczyna szaleć i niby to radośnie harcować.

Dlatego potraktowała pytanie poważnie i mówiła tak, jakby rozmawiała z opiekunką społeczną podczas jej comiesięcznych odwiedzin. Opowiadała o szkole, o tym, jak dobrze jej poszła klasówka z matematyki, że ma kłopoty z francuskim, o wycieczce do Muzeum Hancocka w Newcastle. Z początku ojciec słuchał z uwagą, ale po jakimś czasie już go to nudziło. W końcu jej przerwał.

– Pewnie się zastanawiałaś, dlaczego do tej pory cię nie odszukałem?

– Nan nie chciała mi powiedzieć, gdzie mieszkasz.

– Nie ze złej woli.

– Czy ona nadal mieszka w tej przyczepie?

– O tak. Próbują ją przekonać, żeby na zimę przeniosła się do domu. Mają z nią niezły kłopot. Ale ona lubi się z nimi droczyć.

– Z nimi?

– Z ludźmi z pomocy społecznej, tymi od bezdomnych. Tymi, co to podobno wszystko wiedzą. O

mojej pieprzonej rodzinie, jakby to był ich interes.

– Myślałam, że Nan jest twoją rodziną.

– Jak to?

– Sądziłam, że to twoja matka.

Odchylił głowę i zaczął się głośno śmiać, co brzmiało trochę jak szczekanie.

– Nan? Ależ gdzie tam. – Potem, widząc, że Grace się zaczerwieniła, łagodnie dodał: – Nie, Nan nie jest moją matką, ale to ktoś bardzo bliski. Wychowywała mnie, kiedy byłem mały. – Popatrzył na nią ponad stołem. – Nic nie wiesz? Niczego ci nie powiedzieli?

– Dali mi zdjęcie, na którym stoisz przed jakimś domem. Na bardzo zaśmieconym podwórku.

– O, pamiętam to zdjęcie! – odparł radośnie. – Zostało zrobione tego lata, kiedy pozwolili mi zostać w osiedlu w majątku. To było, jeszcze zanim zjawiała się twoja matka, żeby mnie ratować.

– Ratować? Przed czym? – Grace zrozumiała to dosłownie i wyobraziła sobie bandytów, piratów, branie w niewolę.

– Przede mną samym, oczywiście. – Zatarł dłonie i znów parsknął śmiechem. – Przede mną samym.

– Dom na fotografii nie wyglądał jak taki z osiedla.

Grace kojarzyła osiedle z miejscem takim, w jakim mieszkała z Frankiem i Maureen: skupisko schludnych, prowincjonalnych budynków, zajmowanych też przez inne rodziny zastępcze.

– Majątek to nazwa gruntów przynależących do posiadłości bogaczy – wyjaśnił. – W tym przypadku chodzi

o Holme Park w Langholme. – Popatrzył na nią. – Słyszałaś kiedyś o nim?

Pokręciła głową.

– To znaczy, że nie poznałaś Roberta. Ani matki.

– Poznałam tylko Nan.

– A więc tak to rozegrali. – Wydawał się zaszokowany, chociaż jednocześnie dziwnie zadowolony. Grace skojarzyło się to z sytuacją, gdy ktoś, kogo bardzo nie lubisz, robi coś złego, a ty możesz powiedzieć: Widzisz? Mówiłem, że on taki jest.

– A ten Robert to kto?

– Mój brat. – Zamilkł na chwilę. – Starszy brat.

– A ty gdzie mieszkasz?

Po raz pierwszy widać było, że wolałby nie odpowiedzieć.

– W żadnym wyjątkowym miejscu. Na pewno nie jest to Holme Park. No i nie mogę tam sprowadzać dzieci.

– Nie chcę się do ciebie sprowadzać. Pytałam tylko, gdzie mieszkasz.

– Na razie szukam stałego lokum.

Wstał, więc ona też wstała i ruszyła za nim do drzwi. Była dopiero piąta, więc Grace sądziła, że gdzieś jeszcze pójdą. W końcu sam wcześniej mówił, że mają dla siebie mnóstwo czasu – ale przed restauracją ojciec z zakłopotaniem wyciągnął do niej rękę.

– Znasz drogę do domu? Wrócisz sama?

Pokiwała głową.

– No to na razie. Odezwę się – rzucił i nie oglądając się za siebie, szybko odszedł.

Grace czekała na ojca cztery tygodnie, ale on nie dawał żadnego znaku życia. Postanowiła więc wziąć sprawy w swoje ręce. Wiedziała, że czasami ludzi trzeba zmusić, żeby robili to, co do nich należy. Niektórzy wychowankowie z Laurel Close nigdy nie pokazaliby się w szkole, gdyby Frank ich tam nie zaprowadził. Ojciec miał w sobie coś takiego, co jej się kojarzyło z pewnym typem łobuzów, z tymi beztroskimi chuliganami, którzy biorą narkotyki i dla zabawy podpalają budynki.

Przy śniadaniu powiedziała, że wróci później, bo po lekcjach idzie na spotkanie kółka przyrodniczego. Maureen pochylona nad blatem smarowała margaryną kromki chleba na drugie śniadanie, jakby – jak to często powtarzała – za mało miała takiej roboty w szpitalu. Na moment odwróciła się do Grace.

– Dobrze, kochanie. Wiemy, że możemy ci ufać.

Na dużej przerwie, zamiast jeść kanapki na korytarzu, Grace wymknęła się ze szkoły do budki telefonicznej przy głównej ulicy. Przy świetlicy dwuletniego kolegium był automat na żetony, ale miała opory, żeby z niego skorzystać. Uczniowie z kolegium, w zwykłych ubraniach, bez mundurków, rozmawiający o muzyce i imprezach, onieśmielali ją bardziej niż nauczyciele.

Na ulicy panował hałas. Wykręciła numer, który spisała z listy leżącej w domu obok aparatu, ale ledwie słyszała sygnał. Odebrała jakaś kobieta.

– Halo – odezwała się ciepłym głosem. – Ośrodek

pomocy społecznej. Szósty rewir. Słucham.

– Czy mogłabym rozmawiać z panną Thorne?

Opiekunka Grace wciąż mówiła o sobie „panna Thorne”, chociaż podobno przed rokiem wyszła za mąż. Zaczęła nosić obrączkę, złagodniała i stała się lepszą słuchaczką.

– A kto mówi?

– Przepraszam, ale nie usłyszałam.

– Kto mówi? – powtórzyła prawie krzykiem kobieta.

– Grace Fulwell. – Dziwnie było tak na całe gardło wykrzykiwać swoje nazwisko.

Panna Thorne podeszła do telefonu prawie natychmiast.

– Grace? Coś się stało?

– Nie.

– Dlaczego nie jesteś w szkole?

– Teraz mam długą przerwę.

– W czym ci mogę pomóc?

– Chciałabym się umówić na wizytę. Będzie pani w ośrodku? Dzisiaj. Gdzieś około wpół do piątej?

– Mogę być, jeśli to ważna sprawa. Ale powiedz, o co chodzi? – Grace nawet mimo przejeżdżającej z hurkotem ciężarówki usłyszała panikę w głosie panny Thorne. – Myślałam, że dogadujecie się z Maureen i Frankiem.

Grace nie odpowiedziała. Z trzaskiem odwiesiła słuchawkę. Miała nadzieję, że zabrzmiało to tak, jakby połączenie zostało zerwane.

Nie po raz pierwszy miała odwiedzić ośrodek pomocy społecznej. Bywała już tam, ale tylko po jakiejś kryzysowej

sytuacji, żeby poczekać, aż panna Thorne znajdzie dla niej nową rodzinę zastępczą. Adres placówki musiała znaleźć w książce telefonicznej. Wysoki budynek, w którym się mieściło biuro, stał na zadrzewionej ulicy, blisko parku. W budynkach obok miały siedziby inne firmy. Grace po drodze minęła kancelarię adwokacką, agencję nieruchomości i dwie przychodnie dentystyczne.

Podczas ostatniej wizyty panna Thorne przyjęła ją przy swoim biurku w dużym otwartym pomieszczeniu na ostatnim piętrze. Ale dzisiaj poszły do pokoju rozmów. Niski stolik do kawy i trzy pomarańczowe plastikowe fotele. Na ścianie duża tabliczka z zakazem palenia – mimo to Grace dostrzegła na wykładzinie dziury wypalone żarem z papierosów.

Panna Thorne była zdenerwowana. Mimo że pracowała w pomocy społecznej, zdaniem Grace nie lubiła nieprzewidzianych sytuacji. Poza tym gdyby Grace musiała odejść od Maureen i Franka, opiekunka prawdopodobnie nie znalazłaby już dla niej nowej rodziny zastępczej.

– No to mów, Grace, co to za tajemnica.
– Chodzi o mojego ojca.
– Tak?
– Chyba mam prawo go poznać, prawda? – Dużo się nauczyła, słuchając rozmów innych wychowanków rodzin zastępczych.

Panna Thorne zawahała się.

– Pod warunkiem że to właściwe – odparła w końcu.
– Nie rozumiem.
– Mamy to zapisane w wytycznych. Dziecko z rodziny

zastępczej może utrzymywać kontakt z biologicznymi rodzicami, jeśli jest to dla niego stosowne.

– Dlaczego w moim przypadku miałyby być niestosowne?

Pytanie chyba zaskoczyło kobietę. Pewnie sądziła, że Grace nie słyszała wcześniej słowa „stosowne”, i nie rozumie jego znaczenia.

– Panno Thorne?

– Posłuchaj – zaczęła poufałym tonem, co natychmiast wzbudziło w Grace podejrzliwość.

Popatrzyła na pannę Thorne, która siedziała obok na pomarańczowym plastikowym fotelu. Nogi trzymała założone jedna na drugą. Ubrana była w to samo co zawsze – spódnicę do kolan i bezkształtny sweter na guziki. Wyciągnęła rękę i poklepała ją po kolanie. Grace z trudem się powstrzymała, żeby się nie odsunąć.

– Posłuchaj – powtórzyła. – Znamy się od dawna, a ja nie jestem twoją nauczycielką. Więc może już pora, żebyś mówiła mi Antonia?

Grace wybałuszyła oczy. Wiedziała, że opiekunka próbuje ją złapać na lep poufałości, ale nietypowe imię ją zaintrygowało.

– Antonia? Naprawdę tak ma pani na imię?

Panna Thorne życzliwie kiwnęła głową, jednak Grace postanowiła, że więcej nie da się odwieść od tematu. Podniosła głos i twardo zażądała:

– Proszę mi opowiedzieć o moim ojcu.

Niespodziewanie opiekunka przestała się wymigiwać. Poddała się.

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko. Od samego początku. Dlaczego nie było go w domu, kiedy moja matka popełniła samobójstwo?

– Bo wtedy już ją porzucił i odszedł z inną kobietą.

Grace odniosła wrażenie, że panna Thorne, wypowiadając te słowa, odczuwa jakąś przewrotną przyjemność, że w rzeczywistości mówi: A więc naprawdę chcesz wiedzieć, tak? No to zobaczymy, czy to zniesiesz?

– To dlatego mama się powiesiła?

Panna Thorne przytaknęła.

– Zostawiła list, w którym napisała, że nie potrafi bez niego żyć.

Grace pomyślała o mężczyźnie, który siedział naprzeciwko niej w mrocznej restauracji i pił kawę. Poczowała dumę, że jej ojciec mógł być powodem tak romantycznej namiętności. I zupełnie jej nie zdziwiło, że ona sama nie wystarczyła, żeby matka chciała żyć.

– Ale nie powinnaś winić ojca – dodała panna Thorne w taki sposób, jakby w głębi duszy miała nadzieję, że będzie dokładnie odwrotnie.

Jednak Grace wcale nie zamierzała kogokolwiek obwiniać. Przyszła tu, żeby poznać fakty, zebrać informacje.

– Wciąż jest z tą kobietą?

– Nie. Rozstali się niedługo po śmierci twojej matki.

– Dlaczego nie pozwoliła mi się pani z nim spotkać?

– To nie tak. Nie chodziło o moje pozwolenie!

– W takim razie o co? Wspominała pani o stosowności. Co to właściwie znaczy?

– Przez długi czas nie znaleźliśmy jego miejsca pobytu. Śmierć twojej matki tak go przygnębiła, że wyjechał z kraju.

– Dokąd?

– Pracował jako nurek w firmach naftowych. Chyba w Ameryce Środkowej i na Bliskim Wschodzie. Tyle nam się udało dowiedzieć od jego rodziny.

– Rodziny?

Grace wyobrażała sobie, jak to jej ojciec pływa w niebieskich ocenach, ale to słowo „rodzina” gwałtownie przywróciło ją do teraźniejszości. Wychowankowie domów zastępczych ciągle mówili o rodzinach. Nawet chuligani od Maureen mieli jakichś bliskich: braci lub ciotki, którzy czasami zabierali ich do McDonalda. Do Grace nie przychodził nikt.

– Od brata twojego taty i jego matki, twojej babki. Mieszkają na wsi.

– W Langholme? – Dobrze zapamiętała wszystko, co usłyszała podczas spotkania w restauracji. – Domyśliłam się z tego, co kiedyś mówiła Nan. – Grace strzepnęła włos Charliego z fałdki szkolnej spódnicy. – Dlaczego mi pani nie powiedziała, że moja rodzina mieszka w Holme Park? Przecież mogła mi to pani powiedzieć.

– Woleliśmy nie wzbudzać w tobie złudnych nadziei.

Grace nie całkiem rozumiała, co to oznaczało, ale nie roztrząsała tego. Miała ważniejsze pytania.

– Dlaczego ich nigdy nie widziałam, wujka i babci? Z Nan mnie pani zapoznała.

– Bo oni nie chcieli się z tobą spotkać. A Nan chciała.

– Panna Thorne wyraźnie natychmiast pożałowała tych słów. Może nawet i dla niej, mimo że prowokowana przez upartą i domagającą się odpowiedzi dziewczynę, to było zbyt raniące.

Grace jednak podeszła do tematu rzeczowo.

– Przecież mnie nie znali – stwierdziła.

– Uważali, że opieka nad tobą to sprawa twojego ojca – wyjaśniła już łagodniej panna Thorne. – Między nimi nie układało się najlepiej.

Do Grace wreszcie dotarło.

– Aha – mruknęła. – Nie zamierzali brać na siebie takiego ciężaru.

Obie popatrzyły sobie w oczy i – co rzadko im się zdarzało – znacząco się uśmiechnęły.

– A ojciec nadal jest za granicą? – Zadając pytanie, Grace odwróciła głowę, żeby ukryć twarz. Oczywiście wiedziała, że ojciec jest w kraju, ale nie chciała się wydać przed panną Thorne. Poza tym musiała sprawdzić, czy kobieta mówi prawdę, czy ją okłamuje.

– Nie. Jakiś czas temu wrócił.

– Gdzie mieszka? U krewnych?

– W różnych miejscach. U przyjaciół. W schroniskach. Często się przenosi. Trudno mu osiąść w jednym miejscu.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że to taki niespokojny duch.

– Jak ja.

– Pod pewnym względem.

Grace potarła palec i kciuk, strząsając psi włos na podłogę.

– Chcę się z nim spotkać.
– To się pewnie da załatwić, tylko że twój ojciec ma problem.

„Problem” – to słowo często się pojawiało na ustach Maureen i Franka i zwykle oznaczało, że Gary wąża klej, a Matthew bierze heroinę. Obaj mieli „problem”.

– Jest narkomanem?

– Nie, nie narkomanem, ale...

– Tak?

– Alkoholikiem. Rozumiesz?

– Jasne. – Matka Gary’ego była alkoholiczką. Ale Gary widuje się ze swoją matką.

– Dlatego powiedziałam, że prawdopodobnie da to się załatwić.

– Kiedy?

– Najpierw muszę z nim jeszcze raz porozmawiać. I skonsultować się z Maureen i Frankiem.

– Jeszcze raz?

– Już kiedyś próbowałam zorganizować wasze spotkanie – broniła się panna Thorne. – Ale z twoim ojcem niełatwo się porozumieć. On żyje po swojemu. Bałam się, że poczujesz się zawiedziona, jeśli znowu zniknie.

– Mhm – mruknęła Grace. – Dziękuję. – I naprawdę była wdzięczna. Nie przypuszczała, że panna Thorne próbowała coś dla niej zrobić.

– W każdym razie nie powinnaś za wiele oczekiwać po tym spotkaniu – ciągnęła. – Na przykład, że ojciec weźmie cię do siebie.

– To nic, jeśli mnie nie weźmie. Nie zależy mi na tym.

U Maureen i Franka żyło jej się całkiem dobrze, poza tym brakowałoby jej Charliego. Jeśli chodzi o jej sytuację, nie zamierzała niczego zmieniać, pragnęła tylko poznać ojca i od czasu do czasu móc się z nim widywać. Dowiedzieć się czegoś o rodzinie.

Musiały minąć aż trzy tygodnie, zanim panna Thorne zorganizowała spotkanie, jednak Grace czekała cierpliwie. Lubiła szkołę i czas zajmowała jej nauka. Na biologii podawali muszkom owocówkom chloroform, żeby je odurzyć i policzyć, ile mają skrzydełek. Grace była zafascynowana. Uczennica z ławki obok przesadziła z chloroformem i martwe muszki wrzuciła do słoja – miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

Grace wiedziała, że panna Thorne nie zapomniała o swojej obietnicy, bo w domu Maureen i Frank rozmawiali o jej ojcu. Imponowało im, że rodzina Edmunda Fulwella mieszka w Holme Park. Najwyraźniej oni też wcześniej o tym nie słyszeli. Może panna Thorne pamiętała wątpliwości Dave'a, jego odczucia, że Grace jest pod pewnymi względami dziwna, i uznała, że otoczenie szybciej zaakceptuje dziewczynkę, jeśli nikt nie będzie wiedział o jej powiązaniach z bogatymi krewnymi.

– Musimy cię tam kiedyś zawieźć – oznajmiła Maureen. – Majątek i pałacyk można zwiedzać. I jest tam śliczna herbaciarnia.

Grace i jej ojciec w końcu się spotkali, nie w herbaciarni w Holme Park, ale w pokoju gościnnym w Laurel Close pod numerem piętnastym. Maureen i Frank zabrali swoich rozrabiaków na spacer – tych, którzy

zostali, bo Gary wrócił do poprawczaka. Maureen płakała, kiedy przyjechała po niego policja.

Grace czekała w domu razem z Antonią. Edmund Fulwell się spóźniał. Panna Thorne nie komentowała tego, ale Grace się domyślała, bo opiekunka ciągle zerkała na zegarek i miała zrezygnowaną minę. Grace nie czuła ani gniewu, ani niepokoju. Była odrętwiała. Zastanawiała się, czy matka również się tak czuła przed śmiercią. Czy też popadła w takie otępienie, kiedy wyczekiwała Edmunda, licząc, że ten porzuci kochankę i wróci do domu. Może uznała, że to bez różnicy: być odrętwiałym czy nie żyć.

Wreszcie usłyszały dzwonek. Panna Thorne drgnęła i spochmurniała. Grace pomyślała, że kobieta jest rozczarowana, bo Edmund zachował się inaczej, niż oczekiwała. Najwyraźniej wołałaby, żeby się nie pojawił.

– Ja pójdę – zaoferowała się.

Otworzyła drzwi i on tam stał, ze zmarszczonym nosem, więc jego brwi już wyraźnie łączyły się nad nim. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza. To był październik, późne popołudnie i już prawie zapadł zmrok. Porywisty wiatr zwiewał śmieci i suche liście pod próg. Ojciec nachylił się i jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Grace.

– A więc – zagadnął – to pewnie ty jesteś tą moją śliczną córeczką. – I szybko ciągnął w tym stylu dalej. Dawał Grace do zrozumienia, że ich wcześniejsze spotkanie ma pozostać tajemnicą.

Antonia zawołała radosnym głosem nauczycielki z podstawówki:

– No, Grace, wprowadź tatę do środka. Nie trzymaj go na chłodzie.

I Edmund wszedł, jakby panna Thorne rzeczywiście była nauczycielką, a on musiał jej słuchać. Kiedy zdejmował płaszcz, Grace miała wrażenie, jakby zajmował sobą cały przedpokój, chociaż nie był dużo większy od Franka.

Opiekunka zostawiła ich w pokoju samych, chociaż zaznaczyła, że gdyby Grace jej potrzebowała, to jest w kuchni i robi herbatę. Wychodząc, nie zamknęła za sobą drzwi.

– Można by pomyśleć, że mi nie ufa – zażartował Edmund. Roześmiał się, a kiedy Grace do niego nie dołączyła, wymamrotał: – Z drugiej strony, co się dziwić.

Sprawił wrażenie bardziej skrępowanego, niż gdy czekał na nią przed szkołą, był bardziej spięty. Grace, która widywała matkę Gary'ego w różnych stadiach upojenia alkoholowego, doszła do wniosku, że ojciec jest dzisiaj trzeźwy. Ostatnim razem na pewno wcześniej trochę sobie łyknął.

– Obiecałeś, że się odezwiesz – wyszeptała z wyrzutem.

– Taak... cóż, naprawdę mi przykro, ale nie było lekko. Ona... – kiwnął głową w stronę otwartych drzwi – ...chyba ci wyjaśniła. Potrzebowałem czasu, żeby poukładać różne sprawy.

W jego głosie usłyszała ton uzalania się nad sobą i na chwilę ogarnął ją gniew. A co ze mną? – chciała krzyknąć. O mnie nie pomyślałeś? Potem sobie uświadomiła, że to

bez sensu. Jeśli zależy jej na kontaktach z ojcem, nie może mu stawiać żadnych żądań. To Edmund Fulwell wymagał opieki.

Grace opiekowała się ojcem prawie cztery lata, chociaż w większości przypadków pozostawało to niezauważone. To był okres bezprecedensowej stabilizacji dla nich obojga.

Któregoś dnia, niedługo po tym, jak ojciec znowu pojawił się na horyzoncie, nauczycielka biologii po lekcji przywołała Grace do siebie.

– Myślałaś kiedyś, żeby wstąpić do Wildlife Trust? Mają tam sekcję juniorów. Sądzę, że by ci się podobało.

Do sekcji juniorów należeli Grace i dwóch pryszczatych chłopaków. Oni nie chcieli z nią rozmawiać, ale pod swoje skrzydła wzięły ją trzy starsze niezamężne siostry Halifax. Mieszkały w domku jednorodzinny, który z grubsza wyglądał jak za czasów ich rodziców. Stał na przedmieściu, niegdyś bardzo szykownym, gdzie mieszkali armatorzy i handlowcy, chociaż znaczną część tych domów zamieniono na budynki z oddzielnymi mieszkaniami. Siostry miały bibliotekę, bardzo dobrze zaopatrzoną w pozycje przyrodnicze – przewodniki, encyklopedie i monografie.

Grace spędzała w niej wiele godzin. Chociaż nigdy się nie skarżyła na hałas w Laurel Close, panny Halifax od razu zaproponowały, żeby dowolnie korzystała z biblioteki i tam odrabiała sobie lekcje. Twierdziły, że to dla nich dobrze, że w domu znowu jest ktoś młody. Później Grace się domyśliła, że wszystko zaaranżowała nauczycielka biologii; ale na początku odebrała to jako cudowne

zrządzenie losu.

Siostry, kiedy siedziały nad pracą domową, starały się jej nie przeszkadzać. Tylko Cynthia – z trwałą na głowie i dużym kołyszącym się biustem – czasami zaglądała do biblioteki, żeby przynieść filiżankę herbaty i trochę imbirowych ciasteczek własnego wypieku.

Latem Wildlife Trust organizowało wycieczki w teren. Przewodnik zabierał ich na wybrzeże, gdzie obserwowali ptaki, lub w głąb lądu na spacer po wzgórzach. To wtedy Grace po raz pierwszy wędrowała po kamienistych brzegach rzeki, szukając odchodów wydr. Jeszcze później obserwowali nocujące w stodole nietoperze.

Ale największe wrażenie zrobiły na niej borsuki. Przyczaiła się z siostrami Halifax w lesie o zmierzchu i czekała, aż borsuki, wachając powietrze, wyłonią się z nor. Przewodnikiem wyprawy była wtedy doktorantka, dużo opowiadała im o swoich badaniach. Umiała rozpoznać poszczególne borsuki, znała zwyczaje stada.

Kiedy dorosnę, myślała Grace, właśnie tym się będę zajmowała.

Czasami na wycieczki organizowane przez Wildlife Trust zapraszała ojca, ale on zawsze odmawiał.

– Eee tam – pomrukiwał z niechęcią. – Przyroda i zwierzęta jakoś mnie nie pociągają. Chyba że na talerzu.

Grace już wcześniej przeszła na wegetarianizm, ale nie dała się wciągnąć w kłótnię. Podejrzewała, że dla ojca potrawy są ważniejsze od niej. Przynajmniej miał z nich konkretne zyski. Zatrudnił się w tej małej restauracji, do której ją zabrał na pierwszym spotkaniu. Znał właściciela,

Roda, kiedyś chodził z nim do szkoły. Ojciec okazał się kreatywnym i dobrym kucharzem, wkrótce o restauracji zaczęto wspominać w szanowanych przewodnikach kulinarnych. Dlatego Rod znosił okazjonalne ataki pijaństwa Edmunda i napady agresji. Nie robił też awantur o bałagan w mieszkaniu nad restauracją.

Grace dalej mieszkała u Maureen i Franka w Laurel Close, ale spędzała tam mało czasu. Codziennie przed wyjściem do szkoły zabierała Charliego na spacer do parku. Potrafiła już rozpoznać tamtejsze pospolitsze okazy ptaków. Po szkole udawała się do sióstr. Po drodze wstępowała do ojca, żeby napić się z nim kawy – jeśli go zastała, bo czasami wychodził na randki. Chociaż zauważyła, że rzadko spotykał się z tą samą kobietą więcej niż raz. Latem z domu panien Halifax szła do centrum i tam łapała autobus do domu. Zimą, kiedy szybko zapadał zmrok, odwoziła ją Cynthia wiekowym land roverem albo przyjeżdżał po nią Frank. Jemu i Maureen chyba nie przeszkadzało, że tyle czasu jest poza domem. Nauczycielka biologii powiedziała im, że dziewczyna ma szansę dostać się na studia, więc starali się pomagać. Grace nie miała żadnych przyjaciół w swoim wieku, jednak wcale ich nie potrzebowała.

Latem, pod koniec pierwszej klasy liceum, zauważyła u ojca nagłą przemianę. Nieraz wysłuchiwała jego zwierzeń na temat partnerek, okazywała współczucie, jeśli było trzeba, ale w tamtych przypadkach chodziło bardziej o zranioną dumę niż o nieodwzajemnioną miłość. Tym razem wydawało się, że to coś poważnego. Ojciec przestał

pić. Sprzątnął mieszkanie, poszedł do fryzjera. Grace zapytała, czy mogłaby poznać jego nową znajomą.

– Jeszcze nie.

– Chyba nie ma męża? – Bała się, że ojciec będzie cierpiał.

– Nie, to nie to. Rzecz w tym, że ona nie chce się ze mną umówić. Ale to się zmieni. Widzę, że powoli mięknie.

I chyba w końcu zmiękła, bo kiedy następnym razem Grace wpadła do restauracji, ojciec bez przerwy szczyrzył zęby w uśmiechu i nie mógł spokojnie usiedzieć w miejscu.

– On coś pił? – podpytywała Roda, lubiła tego Walijczyka, bo był bardzo spokojny. Nigdy nie umiała pojąć, jak to się stało, że został właścicielem tak niezwyklej restauracyjki.

– Nie. Cały dzień taki jest. Chodzi nakręcony, jakby się szaleju najadł.

Kobieta miała na imię Sue. Prowadziła sklepik papierniczy przy High Street. Była dużo młodsza od ojca. Pierwszy raz ją zobaczył, gdy wszedł do sklepu po papier maszynowy i korektor.

– Najlepiej wydane pięć funtów w moim życiu – opowiadał.

Grace go obserwowała i martwiła się jak matka dziecka, które się pierwszy raz zakochało. Miała jednak nadzieję, że coś z tego związku będzie, bo bardzo chętnie zrzuciłaby część odpowiedzialności za ojca na barki Sue.

Sue była drobną kobietą z gładkimi jasnymi włosami. Malowała się tak, że jej cera wyglądała jak porcelanowa.

Bardzo żywa, energiczna, ruchliwa, lubiła dużo mówić i się śmiać. Z Edmundem rozmawiała na tematy, które Grace nie interesowały – o filmach, muzyce, teatrze. Grace nie czuła się zazdrosna, a nawet jej ulżyło, bo mogła więcej czasu spędzać w bibliotece sióstr Halifax. W szkole dobrze jej szło, ale zamierzała porządnie przygotować się do egzaminów. Gdy w wolniejszych chwilach zaglądała do ojca, widziała, że wciąż jest podekscytowany, szczęśliwy, pełen planów na przyszłość.

To w tym czasie zmarła jego matka.

– No i proszę – powiedział do Grace, gdy go pewnego razu odwiedziła. – Stara jęzda jednak w końcu przeniosła się na tamten świat.

– Zabierzesz mnie na pogrzeb?

Zgromił ją wzrokiem.

– Nie idę na żaden pogrzeb – warknął. I na tym skończył.

Grace była trochę zawiedziona. Nadal marzyła, że pozna bogatych krewnych. Potem stwierdziła, że musieli bardzo ojca zranić, skoro nie chciał pójść nawet na pogrzeb matki.

Pewnej listopadowej niedzieli, tuż przed egzaminami próbnymi, ojciec do niej zadzwonił. Cały dzień przesiedziała w bibliotece sióstr i Maureen i Frank dali jej za to reprimendę. Mówili, że za ciężko pracuje i że musi odpocząć. Siedzieli przed telewizorem i pili herbatę. Chłopaki gdzieś się włączyli.

Telefon odebrał Frank. Wrócił zaszepiony.

– To twój ojciec – powiedział. – Chcesz z nim

rozmawiać?

– Oczywiście, dlaczego nie?

– Przykro mi, skarbie, ale chyba jest wstawiony.

To było duże niedomówienie. Ojciec był urżnięty w trupa i Grace ledwie zrozumiała z jego bełkotu, że rzuciła go Sue. Już miała natychmiast do niego pobiec, ale Frank raz w życiu tupnął nogą.

– Przecież w takim stanie nawet nie załapie, że tam jesteś – tłumaczył.

– Ale jemu może się coś stać. Może wymiotować. Udławić się. I od tego umrzeć.

– No to ja do niego pojedę – oznajmił Frank.

Grace dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, jaki on dobry. Poprzedniego dnia do północy siedział w komendzie z jednym z wychowanków, który wdał się w bijatykę w klubie młodzieżowym. Oprócz tego całymi dniami wszystkich dokądś woził – chłopaków na treningi, ją do sióstr Halifax. I w niedzielę to on gotował, żeby Maureen mogła odpocząć. Teraz też wyglądał na zmordowanego, mimo to zaoferował pomoc. Podeszła do fotela, w którym siedział w kapciach – podarowała mu je dwa lata temu na Gwiazdkę, i bluzie z plamami po gotowaniu. Przysiadła na poręczy, objęła go i przytuliła. To był jej pierwszy fizyczny kontakt z drugim człowiekiem, odkąd skończyła pięć lat, kiedy to próbowała przekonać do siebie rodziców zastępczych, tych co nie mogli jej pokochać. Frank wiedział, że to dla niej ważna chwila, jednak nie odezwał się ani słowem. Ujął jej szczupłą dłoń w swoją dłoń i uścisnął, potem wstał, włożył buty i wziął

kluczyki do samochodu. Kiedy wrócił, Maureen już spała, bo następnego dnia musiała iść do pracy na poranną zmianę. Ale Grace na niego czekała.

– I co?

– Cóż, rzeczywiście był narąbany jak messerschmitt – odparł. Frank urodził się w Liverpoolu i gdy był zmęczony, mówił z rodzimym akcentem.

– Ale poza tym w porządku?

– Mhm. Do jutra stanie na nogi. Trochę rzygał, ale potem położyłem go do łóżka i zasnął.

– Frank?

– Tak?

– Dziękuję. – Tym razem tylko dotknęła jego ramienia.

Zrozumiał i się uśmiechnął.

– Zmiataj stąd, mała, i kładź się spać – rozkazał. – Jutro dla ciebie ważny dzień. Jeszcze nigdy nie mieliśmy z Mo dzieciaka, który zdawałby na studia.

Z początku myślała, że tak jak zdarzało się wcześniej, ojciec wpadnie w ciąg i przez kilka dni będzie martwy dla świata, potem się pojawi, skruszony i zawstydzony, żeby przeprosić. Więc skupiła się na egzaminach. Jednak gdy minęły trzy dni, postanowiła zajrzeć do restauracji. Okazało się, że kuchnią akurat zajmuje się Rod.

– Ed ma dzisiaj wolne – wyjaśnił. – I gdzieś wybył.

Grace pomyślała, że to dobry znak. Przynajmniej ojciec nie siedział sam w mieszkaniu i nie pił prosto z butelki. Nigdy nie lubił pić w towarzystwie.

– To znaczy, że znowu zeszli się z Sue?

Rod wzruszył ramionami, a ona odebrała to jako informację, że wszystko wróciło mniej więcej do normy.

Potem zobaczyła ojca w mieście. To był ostatni dzień egzaminów i siostry Halifax zaprosiły ją na uroczystą herbatkę, żeby to uczcić. Szła High Street z grupą koleżanek. Dołączyła do nich, bo chciała przedyskutować jedno z pytań egzaminacyjnych z chemii, ale dziewczyny nie miały ochoty o tym gadać. Rozmawiały o imprezie. Organizował ją jakiś chłopak z kolegium i większość została zaproszona.

Na High Street, wyłożoną ozdobną kostką, samochody miały zakaz wjazdu. Na środku ulicy tyłem do siebie stały żeliwne ławki, a pomiędzy nimi kwietniki z dawno już wyschniętymi roślinami – czekały, aż ktoś je uprzątnie przed zimą. Ojciec siedział samotnie na jednej z ławek. Brudny, nieogolony. Płakał. Pod ławką leżała pusta butelka, silniejsze podmuchy wiatru turlały ją w tę i z powrotem. Na szczęście koleżanki Grace, które wciąż paplały o imprezie i o tym czy wyglądają na tyle dorośle, żeby udało im się kupić alkohol w monopolowym – nic nie zauważyły. A Edmund pogrążony w smutku nie zauważył Grace.

Minęła go i poszła dalej, do domu sióstr. Zanim zapukała, odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Cynthia przygotowała wspaniały podwieczorek. Herbata, kanapki z łososiem, bezy i piernik. Grace rozpływała się nad tymi smakołykami i jadła wszystko, co siostry w nią wpychały.

Później dwa dni nie odwiedzała ojca. Złościła się, że zepsuł jej tak ważny dzień. Ale potem się złamała i poszła

do niego po szkole. Miasto już udekorowano na święta. Na przerzedzonych wysokich świerkach wisiały brzydkie białe lampki. Drzwi restauracji też były ustrojone – wisiał na nich wieniec z prawdziwego ostrokrzewu.

W środku pusto, ale Rod siedział za barem. Właśnie nalewał sobie brandy do dużej szklaneczki i wyglądał na zaskoczonego, że widzi Grace.

– Nie rozmawiałaś z opiekunką z pomocy społecznej?

– O czym?

– Edmunda tu nie ma.

– A gdzie się podziewa?

– Posłuchaj, naprawdę mi przykro. Dzwoniłem do niej wczoraj z samego rana. – Na chwilę umilkł. – Jest w szpitalu.

– Co się stało? Chyba nie to, o czym myślę?

– To znaczy?

– St Nick?

Saint Nicholas – duży zakład psychiatryczny na obrzeżach miasta. Wiktorianański gotyk otoczony willami z lat trzydziestych XX wieku. Wszyscy o nim słyszeli. W podstawówce stanowił sedno wszelkich kłótni i wyzwisk: Powinieneś trafić do St Nick!

Grace nie wiedziała, co powiedzieć. Rod wyszedł z baru.

– Naprawdę mi przykro – powtórzył. – Nie chodziło wyłącznie o picie. Wpadł w depresję i nie tylko z powodu Sue. Śmierć matki poruszyła go bardziej, niż to po sobie pokazywał. Martwiłem się, że zrobi coś głupiego. Potrzebuje czasu, żeby sobie wszystko poukładać.

Potrzebuje pomocy specjalistów. A przynajmniej czegoś więcej, niż ja mu potrafię zaoferować. I ty.

Panna Thorne zabrała ją do szpitala, żeby mogła odwiedzić ojca. Grace przypomniały się czasy, gdy jeździły do Nan. Antonia przyjechała do Laurel Close samochodem. Grace usiadła obok niej na miejscu pasażera. Przez jakiś czas nie zamieniły ze sobą nawet jednego słowa. Potem zaczęły rozmawiać, ale o tym co zawsze.

– Jak ci idzie w szkole?

– Bardzo dobrze, dziękuję. – To była prawda. Zapowiadało się, że Grace dostanie z egzaminów same szóstki ze wszystkich przedmiotów oprócz francuskiego.

– Żadnych problemów z Maureen i Frankiem?

– Żadnych.

Przed samym szpitalem droga się wiała i prowadziła pod górę. Nagle tuż przed samochodem wyszło na nią dwóch staruszków i panna Thorne musiała ostro wyhamować. Grace poleciała do przodu. Opiekunka, mamrocząc gniewnie pod nosem, spróbowała ruszyć, ale silnik zgasł. Wtedy już na poważnie się zdenerwowała, tym bardziej że z tyłu nadjeżdżał drugi samochód. Przy kolejnej próbie się udało i pojechały dalej.

Ojciec Grace został umieszczony w pawilonie Jawor. Ogród przed budynkiem był zadbany, ale sama elewacja wymagała odmalowania. Okazało się, że drzwi są zamknięte, więc panna Thorne zadzwoniła dzwonkiem. Grace, stojąc tam, myślała, że szpital zupełnie nie wygląda jak szpital, tylko jak duża podmiejska willa. Wrażenie się wzmogło, kiedy zobaczyła kobietę, która im otworzyła.

Szczupłą, ładną, ubraną w granatową plisowaną spódnicę i białą bluzkę z kokardą pod szyją. To był rok 1985 i ta pani kojarzyła się Grace z młodszą wersją Margaret Thatcher.

– Tak? – Kobieta mówiła uprzejmie, ale szybko, dając do zrozumienia, że jest zajęta.

Panna Thorne, wciąż zdenerwowana po przejściach na drodze, otworzyła torebkę, upuściła rękawiczkę, schyliła się, żeby ją podnieść.

– Przyszliśmy odwiedzić Edmunda Fulwella.

– Bardzo mi przykro, ale wizyty rodzin zaczynają się dopiero po południu. Proszę wrócić po obiedzie.

Antonię chyba przeraził pomysł, że mogłaby być krewną któregoś z pacjentów. Znowu zaczęła szperać w torebce i w końcu wyciągnęła z niej laminowaną wizytówkę.

– Pracuję w ośrodku pomocy społecznej – wyjaśniła.

– Dzwoniłam i umówiłam się na wizytę.

Grace popatrzyła ponad ramieniem kobiety w granatowej spódnicy. Korytarzem szła chuda dziewczyna, niewiele od niej starsza, w piżamie i w kapciach. Poruszała się jakby w zwolnionym tempie. Z głębi dolatywał zapach szpitalnego jedzenia i dymu papierosowego.

– Miałam przyjechać na jedenastą. – Panna Thorne była już poważnie rozzłoszczona.

Kobieta ją przeprosiła i przedstawiła się jako przełożona pielęgniarek.

– Edmund bardzo dobrze się czuje – zapewniła, jakby to miało złagodzić jej pomyłkę w oczach panny Thorne. – Lekarze są z niego zadowoleni. Możliwe, że za kilka

tygodni go wypiszemy. Już nie przetrzymujemy pacjentów tak długo jak kiedyś. – Wyglądała, jakby dopiero teraz zauważyła Grace. – A to kto?

– Córka – odparła ostro panna Thorne.

Pielęgniarka, która według identyfikatora miała na imię Elizabeth, wpuściła je, potem zamknęła za nimi drzwi na klucz.

– A tak! – Posłała Antonii wymowne spojrzenie. – No rzeczywiście.

W środku było straszliwie gorąco i panował zaduch. Korytarz ciągnął się przez całą długość pawilonu, na ścianach w równych odstępach wisiały białe kaloryfery. Kiedy je mijały, za każdym razem uderzała w nie fala ciepła. Pielęgniarce nie robiło to chyba różnicy, ale Antonia ściągnęła sweter, a Grace płaszcz – trzymając za wieszak przy kołnierzu, zarzuciła go sobie na plecy.

– Możecie skorzystać z sali odwiedzin. Tam będziecie mieli spokój. Stan, widziałeś Edmunda?

Stan, mężczyzna w średnim wieku, ubrany w kombinezon roboczy, mył podłogę. Grace zastanawiała się, czy ten pan jest pacjentem, czy pracownikiem. Pokręcił głową i dalej jeździł mopem po płytkach z linoleum.

Elizabeth otworzyła drzwi do przestronnej sali. Przed telewizorem stał rząd krzeseł. Na ekranie wesołkowaty młody facet przebrany za kłowna robił latawiec z brązowego papieru pakowego i pomarańczowego sznurka. Za nim w plastikowym autobusie zajmowały miejsca pluszowe miśki i lalki. Widzowie sprawiali wrażenie

zafascynowanych programem. Grace nie sądziła, żeby ojciec, nawet teraz, w trakcie choroby, chciał oglądać programy dla dzieci, ale nie mogła stwierdzić, czy jest w sali, bo wszystko spowijały chmury dymu z papierosów, a na dodatek pacjenci siedzieli tyłem.

– Czy ktoś widział Edmunda? – spytała Elizabeth. Użyła tego samego tonu, jakim mówił prowadzący program w telewizji. Grace pomyślała, że kobieta zaraz zacznie razem z nim podśpiewywać.

– Jest w sali dla niepalących.

Informacja padła anonimowo. Nikt nie odwrócił głowy od ekranu.

Sala dla niepalących była tak duża jak ta telewizyjna, ale przebywały w niej tylko dwie osoby. Siedziały w fotelach blisko uchylonego okna, zbyt małego, żeby dało się przez nie precyzyjnie. Do środka wpadało trochę chłodnego powietrza. Tych dwoje wydawało się pochłoniętych rozmową. Ojcu towarzyszyła postawna ciemnowłosa kobieta, ubrana w sztruksowe spodnie i bawełnianą koszulę w kratę. Podchodząc, Grace usłyszała, jak nieznajoma mówi:

– Nie przywykłam do takiej bezczynności. Ostatnio pracowałam w gospodarstwie warzywnym. Od tej roboty pękały mi plecy, nie miałam ani chwili wytchnienia.

Kobieta zupełnie nie była w typie tych, jakie zwykle pociągały Edmunda, ale ojciec najwyraźniej dobrze się z nią dogadywał i czuł się przy niej swobodnie. Z innymi kobietami tak nie było. A zwłaszcza z Sue – owszem, flirtował z nią i ją ubóstwiał, ale nigdy się nie zaprzyjaźnili.

Jego odpowiedź zagłuszył parokrotny skrzekliwy krzyk egzotycznej zięby zamkniętej w klatce przy jednej ze ścian. Na drzwiczkach wisiała olbrzymia kłódka. Grace pomyślała, że może hałas, jaki robi ptak, tak bardzo irytuje pacjentów, że próbowali go zabić. Wcale by się nie dziwiła. Przy drugiej ścianie stało akwarium. W mętnej zielonkawej wodzie pływały tropikalne rybki.

– Masz gościa, Edmundzie – poinformowała radosnym głosem Elizabeth.

– To ja znikam – oznajmiła ciemnowłosa. – Dam wam porozmawiać w spokoju.

– Dzięki, Bello.

Bella szybko wyszła z sali. Po drodze, gdy napotkała spojrzenie Grace, promiennie się do niej uśmiechnęła. Grace była przekonana, że to pielęgniarka, dopóki Elizabeth nie wyjaśniła:

– Bella też nas wkrótce opuści.

Edmund z rozmysłem odwrócił się do niej plecami i popatrzył na córkę.

– Przepraszam za to wszystko.

Grace pokręciła głową. Ojciec wyglądał okropnie, gorzej niż wtedy na ławce w centrum.

– Jeśli chcecie przejść do sali odwiedzin, przyniosę wam tam herbatę. – Elizabeth zerknęła na zegarek.

Edmund jęknął.

– Jeśli to nie problem, zostaniemy tutaj. Nie znoszę tej całej sali odwiedzin. Jest jak cela. – Kiedy pielęgniarka ruszyła do drzwi, głośno, tak żeby usłyszała, dodał: – I tej głupiej krowy też nie znoszę.

Pannę Thorne zignorował – równie dobrze mogłoby jej tam nie być – i rozmawiał z Grace, jakby w pomieszczeniu byli tylko oni.

– Tym razem porządnie spieprzyłem sprawę, co? Ale nie potrafiłem sobie poradzić z tym, że rozstaliśmy się z Sue. I uznałem, że tobie też będzie lepiej beze mnie. Nie musiałybyś się więcej o mnie martwić.

– Chciałeś się zabić?

– I nawet to mi się nie udało. A teraz muszę tu gnąć z tą babą, która co dziesięć minut sprawdza, czy nadal żyję.

– Cieszę się, że ci się nie udało – stwierdziła Grace.

Po tym razie pozwolono jej odwiedzać ojca bez opiekunki społecznej. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia przyszła do szpitala na świąteczny obiad. Większość pacjentów wypuszczono do domów, więc w pawilonie Jawor wiało pustką. Grace rozważała nawet, czy Maureen i Frank zgodziliby się zaprosić ojca na święta, potem jednak uznała, że małżeństwu już wystarczy problemów. Teraz wzięli pod opiekę szczególnie trudnych chłopaków i Maureen ciągle wyglądała na zmęczoną. Schudła i miała podkrążone oczy.

Tak więc Grace przeszła na piechotę i pod górę całe pięć kilometrów, żeby zasiąść z ojcem przy laminowanym stole w jadalni. Był tam też Wayne, nastoletni schizofrenik – rodzice się go wstydzili – i kobieta, której imienia nie знаła. Z podsłuchanych rozmów wiedziała jednak, że dziecko tej pani zaraz po porodzie zmarło.

– Nie umiała się z tym pogodzić – opowiadał któryś z pacjentów. – Złapali ją, jak wychodziła z oddziału z czymś

noworodkiem, chłopcem.

Dwie pielęgniarki ze świątecznej zmiany starały się, jak mogły, więc obiad przebiegł w całkiem miłej atmosferze. W papierowych czapeczkach jedli indyka, już rozdzielonego na talerze, i ciągnęli strzelające cukierki niespodzianki. Ojciec zachowywał się wyjątkowo spokojnie i nawet za bardzo nie narzekał na szpitalną kuchnię.

Po świątach zrobiło się bardzo zimno. Grace z ojcem – opatuleni paltami, w szalikach i czapkach, bo po gorącym oddziale na dworze nawet w słońcu było jak na Antarktydzie – chodzili na spacer po zamkniętym terenie. Ojcu wolno było oddalać się od pielęgniarek na nie więcej niż pół godziny. Grace pokazała mu wiewiórkę na wysokim drzewie, rosnącym na granicy szpitala i farmy.

– Pierwszą wiewiórkę w życiu widziałam podczas wędrówki z Nan – powiedziała.

– Naprawdę? – ucieszył się, wydawał się rozbawiony.
– Ciekawe, że to pamiętasz.

– Czy ktoś ją poinformował, że zachorowałeś?

Grace wiedziała, że ojciec sporadycznie kontaktował się z Nan, która w końcu zgodziła się przenieść do schroniska dla bezdomnych.

– Boże, mam nadzieję, że nie.

Ojca przygotowywano do wyjścia. Lekarze kazali mu uczestniczyć w grupie. Tak to się nazywało – grupa. Prowadziła ją ładna młoda pani psycholog. Odgrywali dużo scenek, dużo mówili o sobie. Edmund na początku traktował tę terapię sceptycznie, wręcz był jej przeciwny.

– To jakaś totalna bzdura – narzekał. – Nie brałbym w

tym udziału, gdybym nie myślał, że szybciej mnie wypuszczą.

Po jakimś czasie Grace zauważyła, że terapia chyba dobrze mu robi, bo pojawiał się na każdym spotkaniu, nawet jeśli mógł legalnie się od tego wymigać. Dopytywała, co się tam dzieje na tych sesjach, ale nie chciał o tym rozmawiać. Takie zaangażowanie do niego nie pasowało. Grace miała nadzieję, że nie chodzi tylko o to, że ojcu spodobała się pani psycholog.

Zazwyczaj grupa zbierała się w sali z ptasią klatką i akwariem. Uczestnicy zasłaniali wszystkie zasłony, żeby nikt ich nie podglądał z zewnątrz. Ale któregoś razu, gdy Grace przyjechała w odwiedzin, sesja odbywała się akurat w sali telewizyjnej i jeszcze trwała. Na dworze było zimno i ciemno, więc choć szyby w drzwiach od strony korytarza zasłonięto, to okna od ogrodu pozostały odsłonięte. Pewnie terapeutka uznała, że w taką pogodę nikt nie łązi po dworze.

To był przypadek, że Grace zauważyła odsłonięte okna. Nie zamierzała nikogo podglądać. Kiedy usłyszała od Elizabeth, że ojciec jeszcze przez pół godziny będzie zajęty, postanowiła pójść do bufetu po czekoladę dla niego. W drodze powrotnej spostrzegła światło padające z okien na klomb nieprzystrzyżonych krzewów różanych. Chociaż wiedziała, że nie powinna zerkać do środka, ciągnęło ją tam jak ćmę do lampy.

Uczestnicy ustawili krzesła w kręgu, blisko siebie. Ojciec siedział obok Belli, która już wyszła ze szpitala, ale przychodziła na spotkania jako pacjent dzienny. Grace

rozpoznawała większość osób. Ta pani, której umarło dziecko, ta co jadła z nimi świąteczny obiad, też tam była.

Właśnie mówiła Bella, a reszta uważnie jej słuchała. Grace odniosła wrażenie, że to dla kobiety nowość, że skupia na sobie uwagę tylu ludzi. Psycholożka – siedziała na podłodze, bo nie starczyło krzeseł dla wszystkich – kiwała głową, zachęcając Bellę, żeby kontynuowała. Nagle Bella wstała i przeszła na środek. Ciągnąc swoją wypowiedź, podniosła jedną rękę. Wyglądała na poruszoną, ale Grace nie słyszała ani słowa. Potem opuściła rękę i się rozplakała. Reszta uczestników stłoczyła się wokół niej. Ojciec ją objął i mocno uściśnął.

Grace poczuła się głupio, że tam stoi i podgląda, więc naciągnęła kaptur kurtki, bo już zmarzła, i odsunęła się od okna. Trzęsąc się z zimna, obeszła budynek do wejścia i zadzwoniła dzwonkiem, żeby Elizabeth ją wpuściła. Później drzwi sali telewizyjnej się otworzyły i uczestnicy grupy wysypali się na korytarz. Rozmawiali i śmiali się jak starzy znajomi. Nikt spoza grupy nie domyśliłby się, że Bella płakała. Edmund wydawał się zatroskany. Grace, wiedząc, że zbliża się pora kolacji i pacjenci zaraz muszą iść do stołówki, zapowiedziała, że długo nie zostanie. Ojciec odprowadził ją na przystanek.

– I jak dzisiejsza sesja? – spytała. – Udana?

Nie odpowiedział.

– Wypuszczają mnie w przyszłym tygodniu. – Wyglądał prawie tak, jakby to go smuciło.

– Wrócisz do Roda?

– Mówił, że mnie przyjmie.

– Więc?

– Nie będzie łatwo – odparł i chociaż tego nie powiedział, Grace zdawała sobie sprawę, że chodzi mu o wsparcie, jakie otrzymywał od kolegów z grupy.

– Przecież nikt ci nie każe zrywać kontaktów z nowymi znajomymi – zauważyła.

– Tak, racja – zgodził się z wyraźną ulgą.

Gdy wróciła do Laurel Close, przed domem stała karetka. Frank miał zawał. Sanitariusze wywozili go z domu na noszach. Grace szybko przecisnęła się przez tłum gapiów i dotknęła jego ręki. Zanim Maureen wsiadła na tył karetki, Grace chwyciła ją w objęcia i razem z nią się rozplakała.

Frank zmarł w drodze do szpitala. Grace zaproponowano przeniesienie do innej rodziny zastępczej, ale ona wybrała pobyt w domu dziecka. Tam spała w pokoju, gdzie stały trzy puste łóżka. W nogach leżały zwinięte koce, poduszki miały powłoczki w pasy.

Wspomnienie pokoju w domu dziecka, tak podobnego do saloniku w chacie Baikie, sprowadziło ją do teraźniejszości. Minęła godzina. Dotarła do postawionego przez właścicieli majątku jednego z kamiennych stanowisk myśliwskich i wyobraziła sobie krewnych ojca, jak przyczajeni w kręgu utworzonym z głazów czekają z uniesioną bronią na przelatujące z głośnym szelestem głuszce i pardwy. Decyzja rodziny ojca, żeby sprzedać ziemię pod kopalnię, tylko wzmogła jej niechęć do tych ludzi.

W dniach przed pogrzebem Belli, po porannych badaniach terenu, szła na wzgórze, żeby poznać okolicę. Pewnego popołudnia wspięła się na turnię Fairburn. Stamtąd miała doskonały widok na pałacyk w Holme Park. Zarys budowli w dole wyglądał zupełnie jak rysunek na planie architektonicznym. Pałacyk z dwoma skrzydłami stał w załomie rzeki, za nim rozciągały się tereny parkowe. Grace rozumiała, że to właśnie on przyciągał zwiedzających. Sama nigdy w nim nie była, chociaż siostry Halifax proponowały, że ją tam zabiorą. Planowały zorganizować przejażdżkę samochodem, a potem piknik. Twierdziły, że park to jedyne miejsce w całym Northumberland, gdzie na pewno zobaczy się grubodzioba. Grace kusilo, żeby się zgodzić, ale gdy Cynthia napomknęła coś o jej dziedzictwie, zrezygnowała.

Teraz, patrząc w dół, nie czuła żadnej więzi z piękną rezydencją. Nie chciałyby w niej zamieszkać.

Rozgoryczenie ojca uważała za nieuzasadnione i żałowała, że została w to wszystko wciągnięta.

Niechętnie ruszyła w długą drogę powrotną do chaty. Nienawidziła spędzać tam wieczorów. Nie sądziła, że będzie aż tak źle. Oczywiście zakładała, że może nie być łatwo – mówiła o tym ojcu – ale myślała, że polubi życie pod jednym dachem z innymi kobietami. Liczyła na koleżeńską atmosferę, taką, jaka panowała w domu panien Halifax. Bo już na uczelni nie panowała tak miła atmosfera. Dziewczyny ze sobą rywalizowały, ale to dlatego, że towarzystwo było mieszane. W chacie Baikie mieszkały same kobiety, wykształcone, o podobnych zainteresowaniach, więc Grace przypuszczała, że szybko się zaprzyjaźnią. Ale zamiast tego ciągle była wypytywana i traktowana podejrzliwie: zwłaszcza przez Anne Preece.

– Fulwell? – spytała, jak tylko się zapoznały. – Ale chyba nie masz nic wspólnego z Robem i Livvy z majątku?

Roześmiała się, więc Grace nie czuła się w obowiązku odpowiadać, jednak pytanie wzbudziło w niej niepokój. A gdy przyjechała do chaty, kiedy się dowiedziała o Belli, o tym, że się powiesiła w stodole, zaczęła się po prostu bać. Bezpiecznie czuła się tylko, gdy była sama, na wzgórzach, chociaż nawet wtedy czasami odnosiła wrażenie, że ktoś ją śledzi.

Do Baikie dotarła prawie o zmierzchu. Na progu zawahała się przez chwilę. Kusiło ją, żeby się odwrócić i odejść. Z wnętrza dolatywał zapach gotowanego jedzenia. Rachael w kuchni musiała usłyszeć kroki na podwórku, bo drzwi się otworzyły. Grace nie wiedziała, co myśleć o

Rachael. Niekiedy wydawała się jej groźniejsza od Anne.

– Cześć – zawołała Rachael. – Już się zaczynałam martwić.

Gdy Grace weszła ze świeżego powietrza do domu, gdzie pachniało pieczonym serem, pomidorami i czosnkiem, poczuła ucisk w żołądku.

– Zrobiłam wegetariańską lazanię – poinformowała Rachael. – Zjesz? Jest tego dużo, a chyba już za późno, żebyś coś sobie teraz sama szykowała.

– Wspaniale. Dzięki – odparła, bo co innego miałyby odpowiedzieć.

Ponieważ w chacie było zimno, usiadły w fotelach blisko kominka z talerzami na kolanach. Żadna nie zaciągnęła zasłon, nie włączyły też górnego światła. Anne jeszcze pracowała przy biurku przy świetle lampki stołowej skierowanej na papiery, więc resztę pokoju spowijał półmrok, tylko czasami rozświetlany czerwonym błyskiem spalających się polan.

– Przeglądałam twoje zapiski z badań w terenie – odezwała się Rachael.

Grace znów poczuła ucisk w żołądku. Dziobnęła widelcem jedzenie na talerzu.

– Tak, i?

– To naprawdę niezwykle. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale w tej dolinie jest chyba największe zagęszczenie populacji wydr w całym okręgu. W całej północnej Anglii.

– No nie wiem. Wydaje mi się, że na ogół populacje wydr są niedoszacowane.

– Kiedy skończymy, powinnaś pomyśleć o tym, żeby opublikować te wyniki.

Grace, zaniepokojona natarczywością Rachael, podniosła na nią wzrok.

– Tak sądzisz?

– Uważaj, bo zrobi to ktoś inny. A przecież to ty odwaliałaś całą robotę, więc to powinno pójść na twoje konto.

– No tak, racja – zgodziła się, chociaż wiedziała, że nigdy nie przedstawi wyników do naukowej analizy. Zebrała talerze i szybko wyniosła się do kuchni, żeby Rachael nie widziała, jak mało zjadła.

Kiedy wróciła, Anne stała przed kominkiem i grzała sobie ręce przy ogniu.

– Byłam dzisiaj na poczcie – powiedziała Rachael. – Przyszedł do ciebie list. Powinnam ci go wcześniej oddać.

Podąła Grace białą kopertę. To pierwszy list, jaki otrzymała od rozpoczęcia projektu, więc obie wpatrywały się w nią, oczekując, że go od razu otworzy. Ale ona złożyła kopertę na pół, żeby się zmieściła w kieszeni dzinsów.

Anne też dostała list i zachowała się równie tajemniczo. Co prawda zaraz go otworzyła, jakby się nie mogła powstrzymać, ale jak tylko szybko przeleciała treść, z powrotem wepchnęła list do koperty.

Rachael, która wyraźnie nie chciała być podejrzewana o wścibstwo, udawała, że czyta książkę, ale Grace patrzyła. Zauważyła, że list był napisany odręcznie, ale na górze widniało logo jakiejś firmy. Wystarczył jeden rzut

oka, żeby zyskała pewność, że to znak firmowy Slateburn Quarries. To tylko wzmogło jej niepokój i utwierdziło w przekonaniu, że nie można tu nikomu ufać.

Później próbowała odszukać list. Kiedy Anne poszła się kąpać, przejrzała jej szafkę z ubraniami i torebkę. Nawet wyrzuciła śmieci z kosza na podłogę, ale listu nie znalazła. Albo Anne miała go przy sobie, albo spaliła po kryjomu. Już samo to wydawało się Grace bardzo podejrzane.

Chociaż położyła się spać dużo później niż Rachael i Anne, tej nocy nie otworzyła swojego listu. Już i tak miała się nad czym zastanawiać. Zaczekała do rana, do chwili, aż znalazła się na wzgórzach i z miejsca, gdzie stała, w każdym kierunku mogła widzieć czysty horyzont.

To ojciec do niej napisał. Wciąż mieszkał i pracował w restauracji, ale odkąd Grace skończyła studia, rzadziej się z nią kontaktował. Jednak tym razem list był dłuższy niż zwykle. Nawet na odległość, gdy przebywała na uczelni, potrafiła po długości listów albo rozmów ocenić stan psychiczny ojca. Kiedy nie pił i był szczęśliwy, dzwonił do niej i opowiadał o byle czym lub przysyłał pocztówki ze sprośnym obrazkiem z jednej strony i ploteczkami na temat Roda i pracy lub informacją o nowym fascynującym przepisie kulinarnym na odwrocie. Długość tego tekstu kazała podejrzewać, że ojciec znowu wpadł w depresję i że pije. Ton wypowiedzi obsesyjny, histeryczny utwierdził ją w podejrzeniach i pogłębił niepokój.

List zaczynał się od pytań o Bellę. Ojciec skądś się dowiedział o jej samobójstwie i chciał poznać wszystkie

szczegóły. Jak się zabiła? Gdzie byłaś, kiedy to zrobiła? Czy to na pewno samobójstwo?

Na początku pytania ją zaskoczyły. Nie rozumiała, dlaczego ojciec, nawet w stanie wzburzenia, tak bardzo przejął się śmiercią żony jakiegoś farmera? Dopiero jedno zdanie, które prawie przeoczyła, wszystko jej wyjaśniło. Ojciec pisał tak, jakby uważał, że to oczywistość. „Na pewno pamiętasz Bellę ze szpitala”.

Wtedy sobie przypomniała i po raz pierwszy skojarzyła tę kobietę z Bellą, pacjentką St Nicholas, uczestniczką grupy terapeutycznej. A może jej podświadomość już wcześniej dokonała tego skojarzenia i stąd te wspominki o pobycie ojca w szpitalu. Ta myśl nie była najprzyjemniejsza.

Dalej ojciec pisał: „Czytałem w gazecie o pogrzebie. Chciałbym pójść. Przyjaźniłem się z Bellą i mam wyrzuty sumienia, że jej nie pomogłem, kiedy tego najbardziej potrzebowała. Ale nie znoszę tych okropnych uroczystości i nie wiedziałbym, co powiedzieć jej rodzinie i znajomym. Więc pomyślałem, że zamiast tego w dzień pogrzebu odwiedzę ciebie. To mnie oderwie od złych myśli. I chciałbym na własne oczy zobaczyć tę stodołę, gdzie Bella odebrała sobie życie. To niesamowite, że skończyła je tak blisko miejsca, w którym ja swoje rozpoczynałem. Może wybierzemy się na spacer. Pokazałbym ci swoje stare rewiry. O przyjazd się nie martw. Znajomy obiecał, że mnie podrzuci”.

List kończył się dziwnym zdaniem: „Mam nadzieję, że o siebie dbasz”. Grace się wzruszyła. Ojciec zwykle się o

nią nie troszczył. To ona zawsze się o niego zamartwiała. Tak czy inaczej nie przyszło mu do głowy, że jego wizyta niekoniecznie ją ucieszy, że ona może nie chcieć się z nim widzieć.

– Zasługuje na to, żebym zadzwoniła i wyraźnie dała do zrozumienia, żeby nie przyjeżdżał – powiedziała na głos, chociaż wiedziała, że nie zadzwoni.

Podarła list na drobne kawałki i po garści zdmuchiwała je z ręki. Patrzyła, jak wiatr roznosi skrawki po wzgórzu. Potem poszła dalej, znacznie oddalając się od swojego obszaru badawczego, aż dotarła do Langholme. Pomyślała, że skorzysta z budki telefonicznej we wsi i zadzwoni do ojca, ale zupełnie przez przypadek natknęła się na dom ze zdjęcia, ten, w którym ojciec mieszkał, zanim ożenił się z jej matką.

Wyglądał zwyczajnej, niż się spodziewała. Stał na obrzeżu wsi, wcale nie tak blisko pałacyku, chociaż widziało się go w oddali, na końcu długiej i prostej alei. Oczywiście na podwórzu było czyściej niż za czasów ojca. Zniknęły worki ze śmieciami. Grace obmyśliła jakąś sensową wymówkę, dzięki której mogłaby zajrzeć do środka, ale wtedy pojawiła się Anne Preece. I znowu zaczęła zadawać te swoje wścibskie pytania. Wyglądało na to, że wraca z Holme Park, gdzie wpadła na kawę do Livvy Fulwell. Grace to zdziwiło, bo jak dotąd nie odnosiła wrażenia, żeby te dwie kobiety się przyjaźniły. To kolejny sygnał, że powinna uważać.

W dzień pogrzebu Grace wyprawiła Rachael i Anne, potem czekała na ojca. Jednak przyszedł pieszo; z małym plecakiem na ramieniu zwawo maszerował drogą do farmy. Prowadząca przez nią ścieżka była drogą ogólnego użytku, więc z początku Grace myślała, że to jakiś spacerowicz. Ojciec kroczył bardzo szybko, chociaż raz obejrzał się za siebie. Wyglądał na zdenerwowanego i pobudzonego. Wstawiła wodę na kawę – pewnie jak tylko wejdzie, będzie się jej domagał – po czym znowu wyszła przed dom.

– Chyba nie przyszedłeś pieszo aż ze wsi?

– A co tak się dziwisz? Nie rozumiem. Jak na swój wiek jestem bardzo sprawny.

– Ale nie aż tak.

– No dobrze – przyznał. – Ktoś mnie podrzucił pod bramę.

– Trzeba ją było zaprosić na kawę. – Domyśliła się, że ten ktoś to kobieta. Wciąż je pociągał, a jeśli chodzi o mężczyzn, kumplował się jedynie z Rodem.

– Proponowałem, ale jest trochę nieśmiała. Poza tym musiała coś zrobić. Później po mnie przyjedzie.

Grace wprowadziła go do domu. Spodziewała się, że zacznie krytykować stan kuchni, ale był zbyt przejęty, żeby zwrócić na to uwagę.

– Widywałem tę chatę z daleka, ale nigdy nie zaglądałem do środka. Trochę tu prymitywnie. Ale tobie to pewnie nie przeszkadza, co, Gracie? Przywykłaś do

trudnych warunków.

W plecaku miał starannie zapakowane ciasteczka domowej roboty do kawy i placek ze szparagami na lunch.

– Alkoholu nie przywiozłem. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz, Gracie?

Wtedy pomyślała: będzie dobrze. Kiedy czytała list, martwiła się, że gdy się spotkają, czekają ją łzy. Że ojciec da pokaz hysterii. A już chyba nie miała siły tego znosić. Uparł się, żeby go oprowadziła po chacie, i zadawał mnóstwo pytań. Na większość nie знаła odpowiedzi. Pytał o Bellę i Dougiego i jak sobie radzili. O Constance Baikie i jej stowarzyszenie, o studentów, którzy przyjeżdżali do chaty, i o to, czym się tu zajmują.

Później przed lunchem Grace nakryła stół w saloniku. Ojciec zawsze się domagał, żeby jedzenie traktować z szacunkiem. Nie znosił pogryzania w pośpiechu i na stojąco.

– Wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała dokarmienia. – Żartował, ale tylko trochę.

Jakoś zdołała wepchnąć w siebie prawie całą porcję placka.

– Pokażesz mi dom, w którym mieszkała Bella? – spytał, gdy skończyli.

– Widziałeś, mijaleś go po drodze.

– Ale chciałbym lepiej się mu przyjrzeć.

Wzruszyła ramionami. Niby dlaczego miałyby się sprzeciwiać? Poszli na puste podwórko: dom po jednej stronie i stodoła, w której Bella trzymała owce, po drugiej. Dzień był wietrzny, ale słoneczny. Nieliczne chmury

przetaczały się jedynie nad wzgórzami. Edmund podszedł do szopy, otworzył górną połowę wrót i zajrzał do stodoły. Zobaczył boksy zarzucone zapaćkanym sianem.

– Obejrzałbym też dom – oznajmił.

– To niemożliwe. Jest zamknięty.

– Na pewno masz klucze. W razie jakiejś awarii.

– Po wyjeździe Dougiego policja zaplombowała wejście.

– Muszę zobaczyć, jak Bella mieszkała. Często opowiadała o swoim domu, ale jakoś nie nadarzyła się okazja, żeby ją odwiedzić.

– To znaczy, że byliście w kontakcie? Pierwsze słyszę.

– Od czasu do czasu spotykaliśmy się w gronie kilku osób z grupy. No wiesz, żeby się wesprzeć, dodać sobie otuchy. To pomaga.

– Najwyraźniej. – Ojciec nadal miewał ataki depresji, jednak już nigdy więcej nie musiał wracać do szpitala.

– Więc rozumiesz, dlaczego muszę wejść do środka.

– Przykro mi – odparła, tracąc cierpliwość. – To naprawdę niemożliwe. Nie mam kluczy.

– W takim razie się włamiemy.

– Chyba oszalałeś! – krzyknęła. Przysunęła twarz do jego twarzy, żeby oprzytomniał. – Jak zamierzasz to zrobić, żeby nikt się o tym nie dowiedział? A poza tym nie uważasz, że i tak wystarczająco dużo ryzykuję?

– Tak, oczywiście. Przepraszam. – Wydawał się bliski łez. – Tylko że ty chyba nie zdajesz sobie sprawy... Musiałabyś sama przez coś takiego przejść. A poza tym mam wyrzuty sumienia. Chyba mogłem to przewidzieć.

– Kiedy z nią ostatnio rozmawiałeś?

– Jakiś miesiąc temu w kilka osób spotkaliśmy się w restauracji. Rod czasami pozwala mi dla nich gotować. Po zamknięciu lokalu. I jeszcze do niej dzwoniłem. Z tydzień przed jej śmiercią.

– Po co?

– To osobiste – odparł z oburzeniem. – Nie chcę o tym rozmawiać.

– Możliwe, że policja się do ciebie zgłosi. Rachael coś wspominała, że szukają osób, które mogłyby wiedzieć, dlaczego Bella popełniła samobójstwo.

– Rachael?

– Rachael Lambert. Prowadzi tu badania. Przyjaźniły się z Bellą.

– Nie wiedziałem, że Bella miała innych przyjaciół oprócz nas.

I to tyle, jeśli chodzi o pogląd Rachael, że ona i Bella były sobie bliższe niż matka i córka. Bella nawet nie widziała potrzeby, żeby o niej wspomnieć kolegom z grupy.

– Zresztą nieważne – rzucił nagle Edmund. – Nie chcę mieć nic wspólnego z policją. Bella byłaby wściekła. Już dawno temu dała sobie z tym wszystkim spokój.

– To znaczy z czym?

Ale ojciec pokręcił głową i się odwrócił. Obszedł dom, zaglądając w każde okno, przy niektórych przykładł dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed odbijającym się od szyb słońcem.

– Naprawdę nie rozumiem, czego ty tutaj szukasz.

– Nie umiem odgadnąć, co tu się działo – mruknął, jakby jej nie słyszał. – Jaka ona była?

– A skąd ja mogę wiedzieć? – warknęła. To całe szpiegowanie ją denerwowało, poza tym bała się, że Rachael i Anne wrócą wcześniej i ich przyłapią. – Powiesiła się dzień przed moim przyjazdem.

– Właśnie – burknął z niechęcią Edmund, jakby to była jej wina, jakby to jej bliski przyjazd w jakiś sposób popchnął Bellę do samobójstwa.

– Wracajmy już, dobrze? – Dotknęła ramienia ojca na znak, że nie chce się dłużej kłócić. – Więcej nic tu nie działyśmy, a ja zmarłam.

Pociągnęła go za sobą. Nie opierał się, a kiedy w chacie przygotowywała herbatę, spokojnie czekał.

– Niedługo będę musiał lecieć. Ona mówiła, że podjedzie po mnie około piątej. – Ona. Bez imienia. Może nawet go nie pamiętał. Od czasów Sue starał się za bardzo nie angażować.

– Odprowadzę cię do bramy.

– Nie – rzucił szybko i Grace pomyślała, że pewnie nakłamał tej kobiecie. Może nawet się nie przyznał, że idzie odwiedzić córkę. – Mówiłem ci, że jest nieśmiała.

– W takim razie pożegnamy się tutaj. – Stali skrzepowani w ciasnej kuchni.

– No więc? – odezwał się niby to wesoło, ale chyba zrobiło mu się żal, że już czas wychodzić. – Co z badaniami? Jak ci idzie?

– Nie jest łatwo. Mam na myśli to, o co prosiłeś.

– Tak, cóż, doceniam twoje poświęcenie. Ale przecież

też tego nie chcesz? Żeby ktoś zniszczył wzgórze. Moją ziemię – zawahał się i posłał jej wymowne spojrzenie. – Naszą ziemię.

– I tak nie jestem pewna, czy to się do czegoś przyda.

– Czemu tak sądzisz?

– Kilka wydr. Co to jest w porównaniu z górą kasy i tyloma miejscami pracy. Tak właśnie powiedzą ludzie!

– Nie kilka, tylko dużo. – Zamilkł na chwilę. – Przynajmniej tak będą wskazywały wyniki twojego badania terenu. Że to duża populacja wydr. Obiecałaś.

– Nie jestem pewna, czy zdołam dotrzymać tej obietnicy. Rachael już teraz kwestionuje moje wyliczenia.

A poza tym nie umiem dobrze kłamać, pomyślała. Przynajmniej gdy chodzi o kwestie naukowe. O ważne kwestie.

– Postaraj się, co? Dla mnie, hm?

– Tak, wiem, ale to naprawdę duży kłopot.

– Jasne, jasne. Rozumiem. – Ale wcale nie rozumiał. Przypominał rozpieszczone dziecko, liczyły się tylko jego problemy i zachcianki. – Słuchaj, pójdę już.

– Oczywiście, nie możemy pozwolić, żeby czekała – mruknęła sarkastycznie.

– No właśnie.

Wyszła z ojcem, ale potem ruszyła w przeciwną stronę, w kierunku starej kopalni. Nie odwróciła się, żeby pomachać. Kiedy dotarła do kopalni, usiadła na gruzach, blisko strumienia, który na zakręcie płynął wartko i był głęboki, i znowu zaczęła rozmyślać. Wiedziała, że to niebezpieczne, ta obsesja, to pragnienie znalezienia

związku i znaczenia. Prawie wierzyła, że sprawy, które ją trapią, łączą się ze sobą i tworzą zawiłą sieć – śmierć Belli, niechęć Anne, kopalnia, ktoś, kto ją śledzi. A ona była pajakiem w samym środku tego wszystkiego, elementem sprawczym, chociaż nie pojmowała, jak to się dzieje.

W końcu długie cienie rzucane przez kopalniane budynki uzmysłowiły jej, że już późno. Zawróciła w pomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Spacer ją uspokoił. Przyszło jej do głowy, że może jest chora tak jak ojciec. On też miewał paranoje, a gdzieś czytała, że takie skłonności są dziedziczne. Ta myśl, zamiast ją przerazić, dodała jej otuchy. Mogła z kimś porozmawiać. Mogła się leczyć. I pewnie wcale nic jej nie grozi. Wszystko tkwi w jej głowie.

Rozważała to całe dwa dni, aż w końcu wysmażyła liścik do ojca z prośbą, żeby – jeśli to możliwe – umówił ją na spotkanie z lekarzem z St Nick. Napisała też do Antonii Thorne. Nic konkretnego, bo jednak wciąż nie czuła się na tyle bezpiecznie, żeby zwierzać się ze swoich problemów. Poprosiła tylko o spotkanie i wyjaśniła, że coś ją niepokoi. Żeby wysłać listy, zabrała się do Langholme z Rachael. Koperty zakleiła, mimo to wolała nie oddawać ich w cudze ręce.

Grace zgodziła się pojechać do pubu tylko dlatego, że chciała skorzystać z budki telefonicznej w Langholme. Nic nie miała przeciwko pubom i wspólnej zabawie przy piwie, ale nienawidziła wymuszonej przez tłok bliskości, przepychanek przy barze i oddechu obcych ludzi na karku. Oczywiście na studiach zdarzało jej się wychodzić na miasto z kolegami z akademika, w którym mieszkała – żeby nie myśleli, że jest nadęta – ale ulubione miejsca spotkań studentów zawsze były zatłoczone i głośne. Edmund nigdy nie proponował wypadów do pubu. Gdy pił, pił ostro i samotnie, za zamkniętymi drzwiami.

Rachael pewnie myślała, że Grace będzie się opierać, bo kiedy zaproponowała wyjście, dodała:

– To polecenie kierownika zespołu. Musisz iść. Dobrze nam zrobi, jeśli przynajmniej na chwilę się stąd wyrwiemy.

Więc wpakowały się do jej maleńkiego auta i pojechały w ciemności do Langholme. Grace trochę się niepokoiła, że zostawiają w Baikie wszystkie dokumenty – do pustej chaty mógł się ktoś włamać – ale Rachael i Anne stwierdziły, że to nedorzeczność. Komu by się chciało jechać tyle kilometrów, żeby wykraść jakieś papierzyska i kilka lornetek? Grace przyznała im rację. Ale dotarło to do niej dopiero po tej argumentacji.

Żeby zadzwonić do ojca, czekała prawie do zamknięcia pubu. Zanim się obejrzała, Anne zdążyła wypić cztery dziny z tonikiem i poflirtować z jakimiś młodymi chłopakami przy barze.

W słuchawce słyszała brzęk talerzy, wyczuwała, że ojciec jest rozkojarzony.

– I co? Dostałeś mój list? – darła się do słuchawki.

– Tak.

– Umówiłeś mnie?

– Nie bądź niemądra. Jesteś najbardziej poukładaną osobą, jaką znam. Nie potrzebujesz psychiatry.

Dopiero wtedy sobie uzmysłowiła, jak bardzo liczyła na spotkanie z lekarzem i na to, że ktoś pomoże jej znaleźć wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazła. Stała w staromodnej budce, oddzielona od pubu ulicą. Przejeżdżająca ciężarówka oślepiła ją światłami i wprawiała w drżenie szyby.

– Tato? – zawołała nerwowo, wystraszona, że kiedy zagubiła się w myślach, ojciec się rozłączył.

– Tak?

– Nie mogę tego dłużej robić.

– Ależ nie opowiadaj bzdur. Poza tym to już niedługo.

– Jak dla mnie zbyt długo. Nie masz pojęcia, jak ja się czuję.

– Przecież to dla mnie, maleńka. Nie poddawaj się, proszę. Jesteśmy drużyną, pamiętasz? Pracujemy razem.

W tle rozległ się jakiś krzyk, stukot naczyń i ojciec bez pożegnania odwiesił słuchawkę.

Grace długi czas stała nieruchomo, uwięziona w budce. Nie mogła wrócić do zadymionego pubu do Rachael i Anne. Bała się, że się tam rozryczy, nie z rozpacz, ale dlatego, że czuła się zagubiona. Nie wiedziała, co robić, a dotąd zawsze umiała podejmować

decyzje. Wtedy z pubu wyszedł pijany starszy facet i zataczając się, ruszył w jej stronę. Pchnęła ciężkie drzwi i uciekła. Po drodze minęła pijaka, ale on jej chyba nie zauważył.

W środku Anne znowu stała przy barze.

– Długo cię nie było – rzuciła Rachael.

– Bo było zajęte. Nie mogłam się dodzwonić.

Wtedy Rachael powiedziała, że Anne chce się przenieść do pakamery.

– Przypuszczam, że potrzebuje więcej prywatności – dodała skruszonym tonem.

– Dlaczego? – obruszyła się Grace. – Co ona knuje? – Chciała ostrzec Rachael, ale ta tylko dziwnie na nią spojrzała i zmieniła temat, więc Grace zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem te dwie nie są w zмовie, może się przeciwko niej namówiły.

Zaczyna mi odbijać, stwierdziła w duchu. Zupełnie jak ojcu.

Następnego dnia Rachael wyjeżdżała z samego rana. Na spotkanie z Peterem i inwestorem. Grace w nocy prawie nie spała, więc była na nogach przed Rachael i starała się traktować ją normalnie. Zrobiła jej kawę, potem patrzyła, jak odjeżdża i jak mały samochodzik krztusi się, pokonując podjazd pod górę. Po powrocie wrzuciła grzanki do piekarnika, ale nie zdążyła ich zjeść, bo zjawiała się Anne, jeszcze w szlafroku i z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem.

– Zaraz idę w teren – poinformowała ją Grace. – Nie będzie mnie do wieczora. Wrócę dosyć późno.

Anne musiała widzieć, że grzanki w piekarniku powoli zamieniają się w węgielki, ale tylko wzruszyła ramionami i rzuciła: „okej”.

Dopiero około południa Grace przypomniało się, że z tego wszystkiego zapomniała zostawić informację o trasie wędrowni. Nie chciała dawać Rachael powodów, żeby bliżej przyglądała się jej pracy, więc postanowiła zawrócić. Zakładała, że do tej pory Anne już na pewno wyszła.

Przed chatą stał samochód. Grace od razu nabrała podejrzeń. To nie było auto Petera Kempa, a nikt inny ich nie odwiedzał. Potem pomyślała, że znowu dostaje świra. Wóz pewnie należy do kogoś, kto przyjechał obejrzeć farmę i ziemię, do rzeczoznawcy albo agenta nieruchomości.

Jak tylko weszła do kuchni, usłyszała w pokoju obok jakieś hałasy, sapanie i piski. Bez zastanowienia otworzyła drzwi saloniku. Poczowała zapach jedzenia, wędzonej ryby, owoców i... zrobiło jej się niedobrze. Zobaczyła w połowie rozebraną Anne Preece na podłodze. I jakiegoś mężczyznę. Z nagimi pośladkami, spodnie miał ściągnięte do kostek. Ten widok tak bardzo przypominał sprośne pocztówki znad morza, że w pierwszej chwili uznała, że to jakiś kawał. Pewnie Anne złośliwie chciała ją wkreślić. Ale Preece się nie śmiała. Leżała pod mężczyzną, jednak twarz miała zwróconą w stronę drzwi, więc od razu zobaczyła Grace i była wyraźnie zaszokowana. Nieznajomy, żeby spojrzeć, kto przyszedł, musiał się odwrócić. Podpierając się na jednej ręce, drugą nerwowo wciągał slipki. Wykonał dość karkołomną akrobację. Popatrzył do tyłu, Grace

natychmiast go rozpoznała. Edmund przysyłał jej fragmenty artykułów prasowych o inwestycji w Black Law i na tych wycinkach widziała zdjęcia Godfreya Waugha. Przez chwilę się w niego wpatrywała, potem cofnęła się i zamknęła drzwi.

A więc Anne rzeczywiście brata się z ludźmi stojącymi po drugiej stronie barykady. To nie tylko urojenia. Zastanawiając się, co o tym myśleć, Grace wyrwała kartkę z notesu i zapisała na niej szczegóły trasy.

Drzwi się otworzyły i do kuchni weszła Anne, już nie taka wyluzowana, tylko zdenerwowana i niepewna. Grace czuła się podobnie, więc postanowiła, że nie opowie ojcu o romansie Grace z Waughem. Coś z tym trzeba będzie zrobić, ale nie w ten sposób. Nie chciała wysłuchiwać złośliwych komentarzy Edmunda i tego jak na okrągło wałkuje szczegóły, zupełnie jakby się delectował drogą whisky.

Więc gdy Anne wspomniała o żonie i córce Godfreya, Grace odparła:

– Nie martw się. Nikomu nic nie powiem.

Mówiła wolno i stanowczo, żeby Anne jej uwierzyła. I chyba uwierzyła, bo uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Coś dzisiaj przyrządę na kolację. Może zapiekankę z kurczakiem. Na pewno ci zasmakuje. Zresztą czas się już dogadać

Grace zamierzała przypomnieć, że jest wegetarianką, ale się powstrzymała. Anne pojednawczo wyciągała do niej dłoń, nie było sensu tego psuć. Na szczerść jeszcze przyjdzie czas. Więc zamiast tego uśmiechnęła się i

powiedziała:

– No to zostawiam was, dogadujcie się dalej.

Kiedy maszerowała w kierunku nieużywanej kopalni, czuła się lepiej niż kiedykolwiek od czasu, gdy ojciec wciągnął ją w ten cały bałagan.

Część II

Znowu były w chacie. W kominku się paliło, znajome meble pokrywał kurz, zżerany przez mole wypchany lis łytał okiem z zapoćkanej szklanej gabloty.

Tylko że teraz siedziały sztywne i skrępowane jak jakieś aktorki z amatorskiego teatryku i dlatego pokój wydawał się inny. Przypominał scenę przygotowaną pod gotycki dreszczowiec. Patrzyły po sobie, czekając, aż coś się wydarzy, aż ktoś popchnie akcję do przodu.

Towarzyszająca im młoda policjantka starała się jak mogła poprawić im nastrój. Mżawka przeszła w ulewę. Kobieta popatrzyła na ociekające wodą okno i radośnie stwierdziła, że ma szczęście, że akurat pełni służbę pod dachem. I nie zazdrości ludziom z ekipy, którzy wciąż są na wzgórzach. Poza tym ma dzisiaj randkę z zabójczo przystojnym chłopakiem i nie wie, jak wyglądałyby jej włosy, gdyby teraz chodziła po dworze przy takiej pogodzie.

Rachael odwróciła się, żeby z uprzejmości coś odpowiedzieć, ale nagle z kuchni przypląnął do nich czyjś głos, zupełnie inny niż młodej funkcjonariuszki, twardy i kategoryczny.

– Nie gadaj mi tu bzdur, Joe, tylko leć i się tym zajmij.

Joe musiał od razu wypełnić polecenie i wyjść, ponieważ pytanie, które padło tuż po chwili, było zadane krzykiem.

– One są w środku, tak?

Anne i Rachael spojrzały w stronę drzwi. Do saloniku

weszła kobieta – duża, przy kości, z kartoflowatym nosem i stopami wielkimi jak u mężczyzny. Nogi miała gołe – nosiła tylko skórzane sandały – kwadratowe palce u stóp upačkane błotem. Cera cała w plamach, dziobata. Rachael pomyślała, że to pewnie jakaś egzema. Kobieta stała w przezroczystym płaszczu przeciwdeszczowym, woda skapywała z niego na podłogę, a siwe mokre włosy kleiły się do czoła. Wyglądała jak podstarzała turystka, którą podczas wędrówki złapała niespodziewana ulewa.

Od razu pozbyła się młodej policjantki.

– Zrób herbatki, kotku. – Potem wyciągnęła dłoń jak szpadeł.

Rachael wstała, żeby się przywitać, i nagle zdała sobie sprawę, że już wcześniej widziała gdzieś tę kobietę. Ach tak, to ta bezdomna, która się spóźniła na pogrzeb Belli.

– Vera Stanhope – przedstawiła się. – Inspektor policji. Będziecie mnie teraz często widywać. A jeszcze częściej sierżanta Joego Ashwortha, na razie jest na zewnątrz i moknie. Ale to młodziak. Nie grozi mu artretyzm. – Wlepiała wzrok w Rachael. – Czy ja pani nie znam?

– Byłam na pogrzebie Belli Furness.

– Ano racja. Nigdy nie zapominał twarzą – uśmiechnęła się zrozumiata. – To jedna z moich mocnych stron.

– A pani dlaczego przyszła na pogrzeb? – wypaliła Rachael.

Przez chwilę inspektorka wydawała się oburzona, że

ktoś miał czelność o to zapytać.

– To sprawa osobista. Bez związku z obecną sytuacją.
– Potem, chociaż nie wyglądała na osobę, która się przejmuje, że jest obcesowa, już łagodniej dodała: – Znałam Bellę z przeszłości.

– To znaczy?

– Już powiedziałam, osobista sprawa – odparła opryskliwie Vera. – Poza tym wasza kumpela leży tam ze sznurkiem na szyi, więc to chyba teraz ważniejsze, nie sądzi pani?

Wcale nie jestem przekonana, pomyślała Rachael. Śmierć Grace ją zaszokowała, ale w tym nowym stanie odrętwienia nie odczuwała żadnej straty. A już na pewno nie myślała o Grace jako o „kumpeli”. Tak nagle się pojawiła i tak bardzo się od nich separowała, że w ogóle trudno było o niej myśleć jak o kimś, kto żył. Odnosiło się wrażenie, że jej śmierć była nieunikniona, jakby zdążała do niej już od chwili przyjazdu.

Rachael uświadomiła sobie, że Vera Stanhope czeka na odpowiedź.

– Tak – odparła. – Oczywiście.

Popatrzyła na Anne. Wydawałoby się, że na taką uwagę rzuci jakiś szybki i kąśliwy komentarz jak to ona, ale Anne wyglądała na przygnębioną i nie przestawała wpatrywać się w ogień.

– Kto ostatni widział ją żywą? – spytała Vera.

Anne wstała.

– Ja. Przynajmniej tak sędzę – zamilkła. – Rachael pojechała na spotkanie do Kimmerston. Grace wyszła w

teren. Ja zostałam, żeby nadrobić papierkową robotę. Jeśli nie spotkała nikogo po drodze, to...

– A mogło tak być?

– Zależy, dokąd poszła. Któryś z pracowników gospodarczych Holme Park mógł ją widzieć ze szczytów wzgórz. Albo jakiś turysta. Czasami chodziła aż do Langholme. Tam pewnie szybciej ktoś by się na nią natknął.

– O której ją pani widziała?

– W południe. O pierwszej, pierwszej trzydzięci.

– Dopiero wychodziła czy wróciła coś zjeść?

– Zjeść nie – zaprzeczyła Anne. – Nie jadła dużo.

Wyszła wcześniej rano i wróciła, żeby zostawić informację, gdzie będzie po południu. Taki jest wymóg.

Stanhope ściągnęła plastikowy płaszcz i przewiesiła go przez szklaną gablotę z wypchanym lisem, ale nadal stała. Anne chciała chyba coś powiedzieć o wystrzępionym rąbku spódnicy pani inspektor, ale kiedy spojrzała na jej twarz, zapytała nagle:

– A o której godzinie zginęła?

Vera buchnęła śmiechem, który przeszedł w zduszony kaszel.

– Takie rzeczy wie tylko sam Pan Bóg. My na pewno nie. Jeszcze nie. Możliwe też, że nigdy tego dokładnie nie ustalimy, zwłaszcza jeśli była na czczo. Naukowcy nie potrafią czynić cudów, nawet jeśli przekonywali was, że jest inaczej.

– Znaleziono ją tak blisko chaty, że albo musiała dopiero wychodzić w teren, albo wracała – zauważyła

Rachael. – Sądzi pani, że wiedziała, że coś jej grozi, i chciała wrócić, żeby...?

Odpowiedziało jej milczenie. Vera wróciła do przesłuchania.

– Czy to możliwe, żeby całe popołudnie, kiedy robiła badania w terenie, nikt jej nie widział?

– Jak najbardziej. Nawet jeśli chodziła gdzieś blisko szlaku, w środku tygodnia i przy takiej pogodzie nie ma tu wielu spacerowiczów. – Rachael odwróciła się do Anne. – Ty chyba nie poszłaś w tamtą stronę? Planowałaś robić pomiary przy starej kopalni.

– Nie poszłam, bo cały dzień siedziałam w domu – wyjaśniła Anne. – Robiłam porządki w dokumentacji.

– Ale na zakupy wyskoczyłaś... – zaczęła Rachael, zaraz jednak umilkła, bo się zorientowała, że jej głos brzmi karcąco, że znowu mówi jak nauczycielka i że inspektor Stanhope może nabrać nieuzasadnionych podejrzeń. Niepewnie dokończyła: – No, po składniki do zapiekanki, wino.

– A tak, ale to wcześniej. Rano, zanim Grace wróciła.

– Może zdołamy ustalić godzinę zabójstwa z zapisków w jej notesie – zasugerowała Rachael. – Miała go przy sobie?

Vera puściła to pytanie mimo uszu.

– A niby jak mielibyśmy to ustalić?

– Grace robiła czasowe wyliczenia. Zapisywała początek każdej nowej rundy.

Vera usiadła w fotelu, który przyciągnęła bliżej ognia. Błoto na jej stopach zaczynało już wysychać i zamieniać

się w szarą skorupę. Dzisiaj nie miała ze sobą plastikowych toreb sklepowych, tylko jedną, dużą, skórzaną. Tak starą, że zupełnie straciła kształt. Z pozwijanymi na końcach paskami wyglądała jak torba listonosza. Stanhope wyciągnęła z niej notes w twardej oprawie i coś w nim zapisała.

Potem założyła nogę na nogę, na moment błyskając białymi grubymi udami, i oparła ręce na kolanie. Zrobiła poważniejszą minę. Oho, dopiero teraz na serio nas przesłucha, pomyślała Rachael. Ale Vera – choć wcześniej je upomniała, żeby nie zapominały o leżącej na wzgórzach uduszonej Grace – zaczęła mówić o sobie. I mówiła tak, jakby opowiadała baśń, więc Rachael miała wątpliwości, czy opowieść jest prawdziwa.

– Kiedy byłam małą, przyjeżdżałam tu, do tej chaty. Czasami. Ojciec mnie tu ściągał. Tylko jego miałam. Matka zmarła przy porodzie. Nie jest fajnie dorastać z czymś takim. To tak, jakbym rodząc się, popełniła zbrodnię. Można by powiedzieć, że kryminał był mi bliski od samego początku. Mój zawód został mi jakby narzucony. – Wiedziała, że je zaskoczyła. Uśmiechnęła się łobuzersko. Złapała je na haczyk. Chciała im namieszać w głowach. – Wtedy mieszkała tu Connie Baikie. Duża, głośna Connie. Kojarzyła się bardziej z aktorką niż naukowcem. Po prostu diwa. Nie wiem, co się o niej opowiada, ale wszystkie historie z pewnością są prawdziwe. Była znana w tamtych czasach. Tak jak Peter Scott. Mój ojciec ją uwielbiał. Też zajmował się przyrodą. Wprawdzie amatorsko, ale w środowisku cieszył się poważaniem. W ogóle to był

dyrektorem szkoły. Jednak nie sądzę, żeby dobrze wykonywał swoją pracę. Z doświadczenia wiedziałam, że dzieci go nudzą, a jedyne co kocha to nauki przyrodnicze. – Zrobiła krótką przerwę na głęboki oddech. – Więc wyobraźcie to sobie. Pan w średnim wieku ląduje tu z małym dzieckiem. Wątlym, cierpiącym na alergię: astma, egzema. Bez wątpienia choroby psychosomatyczne, ale wtedy bardzo nasilone. Czy on pozwolił, żeby to wpłynęło na styl jego życia? Oczywiście nie. Miał obsesję na punkcie przyrody. Dopóki nie dorosłam na tyle, że mógł mnie zostawiać samą, wszędzie mnie ze sobą ciągnął. Złaziłam w tej okolicy setki kilometrów. I nauczyłam się stać cicho i nieruchomo. – Kolejna pauza. – No ale czasami zdarzały się te wspaniałe weekendy, kiedy zapraszała nas Baikie. Było wszystko. Muzyka i tańce na trawniku. Chińskie lampiony, ognisko, słodyczne i ciasta, i inni dorośli, którzy się nade mną rozplýwali. Panie w jedwabnych sukniach i futrach, pachnące egzotycznymi perfumami. Tutaj nawet rozmowy o roślinach, motylach i zwierzętach wydawały się bardziej ekscytujące. Bez względu na to, kim była Constance Baikie, jaka była, jedno jest pewne... potrafiła urządzać przyjęcia. – Podniosła na nie wzrok. Ton jej głosu i nastrój uległy zmianie. – Pewnie myślicie, że jestem dziwaczką. I że opowiadam o swojej przeszłości, żeby zrobić na was wrażenie. Nie o to chodzi i nawet jeśli ciągnie się za mną reputacja ekscentryczki, to mówi się też o mnie, że jestem bardzo skuteczna. Nie mógł się wam trafić nikt lepszy – zamilkła. – Ja się tu nie bawię w gawędziarza, nie wszystkim o tym opowiadam. Ale wam

powiedziałam, żebyście miały świadomość, że rozumiem, co tu się dzieje. I że nie straciłam kontaktu. Żyłam z ojcem czterdzieści pięć lat. Żyłam z listami, notatkami i szkicami. Zmarł rok temu, ale mieszkam w tym samym miejscu. Pisma naukowe wciąż co miesiąc trafiają na moją wycieraczkę, bo nie miałam czasu odwołać prenumeraty, i niekiedy je czytuję. Część rzeczy zapomniałam, nie podzielałam pasji ojca, ale wydaje mi się, że ogólnie rozumiem o co chodzi.

Odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła oczy. Nie odzywała się tak długo, że Rachael pomyślała, że kobieta zasnęła, i wyobraziła sobie, że ona i Anne będą siedziały przed nią wiele godzin zbyt skrępowane, żeby się poruszyć. Potem jednak, wciąż nie otwierając oczu, Vera podjęła:

– Więc mi wyjaśnijcie, czym się tu zajmujecie. Chcę szczegółowo usłyszeć o projekcie i o tym, jaką rolę odgrywała w nim Grace Fulwell. Opowiedzcie o dotychczasowych badaniach. Czego się spodziewałyście i jakie uzyskałyście wyniki. Wyjdziemy z tego pokoju, dopiero gdy będę wiedziała o tej dziewczynie dokładnie tyle samo co wy. Powtórzycie mi wszystko, co mówiła. O swojej pracy, znajomych, rodzinie. Wszystko.

Zapadła chwila ciszy, potem odezwała się Anne, która na krótko odzyskała swoje dawne, zabarwione drwiną poczucie humoru.

– O, to znaczy, że szybko nam pójdzie. A ja już się bałam, że przesiedzimy tu cały dzień.

Tego dnia z różnych stron naciskano na nie, żeby się wyprowadziły z chaty. Najpierw w bezprecedensowym wyrazie męzowskiego oddania przyjechał Jeremy, żeby zabrać Anne do domu. Przynajmniej tak tłumaczył powód swojego przyjazdu.

Pojawił się późnym popołudniem, ale przez deszcz i nisko zawieszane chmury wydawało się, że to zimowy wieczór. Ogień w kominku palił się cały dzień, światła były włączone. Vera – zdaniem Rachael wściekła, że tak mało informacji z nich wyciągnęła – przekazała pałeczkę sierżantowi. Rachael, zaskoczona kolejnym zbiegiem okoliczności, rozpoznała go – to Joe Ashworth, ten nieśmiały policjant, którego przysłano do Black Law w noc, gdy Bella się powiesiła. W czasie rozmowy ciągle zerkał na niezastłonięte okno. Tłumaczył się, mówiąc: „Dziwnie tak, prawda, bez świateł z ulicy?” Ale Rachael wiedziała, że pustka na zewnątrz budzi w nim niepokój.

Miał przy sobie kopie zapisków z notesu Grace. Samego notesu mu nie wydano.

– Inspektor Stanhope pomyślała, że może coś wam to powie – wyjaśnił. – Dla nas nie wszystko tu jest oczywiste. Ostatnie zliczanie panna Fulwell przeprowadzała między dziesiątą a dwunastą.

– A to są współrzędne. – Rachael pokazała palcem nad jego ramieniem. – Jeśli sprawdzicie z mapą, dowiedzie się, gdzie była.

Rozłożyli na podłodze wielkoskalową mapę. Anne

przeciągnęła palcem wzdłuż niebieskiej nitki oznaczającej strumień i zatrzymała go przy dużym czarnym kwadracie symbolizującym zabudowania.

– Musiała dojść aż do Langholme – stwierdziła. – Skirl płynie tam tuż pod moim ogrodem. Patrzcie, tu jest Priory. Ale na popołudnie nie przewidywała zliczeń.

I wtedy, prawie jakby wyczarowany wzmianką o Priory, w pokoju zjawił się Jeremy w obstawie umundurowanego policjanta. Stał w drzwiach i Anne od razu go zauważyła, tak jak i reszta. Nieduży mężczyzna, szary, łysiejący, z okrągłą wygoloną twarzą, świeża jak u dziecka zaraz po kąpieli. Chociaż był w dżinsach i bawełnianej bluzie w paski, i tak wydawał się wytworny.

Anne i jej znajomi zawsze trochę się z niego podśmiewali, ale ostatnio ona wyczuwała w nim coś nowego. Desperację, która – gdyby na to pozwoliła – mogłaby nawet obudzić w niej współczucie dla męża.

I właśnie, żeby się przed tym współczuciem bronić, zaczęła sobie teraz z niego kpić.

– No nie wierzę. Co ty tu robisz, na Boga? Nie wiedziałam, że znasz drogę.

Zrobił zranioną minę – przypominał jej małych chłopców w szkole ojca, tych co po kryjomu płakali i moczyli się w łóżko. Potem, ku jej wielkiej uldze, chwila minęła i Jeremy dał pokaz słusznego oburzenia, patrząc kokietyjnie na innych, żeby się upewnić, że się z nim solidaryzują.

– Tak się składa, że mieszkam w Langholme dłużej od ciebie. A to że mnie nie ciągnie, żeby codziennie hasać po

górach, nie znaczy jeszcze, że nie znam okolicy. I jeśli to cię interesuje, przyjechałem, bo się o ciebie martwiłem.

Odpowiedziała tym samym kpiącym tonem.

– To do ciebie zupełnie niepodobne, Jem. – Potem już poważniej dodała: – A jak się dowiedziałeś, co się stało?

– A tak, że co pół godziny wydzwanają do nas ludzie z kondolencjami. Cała wieś myśli, że to ty zostałeś zamordowana.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, dać upust hysterii, która narastała w niej przez cały dzień.

– Skąd wiedziałeś, że to nie ja?

– Na początku nie wiedziałem. Ale przynajmniej orientowałem się, że siedziałyście tu we trzy. Najwyraźniej inni myśleli, że mieszkasz w chacie sama.

– Och, Jem – mruknęła. – Jakże ja ci współczuję.

– Po południu przyszła żona pastora z ciastem. Wtedy zadzwoniłem na policję i usłyszałem, że tobie nic nie jest – przerwał. – Pastorowa zabrała ciasto.

Anne pomyślała, że mężowi odpowiadałaby rola zrozpaczonego wdowca. Przychodziliby ludzie z kondolencjami, użalaliby się nad nim. Zawsze lubił pogrzeby. A ona miała ubezpieczenie na życie. Jej śmierć rozwiązałaby jego wszystkie problemy finansowe. Możliwe, że był zawiedziony, że to nie ona padła ofiarą zabójcy. Może stąd ta jego lekka melancholia i rozdrażnienie.

– A co teraz mówią ludzie we wsi? – zapytał Joe Ashworth.

– To znaczy?

– Na pewno dotarły do pana jakieś plotki. Znali tę

dziewczyne?

– Niech pan nie żartuje – wtrąciła się Anne. – Przecież on po to tutaj przyjechał, prawda, Jem? Żeby poznać soczyste szczegóły. Jest gorszy od najgorszych plotkarek. Kto ci to podpowiedział? Ethel Siddon z poczty? – Ale kiedy to mówiła, pomyślała, że może choć raz mężowi nie chodziło o plotki.

– Nie! – Znowu się oburzył. Potem cicho, niemal błagalnie dodał: – Przyjechałem cię zabrać do Priory. Tam będę cię mógł pilnować. Nie możesz tu zostać, kiedy w okolicy grasuje szaleniec.

– Poważnie? Ty chcesz pilnować mnie? Kto ci nakładł tych głupot do głowy? Bo sam na pewno tego nie wymyśliłeś.

– Przynajmniej na tę noc – ciągnął. – Musimy porozmawiać o tym, co się tu dzieje.

– Nie – sprzeciwiła się, bo uznała, że zabójstwo Grace to tylko wymówka, żeby ją ściągnąć do domu. Jeśli w ogóle, to będą rozmawiali o kłopotach Jema, jakimś bagnie, w które pewnie się znów wpakował. Żeby Jeremy'emu chciało się odgrywać rolę opiekuńczego mężczyzny, potrzebował silniejszego bodźca. I żeby jeszcze bardziej mu dokuczyć, powiedziała: – Przyznaj się, Jem. Po prostu boisz się być sam w Priory.

Wpadł w panikę jak uczeń wezwany do dyrektora na dywanik. Anne pomyślała: Czego ty się tak trzęsiesz? I już prawie się złamała, ale nagle całe rozdrażnienie powróciło. Na rany boskie, przecież jestem jego żoną, nie niańką. Na niańczenie nigdy się nie godziłam.

- Wrócisz ze mną?
- Nie – powtórzyła. – Nie wrócę. Muszę dokończyć badania. Ale ty, jeśli się boisz, wyjedź do Londynu. Nie obrażę się.
- Nie mogę. Ciągle bym się o ciebie martwił. To żadna przyjemność. – Twarz mu jednak pojaśniała, bo Anne pokazała mu drogę ucieczki.
- Znał pan Grace Fulwell? – spytał Joe Ashworth.
- Nie.
- Nigdy jej pan nie spotkał, nawet w towarzystwie?
- Nie. – Wydawał się zniecierpliwiony, jakby chciał już wyjść.
- Był pan wczoraj w domu?
- Cały dzień. Pracuję głównie w domu.
- To znaczy, co ty w zasadzie robisz? – skomentowała w duchu Anne. Snujesz plany i coś tam knujesz. To nazywasz pracą?
- Panna Fulwell badała obszar przy strumieniu u podnóża państwa ogrodu. Szczupła młoda kobieta w kurtce przeciwdeszczowej i w traperach. Widział ją pan?
- Ależ skąd. Nie jestem taki jak moja żona, sierżancie. Nie lubię wysiłku fizycznego i jeśli mogę, to go unikam. Nie chodzę po górach.
- Czy z waszego domu widać potok?
- Nie o tej porze roku, kiedy drzewa mają liście.
- A z ogrodu?
- Możliwe. Ale ogród to terytorium Anne. Nigdy do niego nie wychodzę, chyba że w upalny letni wieczór przed kolacją z kieliszkiem chardonnay.

Edie nie dała się tak łatwo zbyć jak mąż Anne. Rachael, przynaglona opowieściami Jeremy'ego o plotkach, pobiegła do telefonu do Black Law. Nie chciała, żeby Edie usłyszała w wiadomościach, że na torfowiskach w Black Law została uduszona pani ekolog.

Kiedy opowiedziała, co się wydarzyło, Edie nie od razu zasugerowała, że córka powinna wrócić do domu. Była bardziej subtelna.

– Oczywiście sama wiesz najlepiej, co robić – oznajmiła.

– Oczywiście. – Sarkazm wszedł Rachael w nawyk.

– Ale mimo wszystko proponowałabym, żebyś przyjechała do domu, przynajmniej na kilka dni.

– Tak? Dlaczego?

– Odszukałam Alicję Davison. Tę dyrektorkę szkoły w Corbin, w której pracowała Bella. Mogłybyśmy się do niej wybrać – umilkła. Ale Rachael nie odpowiadała, więc Edie znowu zaczęła mówić: – Jeśli chcesz mnie zabrać, rzecz jasna. Bo może wolisz sama się z nią spotkać.

– Nie mogę wrócić. Nie w tej chwili. Anne zamierza kontynuować badania, więc nie zostawię jej tu samej. Zresztą musimy dokończyć raport.

– Mogłabyś go dokończyć tutaj.

– Nie, muszę zostać.

Policja była chyba w kontakcie z Neville'em Furnessem, ponieważ funkcjonariusze zajęli pokoje na parterze domu na farmie. Rachael dzwoniła z telefonu w

sypialni Belli. Nagle z dołu doszedł ją jakiś trzask, jakby ktoś upuścił talerz, potem wybuchy śmiechu i kpiące komentarze. Vera Stanhope krzykiem nakazała ciszę. Rachael jeszcze nie słyszała, żeby w tym domu było aż tak głośno, ale stwierdziła, że Belli by się to spodobało. Zrobiłaby dla wszystkich kanapki, wysuszyłaby im ubrania.

– Edie?

– Tak.

– A może ty tu przyjedziesz? Postanowiliśmy z Anne do końca projektu pracować razem. Przydałby się ktoś, kto pilnowałby naszych powrotów. W ramach dodatkowego zabezpieczenia. A pannę Davison i tak możemy odwiedzić.

– Gotowałam dla was – dopowiedziała Edie. – Sprzątała. O to chodzi?

– Bez przesady. – Rachael doskonale pamiętała, że w domu, pomimo socjalistycznych poglądów Edie, zawsze była jakaś pani do sprzątania całego bałaganu. Nie wyobrażała sobie matki w gumowych rękawiczkach.

– Tesco jest długo otwarte. Zatrzymam się po drodze i zrobię zakupy.

– Wyjdę po ciebie, bo po nocy na pewno nie trafisz.

– Mhm. – Prawie nie słuchała wskazówek, jak dotrzeć, zajęta tworzeniem listy zakupów. A także, pomyślała Rachael, planowaniem strategii terapeutycznej, którą zastosuje, żeby przeprowadzić córkę przez traumę kolejnej straty.

Kiedy wracała do chaty, zorientowała się, że jest tam Peter Kemp. Nawet po ciemku rozpoznała jego błyszczącego nowego land rovera – stał zaparkowany przy

stodole.

I on też, westchnęła. Kolejna osoba do przekonywania, żeby się spakowały i uciekły. Z drugiej strony nie wpłynęłoby to dobrze na jego reputację, gdyby znów zamordowano pracownicę Wildlife Trust.

Peter zdążył się już rozgościć. Z nogami wyciągniętymi w stronę kominka siedział wygodnie na poręczy fotela, przy Anne. Wyglądał jak właściciel tego miejsca. Butelka whisky, którą musiał ze sobą przywieźć, stała na gzymsie, a on trzymał w dłoni szklaneczkę. Na widok wchodzącej Rachael wstał i zrobił taki ruch, jakby chciał podejść i ją objąć, ale zrobiła szybko unik. Odsunęła się na bok.

– Co tu robisz? – warknęła ze złością.

– Przyjechałem na wezwanie.

– Jak to?

– Dzwoniła do mnie ta pani inspektor... – umilkł, oczekując, że Rachael pokaże, że wie, o kogo chodzi. Widząc jednak jej zniecierpliwiony grymas, dokończył: – Inspektor Stanhope. Dziwna kobieta. Nie sądzisz, że nie jest zupełnie normalna?

– Kazała ci przyjechać o tej porze?

– No niezupełnie. Ale, posłuchaj, mogłaś dać mi znać, co się stało z Grace... – I to było najbliższe wyrazów współczucia z jego strony, jakie od niego usłyszały. – ...Ta inspektor chciała zobaczyć jej akta. Tłumaczyłem, że jesteśmy małą prywatną organizacją i że Grace pracowała na umowę zlecenie, ale się uparła. Wyszukałem wszystko, co miałem.

Wyjął z aktówki kopertę, a z niej trzy lub cztery odbitki ksero. Rachael rozpoznała druk zgłoszeniowy na tymczasowe zatrudnienie w funkcji sondażysty, referencje z Otter Trust w Szkocji i dane do przelewów – numer konta bankowego, adres domowy.

– Nie mogłeś tego podrzucić do komendy w Kimmerston?

– Pewnie bym mógł... – Posłał jej uśmiech, jakim dorośli obdarzają zadziorne dzieci, i nalał jej whisky. – ...ale powiedziała, że jest tutaj i że to pilne. Poza tym chciałem sprawdzić, jak się czujecie.

– Jak to jak? Jesteśmy w szoku. Czego się spodziewałeś?

– I co teraz zamierzacie?

– Dokończyć raport.

– Czy to rozsądne?

Zanim zdążył coś dodać, odezwała się Anne.

– Nie jesteśmy wystraszone, jeśli to masz na myśli. Nie uciekniemy i nie zostawimy inwestorom wolnej ręki.

– Czyli to o to tu chodzi, tak? – Vera Stanhope stała w drzwiach, w półmroku. Weszła do chaty od strony kuchni. Jak na tak dużą kobietę, potrafiła się poruszać bardzo cicho.

Rachael domyślała się, że pani inspektor nauczyła się tego, gdy wraz z ojcem przyrodnikiem tropili zwierzęta w terenie. Zresztą sama wspominała, że ojciec zmuszał ją, żeby długo stała w bezruchu.

– No – ponagliła policjantka. – Sądzą panie, że Grace Fulwell została zamordowana, bo inwestorzy chcieli was

stąd wykurzyć, zanim coś znajdziecie? Coś, przez co ochrona środowiska kazałaby wstrzymać inwestycję?

– Nie – odparła Rachael. – Gdyby coś tu było, już byśmy to wykryły. – Spojrzała na Anne, szukając u niej potwierdzenia. – Nie uważasz?

– Chyba tak.

– Ale niewykluczone, że mogłyście coś przeoczyć? – Vera weszła w głąb pokoju, stanęła w rozkroku i rozejrzała się po zebranych.

Peter bacznie się jej przyglądał. Rachael zauważyła w jego oczach błysk przerażenia i pomyślała: Jest przyzwyczajony tylko do kobiet, które dbają o wygląd. Nawet ja się dla niego starałam. Potem zawodowy urok wziął w nim górę. Kemp wyciągnął dłoń, przedstawił się, a następnie zaproponował policjantce drinka, na co ona zareagowała szerokim uśmiechem Kota z Cheshire. Kiedy znów zadała pytanie, zwracała się już do niego, jakby uznała, że to on tu jest ekspertem.

– No to jak, panie Kemp, dziewczyny mogły coś przeoczyć?

– Cóż, zawsze istnieje taka ewentualność, chociaż wątpię. Nie znam lepszych badaczek terenowych od Anne i Rachael.

– A Grace? Ona też była dobra?

– Miała doskonałe referencje, co sama pani przeczyta w aktach.

– Akta, no tak. To bardzo uprzejme z pana strony, że je pan przywiózł. – Popatrzyła na niego sponad szklaneczki z whisky. – Czy był pan wczoraj gdzieś w tej

okolicy, panie Kemp? Może, żeby sprawdzić, jak idą badania albo czy pracownicy się nie objają?

To nagłe pytanie go zaskoczyło.

– Nie, cały dzień siedziałem w biurze. Miałem spotkania. Moja asystentka to potwierdzi.

– W takim razie nie będziemy zabierać panu więcej czasu. Dziękuję, że pan się tu stawił.

Wyglądało na to, że Kemp nie bardzo wie, jak zareagować na to zwięzłe wyproszenie.

– Ale whisky proszę zostawić – ciągnęła Vera. – Dziewczyny na pewno zrobią z niej użytek.

Kiedy policjantka odprowadzała Petera do wyjścia, coś do niej mówił, ale Rachael nie zrozumiała co. Potem usłyszały ryk dieslowskiego silnika land rovera.

Vera wróciła, dołąca każdej z nich whisky i wygodnie się rozsiadła. Rachael spodziewała się jakichś komentarzy na temat Kempa, ale żadne nie padły.

– Oczywiście same musicie zdecydować, co zrobicie – zaczęła, niemal dokładnie powtarzając słowa Edie. – Wolałabym jednak, żebyście zrobiły panie to, co ja chciałabym, żebyście zrobiły.

– Nie wyjedziemy stąd – oświadczyła Rachael. Ciekawe, ile razy jeszcze będzie musiała to powtórzyć.

– Nie sugeruję, że powinnyście. – Vera odłoniła zęby w szerokim uśmiechu. – Nie mam prawa zabraniać wam wstępu na wzgórze, poza miejscami, gdzie pracują moi ludzie, ani ograniczać swobody poruszania się.

– Ale...

– Ale moim przełożonym zależy na waszym

bezpieczeństwie. Tylko co oni tam wiedzą? Całe dni przesiadują w klimatyzowanych biurach i nawet do miejskiego ogrodu nie poszliby bez kompasu i zapasów jedzenia. Nie mają zielonego pojęcia, czym się tu zajmujecie. Ich tok rozumowania sprowadza się do tego, że dwie dziewczyny zostaną same w okolicy, po której grasuje jakiś wariat. Rozumiecie panie moje trudne położenie? – Znów się uśmiechnęła. – Kazano mi wam przekazać, żebyście się stąd usunęły. Będziecie tylko przeszkadzać. A poza tym, gdyby... – umilkła na moment – gdyby coś nieprzewidzianego spotkało którąś z was, prasa miałaby używanie. – Opróżniła swoją szklaneczkę i przez chwilę z zamyśleniem wpatrywała się w ogień, potem szybko dokończyła: – Więc zrobmy tak, jak nam każą, zgoda? Ja wam powiedziałam, że macie wyjechać, a wy odmówiłyście, więc teraz to na was spada odpowiedzialność, jeśli coś wam się stanie. I jakby co, już nie pozwicie komendanta.

– Dlaczego tak pani zależy, żebyśmy zostały? – zapytała Rachael. Znała się na silnych kobietach w średnim wieku i wiedziała, że tego właśnie chce Vera.

– Nie wydaje mi się, żeby wam coś tu groziło – odparła opryskliwie. – Policja spędzi mnóstwo czasu na przeszukiwaniu okolicy. Będziecie tu bezpieczniejsze niż w środku miasta. Po co zawałać tygodnie badań, skoro nie ma takiej potrzeby?

– Nie. – Rachael pokręciła głową. – Pani chodzi o coś innego.

Vera posłała jej szybkie spojrzenie.

– Zapomina pani, że znam te wzgórza od dziecka i tak samo jak wy nie chcę, żeby powstała tu kopalnia.

Z początku Rachael dała się przekonać, potem przyszło jej na myśl, że Vera Stanhope jest tak ambitna jak Peter Kemp. Bardzo jej zależało, żeby śledztwo zakończyło się sukcesem.

– To jeszcze nie wszystko.

– Powiedzmy tylko, że mam przeczucie, że dla śledztwa lepiej, gdybyście teraz nie przerywały badań.

Przez chwilę Rachael przypuszczała, że Vera uznała je za podejrzane i obawia się, że gdyby wyjechały, mogłyby zbiec. Ale potem wpadło jej do głowy inne wyjaśnienie.

– Sądzi pani, że zabójca wróci, jak zobaczy, że nie porzuciłyśmy badań. Chce nas pani wykorzystać jako przynętę.

Jak te wrony w klatce, dodała w duchu.

Vera wydawała się ogromnie urażona i zaszokowana taką sugestią.

– Jakżebym mogła. Komendant by mi tego nie wybaczył.

Ale znów w szerokim uśmiechu odsłoniła swoje duże żółte zęby.

Następnego dnia prawie nie widziały inspektor Stanhope. Na niebie wciąż wisiały deszczowe chmury, więc nie było sensu wychodzić w teren. Pod wieczór Rachael stwierdziła, że jeśli jeszcze jeden dzień przesiedzi w chacie, to zwariuje, więc przystała na propozycję Edie, żeby nazajutrz z rana odwiedzić Alicję Davison, emerytowaną dyrektorkę szkoły, w której – według tego, na co wskazywały dokumenty pozostawione w Black Law – Bella pracowała jako nauczycielka. Edie poszła na farmę wykonać kilka telefonów.

– Nie podoba mi się, że cię tu zostawię – zwróciła się Rachael do Anne. – Nawet pomimo obecności policji.

– Nie przejmuj się. I tak się wybierałam do Kimmerston na spotkanie ze znajomym.

Z mężczyzną, pomyślała Rachael, chociaż następnego dnia, gdy wyjeżdżały prawie o tej samej porze, nic na to nie wskazywało. Anne się nie umalowała, nie uperfumowała. Ani nie zapakowała do torby elegantszych ciuszków do przebrania.

W nocy pogoda się zmieniła. Nad wrzosowiskami nadal zalegała mgła, ale zrobiło się ciepło i przestało wiać. Edie udało się skontaktować telefonicznie z Alicją. Była z siebie bardzo zadowolona.

– Powiedziałam, że interesuje nas historia okolicy, a ona założyła, że chodzi o szkołę w Corbin. Wygląda na to, że w latach siedemdziesiątych ta szkoła została zamknięta. A Alicję obsadzono na wyższym kierowniczym stanowisku,

stała się kimś ważnym.

To Edie prowadziła i teraz umilkła, żeby się skupić przy wymijaniu traktora.

– Zasiadała w radzie doradczej do spraw szkolnictwa podstawowego i uznawano ją za eksperta od szkół wiejskich. Nawet napisała książkę na ten temat. Podejrzewam, że jest z typu tych starszych niezamężnych kobiet, które potrafią wchodzić w relacje tylko z dziećmi.

Rachael kusiło, żeby zapytać, co z siostrzaną solidarnością – Edie też była niezamężna i większość życia zajmowała się nauczaniem – ale się powstrzymała. Cieszyła się, że wyjechała z Baikie, i nie chciała się kłócić.

Kiedy weszły do domu panny Davison, szybko się zorientowały, że kobieta wcale nie jest zgorzkniałą, smętną starą panną. Była drobna, bardzo energiczna i promienna. Nie wyglądała też na swój wiek. Miała na sobie szary welurowy dres i nowe białe adidas. Wyjaśniła, że właśnie wróciła z zajęć jogi prowadzonych w siedzibie urzędu gminy. Odkryła, że jej pasją jest tai-chi, ale jogi też nie zaniedbywała. Człowiek na starość powinien dbać o formę i elastyczność, mówiła.

Mieszkała na małym osiedlu ładnych parterowych domków na obrzeżu zadbanej wsi blisko A1.

Oprowadziła je po swoim królestwie, opowiadając przy tym z niejakim żalem:

– Kiedy przeszłam na emeryturę, wymarzyłam sobie, że zamieszkać w domu z kamienia, z dużym ogrodem, ale uznałam, że to niepraktyczne. Jestem zbyt zajęta. Dlatego ten domek w zupełności mi wystarcza. Tutaj w Swinhoe

Close wszyscy są już w zaawansowanym wieku. Oczywiście w większości to małżeństwa, ale jakoś bez problemu mnie do siebie przyciągnęli. I mamy tu jeszcze wdowca, bardzo dzielnego pana. – Panna Davison mówiła szybko, z rytmicznymi przerwami, co brzmiało jak powtarzające się ptasie trele. – Proszę usiąść. Zaraz zrobię nam kawy. Macie panie ochotę? Ale nie przyjechałyście rozmawiać o mnie, tylko żeby poznać historię okolicy, dowiedzieć się czegoś o szkole. Domyślam się, że mieszkacie w Corbin?

Rachael szykowała się do wyjaśnień, ale gospodyni najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi.

– Do Corbin przeprowadziłam się na początku lat sześćdziesiątych, ale budynek w zasadzie nie zmienił się od przełomu wieków. To było moje pierwsze stanowisko dyrektorskie. Nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać. Szkoła miała jedną dużą salę w środku przedzieloną zasłoną. W jednej części uczyły się pierwszaki, w drugiej rok starsze dzieci. Każda klasa liczyła piętnaścioro uczniów. Nigdy dotąd nie widziałam takich diabłów. Przez cały semestr nie mieli tam dyrektora i panowała absolutna anarchia. Szkoła była ogrzewana, jeśli to w ogóle odpowiednie słowo, koksem. Kocioł stał w rogu, dymił i wydzielał opary siarki. A pierwszego dnia mojej pracy z sufitu na biurko spadła mi rodzina nietoperzy. Chłopcy rzucali nimi w dziewczynki, a te piszczwały w niebogłosy. Myślałam, że trafiłam do domu wariatów. – Uśmiechnęła się, więc chyba mimo wszystko podobała jej się każda minuta spędzona w szkole w

Corbin.

– Czy panna Noble już wtedy uczyła? – przerwała jej wspomnienia Edie.

– Nie – zaprzeczyła ostro. – Przyszła do nas później. Ale dlaczego panie o nią pytają?

– Bo tak naprawdę to ona nas interesuje.

Życzliwe nastawienie kobiety natychmiast zastąpiła wrogość.

– A więc o to chodzi. Nie przyjechałyście w sprawie szkoły. Kim jesteście? Dziennikarkami? Dlaczego nie zostawicie tej biednej kobiety w spokoju? Minęło tyle czasu. Żegnam. Obok mieszka znajomy. Jeśli w tej chwili panie nie wyjdą, wezwę go, żeby panie wyrzucił.

Rachael przeraziła wizja szarpania się ze starym wdowcem. Nie rozumiała, dlaczego panna Davison tak nagle zmieniła do nich swoje nastawienie. Pomyślała nawet, że może ta kobieta jest niespełna rozumu.

– Bella nie żyje, proszę pani – powiedziała. – Byłam jej przyjaciółką. I nadal się przyjaźnię z jej mężem. Na pani nazwisko natknęłam się w jej dokumentach. Uznałyśmy, że chciałyby pani wiedzieć.

Od przyjazdu cały czas ktoś coś mówił. Teraz w domu zrobiło się bardzo cicho. Pomieszczenie, w którym siedziały, nie wyglądało jak pokój starszej osoby. Niezagracone, utrzymane w mocnej ciepłej kolorystyce. Brakowało telewizora, ale za to stały tu duży odtwarzacz płyt kompaktowych i komputer na biurku. Szklane drzwi prowadziły do małego ogródka ogrodzonego kamiennym murkiem w kolorze miodu. Jedna część drzwi była lekko

uchyłona, więc do środka wpłynęły odgłosy z zewnątrz – szum ruchu ulicznego i krzyki dzieci.

– Przerwa – poinformowała panna Davison. – Przynajmniej tutaj udało nam się uratować wiejską szkołę. – Potem dodała: – Nie wiedziałam, że Bella nie żyje. Bo niby skąd miałam wiedzieć? Straciłyśmy kontakt wiele lat temu.

– Dałam ogłoszenie w „Gazette” o pogrzebie.

– Pewnie przyszło mało osób – mruknęła panna Davison. – Ja nie czytam „Gazette”. To brukowiec, prawda? Poza tym wciąż bardziej mnie interesuje prasa branżowa o tematyce szkolnej. Trochę to żalosne, jakbym utknęła w miejscu. – Spojrzała na Rachael. – Długo chorowała? Żałuję, że jej nie odwiedziłam. Powinnam bardziej się interesować, co się u niej dzieje.

– Bella nie chorowała – odezwała się Edie. – Popełniła samobójstwo.

– Nie! – Właśnie pokazała, jaka była jako nauczycielka. Stanowcza, zdecydowana, nieskora tolerować głupich żartów, mimo łagodnego usposobienia i śpiewnego dźwięcznego głosu. – Nie wierzę. Nie teraz. Przecież już dawno wszyscy zapomnieli. Gdyby to zrobiła wcześniej, to jeszcze bym zrozumiała. Ale po tylu latach...

– Zapewniam, że to jednak prawda – oznajmiła triumfalnie Edie, szykując się do wyłożenia swojej atutowej karty. – Znalazła ją moja córka.

Rachael nerwowo poruszyła się na krześle.

– Dlatego tu jesteśmy – podjęła. – Chcemy się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła. Byłam blisko z Bellą, ale

ona nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości. Miałam nadzieję, że mi pani pomoże zrozumieć... – Boże, pomyślała, mówię zupełnie jak matka.

Alicia nadal patrzyła na nie podejrzliwie.

– Nie słyszałyście o rozprawie?

– Nie.

– Pisali o tym we wszystkich gazetach. Mieszkacie w Kimmerston, prawda?

– Podobnie jak pani nie czytujemy miejscowej prasy – wyjaśniła Edie.

– Bella została skazana za nieumyślne spowodowanie śmierci. – Kolejne nieufne spojrzenie. – Zabiła swojego ojca. – Nadal obserwując twarz Rachael, łagodniejszym tonem dodała: – A więc rzeczywiście nic pani nie wiedziała?

– Nie miałam pojęcia.

Bello, dlaczego mi nie powiedziałaś? – krzyczała w duszy. Czuję się jak skończona idiotka.

– Przyszła do mnie do pracy prosto po studiach. Była entuzjastycznie nastawiona, energiczna, miała mnóstwo pomysłów. Przed nią pierwszakami zajmowała się starsza kobieta, tuż przed emeryturą. Postępowała bardziej jak opiekunka niż nauczycielka. Czytała dzieciom książki, wymyślała zabawy, śpiewała z nimi, ale jeśli chodzi o naukę... Próbowałam ją przekonywać do nowych metod nauczania, ale nie chciała o tym słyszeć. – Panna Davison wzruszyła ramionami. – Potem pojawiła się Bella i wszystko się zmieniło. Od nowa polubiłam swoją pracę. Przerzucałyśmy się pomysłami. Przez dwa lata, kiedy tam

była, osiągnęliśmy więcej, niż udało mi się zrobić w innych szkołach. Miałam wrażenie, że ona też to lubi.

– Używała pani nazwiska – zauważyła Rachael. – Tak się przedstawiała, zanim wyszła za mąż: Bella Davison. To jakiś wyrazy uznania dla pani?

– Myślę, że ją zawiodłam. Wtedy i później.

– Co się wydarzyło?

– Jej ojciec był miejscowym biznesmenem, rzeźnikiem. Miał kilka sklepów i ubojnię. Tutaj uchodził za bogacza. Przywykł, że wszystko się toczy według jego woli.

– Był też radnym – upewniła się Rachael.

– A tak, radnym. Arthur Noble. Trzymał w rękach dużo sznurków – umilkła. – Wybaczcie mi, proszę. Owszem, jestem starą panną, ale nie myślcie, że nie lubię mężczyzn. Jednak Arthura Noble'a nie znosiłam, chociaż go nigdy nie poznałam. Bella opuściła dom, kiedy poszła na studia. Mówiła, że to najlepsza rzecz, jaką zrobiła w życiu. Arthur miał jeszcze syna, młodszego od niej. Ojciec wciągnął go do prowadzenia interesów i chciał zaangażować w nie też córkę. Miała pracować w biurze, a w razie potrzeby zakładać fartuch i pomagać w sklepie. Ale Bella się nie zgodziła. Zawsze pragnęła zostać nauczycielką. Potem zmarła jej matka i Noble oczekiwał, że Bella wszystko rzuci: karierę, nowych znajomych, i wróci do domu, żeby się nim opiekować. Wymógł to na niej.

– Na coś chorował?

– Gruby, leniwy typ – burknęła panna Davison. – To

też w pewnym sensie choroba.

– Dlaczego go posłuchała? – dziwiła się Rachael. – Sama na siebie zarabiała. Nie mieszkała w domu. Nie potrzebowała jego aprobaty.

– W tamtych czasach inaczej to wyglądało.

– Ale chyba nie aż tak bardzo inaczej – wtrąciła się Edie.

– Ten człowiek był tyranem. Podejrzewam, że na początku oszukał Bellę, że umiera. Potem jej wmówił, że ona do niczego się nie nadaje, tylko do tego, żeby się nim zajmować. Widziałam się z nią na jakiś miesiąc przed tym, jak go zabiła, i ledwie ją poznałam. Powiedziałam, że mam dla niej pracę, że mogłaby kogoś wynająć do opieki nad ojcem, ale ona straciła całą energię i pewność siebie. Tłumaczyła, że nie umiałaby mu tego powiedzieć, bała się mu postawić. Zawsze się go bała. Dziś takie osoby nazywa się ofiarami przemocy, ale wtedy podobne sytuacje w rodzinach zdarzały się dość często. – W głosie panny Davison brzmiało rozgoryczenie. – Wiedzą panie, liczył się szacunek dla rodziców. Wprawdzie to były lata sześćdziesiąte, ale w Kimmerston nie widywało się młodych zbuntowanych ludzi. Oskarżono ją o morderstwo. Bella się przyznała. Uderzyła ojca w tył głowy mosiężną figurką, nagrodą, jaką otrzymał za jakiegoś byka w konkursie. Mówiła, że miała ją najbliżej pod ręką, ale że poza tym jakoś pasowało, żeby właśnie jej użyła. Ojciec z czasem sam zaczął wyglądać jak wielkie byczysko. Potem zadzwoniła na policję i czekała, aż przyjadą. Skazano ją za zabójstwo popełnione w stanie ograniczonej poczytalności.

Jej obrońca twierdził, że to przypadek okresowego obłądu wywołanego stresem i opieką nad chorym ojcem. Chociaż jak dla mnie Bella była wtedy najnormalniejszą osobą, jaką znałam. Wysłali ją do zakładu psychiatrycznego na południu, potem przenieśli tutaj do St Nicholas, tego dużego psychiatryka na wybrzeżu, gdzie szykowali ją do wypuszczenia.

– Odwiedzała ją pani w szpitalu?

– Nie mogłam. Okropne, prawda? Nie chodziło o Bellę, ale o tych wszystkich biednych ludzi. Chyba się bałam. Jak ją przenieśli do St Nick's, przysłała mi list. Nie prosiła, żebym przyszła z wizytą, ale na pewno tego chciała. Bo inaczej po co by pisała? Znowu ją zawiodłam. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Pewnie że zobaczę tam jakieś koszarne sceny, wyjątych szaleńców, łańcuchy i kaftany bezpieczeństwa. Na zdrowy rozsądek wiedziałam, że wmawiam sobie jakieś bzdury, ale nie potrafiłam się przełamać. Odpisałam, ale to nie był ciepły, podnoszący na duchu list. Nic dziwnego, że po wyjściu nie skontaktowała się ze mną – urwała nagle. Gdzieś w oddali na szkolnym podwórku rozległ się dzwonek obwieszczający koniec przerwy. – Mówiły panie, że wyszła za męża. Była szczęśliwa w małżeństwie?

– Bardzo – odparła Rachael. – Poznała Dougiego zapewne niedługo po tym, jak opuściła szpital. Zatrudnił ją do opieki nad chorą matką.

– A więc tym się zajmowała? Została kimś w rodzaju opiekunki? Dziwne, po jej przeżyciach z ojcem...

– Sądzę, że nie miała wyboru – zauważyła oschle

Edie. – Szkoły raczej nie ustawiały się w kolejce, żeby ją zatrudnić. Krewni, znajomi też nie spieszyli się z pomocą. A na niczym innym się nie znała.

– Tak czy inaczej, wszystko dobrze się ułożyło. – Rachael uważała, że Edie zbyt surowo potraktowała pannę Davison. Rozumiała, dlaczego kobieta nie chciała się angażować. – Dougie był wtedy farmerem. Bella pokochała wzgórze i jego. Kilka lat temu dostał wylewu, ale to nie zmieniło jej uczuć do niego.

– Więc co takiego się wydarzyło? – spytała zdziwiona Alicia.

– Jak to?

– Coś się musiało wydarzyć. Inaczej dlaczego miałyby sobie odbierać życie?

– Nie wiem. Właśnie dlatego chciałyśmy się z panią spotkać – odparła Rachael. – Żeby zrozumieć, co nią kierowało. Bardzo się przyjaźniłyśmy.

– A mimo to nie opowiedziała pani o wyroku.

– Nie.

– A mężowi?

– Prawdopodobnie też nie. – Rachael wychodziła z założenia, że jeśli Bella nie miała odwagi zwierzyć się jej, to nie zwierzyła się też nikomu innemu.

– A zatem może przeszłość wróciła, żeby ją prześladować. A raczej jakaś osoba z przeszłości.

Rachael z początku nie załapała, o co chodzi. To Edie powiedziała:

– Myśli pani, że ktoś zagroził, że wyjawii jej tajemnicę?
– Przez chwilę rozważała tę ewentualność. – Stworzyła

sobie nową tożsamość. Może nawet w nią uwierzyła. Potem spotkała kogoś, kto ją rozpoznał. Kogoś, kto zagroził, że powie Dougiemu, a może, co o wiele gorsze, zgłosi to władzom. Przecież zabiła chorego starszego człowieka. Czy pozwolono by jej się opiekować następną taką osobą? Pewnie nie mogła znieść myśli, że będzie znowu przepytwana, że sprawa się rozniesie. – Edie spojrzała na córkę. – To chyba sensowne wytłumaczenie, prawda?

Rachael też tak sądziła, choć jednocześnie uważała, że Bella była wojownikiem i że za jej śmiercią raczej kryje się coś więcej. I jeśli miała jeden sekret, to mogła ich mieć więcej.

W drodze do Kimmerston Anne powtarzała sobie, że jest totalną idiotką. Powinna się trzymać z daleka od Godfrey'a Waugh'a i to szczególnie w tym momencie. Ich związek był już i tak skomplikowany, a jeśli jeszcze się okaże, że Godfrey zostanie podejrzany o zabójstwo...

Nigdy nie odwiedzała go w biurze. Jego asystentka jej nie знаła i Anne uświadomiła sobie, że mogłaby po prostu tam wejść i zażądać widzenia się z nim. Ale dzisiaj nie miała na to wystarczająco dużo odwagi ani energii.

Te i inne myśli nie pozwoliły jej zasnąć przez całą noc, czuła się otępiała, więc kiedy parkowała przed siedzibą firmy, wciąż nie wiedziała, jak to rozgryźć.

Był początek dnia. Mgła się podniosła i już robiło się gorąco. Biuro Godfrey'a mieściło się w funkcjonalnym betonowym budynku postawionym w latach siedemdziesiątych przez radę miasta blisko rzeki na obrzeżach Kimmerston. Miejscowe władze próbowały przyciągnąć inwestorów i zwiększyć liczbę miejsc pracy. Anne czekała, przyglądając się kormoranom na nabrzeżu.

O dwunastej przez główne wejście wysypał się sznureczek kobiet – udały się nad rzekę zjeść drugie śniadania. W budynku mieściło się też Przedsiębiorstwo Robót i Usług Lądowo-Wodnych, więc wszystkie pracownice miały na sobie identyczne granatowe spódniczki i wzorzyste poliestrowe bluzki. Porozkładały się na trawie i do przyzwoitej wysokości podciągnęły

spódnice, żeby wystawić nogi na słońce.

Jednak Anne nadal czekała. Zaparkowała tak, żeby widzieć drzwi frontowe, i chociaż w samochodzie było jak w szklarni, nie wysiadła i nie poszła jak inni usiąść na trawniku. W aucie czuła się trochę niewidzialna. Jeszcze nie podjęła decyzji, co zrobić. Wciąż mogła zrezygnować ze spotkania, chociaż tak bardzo pragnęła zapytać: Godfrey, co się stało na wzgórzach między tobą a Grace Fulwell?

Ale nagle go zobaczyła, stał tuż za dużymi wahadłowymi drzwiami, jakby słońce na zewnątrz go zaskoczyło. Potem z pochyloną głową i splecionymi z tyłu dłońmi ruszył ulicą w stronę centrum. Szybko wyśliznęła się z samochodu i podreptała za nim. Nawet nie zamknęła drzwiczek, żeby nie tracić czasu. Przypuszczała, że Godfrey idzie do miasta na lunch. Pewnie do jakiejś kawiarni albo baru z kanapkami. Zamierzała za nim wejść, udając, że spotkanie jest przypadkowe, i powiedzieć: O, nie wiedziałam, że ty też tu wpadniesz.

Jednak Godfrey zatrzymał się, jeszcze zanim dotarł do szeregu sklepów. W rogu utworzonym przez dwie główne ulice stał kościół parafialny pod wezwaniem Świętego Bartłomieja. Cmentarz od obu ulic oddzielały niskie kamienne murki i w miejscu, gdzie się spotykały, w rogu, stała drewniana furtka zakryta daszkiem. Pod nim na ziemi leżały zasyпы różowego confetti. Godfrey roztrącił je nogami i przeszedł przez furtkę.

Nawet wtedy Anne wciąż uważała, że chodzi mu o jedzenie, bo akurat to jej utkwilo w głowie. Czasami w

kościół w Langholme wydawano posiłki – zupę, pieczywo i ser – a zyski przekazywano na cele dobroczynne i głodujących z Trzeciego Świata. Myślała, że coś podobnego jest organizowane również w tym kościele, chociaż nie dostrzegła żadnych ogłoszeń zapraszających na obiad ani ludzi. Upał i pogoń hałaśliwą ulicą zamąciły jej w głowie.

Mimo to szła dalej, spodziewając się, że zaraz za kościołem zobaczy brzuchate panie we wzorzystych fartuszkach i stoiska z termosami z herbatą i białymi filiżankami z grubej porcelany. Że usłyszy harmider rozmów. Zamiast tego zastała ciszę.

Przystanęła w głębokim, chłodnym cieniu kościelnego przedsionka. W rogach leżało jeszcze więcej confetti. Najwyraźniej tydzień wcześniej odbywał się tu duży ślub. Po chwili pchnęła nabijane ćwiekami drzwi. Przez witrażowe szyby nad ołtarzem przesączały się promienie słońca i oślepiały ją, padając na przejście między ławkami. Kościół wciąż był przystrojony kwiatami – białe i złote stały na każdym oknie w kryształowych wazonach, które również odbijały zabarwione kolorami witraży światło.

Z początku stała tam skrepowana. Bała się, że przerwała mszę i że ludzie będą się na nią gapili tak jak na Verę Stanhope, kiedy w połowie uroczystości pogrzebowej z hukiem wpakowała się do krematoryjnej kaplicy. Potem jej wzrok przystosował się do mroku. Zorientowała się, że w kościele są jedynie ona i Godfrey, i że on nie zauważył jej wejścia.

Siedział w ławce prawie na samym przodzie, przy

przejściu, ale nie wyglądał tak, jakby się modlił. Nigdy nie rozmawiali o religii, o wierze; Anne pomyślała, że może to wyjaśnia jego nerwowość i zmianę nastawienia do niej – miał skrupuły z powodu zdrady. Jednak teraz bardziej przypominał kogoś, kto czeka na autobus, niż osobę, która przeżywa duchowy kryzys. Może się z kimś umówił, ale wtedy spoglądałby na wejście. A tak wciąż nie miał pojęcia o jej obecności. Nawet gdy się zbliżała, stukając obcasami po kamiennej posadzce, nadal nie odrywał wzroku od ołtarza.

Wśliznęła się do rzędu ławek za nim i zagadnęła żartobliwym tonem:

– Nigdy bym nie przypuszczała, że jesteś religijny, Godfreyu.

– Anne – powiedział, jeszcze zanim się odwrócił, a gdy już się obejrzał za siebie, nie potrafiła ocenić, czy jej widok go ucieszył, czy nie.

– A może przyszedłeś się wyspowiadać, bo masz coś na sumieniu.

– O co ci chodzi?

– Minęły cztery dni – ciągnęła swobodnie – a ty się nie odezwałeś. Nic nie mów. Niech zgadnę. Byłeś zajęty.

Nie odpowiedział.

– Dlaczego tam na wzgórzach tak szybko odjechałeś?

– Już dłużej nie potrafiła utrzymać lekkiego tonu. – Dlaczego nie wróciłeś do chaty, żeby się pożegnać?

– Bo byłem zdenerwowany – odezwał się w końcu.

– Czym? Że dałeś się złapać ze ściągniętymi spodniami? A może wydarzyło się coś jeszcze, co cię

wyprowadziło z równowagi?

– Nie rozumiem...

– Muszę wiedzieć, co się stało na wzgórzach tamtego dnia.

Przesunął na nadgarstek zegarek, żeby zobaczyć cyferblat. Tego nerwowego gestu Anne wcześniej u niego nie widziała. Poirytowana tym i jego milczeniem, krzyknęła:

– Na rany boskie, pytam się, czy zabiłeś Grace Fulwell!

Usłyszała, jak jej głos roznosi się po całym kościele. Echo dotarło aż do łukowego sklepienia.

– Oczywiście, że jej nie zabiłem – odparł z lekkim rozdrażnieniem, co ją przekonało bardziej niż same słowa.

– Policja już się z tobą kontaktowała?

– A dlaczego miałyby to robić?

– Z powodu kopalni. Myślą, że Grace została zabita, bo odkryła coś, co mogło zatrzymać inwestycję.

– Jezu Chryste, kto wpadł na taki pomysł?

– Pani inspektor, która prowadzi dochodzenie. Niejaka Vera Stanhope.

– Powiedziałaś jej, że to niedorzeczne?

– Nic jej nie powiedziałam. – Mówiła powoli, nadając wypowiedzi dodatkowe znaczenie.

Przeniósł wzrok z zegarka na Anne.

– Więc nie wie, że byłem w chacie tamtego dnia?

– Nie.

– Czułem się trochę dezorientowany. W telewizji nadali apel, żeby osoby, które znajdowały się wtedy w

okolicy Black Law, zgłosiły się na policję. Zamierzałem pójść. Wyjaśniłbym, że odwiedzałem teren inwestycji. Ale potem pomyślałem, że gdybyś ty im o tym nie wspomniała, to by dziwnie wyglądało. Mógłbym jednak zeznać, że nie wchodziłem do chaty, że od razu poszedłem na wzgórze. Co ty na to?

– Rany, Godfrey. Przecież nie jestem twoją matką.

– No tak, faktycznie, wybacz.

– Widziałaś Grace?

– Tylko z daleka. Szła zbyt szybko, żebym ją zdążył dogonić.

– A kogoś jeszcze zauważyłaś?

– Nie. – Odniosła wrażenie, że się lekko zawahał, ale zaraz uznała, że tylko jej się tak zdawało. Najwyraźniej udzieliła jej się panika Godfrey'a.

– No to chyba nie ma się czym przejmować.

– Ale przed chatą stało moje auto. Jechałem tamtejszą drogą. Ktoś mógł to zapamiętać. Co pomyśli policja, jeśli usłyszy to od kogoś przede mną?

– A skąd ja to, do cholery, mogę wiedzieć?

Spojrzał na nią z takim oburzeniem, jakby go co najmniej uderzyła. Nie lubił, jak przeklinała. Wspomnienia podobnych przypadków trochę ją ostudziło.

– Przepraszam – mruknęła. – Ale chyba rozumiesz, że decyzja nie należy do mnie, tylko do ciebie.

– I właśnie to mnie dręczy.

– Mnie też.

– No bo jak to będzie wyglądało?

Zachowaj spokój, dziewczyno, nakazała sobie w

duchu.

– Mówisz o tym, że Barbara się dowie, że się wykradasz na zbereżne pikniki na wzgórzach?

– Nie – odburknął ze zniecierpliwieniem. – Nie w tym rzecz. Prasa jeszcze nie skojarzyła zabójstwa z budową kopalni, ale to tylko kwestia czasu. Wyobrażasz sobie te nagłówki: *Ekolog zamordowana na terenie planowanej budowy kopalni?* Już i tak proces uzyskiwania zgody się ślimaczy. A czas ucieka. – Przerwał na chwilę. – Gdybym tylko miał pewność, że policja się nie dowie.

– Cóż, ja nie pisnęłam o tym ani słowem. Grace już też nic nie powie. Możliwe, że widział cię jakiś przechodzeń, ale to mało prawdopodobne, żeby leciał z tym na policję. Więc jeśli ty się nie wygadałeś, to skąd inspektor Stanhope miałaby wiedzieć? – Po chwili ciszy dodała: – Bo nikomu nic nie mówiłeś, prawda?

– Nie. Jasne, że nie.

Uważnie mu się przyjrzała, ale nie naciskała.

– A tak w ogóle, to co tu robisz? – zapytała.

– Kiedy potrzebuję chwili ciszy i odpoczynku od pracy, czasami tu zaglądam.

– A więc to nie sprawy duchowe? Wyrzuty sumienia z powodu zdrady? Bo się zastanawiałam.

– Nie mam żadnych wyrzutów, jeśli chodzi o ciebie. – Wstał, poprawił krawat i znowu zerknął na zegarek. – Muszę wracać.

– Mam wyjść przez zakrystię, żeby nikt nie zobaczył nas razem?

Uśmiechnął się.

– Nie sędzę, żeby to było konieczne. – Ale na zewnątrz, przy furtce z daszkiem, się zawahał. – Pewnie zostawiłaś samochód gdzieś w mieście?

– Nie. Przed twoim biurem. Czekałam na ciebie. Inaczej, ciekawe jak bym na to wpadła, że jesteś w kościele?

– W takim razie – zaczął ze skrępowaniem – może jednak nie powinniśmy iść dalej razem.

– A niby czemu, do diabła?

– Neville Furness jest dzisiaj w firmie.

– I co z tego?

– Mówiłem ci, że nas widział przed tamtą restauracją. Na tym etapie nie mogę sobie pozwolić na plotki.

Nagle do głowy wpadła jej nieoczekiwana myśl.

– Ale nie mówiłeś mu tamtego dnia, kiedy zginęła Grace, że jedziesz do chaty, co?

– Nie. Oczywiście, że nie mówiłem.

Ale Anne nie uwierzyła. Godfrey na pewno potrzebował się komuś zwierzyć, a Neville to jego prawa ręka, jego guru, jeśli Barbara się nie myliła.

– Idź pierwsza – poprosił. – Ja wyjdę kilka minut po tobie.

– Myślałam, że się spieszysz. – Czuła się jak wzgardzona zdesperowana nastolatka. Położyła mu dłonie na ramionach. – Kiedy cię znowu zobaczę?

Delikatnie uwolnił się z jej uścisku.

– To chyba nie byłoby rozsądne.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Co ty wygadujesz? Przecież, do jasnej cholery,

jeszcze nie tak dawno temu proponowałeś, żebyśmy się pobrali.

– I nic się pod tym względem nie zmieniło – zapewnił z zapałem. – Przynajmniej jeśli chodzi o moje uczucia do ciebie.

– Ale?

– Ale dopóki nie wykryją zabójcy, dopóki sytuacja się nie uspokoi, nie powinniśmy się widywać. – Powiedział to w rozgorączkowaniu i kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, dodał: – To dla twojego dobra, Anne. Żebyś nie została w to wszystko wplątana.

Odwróciła się i szybko odeszła. Gdyby została, mogłaby się załamać i zacząć błagać. Jednak po kilku krokach zatrzymała się i krzyknęła za siebie:

– Przyznaj się, Godfrey, to są twoje słowa, czy Neville’a Furnessa?

Nie odpowiedział, więc znowu ruszyła przed siebie, jednak z nadzieją, że za nią pójdzie, że ją dogoni lub przynajmniej zawoła. Nie zrobił tego, a ona, nienawidząc swojej słabości, znów się zatrzymała. Nawet za nią nie patrzył. Przeszedł przez furtkę na teren cmentarza i stanął przed jakimś grobem, na którym leżała wiązanka białych lilii.

Rachael uważała, że zachowanie Very Stanhope, która je systematycznie informowała o przebiegu dochodzenia, nie należało do standartowych sposobów postępowania. Jednak na początku była wdzięczna za dopływ informacji. Słuchanie tej potężnie zbudowanej policjantki, która wygodnie rozparta w starym fotelu Constance, z kubkiem kawy w dłoniach, streszczała im przebieg śledztwa, podnosiło ją na duchu. Poza tym, gdyby Vera im nie ufała, to czy ujawniałyby przed nimi tajne szczegóły?

Dowiedziały się na przykład, że Grace zmarła kilka godzin po wyjściu w teren. I nie wskazywał na to jedynie brak zapisków w jej notesie. Patolog też doszedł do takiego wniosku.

A pewnego razu podczas jednego krótkiego posiedzenia usłyszała o Grace więcej, niż udało im się od niej wyciągnąć, kiedy jeszcze żyła. Jednak melodramatyczna historia porzucenia, sznureczek rodziców zastępczych i alkoholizm Edmunda, to wszystko jakoś im nie pasowało do obrazu bladej, spokojnej kobiety, jaki zachowały w pamięci.

– Biedna dziewczyna – skomentowała opowieść Edie, bo ona też mogła uczestniczyć w tych rozmowach; z Verą Stanhope zadziwiająco dobrze się dogadywały. Edie mówiła z żalem, jakby śmierć Grace odebrała jej szansę na pracę z przypadkiem dojrzałym do terapii. Tak przynajmniej odbierała to Rachael.

Vera wydawała się zdziwiona, że Anne nie jest lepiej zaznajomiona z tajemnicami rodziny Fulwellów. Kiedy zabrała się do sondowania tej kwestii, zapadał już wieczór, a ponieważ wciąż było ciepło, drzwi do ogrodu zostawiły otwarte. Dochodził stamtąd szum szybujących przy domu nietoperzy.

– Nie wiedziała pani, że w Holme Park mieli też młodszego syna? Musiała pani coś słyszeć. Ludzie we wsi na pewno o tym gadali. O wykolejonym alkoholiku, którego żona popełniła samobójstwo. Boże, w takich sytuacjach plotki osiągają apogeum.

– Jeśli ta kobieta się zabiła, kiedy Grace była dzieckiem, to musiało być jakieś dwadzieścia pięć lat temu. – Anne nie wydawała się specjalnie poruszona. – Wtedy jeszcze nie znałam Jeremy'ego.

– Ale on już tu mieszkał?

– Och, Jem jest w Langholme od zawsze.

– Znam te wsie – upierała się Vera. – Tutaj ludzie opowiadają o wojnie, jakby się skończyła zaledwie przed tygodniem. Nawet gdyby Edmund nie wrócił do Langholme, pamiętaliby, że kiedyś tu mieszkał, i snuliby domysły, co się z nim dzieje.

– Do mnie nic takiego nie dotarło – odparła lekko Anne. – Ale też Fulwellowie raczej nie zadają się z resztą mieszkańców. Robert nie wpada w piątkowe wieczory do Ridley Arms na piwo, a Livvy nigdy nie dołączyła do kobiecej drużyny gry w strzałki. Co prawda chodziła z dziećmi na plac zabaw we wsi, ale założę się, że go nie sprzątała tak jak inne matki. Tym zawsze zajmowały się

niańki. Fulwellowie żyją w swoim pałacyku w luksusowym odosobnieniu. Tak było od pokoleń. Z tutejszymi ludźmi kontaktują się wyłącznie na zasadach pracodawca–pracownik i mało kto wie o ich prywatnym życiu. Tutaj wciąż obowiązuje system feudalny. Każdy ma swoje miejsce.

– A więc nie wiedziała pani, że Robert miał brata?

– Może i coś słyszałam o bracie pracującym za granicą.

– Od kogo?

– Jezu, nie pamiętam, pewnie od Jeremy’ego. Zresztą czy to ważne od kogo? Przypuszczam, że jeśli to czarna owca, to pewnie rodzina tak o nim mówiła.

– A o żonie, która popełniła samobójstwo, i o porzuconym dziecku ktoś wspominał?

– Nie, ale takie coś to raczej nie powód do chluby, więc pewnie się tym nie przechwalali.

– Jak teraz to rozgrywają? – dopytywała się Vera.

– To znaczy?

– Sama pani powiedziała, że ta historia nie stawia rodziny w najlepszym świetle. Mówię o tym, że oddali dziecko do adopcji, zamiast wziąć je do siebie. Jaką teorię do tego dorobili? – Vera z dumą posługiwała się politycznym żargonem.

– Nie wiem. Przecież siedziałam tutaj, nie licząc tego dnia, kiedy pojechałam do Kimmerston. Nie miałam kiedy i gdzie nasłuchać się plotek. Poza tym ja też nie należę do kobiecej drużyny gry w strzałki.

Te wszystkie pytania utwierdziły Rachael w

przekonaniu, że pozorna niedyskrecja Very, to że wyjawiała szczegóły z przeszłości Grace, które pewnie i tak wkrótce pojawią się w tabloidach, była przemyślaną taktyką. W ten sposób sama zdobywała informacje. Dlatego odwiedziny policjantki zaczęła traktować podejrzliwie. Każda rozmowa przypominała przesłuchanie, Vera próbowała je na czymś przyłapać.

Następnego dnia przyszła, gdy jadły lunch. Wcześniej chodziły po wzgórzach; badały kwadraty Anne. Miło spędziły ten dzień. W terenie Anne porzuciła cyniczną postawę wiecznej żartownisi, więc było spokojnie. Stały na wrzosowiskach i przyglądały się jastrzębiowi – wyleciał z lasu i zaatakował młodego głuszca. W drodze powrotnej do chaty mijają pułapkę na wrony. W środku, trzepocząc skrzydłami i dziobiąc ziarna kukurydzy, tkwił już inny ptak, jednak żadna o tym nie wspomniała.

Lunch nie wyglądał imponująco. Jak Rachael przypuszczała, Edie nie zapałała nagłą miłością do prac domowych. Na początku tryskała entuzjazmem, ale szybko się znudziła. Przywiozła ze sobą stertę książek i najwyraźniej postanowiła wszystkie przeczytać.

– Doskonała okazja, żeby nadrobić braki w lekturze – wyjaśniała. Gotowanie ją od tego odciągało. A potem zainteresowała się młodymi funkcjonariuszami, którzy drobiazgowo przeszukiwali bagienne tereny w pobliżu potoku. Znała każdego z imienia i Rachael słyszała, jak matka im doradza w sprawach sercowych i wyraża współczucie z powodu stresującej pracy.

Tym razem Vera przyszła zakomunikować, że zniknął

Edmund Fulwell. Edie zaproponowała jej miskę rozwodnionej zupy jarzynowej. Policjantka przyjęła zaproszenie, usiadła razem z nimi przy stole i między pytaniami, głośno mlaskając, ze smakiem pałaszowała zupę.

– Czy on wie, że Grace nie żyje? – zaciekała się Rachael.

– O tak. Szybko go odnaleźliśmy na podstawie informacji, jakie znaleźliśmy w aktach, które przywiózł pierwszego wieczoru pani przełożony. Mieszka i pracuje na wybrzeżu. Jest szefem kuchni w restauracji i tam też mieszka, na górze. To znaczy mieszkał, bo teraz nie wiadomo, gdzie się podziewa.

– I co się wydarzyło?

– Oczywiście pojechaliśmy do niego, żeby go powiadomić o śmierci córki, od razu gdy tylko odkryliśmy, gdzie jest. Wysłałam Ashwortha. Dobrze sobie radzi z sytuacjami wymagającymi empatii. Gdybyśmy w tamtym momencie lepiej znali przeszłość Fulwella, może działalibyśmy ostrożniej, a przynajmniej wyznaczylibyśmy kogoś, kto miałby go na oku.

– I jakie wrażenie ojciec Grace wywarł na panu sierżancie? – zainteresowała się Edie.

– Cóż, Ashworth na pewno nie przypuszczał, że gość zwieje. Edmund oczywiście nie mógł uwierzyć, potem się wściekał, a jeszcze później dopadły go wyrzuty sumienia. Wszystko, czego się można spodziewać.

Edie pokiwała głową.

– Klasyczne symptomy traumatycznej straty.

– Mamo przestań, błagam! – warknęła Rachael.

Vera ciągnęła dalej:

– Potem nawet pracował. Właściciel restauracji to jego przyjaciel. Rod Owen. Chyba chodzili razem do szkoły. Gdzieś na południu. Pan Owen zaproponował, żeby Fulwell zrobił sobie tyle wolnego, ile potrzebuje, ale ten podobno odpowiedział, że woli pracować, bo to go odrywa od przygnębiających myśli. Poza tym, jak sędzę, wolał nie być sam. I mówił, że kiedy gotuje, nie pije. Dość ironiczne, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się później.

– Wydawało mi się, że mówiła pani, że nie wiecie, gdzie teraz jest?

– Ale się domyślamy – odburknęła Vera. – Znamy jego przeszłość. Przeglądałam jego dokumenty ze szpitala.

– Był alkoholikiem, prawda? – zapytała ostrożnie Edie.

– Mamo! – krzyknęła Rachael. – Chyba nie sądzisz, że pani inspektor wyjaśni nam, co przeczytała w czyichś aktach. To są zastrzeżone informacje!

– Przecież nie pytam o szczegóły – broniła się Edie.

– Myślę – odezwała się Vera – że alkoholizm był tylko symptomem choroby, a nie jej przyczyną. – Potem, spoglądając na Rachael, szybko dodała: – To oczywiście moja interpretacja. W żadnym wypadku nie zamierzam ujawniać...

– Ależ oczywiście, rozumiemy – zapewniła ją Edie.

– Byłam wczoraj u pana Owena. Długo gadaliśmy. Miły człowiek. Nawet poczęstował mnie obiadem. Twierdził, że jego dania nie umywają się do tych, jakie potrafi przyrządzić Edmund, ale mnie smakowało...

Anne, jakby zupełnie niezainteresowana toczącą się rozmową, kawałkiem chleba wycierała z talerza resztki zupy. Nagle jednak zapytała:

– Jak się nazywa ta restauracja, w której pracuje ojciec Grace?

Vera zrobiła oburzoną minę, że ktoś jej przerywa w pół zdania.

– Harbour Lights? A co?

– Nic. Kilka razy tam jadłam. Właściciel zapoznał mnie z szefem kuchni. Ojcem Grace. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Zwykły zbieg okoliczności, nic więcej.

Wszystkie wlepiły w nią oczy, ale ona, jakby tego nie widziała, z powrotem pograżyła się w ponurym milczeniu.

– I co mówił pan Owen? – zwróciła się Edie do Very.

– Cóż... – Vera, szykując się do przekazania soczystych rewelacji, aż się wyprostowała.

Rachael poczuła się zażenowana. Policjantka i matka zachowywały się jak dwie przekupy plotkujące w autobusie. Najchętniej wstałaby i wyszła, ale niestety też była ciekawa.

– Od lat cierpiał na depresję. I to jeszcze zanim powiesiła się jego żona. Dlatego Owen wcale nie zdziwił się, że teraz Edmund zniknął. Mówił, że jego przyjaciel zawsze tak reaguje na stres: ucieka i upija się do nieprzytomności. Oczywiście szukamy go; zdajemy sobie sprawę, że może zrobić coś głupiego. Zwłaszcza że już kiedyś próbował odebrać sobie życie. Grace chodziła jeszcze wtedy do liceum. Potem na kilka miesięcy wylądował w St Nick's.

– Och – rzuciła Edie. – Zastanawiam się, czy... – Nie dokończyła, jakby uznała, że lepiej tego nie robić.

– O co chodzi? – spytała ponagląco Vera.

– O nic – odparła Edie. – Tylko że... – Znów zamilkła, ale zaraz zdecydowała się dokończyć zdanie: – Ja i Rachael w ten dzień, kiedy wyjechałyśmy, byłyśmy odwiedzić Alicję Davison.

Rachael obrzuciła matkę wściekłym spojrzeniem. Jeszcze nie ustalały, czy powiedzą o wyprawie.

– A ta Davison to kto? – Vera zrobiła wielkie oczy.

– Dawna przełożona Belli. Dyrektorka szkoły.

– Ach tak. – Chwila ciszy. – A więc wiecie o postępowaniu sądowym. – Vera odwróciła się do Rachael. – Nie miałam prawa pani powiedzieć, chyba mnie pani rozumie? To mogła zrobić tylko Bella.

– A pani, jaką odegrała rolę w tej sprawie?

– Wtedy dopiero zaczynałam pracę w policji. Wyznaczono mnie na opiekunkę Belli, w razie gdyby się rozkleiła i chłopaki nie wiedzieli, jak sobie z nią poradzić.

– I co? Rozkleiła się?

– Nie.

– Dlaczego przyszła pani na jej pogrzeb? To musiała być jedna sprawa z wielu.

– Polubiłam Bellę. Bardzo jej współczułam. Byłyśmy w mniej więcej tym samym wieku i nasze sytuacje wydawały się podobne. Też mieszkałam tylko z ojcem. Nie chorował i na pewno nie tyranizował mnie tak jak Arthur Noble Bellę, ale ja też nieraz chętnie przyłożyłabym mu czymś ciężkim.

- Utrzymała z nią pani kontakt po rozprawie?
- Nie, ale kiedy zobaczyłam nekrolog w gazecie, pomyślałam, że pójdę na pogrzeb. Taki ostatni wyraz szacunku.
- Ale to, że Bella miała męża, chyba pani wiedziała? – wtrąciła się Edie. – Inaczej, skąd by pani знаła podane w nekrologu nazwisko?
- Przysłała mi zaproszenie na ślub. Ni stąd, ni zowąd, do komisariatu. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Może nie miała kogo zaprosić. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym trudne chwile ludzi do siebie zbliżają. Może o to chodziło.
- I co? Przyjechała pani na ślub?
- Taak... Przesiedziałam kwadrans w urzędzie stanu cywilnego, podpisałam się jako świadek i złożyłam Belli i jej mężowi życzenia wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.
- Kto był drugim świadkiem?
- Śniady młody mężczyzna. Syn pana Furnessa z poprzedniego małżeństwa.
- Neville – mruknęła Edie.
- Vera szeroko się uśmiechnęła.
- Myślała pani kiedyś o wstąpieniu do policji, pani Lambert? Byłby z pani cholernie dobry śledczy.
- Panno Lambert – automatycznie poprawiła Edie. – Jestem niezamężna.
- Vera znowu się uśmiechnęła.
- Ach tak? No proszę.
- Czy wie pani, że Bella przed zwolnieniem też przebywała w St Nick's?

- Nie – odparła Vera. – Nie miałam pojęcia.
- Ciekawe, czy była tam w tym samym czasie co Edmund Fulwell?
- Myślę, że to mało prawdopodobne.
- Ale gdyby...
- To co? – Vera nie przebierała w słowach: – Bella się powiesiła. Grace Fulwell została uduszona. To tylko kolejny zbieg okoliczności.

Anne miała już dosyć zbiegów okoliczności. Tonęła w nich, przesiewała je jak ziemię na swoich kwadratach. Godfrey stale wpadał do restauracji Harbour Lights, w której gotował Edmund Fulwell. Wiedziała, że znajomość tych dwóch nie była powierzchowna. Któregoś razu, podczas jednej z potajemnych randek, Godfrey przyznał się, że ma kaca. Coś niezwykłego w jego przypadku.

– Więc jak do tego doszło? – zapytała z rozbawieniem.

Odpowiedział, że zorganizował w restauracji spotkanie biznesowe. Klient się nie pojawił, więc on, Rob i Edmund urządzili sobie popijawę. Czy w trakcie tej biby Edmund wspominał o córce? Godfrey nic o tym nie mówił. Ale wypadł z Baikie w pogoni za Grace. A potem się okazało, że Grace nie żyje.

Anne snuła te rozważania, siedząc w ogrodzie za chatą, która ją osłaniała od zimnego wschodniego wiatru. Teraz drzewa miały już korony pełne liści i dlatego z tego miejsca nie widziała potoku. Mogła sobie odpoczywać, bo już prawie skończyły pracę. Rachael musiała jeszcze tylko ostatni raz odwiedzić swoje dwa obszary, Anne został do szczegółowego przebadania jeden kwadrat – ten położony najbliżej kopalni. Zostawiła go sobie na koniec, na deser. Rachael chciała, żeby – jak już uporają się z własną robotą – dokończyły również raport Grace na temat wydr. Uważała, że nie zajmie im to dużo czasu, ale Anne sądziła,

że sprawa może być bardziej skomplikowana. Od początku nie dowierzała wynikom, jakie przedstawiła Grace.

Zmrużyła oczy, żeby nie raziło jej słońce, i ponad drzewami popatrzyła na wzgórza. Ekipa policjantów przeczesująca teren już odeszła, ale Vera i Joe wciąż stacjonowali w Black Law z małą armią śledczych. Rozgościli się tam jak u siebie. Ashworth na ścianach w kuchni porozwieszał zdjęcia synka.

Rachael i Edie też były teraz na farmie. Chciały o czymś porozmawiać z Verą. Prawdopodobnie o Belli. Rachael dostała obsesji, sądziła, że te dwie śmierci są jakoś ze sobą powiązane. A Edie ją podpuszczała. Anne uważała, że Edie jest niezłą zgrywuską. Też chciałaby mieć taką matkę. Nie rozumiała, dlaczego Rachael na nią narzeka.

Siedziała na płóciennym leżaku, był ustawiony na najniższą pozycję, więc w zasadzie na nim leżała. Trochę przysypiała. W pewnej chwili usłyszała czyjeś kroki na ścieżce prowadzącej z podwórka, gdzie stały ich samochody. Przestraszona, szybko usiadła. Nie słyszała warkotu nadjeżdżającego samochodu, ale może drzemała mocniej, niż sądziła. Wokół aż po horyzont ani żywego ducha, choć Vera zapewniała, że przedsięwzięła wszelkie możliwe środki ochrony. Edie i Rachael na pewno jeszcze siedziały w Black Law. Przez krótką chwilę, niezdarnie gramoląc się z leżaka, Anne myślała, że przyjechał Godfrey. Bo postanowił powiedzieć policji, że był w chacie w dniu, kiedy zginęła Grace. A może przyjechał do niej.

Ale okazało się, że to nie Godfrey. Gdy wstała,

wyraźnie słyszała, że kroki są lekkie i pospieszne. To Livvy Fulwell z jakiegoś powodu znowu zatęskniła za jej towarzystwem.

– Ależ przemiły mały domek. – Przeszła głębiej na trawnik, żeby lepiej przyjrzeć się chacie. – Widywałam go z oddali w trakcie polowań, ale jeszcze nigdy tu nie byłam. W przeciwieństwie do Roberta. Connie urządzała przyjęcia i czasami zapraszała go na obiad. Pewnie chciała go nawrócić. Nienawidziła myślistwa. Był bardzo młody, prawie jeszcze dzieciak, ale chyba się w niej podkochał. Kobieta miała charakter.

– Edmunda też zapraszała?

– Nie wiem. – Livvy nerwowo się roześmiała. – To czasy przede mną. Musiałabyś zapytać Roberta. Ale prawdopodobnie nie. Edmund był kilka lat młodszy – umilkła. – Pewnie się zastanawiasz, po co przyszłam?

Obie stały i czuły się niezręcznie. Anne głową wskazała leżak.

– Usiądziesz?

Livvy wyciągnęła się na leżaku – w niekorzystnej pozycji. Anne usiadła obok na trawie.

– Zrobić herbaty?

Ale Livvy miała już przygotowaną przemowę. Podciągnęła się na leżaku i nachyliła do Anne. Jej pośladki wystawały po bokach materiału.

– Chciałam tylko powiedzieć, że my też jesteśmy w szoku. Mówię o zabójstwie. I jeśli możemy jakoś pomóc, coś zrobić... Cokolwiek...

– Trochę na to za późno – mruknęła Anne. – Dla

Grace. – Zaraz potem pomyślała, że wcześniej byłaby zachwycona, że Livvy odwiedziła ją w chacie.

– Och, właśnie. To druga sprawa, z którą przyszłam. Żeby wytłumaczyć, o co chodziło z Grace.

Anne, wspominając słowa Very, stwierdziła, że zaraz usłyszy rodzinną wersję całej historii.

– Chyba wiesz, że wszystko działo się dawno temu. Na długo zanim wyszłam za Roberta – wyjaśniała z zapałem Livvy. – Nie brałam w tym żadnego udziału.

– Jasne, naturalnie.

– A Robert też w zasadzie niewiele miał do powiedzenia w tej kwestii. Wtedy żyła jeszcze jego matka. Nie znałaś jej.

To nie było pytanie. Livvy odrobiła lekcje. Matka Roberta zmarła przed przeprowadzką Anne do Langholme. Mimo to wypadało przynajmniej potwierdzić.

– Zgadza się, nie znałam.

– Straszna, prawdziwy tyran. Robert się jej bał. Wyobrażasz sobie, że można się bać własnej matki? – Przerwała na chwilę, potem znowu zaczęła mówić ściszym, poufałym głosem: – Moim zdaniem nie była do końca normalna. Oczywiście nigdy nie mówiłam tego Robertowi, był bardzo wobec niej lojalny. Czasami jednak się zastanawiałam, czy to nie po niej Edmund, no wiesz... Mówi się przecież, że choroby umysłowe są dziedziczne.

– A więc to lady Fulwell przepędziła Edmunda z domu?

– Tak bym tego nie ujęła.

– A jak byś ujęła?

– Edmund zawsze sprawiał problemy. Nawet jako dziecko. Robert wszystko mi o nim opowiedział. W naszych czasach nazywamy to zaburzeniami, nadpobudliwością czy jakoś tak. Wtedy nie wiedzieli, co robić. Wyleciał ze szkoły, z kilku szkół. Tylko jedna osoba potrafiła do pewnego stopnia nad nim zapanować. Kobieta, którą matka Roberta zatrudniła do pracy w kuchni. Nie nadawała się na nianię, ale w końcu nią została, bo nikt inny nie radził sobie z Edmundem. Podobno to pół-Cyganka, niezbyt dbająca o higienę. Dla rodziny Edmund to był wielki kłopot. To znaczy wiadomo, wszystkie dzieci kocha się tak samo, ale jego nie dawało się lubić. Leń, niczego nie umiał. Może oprócz picia na umór w Ridley i uganiania za córkami farmerów.

Bratał się z plebsem, pomyślała Anne, i rodzina nie mogła tego przełknąć.

– Poza tym nikt go nie wyrzucił. Sam się przeniósł do jednego z bliźniaków stojących w majątku, bo chciał być bardziej niezależny. Mieć więcej swobody. W zasadzie uważam, że Robert traktował go wspaniałomyślnie. Edmund mieszkał tam za darmo, zajmował dom, w którym można było zakwaterować pracowników, i nie pomagał przy prowadzeniu majątku.

– A matka Grace to córka farmera?

– Nie. – Livvy wolno pokręciła głową. – To Grace nic wam nie mówiła?

– Nie. Nie wiedziałam, że jesteście spokrewnieni. Chociaż raz zażartowałam sobie na ten temat.

– I nawet wtedy milczała?

– Nawet wtedy.
– To zastanawiające, dlaczego trzymała to w tajemnicy.

– Może się was wstydziła. Nie chciała, żeby ktoś się zorientował, że ma z wami coś wspólnego – stwierdziła lekko Anne. – Rozumiesz, w środowisku ekologów nie jesteście szczególnie lubiani. Sprzedajecie pod kopalnię cenny obszar środowiskowy. – Umilkła na chwilę, ale widząc, że Livvy szykuje się do obrony, czyli zapewne zamierza powtórzyć stary kawałek o ochronie rodzinnego dziedzictwa, szybko zapytała: – No więc kim była żona Edmunda?

– Miała na imię Helen. – Livvy nerwowo zachichotała. – Córka proboszcza. Jak w powieściach Lawrence’a. Chociaż Robert jest przekonany, że Edmund uwiódł ją tylko po to, żeby zrobić na złość matce. Oczywiście zaszła w ciążę i musieli się pobrać. Szaleńczo kochała Edmunda. Robert twierdzi, że w młodości jego brat był bardzo przystojny, taki dziki, nieokiełznany. Helen myślała, że jak się nim zaopiekuje, to on przestanie pić. Ustatkuje się.

– I co? Ustatkował się?

– O dziwo, na jakiś czas tak. Bardzo sporządniał. Kupili mały dom blisko wybrzeża. Helen namówiła go, żeby wyprowadzili się z Langholme, żeby zaczęli wszystko od nowa. Bardzo drobnomieszkańskie. Edmund nawet znalazł pracę. Z przyjacielem otworzyli restaurację.

– Harbour Lights.

– A więc jednak Grace coś opowiadała.

– Nie, ale znam tę knajpę. Bywałam tam. I poznałam

Edmunda. Oczywiście nie wiedziałam, kim jest.

– Och – mruknęła Livvy. – Słyszałam, że wrócił do Roda, kiedy przestał podróżować.

– Domyślam się, że podmiejska sielanka długo nie potrwała?

– Jakiś czas to się ciągnęło. Kilka lat. Rodzina się cieszyła. Polubili Helen. Łagodna miła dziewczyna. Zaraz po tym, jak urodziło się dziecko, na trochę zamieszkali w majątku. Ciekawe, czy Grace zapamiętała pobyt w pałacyku. Pewnie nie. Była wtedy jeszcze bardzo mała.

– Więc co się wydarzyło?

– Edmund wdał się w romans. Nie wiem dokładnie z kim. Nie jestem pewna, czy nawet Robert wie. Helen bardzo to przeżywała. Przypuszczam, że jako córka proboszcza miała dość staroświeckie poglądy na te sprawy.

– Drobnomieszczańskie – zakpiła Anne.

Livvy nie wychwyciła sarkazmu.

– Właśnie. Zwykle ludzie jakoś się w tych sprawach dogadują.

Czy to znaczy, że masz romans? – zastanawiała się Anne. A może Robertowi wpadła w oko jakaś kobieta. Na przykład Arabella, niania. Wygląda na takiego, którego ciągnie do młodych dziewczyn. Z tobą ożenił się, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Ale ja tu nie jestem od osądzania ludzi.

– Jednak Helen popełniła samobójstwo – powiedziała na głos, a w myślach dodała: tak jak Bella. Mnie tam żaden chłop do czegoś takiego by nie doprowadził.

- Niestety.
 - I Edmund uciekł?
 - Ta tragedia bardzo go przygnębiła. Na swój sposób kochał Helen. I córkę.
 - Ale nie na tyle, żeby się zaopiekować małą.
 - Mężczyźni rzadko to robią, nawet obecnie.
- A także kobiety z twoich sfer, pomyślała Anne. Do opieki nad dziećmi wynajmujesz obcych. A moi rodzice? Ile włożyli wysiłku, żeby mnie wychować?
- Lady Fulwell nie czuła się odpowiedzialna za wnuczkę?
 - Wtedy już bardzo chorowała – odparła Livvy wymijająco. – Naprawdę nie miałyby na to sił.
 - A dziecko w domu to taki duży kłopot? – zdziwiła się Anne. – Pałacyk jest duży. Nawet by jej nie widywała.
- Livvy odwróciła się od Anne i popatrzyła w stronę horyzontu.
- Tyle że nie chodziło tylko o Grace – mruknęła.
- Anne dopiero po chwili załapała w czym rzecz.
- Chcesz powiedzieć, że gdyby rodzina przyjęła Grace, musiałyby również przyjąć z powrotem Edmunda?
- Livvy kiwnęła głową, zadowolona, że Anne wybawiła ją z kłopotu.
- Zachowywał się nieznośnie.
 - A ostatnio?
 - To znaczy?
 - Policja twierdzi, że zniknął. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie schronił się w domu.
 - Boże, skąd. Jesteśmy ostatnimi osobami, do których

by się zwrócił. Nigdy nie dogadywał się z Robertem, a ja go nie znałam – umilkła. – Ale Grace mimo wszystko wyszła na ludzi, prawda? Słyszałam, że skończyła dwie uczelnie: Edmund musiał być z niej dumny.

– Na zbyt szczęśliwą to ona nie wyglądała – odparła Anne.

– Och, to przykre. – Ale okrzyk współczucia nie zabrzmiał przekonująco. Livvy odpłynęła gdzieś myślami. Ze zwinnością, której Anne jej pozazdrościła, dźwignęła się z leżaka. – Cóż, na mnie pora. Chłopcy przyjechali ze szkoły tylko na weekend. Mamy mało czasu.

– Tak czy inaczej fajnie, że wpadłaś. I dzięki za tę rozmowę.

Livvy już nałożyła na twarz swoją zwykłą maskę wyrażającą pewność siebie.

– Nie ma sprawy. W razie czego odzywaj się. Kiedy tylko zechcesz.

Anne odprowadziła ją na podwórko i patrzyła za odjeżdżającym range roverem. Gdy wróciła do ogrodu, na leżaku zastała Verę Stanhope. Policjantka leżała z wyciągniętymi nogami i półprzymkniętymi powiekami, jakby była tu od wielu godzin. Wyczuła, że Anne nadchodzi, i odwróciła się do niej. Pod jej ciężarem płótno zaskrzypiało jak żagle na łodzi targane silnym wiatrem. Anne wyobraziła sobie, że materiał pęka i pani inspektor ląduje na trawie.

– I co pani o tym myśli? – spytała Vera.

– Ile pani słyszała?

– Wszystko – odparła z satysfakcją w głosie. Znowu

zmieniła pozycję na leżaku i skinęła głową na otwarte okno balkonowe. – Stamtąd widziałam nadjeżdżający samochód. Uznałam, że to może być ciekawe.

– I było?

– Bardzo. Tak sędzę. Pamiętam tego jej Roberta. Z przyjeń u Constance. Ojciec mnie tam ciągnął. Ja i Robert jesteśmy w mniej więcej tym samym wieku. Ale Edmund?

– Umilkła i pograżyła się w zadumie.

– Ona jest dużo młodsza od swojego męża – powiedziała Anne.

Vera szeroko się uśmiechnęła.

– Wiem. I nie zamierzam zostawić ich w spokoju. Dowiem się wszystkiego, dotrę do samego dna.

– O, w to nie wątpię.

– Orientuje się pani, czy Livvy Fulwell widziała się z Grace, kiedy ta mieszkała tutaj w chacie?

– Żadna nie wspominała o takim spotkaniu, ale Grace w ogóle mało mówiła. – Anne się zawahała. – Kiedyś ją widziałam w majątku przed domami pracowników. Przypuszczam, że była ciekawa miejsca, w którym wychował się jej ojciec.

Vera wygodniej rozłożyła się na leżaku.

– A ja jestem ciekawa – zaczęła zadziwiająco ostro – gdzie teraz podziwia się ten łajdaczyna.

W czasie gdy Vera wygrzewała się na słońcu, Rachael w domu na farmie starała się przekonać Joego Ashwortha, że samobójstwo Belli i zabójstwo Grace są ze sobą powiązane. Sierżant potraktował ją uprzejmie, ale przekonać się nie dał.

– Pani inspektor uważa, że to nie jest słuszny trop – powtarzał. Zrobił Rachael i Edie herbaty, zaproponował zbożowe ciasteczka z czekoladą, ale wciąż obstawał przy swoim. – Na pewno znacie ją już na tyle, żeby wiedzieć, że jak coś zdecyduje, zdania nie zmieni.

– W porządku – zgodziła się Rachael. – Nieważne, czy te obie śmierci mają ze sobą jakiś związek, czy nie, ale co, jeśli Bellę przed śmiercią ktoś straszył. Szantażował. Spotkała kogoś, kto ją rozpoznał, albo pracownik firmy wydobywczej dowiedział się, że zabiła ojca, i na nią naciskał. To też jest przestępstwo, prawda?

– Tak, ale brak jakichkolwiek dowodów, że coś takiego się działo. Nikt nie zgłaszał żadnych skarg. To nie nasza sprawa.

– Ale my możemy się nią zająć? – spytała Edie. – To znaczy, że gdybyśmy chciały zasięgnąć języka, inspektor Stanhope nie będzie miała pretensji?

– Na pewno jej się to nie spodoba.

– Przecież w ogóle nie wejdziemy jej w drogę. Sam pan mówił, że nie zamierza iść tym tropem.

– Boże – jęknął Ashworth. – Chroń mnie przed silnymi kobietami.

Większej zachęty nie potrzebowały i szybko wytropiły młodszego brata Belli, który prosto po szkole wylądował w firmie ojca. Wyglądało na to, że imperium mięsne Arthura Noble'a się rozpadło, bo w Kimmerston nie ostał się żaden jego sklep. W mieście był teraz tylko jeden mięsny – elegancki z działem delikatesów, gdzie zaopatrywali się wczasowicze z domków letniskowych w parku narodowym. Właściciel pamiętał Noble'ów.

– Kiedyś mieli aż trzy sklepy. Pewnie warte miliony.

– Ale splajtowały?

– Nie, w samą porę je sprzedali. Jeszcze zanim powstał supermarket, a ludzie zaczęli być wybredni i zmienili dietę na orzechy i kiełki. To musiało być już po śmierci ojca.

– To kto sprzedał sklepy?

– Syn. Charlie. – Mężczyzna odwrócił się, żeby jakiejś dobrze ubranej kobiecie mówiącej z akcentem z południa podać ćwierć kilo szynki bez kości i pasztet brukselski. Potem zaczął zachwalać jakość kiełbasy własnego wyrobu. Edie musiała do niego krzyknąć, żeby znów przyciągnąć jego uwagę.

– Czy wie pan, co się teraz dzieje z synem?!

Rachael wściekła się na matkę, ale sprzedawca dokończył obsługiwać klientkę i powiedział:

– Razem z żoną prowadzą stadninę koni przy drodze wyjazdowej z miasta, na Langholme Road. Gość kupił stadninę za pieniądze ze sprzedaży sklepów. – Rozejrzał się po swoim, znowu pustym. – Mądrzej nie mógł zrobić.

Wiecie panie, gdzie to jest?

A jakżeby inaczej. Stadnina leżała w rzecznej dolinie otoczona starym lasem. Mijały ją za każdym razem, gdy jechały do chaty Baikie.

Na miejsce dotarły późnym popołudniem. Po terenie kręciło się mnóstwo młodych dziewczyn, przyjechały tu zaraz po szkole. Wydawało się, że są wszędzie. Przerzucały siano, pchały taczki z gnojem, wisały na drzwiach boksów, żeby klepać po głowach młode kuce.

– Zawsze chciałam nauczyć się jeździć konno – odezwała się Rachael. – Ale mi nie pozwalałaś.

– Bo mi to do ciebie nie pasowało – odparła Edie z lekceważeniem. – Te małe damulki w bryczesach, zawody i aroganckie mamuśki. – Rozejrzała się, obejmując wzrokiem range rovery na parkingu. – I widać, że nadal nic się nie zmieniło.

Uwielbiałabym jazdę konną, myślała Rachael. Snobistyczne środowisko by mi nie przeszkadzało ani to, że nie mam odpowiedniego stroju. Dziewczyny, wołając coś do swoich ulubionych koni, zebrały się wokół instruktorki, postawnej młodej kobiety w bezkształtnym podkoszulku. Potem ta wykrzykiwała imiona i panny po kolei znikwały. Rachael przeszła przez podwórko, żeby popatrzeć, jak siodłają konie, a Edie podeszła do instruktorki.

– Szukamy pana Noble'a.

– Może ja pomogę. Panie przyszły zarezerwować lekcje?

– Nie, nie. – Edie zaśmiała się krótko, jakby ten

pomysł był absolutnie niedorzeczny. – My w prywatnej sprawie.

Kobieta prawdopodobnie miała przykazane, żeby trzymać klientów z dala od szefa, i wciąż się wahała.

– Chyba jest w domu. A jak nie on to na pewno jego córka.

Dom był z kamienia, podłużny i niski. Stał bliżej rzeki, oddzielony od drogi dużą halą jeździecką i szeregiem stajni z pustaków. Przed nim rozciągało się w brukowane podwórze, na którym parkowało bmw. Drzwi otworzyła dziewczyna około osiemnastoletnia. W okularach, z egzemplarzem Chaucera w ręku. Mówiła opryskliwie jak wszystkie nastolatki.

– Tak?

– Możemy się widzieć z twoim ojcem?

– Jeśli chodzi o jazdy, musicie rozmawiać z Andreą na padoku.

– Nie chodzi o jazdy – sprostowała Edie życzliwie. Całe życie miała do czynienia ze zbuntowaną młodzieżą i wiedziała, że nie należy dawać im się wyprowadzić z równowagi. – Jeśli jest zajęty, możemy porozmawiać z matką.

– Jezu, ona na pewno was nie przyjmie. Ma dzisiaj przyjęcie i od rana siedzi w kuchni.

– W takim razie poproś ojca.

– Chyba coś robi w swoim gabinecie. Pójdę sprawdzić.

Patrzyły za nią, jak znika w mrocznym wnętrzu. Potem usłyszały bębnienie pięścią w drzwi i krzyk:

– Tato, jakieś dwie kobiety do ciebie. Albo coś

sprzedają, albo to świadkowie Jehowy.

Był ciemny, kanciasty. Podobny do Belli, tyle że szczuplejszy, z bardziej pociągłą twarzą, oceniła Rachael. Spodziewała się zobaczyć człowieka wysportowanego, ogorzałego, a Noble raczej przypominał roztargnionego naukowca.

– Słucham – warknął zły, że mu przerwano. Mówił tylko trochę mniej opryskliwie niż córka.

– Niczego nie sprzedajemy, panie Noble. I nie zamierzamy pana nawracać. Nazywam się Edie Lambert, a to moja córka Rachael. Przyjaźniła się z pańską siostrą.

– To jakaś pomyłka. Ja nie mam siostry. – Chciał zamknąć drzwi.

– Teraz już nie – łagodnie ciągnęła Edie. – Ale do niedawna pan miał.

– O czym pani mówi?

– Nie jesteśmy z prasy, panie Noble. Jak wspomniałam, Rachael przyjaźniła się z Bellą.

Wydawało się, że coś sobie przemyślał i podjął decyzję.

– Nie chcę o tym tutaj rozmawiać – odparł prawie szeptem. – Proszę zaczekać. – Wrócił do domu i usłyszały, jak woła: – Lucy, powiedz mamie, że przyjechali ci ludzie z biura turystycznego. Idę z nimi do kwater.

Po drugiej stronie podwórka stał starszy budynek stajenny, też z kamienia, parterowy. Niedawno przeprowadzono w nim remont. Na zewnątrz stały puszeki po farbach i mały wypełniony gruzem kontener. Noble szedł z nimi w stronę budynku, prowadząc luźną rozmowę,

jakby rzeczywiście były tymi, za kogo ich podał.

– Od jakiegoś czasu myślimy o rozszerzeniu działalności. Latem przychodzi do nas dużo turystów: początkujący, którzy chcą się przejechać po wzgórzach, a niektórzy nawet życzą sobie całodniowych wycieczek. Uznaliśmy, że to dobry pomysł, żeby mogli się też u nas zakwaterować. Niedawno zebraliśmy fundusze na przeróbkę tej stajni. – Zatrzymał się przed drzwiami, wciąż dwuskrzydłowymi. – Od tego zaczynaliśmy. Wcześniej nie mieliśmy ani hali, ani biura. Trzeba lat, żeby rozwinąć taki biznes.

Wprowadził je do kuchni z kamienną posadzką, oddzieloną od części mieszkalnej dębowym barem.

– Bardzo gustowne – pochwaliła Edie.

– Mamy cztery oddzielne kwatery. – Wyglądało, jakby Noble tak bardzo wczuł się w rolę, że zapomniał, że tylko udaje.

– Kiedy ostatnio widział pan Bellę? – spytała Edie.

– Dzień przed tym, jak zabiła ojca.

– A nie tego samego dnia?

– Nie. Bardzo wcześnie wyszedłem do pracy. Nie zniósłbym śniadania z ojcem. Wciąż mi się śnią koszmary o tych rodzinnych posiłkach – przerwał. – Nie myślcie, że mam do Belli pretensje. Nic z tych rzeczy. Gdybym to ja z nim siedział całymi dniami, też bym go zatłukł.

– Ale nie był pan z nią na rozprawie?

– Dostałem wezwanie do sądu. Na świadka.

– Prokuratury?

– Sam się do nich nie zgłosiłem. Pewnie mogłem

odmówić składania zeznań, ale miałem wtedy tylko dziewiętnaście lat. Robiłem, co kazali. W końcu się okazało, że nie jestem potrzebny. Zmienili zarzut z zabójstwa z premedytacją na nieumyślne spowodowanie śmierci i Bella się przyznała. – Znowu zamilkł. – Pojechałem do szpitala ją odwiedzić, ale nie chciała mnie widzieć. Może uważała, że ją zdradziłem, bo zgodziłem się świadczyć przeciwko niej. Wracałem do domu z niczym. – Przemierzył salon i ciężko klapnął na krzesło. Zachęcił je, żeby też usiadły. – Czy Bella nie żyje? To pani sugerowała?

– Tak – odpowiedziała Edie. – Nie słyszał pan?

– Już mówiłem. Nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu. Nie odpowiadała na moje listy, więc w końcu przestałem do niej pisać. Sądziłem, że nadal jest w szpitalu, ale gdyby to tam zmarła, pewnie ktoś by mnie poinformował. Moje nazwisko widniało we wszystkich formularzach, w rubryce najbliższa rodzina.

– Opuściła szpital ponad dziesięć lat temu. Wyszła za farmera, Dougiego Furnessa z Black Law.

– Mieszkała na farmie Black Law? – Roześmiał się ponuro. – Każdego lata jeżdżę w tamtą okolicę z turystami. Może nawet z daleka widziałem Bellę. Musiała mnie naprawdę nienawidzić, skoro się do mnie nie odezwała. Wiedziała, gdzie mnie szukać. Kiedy kupiłem stajnię, napisałem jej o tym.

– Sądzę, że po prostu zamierzała zacząć wszystko od początku. Nowe życie, nowa tożsamość.

– Chyba to rozumiem. Sam czasami chętnie bym stąd

uciekł – uśmiechnął się. – Te wszystkie wydatki i inwestycje mnie przerażają. To moja żona ma głowę do interesów, chociaż nie powiedziałybyście panie tego o niej, gdybyście ją zobaczyły.

– Ale przecież kupił pan stajnie niedługo po śmierci ojca. Pańska żona jeszcze się w to nie angażowała.

– Wtedy to nie była działalność biznesowa. Kochałem konie, więc kupiłem stajnie. I tyle.

– Dlaczego sprzedał pan sklepy?

– Nienawidziłem być rzeźnikiem. – Charles Noble popatrzył przez małe okno na rzekę. – Ojciec o tym wiedział. Chciałem się dalej uczyć. Marzyłem, żeby zostać weterynarzem. Zazdrościłem Belli, że się wyrwała z domu.

– Ale do niego wróciła.

– Zgadza się. Biedna Bella.

– Mówi pan tak, jakby też nienawidził ojca.

– Och, bo nienawidziłem – odparł Charles. – Od zawsze.

Rozległ się stukot kopyt na bruku – to Andrea wyprowadzała grupę dziewczyn na jazdę.

– Tydzień po rozprawie zgłosił się do mnie miejscowy biznesmen i zaproponował, że odkupi ode mnie sklepy i rzeźnię. Nie interesował go rynek mięsny. Zależało mu na budynkach i terenie. Pewnie mogłem więcej wytargować, ale podpisałem umowę od razu – zamilkł. – Facet zburzył rzeźnię i postawił ten biurowiec nad rzeką. Przez lata musiał na nim zbić fortunę, ale mnie zapłacił tyle, że starczyło na kupienie stajni, a mnie na niczym więcej nie zależało.

- Miał pan prawo sprzedać firmę?
- Ojciec zapisał ją na mnie, jeśli o to pani pyta. W testamencie. Poza tym wcześniej zrobił ze mnie wspólnika. Pewnie przewracał się w grobie, ale tak czy inaczej transakcja była legalna.
- A co z Bellą?
- Nie posiadała udziałów w firmie, a jednak pieniądze ze sprzedaży naszego rodzinnego domu przelałem na oddzielne konto na jej nazwisko. Wiedziała, co robię. O wszystkim jej pisałem.
- Wykorzystała te pieniądze?
- Nie, wciąż są na koncie.
- Nie kusiło pana nigdy, żeby je podjąć?
Zamrugnął nerwowo, wyraźnie urażony.
- Oczywiście, że nie. Miałem nadzieję, że któregoś dnia się odezwie.
- Jej mąż jest niepełnosprawny. Wymaga stałej opieki.
- Więc może zdołam mu pomóc. – Rozważył pomysł i wyglądał na zadowolonego. – Powinienem się bardziej postarać i przekonać siostrę, żebyśmy się spotkali, ale byłem bardzo młody. Ta cała sprawa z ojcem... po prostu koszmar. Nie chodzi tylko o to, jak umarł. Mówiłem już, że rozumiałem Bellę. Ale potem zaczęła się ta nagonka prasowa. Czułem się jak ścigane zwierzę. Wszędzie, gdzie się obróciłem, ludzie o tym gadali. Dlatego prawie zostałem pustelnikiem. Konie są mniej skomplikowane. – Wziął głęboki wdech. – Później ożeniłem się z Louise i uznałem, że lepiej nie kontaktować się z Bellą.

Opowiedziałem żonie całą historię, ale ona chyba nie do końca rozumiała, dlaczego to wszystko tak się potoczyło. Stwierdziła: po co się teraz w to wplątywać, skoro ludzie już nie pamiętają. Bella, jeśli będzie chciała, sama mnie odszuka.

– I mówił pan, że w ostatnim czasie na pewno nie próbowała się z panem kontaktować?

– Nie, żałuję, ale nie.

– A gdyby próbowała, ale natknęła się na pańską żonę, czy Louise by panu o tym powiedziała?

– Oczywiście. – Jednak mimo tej odpowiedzi sprawiał wrażenie, jakby wcale nie był przekonany. – Ale w ogóle o co chodzi z tymi pytaniami?

– Bella popełniła samobójstwo. Przypuszczamy, że miała jakieś problemy. Nikt w Black Law nie wiedział o sprawie z ojcem. Kiedy poznała Dougiego Furnessa, posługiwała się przybranym nazwiskiem. Podejrzewamy, że ktoś odkrył jej tajemnicę i groził, że ją ujawni.

– I dlatego się zabiła?

– Bardzo możliwe.

– Ja bym jej czegoś takiego nie zrobił.

– Co do tego jestem przekonana, panie Noble. Ale może przypomina sobie pan kogoś z tamtych czasów, kto niespodziewanie znowu pojawił się w okolicy. Jakiś znajomy Belli. Ktoś, kto ją rozpoznał.

Pokręcił głową.

– Nikomu pan nie opowiadał jej historii?

– Szczerze mówiąc, rzadko o niej teraz myślę. – Popatrzył na nie zza grubych szkieł okularów z wyrazem

nadziei, że go rozumieją. – To okropne, wiem.

– A żona? Nie wspomniała o Belli? Na przykład koleżankom?

– To raczej nie jest dobry temat do pogaduszek przy kawie.

– Gdyby panu coś przyszło do głowy, zadzwoni pan do mnie? – spytała Edie. – Dam panu swój numer. Co prawda rzadko bywam w domu, ale proszę się nagrać na sekretarkę. – Zniżyła głos do teatralnego szeptu. – Widzi pan, to Rachael znalazła zwłoki. Przeżyła szok i sądzę, że jeśli odkryjemy, co doprowadziło do samobójstwa, to łatwiej pogodzi się ze stratą.

Boże święty, Edie, jęknęła w duchu Rachael, a tak dobrze ci szło.

Tego dnia Edie została w Kimmerston. Odbywało się tam spotkanie edukacyjnej grupy wsparcia, której była członkiem, i oczywiście uważała, że jej obecność jest niezbędna. Zresztą Rachael uważała, że w odizolowanej od świata chacie matka popada w przygnębienie. Edie, żeby czuć się dobrze, potrzebowała ciągłych telefonów, znajomych, którzy wpadali, żeby się wypłakać na jej ramieniu albo wyciągnąć ją do Newcastle na dawkę rozrywki kulturalnej. Anne też czasami nachodziła ochota, żeby pogadać o jakiejś sztuce teatralnej lub filmie, jednak rozmowa interesowała ją tylko do momentu, kiedy dotyczyła anatomii głównego bohatera.

W kuchni Riverside Terrace Edie szybko przyrządziła coś do zjedzenia. Namawiała córkę, żeby została. Ale Rachael odmówiła – specjalnie przyjechała własnym samochodem, żeby mogła wrócić. Poza tym nie chciała, żeby Anne siedziała sama w chacie.

– Cóż, trudno. Tylko obiecaj, kochanie, że będziesz ostrożna.

Rachael nie odpowiedziała. Edie i tak myślami dryfowała już gdzie indziej. Układała przemowę, którą zamierzała wygłosić na spotkaniu. Zresztą nigdy szczególnie nie troszczyła się o fizyczne bezpieczeństwo córki. Gdy inni rodzice denerwowali się, jak ich dzieci wrócą z imprezy, Edie sama w tym czasie imprezowała, słusznie zakładając, że Rachael jest na tyle rozumna, że bez problemu dotrze do domu. Edie przejmowała się

głębszymi sprawami – relacjami, lękami, tym, co Rachael czuje.

Jednak teraz, gdy wyszła za córką przed dom, żeby ją odprowadzić, stojąc na szczycie schodów, powtórzyła ostrzeżenie.

– Mówię poważnie. Nigdzie się nie zatrzymuj i zablokuj od wewnątrz drzwi w samochodzie. A po przyjeździe pamiętaj, żeby też dokładnie pozamykać dom.

Tak więc nagle, bo dotąd tak na to nie patrzyła, Rachael zrozumiała, że faktycznie coś jej może zagrażać. Skoro nawet Edie się o nią bała, to powinna być ostrożna. Dlatego chociaż miała jeszcze ćwierć baku benzyny – wystarczająco, żeby kilka razy odbyć trasę do chaty i z powrotem – zatrzymała się na stacji przy głównej drodze i dołała paliwa. Ale kiedy chciała ruszyć, silnik nie zapalił. Już od kilku miesięcy coś szwankowało w rozruszniku, tylko że nie miała ani czasu, ani pieniędzy, żeby to naprawić. Zwykle wystarczało trochę rozhuścić auto, żeby zaskoczyło. Teraz jednak – mimo że sprzedawczyni ze stacji jej w tym pomogła – samochód wciąż nie zapalał. Zadzwoiła po pomoc drogową. Jęczała, że jest kobietą i sama, ale minęły godziny, zanim się zjawili.

Zadzwoiła do Black Law powiadomić Joego Ashwortha, że się spóźni. I żeby się nie martwili, a jeśli zadzwoni Edie, to żeby przekazali jej, co się stało.

– Właśnie wyjeżdżałem do domu – wyjaśnił policjant.
– Ale jest tu człowiek do ochrony pani Preece. Inspektor Stanhope też się w pobliżu kręci. Jeśli jednak pani chce, zostanę jeszcze i odeskortuję panią do chaty.

Kusiło ją, żeby się zgodzić. Potem pomyślała o jego żonie. Pewnie czeka na niego z kolacją. Może nawet nie ułożyła dziecka do snu, żeby Joe mógł je wykąpać. I jeszcze przypomniało jej się ich spotkanie w tę noc, kiedy Bella popełniła samobójstwo Sierżant dziwił się, że sama chodzi po wzgórzach i mieszka na odludziu. Po czymś takim nie mogła go teraz prosić o obstawę.

– Nie... – odparła. – Nie ma potrzeby, żeby mnie pan eskortował. Poza tym nie wiem, ile mi tu zejdzie.

W środku lata w Northumberland o dziesiątej wieczorem wciąż było jasno. Rachael czekała przed warsztatem, aż naprawią jej auto, i popijała colę z puszki. Kiedy już wreszcie oddali jej samochód, a potem przejeżdżała przez nową stalową bramę na wzgórzach, zbliżała się północ i dokoła panowały egipskie ciemności. Gdy wysiadła otworzyć bramę, nie wyłączyła silnika. Bała się, że znów nie zapali.

Akumulator musiał być słaby, bo reflektory ledwie świeciły. Na początku starała się jechać najszybciej, jak się da. Ale musiała zwolnić, bo kołami ocierała o nasyp i zahaczała rurą wydechową o bardziej wystające korzenie.

Nagle przed maskę wyskoczyła jej owca. Rachael ostro zahamowała i przez chwilę tęnym, przerażonym wzrokiem wpatrywała się w sympatyczną mordkę oszołomionego światłami zwierzęcia.

To szaleństwo, skarciła się w duchu, kiedy już do niej dotarło, na co patrzy. Przestań panikować. Uspokój się. Najlepiej myśl o czymś innym.

Więc zaczęła sobie przypominać, co robiły z Edie w

ciągu dnia. Zastanawiała się, czy już za późno, żeby zaczęła się uczyć jazdy konnej. Może nie, uznała, nawet jeśli jej wyzwolona matka nie zachęcała jej do uprawiania tego akurat sportu. Przyszedł jej na myśl Charles Noble. On też w dzieciństwie kochał zwierzęta i to tak bardzo, że pragnął zostać weterynarzem. Ale zamiast tego musiał patrzeć, jak zakupione na targu krowy, świnie i owce przerabia się na mięso. Śmierć ojca wybawiła go od tego zajęcia. Mógł kupić stajnię. Charles Noble miał o wiele lepszy powód, żeby zabić ojca, niż Bella.

Była tak podekscytowana swoim odkryciem, tak zachwycona wizją zdumienia Edie, kiedy jej o nim opowie, że gdy z początku spostrzegła światła wynurzającego się z pustkowiec samochodu, który jechał wprost na drzwi jej auta od strony pasażera, w ogóle się nie przelękała. Pomyślała tylko: kto tu jeździ o takiej późnej porze?

To trwało zaledwie kilka sekund. Potem jej umysł wskoczył na wyższe obroty i zaczął analizować sytuację. Auto nadjeżdżało ku niej z leśnej drogi, tej, w którą pomyłkowo skręciła, kiedy pierwszy raz w sezonie udawała się do chaty. Wiedziała, że przecinka kończy się ścieżką dla pieszych, co znaczyło, że auto musiało tam stać. To na pewno nie był jakiś spacerowicz, który zostawił samochód i wybrał się na całodzienną wycieczkę po wzgórzach. Nie o tej porze w nocy. Czyżby ktoś tu się zaczął, obserwował zza drzew? A może sądził, że jest tu sam, i jej obecność go zaskoczyła?

Do rozwidlenia dotarła przed tym drugim autem, potem zerknęła w lusterko wsteczne. Jeśli to jakieś

dzieciaki wykradły rodzicom wóz, żeby się przejechać po okolicy, lub kochankowie, którzy chcieli się popieścić w świetle księżyca, samochód powinien teraz zawrócić do głównej drogi, w stronę miasta. Ale on skręcił w odwrotnym kierunku i pojechał za nią.

W porządku, uspakajała się w duchu, jeszcze nie ma co panikować. To pewnie policjant. Może patroluje okolice. Pewnie wysłał go Joe Ashworth, żeby jej dopilnował. Rozmyślnie zwolniła. Już prawie dojeżdżała do Black Law. Zbliżała się do brodu. Jeśli go przejedzie w pełnym pędzie, zaleje silnik, auto stanie, a ona wyjdzie na idiotkę. Ale samochód za nią przyspieszył. Kierowca włączył długie i kiedy znów spojrzała w lusterko wsteczne, światła ją oślepiły. Nie mogła dostrzec ani kierowcy, ani żadnych szczegółów samego samochodu.

Była już przy brodzie, kiedy w nią uderzył. Głowa poleciała jej do przodu i na moment Rachael straciła panowanie nad kierownicą. Instynktownie wcisnęła pedał gazu, żeby uciec. Auto gwałtownie stoczyło się i zapikowało maską w strumień. Woda zachlapała przednią szybę. Silnik zasyczał, zaczął parować, zgasł. Przekręciła kluczyk w stacyjce, na próżno. Słyszała szum potoku, warkot stojącego za nią drugiego samochodu.

Obejrzała się przez ramię. Oczekiwała następnego uderzenia. Nie widziała nic oprócz ostrego światła przednich reflektorów. Znowu spróbowała uruchomić silnik. Nic z tego, padł na dobre.

Zupełnie ni stąd, ni zowąd przypomniał jej się steward w samolocie, jak kiedyś leciała do Stanów. Stał na

przodzie i sugestywnie pokazywał pozycję ochronną skuloną. Mocno wbiła stopy w podłogę – do środka już wsączała się woda – i schyliła się, osłaniając głowę rękoma. Za sobą usłyszała nagły ryk silnika. Głośny, jakby startował samolot.

Nic się nie wydarzyło.

Wycie się wzmogło, samochód zamiast w nią rąbnać, z piskiem opon zaczął się cofać. Trochę dalej szlak był poszerzony, żeby samochody mogły wykręcić, w razie gdyby poziom wody się podniósł i nie udało się przejechać przez strumień. Korzystając z zakola, auto zawróciło i wypruło w noc. Rachael przysłuchiwała się, jak cichnie odgłos tamtego silnika. Po chwili zapadła cisza, nie licząc chlupotu wody obijającej się o nadkola. Rachael wciąż trzymała ręce na głowie. Cała się trzęsła.

Przesiedziała tak z dwadzieścia minut. Potem niechętnie uznała, że do chaty musi dojść pieszo. Kilka razy próbowała odpalić silnik, ale ten ani drgnął. Miała przemoczone nogi i robiło się jej bardzo zimno. Pomyślała, że ma trzy możliwości. Może zaczekać do rana, aż zauważy ją nadjeżdżający Ashworth lub któryś z jego kolegów. Może liczyć na to, że Vera Stanhope jeszcze się nie położyła spać i wyśle kogoś, żeby jej szukał. Albo może jednak wyruszyć sama do chaty. Uważała, że to ryzykowne, kierowca drugiego samochodu mógł się znowu przyczaić w lesie i w każdej chwili wyskoczyć.

W końcu do działania zmusiła ją silna potrzeba załatwienia się. Nie wyobrażała sobie, że narobi w majtki. Odblokowała drzwiczki i wysiadła, z trudem walcząc z

naporem wody. Wąski sierp księżyca dawał niewiele światła. Obejrzała się za siebie, ale nikogo nie dostrzegła ani niczego nie usłyszała. Nie chciała, żeby pani inspektor zobaczyła ją w takim stanie, ale nie miała sił pokonać ostatnich kilku metrów do chaty. I zabrakło jej odwagi, żeby przejść obok stodoły, gdzie znalazła Bellę. Zabębniła więc w drzwi kuchenne na farmie, a kiedy te niemal natychmiast się otworzyły, pchnęła je i szybko wparowała do środka.

Vera Stanhope siedziała w fotelu bujanym, w którym często siadywała Bella. Obok na stoliku stała puszka piwa. Policjantka czytała jakieś dokumenty. Była w zawieszonych na łańcuszku okularach – Rachael nigdy wcześniej ich nie widziała. W rękę trzymała długopis – tak jak papierosa, za uchem miała zatknięty ołówek.

Czemu ona nigdy nie wraca do domu? – zastanawiała się Rachael. Nie lubi go?

Potem się rozplakała. Vera wstała, wzięła z krzesła złożoną polarową bluzę i troskliwie okryła nią Rachael.

Następnego dnia rano, gdy Rachael wstała, Vera już była w chacie. Stała w kuchni z grzanką w jednej ręce i kubkiem kawy Anne w drugiej. Jej mlaskanie dało się słyszeć nawet na schodach.

A więc znowu nocowała w Black Law. Kolejna noc w pracy. Co ją napędza? – rozważała Rachael. Ambicja? Strach przed porażką? A może, tak jak ona, nie ma domu, do którego chętnie by wracała. O mężu albo kochanku nigdy nie wspominała. Rachael nie wyobrażała sobie też pani inspektor w domowych pieleszach, jak wieczorem wygodnie wyciągnięta na kanapie ogląda telewizję. To nie pasowało do jej wizerunku.

– Nie znaleźliśmy ich – oznajmiła. – Uznałam, że chciałyby pani wiedzieć.

Zostawiła drzwi otwarte i kuchnia była zalana słońcem.

– Ładny dzień – zauważyła Rachael. – Szkoda że wcześniej się nie obudziłam. Dokończyłabym badania.

– Spokojnie, zdąży pani.

– Trzeba jeszcze sprawdzić tereny Grace.

– Tak czy inaczej, pośpiechu nie ma.

Ona nie chce, żebyśmy wyjechały, stwierdziła Rachael. Woli, żebyśmy tu siedziały. Jak te wrony w pułapce. Zależy jej na tym nawet bardziej niż dotąd. Zeszłej nocy wabik zadziałał. A poza tym, gdybyśmy się stąd wyniosły, nie miałyby wymówki, żeby tu być. Też musiałyby wracać.

– Myślałam, że ich dorwiemy – ciągnęła. – Istniała szansa, że są jeszcze w okolicy.

– Nie oni – poprawiła Rachael. – W samochodzie była tylko jedna osoba.

– Jest pani pewna?

– Tak, chociaż sama nie wiem, skąd ta pewność. Może się mylę. Ale nie, kiedy ten ktoś odjeżdżał, dostrzegłam zarys sylwetki. Tylko kierowcy.

– Kobiety czy mężczyzny?

– Nie umiem powiedzieć.

– Z budowy, wzrostu?

– Nie. To trwało zbyt krótko. Widziałam jedynie zamazany kształt. Nic więcej.

– Na A1 był wóz patrolowy – opowiadała Vera. – Policjanci przejechali się po drogach w okolicy Langholme, ale nie napotkali nikogo, kto by pędził jak szaleni. Natknęli się wyłącznie na jakiegoś chłopaka na motorze i na miejscową kobietę, wracała do domu po wizycie u matki. A to znaczy, że napastnik nie panikował. Zachowywał zimną krew, przyczaił się gdzieś i zaczekał do rana.

Rachael nalała sobie kawy z dzbanka, wciąż gorącej.

– Gdzie Anne?

– Na górze. Szykuje się do wyjścia w teren.

– No to muszę się sprężyć.

– Już mówiłam, pośpiechu nie ma.

– Nie zamierzam tu siedzieć dłużej niż to konieczne.

– Och, oczywiście – zgodziła się Vera. – Wczorajsze wydarzenia każdemu napędziłyby stracha. – To było

zwykle stwierdzenie faktu, ale Rachael poczuła, że musi się wytłumaczyć.

– Proszę posłuchać, naprawdę mi przykro, że wczoraj w nocy zachowałam się jak idiotka. Gdybym wysiadła z samochodu zaraz po tym, jak tamten odjechał, pewnie byście go złapali.

– Wątpię. Jeśli pruł tak szybko, jak pani opowiadała.

– No tak.

– Ale może przez noc coś się pani przypomniało?

– Nie, nic. Sedan, silnik o dużej mocy... to wszystko, co pamiętam.

– A kolor?

– Biały. Na pewno jasny. Ale nie metalik. – Zamilkła, potem dodała gorzkim tonem: – Żałosne, prawda? Pewnie to zabójca Grace. Gdybym się bardziej postarała, zapisała numer rejestracyjny, to byście go namierzyli.

– Nic się na to teraz nie poradzi – rzuciła oschle Vera.
– Ale i tak go namierzymy.

– Jak?

– Zrobię sobie jeszcze grzanki. Zje pani? – Ukroiła dwie grube kromki bułki, podstawiała pod ruszt, włączyła piekarnik. Zapałki zawilgotniały, więc trochę jej zajęło, zanim zapaliła ogień.

Rachael uznała, że Vera umyślnie przedłużyła tę scenę. Chciała, żeby jej widownia przebierała nogami z ciekawości.

– Więc jak go namierzycie – powtórzyła, podejmując grę policjantki.

– Cóż, od początku się zastanawialiśmy, którędy nasz

chłoptaś dostał się na wzgórze. Najpierw sądziliśmy, że nadciągnął z Langholme, ale to sporo kilometrów stąd i rozmawialiśmy z okolicznymi mieszkańcami. Nikt nie zapamiętał, żeby tamtego dnia gdzieś w pobliżu parkował jakiś podejrzany samochód. Nie mógł przyjechać drogą, bo pani Preece była w chacie i też nikogo nie widziała. Ale jeśli stał na ścieżce w lesie, nie dałoby się go zobaczyć z chaty, z domu na farmie, a nawet z głównej szosy. Wystarczy wjechać w las i drzewa wszystko zasłaniają. Rosną tam same choinki i to dość gęsto. – Vera wydawała się coraz bardziej rozentuzjasmowana. – Oczywiście nasi ludzie przeszukiwali wzgórze, ale nie wysłaliśmy ich aż tak głęboko w las. Błąd. Mój błąd. Jeszcze raz zajrzałam do mapy i okazuje się, że ta dróżka, co przecina las, kończy się blisko starej kopalni.

– Blisko pułapki na wrony – mruknęła Rachael. – Wiem, gdzie to jest.

– Wysłałam tam Joego Ashwortha, żeby się rozejrzył. – Policjantka w złośliwym uśmiešku odstąpiła zęby w kolorze jasnej sepii. – Nie jest najszcześniejszy, bo go ściągnęłam bladym świtem.

– Nieładnie z pani strony.

– Niech mi pani nie opowiada takich rzeczy. Miał całą noc na wylegiwanie się w swoim gniazdku. Mogłam go wezwać wczoraj, ale się z tym wstrzymałam. Jestem uosobieniem dobroci. I pozwoliłam mu wrócić na farmę na śniadanie. Teraz znów poszedł do lasu, czeka na techników laboratoryjnych.

– To znaczy, że coś znalazł?

– Tyle, żebym uruchomiła maszynę śledczą. Ten samochód zajeżdżał tam częściej niż tylko wczoraj. Drożka jest piaszczysta. Ślady opon ładnie się na niej odbiły. I chyba zostały resztki lakieru w miejscu, gdzie auto zawracało.

– Jakiego koloru?

– Białego. A co?

– Przez pomyłkę pojechałam tamtą ścieżką w tę noc, kiedy Bella popełniła samobójstwo. Nie próbowałam wykręcać, ale ostro cofałam. Lakier z mojego samochodu może być wszędzie. Jest biały.

Ale Vera wyraźnie zamierzała zachować dobry nastrój.

– Od tamtego czasu padał deszcz, śnieg, były wichury, prawda? Sądzę, że wszelkie ślady, jakie pani tam zostawiła, już dawno zniknęły. Ale mamy próbki do przebadania. To właśnie jest wspaniałe w naukowcach. Mają testy na wszystko. – Wyciągnęła z piekarnika grzankę i uważnie się jej przyjrzała. Bułka nabrała barwy słabej herbaty z mlekiem. Vera przewróciła ją na drugą stronę i z powrotem wsunęła pod ruszt. – Powinniście sobie sprawić toster. Mam jakiś w domu. Sprenduję go wam. To będzie taki mój wkład w ochronę przyrody. – Spojrzała na Rachael, jakby oczekiwała podziękowań za swój szczodry gest. – Ściągnęliśmy pani auto. Do komendy w Kimmerston. Też je przebadamy. Z tyłu mógł zostać lakier, jeśli tylko woda go nie zmyła. Poradzi sobie pani przez jakiś czas bez auta?

– Edie niedługo znowu przyjedzie. Będziemy korzystały z jej samochodu na zmianę.

– Zjawi się około południa. Dzwoniła.
– Nie powiedziała jej pani, co się wydarzyło?
– Coś tam wspomniałam, ale bez szczegółów. Za duży ze mnie tchórz. Wolałam zostawić to pani. Oczywiście i tak całą winę zwali na mnie.

Nie, pomyślała Rachael. Tym razem będzie miała pretensje do siebie, a to jeszcze gorsze.

Vera Stanhope zjadła grzanekę i oblizała palce.

– Słyszałam, że postanowiłyście odszukać Charliego Noble'a.

– Wie pani o tym? – Rachael poczuła się jak uczennica, która coś nabroiła.

– Och, przed ciotką Verą niewiele się ukryje.

– Pytałyśmy sierżanta Ashwortha, czy możemy.

– W porządku. To wolny kraj.

– Zna pani młodego Noble'a?

– Poznałam go. Mieszkał w domu rodzinnym, kiedy jego ojciec rozstał się z życiem. Po co chciałyście się z nim spotkać?

– Bo podejrzewamy, że ktoś mógł grozić Belli, że wyjawia jej tajemnicę. To by wyjaśniało, dlaczego popełniła samobójstwo.

– Cóż, to błędne rozumowanie – oznajmiła ostro Vera.

– Przynajmniej jeśli uważacie, że to Charlie ją szantażował. To po prostu niemożliwe. Dla niego coś takiego byłoby zbyt obrzydliwe. A on zawsze unikał wszystkiego, co obrzydliwe. Dlatego rzucił fach rzeźniczy.

– Kiedy ostatnio go pani widziała?

– Podczas tamtego śledztwa.

– Czyli wieki temu. Był wtedy prawie dzieckiem. Mógł się zmienić.

– Rozmawialiście z nim. Jak się pani wydaje?

– Myślę, że chyba jednak dużo się nie zmienił – przyznała Rachael.

– Bardzo dobrze go pamiętam. Zadziwiająco dobrze, biorąc pod uwagę, że minęło tyle lat. Może dlatego, że to była pierwsza ważna sprawa, w której odegrałam jakąś rolę. Przesłuchiwaliśmy go w jego sypialni. Jego kryjówce. Ojciec się nad nim znęcał i on tam przed nim uciekał. Była bardzo czysta. I miał dziwne zainteresowania jak na nastolatka. Zbierał książki, pierwsze wydania, wszystkie o zwierzętach. Każda obłożona w plastikową obwolutę. Wyglądał jak uczeń, chociaż już od jakiegoś czasu pracował w firmie ojca. Powtarzał, że to zajście z ojcem to musi być jakiś koszmarny zbieg okoliczności, ale nie potrafił udawać, że jest mu przykro, że stary nie żyje. Odnosiłam wrażenie, że kiedy tylko skończy się proces, chłopak bardzo szybko się pozbiera. Na pewno wiedział, czego chce, i pewnie bez większego trudu przekona samego siebie, że żadne paskudne zabójstwo nigdy się nie wydarzyło.

– Twierdził, że chciał odwiedzić Bellę w szpitalu, ale ona się nie zgodziła.

– Hm. – Vera zrobiła taką minę, jakby naśladowała mimikę któregoś z koni ze stadniny Noble'a. – Założę się, że jakoś specjalnie nie naciskał.

– To dlaczego Bella nie zaprosiła go na swój ślub? Był jej jedynym krewnym.

– Pewnie zależało jej na tym, żeby utrzymać w tajemnicy swoją przeszłość.

– Ale panią zaprosiła – zauważyła Rachael.

– Bo wiedziała, że potrafię być dyskretna. – Vera uśmiechnęła się zarozumiale.

– Wczoraj, kiedy wracałam, coś mi przyszło do głowy... – zaczęła ostrożnie Rachael. – Pomyśli pani, że to głupie...

– Zastanawiała się pani, czy to nie Charlie roztrzaskał ojcu głowę? – dokończyła za nią Vera.

– Cóż, tak. – Rachael sądziła, że wpadła na coś odkrywczego, i poczuła się zawiedziona.

– Co prawda moi koledzy nie są tak bystrzy jak ja. Z tym się zgadzam. Ale też nie są idiotami.

– Ależ oczywiście. Sądziłam tylko...

– Ona się przyznała – ucięła Vera.

– Wiem, jednak Charles miał zaledwie siedemnaście lat, kiedy to się stało, prawda? Może chciała go ochronić.

– Na figurce znaleziono jej odciski palców. Była w pokoju, kiedy brat wrócił do domu.

– Ale...

– Charles na pewno tego nie zrobił – oświadczyła Vera i zachichotała jak komik przed wygłoszeniem końcowego żartu. – Pracował w tym czasie w biurze na tyłach rzeźni. W małym przenośnym kontenerze. Z kupą ludzi, bo oprócz niego siedzieli tam wtedy kierownik, sekretarka i inspektor z Ministerstwa Rolnictwa. Wszyscy zeznali, że tego ranka wyszedł z biura tylko raz, do toalety. Na pięć minut. Nawet gdyby się odważył zabić

ojca, nie mógł tego zrobić.

– Och.

– Ale rozumowanie było dobre – dodała wspaniałomyślnie. – A jak brzmi druga teoria?

– To nic nowego. Już o tym wspomniałam. Chodzi o samobójstwo Belli. Nadal uważam, że ktoś jej groził, że opowie, że ona nie nadaje się do opieki nad Dougiem.

– I niby kto taki, pani zdaniem? – Vera mówiła tonem przedszkolanki zwracającej się do natrętnego dziecka.

– Mam pewne podejrzenia. Syn Dougiego, Neville, skorzystał na jej śmierci. Przejmie teraz farmę. – Ponieważ Vera nie zareagowała, dodała: – Poznała go pani na ślubie Belli.

– Mógł wiedzieć o tym, że była skazana?

– Mógł. Trzymała w domu wycinki z gazet, jakieś dokumenty z przeszłości. Znalazł je i, tak jak my, odtworzył całą historię – umilkła. – Jest asystentem Godfrey'a Waugh'a. Pracuje w Slateburn Quarries.

– Tak, pamiętam go ze ślubu. – Vera pokiwała głową. – Przystojny młody człowiek. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się z nim jeszcze raz spotkać. – Spojrzała na Rachael przymrużonymi oczami. – Ale wy dajcie już spokój z tym śledztwem. Koniec zabawy w prywatnych detektywów. Zostawcie pana Furnessa mnie.

Po dramatycznym incydencie z samochodem na drodze Vera Stanhope zaczęła stosować chyba jeszcze bardziej niestandardowe metody prowadzenia śledztwa. Ciągłe nawiedzała chatę, a Rachael, im były bliżej zakończenia prac, tym mocniej utwierdziła się w przekonaniu, że pani inspektor uknuła sobie plan, żeby jak najdłużej zatrzymać je na miejscu. Niczym gospodyni, która nie chce wypuścić gości z przyjęcia, ona też nie dawała im dwóm spokoju.

Anne również zwróciła na to uwagę. Bawiła ją ta taktyka, chociaż zarazem ciąгла obecność policjantki stawała się trochę niepokojąca.

– Nie musi pani wracać do domu? – spytała pewnego razu późnym wieczorem. Razem z Rachael od samego rana chodziły po terenie, bez sukcesów poszukując siedlisk wydr, a kiedy wróciły, w chacie zastały inspektorę, dotrzymywała towarzystwa Edie.

– Nie bardzo jest do czego – odparła Vera i łypnęła na nie groźnie, żeby więcej nie zadawały takich pytań.

– Wszystkie dochodzenia traktuje pani tak osobiście?

Nie odpowiedziała. Potem zaczęła krążyć po saloniku, jak zawsze była w sandałach, które głośno klapały jej o pięty.

– Słuchajcie – zaczęła nagle po chwili. – Muszę odnaleźć tego cholernego Edmunda. Przecież nie rozplynał się w powietrzu. Ktoś musi wiedzieć, gdzie ten facet się zadekował. Sądziłam, że do tej pory trafi albo do

komisariatu, albo do szpitala.

Rachael patrzyła na policjantkę zaskoczona. Nigdy nie widziała jej tak rozgorączkowanej. Może ona zna Edmunda, pomyślała. Są chyba w podobnym wieku. Może jego też Constance zapraszała na przyjęcia, a Vera się w nim wtedy podkochiwała.

Stanhope nie przestawała chodzić w kółko i mamrotać.

– Rod Owen twierdzi, że nie ma pojęcia, gdzie jest Edmund, i ja mu wierzę. Gość wydaje się zmordowany. Ma chyba dosyć tego całego pichcenia. Przypuszczam, że Edmund zaszył się w jakimś hostelu albo motelu i zapija się na śmierć. Albo znowu uciekł za granicę. Wcześniej też zwał, kiedy sytuacja go przerastała.

Edie siedziała w rogu i niby coś czytała. Teraz odłożyła książkę na bok.

– A byłoby go stać na wyjazd?

– Z pensji szefa kuchni na pewno nie, ale założmy, że rodzina mu pomogła. Wiadomo, chętnie by się go pozbyli. Bo co, jeśli spiknąłby się z prasą i opowiedział o córce? To dla nich drażliwy temat. Ucierpiałby wizerunek rodziny. Nie żeby się do czegoś przyznawali, rzecz jasna.

To ciskanie się po pokoju i gadanie miało w sobie elementy spektaklu. Vera chciała, żeby wiedziały, że się niepokoi, żeby zrozumiały jej tok myślenia, jednak Rachael podejrzewała, że policjantka już postanowiła, co zrobi. Nagle zatrzymała się w pół kroku.

– Odszukałam opiekunkę społeczną, która zajmowała się Grace. Wreszcie. Sądziłam, że sama się zgłosi, ale

podobno trzy tygodnie była na wakacjach we Francji. Niektórym to dobrze.

– Jak ona się nazywa? – zainteresowała się Edie.

– A co?

– Mogę ją znać. Wielu moich znajomych pracuje w opiece.

– Biedacy. – Vera na moment umilkła. – Pani też współczuję. A tamta przedstawia się jako Antonia Thorne. Już dawno temu wyszła za mąż, ale nie zmieniła nazwiska.

Edie wzruszyła ramionami.

– O nikim takim nie słyszałam.

– Dobrze byłoby, żeby się pani o nią rozpytała. Zorientowała się, co mówią o niej pani znajomi. Jest z wybrzeża. Nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia. Jakaś nudziara. Ma taki głos, który działa człowiekowi na nerwy. Ale jeszcze się z nią nie widziałam, więc pewnie nie powinnam jej oceniać.

– Boże broń.

– Niemniej jednak czegoś interesującego się od niej dowiedziałam.

Rachael przeczuwała, że wreszcie dotarły do sedna amatorskiego przedstawienia.

– Tak? – rzuciła zachęcająco.

– Powiedziała: „Ciekawe, czy Nan ktoś powiadomił o śmierci Grace. Na pewno chciałyby wiedzieć”.

– Kto to jest Nan?

– Zapytałam o to samo. Nancy Deakin. Dawno temu pracowała w majątku w kuchni, skończyła jako niańka Edmunda, bo nikt inny nie potrafił nad nim zapanować. –

Vera spojrzała na Anne Preece. – Olivia Fulwell mówiła o niej, kiedy wpadła na pogaduszki tamtego popołudnia.

– Pamiętam. – Anne się uśmiechnęła i naśladując afektowany sposób mówienia Livvy dodała: „Pół-Cyganka, niezbyt dbająca o higienę”.

– To właśnie ta. – Vera znowu zamilkła. – Opiekunka społeczna kilka razy zabierała do niej Grace. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Do tego dnia jeszcze nie dotarłam. Antonia coś tam głądziła, że to ważne, żeby dziecko było zakorzenione w swojej przeszłości. Ale przecież Nan to żadna przeszłość dla Grace, prawda? Wtedy już kobiecina biwakowała w starej przyczepie stojącej na terenie majątku, ku wielkiemu zakłopotaniu rodziny. Ale nie mogli jej usunąć po tym, jak lepiej, gorzej, ale wychowała Edmunda. W końcu przekonali ją, żeby się przeniósła do przytułku w Kimmerston. Robert jest członkiem zarządu tego przybytku.

– Bardzo wygodne – mruknęła Anne.

– Założę się, że Livvy Fulwell nie odwiedziła starej, żeby ją poinformować, że Grace nie żyje – ciągnęła Vera, jakby Anne jej nie przerwała. – Chyba nie utrzymują takich kontaktów. Ktoś powinien tam pojechać. Tak by wypadało. – Utkwiła wyłupiaste oczy w Anne, która odpowiedziała wytrzeszczem.

– Ja? Dlaczego akurat ja?

– Cóż, jest pani prawie przyjaciółką rodziny...

– Nie powiedziałabym.

– Proszę posłuchać. – Inspektorka chyba miała dosyć subtelności. – Wyjaśnię pani, na czym stoję. Każdego ze

swojej ekipy wysłałam za Edmundem Fulwellem. Jeśli facet pije, to jest to bardzo długi ciąg. Zaczyna mi to wyglądać, jakby miał coś do ukrycia.

– Myśli pani, że zabił córkę?

– Nie wiem. Nie wiem, co myśleć. Najpierw muszę go znaleźć. Nancy Deakin opiekowała się nim w przeszłości. Więc przyszło mi do głowy, że jeśli czuł, że wpadł w kłopoty, mógł udać się do niej.

– No to niech pani wyśle do tej kobiety któregoś ze swoich ludzi.

– O jasne. Już widzę, jak z nimi rozmawia! Niewiele zebrałam informacji o Nancy, ale jedno jest pewne: nie cierpi żadnych władz. Wątpię, żebym nawet ja, ze swoim wdziękiem, zdołała coś z niej wyciągnąć. Pani natomiast odwiedziłaby ją jako koleżanka Grace. Powie pani, że Grace o niej opowiadała i uznała pani, że powinna się dowiedzieć, co się stało. Może zechce zamienić z panią kilka słów. – Zero reakcji, więc dodała: – No niech pani taka nie będzie. Co mam zrobić? Uklęknąć i błagać?

– Nie, nie musi pani – odparła wolno Anne. – Pojedziemy tam, co Rachael?

Rachael była zaskoczona. Nie spodziewała się, że ją w to włączą. Czuła się jak dziecko, które zwykle wyklucza się z gry, a teraz nagle zostało wybrane do drużyny. Skinęła głową.

Edie już wcześniej wróciła do czytania książki i sprawiała wrażenie pogrążonej w lekturze. Teraz jednak, nie podnosząc wzroku, rzuciła:

– Zastanawia mnie, dlaczego pani uchodzą na sucho

takie sztuczki, pani inspektor.

Ostra odpowiedź padła natychmiast.

– Bo są skuteczne, kotku. A na koniec tylko to się liczy. Na tym zależy szefom.

Tego samego dnia, tyle że wieczorem, kiedy Rachael już leżała w łóżku – chociaż światło wciąż się paliło, bo czytała – usłyszała pukanie do drzwi. Sądząc, że to Edie, nie odezwała się. Udawała, że śpi. Ale pukanie się powtórzyło i do pokoju weszła Anne. Była w piżamie w paski, z rozporkiem w spodniach. Piżama należała do jakiegoś mężczyzny. Pewnie ją zostawił po jakiejś namiętnej nocy.

– Wybacz – mruknęła Rachael. – Myślałam, że to matka.

– Nie rozumiem twojego problemu z Edie. Wydaje się w porządku.

W innych okolicznościach Rachael wzruszyłaby ramionami i odpowiedziała byle co. Poza tym Anne to ostatnia osoba, którą by sobie wybrała na powiernika zwierzeń. Ale dzisiaj odparła:

– Jest okropną hipokrytką.

– W jakim sensie?

– Przez całe dzieciństwo i okres dorastania karmiła mnie liberalnymi kawałkami. O otwartości. Zaufaniu. Że trzeba rozmawiać o problemach. Ale kiedy ja pytałam o sprawy dla mnie ważne, te zasady już nie obowiązywały.

– A czego chciałaś się dowiedzieć?

– Chodziło o ojca.

– A dokładnie?

- Choćby na początek, jak miał na imię.
- Nic o nim nie wiesz?
- Nic. I znikąd nie mogę się dowiedzieć.

Sprawdzałam.

- Może Edie miała powód, żeby ci nie mówić.
- Na przykład jaki? Był mordercą? Szaleńcem? Nie jestem nawet pewna, czy chciałabym się z nim spotkać, ale fajnie mieć wybór, nie uważasz? Przestałam być dzieckiem. Nie potrzebuję, żeby ktoś mnie chronił.

- Może to żadna wielka sprawa. Kiedyś sama najchętniej wyrzekłabym się ojca. Z głupoty.

- Ale tego nie zrobiłaś.

- Nie do końca. Co prawda wyprowadziłam się z domu, kiedy tylko mogłam, ale siedziałam przy nim, jak umierał. Dlaczego jeszcze raz z nią nie porozmawiasz? Powiedz jej, co czujesz.

- Ona to wie.

- Nie uważasz, że tutaj, na twoim terytorium, byłoby inaczej?

Na chwilę zaległa cisza.

- Może i racja – zgodziła się Rachael.

- Więc warto spróbować.

- Tak. Zanim wyjedziemy.

- A jutro musimy odwalić brudną robotę, którą nam zleciła Vera – dodała Anne.

- Na to wygląda.

- Ona chyba nie myśli na poważnie, że Edmund zamordował własną córkę – zawahała się. – Bo tak się zastanawiałam, czy przypadkiem nie naopowiadała nam

tego wszystkiego o Nancy, żeby nas zmylić. To wygląda tak, jakby prowadziła skomplikowaną grę, ale traktuje ją bardzo serio. Sądzisz, że już namierzyła zabójcę, ale brakuje jej dowodów, żeby go zaarrestować?

– Chcesz powiedzieć, że podejrzewa którąś z nas?

– Nie... Nie wiem... Dogadują się z Edie. Może jej coś napomknęła?

– Jeśli nawet, to matka mi nie powtórzyła – odparła gorzko Rachael.

– Dobra, lepiej o tym zapomnieć. Może to tylko moja podejrzliwa natura – rzuciła Anne i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Rachael z pytaniem, o co tak naprawdę chodziło w tej wymianie zdań.

Rachael zgasiła lampkę przy łóżku i leżała w mleczej poświacie letniej nocy. Przez okno do pokoju dolatywał szum wody przepływającej po kamienistym dnie potoku.

Schronisko dla bezdomnych znajdowało się w starej części Kimmerston. Prowadziła do niego odbijająca od głównej ulicy wąska aleja. Budynki przytułku często trafiały na pocztówki ze zdjęciami miasta, więc zdarzało się, że na dziedzińcu zaglądali turyści. Były zabytkowe, a za dziedzińcem, chociaż to niepraktyczne dla wózków inwalidzkich i balkoników, wciąż leżał bruk.

Rachael i Anne dotarły na miejsce późnym popołudniem. Żar lał się z nieba. Z oddali docierał tu pomruk ruchu ulicznego, ale na pustym dziedzińcu panowała cisza. Z domów z szarego kamienia też nie dochodziły żadne odgłosy.

Potem otworzyły się jakieś drzwi i na zewnątrz wyszła drobna kobieta w średnim wieku, w bluzce w paski i garsonce. Błyszczącą czarną torbę trzymała pod brodą, bo żeby zamknąć ciężkie zwichrowane drzwi, musiała użyć obu dłoni. Później szybkim krokiem, stukając obcasami, ruszyła po kostce brukowej.

– Bardzo przepraszam – zawołała do niej Anne.

Kobieta się zatrzymała, odwróciła i spojrzała na Anne ze zniecierpliwieniem.

– Tak?

– Szukamy dyrektora przytułku.

– To ja, ale teraz nie mogę rozmawiać. Mamy zebranie zarządu, a już jestem spóźniona.

– My do Nancy Deakin.

– A czego panie od niej chcecie?

– Tylko zamienić kilka słów. Ale ona chyba niechętnie przyjmuje gości?

– To nie moja wina. – Dyrektorka od razu zaczęła się bronić. – Staraliśmy się, ale to niezbyt towarzyska osoba.

– Czy ktoś ostatnio ją odwiedzał?

– Nikogo nie widziałam, ona też nic nie mówiła. Chociaż pewnie i tak by nie powiedziała. Możecie panie do niej zajrzeć. Mieszka pod czwórką. Tylko nie pijcie herbaty. – Odwróciła się i szybko odeszła.

Na dziedzińcu było bardzo jasno, więc kiedy drzwi domku lekko się uchyliły, z początku ledwie mogły dostrzec niewyraźną sylwetkę stojącą w mroku przedsionka.

– Panna Deakin? – spytała Anne. – Nancy?

Drzwi znowu się zamknęły. Anne zabębniła w nie pięścią.

– Może dajmy spokój. – Rachael czuła się skrępowana. Wyobrażała sobie, że ze wszystkich pozbawionych zasłon zakratowanych okien gapią się na nie ludzie.

Anne się tym nie przejęła i znów zastukała.

– Jesteśmy znajomymi Grace! – krzyknęła. – Nancy, słyszy nas pani?

Drzwi się otworzyły. Nancy Deakin była bardzo stara i w tym domu z okratowanymi oknami i spadzistym dachem wyglądała jak czarownica z obrazków w książkach dla dzieci. Miała na sobie długą wełnianą spódnicę i czarny zapinany sweter z dziurami na łokciach. Zmierzyła intruzki wściekłym spojrzeniem, potem, plując i charcząc, coś

wymamrotała, ale żadna jej nie zrozumiała.

– Możemy wejść? – Podczas tej wizyty to Anne przejęła dowodzenie.

Rachael uważała, że Anne złagodniała przez tę historię w chacie Baikie. Wcześniej nigdy by się nie zgodziła wykonać prośby Very Stanhope. A teraz, proszę, wetknęła nogę między framugę a drzwi, żeby starsza pani nie mogła ich zamknąć.

Nancy pogrzebała w kieszeni swetra i wyciągnęła parę ogromnych sztucznych szczęk pokrytych czarnymi kłaczkami. Wetknęła je do ust i wyszczerzyła zęby jak dziki zwierz w klatce.

– Przecież powiedziałam, że możecie, nie słyszałyście?

Odwróciła się i korytarzem zaprowadziła je do małego pokoju, zagraconego przypadkowymi starymi meblami. Wyglądało na to, że spała i żyła tylko w tym pokoju, chociaż nic nie wskazywało, żeby dzieliła domek z kimś jeszcze. Wąską kanapę zakrywała dziergana narzuta w kolorowe kwadraty. Na postrzępionym wiklinowym fotelu leżała sterta ubrań, a na jej szczycie tkwił czarny filcowy kapelusz. Na parapecie, zasłaniając prawie całe światło, stała klatka dla ptaków. Drzwiczki były otwarte. Nad ich głowami przeleciała niebieska papużka falista i sfrunęła na gzymś nad kominkiem.

– Grace nie żyje – oznajmiła staruszka, już trochę wyraźniej, chociaż wydawało się, że mówienie to czynność, do której musi się przyzwyczać.

– A więc już pani wie. – Anne przycupnęła na kanapie. – Chciałyśmy się upewnić.

Nancy zepchnęła na bok stos ubrań i klapnęła ciężko na fotel. Odchyliła się na oparcie i lekko przymknęła powieki. Rachael przez chwilę stała w progu, potem, żeby się tak nie rzucić w oczy, usiadła na podłodze i plecami oparła się o ścianę.

– Po co tu przyszłyście? – spytała ostro Nancy.

– Tylko po to. Chciałyśmy się upewnić, że pani wie. Uważałyśmy, że ktoś powinien panią powiadomić. Grace nam o pani wspominała.

– Kiedy?

– Pracowałyśmy razem. W Black Law.

– Aha, koło majątku.

– Właśnie.

– Pewnie jej go nie pokazali. Wielka lady Olivia nie zaprosiła jej na herbatę.

– Mhm – potwierdziła Anne. – Nie sądzę nawet, żeby wiedzieli, że jest w okolicy.

– Łasica zawsze upoluje szczura – mruknęła tajemniczo Nan. – Jak głód jej dokuczy.

Anne i Rachael popatrzyły po sobie. Promienie słońca przesączaające się do pokoju przez kraty w oknie i pręty klatki podświetlały unoszące się w powietrzu drobiny kurzu, gęstą sieć pajęczą w pustym kominku i wypłowiła kolorową matę na podłodze.

– Jak się pani dowiedziała, że Grace nie żyje? – ciągnęła Anne.

Znowu chwila ciszy. Nancy uważnie im się przyglądała, jakby je oceniała.

– Ed czasami tu wpada – odezwała się w końcu. – Z

nich wszystkich jedynie on do mnie zagląda. Zresztą tylko jego bym wpuściła.

– Dyrektorka mówiła, że ostatnio nie miała pani żadnych gości.

– Ha. A co ona tam może wiedzieć? Pieniądze i zebrania. Wyłącznie tym się zajmuje. I jeszcze ugania się za przystojniaczkami.

– A Grace? Odwiedziła panią kiedyś?

– Długo jej nie było. Studiowała. Wędrowała to tu, to tam. Niekiedy Ed ją przyprowadzał.

– A ostatnio?

Starsza pani gniewnie pokręciła głową.

– Nie oczekiwałam tego. Była młoda. Żyła swoim życiem. Ale zawsze pisała. Przysyłała listy z każdego miejsca, w którym mieszkała. A Edmund mi je czytał. Mam słaby wzrok. Litery mi się rozmazują. – Obrzuciła je wyzywającym groźnym spojrzeniem, w razie gdyby zamierzały zakwestionować prawdziwość jej słów.

– Zatrzymała pani te listy?

– Bo co?

– Przyjaźniłyśmy się z Grace, ale prawie nic nam po niej nie zostało na pamiątkę. Gdyby pożyczyła je nam pani na jakiś czas... To byłoby tak, jakbyśmy z nią rozmawiały, prawda? Potem byśmy je oddały.

– Rzadko coś wyrzucam – przyznała kobieta.

– Więc będziemy mogły do nich zajrzeć?

Nancy klapnęła szczęką i znów na nie popatrzyła, w pełni świadoma, że frustruje ich swoim niezdecydowaniem. Wyraźnie czekała, że Anne zacznie się

denerwować.

Ale ta zapytała:

– Kiedy pan Fulwell powiedział pani, że Grace nie żyje?

– W dzień po tym, jak została zamordowana. Nie chciał, żebym usłyszała o tym w wiadomościach, chociaż nie usłyszałabym, bo zawsze wyłączam radio, jak się zaczynają. Lubię tylko słuchać starych melodii. Ale i tak miło z jego strony. Zawsze taki był. Nie ma samochodu, więc przywiózł go znajomy.

– Kto? Pan Owen?

Wzruszyła ramionami.

– Nie widziałam. Nie przyprowadził tego kogoś. Przyszedł sam.

– A samochód pani widziała?

– Stąd się nie da.

Faktycznie, z okna rozciągał się widok jedynie na dziedziniec. Akurat jakiś starszy mężczyzna wystawił kuchenny stół na schody, żeby posiedzieć w słońcu.

– Czy Edmund opowiadał pani ze szczegółami, co się stało?

Nancy wypuściła powietrze przez nos, podciągając górną wargę na dąsła.

– Oczywiście, że nie. Był przybity, to chyba zrozumiałe. A ja nie pytałam.

– A pani ma jakiś pomysł?

– To znaczy?

– Kto mógł ją zabić?

– Nie... – zawahała się, ale postanowiła nie kończyć

zdania.

– Jak Edmund się czuł, kiedy tu panią odwiedził?

– A jak się pani wydaje? – Znowu umilkła. – Był wściekły.

– Wiedział, kto udusił Grace?

– O to musicie zapytać jego. Ale to chyba nie wasza sprawa. – Wyciągnęła długi palec, na którym zaraz przysiadła papużka.

Anne się nachyliła, żeby pogłaskać ptaka.

– To co, pokaże nam pani te listy? – przypomniała.

– Nie – odparła stanowczo Nan.

– Chciałybyśmy się czegoś więcej o niej dowiedzieć.

– Po co?

– Już mówiłam. Przyjaźniłyśmy się. Brakuje nam Grace. A to są ważne pamiątki z jej życia.

– Mam je w skrzynce na górze. Ale ostatnio ciężko mi chodzić po schodach.

– To ja po nie pójdę. – Anne poderwała się z kanapy.

– Nie! – Z niespodziewaną zwinnością Nancy zerwała się i ruszyła, aby zablokować drzwi. – Nie, nie życzę sobie żebyście grzebały w moich rzeczach. Poczekajcie tutaj. Przyniosę je wam.

Usłyszały jakieś odgłosy dochodzące z góry. Nancy chyba coś do siebie mamrotała. Potem trzasnęły drzwi i na schodach rozległy się jej ciężkie kroki. Anne i Rachael wyszły czekać do przedpokoju. Staruszka trzymała w ręce plik kartek i tylko jedną białą kopertę.

– To wszystko, co znalazłam. – Wyszczrzyła się w uśmiechu, żeby wiedziały, że kłamie.

– To bardzo miłe z pani strony. – Anne odebrała listy i dodała: – A wie pani może, gdzie jest Edmund Fulwell?

- Pewnie w domu.
- Nie. Od wielu dni nikt go tam nie widział.
- Zawsze był trochę szalony.
- Gdyby się do pani odezwał, powinna pani zawiadomić policję – rzekła Anne. – Niepokoją się o niego.
- Zupełnie niepotrzebnie. On już potrafi o siebie zadbać.

Otworzyła drzwi frontowe, żeby je wypuścić. Z góry dobiegł jakiś hałas, jak gdyby ktoś tam buszował. Anne i Rachael, wpatrzone w pogrążone w mroku schody, zamarły w bezruchu. Z ciemności nad poręczą prosto na nie wyleciała papużka. Zatoczyła koło nad ich głowami, jakby chciała wyfrunąć przez otwarte drzwi, ale potem przycupnęła na ramieniu Nancy. Kobieta pogładziła ptaka po dziobku i ciepło do niego zagruchała.

List od Grace nosił datę sprzed dwóch lat. Został wysłany z małego miasteczka w południowo-zachodniej Szkocji. W kopercie razem z listem była kartka pocztowa ukazująca rzekę i łąki, i wieżę kościelną w oddali. Na odwrocie kartki pusto, ale na zdjęciu widniał krzyżyk, nad którym Grace napisała długopisem: „Tutaj wczoraj biwakowałam”.

Rachael wzruszyła się, patrząc na to zdjęcie i dołączony do niego liścik. Grace tak dziwnie zachowywała się w ostatnich tygodniach życia, że raczej przypominała zjawę krążącą pośród nich, która wywołuje zmartwienie i zamęt. A te rzeczy sprawiły, że stała się ludzka, rzeczywista. Coś takiego sama Rachael mogłaby wysłać Edie, żeby nie truła jej głowy.

Vera była z nimi, kiedy podawały sobie kartkę. Na pewno czekała, aż wrócą, bo ledwie zdążyły zapalić gaz i nastawić wodę na herbatę, usłyszały łomotanie do kuchennych drzwi. Weszła, zanim zaprosiły ją do środka.

– Dlaczego ta stara wiedźma postanowiła wam dać właśnie ten list? – spytała gniewnie. Rachael spodziewała się, że Vera okaże wdzięczność, że zdobyły trofeum, a tymczasem od początku śledztwa wydawała się bardziej wściekła niż kiedykolwiek. Według Edie pani inspektor całe popołudnie spędziła w Kimmerston.

– Prawdopodobnie wybrała na chybił trafił, żeby tylko się nas pozbyć – odparła Anne. – Nie przyznaje się do tego, ale na moje oko ona chyba nie umie czytać.

Vera, w zaczepnym nastroju, przeciwstawiła się nawet tej sugestii.

– Nie sędzę. Na pewno trzymała listy w jakimś chronologicznym porządku i po prostu wzięła pierwszy z góry. Potem musiał być jeszcze jeden. Grace mogła pisać nawet stąd. Widziałyście, żeby pisywała listy?

– Nigdy, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– To też właściwie trudno nazwać listem. – Inspektor Stanhope trzymała arkusik w dwóch palcach. – Jak myślicie, dlaczego w ogóle zadała sobie trud?

– Pewnie traktowała Nancy niemal jak członka rodziny – stwierdziła Edie. – Może uważała to za obowiązek, tak jak wysyłanie podziękowań do dziadków.

– No to proszę. – Vera upuściła list na stół przed Anne. – Niech pani czyta.

Anne rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy wszystkie słuchają, i zaczęła tonem mamy opowiadającej bajkę na dobranoc.

– „Kochana Nan, poszłam dzisiaj na spacer szukać śladów wydr i przypomniały mi się spacer, na które mnie zabierałaś, jak byłam mała. Wildlife Trust zatrudnił mnie na czas prowadzenia badań. Zaproponowali, że znajdą mi jakąś kwaterę, ale wolę być sama, więc przywiozłam sobie namiot i obozuję na polu zaznaczonym na pocztówce. Śliczne miejsce. Moją pracę wykonywał przedtem jakiś student, ale nagle wyjechał. Cóż, jego wyniki nie zrobiły na mnie zbyt dużego wrażenia. Za dużo zgadywania, za mało liczenia. To oznacza, że muszę obejść te odcinki rzeki, które rzekomo zbadał, żeby sprawdzić jego dane.

Byłoby o wiele prościej, gdyby każdy przestrzegał zasad. Jeśli ktoś jest odpowiednio przeszkolony, to nic trudnego. Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i ciągle mieszkasz w Kimmerston. Może kiedy następnym razem pojawię się w okolicy, odwiedzimy Cię z Tata". – Anne uniosła wzrok. – Podpisane tylko „Grace”. Żadnego „całuję”, „pozdrawiam serdecznie”, nic.

– Trochę to nudne – uznała Vera. – I po co pisać listy, skoro staruszka nie umie czytać?

– Edmund jej czytał.

– Kiedy widziała się z nim ostatni raz?

– To on ją zawiadomił o śmierci Grace. Nie chciał, żeby dowiedziała się od kogokolwiek innego.

– Wygląda na to, że działał całkiem racjonalnie, przynajmniej wtedy. – Vera spojrzała na Anne. – Pytała ją pani, gdzie on jest?

– Oczywiście. Powiedziała, że nie ma pojęcia.

– Uwierzyła jej pani?

Anne wzruszyła ramionami.

– Ona lubi robić zmyłki. Nie zdziwiłabym się, gdyby skłamała.

Vera z obrzydzeniem odsunęła list od siebie.

– No cóż, niewiele nam to mówi, prawda?

– Sama nie wiem – odparła Rachael z ociąganiem.

– Co? – warknęła Vera. – Niech pani to wykrztusi.

– Anne i mnie zawsze dziwiły wyniki liczenia wydr, jakie uzyskiwała Grace na monitorowanych terenach rzecznych. Wcześniej nie prowadzono systematycznych badań na ten temat, ale dane z tych samych okolic

hrabstwa nigdy nawet nie zbliżały się do wartości podawanych przez Grace. Po jej śmierci sprawdziliśmy kilka miejsc. Wygląda to tak, jakby mocno przesadzała z wyliczeniami. Istnieje możliwość, że po prostu się myliła, ale z tego listu wynika, że zdawała sobie sprawę z ryzyka przeszacowania liczby zwierząt, więc pomyłka wydaje się mało prawdopodobna.

– Do czego pani zmierza?

Odpowiedziała Anne Preece:

– Albo była bardziej szalona, niż nam się zdawało, i zwidywały jej się całe legiony wydr maszerujących po dolinie Langholme, albo brała wyniki z powietrza.

– Dlaczego miałyby to robić? Ona, naukowiec?

– Niejeden naukowiec fałszował dane z własnych pobudek.

– Na przykład jakich?

– Dla chwały. Albo dla łapówek.

– Chce pani powiedzieć, że firma wydobywcza przekupiła ją, żeby zawyżała wyniki?

– Nie. Oczywiście że nie. Z ich punktu widzenia to byłoby absolutnie bez sensu. Dałoby wręcz odwrotny skutek od tego, na czym im zależy. W naszej pracy chodzi o to, żeby sprawdzić, jak proponowana inwestycja wpłynie na daną okolicę. W interesie tej firmy leży to, żebyśmy nie znalazły na terenie przyszłej budowy niczego, co jest warte ochrony. Wtedy podczas publicznych konsultacji stwierdzą, że kopalnia nie wyrządzi środowisku naturalnemu znaczących szkód. Jeśli w raporcie wykażemy, że znajduje się tu największe skupisko wydr w

całym hrabstwie, prawdopodobnie nie uda się przepchnąć budowy. Wydry są futrzaste i urocze. Wszystkie organizacje proekologiczne w kraju ściągają tutaj wymachiwać transparentami.

– Więc twierdzi pani, że przekupili ją przeciwnicy uruchamiania kopalni?

– Ja niczego nie twierdzę. – Anne zaczynała się irytować. – Nie wiem, co jej siedziało w głowie. Ale ten list sugeruje, że to nie jest zwykła pomyłka.

Edie, która do tej pory słuchała bez słowa, spytała nagle:

– A kim są przeciwnicy?

Vera zwykle bywała zadowolona z wkładu Edie w te ich dyskusje, ale teraz, wciąż zła i sfrustrowana, naskoczyła na nią.

– Co pani ma na myśli, do cholery?

Edie uniosła brwi, jakby komentowała zachowanie rozwydrzonego dziecka, i odpowiedziała spokojnie:

– Pytam, czy to jakaś zorganizowana grupa. Czy ktoś nimi dowodzi? I czy istnieją dowody, że Grace znała jakiegoś członka tej albo jakiegokolwiek innej grupy nacisku walczącej o ochronę środowiska? Może fałszowała wyniki w błędnym przekonaniu, że służy sprawie, w którą wierzy.

Vera zrobiła skruszoną minę.

– Nie wiem. Możemy sprawdzić.

– Niektórzy w Langholme sprzeciwiają się tej inwestycji – wtrąciła się Anne. – Ale nie sądzę, żeby działali szczególnie skutecznie. I o ile się orientuję, jeszcze nie uzyskali poparcia żadnej dużej organizacji. To raczej

kwestia troski miejscowych, że spadną im ceny nieruchomości, jeśli tuż za ich progiem powstanie potężna odkrywka, a przez wieś dzień i noc będą jeździć ciężarówki. Po prostu martwią się o własne poletko, nic więcej.

– Poza tym – włączyła się Rachael – Grace nie była głupia. Wiem, że myślicie, że trochę jej tutaj odbijało, ale musiała wiedzieć, że na dłuższą metę takie oszustwo się nie uda. Oceny wpływu na środowisko bierze się pod uwagę w procesie decyzyjnym tylko dlatego, że są uważane za bezstronne. Gdyby inspektorzy przestali im wierzyć, obrońcy środowiska straciliby głos w kwestiach planowania. Grace z pewnością zdawała sobie z tego sprawę.

– Moim zdaniem robiła to wbrew własnej woli – oznajmiła Anne. – Ktoś zmuszał ją do kłamstwa. Czytała pani ten list. Miała obsesję na punkcie rzetelności. Może dlatego tak się zestresowała. Nie mogła znieść udawania. I potrafię to zrozumieć. Coś takiego mnie też doprowadziłoby do obłądu. Powinnam zauważyć, co się dzieje. Na pewno potrzebowała z kimś porozmawiać.

– Tak. – Vera pokiwała głową. – Najwyraźniej.

– Skąd pani wie?

– Spotkałam się dzisiaj z opiekunką z pomocy społecznej. Panią Antonią Thorne. Dziwny fach. Ja nie mogłabym tego robić. Zawsze myślałam, że trzeba być bezdusznym gnojkiem, żeby pracować jako glina, ale w jej zawodzie jest chyba jeszcze gorzej. Ta kobieta знаła Grace Fulwell od dziecka i umieszczała ją w kolejnych

rodzinach zastępczych, aż znalazła odpowiednią. Można by sądzić, że Thorne zżyje się z dziewczyną, że się do niej przywiąże, ale kiedy ta poszła na studia, opiekunka umyła ręce i zapomniała o niej. Nie wysłała jej nawet kartki na święta. Wydawałoby się, że powinna być przynajmniej ciekawa, co słyhać u dawnej podopiecznej, ale nie. Powiedziała, że w ogóle nie myślała o Grace aż do chwili, kiedy dowiedziała się o jej śmierci.

– Wydaje mi się – wtrąciła Edie – że ich szkołą, żeby się nie angażowali emocjonalnie.

– W pracy z dzieckiem? – Vera cmoknęła. – Jedna wielka pomyłka.

– Ale? – ponagliła ją Edie.

– Otóż, gdy pani Thorne przyjechała ze słonecznych wakacji, czekała na nią kupka listów. Kiedy rozmawiałam z nią wcześniej w tym tygodniu, nie zdążyła jeszcze do nich zajrzeć. Jeden z nich był od Grace. Podejrzewam, że dziewczyna nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić. Smutne – urwała, zamyślona, i tym razem Rachael nie odniosła wrażenia, że to przerwa dla efektu. – Grace napisała, że ma jakiś problem. Że chce o czymś porozmawiać. I choć nie była już jej podopieczną, pytała, czy pani Thorne znalazłaby chwilę, żeby się z nią spotkać.

– Och. – Rachael o mało się nie rozplakała. – Gdyby ta kobieta akurat nie wyjechała, niewykluczone, że Grace jeszcze by żyła.

– A ktoś inny z pomocy społecznej nie mógł się tym zająć? – burknęła gniewnie Anne.

– List był prywatny. Nikt go nawet nie otworzył.

– Chcecie powiedzieć, że dlatego Grace została zamordowana? – spytała Edie.

– Żeby się nie wygadała, że fałszowała dane na temat wydr? Jak dla mnie to nie jest wystarczająco ważny powód – rzuciła Anne.

– Motywy zabójstwa rzadko są wystarczająco ważne – wypaliła Vera.

– W takim razie musi się pani dowiedzieć, kto wywierał na nią nacisk.

– O, to chyba wiemy, prawda? – odparła Vera. – Kto wściekał się na tłumy w Holme Park? Kto nie chciał, żeby zarobili na sprzedaży ziemi firmie deweloperskiej? Cholerny Edmund Fulwell. Który zniknął jak fatamorgana. Jak te pieprzone wydry Grace.

Później tego wieczoru zjawił się Peter Kemp.

Przypruł polną drogą nowym białym land roverem. Rachael zadzwoniła po niego z Black Law w chwili paniki. Parę dni przed śmiercią Grace przekazała mu wstępne wyniki liczenia wydr. Teraz chciała, by wiedział, że prawdopodobnie są błędne, zanim zrobi z nich wszystkich głupków, ogłaszając je publicznie.

Telefon odebrała Amelia, jego urocza żonka z końskimi zębami. W tle było słycać głosy, śmiech.

– Oj, paru przyjaciół wpadło na kolację – wyjaśniła Amelia.

Rachael pomyślała, że Kempowie chyba nigdy nie są sami. Powiedziała Peterowi, że to nic pilnego, że musi pędzić do Baikie, ale on chyba ucieszył się z pretekstu, żeby się urwać z domu.

Przyjechał o dziesiątej, a mimo to Rachael zaproponowała spacer. Dobrze pamiętała niedzielny lunch w domu w Kimmerston i wiedziała, że nie zniesie drwiących uśmiezków Edie. Poza tym cały dzień nie wychodziła na wzgórze, czuła się niespokojna jak w klatce. Na dworze było jeszcze jasno, choć słońce zaszło, a wrzosy i zrudziałe orlice straciły intensywność barw. Szli w milczeniu. Nie umawiali się, dokąd idą, jednak zgodnie ruszyli drogą wzdłuż szkółki iglaków do górskiego jeziora wysoko na wrzosowisku. Oczko wodne, otoczone trzcinami, niemal przelewało się przez brzegi, choć już dawno nie padał deszcz. Woda odbijała resztki światła.

Bezkresne, lawendowoszarne niebo znaczyły smugi złota.

To błąd, pomyślała Rachael. Powinniśmy siedzieć w chacie. Lepiej znosić flirtowanie Anne i złośliwe komentarze Edie niż przychodzić tutaj i budzić stare wspomnienia. Bo tu mogłaby mu wybaczyć, że się ożenił i ukradł jej pracę. Tak łatwo byłoby sięgnąć i wziąć go za rękę.

– Masz ochotę popływać? – spytał i to jeszcze pogorszyło sprawę. Oczywiście żartował, nawiązywał do dawnych czasów, kiedy mieszkali sami w chacie i przychodzili na wrzosowisko po całym dniu w terenie. Śmiechem zbywali szok po wejściu do lodowatej wody, brodzili w poszukiwaniu głębszego miejsca, by móc popływać, a torfowe błoto przeciskało się im między palcami. Miała ogromną ochotę powiedzieć: Dlaczego nie? Wiedziała, czego Pete chce. Romansiku. Potwierdzenia, że jego czar wciąż działa. Potrzebował kogoś, żeby ponarzekać na Amelię i nudę małżeńskiego życia. Ona chciała na godzinę zapomnieć o śledztwie, chciała radosnej euforii biegu do jeziora, chciała poczuć jego dotyk, kiedy weźmie ją w ramiona. Chciała kontaktu z drugim człowiekiem, jakiego nie doczekała się Grace.

– Nie – odpowiedziała lekko. – Nie przyszliśmy tutaj się zabawiać. – Bo udawanie, że znów jest blisko z Peterem, wydawało jej się tym samym, czym dla Grace było wykazywanie, że w dolinie żyje więcej wydr niż w całej reszcie kraju. Owszem, to kusilo, ale mijało się z prawdą i w końcu doprowadziłoby ją do obłędu.

Stali, patrząc na jezioro. Nie było wiatru, odgłosów

ruchu drogowego w oddali, ryku samolotów. Od czasu do czasu z wody wyskakiwała srebrzysta ryba i lądowała z pluskiem, a po powierzchni rozchodził się krąg fal, które obmywały trzciny i wylewały się niemal pod ich stopy.

– Grace fałszowała wyniki – wypaliła Rachael.

– Jesteś pewna? Cholera, uchodziła za wybitnego eksperta. Może dostrzegła jakieś wskazówki, które ty i Anne przegapiłyście. Bo wiesz, gdyby jej wyliczenia okazały się prawdziwe, to byłaby bomba.

– Musiałbyś napisać artykuł – odparła.

– No właśnie! – Jej sarkazm zupełnie mu umknął.

– Ale jestem pewna. Całkowicie. I jeśli opublikujesz te dane w ich obecnej formie, ja sama oficjalnie je zakwestionuję.

– Spokojnie. Nie unoś się tak. Tworzymy zespół, no nie? Nie zrobiłbym niczego bez konsultacji z tobą.

Nie odpowiedziała. Przekonała go i nie widziała sensu się z nim kłócić.

Peter mówił dalej.

– Dlaczego to zrobiła?

– Zdaniem Anne po prostu była nienormalna. Inspektorka sądzi, że nakłonił ją do tego ojciec.

– A Edie, święta wyrocznia? Co ona na to?

– Właściwie nie wiem.

– Nie wyraziła swojego zdania? To do niej niepodobne. – Usiadł na trawie i objął kolana jak dzieciak z podstawówki. Uniósł głowę i spojrzał na Rachael. – A jaką ty masz teorię? Jesteś najbardziej spostrzegawczą osobą, jaką znam. Na pewno coś ci chodzi po głowie.

Rachael wzruszyła ramionami.

– Jak dobrze ją znałeś, Peter?

– Wcale.

– Musiałeś ją poznać, zanim zaczęła u ciebie pracować. Przynajmniej przeprowadzić z nią rozmowę. Nie zatrudniasz nikogo w ciemno. Polityka firmy. Coś o tym wiem. Ale Grace nie przyszła do biura, zgadza się? Pamiętałabym to. To miał być mój zespół. Wybrany przeze mnie. Nagle okazało się, że sam wzięłeś specjalistkę od ssaków, a ja musiałam to przełknąć.

– Ale ona była dobra, Rache. Najlepsza. Musiałem ją zgarnąć. Taka okazja, rozumiesz...?

– Gdzie ją znalazłeś?

– W Szkocji. Pracowała dla mojego znajomego. Zobaczyłem ją w terenie i wiedziałem, że to strzał w dziesiątkę. Nie widziałem potrzeby przeprowadzać oficjalnej rozmowy kwalifikacyjnej. Posłuchaj, nie chciałem umniejszać twojej roli.

– Ale ją oceniłeś. Po jednym spotkaniu.

– Jasne, była absolutnie doskonała.

Rachael milczała przez chwilę.

– Powiedz mi, co robiła tam, w Szkocji.

– Pracowała dla Wildlife Trust, drugi rok, a kontrakt podpisała na dwa lata. Miała koordynować pracę ochotników, ale nie bardzo potrafiła wyręczać się innymi i w końcu większość roboty odwaliała sama. Przydzielili im kwatery, ale ona z nich nie korzystała. Była jedyną kobietą. Może właśnie o to chodziło. Najpierw mieszkała w namiocie, później wynajęła sobie pokój na farmie.

– Pojechałeś tam skaptować ją do projektu Black Law?

– Ależ skąd. Wybrałem się na trzydziestkę kumpla. Ona brała udział w imprezie, ale tylko przez chwilę. Raczej nie była duszą towarzystwa. Następnego dnia kolega poprosił ją, żeby wzięła mnie w teren. Zbliżał się koniec jej kontraktu. A my w Black Law potrzebowaliśmy kogoś od ssaków. Logiczne, prawda? – urwał na chwilę. – Wiem, że powinienem cię zapytać o zdanie, ale, jak powiedziałem, była dobra. Idealna. I zainteresowana przeprowadzką bliżej domu. Nie miała żadnych zobowiązań.

– Jak ja swego czasu. Samotna, podatna na czar pana Kempa.

– Nie rozumiem – obruszył się, ale odniosła wrażenie, że uznał to za komplement.

– Leciwała na ciebie? No, przyznaj się. Na pewno potrafiłeś to poznać.

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że jej się podobałeś – upierała się Rachael. – Działasz na większość kobiet. Przynajmniej przez jakiś czas. Dlatego zgodziła się z nami pracować?

– Chyba nie jesteś zazdrosna, Rache, co? – rzucił niby żartem, ale obliczonym na to, żeby ją zranić.

Odwróciła się od niego, jakby rzeczywiście ją to zabolalo, więc złagodził ton.

– Posłuchaj, nikogo nie próbuję podrywać, jeśli o to ci chodzi. Na litość boską, dopiero co się ożeniłem.

– O – prychnęła gniewnie. – Nie oskarżam cię o to. Zresztą jakie to ma znaczenie?

– A więc w czym rzecz?

– Próbuję zrozumieć, kto skorzystałby na jej zawyżonych szacunkach liczby wydr. Tobie by to na pewno nie zaszkodziło. Odkrycie największej ostoi tych ssaków w kraju byłoby cholernie prestiżową sprawą. Co tam artykuł. To by się nadawało na książkę, na film dokumentalny.

– Żartujesz? Płaci mi Godfrey Waugh. A to ostatnia rzecz, jakiej by chciał.

– No to na dodatek zyskałbyś reputację uczciwego faceta. Pan Waugh wydaje się bardzo honorowy. Może dobrze by to przyjął. Peter nieprzekupny.

– Nie taki nieprzekupny, gdyby odkryto oszustwo.

– Wtedy winą obarczono by Grace. Nie ciebie. – Milczała przez moment. – Ja nie twierdzę, że prosiłeś Grace o to, żeby fałszowała dane. Ale może zrobiła to, żeby ci się przypodobać.

– Oszalałaś – niemal krzyknął. – Nie mam aż takiej mocy. Za dużo czasu spędzałaś w górach.

– Tak, niewykluczone. – Usiadła na trawie obok niego; na znak przeprosin. Nigdy nie była fanką teorii spiskowych, ale ciągle nie mogła tego tak całkiem odpuścić. – Więc to nieprawda?

– Nieprawda.

Uwierzyła mu.

– Przepraszam.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Światła szybko ubywało. Wzrok nie sięgał już horyzontu. Wzgórza zmieniły się w czarne plamy. Na niebie wisiał przymglony

księżyc.

– Nie ma sprawy – odparł. – Żyłaś ostatnio w dużym stresie. Ale takie plotki mogą wyrządzić wiele szkody.

– Wiem – przytaknęła i dodała ostrożnie: – Ale byłeś tu tego popołudnia, kiedy Bella popełniła samobójstwo. Prawda?

Nie odpowiedział.

– Peter?

Myślała, że skłamię, ale się opamiętał; zapewne zdał sobie sprawę, że więcej zyska, grając w otwarte karty.

– Tak, byłem tego dnia w okolicy.

– Dlaczego się nie przyznałeś, kiedy cię o to wcześniej spytałam?

– Bo to nie dotyczyło ciebie.

– Oczywiście że dotyczyło mnie.

– Nie, nie tym razem.

– Dlaczego szedłeś pieszo?

– Cały tydzień spędziłem w biurze, siedziałem na tyłku, jadłem lunch z klientami. Potrzebowałem ruchu.

– Aż tyle? Że przyszedłeś pieszo z Langholme?

– Nie z Langholme. Zaparkowałem samochód dalej na drodze i dotarłem do Black Law przez las. Wróciłem szczytem wzgórza.

– Ta inspektorka uważa, że zabójca Grace też tam zaparkował.

– Nie zabiłem Grace. Nie mogłem tego zrobić. Rany, nie pamiętasz? Razem mieliśmy wtedy spotkanie. – Milczała, więc spytał szorstko: – Zadowolona?

– Mów o czym rozmawiałeś z Bellą.

– O interesach, Rache. Bo o to mi teraz chodzi. Nie o ochronę przyrody. O interesy. – Odwrócił się do niej plecami. – Żeby mnie było stać na ładną żonę i ładny dom.

– Nie waż się obwiniać Amelii – krzyknęła.

Spłoszona łyska wypadła spomiędzy trzciny i pofrunęła nad wodą.

– Tak – przyznał cicho. – To nie fair.

Poczuła, że znów uwodzi ją jego smutek. Musiała walczyć ze sobą, żeby nie zacząć go pocieszać, żeby nie powiedzieć, że przy niej wszystkie sprawy się ułożą. Pomyślała: co jest nie tak z nami, kobietami? Dlaczego uwielbiamy się nad kimś litować? Czy właśnie coś takiego czuła Bella do swojego młodszego brata? Mężczyźni robią żalostną minę, a my wkraczamy, żeby wszystko naprawić.

– Muszę wiedzieć, co powiedziałaś Belli. – Starła się, żeby jej głos brzmiał stanowczo. – Muszę wiedzieć, czy to, co powiedziałaś, skłoniło ją do samobójstwa.

– Oczywiście że nie. Za kogo ty mnie uważasz?

– O co chodziło, Peter?

– Powtarzam: o interesy.

– Ktoś cię do niej przysłał?

– Co? – To pytanie go zaszokowało.

– O czyich interesach rozmawiałaś? O swoich? Godfrey'a Waugh'a? A może przyszedłeś w imieniu Neville'a Furnessa? Odwałałeś za niego brudną robotę?

Nie odpowiedział. Dźwignął się z ziemi, podciągnął Rachael na nogi i stanął z nią twarzą w twarz, z dłońmi na jej ramionach.

- Zostaw tę sprawę – poradził. – Bo się pochorujesz.
- Nie.
- Jesteś dobrą koleżanką, ale, do diabła, czasami bierzesz wszystko zbyt poważnie.

Chwytał jej dłoń i ruszył w dół zbocza. Poszła za nim, śmiejąc się wbrew samej sobie. Potem pobiegli, trzymając się za ręce jak Jaś i Małgosia wabieni światłem chatki.

Następnego ranka, po liczeniu ptaków o świcie, Rachael wybrała się na farmę Black Law. Chciała przekazać Verze Stanhope, że ocena wpływu na środowisko zostanie zakończona w tydzień. Ta granica czasowa uspokajała ją trochę. Ostateczny termin dla nich wszystkich.

Zapukała w kuchenne drzwi i weszła. Elektryczny czajnik szumiał. Woda zaczęła wrzeć i się wyłączył. W innej części domu cicho trzasnęły zamykane drzwi. Rachael nie słyszała kroków, ale nagle w progu stanął Neville Furness. Jego sposób chodzenia, cichy, na palcach, skojarzył jej się z dużym kotem. Ona pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia.

– Najmocniej przepraszam – wykrztusiła. – Szukałam inspektor Stanhope. Nie wiedziałam...

– Nie ma jej – odparł. Rachael nie potrafiła stwierdzić, co pomyślał o tym najściu przez obcą kobietę w domu, który teraz należał do niego. – Ani sierżanta. Wcześniej rano wyjechali do Kimmerston. Powinni wrócić lada chwila.

– Przepraszam – powtórzyła. – Wpadnę później. – Cofała się już za drzwi.

– Nie! Proszę – rzucił pospiesznie. – Właśnie chciałem zrobić kawę. Zakładam, że policja musi tu gdzieś trzymać kawę.

– W szafce przy zlewie.

Została, bo ciekawość wzięła górę. Kiedy zwinnie, tryskając kontrolowaną energią, poruszał się po kuchni,

sięgał po kubki, kuczał, by wyjąć mleko z lodówki, próbowała ocenić, w jakim on jest wieku. Po trzydziestce, ale bardzo sprawny fizycznie. Ani śladu siwizny w ciemnych włosach. Miał na sobie dżinsy i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Odwrócił się nagle, żeby zaproponować ciastko, i przyłapał Rachael, że się na niego gapi. Uśmiechnął się, a ona poczuła rumieniec na twarzy, jakby snuła jakieś sprośne fantazje. Ciemny meszek porastał mu grzbiet dłoni, a spod mankietu wystawały mocniejsze, kręcone włosy. Znów się uśmiechnął. Błysnęły niesamowicie białe zęby.

Nie kot, poprawiła się w duchu. Wilk. A ja jestem cholernym Czerwonym Kapturkiem.

– Zapraszam do pokoju. Tam wygodniej.

A ty masz wielkie zębiska, babciu.

– Proszę – znów ją zachęcił. – Nie ugryzę pani.

Poprowadził ją do pokoju z tarasowymi drzwiami wychodzącymi na zarośnięty ogródek, z widokiem na góry. Odnosiła wrażenie, że Neville'a roznosi. Nie mógł spokojnie usiedzieć. Po chwili wstał i podszedł do wielkiego obrazu przedstawiającego maszynę starej kopalni.

– Moja matka to namalowała.

– Wiem, Bella mi mówiła.

– Naprawdę? – zdziwił się, ale chyba zrobiło mu się przyjemnie.

– Bardzo się przyjaźniłyśmy. – Chciała wyraźnie zaznaczyć, po czyjej jest stronie.

– Cieszę się. Na pewno potrzebowała przyjaciół.

Opieka nad moim ojcem to z pewnością niełatwe zadanie. Tyle pracy i żadnego odzewu.

– Był odzew – rzuciła ostro. – I wciąż jest... Dougie rozumie więcej, niż ludziom się wydaje.

– Tak? – mówił uprzejmie, ale z niedowierzaniem.

– Pamięta pan swoją matkę? – spytała, jakby próbowała się odgryźć.

Ale on wydawał się zachwycony, że ma okazję o niej mówić.

– Niezbyt dobrze. Kołysanki śpiewane do snu. Parę zabaw. Uwielbiała się przebierać. I zawiesili mi huśtawkę w stodole. Pamiętam to. Bujałem się, wychylając w słońce i z powrotem w cień. Babcia się denerwowała, bała się, że spadnę, a mama tylko się śmiała. Kiedyś zabrali mnie na przyjęcie u Baikie. Jakoś tak tuż przed Bożym Narodzeniem, było śnieżnie i zimno. To miało być wielkie wyróżnienie, ale jak zobaczyłem Connie, ogromną kobietę, to się przeraziłem. Wtuliłem się w futro jednej z eleganckich pań, żeby się schować. Wszyscy się śmiali. – Podszedł do drzwi tarasowych i wyjrzał na wzgórze. – To niewiele, co?

Owszem. Ale to i tak dużo, biorąc pod uwagę moje wspomnienia związane z ojcem, a raczej ich brak, pomyślała z goryczą i zdecydowała, że tym razem przycisnie Edie. Miała prawo znać własnego ojca, jakkolwiek by był. Nie pozwoli się już zbywać. Załatwi to z Edie, zanim wyniosą się z chaty Baikie. Jak powiedziała Anne, to dobre miejsce, żeby wszystko pozałatwiać. Neutralny teren. Jeszcze jeden ostateczny termin.

– Przepraszam. – Dotarło do niej, że on coś mówił. – Zamyśliłam się.

– Powiedziałem, że tacie pękło serce, kiedy mama umarła. Nic go nie interesowało. To znaczy pracował dalej na farmie, ale podejrzewam, że traktował to jako rodzaj odskoczni. A przynajmniej fizycznie męczył się na tyle, że mógł zasnąć. Ale już mną nie potrafił się zająć. To był za duży wysiłek emocjonalny. Wszystkie uczucia oddał mojej matce. Już wtedy to wiedziałem. Dzieci to wiedzą, prawda? Więc starałem się nie wchodzić mu w drogę.

Wyobraziła sobie małego chłopca, jak przemyka się po domu, kuli w cieniu, nie robi hałasu, i jakoś nie umiała połączyć tego obrazu z energicznym człowiekiem sukcesu.

– Więc przyjechała babcia, żeby się panem opiekować?

– Ivy, tak. – Odwrócił się od okna, żeby na nią spojrzeć. – Bella o tym też pani opowiadała?

– Owszem. O tym, jak pan, Dougie i Ivy mieszkaliście tu we trójkę.

– Stare dobre czasy. Nie tworzyliśmy typowej rodziny, ale ten układ się sprawdzał. Tacie było łatwiej ze mną, kiedy już podrosłem na tyle, żeby pomagać na farmie. Mieliśmy przynajmniej o czym rozmawiać.

– Neutralny teren – skomentowała Rachael, wtórując własnym myślom na temat siebie i Edie.

– Coś w tym rodzaju.

– Dlaczego pan się stąd wyniósł?

– Najpierw ze względu na szkołę. Farma jest za daleko, żeby codziennie dojeżdżać do Kimmerston,

szczególnie zimą, więc miasto prowadzi internat, w którym licealiści mogą mieszkać w ciągu tygodnia. Z początku czułem się samotny, ale pobyt tam chyba nauczył mnie samodzielności. Potem wyjechałem na studia. Zapewne tak samo jak pani. Młodzi ludzie tak robią.

– Nie kusiło pana, żeby wrócić?

– Wtedy nie. Miałem inne ambicje. Może chciałem coś udowodnić. Później, kiedy tata dostał udaru i przejęcie farmy wydawało się naturalną kolejną rzeczą, była tu już Bella i pewnie nie spisałbym się lepiej od niej.

– Czuł pan do niej niechęć, że objęła gospodarstwo?

– Pytanie w stylu Edie, ale Neville raczej się nie pogniewał.

– Może troszeczkę. To naturalne, prawda? Ale ja na pewno nie zaopiekowałbym się nim tak jak ona. Zabrakłoby mi cierpliwości. Jak powiedziałem, nie łączyła nas szczególnie mocna więź. Przez śmierć mamy nie zamierzałem być uczuciowym tatusiem, nawet jeśli taki był z natury. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że wykonuję te wszystkie zabiegi, które Bella wzięła na siebie z marszu... karmienie, mycie, rozumie pani. I nie sądziłem, że tata by tego chciał. Ale teraz... – mówił nieomal do siebie i urwał nagle, jakby przypomniał sobie, że ktoś go słucha.

– Ale nie myśli pan sam prowadzić Black Law? – spytała zdumiona. Całe to spotkanie było dla niej niespodzianką. Postrzegając Neville'a Furnessa jako biznesmena. Bezwzględne, ambitnego. Pracował najpierw w majątku Holme Park, potem dla Slateburn Quarries i w jej pojęciu należał do tych „złych”, którzy niszczą dziką przyrodę. Czarny charakter z kreskówki.

Łatwo było go obwiniać o samobójstwo Belli, nawet podejrzewać o zabójstwo Grace. A mimo to teraz mówił z taką niepewnością o swoim ojcu, z taką miłością o farmie.

Uważaj, dziewczyno, nie daj sobie zamydlić oczu, upomniała się w duchu. Ależ on ma wielkie zębiska. Wilk w owczej skórze.

– Zastanawiałem się, czyby tu nie zamieszkać – przyznał. – Inaczej musiałbym sprzedać tę ziemię, a nie mam serca tego zrobić. Najpierw muszę zobaczyć, czy to się opłaca. Może patrzę na to mało realistycznie.

– A co z kopalnią?

– O, kopalnia powstanie i beze mnie. Albo i nie, zależy od wyników waszej oceny.

– Jak sądzę, odsprzedałby pan dojazd do kopalni przez teren Black Law – powiedziała. – Z tego czerpałby pan większy zysk niż z owiec.

– W tej chwili ze wszystkiego miałbym większy zysk niż z owiec.

– Dogadałby się pan z Godfreyem Waughem? – Nie dawała za wygraną.

– Nie wiem. Wciąż kocham ten dom. A już nie byłby tym samym domem z główną drogą pod kuchennymi drzwiami, z ciężarówkami przejeżdżającymi pod oknem o każdej porze dnia i nocy.

Nie bądź naiwna, pomyślała. Nie daj się nabrać. Oni wszyscy mówią to, co chcesz usłyszeć. Przypomnij sobie Petera Kempa.

– Przychodzi panu do głowy jakiś powód, dlaczego Bella się zabiła? – wypaliła nagle.

– Czuję się za to w pewien sposób odpowiedzialny.
– Tak? – To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała.
– Powinienem zdawać sobie sprawę, że sytuacja zaczyna ją przerastać. Opieka nad tatą, farma. Coś musiało pęknąć. Przynajmniej...

– Przynajmniej co? – rzuciła ostro.

Pokręcił głową. Cień niesmaku na jego twarzy kazał jej dokończyć zdanie za niego.

– Chciał pan powiedzieć, że przynajmniej skierowała tę przemoc przeciwko sobie, nie przeciwko pańskiemu ojcu?

– Tak – przyznał. – Właśnie tak.

– Wiedział pan o jej wyroku?

– Oczywiście.

– Od kiedy?

Więc to ty, stwierdziła. To ty pchnąłeś ją do samobójstwa. Jakimś cudem dowiedziałeś się i nie mogłeś znieść myśli, że zajmuje się twoim ojcem. Ale jego odpowiedź znów ją zaskoczyła.

– Usłyszałem o tym wiele lat temu, jeszcze zanim się pobrali. Zaprosili mnie na podwieczorek. Ten pokój wyglądał dokładnie tak samo. Siedzieliśmy tutaj, piliśmy herbatę i jedliśmy placek orzechowy, i nagle ona powiedziała: „Uważam, że powinieneś wiedzieć. Byłam skazana za zabójstwo”. Całkiem spokojnie, jakby przekazywała jakąś plotkę z targu. Potem przypomniałem sobie tę sprawę. To się działo, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, ale gęsto opisywały to gazety, gadali o tym w szkole. Charlie Noble chodził do tej szkoły zaledwie dwa

lata przede mną. Tacie powiedziała o wszystkim dzień wcześniej, zaproponowała, że wyjedzie natychmiast, jeśli on o to poprosi. Zdecydował oczywiście, że ma zostać, ale nalegał, żeby powiedziała też mnie. Odparłem wtedy, że to ich sprawa, ich życie. Tego ode mnie oczekiwali i ja chciałem takiej samej odpowiedzi, gdybym znalazł się na jej miejscu. Ale niełatwo mi to przyszło. Sądziłem, że po prostu zamierza się ustawić.

– Nie była taka – odpowiedziała Rachael, ale sama nie wiedziała, jak by się czuła, gdyby Edie związała się ze skazańcem.

– Jasne. Przekonałem się o tym później. Ale w tamtym czasie i bez tego miałem problem, żeby ją polubić. Nie była moją matką, a ojciec wyglądał na szczęśliwego. Ja nigdy nie potrafiłem dać mu takiego szczęścia. I chyba się ucieszyłem, że zyskałem pretekst, by ją potępić – uśmiechnął się. – Pogodziłem się z obecnością Belli dopiero, gdy ojciec zachorował. Wtedy zachowanie chłodnych, oficjalnych stosunków wydawało mi się wręcz chamskie. Zacząłem ich odwiedzać, czasami zostawałem na noc.

Więc pokój Neville'a to naprawdę pokój Neville'a, pomyślała Rachael.

– Na pogrzebie powiedziałem pani prawdę. Pod koniec bardzo dobrze się dogadywaliśmy.

– Cieszę się. – Ale wcale się nie cieszyła. Ogarnęła ją zazdrość. Jak Bella mogła się zwierzać Neville'owi Furnessowi, a nie jej? Zresztą, wcale nie była pewna, czy mu wierzy.

Usłyszeli głosy. Wrócili Vera Stanhope i Joe Ashworth. Nawet stąd Rachael wyczuwała ich gniew i frustrację. Trzasnęły drzwi. Vera zaklęła. Najwyraźniej wizyta w Kimmerston nie przebiegła po jej myśli.

– Chcę pani coś dać – rzucił szybko Neville. Spojrzał na drzwi, jakby się spodziewał, że Vera zaraz wpadnie jak tajfun do środka. – Pamiątkę po Belli. Na pewno by sobie tego życzyła.

– Och, no nie wiem...

– Wolno pani wyjeżdżać z chaty?

– Oczywiście.

– Proszę pójść ze mną na kolację. Nie dzisiaj, mam spotkanie. Ale jutro.

– Nie mogę – odparła. – Mój samochód jest w warsztacie.

– Przyjadę po panią. – Podeszedł do drzwi. – Lepiej sprawdzę, czego ode mnie chcą.

W tej chwili Rachael zrozumiała, że Vera wezwała go do Black Law na przesłuchanie. Nie powiedział, że przyjechał tutaj z miłości do domu; tylko to sugerował. Poczuli się oszukana. Zamierzała zapytać policjantów, czy są jakieś informacje o samochodzie, który ją staranował, ale teraz wyszła natychmiast i wróciła do Baikie, do pracy.

Anne plewiła w ogrodzie Priory. W szortach klęczała na poskładanym starym ręczniku. Od czasu do czasu wstawiała, żeby się rozprostować i przesunąć kawałek dalej. Słońce prażyło jej plecy. Chwasty wychodziły z łatwością, mogła otrząsnąć piaszczystą ziemię z krostawców i ostów, zanim wrzuciła je do taczek.

Płaciła człowiekowi ze wsi, żeby przychodził raz w tygodniu podlać i skosić trawę, ale facet nie robił nic więcej, a rośliny jakby czerpały siłę z zaniedbania. Ogród był wybujały, wręcz tropikalny. Kwiaty rozrosły się ponad miarę, a owoce pod siatkami dojrzały i poopadały z krzaków, więc kiedy schylała się nisko przy kwiatowym obrzeżu, oprócz oszałamiających aromatów czuła też zapach rozkładu.

I przez cały czas miała wrażenie, że to plewienie jest tylko zbędnym gestem, bo nie potrafiła sobie wyobrazić, że będzie w Priory za rok. Jeremy zostawiony sam sobie albo pozwoli ogrodu zupełnie zdziczeć, albo zaprosi któregoś ze swoich przyjaciół artystów z Londynu, żeby całość przeprojektować. Pewnie wyrwą wszystkie rośliny i obmyślą coś minimalistycznego i orientalnego, ze żwirem i dziwnymi rzeźbami.

Ten wolny dzień to był pomysł Edie. Anne uznała, że dogaduje się z tą kobietą tak dobrze, bo – choć nie lubiła się do tego przyznawać – reprezentowały to samo pokolenie. Jakimś cudem były bardziej wyluzowane niż młodzi z tymi swoimi zasadami.

Anne zwierzyła się Edie, że na myśl o tym, że ma opuścić chatę Baikie i wrócić do Priory i Jeremy'ego, wpada w panikę. Oczywiście nie przyznała się do związku z Godfreyem, ale Edie sama się domyśliła, że chodzi o romans, z którym coś poszło nie tak.

– Problem w tym, że jeszcze się do tego psychicznie nie przygotowałam – tłumaczyła. – Kiedy tutaj siedzę, zapominam o bożym świecie. Oczywiście musimy znosić wybryki Very, ale to niemal jak część badań. Przecież też chodzi o zbieranie danych i szukanie odpowiedzi, prawda? Teraz jednak, kiedy znamy już datę wyjazdu, nie mogę dłużej odkładać decyzji.

– To zrób sobie wolny dzień i jedź do domu – podsunęła Edie. – Może na wszystko spojrzysz z innej perspektywy.

Anne usłuchała rady i teraz, kiedy kucąca w słońcu, rozplątywała przytulnię i orliki, starała się rozwikłać o wiele bardziej poplątaną sprawę: odpowiedzieć sobie na pytanie, jak spędzić resztę życia.

– Musisz ustalić, czego naprawdę chcesz – powiedziała jej Edie.

Łatwo się mówi. Anne doskonale wiedziała, że tak naprawdę chce Godfreya Waugha, a wciąż nie była pewna, czy to nie on jest zabójcą.

Jeremy zjawił się w domu w porze lunchu. Miał jakieś udziały w sklepie z antykami w Morpeth i pojechał tam – jak twierdził – sprawdzić, czy kierowniczka dobrze wyceniła nowy towar. Młoda i ładna kierowniczka.

– Roland w ogóle się na tym nie zna – ciągnął

Jeremy. Stał na kamiennym chodniczku, bardzo wytworny w koszuli od Ralphi Laurena i marynarce St Laurenta, lekko spocony. Musiał krzyczeć, bo w życiu nie zapuściłby się w trawę, żeby nie zabłócić sobie butów.

Anne nie zamierzała przerywać plewienia i podchodzić do męża. Rytm schylania się i wyrywania, widok oczyszczonej ziemi jakimś cudem dodawał jej pewności siebie.

– To znaczy jest handlowcem pierwszej klasy – wydierał się dalej Jeremy. – To trzeba mu przyznać. Ale nie ma pojęcia o tej epoce.

Ciekawe, o jakiej epoce, pomyślała Anne, ale nie była na tyle głupia, żeby spytać. Jeremy uwielbiał robić wykłady.

– Nie zgadniesz. – Podekscytowany wymachiwał rękami. Wyglądał jak parodia samego siebie. – Zostaliśmy zaproszeni na imprezę do Hall.

To ją zatrzymało. Wyprostowała się. Czuła, jak mięśnie barków rozciągają się i jak mrowią łydki przypieczone przez słońce.

– Na jaką imprezę?

– Och, nic oficjalnego. Ani wyjątkowo eleganckiego. Przypuszczam, że zejdą się wszyscy, z psami oczywiście. Jakaś feta z okazji urodzin najmłodszego bachora. Ale Livvy Fulwell specjalnie pofatygowała się tu z zaproszeniem.

– Ale z ciebie snob, Jeremy – skarciła go łagodnie.

– Nic na to nie poradzę, skarbie. Przerwiesz to wreszcie i przyjdiesz na lunch?

– Jeśli chcesz.

– Nie mogę się doczekać, aż skończysz te nudne badania w górach. Będzie cudownie, kiedy wszystko wreszcie wróci do normy, prawda?

Uchwyciła w jego tonie nutę niepokoju i stwierdziła, że on chyba też panikuje. Nie cierpiał zmian i zamieszania. Jest miły, zabawny i pewnie bym za nim tęskniła, rozważała w duchu. Ale to za mało, żeby zostać.

– A co zjemy? – W tej chwili nie potrafiła się zdobyć na konfrontację, choćby dotyczącą lunchowego menu. To jej wolny dzień.

– Boże! – zawołał z rozpaczą. – Nie pomyślałem. Mogłem kupić coś po drodze.

– Chodźmy do pubu – odparła i uśmiechnęła się, kiedy Jeremy się skrzywił. Nie gustował w domowym puddingu czy kielbasie z frytkami. I nie czuł się swobodnie wśród popołudniowych pijaczków.

– Boże – powtórzył. – No dobrze. Skoro musimy. Ale robię to tylko dla ciebie.

W domu poszedł za Anne na piętro; czekał w jej pokoju i krzyczał do niej, kiedy stała pod prysznicem. Pewnie tak czuje się ktoś, pomyślała, kto ma niesamodzielne dziecko, które wszędzie za nim łązi. Przez szum wody słyszała słowa na wyrywki. Z początku wydawało się jej, że Jeremy znów mówi o przyjęciu u Fulwellów. Był zachwycony, że zaproszono go do Hall. Dotarło do niej:

– Chyba musimy kupić prezent.

Ale kiedy wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem,

zrozumiała, że później perorował o czymś zupełnie innym.

– Zadzwonisz do niej, co? Ja nie mogę jej tak cały czas zbywać.

– Do kogo mam zadzwonić?

– Do tej kobiety, która próbuje się z tobą skontaktować. Przecież mówiłem.

Anne przy toalecie wycierała włosy. Zrobiły się łamliwe od słońca, przydałoby się ufarbować odrosty.

– Nie słyszałam.

– Rany, cudownie tak gadać do siebie – mruknął.

Siedział na łóżku za jej plecami. Widziała jego odbicie w lustrze toaletki; był urażony, ale starał się tego za bardzo nie okazywać.

– Przepraszam. Możesz powtórzyć?

– Kilka razy dzwoniła do ciebie jakaś kobieta. Zakładała, że ci przekażę wiadomość. Nie zamierzałem jej tłumaczyć, że ostatnio prawie cię nie widuję.

– Przepraszam – powiedziała raz jeszcze, żeby zachować pokojowe stosunki. Pomyślała: jakim prawem wzbudza we mnie poczucie winy? Sam zwykle siedzi w Londynie. Ale że wciąż wydawał się nadąsany, spytała: – Jak się nazywa?

– Barbara jakaś tam. Twierdziła, że znasz jej numer.

– Waugh? Barbara Waugh?

– Właśnie.

– O co jej chodziło?

– Nie chciała mi powiedzieć. Uznałem, że to jakieś babskie sprawy. Zadzwonisz do niej, zanim wrócisz do tej swojej górskiej chałupy?

- Zadzwoń, ale najpierw zjemy.
- Znów zrobił krzywą minę.
- No to chodź. Miejmy to z głowy.

Kusiło ją, żeby zabrać go do baru, gdzie Lance, młody mechanik z warsztatu, usmarowanymi olejem rękami jada kanapki z gotowaną szynką i grochowym puddingiem; gdzie szafa grająca z muzyką rockową przekrzykuje się ze Sky TV. Ale zaprowadziła go do pubu. W sali było tylko dwóch klientów przy stoliku w kącie. Z początku byli tak pogrążeni w rozmowie, że nie zauważyli Anne i Jeremy'ego. Jednak ona dostrzegła ich natychmiast. Godfrey Waugh i Neville Furness. Godfrey siedział plecami do niej, ale od razu rozpoznała tę szarą tweedową marynarkę, którą wkładał, kiedy usiłował wyglądać „swobodnie”, i przerzedzone włosy. Przy jego łokciu stała nietknięta szklanka soku pomarańczowego. Neville pił piwo i kiedy wyprostował się, żeby wziąć szklankę, zobaczył Anne.

Musiał coś powiedzieć Godfreyowi, bo ten, choć się nie obejrzał, szybko wypił sok i wstał, zbierając się do wyjścia. Anne była ciekawa, co tutaj robią. Kolejna debata przed spotkaniem z przeciwnikami kopalni, kolejne ustępstwo, kolejna łapówka? Neville skinął jej głową, kiedy ją mijał, ale Godfrey, ze wzrokiem wbitym przed siebie, nie raczył spojrzeć jej w oczy.

Jeremy marudził nad menu i nijak nie okazał, że zauważył tamtych dwóch.

- Zamów mi gin z tonikiem. Idę do toalety.

Dopadła Godfrey'a na parking. Stał z kluczykami w

dłoni przy swoim białym bmw. Może chciał, żeby go dogoniła, guzdrał się celowo, bo Neville już odjeżdżał – zerknął w boczne lustro, zanim wyjechał na ulicę. Musiał nas widzieć, pomyślała.

– Nie zniosę tego – wycedziła. – Co mam robić?

– Nic.

– Więc między nami koniec?

– Nie – odparł. – Nie. Zaufaj mi. Jeszcze trochę.

– Kiedy się zobaczymy?

– Niedługo. – Dotknął jej twarzy, pogłaskał ją od czoła, przez policzek, aż do podbródka. Czuła szorstką skórę na opuszkach jego palców. – Poczekasz?

– Nie dajesz wielkiego wyboru, do cholery. – Żeby zachować choć cień dumy, odwróciła się pierwsza i wyraźnie wściekła pomaszzerowała do pubu.

Gin stał na barze; lód zaczynał już topnieć w szklance.

– Wszystko w porządku? – zagadnął Jeremy.

Pewnie zrobiła się blada. Czuła się słaba, roztrzęsiona.

– Tak, po prostu trochę za dużo słońca.

Kiedy kilka ginów później wrócili do Priory, Jeremy zmusił ją, żeby zadzwoniła do Barbary Waugh. Nie miała siły się opierać. Teraz przynajmniej wiem, że Godfrey jest poza domem, pomyślała. Telefon odebrała córka. Anne przez moment była zbita z tropu. Nigdy nie potrafiła rozmawiać z dziećmi.

– Mogę prosić twoją mamę? – Zdała sobie sprawę, że jej głos brzmi szorstko, niegrzecznie.

– A kto dzwoni? – spytała dziewczynka tak, jakby brała lekcje wymowy.

Barbara odebrała zadyszana. Może bała się, że Anne się rozłączy, zanim zdążą pogadać.

– Byłam w ogrodzie. Taki piękny dzień. Bardzo przepraszam, że niepokoiłam twojego męża telefonami. Pewnie wziął mnie za jakąś wariatkę.

– Ależ skąd.

– Chciałabym się z tobą spotkać. – Głos lekko jej się załamał, znów zaczęła się kajać. – Przepraszam, ale nie wiem, do kogo się zwrócić.

– Dobra, dlaczego nie? – Gin dodał Anne odwagi.

– W czwartek? Możesz tutaj przyjechać? Albo, jeśli tobie to nie na rękę, ja przyjadę do ciebie.

I to mówi Barbara, która nigdy nie wychodzi z domu. Musi być zdesperowana, uznała Anne.

– W czwartek mi pasuje. Ja wpadnę. W życiu nie trafiłabyś do chaty Baikie. Po południu?

– Och, tak. – Oczywiście ulga. – Poznasz Felicity. Zapraszam więc na podwieczorek.

Przynajmniej zjem domowe ciasto, stwierdziła Anne.

Kiedy wróciła tego wieczoru do Baikie, działanie ginu zaczynało już słabnąć. Żałowała, że umówiła się z Barbarą. W ogóle nie powinna dać się Jeremy'emu namówić na telefon do niej. Spotkanie z Godfreyem wypadło fatalnie, ale wyglądało na to, że ułożył jakiś plan. Może podwieczorek z Barbarą wszystko zepsuje? Co powie Godfrey, jak się o tym dowie? I ciągle jeszcze nie zdecydowała, co zrobić, kiedy skończą badania.

Te myśli, poszarpane i nieuformowane, wirowały w jej głowie, jakby miała gorączkę. Za dużo czasu spędziła na słońcu, była niespokojna, w bojowym nastroju. Rachael siedziała w saloniku, pracowała przy stole. Raporty poukładała na schludne, symetryczne kupki.

– No więc? – zagadnęła Anne zaczepnie. – Poinformowałaś Stanhope, że ustaliłyśmy termin? Zostajemy do weekendu i ani dnia dłużej.

Rachael spojrzała na nią, wyraźnie wyrwana z jakichś rozmyślań.

– Nie mogłam.

– Obiecałaś, że już tym razem nie wymiękniesz. Że postawisz ultimatum. Obiecałaś, że nie dasz się zastraszyć.
– Anne rzuciła torbę na kanapę i wzbija małą chmurkę kurzu.

– I się nie dałam. W ogóle nie miałam jak z nią porozmawiać. W domu zastałam Neville'a Furnessa.

– Czego chciał?

– Chyba niczego. Zdaje się, że pani inspektor go

wezwała, żeby odpowiedział na parę pytań.

– Dotyczących?

– A skąd mogę wiedzieć, na litość boską?

– Widocznie go podejrzewa.

– Niewykluczone. Ale po południu znowu zniknęła, a Joe Ashworth nie chciał mi nic powiedzieć.

– Widziałam Neville'a w pubie w Langholme. Jadł lunch z Godfreyem Waughem. Zapewne zdawał raport swojemu panu i władcy.

– Naprawdę? – Rachael zauważyła, że Anne jest dziwnie czerwona i nerwowa. Nie bardzo wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Kiedyś ucieszyłby ją taki dowód perfidii Furnessa. Teraz czuła się skołowana. Nie podobała jej się sugestia, że Neville słucha rozkazów Waugha. Nagle wyobraziła go sobie w górach, jak z psem zagania owce i ten obrazek wydał jej się o wiele przyjemniejszy. – Może zrezygnuje z pracy dla Slateburn Quarries.

– No co ty?

– Wspominał coś o powrocie do Black Law, żeby prowadzić farmę.

– I naprawdę złoży wypowiedzenie?

– Nie sądzę.

– A ja idę o zakład, że się nie wycofa. Chyba nie dałaś się na to nabrać? – Anne chodziła w tę i z powrotem po pokoju, niemal krzyczała. – To jego dar. Mówi ludziom to, co chcą usłyszeć, i zdobywa ich zaufanie.

– Skąd to wiesz?

Anne zatrzymała się na chwilę.

– Bo znam osoby, które uległy urokowi Neville'a

Furnessa. Myślisz, że Vera ściągnęłaby go tutaj, gdyby nie był zamieszany w zabójstwo?

Patrzyły sobie w oczy. Rachael poczuła się zażenowana tym swoim nagłym impulsem, żeby bronić Furnessa. W ogrodzie rozśpiewał się ptak. Na górze zaszumiała woda spuszczonego sedesie. Usłyszały kroki Edie w łazience, fałszujące podśpiewywanie.

– Zaprosił mnie na kolację – dodała Rachael, rumieniąc się.

– Chyba się nie zgodziłaś!

Nie odpowiedziała.

– Przecież obwiniasz go o samobójstwo Belli! – wykrzyknęła Anne.

– Wiem.

– No więc? Oszalałaś?

– Może się myliłam, że wywierał presję na Bellę. I jemu, i Dougiemu powiedziała o swoim wyroku dawno temu, jeszcze przed ślubem.

– A może się oszukujesz.

– Nie. Dlaczego Neville wyciągałby tę informację po tylu latach?

– Z powodu kopalni? Bo chce położyć łapę na farmie? Tak czy inaczej masz tylko jego słowo na to, że Bella się przyznała. Dougie raczej niczemu nie zaprzeczy. Skąd pewność, że Neville nie kłamie? – Anne podeszła do stołu i oparła się o blat, przysuwając twarz do twarzy Rachael.

Rachael się odwróciła.

– Uwierzyłam mu. Nie chciałam, ale uwierzyłam.

Głos Anne drżał, z takim wysiłkiem starała się

zachować spokój.

– Posłuchaj, zastanawiasz się nad randką z facetem podejrzanym o zabójstwo.

– To nie tak. To nie żadna randka. Pójdę tylko pogadać, dokończyć rozmowę z dzisiejszego ranka.

– Powiedziałaś o tym Edie? Domyślam się, że wybije ci to z głowy. Vera pewnie też.

– Co Vera pewnie też? – Głos grzmiący jak syrena przeciwmgielna kazał im się odwrócić. Policjantka poruszała się jeszcze ciszej niż zazwyczaj albo były zbyt pochłonięte dyskusją, bo nie zauważyły, jak pojawiła się nagle w drzwiach tarasowych niczym jakaś postać z komedii kryminalnej. Jej potężna sylwetka zasłoniła resztki światła. Rachael zastanawiała się, jak długo inspektorka tu już stoi, ile innych rozmów w tym domu zostało podsłuchanych.

– No więc? – rzuciła Vera żywo. Wyglądała na zmęczoną, ale o wiele weselszą. – Czyżby ktoś wzywał moje imię nadaremno? – Otworzyła drzwi na całą szerokość, ale pozostała na zewnątrz, oparta o futrynę. Miała na sobie jedną z tych bezkształtnych, kwiecistych kiecek i polar w kolorze butelkowej zieleni. Polar był zasunięty pod szyję, sukienka porozciągana na kolanach.

– Neville Furness zaprosił Rachael na kolację – odparła Anne. Liczyła na wsparcie ze strony policjantki. – I ona się zgodziła. Jutro wieczorem. Pomyślałam, że pani wybije jej to z głowy.

Stanhope wzruszyła ramionami.

– To raczej nie moja sprawa.

– Ale on jest najprawdopodobniej zamieszany w to zabójstwo.

– Nieładnie... Nie wolno wygadywać takich rzeczy. To spekulacje. Pomagał nam w śledztwie, nic poza tym. Nie ma mowy o żadnych zarzutach. Może się spotykać, z kim chce. – Vera wskazała Rachael. – I ona też. Jest poczytalną, dorosłą osobą.

– Celowo naraża ją pani na niebezpieczeństwo.

– Niechże się pani nie wygłupia. Na cokolwiek się narazi, to z własnej inicjatywy. I chyba nie grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, skoro wiadomo, dokąd i z kim idzie. To, że pani nie lubi faceta...

Rachael słuchała toczącego się sporu. Znów odnosiła wrażenie, że odgrywa jakąś rolę w sztuce reżyserowanej przez innych. Verę wyraźnie cieszył taki rozwój wypadków.

Właśnie tego chciała, pomyślała Rachael. Neville jest krukiem, ja przynętą. A Anne na pewno nie patrzy na sytuację obiektywnie; za bardzo się wścieka. Może młody Furness był jednym z jej kochanków. Wolała się nad tym nie zastanawiać, więc wtrąciła się w rozmowę.

– Tak czy inaczej, już się zgodziłam.

– I dobrze – odparła rozradowana Vera. – Stać go, żeby postawić pani dobrą kolację.

– Ugotuje coś w domu.

– Doprawdy? – Vera teatralnie puściła do niej oko. Odlepiła się od futryny, weszła do pokoju i zamknęła drzwi. – Chyba powinniśmy pogadać.

– O czym?

– O naszym spotkaniu. Sama rozmawiałam dzisiaj z

panem Furnessem, jednak niewiele mi zdradził. Był dość miły, ale bardzo ostrożny. Proszę wybadać, czy wie cokolwiek o Edmundzie. Prawdopodobnie wciąż utrzymuje kontakt z Fulwellami, mogli mu coś napomknąć.

– Dlaczego mam odwalać za panią brudną robotę?

– Nie za mnie – odgryzła się Vera. – Za siebie. To pani zaczęła się bawić w detektywa.

– Wyjeżdżamy. – Rachael czuła się jak zbuntowane dziecko. – W przyszły weekend. Najpóźniej. Do końca tygodnia skończymy pracę.

– Tak? Mam nadzieję, że my też. – I wyszła niemal bezgłośnie tą samą drogą, którą weszła.

Anne poszła spać. Rachael stała w ogrodzie. Wiedziała, że nie zaśnie, jakby udzielił się jej ten gorączkowy nastrój.

Pod stopami czuła wilgotną trawę. Nad płaskim kawałkiem terenu przy strumieniu wisiało jezioro mgły, ale niebo było czyste. Usłyszała jakiś odgłos za sobą i odwróciła się przestraszona.

– Chryste, Edie, nie podkradaj się tak do mnie.

– Nie powinnaś tu być sama.

– Już trochę za późno na tę nadopiekuńczość.

– Może. – Edie miała na sobie kremową wełnianą tunikę, ten ciuch służył jej za szlafrok, odkąd Rachael sięgała pamięcią. Z gęstą mgłą w tle wyglądała jak postać z niskobudżetowego horroru: jakaś kapłanka, która za chwilę złoży rytualną ofiarę. Stała u boku Rachael. – Słyszałam, że postawiłyście Verze ultimatum.

Chryste, czy wszyscy w tym domu podsłuchują, jęknęła w duchu Rachael.

– Pomyślałam, że powinna znać nasze plany. Do końca tygodnia skończymy pracę. Nie będzie po co tu siedzieć.

– Ciekawe, czy oni skończą do tej pory. Mam na myśli śledztwo.

– Pani inspektor tak uważa.

– Po prostu chce, żebyśmy tak sądziły.

– Ale ty tak nie sądzisz? – spytała Rachael. – Nie zniósłabym świadomości, że zabójca nie został złapany.

– Dlaczego? Czy zemsta jest aż tak ważna? – Głos Edie brzmiał obojętnie. Jakby prowadziła jakieś naukowe dywagacje.

– Nie. Nie chodzi o zemstę. Ale nie wiedzieć... Ty nie czujesz tego samego?

– Ja nie znałam Grace. To zupełnie co innego. – Przez chwilę milczały, aż Edie się odezwała: – W pewnym sensie będzie mi żal stąd wyjeżdżać.

– Zanim wyjedziemy... – Rachael urwała gwałtownie.

– Tak?

– Muszę wiedzieć, jaki był mój ojciec.

– Kolejne ultimatum?

– Jeśli chcesz to tak nazwać. Ale nie. Stanowcza prośba. Opowiedz mi o nim.

Spodziewała się odmowy jak zwykle, oklepanych wykrętów. Jakie znaczenie ma parę genów? Czy naprawdę potrzebujesz ojca, żeby zyskać tożsamość? Po co dawać się wciągać w patriarchalny spisek?

– To naprawdę ważne? – zapytała łagodnie Edie. Kolejne pytanie w służbie jej badań postaw moralnych.

– Ważna jest niewiedza. Właśnie o to mi chodzi z Grace. I to staje między tobą a mną.

– Nie zdawałam sobie sprawy – odparła Edie. – Byłam głupia. Najwyraźniej.

– Robiłaś to, co uważałaś za najlepsze.

– Nie. Robiłam to, co wydawało mi się najłatwiejsze.

– Przerwała na moment. – Rozczarujesz się. To żaden wielki dramat. Ostatnio właśnie to mnie powstrzymywało, żeby ci o tym powiedzieć.

– Mimo to powiedz.

– Zbierałam się do tego. Chyba od czasu, kiedy dowiedziałam się o Belli. Zastanawiałam się, czy wyobrażasz sobie, że twój ojciec jest mordercą.

– A jest?

– O ile wiem, to nie – uśmiechnęła się, objęła ramiona córki. Tym razem jednak Rachael się nie odsunęła. Wolała nie okazywać wrogości; teraz, kiedy Edie była gotowa iść na ustępstwa. – Jeśli mamy rozmawiać, to wejdźmy do domu, co? – zasugerowała matka. – Robi się zimno.

Może sprawiło to słowo „rozmawiać”, któremu Edie nadała tak specjalne znaczenie? A może to, że ją objęła? Tak czy inaczej, Rachael nagle straciła odwagę.

– Nie musisz mi mówić w tej chwili. Wystarczy, że przed wyjazdem...

Edie odsunęła się od córki, spojrzała na nią.

– Pomyślałam, że chyba byłoby łatwiej, gdybym to

napisała – powiedziała. – W ten sposób uporządkuję fakty, a tobie zostanie coś namacalnego.

– Tak – odparła Rachael z wdzięcznością. Dziś nie udźwignęłaby tego ładunku emocjonalnego. – Tak, to mi odpowiada.

Weszły razem do chaty. Edie zamknęła za nimi tarasowe drzwi i przekręciła zamek. Zatrzymała się w połowie schodów.

– Jutro musisz mi opowiedzieć wszystko o Neville’u Furnessie – rzuciła. – Chcę wiedzieć, jaki on jest.

Neville Furness przyjechał do Riverside Terrace w Kimmerston i Edie „wyprawiła Rachael” na randkę. Taki scenariusz ustaliły razem z Verą – niemal całe popołudnie knuły w domu na farmie.

Neville zjawił się bardzo punktualnie. Otworzyła mu Edie. Rachael była zdenerwowana przygotowaniami i jeszcze bardziej skołowana niż poprzedniego dnia. Nie potrafiła zdecydować, czy chce spodobać się temu mężczyźnie, czy go odstraszyć? Ostatecznie wybrała bawełniane spodnie i luźną jedwabną bluzkę. Wyszczotkowała włosy, a z pokoju matki podkrađła tusz i kredkę do oczu. Edie zaprosiła Neville’a do środka. Stali w korytarzu, prowadząc grzeczną pogawędkę, dopóki Rachael nie zbiegła po schodach. Scenka, którą zobaczyła z góry, wydała jej się bardzo staroświecka. Edie była ubrana w jedną ze swoich długich sukienek z obniżoną talią, a Neville – w czarnych dżinsach i białej koszuli bez kołnierzyka, z gęstą brodą – przypominał postać z Thomasa Hardy’ego. Brakowało, żeby trzymał kapelusz pod pachą. I przywitał Rachael odpowiednio oficjalnie – skłonił się lekko, wyciągając rękę.

– Odstawię ją bezpiecznie do domu, pani Lambert – zapewnił. – To dla pani na pewno stresujący czas.

– Panno Lambert – poprawiła go automatycznie, ale uśmiechnęła się niczym zadowolona wiktoriańska mamusia i wyszła za nimi na schodki, żeby pomachać na pożegnanie.

Rachael nie umiała poznać, czy to przyjazne nastawienie jest tylko grą. Edie nie zwierzyła jej się z wyników narady z Verą, a Rachael odmówiła udziału w tej debacie. Przejęta słowami matki, która zażądała wszelkich informacji o Neville'u, unikała poważnej rozmowy, nawet kiedy jechały razem do Kimmerston. Żadna nie wspomniała też więcej na temat rozmowy o ojcu.

Dom Neville'a ją zaskoczył – skromny budynek w szeregowcu niedaleko przytułku, gdzie mieszkała Nancy Deakin. Domy miały od frontu ogródki, wąski deptak oddzielał ciąg zabudowań od drugiego. Na deptaku bawiły się dzieci, na progach siedziały kobiety – pilnowały swoich pociech i wykrzykiwały coś do siebie. Wszędzie walały się wózki dla lalek i rolki.

Na tyłach rzędu domów znajdował się zaułek ze śmietnikami; Neville zaparkował w tej uliczce. Przeszli przez furtkę w wysokim ceglany murze, za którym znajdował się ogród i kuchenne wejście do domu. Pobielone ściany, skrzynki z kwiatami, żeliwny stolik i krzesła.

W środku było schludnie i Rachael wyczuwała, że nie tylko dziś. Mieszkanie nie zostało specjalnie przygotowane na jej wizytę. Proste umeblowanie, niemal jak w okrętowej kajucie, mnóstwo wbudowanych drewnianych schowków i szuflad.

– Czego się napijesz? – spytał Neville. On też chyba się denerwował.

– Białego wina.

Stół w salonie został nakryty dla dwojga. Stały na nim

świece, leżały czerwone serwetki.

– Może wolałabyś pójść do restauracji?

– Nie, oczywiście że nie.

– Pomyślałem, że w domu będzie nam łatwiej rozmawiać.

To przypomniało jej Edie; powstrzymała się, żeby nie zachichotać; poczuła się nieokrzesana, niezręczna.

Neville wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił z tekturowym pudełeczkiem od jubilera, wyłożonym wata.

– Szukałem jakiejś pamiątki po Belli. Uznałem, że to ci się może spodobać. – Wyjął srebrny medalionik na łańcuszku, zupełnie niezwykły, w kształcie dawnej trypensówki, z grawerunkiem maleńkich kwiatów i liści. – Nie jest szczególnie cenny. Prawdopodobnie wiktoriański. Mówiła, że należał do jej babci. – Otworzył go i odsłonił sepiowe zdjęcie kobiety o twarzy osła, z ciemnymi zaczesanymi do tyłu włosami. – Cóż, ktoś musiał ją kochać – powiedział.

– Pamiętam, że Bella to nosiła.

– Przyjmiesz go? – Założył jej łańcuszek na szyję; kiedy go zapinał, poczuła na karku muśnięcie puchu porastającego grzbiet jego dłoni.

– Czego chciała od ciebie Vera? – wypaliła nagle.

– Vera?

– Inspektor Stanhope.

– Zadawała pytania. Sugerowała, że zabójstwo ma coś wspólnego z budową kopalni.

– A ma?

– Oczywiście że nie. – W pierwszej chwili wydawał się

rozbawiony tym pomysłem, ale nagle spowaźniał, jakby zorientował się, że taka reakcja jest nie na miejscu. Tak jak ona był zażenowany, wystraszony, że trafi w niewłaściwą nutę. – To wręcz komplikuje sprawę z punktu widzenia firmy. Zależy nam, żeby ludzie opowiedzieli się po naszej stronie. Wszelkie plotki, które wiązałyby nas ze śmiercią młodej ekolożki, poważnie by nam zaszkodziły.

– Więc to ciągle „nasza strona”?

– Nadal pracuję dla tej firmy.

– Ja też, pośrednio. Zejdzie mi jeszcze parę miesięcy. Badania terenowe już prawie skończone, ale trzeba jeszcze napisać raport. To zajmie mi trochę czasu, przy tym jednak nie muszę siedzieć w Black Law.

– Jak to jest pracować dla Petera Kempa?

– Interesująco. – Tak brzmiała jej standardowa odpowiedź na to pytanie.

– I zamierzasz dalej to ciągnąć?

Uśmiechnęła się.

– Proponujesz mi pracę? – palnęła ot tak, ale natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy nie tkwi w tym trochę prawdy. Może Godfrey nasłał Neville’a, żeby ten ją przekupił jakąś mało istotną posadką w Slateburn Quarries: konsultant do spraw ochrony środowiska za trzydzieści pięć kawałków i służbowy samochód. Chociaż, nawet gdyby się zgodziła, co by tym osiągnęli? Tak czy inaczej raport miał wykazać, że kopalnia nie wyrządzi znaczących szkód w przyrodzie.

Neville pokręcił głową.

– Jeśli moje plany się powiodą, nie będę mógł nikomu

zapropnować pracy. Dopisze mi szczęście, jeśli sam zarobię na życie.

– Ostatnio myślałam o tym, że przydałaby mi się w życiu zmiana – odparła. – Może spróbuję się załapać do jakiejś organizacji społecznej, do którejś z fundacji ochrony przyrody. Pensje nie są tam dobre...

– ...ale przynajmniej nie będziesz musiała się zadawać z bezdusznymi biznesmenami.

– Coś w tym rodzaju.

Rozmowa się urwała. Neville zapalił świece, zaprosił ją do stołu. Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie uprzedziła go, że jest wegetarianką. Uznała, że lepiej wmusić w siebie martwe zwierzę, niż robić zamieszanie na tym etapie. Chyba że ją zemdli? Wtedy to już koniec.

– Przykro mi.

Neville, w grubych, kuchennych rękawicach, niósł naczynie żaroodporne.

– Strasznie mi głupio. Powinam ci wcześniej powiedzieć. Nie jadam mięsa.

– A ja mało. Risotto z grzybami. Może być?

Cholera, zakłęła w duchu. Niepotrzebnie otwierałam gębę. Nalał jej kolejny kieliszek wina.

– Więc jak to jest pracować dla Godfrey'a Waugh'a? – spytała już odrobinę zdesperowana.

– Interesująco.

Uśmiechnęła się grzecznie.

– Nie, naprawdę chciałabym wiedzieć. Władza zawsze intryguje, prawda?

Na chwilę zapadła cisza. Neville znieruchomiał z

widelcem w połowie drogi między talerzem a ustami.

– Może powinnaś o to spytać koleżankę.

– Którą koleżankę?

– Panią Preece.

Spojrzała na niego zdumiona. Wytarł usta serwetką i jadł dalej. Rachael nie potrafiła ocenić, czy popełnił tę niedyskrecję niechcący, ot, po prostu mu się wymknęło, czy też zrobił to celowo, w ramach jakiegoś ostrzeżenia. Później zastanawiała się nawet, czy tak naprawdę nie dlatego zaprosił ją na kolację. Nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu zadała żalosne pytanie:

– Długo tu mieszkasz?

Prawdopodobnie wyczuł w jej słowach krytykę domu albo okolicy, bo zaczął się tłumaczyć.

– Od kiedy odszedłem z Holme Park. Organizowałem sobie lokum w pośpiechu. Ale ten dom zupełnie mi wystarcza, zresztą nie spędzam tu dużo czasu.

– A gdzie mieszkałeś, jak byłeś u Fulwellów?

– Dali mi do dyspozycji jeden z tych bliźniaków na końcu alei. Dlatego musiałem się wyprowadzić tak szybko, kiedy zrezygnowałem.

– Dlaczego odszedłeś?

Milczał przez chwilę, szukając odpowiednich słów.

– Tam nigdy nie pracowało się najlepiej. Wydaje mi się, że nie mam odpowiedniego temperamentu do takiego feudalnego życia.

– To znaczy?

Tylko pokręcił głową.

– A spotkałeś Edmunda, ojca Grace?

– Nie w Holme Park. Wtedy rodzina zerwała z nim już wszelki kontakt. Jakby chcieli udawać, że w ogóle nie istniał. Ale wcześniej, kiedy wychowywałem się w Black Law, widywałem go czasem. Dorośli straszili nim nas, dzieciaki. Powtarzali: „Jeśli nie będziesz grzeczny, skończysz jak Edmund Fulwell”. Ale nikt tak naprawdę nie mówił, co z nim nie tak.

– Więc nie wiesz, gdzie się teraz podziewa? – Wzięła głęboki oddech. – Wybacz, Vera Stanhope kazała mi cię o to zapytać. – Wino najwyraźniej uderzyło już Rachael do głowy, bo nerwowy chichot, który tłumiała przez cały wieczór, wreszcie wyrwał się z jej gardła. – Marny ze mnie detektyw, co?

– Czy ona myśli, że Edmund zabił własną córkę?

– Nie mam pojęcia, co ona myśli.

Zebrał talerze i zaniósł do kuchni. Odeszli od stołu. Rachael usiadła na sofie z Ikei. Neville otworzył drugą butelkę wina. Kiedy oboje zaczęli mówić równocześnie, skinęła ręką, oddając mu pierwszeństwo.

– Przepraszam za ten wieczór – powiedział. – Nie jestem dobry w takich sprawach. Za dużo pracy. Wyszedłem z wprawy.

– Daj spokój – odparła. – Bardzo przyjemnie spędziłam czas. – I stwierdziła, że to prawda.

Odprowadził ją do domu. Za dużo wypił, żeby prowadzić samochód. Nie było późno. Kiedy wypuszczał ją z drzwi wejściowych do małego ogródka, dwóch chłopców ganiało jeszcze za piłką na deptaku między domami, korzystając z resztek dziennego światła. Przez

niezasłonięte okna Rachael widziała migającą poświatę od telewizorów, dzieciaki pochylone nad pracą domową. Neville wydawał się zbyt dużym samotnikiem jak na tę rodzinną komunę.

– Kiedy podejmiesz decyzję, czy wracać do Black Law? – zagadnęła.

– Niedługo. Muszę jeszcze uporządkować parę rzeczy.

– Godfrey Waugh wie, co planujesz?

– Nie, rozmawiałem o tym tylko z tobą.

Przy Riverside Terrace zwolnili kroku. Rachael zastanawiała się, czy matka wypatruje jej z okna na piętrze. Jeśli tak, byłoby to dla niej zupełnie nowe doświadczenie. Edie, która proponowała wizytę w przychodni planowania rodziny, kiedy tylko córka skończyła piętnaście lat, która nie miałaby nic przeciwko chłopakom na śniadaniu, uznałaby to za zdrowy objaw. Z całą pewnością Rachael nie musiała wykradać całusów na progu.

– Wejdiesz na kawę? – spytała.

– Raczej nie.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, ją pocałował. Poczowała jego zarost na wargach. To był prawdziwy pocałunek, ale tak szybki i lekki, że można by go uznać po prostu za przyjazne pożegnanie. Miała ochotę przyciągnąć Neville'a do siebie, żeby to potrwało dłużej, ale on już odchodził ulicą, oddalał się od niej.

– Kiedy cię zobaczę? – zawołała, nie przejmując się, że matka usłyszy.

Zatrzymał się, odwrócił, uśmiechnął.

– Niedługo – odkrzyknął. – Odezwę się.

Kiedy patrzyła, jak Furness szybkim krokiem idzie ulicą, dostrzegła jakiś ruch w cieniu. Człowiek – wyglądał na biegacza – w dresie i sportowych butach. Przez chwilę truchtał w miejscu, a gdy Neville skręcił za róg, pobiegł za nim.

Rachael odwróciła się od ulicy i ruszyła do domu. W kuchni zobaczyła sylwetkę matki na tle chińskiego papierowego żyrandola. Edie rozmawiała przez telefon, ale zanim Rachael otworzyła frontowe drzwi, zdążyła skończyć rozmowę. Pojawiła się u szczytu schodów, wyraźnie podekscytowana.

Zaraz się zacznie, jęknęła w duchu Rachael. Przesłuchanie. Inni rodzice też pewnie byli ciekawi chłopaków swoich córek, ale ich zainteresowanie ograniczało się do sytuacji materialnej, wystroju domu amanta, jego stanu cywilnego. Edie zwykle zadawała dużo bardziej szczegółowe i dużo trudniejsze pytania. Chciała wiedzieć, jacy naprawdę są przyjaciele Rachael. Sondowała ich stosunki z rodzicami i zdarzało się, że nawet nie znając faceta, oceniała jego stabilność psychiczną, poziom empatii, a nawet przypisywała mu ukryty homoseksualizm.

Dzisiaj jednak nie zadała na ten temat żadnego pytania. Ledwie obszedł ją fakt, że Rachael odwiedziła Neville'a. Jej uwagę zajmowało coś innego.

– Gotowa do wyjścia? – rzuciła. – Chyba nie będziemy potrzebowały kurtek. Jeszcze jest ciepło, prawda?

– Miałam nadzieję, że zrobisz mi kawy.

– Nie, nie – odparła matka stanowczo. – Szkoda czasu. I tak już dość późno na wizyty.

– Boże, Edie. Dokąd ty znowu się wybierasz? Na pewno nie muszę iść z tobą. – Matka zapewne rozmawiała

przez telefon z jedną ze swoich przyjaciółek, prawdopodobnie pijaną, z pewnością zapłakaną, która potrzebowała wsparcia i towarzyski do kielicha, a te dyskusje zawsze ciągnęły się długo w noc.

– No, nie musisz, ale uznałam, że możesz być zainteresowana tym spotkaniem.

– Dlaczego? Z kim? – Rachael była trochę nieobecna, wciąż myślała o Neville’u Furnessie. Tłumaczyła sobie, że to śmieszne, po jednym przelotnym pocałunku i sztywnej, niezręcznej rozmowie wyobrazić sobie siebie, jak króluje w kuchni Black Law. Po Peterze Kempie powinna być mądrzejsza. W ogóle nie znała się na ludziach.

– Z Charlesem Noble’em – oznajmiła triumfalnie Edie.

– Z kim? – Przez chwilę to nazwisko nic jej nie mówiło. Próbowwała przypomnieć sobie kolegów matki z pracy, gości płci męskiej, swoich potencjalnych ojców.

– Z Charlesem Noble’em. Bratem Belli. Właśnie dzwonił. Podobno próbuje się ze mną skontaktować od jakiegoś czasu, ale oczywiście w domu nikt nie odbierał, a nie chciał zostawiać wiadomości na sekretarce. – Kiedy Rachael nie zareagowała odpowiednim zainteresowaniem, Edie dorzuciła zrzędliwie: – To jak, idziesz czy nie?

Charles Noble czekał na nie na drodze. Zdążył już otworzyć wysoką bramę, broniącą wjazdu na podwórze. Reflektory oświetlające stajnie rzucały na jego postać cień drutu kolczastego; wyglądał jak w klatce. Był ubrany w szary dres i Rachael przypomniał się biegacz, który czekał na ulicy pod domem matki.

Przejechały pod dom, wysiadły z samochodu i

poczekają, aż Noble zamknie bramę i dołączy do nich. Rachael odniosła nieprzyjemne wrażenie, że jest zamknięta w więzieniu, i na moment ogarnęła ją panika. Liczyła na to, że Edie miała dość rozsądku, by zawiadomić o swoich planach Verę Stanhope albo Joego Ashwortha. Jeśli nie, nikt nie wiedział, że tutaj są. Z boksów dobiegał odgłos końskich oddechów, szelest deptanej słomy, czuć było słodki zapach gnoju i sierści.

– Nie rozumiem, dlaczego to nie mogło poczekać do rana – powiedział Noble, jeszcze zanim do nich podszedł. Rachael widziała, że facet już żałuje swojego telefonu do Edie. – Louise i ja wcześniej kładziemy się spać. Jesteśmy bardzo zajęci.

– Podobnie jak my, panie Noble. – Edie była rzeczowa, asertywna.

Boże świąty, pomyślała Rachael, mogłaby grać detektywa w telewizji. Zawsze uwielbiała policyjne seriale.

– W takim razie proszę do domu. – Przynajmniej on, jak się zdawało, dał się nabrać na jej autorytatywny ton. Wprowadził je do szerokiego przedpokoju i dalej, do salonu, gustownie urządzonego w trochę nijakim stylu Marks & Spencer, w kremowych i terakotowych barwach. Długie zasłony zaciągnięte, lampki na stolikach pozapalane, ale w środku nikogo.

– Louise widocznie poszła już spać – stwierdził Noble nieszczęśliwym tonem. – Jutro czeka ją piekielny dzień. Organizuje lunch charytatywny. Bardzo aktywnie działa w Czerwonym Krzyżu.

– Będziemy musiały z nią porozmawiać – oznajmiła

Edie. – W końcu to ona odebrała telefon od Belli. – Po czym dodała złośliwie: – Możemy tu wrócić jutro, tyle że wolałybyśmy nie załatwiać sprawy przy gościach. To mogłoby być żenujące.

– Chyba pani żartuje.

– O, ależ skąd. Inspektor Stanhope jest bardzo zainteresowana samobójstwem Belli. Pamięta pan inspektor Stanhope? Prowadziła śledztwo w sprawie śmierci pańskiego ojca.

– Proszę tu poczekać. Pójdę po nią.

Louise przyszła w jedwabnej piżamie i szlafroku, ale nie zmyła jeszcze makijażu. Atrakcyjna kobieta tuż po czterdziestce, o wysokich kościach policzkowych, z długimi, kręconymi włosami koloru miedzi, które związała w kucyk. Rachael spodziewała się kogoś zniszczonego i sztywnego jak Charles. Pani Noble wydawała się mocno zdenerwowana. Idąc za mężem, zapaliła papierosa.

– Właśnie się kładłam – powiedziała; to nie było agresywne stwierdzenie, tylko tłumaczenie się ze szlafroka.

Przez cały wieczór Rachael odnosiła wrażenie, że rozmawiają z małą dziewczynką, która bawi się w dom. Te lunche, te kolacje, to wszystko trzeba jakoś znosić, bo tak robią dorośli. Trudno byłoby ją sobie wyobrazić z własnym dzieckiem czy też uznać za siłę napędzającą ambitne plany Charlesa.

– Proszę nam wybaczyć to najście. – Edie usiadła, nie czekając na zaproszenie. – Postaramy się nie zająć państwu dużo czasu.

– Naprawdę nie wiem, w czym mogę pomóc... – Louise zaciągnęła się papierosem i odłożyła go ostrożnie na szklaną popielniczkę. – Już wyjaśniałam Charliemu...

– A ja to rozumiem. – Charles poklepał żonę po dłoni.

– To nie tak, że chciałam trzymać coś przed nim w tajemnicy. To znaczy, jego siostra właściwie nie powiedziała nic ważnego. Widzi pani, byliśmy we trójkę tacy szczęśliwi, żyło nam się tak spokojnie. I pomyślałam sobie, no cóż, ona zrobiła tę straszną rzecz jego ojcu, więc chyba lepiej o tym wszystkim zapomnieć. Gdyby znów wdarła się w jego życie, tylko by cierpiał. – Osuszyła oczy chusteczką. Jej tusz się nie rozmazał.

Charles wziął ją za rękę. Nie ulegało wątpliwości, że jest zakochany po uszy.

Louise zwróciła się w jego stronę.

– Przepraszam. Bałam się, że sobie nie poradzę, gdybyś ją tu ściągnął. A potem, kiedy usłyszałam, że popełniła samobójstwo, nie wiedziałam, jak ci się przyznać, że dzwoniła... – Spojrzała na Edie wielkimi oczami, rozpaczliwie szukając zrozumienia. – Uznałam, że to nie zrobiłoby żadnej różnicy. Nawet gdyby Charles do niej oddzwonił. Nawet gdyby do niej pojechał. Przecież ona już zdecydowała, że się zabije. Mąż mówił, że jego siostra nigdy nie działa pod wpływem impulsu. Więc to i tak by się stało. To nie moja wina.

Charles, który głaskał dłoń Louise, wymamrotał, że oczywiście to nie jej wina.

– Kiedy dokładnie zadzwoniła? – Edie była stanowcza, ale współczująca. Takiego tonu używała wobec

rozpieszczonych uczniów, którzy musieli pogodzić się z realiami systemu egzaminacyjnego.

– Próbowałam sobie przypomnieć, prawda, kochanie? Ty pracowałeś w biurze. Ja siedziałam tu sama.

– A gdzie była państwa córka?

– Nie tutaj. Z całą pewnością. Bo jak jest w domu, to zawsze ona odbiera telefony. W tym wieku dziewczynki bez przerwy do siebie wydzwanają i mogą gadać w nieskończoność, wie pani, nawet jeśli widziały się godzinę wcześniej. A potem, po rozmowie z Bellą, pomyślałam: Chwała Bogu, że Lucy nie ma, bo pewnie podniosłaby słuchawkę i musielibyśmy jej wszystko wyjaśnić. Ona nie wie o Belli i ojcu Charlesa.

– Pamięta pani, gdzie była Lucy? To pomogłoby nam ustalić datę.

Louise siedziała przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami i nagle jej twarz się rozchmurzyła: pantomima objawienia.

– Na wycieczce szkolnej w Newcastle. Na *Makbecie* w Teatrze Królewskim. Właśnie wróciłam do domu. Odwiozłam pełen samochód dzieci, a inny rodzic miał je odebrać. Szkoła zamówiła autokar, ale coś nie wypaliło, i musieliśmy się organizować w ostatniej chwili. Pamiętam, bo bardzo się przez to zdenerwowałam.

Patrzyła na nich z promiennym uśmiechem, dumna ze swojej niezawodnej pamięci. Jakby czekała na oklaski, pomyślała z goryczą Rachael. Naprawdę jest aż tak dziecinna?

– Świetnie. – Edie skinęła głową z aprobatą. – Co to

był za dzień?

– Och, minęło tyle czasu...

– Może pani to zanotowała? Mam na myśli termin wycieczki córki?

– Kochanie, przynieś ścienny kalendarz z kuchni – poprosiła Louise wciąż podekscytowana swoim sukcesem.
– To na pewno tam jest!

Charles wrócił z dużym kalendarzem. Każdą stronicę zdobiło zdjęcie konia, każdy dzień miał miejsce na notatki. Charles zaczął przerzucać kartki.

– Jedenasty marca – oznajmił. – Lucy sama zapisała.

– No i proszę! – wykrzyknęła Louise. – Gdyby Bella chciała rozmawiać z moim mężem, miała jeszcze tydzień na telefon. Zabiła się dziewiętnastego, zgadza się? Ale nie zadzwoniła.

– Nie. – Charles pokręcił głową. – Nie zadzwoniła.

– No dobrze – przerwała im spokojnie Edie. – Teraz musi sobie pani przypomnieć, co powiedziała Bella. Dokładnie.

Pani Noble znów zmarszczyła czoło. Wydawało się, że nie potrafi myśleć bez ściągnięcia brwi.

– No: „Chciałabym rozmawiać z Charliem Noble’em”. Tak po prostu. Dość obcesowo. Zdziwiłam się, bo niewiele osób nazywa go Charlie. Pomyślałam, że to jakaś klientka. Biura stajni mają oddzielną linię, ale ludzie i tak czasami dzwonią pod domowy numer. Ale ona wyjaśniła, że nie chodzi o jazdę konną. Że to sprawa osobista. – Louise przerwała na chwilę. – Właśnie takich słów użyła: „To sprawa osobista”. Więc ją poinformowałam, że Charliego

nie ma, i spytałam, czy coś przekazać. Wtedy ona spytała: „A pani kim jest?” To właściwie nie brzmiało niegrzecznie, raczej tak, jakby nie nawykła prowadzić uprzejmych rozmów, jakby nie obchodziło jej, co myślą ludzie.

– I pani jej powiedziała – ponagliła ją Edie.

– No cóż, nie mogłam nie powiedzieć. Bo sama bym wyszła na nieuprzejmą.

Koszmarna myśl, że zostanie uznana za osobę, która nie potrafi się dobrze zachować, widocznie nagle znów ją dopadła, bo rozejrzała się dziko po pokoju i spytała:

– Charles nie zaproponował paniom nic do picia? Doprawdy, kochanie...

– I co ona na to? – Edie weszła jej w słowo.

– No... żebym przekazała mężowi wiadomość. „Niech mu pani powie, że dzwoniła Bella i prosi o kontakt.” Coś w tym stylu.

– Powiedziała, w jaki sposób Charles ma się z nią skontaktować? Podała adres, numer telefonu?

– Nie wydaje mi się. – Louise zrobiła niepewną minę.

– Bo wtedy bym to zapisała. Takie rzeczy robi się automatycznie, prawda? Szczerze mówiąc, przeżyłam lekki szok. Charles opowiadał mi o swojej siostrze, ale nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów. Miałby rozmawiać z morderczynią? Aż ciarki przechodzą po plecach. Więc może coś mi umknęło.

– I co potem?

– Dodała, żeby Charles się nie martwił. „Jest całkowicie bezpieczny”. Pamiętam to, bo wydało mi się bardzo dziwne. Przecież wiedziałam, że jest bezpieczny w

domu, z Lucy i ze mną. Ja się nim opiekuję. Ale ona to powtórzyła. Jakbym była jakąś idiotką. Jej postawa mnie zirytowała. Pewnie dlatego nie wspomniałam Charlesowi, że dzwoniła. Bo przecież nie muszę się godzić na to, żeby ktoś mnie tak traktował, prawda? – Rozejrzała się po obecnych.

Charles przez moment wyglądał na ogłuszonego. Siedział z otwartymi ustami. W końcu znów zaczął głaskać dłoń Louise.

– Nie – mruknął. – Oczywiście że nie musisz, skarbie.

To przypominało koniec semestru. Zaczynały się pakować. Chatę Baikie zawałały tekturowe pudła, do połowy wypełnione książkami i papierzyskami. Do czarnych worków na śmieci Rachael poupychała koce, które chciała zabrać do Kimmerston do prania. Z początku Edie stwierdziła, że pomoże sprzątać, i plątała się po domu ze ścierką do kurzu. W końcu znacząco poinformowała, że musi coś napisać, i zniknęła na piętrze. Choć raz, pomyślała Rachael, mój ojciec na coś się przydał, nawet jeśli tylko jako wymówka.

Verę Stanhope chyba złościły te przygotowania do wyprowadzki. Noc spędziła w domu i zjawiła się przed południem. Przez jakiś czas chodziła wokół chaty, mamrocząc do siebie i trącając stopą toboły i pudła, po czym wezwała Rachael do Black Law, żeby wypytać ją o Neville'a. Była nawet gotowa zdradzić to i owo, byle tylko skłonić Rachael do mówienia.

– Sprawdziłam sugestię Edie, że Edmund Fulwell i Bella mogli być w szpitalu w tym samym czasie.

– No i?

– Rzeczywiście, ich pobyty na krótko się zazębiły. Na początku lat osiemdziesiątych, tuż przed wyjściem Belli. Byli na tym samym oddziale. Próbuję odnaleźć członków personelu, którzy pamiętają ich oboje. To pewnie tylko zbieg okoliczności. To się działo wieki temu.

– Mogli potem utrzymać kontakt.

– Niewykluczone – odburknęła Vera wyraźnie nie w

sosie. Zrobiła Rachael kawy, ale z wielką łaską, jakby miała pretensje, że ta nie chce siedzieć w chacie w nieskończoność. Teraz jasno dawała Rachael do zrozumienia, że jej domysły nie są godne uwagi.

– No cóż, przypuszczamy, że Edmund naciskał na Grace, by walczyła przeciwko budowie kopalni. Stąd wzięły się te zawyżone liczby wydr. I usiłował przekonać Bellę, żeby nie godziła się na wytyczenie przejazdu przez ziemię Black Law. – Rachael urwała, zastanowiła się przez chwilę. – Ale oczywiście ona i tak by się sprzeciwiała.

– Na pewno? – spytała ostro Vera. – Skąd pani to wie?

– Przecież nie mogła chcieć drogi tuż pod kuchennym oknem.

– Może nie miała wyboru.

– O czym pani mówi?

– Poprosiłam księgowego, żeby sprawdził jej finanse – odparła Vera. – I pogadałam sobie z nim trochę. Black Law jest w poważnych tarapatach.

– Jak każda inna górská farma na północy Anglii.

– Nie. Chodzi o naprawdę poważne tarapaty. Jeszcze parę miesięcy i bank przejąłby nieruchomości, a ona i Dougie staliby się niewypłacalni. Sprzedała wszystko, co się da. Ostatni obraz Constance Baikie poszedł w zeszłym roku. Pozostało jej tylko jedno: żeby tu zostać, musiała dogadać się jakoś z firmą wydobywczą. I to szybko. Nie mogła sobie pozwolić na czekanie nawet na koniec etapu planowania. Neville nie wspomniał o tym podczas tego waszego intymnego spotkania wczoraj wieczorem?

– Mógł o tym nie wiedzieć.

– Bzdura. Przecież zarządza farmą od śmierci Belli. Nie powie mi pani chyba, że nie zajrzał w rachunki. To biznesmen.

Jak Peter Kemp, pomyślała Rachael. Tak powiedział, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem. „O to mi teraz chodzi. O interesy. Nie o ochronę przyrody”. Dlatego Peter przyszedł do Black Law tego popołudnia, kiedy Bella się zabiła? Żeby odwalić brudną robotę za Godfrey'a Waugh'a? Zaproponować jej układ, dzięki któremu zostałaby z Dougiem na farmie? Ale nie potrafiła tak się sprzedać, więc popełniła samobójstwo.

– Przecież miała dostęp do pieniędzy – oświadczyła nagle. – Kiedy Charles Noble sprzedał dom po śmierci ojca, przelał zysk na konto dla Belli. Wiedziała o tym. Po tylu latach to musiała być kupa forsy.

– Jest pani pewna, że o tym wiedziała?

– Na sto procent. Napisał do niej, kiedy posłano ją do szpitala. Próbował przekonać siostrę, żeby pozwoliła się odwiedzić.

– Usłyszała to pani od Charliego, tak?

– Tak.

– I pani mu uwierzyła?

– Nie miałam powodu nie wierzyć.

– Cudownie. – Vera wstała, wypłukała kubek pod kranem, rzuciła go ze złością na suszarkę i wróciła do stołu. Pochyliła się nad blatem w stronę Rachael. – A jak minął wieczór z kochasiem?

– Bardzo sympatycznie. Dziękuję.

– Spytała pani o Edmunda Fulwella?
– Nie widział go od czasów dzieciństwa. Fulwellowie nigdy nie wspominali o Edmundzie.

– Do licha – mruknęła Vera zamyślona. – O czym jeszcze pogawędziliście przy miętówkach?

– O jego planach na przyszłość. – Rachael umilkła na moment. – Neville zastanawia się, czy nie zrezygnować z posady w firmie wydobywczej. Chce wrócić tutaj i przejąć gospodarstwo. Dlaczego miałby to robić, jeśli farma jest zastawiona?

– Może sam się dogadał z Godfreyem Waughem? – Vera zaśmiała się nieprzyjemnie. – A może opracował własny, oryginalny tekst na podryw? – Kiedy Rachael wciąż patrzyła na nią, nie rozumiejąc, dodała: – To oczywiste, próbuje zrobić na pani wrażenie.

Po lunchu, żeby uciec od inspektorki i swojej matki, Rachael poszła z Anne zbierać kwadratowe drewniane ramki ze swoich terenów badań. Okazało się, że wpadła z deszczu pod rynnę.

– Więc jak poszło wczoraj wieczorem?

Powinna zdawać sobie sprawę, że Anne jej nie odpuści.

– Dobrze. Pojechałyśmy porozmawiać z Charlesem Noble'em. Bella próbowała się z nim skontaktować tydzień przed śmiercią. Jego żona, głupia krowa, nie przekazała mu wiadomości.

– Nie o to mi chodzi. O tym już się wszystkiego dowiedziałam. Jak poszło z Neville'em?

Wciąż świeciło słońce. Po całej wiosnie spędzonej w

górach Rachael była w świetnej kondycji. Czuła, że bez żadnego dyskomfortu mogłaby przejść dużo kilometrów; nawet nie zwalniając kroku. Zachwycał ją rytm tego marszu i nie chciała go przerywać. Dotarły do gąszczy kolcolistu obsypanego kwiatami, które rozsiewały słodki aromat pieczonego kokosa. Po tym, co Neville zasugerował wczorajszego wieczoru, Rachael dręczyły pytania o znajomość Anne z Godfreyem Waughem, ale nie zamierzała poruszać teraz tego tematu. Mogła sobie myśleć o Neville'u, ale nie chciała, żeby Anne o niego wypytywała. W ogóle nie chciała słów. Chciała tylko iść smagana wiatrem, w zapachu kolcolistu, wilgotnego torfu i wrzosu, wśród śpiewu skowronków, kulików i dalekiego pobekiwania owiec.

– No więc?

– Dobrze – powtórzyła.

– A on cię trochę nie przeraża? – ciągnęła Anne. – Po pierwsze, nie ma żadnych przyjaciół. Chociaż w sumie tak dobrze się nie orientuję. Ale mówiłaś, że na pogrzebie Belli nie pojawił się żaden jego kumpel.

– I co? Ja też nie mam zbyt wielu „kumpli”! – Rachael wydłużyła krok, spróbowała wysforować się do przodu, ale Anne za nią nadążała.

– Myślę, że jego kręci władza, manipulowanie sytuacją z ukrycia. To twój problem, Rache, że nie potrafisz stawić czoła faktom. Nie zdziwiłabym się, gdyby ciągle pracował dla Livvy Fulwell. Bo to Fulwellowie najwięcej zyskają na kopalni. A już z całą pewnością pociąga za sznurki Godfrey'a Waugh'a.

– Skąd to wiesz? – Tej odzywki nie dało się już zbyć. Rachael zatrzymała się gwałtownie. Była w szortach; schyliła się, żeby rozmasować łydki.

– To znaczy? – Anne też przystanęła.

– Skąd wiesz, co się dzieje między Neville’em a Godfreyem Waughem? Każdy by pomyślał, że masz jakieś informacje z pierwszej ręki.

To jej wreszcie zamknęło buzię. Ruszyła dalej, nie odpowiadając, ale wcześniejsza wymiana zdań i tak już zepsuła Rachael wycieczkę.

Ostatni kwadrat do zabrania leżał na hałdzie wapiennych odpadów niedaleko budynku kopalni. Ze wzgórza spojrzaly w dół, na teren zakładu. Szary blok kopalni, ciemna zieleń iglaków, jasna, wijąca się linia potoku – jakby patrzyło się na mapę. Widziały zakole, gdzie znaleziono ciało Grace. Wszelkie policyjne śmieci – biało-niebieska taśma, plastikowe płachty – zostały uprzątnięte, ale leżały tam tak długo, że Rachael potrafiła dokładnie określić miejsce. Ale żadna z nich o tym nie wspomniała, nawet kiedy musiały przejść niedaleko.

Nie widziały kwadratu ze szczytu, bo leżał w cieniu maszynowni, tuż obok komina.

– Ktoś go przemieścił – zauważyła Anne, kiedy się zbliżyły. To wygląda tak, jakby ramka została kopnięta albo przesunięta. – Całe szczęście, że już zakończyliśmy badania. To by mogło nam wszystko spieprzyć.

– Może policja?

– Nie, wynieśli się stąd już dość dawno temu. A poza tym przyprowadziłam tu Verę tego dnia, kiedy zaczęło się

śledztwo, i pokazałam jej, na czym polega badanie. Kazała swoim ludziom uważać.

– Więc turysta.

– Może. Jakiś miłośnik makabry, który pragnął zobaczyć miejsce zbrodni. Albo protestujący z Langholme przyszedł przyjrzeć się kopalni, zanim ta zmieni się w centrum operacyjne Godfrey'a Waugh'a.

– Albo duch.

– Myślałam, że jesteś naukowcem. Nie podejrzewałam cię o to, że wierzysz w zjawiska nadprzyrodzone.

– Bo nie wierzę.

– Więc o co ci chodzi z tym duchem?

– O nic. Tak sobie gadam.

– Oj, daj spokój. No, mów.

– Czasami, kiedy łąziłam po górach, odnosiłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Albo za mną chodzi. I raz widziałam kobietę na szczycie kopca kamieni.

– Kto to był? – spytała Anne.

Rachael spojrzała na nią, myśląc, że się z niej nabija, ale Anne patrzyła z poważną miną.

– Nie wiem. Nie rozpoznałam jej.

– Masz zbyt bujną wyobraźnię, kochana. Mieszkanie z Grace każdemu napędziłoby stracha.

Anne przeszła przez przepust w strumieniu i ruszyła w stronę sześciennego kamiennego pomieszczenia, gdzie kiedyś znajdowała się maszyna kopalni. Odwróciła się z powrotem ku Rachael. Zajęczki światła odbitego od wody zatańczyły na jej twarzy.

– Czy to mogła być Grace? – spytała. – Nigdy nie orientowaliśmy się dokładnie, gdzie się podziewa.

Rachael wzruszyła ramionami. Wiedziała jednak, że kobieta na kopcu, którą widziała tamtego dnia, to nie była Grace.

Budynek stał niemal nietknięty. Miał dach z blachy falistej. U wylotu nierównego prostokąta – dawnych drzwi – ktoś położył kwiaty, szklarniowe okazy: białe stokrotki i wielkie białe chryzantemy. Wyglądały idealnie. Nie zaczęły jeszcze więdnąć mimo upału.

– Więc jednak turysta – stwierdziła Anne. – Chciał złożyć hołd Grace. Prawie trafił. Wzruszające. Może same powinnyśmy o tym pomyśleć.

– Już kiedyś znalazłam tu kwiaty. Tamtego dnia, kiedy widziałam kobietę na kopcu.

– Znów ten twój duch?

– Nie. – Rachael się zirytowała. – Oczywiście że nie.

– No cóż, tym razem nie buszowała tu zjawa. – Anne weszła do budynku. Ostrożnie stąpała po klepisku, wykładanym luźnymi kamiennymi płytami. – Chyba że istoty nadprzyrodzone jadają ciastka czekoladowe. – Wróciła do drzwi z opakowaniem po ciastkach w dłoni.

– Może dlatego Grace nigdy nie była głodna. Obżerała się czekoladą.

– Niemożliwe, żeby to ona zostawiła. Policja przeczesała okolicę i zabrała wszystko, co znalazła. To musiało się tu pojawić później.

Anne weszła głębiej do maszynowni. Zaczęła grzebać w kącie tyczką znacznikową.

– Chyba ktoś tu obozował. Popiół... Pozostałości ogniska...

– Nie zobaczyłybyśmy światła?

– Z chaty Baikie na pewno nie, jeśli ta osoba paliła ogień w środku.

– A więc ktoś nas obserwował. – Rachael wycofała się z budynku; wolała stać w świetle słońca i mieć otwarty widok dookoła siebie. Wrona, pomyślała. Kierowca białego samochodu. Siedział tu cały czas i śledził nasz każdy ruch. Wie, kiedy policjanci są w Black Law. Widzi samochody jeżdżące drogą. Widzi nas, kiedy przebywamy w ogrodzie i kiedy wyruszamy na wzgórze. – Chodź – zawołała do Anne. – Lepiej stąd idźmy.

Ale Anne jakby nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wciąż stała przy wejściu, zaglądała do środka.

– A może to tutaj zaszył się Edmund Fulwell. Potrafię sobie wyobrazić, że przyczaił się w tej ruinie, kiedy Vera Stanhope ganiała go po całym kraju. Chociaż ty widziałaś kobietę, tak? Może to jego kolejne dziwactwo: lubi przebieranki.

– Tę kobietę widziałam parę tygodni temu. – Rachael najchętniej wracałaby biegiem do Baikie, nie rozumiała, dlaczego Anne się nie spieszy.

– Ale Edmund jest pijakiem, a tu nie ma żadnych puszek ani butelek. Zresztą, jeśli to był on, to gdzie jest teraz?

Znalazły Verę w Black Law razem z jej ekipą.

Kiedy powiedziały jej o swoim znalezisku w kopalni, wybuchnęła gwałtowną i komiczną furją, skierowaną w kolegów stojących wokół niej.

– Co z wami nie tak? Jesteście zawodowcami, zgadza się? Uznaliśmy, że te kobiety mogą być celem, ale nikt nie pofatygował się, żeby sprawdzić jedyną kryjówkę w promieniu wielu kilometrów. Boicie się zamoczyć nóżki? Cieszycie się, że dwie baby odwalily za was robotę?

Po czym zgarnęła Joego Ashwortha, ruszyła do przełazu na końcu ogrodu Baikie i dalej ścieżką do kopalni. Anne patrzyła z chaty, jak ich sylwetki Flipa i Flapa znikają w jaskrawym blasku słońca.

Ten incydent rozbawił, ale i zaniepokoił Anne. Nie spodziewała się, że inspektor Stanhope potraktuje opakowanie po ciastkach i kupkę popiołu tak poważnie. I dlaczego Rachael zachowywała się tak nerwowo jak kot w pokoju pełnym bujanych foteli? Anne po raz pierwszy poczuła się zagrożona. Żałowała, że nie może zaczekać, aż tamci dwoje wrócą i opowiedzą, co odkryli, ale właśnie na dziś umówiła się na herbatę z Barbarą Waugh i nie wypadało się spóźnić.

Może właśnie z powodu reakcji Very poinformowała Rachael, dokąd jedzie.

– Na wszelki wypadek – dodała, choć raczej nie spodziewała się, że Barbara i jej córka uwiężą ją w tym ponurym, nieskazitelnym domu w Slateburn.

Rachael spojrzała na nią dziwnie i Anne znów przyszło do głowy, że może Neville powiedział coś o niej i Godfreyu.

W promieniach słońca dom wyglądał równie surowo jak przedtem. Trawnik skoszony, brzegi przystrzyżone, żwir zagrabiony. Drzwi otworzyła córka Waughów. Mimo upału miała na sobie szarą plisowaną spódniczkę i szkolną bluzę. Była tak schludna, jakby właśnie wybierała się do szkoły. Idealnie białe podkolanówki, bez jednej plamki. Błyszczące czarne sandały z lakierowanej skóry.

– Proszę wejść – powiedziała. – Mamusia na panią czeka. – Stała z boku, żeby wpuścić Anne, ale przyglądała jej się z dezaprobatą.

Anne przemknęło przez głowę, że Felicity mogła się domyślić romansu, ale kiedy dziewczynka odwróciła się i popchnęła korytarzem duży wózek dla lalki, ta myśl wydała jej się śmieszna.

Boże, pomyślała. Zaczynam popadać w paranoję.

Barbarę zastała w kuchni; kobieta przekładała babeczki z blachy do pieczenia na drucianą tacę, żeby ostygły. Od gorąca była zaczerwieniona na twarzy.

– Przepraszam – powiedziała. – Trochę się z tym spóźniłam.

Felicity na pewno też urzędowała tutaj, bo Anne zauważyła walizeczkę pełną ubranek dla lalki, a na stole prawdziwy niemowlęcy kubek, miskę i łyżeczkę z niebieskiego plastiku. Uznała, że dziewczynka jest za duża, żeby bawić się lalkami. Blade, nalane dziecko. Dobrze by jej zrobiło trochę ruchu na świeżym powietrzu. Czemu te

dwie siedziały razem w dusznej kuchni? Pomyślała: jeśli Godfrey i ja zamieszkamy razem, pewnie będziemy musieli przyjmować tego bachora na weekendy. Po godzinie zacznę mnie wkurzać. Na bank.

– Felicity pomagała mi piec – wyjaśniła Barbara.

– Cudownie! – Anne uśmiechnęła się do dziewczynki, która odpowiedziała kokieteryjnym uśmiechem.

Nie po godzinie, poprawiła się Anne. Po pięciu minutach.

– Idź na górę się przebrać, skarbie – poprosiła Barbara łagodnym tonem, jakby się bała, że córka się sprzeciwi.

Felicity posłusznie ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w progu i zrobiła krzywą minę do pleców matki.

– Przepraszam, że dzwoniłam do ciebie do domu – podjęła Barbara. – Pewnie masz mnie za wariatkę. – Dość konwencjonalne słowa, ale w tonie brzmiała desperacja. – Czasami sama się zastanawiam, czy jestem zdrowa na umyśle. Nie wiedziałam, z kim innym mogłabym porozmawiać...

Słońce lało się przez okno, piekarnik wciąż buchał gorącem. Anne zrobiło się trochę słabo, słyszała Barbarę jakby we śnie. Chciała wymyślić stosowną odpowiedź, ale kobieta mówiła dalej:

– Próbowałam przedyskutować sprawę z Godfreyem, ale on ostatnio jest taki dziwny. To chyba też mnie zaniepokoiło.

– W jakim sensie dziwny?

– Spięty, nerwowy. Nie sypia dobrze. Często wstaje i

chodzi po domu w środku nocy. Czasami wyjeżdża gdzieś samochodem. Jest tak wykończony psychicznie, że w końcu spowoduje jakiś wypadek. Zaczął nawet złościć się na Felicity, a to się nie wydarzyło nigdy wcześniej. – Barbara była bliska łez. Napełniła czajnik nad zlewem i włączyła go. – Zasugerowałam, żeby poszedł do lekarza – ciągnęła. – Przecież nie można tak funkcjonować. W ogóle nie spać. Mało co jeść. Ale on nie słucha. Mówi, że to nie jest problem medyczny. Że to kłopoty związane z pracą, ale niedługo dojdzie z tym do ładu.

– A ty? – spytała Anne. – Jak ty sypiasz?

– Też niezbyt dobrze. Mam uczucie, że wszystko wokół mnie się wali i mimo wszelkich wysiłków nie zdołam zapobiec katastrofie. – Zdobyła się na uśmiech. – Godfrey twierdzi, że to menopauza. Pewnie ma rację. Ale mężczyźni lubią zwać winę na hormony, prawda?

– Myślałaś o wizycie u lekarza?

– Boże, nie, nie cierpię lekarzy.

Barbara przeniosła tacę z babeczkami na ławę i zaczęła gwałtownie wycierać blat, wręcz go szorowała. Anne pożałowała, że tu przyszła. Bała się takiej odpowiedzialności. Ta kobieta była na skraju załamania nerwowego, a Anne nie chciała myśleć, że to przez nią.

– Nie masz z kim porozmawiać? Jakichś krewnych? Przyjaciół?

– Oczywiście że nie. Niby dlaczego skontaktowałam się z tobą? – urwała nagle. – Przepraszam. Zachowałam się niegrzecznie. Nie mam żadnych krewnych, a moi przyjaciele znają również Godfreya.

Zaparzyła herbatę w białym dzbanku. Z lodówki wyjęła tacę kanapek owiniętą folią spożywczą i plastikowy pojemnik z ciasteczkami, które poukładała na talerzu nakrytym serwetką. Te czynności trochę ją uspokoiły.

– Powiem Felicity, żeby zjadła podwieczorek przed telewizorem. Rzadka okazja.

– Może my przeniosłybyśmy się na dwór? – zasugerowała Anne. – Jest tak gorąco.

– Na dwór? – Ten pomysł najwyraźniej ją przeraził. – Och, raczej nie. Tyle tam owadów. – Wciąż nakrywała kuchenny stół, rozkładała na nim talerze, noże i serwetki.

Anne przesunęła krzesło tak, żeby słońce nie świeciło jej prosto w oczy.

– A co konkretnie cię martwi? – spytała łagodnie.

Barbara skupiła się na przekładaniu dżemu do miseczki; jakby jej nie usłyszała.

– Wiesz – odezwała się w końcu. – Po tym wszystkim, po śmierci tej dziewczyny, po tym, jak policja była w jego biurze, zadawała pytania, Godfrey wciąż upiera się przy tym przedsięwzięciu z kopalnią.

– Nie widzę powodu, dlaczego miałby rezygnować. Z pewnością z naszej strony nic nie stoi na przeszkodzie.

Barbara znieruchomiła z łyżeczką dżemu nad miską. Ze zrozpaczoną miną spojrzała na Anne.

– Więc Neville Furness postawi na swoim.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, co na tym zyska. Nie rozumiem, dlaczego ma na was taki wpływ – urwała na moment. – Boisz się go, prawda?

Skinęła głową, ale się nie odezwała. Anne miała

ochotę nią potrząsnąć.

– Na litość boską, dlaczego?

– Przez to, co robi Godfreyowi.

– Ostatnio powiedziałaś to samo, ale ja nadal nie wiem, o co chodzi. To twój mąż jest szefem. Musi być coś, czego mi nie mówisz.

Barbara patrzyła na nią tępo.

– Nie to nie – odparła Anne ze złością. – Tak czy inaczej, to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Poczekaj – rzuciła Barbara. – Muszę komuś powiedzieć.

Coś poruszyło się w korytarzu; Barbara na pewno dostrzegła to przez matowe szkło drzwi, bo umilkła. Do kuchni wkroczyła Felicity. Przebrała się ze szkolnego mundurka w różowe szorty i różową koszulkę. Była duża jak na swój wiek i ten strój raczej nie dodawał jej urody.

– Przyszłam na podwieczorek – oznajmiła.

– Oczywiście, kochanie. Podam ci na tacy. Możesz zjeść przed telewizorem.

– Chcę siedzieć tutaj, z wami.

Dłonie Barbary zaczęły się trząść, talerzyki na tacy zaklekotały.

– Nie teraz, skarbie. Chcę porozmawiać ze znajomą.

– Dlaczego ja też nie mogę porozmawiać?

– Możesz – odparła Barbara. Anne stwierdziła w duchu, że opanowanie tej kobiety jest godne podziwu. – Ale nie dzisiaj. Proszę, zaniosę ci to do salonu.

Przez chwilę patrzyły na siebie. Dziewczynka chyba zastanawiała się, czy nie zacząć awantury, ale zmieniła

zdanie. Z ponurą miną poczłapała za matką.

Kiedy Barbara wróciła, impulsywna chęć zwierzeń jej przeszła. Anne wpadł do głowy irracjonalny pomysł, że dziecko ma na matkę jakiś złowrogi wpływ. Kobieta naląła herbaty i zachęciła Anne do jedzenia, jakby wcześniejszy wybuch w ogóle się nie zdarzył.

– Mówiłaś o Neville’u – przypomniała Anne. – Nie rozumiem, dlaczego tak usilnie działa na rzecz tego projektu. Co ma nadzieję na tym zyskać?

– Pieniądze. To oczywiste. Dlatego oszedł od Fulwellów. Godfrey zachęcił go finansowo. Neville’a łatwo kupić. – Odpowiedź padła bez namysłu, ale Anne czuła, że musi być w tym coś więcej.

– Aż tak bardzo potrzebuje pieniędzy?

To pytanie zbiło Barbarę z tropu.

– Podobno zamierza zrezygnować z pracy w Slateburn Quarries – ciągnęła Anne. Uznała, że Barbarę ucieszy ta informacja. Czyż nie chciała, żeby Godfrey wyrwał się ze szponów Neville’a? Ale to zdenerwowało ją jeszcze bardziej.

– Nie! A dokąd chce iść?

– Zamierza zająć się farmą Black Law.

– Godfrey nic mi o tym nie wspominał.

– Może nie wie.

– Dlaczego tak przypuszczasz?

Anne milczała przez moment.

– Mamy wspólną znajomą.

Barbara wpadła w panikę.

– Nie powiesz Neville’owi, że tu przyszłaś? Że

prosiłam cię o spotkanie?

– Oczywiście że nie.

Barbara była jednak bliska hysterii.

– Zaprosiłam cię, bo chciałam zapytać o coś konkretnego. Teraz już nie wiem, czy mogę. Skoro przyjaźnisz się z Neville'em.

– Nie przyjaźnię się z Neville'em. – Boże, westchnęła Anne. Wypuście mnie stąd. Słońce przesunęło się i nie świeciło już bezpośrednio do kuchni, ale czuła się tak, jakby spędziła tu zamknięta cały dzień.

– Mogę ci zaufać, prawda?

– Oczywiście. – Nie licząc faktu, że spałam z twoim mężem i zamieszkałabym z nim choćby jutro, gdyby tylko dał mi szansę.

– We trzy pracowałyście nad raportem, razem spędziłyście w tej chacie dużo czasu. Na pewno byłyście ze sobą blisko.

Anne wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Kiedy się żyje i pracuje w takiej ciasnocie, zachowanie prywatności to ważna sprawa.

– Ale ta dziewczyna, która zginęła. Pewnie wiedziałaś, dokąd chodzi, z kim się widuje?

– Niekoniecznie.

– Wspominała kiedykolwiek o Neville'u Furnessie?

– O ile sobie przypominam, to nie. Czemu pytasz?

Nie odpowiedziała.

– Co sugerujesz? – drążyła Anne. – Że Grace i Neville byli ze sobą?

Choć pod blatem kuchennym stała zmywarka, Barbara odeszła od stołu i napełniła zlew gorącą wodą z płynem. Anne czekała na odpowiedź, ale gospodyni całą uwagę poświęciła filiżankom i talerzykom.

Anne stanęła za jej plecami.

– Podejrzewasz, że młody Furness zabił Grace?

Barbara mocno potarła myjką wnętrze filiżanki. Choć naczynie z pewnością było już czyste, nie postawiła go na suszarce. Tkwiła z rękami w mydlinach.

– Jeśli masz na to jakieś dowody, musisz iść na policję. Śledztwo prowadzi Vera Stanhope. Bardzo empatyczna kobieta. Jak chcesz, pójdę z tobą.

Tylko ciekawe, jak się z tego wytłumaczę przed Godfreyem? – pomyślała.

– Barbaro, czy ty mnie słuchasz?

Ale jeśli nawet słuchała, to nie odpowiadała. Do kuchni znów weszła Felicity, przyniosła tacę. Barbara otrząsnęła pianę z rąk, odwróciła się od zlewu i powiedziała normalnym, mamusinyim tonem:

– Mogłabyś odprowadzić panią Preece do drzwi, skarbie? Już na nią pora, a widzisz, że ja jestem zajęta.

Anne się nie opierała. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy Barbary Waugh.

Urodziny najmłodszego dziecka Olivii Fulwell były połączeniem kiermaszu parafialnego i przyjęcia w starym stylu. Jak podejrzewał Jeremy, zeszli się wszyscy, razem z psami. Anne nie bardzo wiedziała, ile lat kończy dziecko ani nawet czy to chłopiec, czy dziewczynka. Za każdym razem widziała je okutane w jakiś bezpłciowy kombinezon.

Kiedy przygotowywali się do wyjścia na imprezę, Jeremy nakręcił się do białej gorączki. Dzięki swojemu przyjacielowi, handlarzowi antyków z Morpeth, znalazł, jak sądził, idealny prezent: diabełka z groteskową rzeźbioną głową, który z piskiem wyskakiwał ze skrzynki.

– Nie był bardzo drogi. – Kucał na podłodze otoczony ozdobnym papierem, wstążkami i taśmą klejącą. Od czasu do czasu spoglądał na Anne. – Ale z klasą, nie sądzisz? Lepszy niż ta współczesna tandeta, którą dostają dzieci. Coś, co się wyróżnia. Ale co napisać na bileciku? Na pewno nie pamiętasz imienia tego gnojka?

– Na pewno. – Jakby ją to w ogóle obchodziło. Nie miała najmniejszej ochoty wbijać się w sukienkę i gawędzić z krzyżującymi się między sobą przedstawicielami miejscowej arystokracji. Poza tym przyszło jej do głowy, że Barbara i Godfrey też mogli dostać zaproszenie. Nie wiedziała, jak sobie poradzi w takiej sytuacji. – Napisz po prostu: „Od Jeremy’ego i Anne”.

– Cóż, to chyba musi wystarczyć – odparł, po czym

dodał zamyślonym tonem: – Uważasz, że „Z wyrazami miłości od Jeremy’ego i Anne” to będzie przesada? – Jeremy uwielbiał się stroić na takie okazje. Jego ubranie, nienagannie wyprasowane, czekało wyłożone na łóżku już od paru godzin.

Przyjęcie odbywało się na dworze. Nawet toalety – do których kierowały dyskretne drogowskazy – znajdowały się w stajniach, tak żeby nikt z okolicznej hołoty nie przekroczył progu pałacyku. Anne pomyślała, że pogoda dopisała gospodarzom. Farciarze. Zapowiadano, że niedługo ma nastąpić pogorszenie. Jasne, siarkowożółte chmury momentami przesłaniały słońce. Było bardzo gorąco i wilgotno. Prognozy wspominały o burzach.

Dzieci siedziały przy stole na kozłach nakrytym papierowym obrusem. Na głowach miały kolorowe czapki. Pewnie wcześniej rozdawano krakersy, bo wszystkie maluchy były uzbrojone w trąbki, gwizdki i inne hałaśliwe zabawki. Zgromadziła się cała grupa przedszkolna – wspaniałe demokratyczne posunięcie – choć, o ile Anne się zorientowała, zaproszono raptem dwie matki: nauczycielkę i żonę jednego z dzierżawców. Dzieciaki jadły kiełbaski, frytki i jaskrawopomarańczowe galaretki, podane na papierowych talerzykach. Matka nauczycielka, zaniedbana kobieta z przedwcześnie posiwiałymi włosami, w płaskich butach, sterczała za plecami swojego potomka, mamrocząc pod nosem do nikogo konkretnego coś o chorobie wściekłych krów i oznaczeniach E. Jej córka najwyraźniej nie przywykła do tak nieograniczonych ilości chemikaliów i cukru, bo jadła łapczywie, nie zwracając

uwagi na matkę i kolegów, którzy próbowali z nią rozmawiać.

Na środku stołu stał tort przedstawiający postać z najnowszego hitowego serialu dla dzieci, pokryty fioletowym lukrem. Kolorowe cukierki układały się w imię Lizzy. Tym sposobem rozwiązała się zagadka płci dziecka, pomyślała Anne.

Dla dorosłych zorganizowano więcej ogrodowych stołów z bufetem i barem. Jedzenie standardowe, z cateringu – Jeremy z pewnością będzie potem kręcił na nie nosem. Zadbano też o dodatkowe atrakcje, które miały zająć dzieci, żeby dorośli mogli w spokoju rozmawiać i pić: dmuchany zamek do skakania, karuzela z galopującymi końmi zasilana osobnym generatorem, połykacz mieczy i ognia.

Mimo podłego jedzenia Jeremy doskonale się bawił. Instynktownie wyczuwał gości z pieniędzmi czy tytułami. Brał ich na cel i bezwstydnie się do nich mizdrzył. Diabełek z pudełka zrobił furorę. Owszem, Lizzy wybuchnęła płaczem, kiedy wieczko odskoczyło, ale zdaje się, że ta cała impreza w ogóle trochę ją przytłaczała. Olivia piała z zachwytem nad prezentem. Wzięła nawet Jeremy'ego do domu, żeby spytać o jego opinię na temat obrazu, który ostatnio spodobał jej się na aukcji. Jeremy był w siódmym niebie.

Kiedy oboje zniknęli w pałacyku, Anne nagle znalazła się obok Roberta Fulwella, potężnego mężczyzny po pięćdziesiątce. Popękane naczynka na policzkach dodawały mu rumieńców; najwyraźniej większość czasu

spędzał na powietrzu albo za dużo pił. Wyglądał, jakby zszedł z dziewiętnastowiecznego obrazu ze sceną myśliwską. Ale teraz stał sobie, pociągając ze szklanki sok pomarańczowy, i obserwował całe zamieszanie z lekką konsternacją.

– Uroczę przyjęcie – zagadnęła Anne.

Obejrzał ją z góry na dół, jak gdyby nie potrafił się zdecydować, czy warto w nią inwestować słowa. Uznał chyba, że warto, ale niewiele.

– Pomysł Livvy.

Można by go nawet uznać za przystojnego, jeśli ktoś lubi takich muskularnych, przyciężkich osiłków. Chyba wyczuł jej aprobatę i odwzajemnił się, bo dodał już trochę bardziej przyjaźnie:

– Mnie by wystarczyła do szczęścia sama rodzina. Livvy znów przywiozła chłopców ze szkoły na weekend.

– Fajnie.

– Mhm – mruknął nie do końca pewny.

– A co z resztą rodziny?

Odstawił szklankę i wziął sobie kurzą nóżkę z papierowego talerzyka, który trzymał niezręcznie w drugiej dłoni. Kiedy wgryzł się w mięso, Anne zauważyła, że jego zęby są zaskakująco małe i ostre jak u lisa.

– Jakiej rodziny?

– Livvy nie ma żadnych ciotek albo wujków?

– Nikt nie mieszka w okolicy.

– A Edmund? – Nawet w tej chwili nie wiedziała, dlaczego sprowokowała konfrontację. Może z nudów. Żeby nabroić. Żeby zrobić na złość Jeremy'emu, który nie

uważał za poniżające grać dworskiego błazna przed bandą snobów.

Robert odłożył kurczaka; ostrożnie, z namysłem odstawił talerz na stół. Przez moment myślała, że uwolnił rękę, aby ją stąd wyrzucić.

– Kim pani jest?

– Anne Preece. Mieszkam w Priory. Spotkaliśmy się parę razy.

– Pani zna Edmunda?

– Znałam jego córkę.

– Ach, zespół oceny wpływu na środowisko. Pamiętam, że Livvy o tym wspominała.

– Może pan spać spokojnie – zapewniła Anne. – Nie znalazłyśmy nic, co uniemożliwiłoby realizację inwestycji.

– Ani przez chwilę nie sądziłem, że na cokolwiek takiego traficie. – Patrzył poza park, poza ganiające się dzieci, na wzgórze. – Ja sam nie jestem zachwycony pomysłem, żeby zbudować tutaj kopalnię, ale nie mamy wyjścia. – Spojrzał na nią. – Jaka była ta dziewczyna?

– Już nie dziewczyna.

Niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Latka lecą.

– Dziwna – odpowiedziała na pytanie. – Potrzebowała pomocy.

– Tak jak jej ojciec.

– On też potrzebował pomocy?

– Zawsze, ale chyba nie takiej, jakiej mogliśmy mu udzielić.

– Prosił was o nią ostatnio?

– Do nas na pewno by się nie zwrócił.

Anne wychwyciła jednak nutę żalu w głosie Roberta i nie była taka pewna, czy powiedział prawdę. Livvy oczywiście by tego nie poparła, ale przecież nie musiała wiedzieć. Czy Robert potrafiłby odwrócić się od brata po tym, jak zamordowano jego córkę?

– Policja go szuka.

– Wiem. Byli tutaj. Jakiś facet i kobieta o twarzy maciory. Zjawia się, kiedy jej przyjdzie ochota. Kiedyś wpadła w czasie kolacji. Jakby człowiek mógł skrzywdzić własne dziecko. Owszem, Edmund miał problemy, ale nigdy by tego nie zrobił.

Jego uwagę odwróciła Arabella, niania. Minęła ich w białej jedwabnej sukience wykończony koronką. Ciuch wyglądał jak halka. Przespacerowała się tutaj chyba tylko wyłącznie po to, żeby przeparadować Robertowi przed nosem.

– Przepraszam – powiedział. – Powinienem iść. Muszę się zająć gośćmi.

Cholerny głupiec, pomyślała Anne.

Żeby się zabawić, wymyśliła sobie grę: zastanawiała się, gdzie Robert mógł upchnąć Edmunda. Na pewno nie w domu. Owszem, pałacyk był dość duży, by schować całe stado młodszych braci uciekających przed glinami, ale Robert bał się Livvy i nie chciałby, żeby się dowiedziała. Mógł opłacić bratu pobyt w pensjonacie albo hotelu, ale ostatnio Vera upubliczniła poszukiwania Edmunda. Jego twarz pojawiała się w telewizyjnych wiadomościach i na pierwszych stronach ogólnokrajowych gazet. Z pewnością

rozpoznałby go ktoś z gości hotelowych. Więc gdzie?

Rozmyślała nad kryjówkami na terenie posiadłości i natychmiast odrzuciła maszynownię kopalni. Mimo zamieszania, jakiego narobiła Vera, Anne jakoś nie umiała sobie wyobrazić Edmunda koczującego w takim miejscu. O ile wiedziała, wszyscy farmerzy z trudem utrzymywali dzierżawy, wątpiła więc, żeby gdzieś znajdował się opuszczony dom, w którym Edmund by się przyczaił. Może Robert wybrał jakieś miejsce bliżej pałacyku?

Na końcu alei stały dwa bliźniacze budynki. Anne zdała sobie sprawę, że Grace jest wariatką, kiedy przyłapała ją, jak gapi się na jeden z nich. W pierwszym mieszkał leśniczy z żoną: Janet była zapaloną ogrodniczką; Anne znała ją dość dobrze, by zamienić parę słów na pocztce albo pożyczyć od czasu do czasu jakiś katalog nasion. Mieli dwójkę nastoletnich dzieci, które zatruwały Janet życie głośną muzyką i swoimi niemiłymi kolegami. Drugi bliźniak stał pusty od wyprowadzki Neville'a Furnessa. Nowy menedżer zgrywał wielkiego pana i miał własne lokum. Domy były paskudne, ale solidnie zbudowane, więc Janet z mężem raczej nie słyszeliby przez ścianę nowego sąsiada, szczególnie przy nieustannym hałasie panującym w ich własnych czterech kątach.

Jeremy stał otoczony wianuszkami wykwiłtnie ubranych starszych pań. Oczarowane słuchały jego opowieści. Czasami któraś z nich wybuchała arystokratycznym śmiechem. Anne je zignorowała.

– Jem, ja wracam. Padam z nóg. – Damy

zachichotały, jakby na scenie pojawił się drugi komik.

– Ale ominą cię fajerwerki. Nie chcesz, żebym ja też jechał?

– Nie, oczywiście że nie. Zostań.

– Pożegnałaś się z Olivią?

– Jest zajęta. Zrób to w moim imieniu, dobrze?

– Jasne. – Był zachwycony, że ma pretekst jeszcze raz porozmawiać z Livvy. – Jasne.

Anne niezauważona wymknęła się z tłumu gości. Dzieci zjadły już podwieczorek i gorączkowo, bez ładu i składu ganiały od jednej atrakcji do drugiej. Były drażliwe, nabuzowane. Chłopcy bili się w nadmuchiwym zamku, splątani w turlający się kłęb rąk i nóg; najmniejszy płakał. Dorośli wciąż nie zwracali na to uwagi, podnosili tylko głosy, by przekrzyczeć hałas.

Anne ruszyła aleją między rzędami drzew. Głosy i muzyczka z karuzeli przycichły. Panował tu niesamowity spokój. Jętki obsiadły jej ramiona i włosy.

Choć raz w domu leśniczego panowała cisza. Rodzina zapewne została zaproszona na przyjęcie. Anne się rozejrzała. Żadnych samochodów, ludzi. Otworzyła bramę pustej posesji i weszła do ogrodu. W oknach wisiały zaciągnięte kotary, więc nie mogła zajrzeć do środka. Próbowała sobie przypomnieć, czy tak samo było, kiedy stała tutaj z Grace. Zapukała do drzwi od frontu. Nikt nie otworzył i nawet nie drgnęły, kiedy nacisnęła klamkę. Przeszła na tyły, do kuchennego wejścia.

W oknie kuchni były rolety. Pod drzwiami stał czarny plastikowy kubek na śmieci. Anne uniosła klapę: puszki po

zupie i fasoli, zgniecione kartony po mleku i sokach, puszki po piwie. Cuchnęły, ale nie tak, jakby leżały tu parę miesięcy.

W pałacyku zaczęli puszczać sztuczne ognie. Raca śmignęła w górę i eksplodowała nad jej głową. Anne przekręciła gałkę i pchnęła drzwi. Otworzyły się, więc zakradła się do środka.

Rachael słyszała fajerwerki w chacie Baikie.

Choć było jeszcze jasno, widziała kolorowe gwiazdy wybuchające nad horyzontem. Wzięła sobie kubek z herbatą na dwór, bo w chacie zrobiło się duszno i gorąco, a widok pudeł i worków piętrzących się w saloniku lekko wytrącał ją z równowagi.

Kiedyś Constance Baikie urządzała tu swoje słynne przyjęcia. Odcięta od świata niczym statek na oceanie patrzyła, jak elegancko ubrani ludzie śmieją się i tańczą przy muzyce z nakręcanego gramofonu. Na tych przyjęciach bywało wiele postaci z dzisiejszego dramatu – Robert Fulwell, Neville Furness, Vera Stanhope. Teraz pokój wyglądał jak obóz przejściowy. Jutro chata zostanie zamknięta, klucz schowany pod kamienną donicą. Pokoje będą stały puste i wilgotne, dopóki przyszłego lata nie zjawi się kolejna grupa studentów.

Edie też wydawała się niespokojna. Wróciłaby na noc do Kimmerston, ale Vera i Joe Ashworth wprosilili się na pożegnalnego drinka i nie chciała, żeby to ją ominęło. Poza tym musiała dokończyć sprawę z Rachael. Dotrzymała słowa i spisała historię jej ojca.

– Rozczarujesz się – powtórzyła, wręczając córce kilka kartek pokrytych okrągłym, równym pismem. To stało się jej usprawiedliwieniem wcześniejszego milczenia na ten temat: nieciekawa historia, nie ma czego opowiadać. – Jeśli wyobrażasz sobie ojca jako kogoś w rodzaju Edmunda Fulwella, pijanego awanturnika, który

przemierza świat w poszukiwaniu sensacji, to się zawiedziesz. – Ostatnie zdanie oczywiście miała przećwiczone.

Rachael nie zamierzała czytać, gdy Edie sterczała obok i czekała na reakcję, więc położyła kartki na trawie obok kubka i wyciągnęła się na leżaku. Patrzyła na fajerwerki: blade rozbłyski na coraz bardziej zachmurzonym niebie. Ale jak tylko matka weszła do środka, wzięła kartki do ręki.

Zdażyła przeczytać zaledwie pierwsze zdanie: „Poznałam Twojego ojca w prima aprilis”, kiedy przerwali jej Vera Stanhope i Joe Ashworth. Pani inspektor miała na sobie sukienkę z materiału, który nadawałby się na obicie kanapy. Joe wyglądał tak, jakby pozwolono mu przyjść z łaski. Kroczył z tyłu objuczony koszem piknikowym. Obeszli dom i trafili prosto do ogrodu.

Joe wyjął z kosza kraciasty koc, rozłożył go na trawie, żeby Vera miała na czym usiąść, potem wystawił kilka talerzy zabezpieczonych folią spożywczą i butelkę szampana.

– Mamy co świętować? – Rachael zauważyła, że Vera jest w dziwnie radosnym nastroju i zastanawiała się, czy złapała zabójcę; czyżby inspektorka dotrzymała ostatecznego terminu, który sobie wyznaczyła? Odłożyła list z powrotem na trawę, pismem w dół. Nie była zła, że jej przeszkodzono; zaskoczona stwierdziła nawet, że poczuła ulgę.

– Connie zawsze piła szampana – oznajmiła Stanhope. – Uznałam, że warto podtrzymać tradycję. A

żona Joego upiekła nam ciasto – dodała złośliwie. – To nie to samo, ale miło z jej strony.

– Sał piecze przepyszny biszkopt czekoladowy – powiedział Joe, który chyba nie zdawał sobie sprawy, że stał się obiektem kpiny. Albo w ogóle się tym nie przejmował.

– Na pewno się ucieszy, że będzie pana częściej widziała w domu. – Edie wyszła przez tarasowe drzwi z kieliszkami, butelką wina i paczką chipsów na krzywej cynowej tacy.

– Jeszcze sobie poczeka na to szczęście – odparła Vera. – To, że wy się stąd wyniesiecie, nie znaczy, że i my znikniemy. Przed nią jeszcze mnóstwo czasu na pieczenie ciast.

– Ciekawe, co powiedziałyby na to wszystko panna Baikie. – Rachael podniosła się, żeby postawić oparcie leżaka.

– Na zabójstwo? Byłaby zachwycona. Uwielbiała dramaty. – Vera się zadumała. Rachael spodziewała się kolejnej serii wspominków z wizyt z ojcem, ale się myliła. – A gdzie pani Preece?

– W Hall jest przyjęcie.

– Co za brak wyczucia – oburzył się Joe. – Dziewczynę ledwo co pochowali.

– Wyższe sfery nie słyną z wyczucia – skwitowała Vera. – No dobrze, chyba nie będziemy czekać, aż butelka się zagrzeje. Czyń honory, Joe. – Puściła oczko do pozostałych dwóch kobiet. – Skoro jesteś tu jedynym mężczyzną.

Sierżant zrobił niepewną minę.

– Nigdy nie otwierałem szampana. Takiego prawdziwego.

– No to dawaj. Szkoda, żebyś porozlewał. – Chwyciła butelkę między nogi i zaczęła ostrożnie ją obracać, kiedy zadzwoniła jej komórka. – Do diabła. Odbierz za mnie, Joe.

Ashworth wyjął telefon z kieszeni kardigana szefowej i otworzył klapkę. Po pierwszych słowach wstał i wszedł do chaty. Vera sprawiała wrażenie zupełnie niezainteresowanej. Kiedy korek wyskoczył z głuchym puknięciem, nałała do kieliszków.

– Dla Joego tylko kropelka – zastrzegła. – Będzie prowadził.

Rachael, popijając szampana, zerknęła do domu na sierżanta – dyskutował z kimś z powagą. Nie miała przeczucia tragedii tak jak przed śmiercią Grace. Pomyślała, że Joe pewnie rozmawia z żoną. Sal pyta, kiedy można się go spodziewać w domu. Przekazuje mu nowiny o synku. W końcu zamknął telefon i podszedł do drzwi.

– Mogę prosić na słówko, pani inspektor?

– Człowieku, co z tobą? – Vera siedziała na kocu z rozsuniętymi nogami i sukienką podciągniętą powyżej kolan. Opróżniła już cały kieliszek. – Wyluzuj, nie chcę jeszcze jechać.

– Nie o to chodzi.

– No więc o co? Wykrztuś wreszcie.

Zawahał się, spojrzął na Rachael i Edie.

– Ktoś wezwał policję do Holme Park.

– No i? – Zobaczyła, że Joe nadal gapi się na pozostałe dwie kobiety. – Na litość boską, człowieku, cokolwiek to jest, i tak się dowiedzą.

– Zwłoki.

– Czyje?

– Nie ma jeszcze pewnej identyfikacji.

Vera była już na nogach i patrzyła w dół na Rachael.

– Musicie czekać – oznajmiła. – To jest zawsze najtrudniejsze. Jak tylko się dowiem, co się dzieje, przyślę tu kogoś z informacją. Obiecuję. I zostawiam wam Joego, dopóki ktoś go nie zmieni. Chyba że wolicie jechać do Kimmerston?

– Nie – odparła Rachael. – Zaczekamy.

– Więc sio do środka. Na wszelki wypadek.

Rachael siedziała w fotelu Constance Baikie, otoczona czarnymi workami na śmieci, i czytała o swoim ojcu. Swojego czasu uważałaby to za najważniejszą rzecz w życiu. Teraz był to tylko sposób, żeby zająć czymś głowę. Z trudem skupiała się na treści. Zaczęło padać – duże, ciężkie krople waliły w szyby jak drobne kamyki. Zauważyła, że zostawili koc na trawie, ale gdy chciała go przynieść, Joe nie wypuścił jej na dwór.

Część III VERA

Vera Stanhope siedziała na kraciastym kocu na trawie przed chatą Baikie, żłopała szampana i bardzo wyraźnie przypominała sobie dzień, kiedy po raz ostatni widziała Constance żywą. Kusiło ją, żeby opowiedzieć o tym Rachael i Edie, bo wiedziała, że lubią słuchać jej opowieści. Może smak szampana tak wyraźnie przywołał tę scenę w jej pamięci, bo tamtego dnia też pili szampana. Choć Constance, już bardzo chora, nie mogła sama utrzymać kieliszka. Podparli ją poduszkami na kanapie, jej ogromne ciało wylewało się niczym galareta poza krawędź; odnosiło się wrażenie, że zwisająca część przeważy i ściągnie ją na podłogę. Vera przyjechała do chaty z ojcem. Zabrała go swoim samochodem, bo on też się już starzał. Cały wcześniejszy tydzień miała nocne dyżury i była wykończona. Towarzystwo ojca zawsze wysysało z niej energię, ale uparł się, żeby pojechać w odwiedzin, a nawet wtedy, pod koniec życia, potrafił narzucić jej swoją wolę. Poza tym wołała, żeby nie jechał do Connie sam. Chodziło nie tylko o jego bezpieczeństwo; martwiła się też, co mógłby wykombinować.

Bo jej ojciec był uzależniony. Nie powiedziała tego tym kobietom, kiedy opowiadała im historyjki o dzieciństwie spędzonym w górach. Nie zwierzyła się, jak z wiekiem coraz lepiej rozumiała, dlaczego zabierał ją na wędrówki i pokazywał gniazda skowronków i białorzytek, kazał patrzeć, jak sokoły wędrownie spadają na zdobycz. Jej ojciec notorycznie kradł ptasie jaja. Ale nie traktował

tego jako zabawy, tak jak niektórzy mali chłopcy. Była to jego obsesja. I to był biznes. Te jajka zarobiły na jego emeryturę. Już jako dziecko się zorientowała, że służy mu za przykrywkę. W niebezpiecznych miejscach, strzeżonych przez leśniczych i elektryczne pastuchy, posyłał ją, żeby kradła jajka za niego.

Młodej, ambitnej policjantce nie na rękę było posłać ojca przed sąd za pogwałcenie ustawy o ochronie dzikiej i wiejskiej przyrody, więc niechętnie puszczała go w góry samego. Przysięgał, że skończył z kolekcjonowaniem jaj, ale ona nigdy nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Nałogowcy zawsze kłamią. A nawet jeśli mówił prawdę, Connie Baikie zawsze umiała owinąć go sobie wokół palca. Dzieliła z nim tę obsesję. Mogła sobie być zbyt stara i chora, żeby rozrabiać osobiście, ale Hector, ojciec, zrobiłby dla staruszki wszystko.

To on wpadł na pomysł, żeby kupić szampana.

– Dziewczyna się ucieszy – oznajmił.

Vera pomyślała, że ojciec wie, iż Connie jest bliska śmierci, i chce zaskarbić sobie jej łaski, bo chętnie przejąłby jej kolekcję. Sam i tak miał już dużą. Trzymał ją w zamykanych mahoniowych kasetach, każde jajko bezpieczne w gniazdku z waty, w niezamieszkanym pokoju, ukryte w paskudnej mahoniowej szafie. Vera miała nie wiedzieć o tym sekrecie, choć niemal co wieczór zamykał się w tym pokoju jak jakiś stary świntuch ze stertą pornosów.

Nad kolekcją Connie ślinił się i szczyrzył obleśnie, od kiedy Vera pamiętała. Nawet po wejściu ustawy o

ochronie przyrody jajka leżały na widoku. Vera widywała czasem, jak Connie spogląda na gablotki.

– Są całkowicie legalne – mawiała, kaszłąc i sapiąc, by wydobyć z siebie słowa. Prowokowała Verę do sprzeciwu. – Zebrane, zanim ustawa weszła w życie.

Vera widziała jednak, że nowych tac z jajkami przybywa i chętnie zbadałaby ich pochodzenie, gdyby nie fakt, że cała sprawa wiązała się z Hectorem. Więc lepiej niczego nie sprawdzać.

Tak więc siedzieli w chacie, pili szampana i dumali nad przyszłymi losami kolekcji Connie, kiedy nagle pojawił się nieproszony gość. Rozegrał się mały dramat, który niesamowicie ożywił staruszkę. Hector twierdził, że ten incydent prawdopodobnie przedłużył jej życie o parę tygodni.

Do ogrodu wbiegła jakaś kobieta i załomotała w rozsuwane drzwi. To samo w sobie nie było jeszcze dziwne. Turyści czasami naruszali prywatność Connie – prosili o wodę, wskazówki, a nawet o to, żeby wpuściła ich do toalety. Czasami Connie okazywała im łaskę, ale zwykle odprawiała ich z awanturą. Ale ta kobieta była spanikowana. Waliła w drzwi, łomotała w nie pięścią; Vera bała się, że babka stłucze szybę i się pokaleczy.

Była wiosna. Tego roku głębokie śniegi długo topniały, więc potok mocno wezbrał i pędził wartkim gwałtownym nurtem. Kiedy Vera otworzyła drzwi, słyszała huk wody w tle histerycznych krzyków kobiety.

Connie ze swojego miejsca na kanapie nie bardzo mogła wyrzeć do ogrodu, więc bojąc się, że coś ją ominie,

kazała Verze wprowadzić gościa do pokoju. Obolała i znudzona, wyczuła rozrywkę nosem. Kobieta, tuż po trzydziestce, miała stanowczo nieodpowiednie ubranie na górską wędrowkę. Makijaż, legginsy, białe pantofle na obcasach. Słowa wylewały się z jej ust bez ładu i składu.

– Co się stało, moja droga? – wyrzęziła Connie, wręcz buchając troską. – Ta pani jest policjantką. Na pewno pomoże.

Słyszając to, nieznajoma chwyciła Verę pod ramię i wyciągnęła ją na dwór, żeby szukać dziecka. Bo właśnie o to chodziło: o zaginione dziecko. Przyjechali z Kimmerston zobaczyć małe owieczki. Kobieta – miała na imię Bev – uważała, że są urocze, a Gary, jej nowy partner, zasugerował, żeby spędzić tu cały dzień. Zaparkowali na drodze przed bramą farmy Black Law i urządzili sobie piknik. Wiał zimny wiatr, więc siedzieli w samochodzie, bo w kabinie słoneczko miło przygrzewało. Wypuścili Lee, żeby się pobawił. Bo co mu się mogło stać na wsi? To nie to, co miasto pełne zбочeńców i wariatów czających się za każdym rogiem. Prawda?

„No i przysnęliśmy”, powiedziała Bev. Vera, taksując wzrokiem wymięte ubranie i włosy w nieładzie, pomyślała, że to delikatne określenie na coś bardziej energicznego niż drzemka. Kiedy znów wyjrzeli z samochodu, Lee zniknął.

Vera wróciła z Bev do samochodu, uspokajając ją przez całą drogę, że do tej pory dwulatek na pewno już się znalazł. Ale przy samochodzie go nie było. Gary – na pierwszy rzut oka miły człowiek – wydawał się autentycznie zaniepokojony. Był bardzo młody. Na ulicy

mógłby uchodzić raczej za starszego brata Lee niż za potencjalnego ojczyma.

– Krzyczałem do zachrypnięcia – powiedział. – I trąbiłem klaksonem. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Vera zostawiła ich przy aucie, poszła do Black Law i poprosiła Dougiego, żeby telefonicznie skrzyknął ekipę poszukiwawczą. We dwójkę chodzili po wzgórzu, aż zjawily się posiłki. Kiedy wróciła do chaty, Connie koniecznie chciała, żeby jej wszystko opisać. Chłopca, amanta, łzy matki. Pod nieobecność Very ona i Hector najwyraźniej doszli do porozumienia, bo parę dni później zbiór jaj ptaków drapieżnych został dostarczony do domu w Kimmerston. Dołączył do tac w szafie w niezamieszkanym pokoju. Dzień po śmierci ojca Vera spaliła je wszystkie na wielkim stosie pogrzebowym w ogrodzie, nawet nie zaglądając do kaset, razem z notesami Hectora.

Historia zagubionego malca nie miała szczęśliwego zakończenia. Właściwie nie miała go wcale, bo chłopiec nigdy się nie znalazł, nie znaleziono również ciała. Było jednak niepokojące i dziwaczne postscriptum.

Jakiś leśniczy, któremu drapieżniki zapewne zalaży za skórę, napisał do lokalnej gazety i zasugerował, że Lee mógł zostać porwany przez jastrzębia gołębiarza i stał się pokarmem dla młodych. Przekonywał, że gołębiarze są agresywne, niebezpieczne i trzeba je tępić. A zamroczeni ideologią obrońcy przyrody powinni pozwolić leśniczemu wykonywać ich robotę.

List był tak zwariowany, że Vera podejrzewała w tym

rękę Connie. Taki dowcipny sposób, zupełnie w jej stylu, żeby spokojnie wykonać swój plan przy pomocy Hectora. Jednak Beverly uczepliła się tego wyjaśnienia i dołała oliwy do ognia. Bo nagle przypomniała sobie, że faktycznie, duży, potężny ptak wisiał na niebie, kiedy Lee bawił się przy samochodzie. Ogólnokrajowa prasa podchwyciła temat i miała używanie. Sprawa stała się brytyjskim odpowiednikiem australijskiej historii z psami dingo. Beverly zarobiła na zdjęciach i wywiadach tyle kasy, że kupiła Gary'emu nowe auto i zabrała go na wakacje na Cypr.

Vera uważała, że chłopczyk prawdopodobnie podszedł do strumienia, kiedy dorośli zabawiali się w samochodzie, i został porwany przez wezbraną wodę. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Teraz, popijając szampana w to parne popołudnie w środku lata, pomyślała, że to dość niesamowity zbieg okoliczności. Dwie śmierci – bo nie wątpiła, że chłopiec zginął – w niemal tym samym miejscu, choć oddzielone wieloletnią przerwą.

Rachael pewnie rozbawiłaby historyjką o gołębiarzu i leśniczym, ale Vera nie zdążyła jej opowiedzieć, bo z chaty wyszedł Joe Ashworth z bardzo poważną miną i poinformował je o drugim morderstwie. Musiała przyznać, że pobił jej historyjkę w przedbiegach.

W samochodzie Vera natychmiast dopadła krótkofalówki. Darła się jak wariatka, przeklinała, usiłując uzyskać jakiejkolwiek informacje, co się dzieje. Nikt nie mógł z nią porozmawiać. Nikt, kto by cokolwiek wiedział. To nie tak miało się rozegrać. Owszem, liczyła na to, że zabójca zaatakuje raz jeszcze. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej. Ale w Baikie. Na własnym terenie. Nie w Langholme.

Skręciła w aleję i zobaczyła Anne Preece. Ekolożka siedziała na trawiastej skarpie przy poboczu, opatulona szarym kocem, z kubkiem w dłoniach. Padało, włosy Anne wisiały w strąkach. Wbijała wzrok przed siebie. Wygląda jak bezdomna, której odebrali porcję darmowej zupy, pomyślała Vera.

Młody funkcjonariusz zagroził jej drogę, ale kiedy ją rozpoznał, pozwolił jechać dalej. Stanhope zatrzymała samochód przy Anne, opuściła szybę i zawołała:

– W co pani się znowu wpakowała? – Ulga nadała jej głosowi gniewne brzmienie.

Policjant, skołowany, wyjaśnił:

– To pani Preece. To ona znalazła zwłoki.

Vera wygramoliła się z auta.

– My się już znamy.

Zignorowała policjanta i klapnęła na trawie. Wszystkie pytania kierowała pod adresem Anne.

– No więc? Myślałam, że to dziecięce urodzinki. Nie sądziłam, że pani zdoła tu cokolwiek zmajstrować.

Anne odwróciła głowę, żeby spojrzeć na dom. Policja zablokowała drogę. Kolejka samochodów sięgała aż do podjazdu. Panowało straszne zamieszanie, kiedy ludzie usiłowali zawracać; niektórzy powysiadali z aut i zwyczajnie się gapili.

– Chce pani wsiąść do samochodu? – spytała łagodnie Vera.

– Nie. – Gwałtownie pokręciła głową. – Zostanę tutaj, jeśli wolno. Potrzebuję powietrza.

– Gdzie pani mąż?

– Kto go tam wie. Pewnie ciągle pije szampana i bawi publiczność.

– Co się stało?

– Nudziłam się. To impreza zupełnie nie w moim guście. Rozpieszczone bachory, a ich rodzice niewiele lepsi.

Vera uśmiechnęła się z uznaniem, zachęciła Anne skinieniem głowy.

– Rozmawiałam z Robertem. O jego rodzinie. Spytał o Grace, a potem powiedział coś, że była taka sama jak ojciec. Że oboje potrzebowali pomocy. Jakby widział się z Edmundem niedawno. Więc stwierdziłam...

– Że ma wystarczające poczucie winy, żeby udzielić mu tej pomocy?

– Coś w tym stylu. A wiedziałam, że ten dom stoi pusty, odkąd Neville Furness się wyprowadził. To nie tak, że zaplanowałam mieszać się w śledztwo, ale bliźniaki stoją po drodze, a ja byłam ciekawa.

– Powinna mnie pani poinformować – odparła Vera. –

Ale pewnie zrobiłabym to samo.

– Drzwi kuchni nie były zamknięte na klucz.

– Gdzie go pani znalazła?

– W salonie, leżał na szeszlengu. W pierwszej chwili przypuszczałam, że jest po prostu pijany. Na stoliku stała pusta butelka po whisky. Ale pijani ludzie wydają różne dźwięki przez sen. A on nie chrapał ani nic. I wyglądał spokojnie. To znaczy, nie było żadnej krwi. Myśli pani, że popełnił samobójstwo? – Zanim Vera zdążyła odpowiedzieć, dodała: – Bo to Edmund, zgadza się? Wydawał mi się w odpowiednim wieku, ale przecież go nie znałam.

Inspektorka spojrzała na policjanta, a ten kiwnął głową.

– Brat go zidentyfikował.

– Czy w domu był jeszcze ktoś? – podjęła Vera.

– Nie! A przynajmniej ja nikogo nie widziałam i nie słyszałam. Nie wchodziłam na górę.

– Co pani zrobiła?

– Związałam stamtąd, najszybciej jak umiałam. Wiem, że to głupie, ale nie mogłam na niego patrzeć.

– Czy w domu jest telefon?

– Nie sprawdzałam. Pomyślałam o tym, kiedy już wypadłam na dwór, ale nie dałam rady tam wrócić. Nie potrafiłam zdecydować, co będzie najlepsze. Pewnie z powodu szoku. Mój mózg pracował na zwolnionych obrotach. Załomotałam w drzwi sąsiedniego domu, nikt nie otworzył. Wiedziałam, że muszę do pani zadzwonić, ale nie chciałam iść z powrotem na przyjęcie. Do tych

wszystkich śmiejących się, pijących ludzi. Pobiegłam więc do budki telefonicznej we wsi i wykręciłam numer alarmowy. Potem wróciłam tutaj, żeby poczekać na policję.

– Co chce pani teraz zrobić? Możemy odszukać pani męża. Albo zawieźć panią do domu.

– Boże, tylko nie Jeremy. Nie mogę wrócić do Baikie? Spędzić tam ostatniej nocy, tak jak planowałam?

– Nie widzę przeszkód. Jeśli zniesie pani Edie, która pewnie zacznie się nad panią trząść. Ona i Rachael ciągle tam są z Joem Ashworthem. Poproszę kogoś, żeby panią podrzucił. – Vera ruszyła w swoją drogę, ale nagle zawróciła. – Widziała pani kogoś, kiedy szła pani do Langholme, żeby zadzwonić?

– Dlaczego pani pyta? Nie wierzy mi pani?

– Nie o to chodzi. Czy zauważyła pani jakichś obcych? Cokolwiek niezwykłego?

Anne pokręciła głową.

– A kiedy czekała tu pani na nasz przyjazd?

– Minęło mnie kilka samochodów. Ludzie wcześniej wyjeżdżali z przyjęcia. Głównie z dziećmi. Większość jednak została. Dopiero co zaczęły się fajerwerki.

Vera zamierzała wsiąść do auta, ale spojrzała na zakorkowaną aleję i uznała, że lepiej pójść pieszo.

Młody policjant nadal stał przed zwyczajnym ceglanym domem.

– Chce pani wejść?

– Nie. Wolę się tam nie pchać ze swoimi wielkimi stopami, dopóki technicy nie skończą. Więcej wyciągnę od żywych.

Przerwała Robertowi i Livvy w środku kłótni.

Przyjęcie prawie się już skończyło. Paru zaprawionych w bojach imprezowiczów stało pod prowizorycznym baldachimem, utworzonym przez dach częściowo sflaczałego dmuchanego zamku. Podawali sobie butelkę wina. Deszcz zaczynał już tworzyć kałuże na ubitej ziemi i niezadowolony personel demontował stoły i zbierał krzesła na sterty.

Nikt nie zatrzymał Very, kiedy weszła do pałacyku, a była tu wystarczająco dużo razy, żeby umieć się odnaleźć. Robert i Livvy byli w kuchni. Usłyszała ich, jeszcze zanim zobaczyła.

– Jak mogłeś być takim pieprzonym debilem! – wrzeszczała Livvy. – Ten człowiek to chodzące kłopoty. Od zawsze. Nawet wasza matka to wiedziała.

– To chyba nie jest odpowiedni moment na takie słowa. Szczerze mówiąc, uważam, że to chamskie. – Robert był zawzięty, ale też odrobinę urażony. – Mój brat nie żyje, na litość boską. Większość ludzi uznałaby, że należy mi się odrobina współczucia.

– Och, przestań truć.

Vera podeszła do otwartych drzwi i widziała, jak Livvy, odchylona na krzesło, uniosła ręce z niedowierzaniem.

– To mój brat. Nie mogłem mu odmówić.

Gwałtownie przysunęła twarz do twarzy męża.

– Czy ty nie rozumiesz, co narobiłeś? Do tej pory udawało nam się trzymać z daleka od tej afery w górach.

Ale teraz twój głupi brat zabił się w jednym z naszych domów. Jutro zaroi się tu od dziennikarzy. Wyobrażasz sobie, jakie to będzie miało skutki dla nas? Dla chłopców?

Vera się ujawniła.

– Jeszcze nie ustaliliśmy, czy to samobójstwo. Chyba że państwo wiecie coś, czego ja nie wiem.

Livvy odwróciła się błyskawicznie. Przez jeden cudowny moment Vera myślała, że pani Fulwell zeklnie i ją, ale zdołała się powstrzymać.

– Pani inspektor. Co pani sugeruje?

– Nic. Mówię tylko, że nie znamy przyczyny śmierci. Więc nie należy wyciągać pochopnych wniosków. To mogła być przyczyna naturalna.

– To prawdopodobne? – Livvy chwyciła się brzytwy.

Vera jej na to pozwoliła. Wzruszyła ramionami.

– Mocno nadużywał alkoholu.

– Tak. – Livvy za wszelką cenę starała się opanować.

– O ile wiem. – Wstała, zgrzytając krzesłem po kamiennej podłodze. – Właśnie mieliśmy się napić herbaty, pani inspektor. Przyłączy się pani?

Wolałabym wino, stwierdziła w duchu Vera. Ale udała wdzięczność.

– O tak – odparła, podkreślając swój akcent. – Herbata świetnie mi robi.

Livvy przesunęła czajnik na płytę kuchni węglowej. Naczynie zasyczało.

– Proszę mi nie mówić, że sama pani to robi – ciągnęła Vera niby ze zdumieniem. – Sądziłam, że w takich domach jak ten jest służba.

Livvy spojrzała na policjantkę, nie do końca pewna, czy ta mówi poważnie, i uznała, że najlepiej dać wymijającą odpowiedź.

– Och, my tu tworzymy jeden wielki zespół. Wszyscy sprzątają na dworze. Tylko byśmy im przeszkadzali.

– Bardzo miło. – Vera wyciągnęła nogi przed siebie. Na butach miała placki zaschniętego błota po tym, jak przeszła przez trawnik. – To na pewno dla pana bardzo przykra sprawa, panie Fulwell. Najpierw siostrzenica, teraz brat, i oboje śmierć zabrała rzut beretem od pańskiego domu.

– To prawda. – Robert spojrzał oskarżycielsko na Livvy, ale tego nie zauważyła.

– Kiedy ostatni raz widział pan brata żywego?

– Dziś rano.

– Więc pan wiedział, że on się tam ukrywa?

– Tak. I teraz żałuję, że pani nie powiedziałem. Może gdybym to zrobił... Ale nie potrafiłem mu odmówić po tym, co spotkało jego córkę.

– O której się widzieliście?

– Poszedłem tam dwa razy. O dziesiątej zaniósłem mu coś do jedzenia. Potem wróciłem jeszcze około wpół do dwunastej.

– Dlaczego? Czy to nie było ryzykowne? Skoro chciał pan utrzymać miejsce jego pobytu w tajemnicy, czy nie powinien pan ograniczać wizyt do minimum?

– W ciągu dnia niewiele ryzykowałem. Rodzina, która mieszka obok, zwykle jest wtedy poza domem. Ale to prawda, starałem się nie chodzić tam zbyt często. I nie

tylko dlatego, że bałem się, że mnie ktoś przyuważy. Po prostu nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać.

– Więc dlaczego dziś poszedł pan dwa razy?

– Zadzwoił do mnie. Tu, do domu. Zupełnie oszalał. Powiedział, że koniecznie musi się napić. Mówił nawet, że pójdzie do wsi, do pubu. Uznałem, że popełnia wielki błąd, ukrywając się przed panią, i cały czas próbowałem go przekonać, żeby się ujawnił. Ale ostatnia rzecz, jakiej chciałem, to żeby przyszedł mi dzisiaj do domu i zrobił scenę.

No pewnie, pomyślała Vera. Młoda żonka dostałaby szału.

– Więc zaniósł mu pan butelkę whisky.

– Zgadza się. Nie wiem, co go tak nagle wzburzyło. Do tej pory zachowywał się spokojnie. Już prawie go urobiłem.

– Powiedział pan, że Edmund zadzwonił. Zostawił pan tam podłączoną linię?

– Owszem.

– Czy to możliwe, że z kimś rozmawiał? Czy to by nie wyjaśniało zmiany jego nastroju?

– Nie zadzwoniłby do nikogo. Pod koniec popadł już w paranoję. Nikomu nie zdradziłby, gdzie jest.

Livvy ze złością postawiła na stole dzbanek z herbatą.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – To był wariat. Facet chory psychicznie. Raz w górę, raz w dół jak jo-jo. Dlatego matka Roberta nie mogła sobie z nim poradzić. Dlatego skończył w St Nick's.

Vera ją zignorowała.

– Nie dał panu żadnej wskazówki, co go wytrąciło z równowagi? – spytała Roberta.

– Nie mówił zbyt składnie, a tak szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło. Uznałem, że zrobiłem swoje, dałem mu dach nad głową. Ciągłe gadał o jakiejś zdradzie. Tak jak mówiłem, to zahaczało już o paranoję.

– To, że człowiek ma paranoję, nie wyklucza tego, że ktoś chce go dopaść. – Vera wyszczerzyła się radośnie. Nikt inny się nie uśmiechnął. Patrzyła, jak Livvy nalewa herbatę do niebieskich filiżanek. – Moja porcja niech jeszcze trochę pobędzie w dzbanku, kotku. Lubię czuć smak tego, co piję. Edmund mieszkał tutaj, od kiedy opuścił restaurację?

– Boże święty, nie – wykrzyknął Robert przerażony. – Nie zniósłbym takiego stresu.

– Więc od kiedy?

– Najpierw poszedł do Nancy Deakin. Już mnie pani o nią kiedyś pytała. Nie wiem dokładnie, co go skłoniło, żeby tam uciec. Coś go wystraszyło. Zaraz po tym, jak znaleziono ciało jego córki, czuł się wystarczająco dobrze w restauracji.

– Widywaliście się wtedy?

– Oczywiście. – Robert zrobił naburmuszoną i zażenowaną minę. – Złożyłem mu kondolencje. I takie tam. Moim zdaniem trzymał się całkiem nieźle.

– Kontaktowaliście się regularnie?

– Nie, ale w takich chwilach trzeba się trochę postarać.

– A dlaczego wyniósł się od Nancy?

– Przyszły tam te dwie kobiety, które pracowały z Grace. Zadawały pytania. Myślał, że to pani je nasłała, więc odezwał się do mnie.

– Hm, rzeczywiście, paranoja. Jak go pan tutaj ściągnął?

– Pojechałem po niego samochodem. Późno w nocy, nikt nas nie widział.

– I uważał pan, że to rozwiązanie tymczasowe, dopóki nie zdoła go pan przekonać, żeby z nami porozmawiał?

– Właśnie tak.

– Kto wiedział, że pan mu pomaga?

– Nancy Deakin. Nie powiedziałem nikomu innemu. Nawet Livvy. Nie mogłem jej w to mieszać.

Pierdu-pierdu, pomyślała Vera. Boisz się jej, i tyle.

– Czy ktoś całkiem przypadkiem mógłby odkryć, że on tam jest?

– Nie sądzę. Bo niby jakim cudem. Wszyscy w majątku wiedzieli, że dom stoi pusty. A Edmund na pewno nie otworzyłby drzwi akwizytorowi czy gościowi. – Robert urwał na moment. – Proszę posłuchać, chcę, żeby to było jasne. Nie pomógłbym bratu, gdybym uważał, że zabił swoją córkę. Jeśli myśli pani inaczej, to jest pani w błędzie. Edmund był zdruzgotany. Mówił, że to jego wina, ale to nie znaczy, że ją udusił. Powiedział, że powinien ją ochronić. Że nigdy się nie sprawdził jako ojciec. I bał się. Dlatego dziś rano wpadł w jakiś popłoch.

– Ale drzwi kuchenne były otwarte. Jeśli się okaże, że został zamordowany, to by oznaczało, że sam wpuścił zabójcę.

– Nie obchodzi mnie to. – W obliczu tych dwóch groźnych kobiet Robert zaczął uparcie bronić swego. – Może ostatnio rzadko się z nim widywałem, ale byliśmy braćmi. Wychowaliśmy się razem i mówię pani, że on się bał.

Vera wróciła do Baikie bardzo późno, ale była pewna, że lokatorki chaty jeszcze nie śpią. Na pewno chciały wiedzieć, co się stało. Nie żeby miała im dużo do powiedzenia, nawet gdyby zamierzała zdradzać policyjne informacje. Nawet patolog, jej stary przyjaciel, choć bardziej niż większość kolegów skłonny do wyrażenia opinii po wstępnych oględzinach, nie potrafił dać konkretnych odpowiedzi.

Złapała go, kiedy szedł z miejsca zbrodni do samochodu; stanęli osłonięci jego wielkim czarnym parasolem.

– Nie ma żadnych jednoznacznych śladów – powiedział. – Nie został zadźgany nożem ani uduszony.

– Więc to zupełnie nie przypomina zabójstwa jego córki.

– Zupełnie.

– Ale na pewno masz jakieś swoje zdanie.

– Najbardziej prawdopodobny scenariusz na tę chwilę? Facet urznął się do nieprzytomności.

– I to go zabiło?

– Ułatwiło sprawę zabójcy.

– Więc jednak uważasz, że to zabójstwo?

– Skłaniam się w tę stronę. – Milczał przez moment. – Kwestia intuicji. Jeśli wierzysz w takie rzeczy.

– W twoją wierzę.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że został przyduszony, że odcięto mu dopływ tlenu. Ale zdajesz

sobie sprawę, że ja tylko głośno myślę?

– Jak przyduszony?

– Nie jestem jasnowidzem. – Ale mimo wydźwięku tych słów nie był zirytowany. Stał cierpliwie pod parasolem, o który bębnił deszcz. On też nie ma po co wracać do domu, pomyślała Vera. – Zaglądałeś do środka? – zapytał.

– Jeszcze nie.

– Dom jest częściowo umeblowany. Tak go wynajmowali pracownikom. Stoi tam trzyczęściowy zestaw wypoczynkowy z kilkoma ozdobnymi poduszkami. Któraś z nich mogła do tego posłużyć. Ale nie ma śladów walki. On w ogóle nie załapał, co się dzieje.

– Dzięki – odparła Vera. – A czas zgonu?

– Wiesz, że nie lubię tego określać na poczekaniu.

– Wiem.

– Po dwunastej, przed piątą. Ale naprawdę teraz tylko zgaduję.

– Rozumiem.

Był chudym mężczyzną po sześćdziesiątce. Zawsze w ciemnym garniturze, zawsze uprzejmy i pełen spokoju jak przedsiębiorca pogrzebowy. Kiedyś powiedział Verze, że należy do starszyny w małym prezbiteriańskim kościele. O ile wiedziała, wspólnota zastępowała mu rodzinę. Czy to mu wystarczy, kiedy przejdzie na emeryturę?

Odprowadził ją do samochodu, osłaniając parasolem, choć i tak przemokła już do suchej nitki po marszu z pałacyku, a jemu pewnie lało się za kołnierz.

– Zadzwoń, jak tylko będę wiedział coś

konkretnego.

– Oczywiście – odparła. Niechcący musnęła dłonią jego dłoń, kiedy grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczyków.

Tak jak się spodziewała, w chacie Baikie wciąż paliło się światło. Nikomu nie przyszło do głowy zasłonić okien i ogarnęła ją złość na Joego Ashwortha czy osobę, która go zastąpiła. Kobiety siedziały jak cele na strzelnicy, wystawione na atak każdego, kto zacząłby się w ogrodzie lub na zboczu góry za płotem. W następnej chwili pomyślała: przecież sama zrobiłam z nich cele. Ostatecznie właśnie to wyniknęło z mojej strategii.

Była tak przekonana, że ma rację. Wiedziała, że zabójstwo Grace jest powiązane z budową kopalni. Czuła to w kościach. Wyrosła na tej wsi, wśród tych ludzi, którzy do szaleństwa kochali tę ziemię, i sądziła, że ich rozumie. Wyobrażała sobie zabójcę jako wariata z obsesją na punkcie przyrody albo tych kobiet, albo jednego i drugiego. Sądziła, że jeśli będą siedzieć na miejscu, on w końcu wróci. Nie zdoła się oprzeć. Ale najwyraźniej się pomyliła. Teraz musi zacząć od nowa, z otwartym umysłem. A to oznacza pracę. Tyle pracy, że nie miała pewności, czy ją udźwignie.

Zaparkowała na podwórku i weszła przez kuchnię. Sandały przesiąkły wodą, więc zdjęła je przy drzwiach i dalej szła boso, zostawiając mokre ślady stóp na linoleum. Bębnienie deszczu o dach i okna widocznie zagłuszyło warkot jej samochodu, bo ich zaskoczyła. Siedzieli przy stole i grali w karty. Joego Ashwortha zmienił

posterunkowy w mundurze; on też trzymał wachlarzyk w dłoni. Odwrócili się wszyscy i znieruchomieli na moment w miękkim świetle stołowej lampy.

Vera przemaszerowała przez pokój i zaciągnęła zasłony na przeszklonych drzwiach.

– Tak jest o wiele przytulniej – oznajmiła. – Zostało wam coś w tej butelce? Zabiłabym za szkocką.

Edie nalała jej trochę do szklanki.

– Pani Preece powiedziała wam, co się stało.

– Że Edmund nie żyje – odparła Rachael. – Więc już po wszystkim? Zabił Grace, bo nie chciała kłamać dla niego i powstrzymać budowy kopalni, a teraz popełnił samobójstwo.

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić.

Patolog zdradził jej swoje podejrzenia w zaufaniu. Mogła być wredną krową z niewyparzoną jadaczką i łamać większość zasad, ale tych informacji nie zamierzała ujawniać.

– Ale chyba nie został zamordowany?

One tu świętują, pomyślała Vera. Bez wielkiego zamieszania, bo to nie byłoby stosowne po śmierci dwóch osób. Ale naprawdę uważają, że już po wszystkim. Sprawa zamknięta. Koniec zerkania przez ramię na wzgórzach, nerwowego spoglądania w lusterka wsteczne na drodze.

– Posłuchajcie panie – zaczęła. – Nie da się tego powiedzieć na pewno, dopóki patolog nie przeprowadzi wszystkich badań. Muszę zakładać, że to śmierć z przyczyn nienaturalnych, zanim usłyszę, że jest inaczej. Gdybym czekała na wyniki, zmarnowałabym wiele godzin, nawet

dni, podczas których mogę prowadzić śledztwo. Więc będę zadawać pytania. I nie wątpię, że i wy chcielibyście się tego i owego dowiedzieć.

– Co on tam robił? – Pierwsza odezwała się Edie.

– Ukrywał się, choć nie bardzo wiemy dlaczego. Tak naprawdę nie uważaliśmy go za podejrzanego, dopóki nie zniknął.

– Może dręczyły go wyrzuty sumienia – stwierdziła Edie. – Jeśli zabił swoją córkę.

– Może. – Vera popatrzyła na Anne i Rachael. Zależało jej, żeby się rozchmurzyły. Czuła się odpowiedzialna za to, że zepsuła im imprezę. – Był u Nancy Deakin, kiedy pojechałyście z nią porozmawiać.

– Nie! – Udało jej się. Wydawały się ubawione dwulicowością starszej pani. – Musiał cały czas siedzieć w sypialni. Nic dziwnego, że zabroniła nam wejść na górę.

– Słyszałam jakiś hałas, ale przypuszczałam, że to papużka.

– Dlatego przeprowadził się do posiadłości? – spytała Rachael. – Bo zobaczył nas u Nancy?

– Prawdopodobnie tak.

– Więc może to my doprowadziłyśmy do jego śmierci. Tam przynajmniej ktoś miał na niego oko.

– To nie jest wasza wina. Sama was prosiłam, żebyście tam pojechały. – Vera pochyliła się nad stołem. Kobiety odłożyły karty; wachlarzyki leżały odwrócone do góry grzbietami. – Posłuchajcie panie. Muszę działać tak, jakby Edmund został zamordowany. To nie znaczy, że został zamordowany, ale trzeba tak zakładać. Rozumiecie?

Skinęły głowami.

– Kiedy Rachael zasugerowała, że Bella i Edmund mogli się znać, że jednocześnie przebywali w szpitalu, nie potraktowałam tego zbyt poważnie, bo nie widziałam związku ze sprawą. Ofiarą była Grace. Edmund prawie nie utrzymywał z nią kontaktu. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Może Rachael cały czas miała rację. Pamięta pani cokolwiek, co mówiła Bella, a co świadczyłoby o tym, że się znali?

– Ależ skąd. Dopiero po jej samobójstwie dowiedziałam się, że w ogóle była w szpitalu.

– Chodzi mi o najnowsze czasy. Czy coś wskazywało na to, że Bella i Edmund się kontaktowali?

– Nie, nigdy nie wspominała o swoich znajomych. Nie licząc ludzi z Langholme, którzy znali Dougiego od lat, a z nimi też jakoś specjalnie się nie przyjaźniła.

– Ale czasem przecież wyjeżdżała z farmy.

– W środy jeździła do Kimmerston. Na targ. Robiła zakupy. I zawsze jadała wtedy lunch w mieście. Sprawiała sobie taki mały prezent. Opieka społeczna przysyłała kogoś, żeby posiedział z Dougiem pod nieobecność żony.

– A dokąd chodziła na ten lunch?

Rachael wzruszyła ramionami.

– Podejrzewam, że do White Hart, jak wszyscy inni farmerzy.

Verze stanął przed oczami obraz Belli i Edmunda, siedzących w mrocznym pubie. Na pewno by się tam nie spotykali. Bella ceniła sobie dyskrecję. Przecież mógł ich zobaczyć któryś z kolegów Dougiego.

– Nie. – Rachael przerwała jej rozumowanie. – W pasażu handlowym jest taka mała kafejka. Pamiętam, jak wróciła kiedyś, a mieszkałam akurat w chacie Baikie, i przyszła na herbatę i pogaduchy. Ale ciastek nie chciała. Powiedziała, że spałaszowała największą bezę na świecie. W tej kawiarni robili najlepsze bezy, jakie jadła w życiu. – Rachael umilkła na moment. – To takie trywialne.

– Moja praca w większości składa się właśnie z tego. Z trywialnych drobiazgów. Pogaduszek i plotek. Dlatego jestem w tym tak cholernie dobra. – To zabrzmiało dość pewnie, ale Vera wiedziała, że to tylko puste słowa. – Proszę mi opowiedzieć, co się stało, kiedy pojechałyście do Charliego Noble’a.

– Przecież już pani mówiłyśmy.

– Okej. Nie słuchałam jak należy. Nie wydawało mi się to ważne. Edie?

– Bella zadzwoniła tydzień przed śmiercią. Telefon odebrała żona Charliego Louise. Obiecała przekazać mężowi, że Bella dzwoniła, ale nie zrobiła tego, przyznała się grubo później, po naszej pierwszej wizycie. Bella powiedziała, że jeszcze się odezwie.

– Ale więcej się nie odezwała?

– Tak twierdzą.

– Myśli pani, że mogą kłamać?

– Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że Louise nie chciała, żeby Charlie powiedział mi o tym telefonie. Może oboje tego żalowali. Z całą pewnością nie byli zbyt wylewni. I wydaje mi się dziwne, że Bella nie zadzwoniła drugi raz.

Anne słuchała w milczeniu. Wstała od stołu. Podświetlona od dołu przez lampę wyglądała bardzo chudo i mizernie. Cienie padały na jej twarz, wydłużały czoło.

– Przepraszam – wtrąciła. – Jestem strasznie zmęczona. Muszę się położyć.

– Oczywiście!

– Pewnie jutro się nie zobaczymy. Wyjeżdżam wcześniej rano.

– Będziemy w kontakcie – odparła Vera.

– Ma pani więcej pytań?

– Och, zawsze jest więcej pytań. Wy dwie też jutro wyjeżdżacie – zwróciła się do Rachael i Edie, kiedy Anne wyszła już z pokoju i ucichły jej kroki na drewnianych schodach. – Dom będzie pusty. Zostanie tylko duch Connie – urwała niezręcznie. Próbowwała jakoś delikatnie sformułować swoje pytanie do Rachael, ale uznała, że obcesowo i szczerze będzie bardziej w jej stylu i szybciej doprowadzi ją do celu. – Planuje pani spotkać się jeszcze z Neville'em Furnessem?

– Czemu pani pyta?

– Bo powinna pani wiedzieć, że jemu też będę zadawać więcej pytań.

– Co on ma wspólnego ze śmiercią Edmunda?

– Nic. Prawdopodobnie. Nie licząc faktu, że mieszkał w tamtym domu. A według Roberta Fulwella nikt nie pamięta, żeby oddawał klucze.

Przez chwilę panowała cisza.

– Oszukujemy się, prawda? – rzuciła w końcu

Rachael. – Edmund został zamordowany.
Nie dostała odpowiedzi.

Vera obudziła się wcześniej, tuż zanim pierwszy pociąg do Edynburga zaczął burczeć w oddali. Zdecydowała się jeszcze nie wstawać. Poczekala, aż z hukiem przejechał obok domu, trzęsąc oknami w jej sypialni. Ale nie pociąg ją obudził. Wychowała się z pociągami, pamiętała lokomotywy parowe, wózki pełne baniek z mlekiem na platformach, wiklinowe kosze z wyścigowymi gołębiami, dowożone przez staruszków w tweedowych czapkach.

Vera nie wiedziała, dlaczego Hector kupił ten dom przy torach niedługo po tym, jak się urodziła. I nigdy go nie zapytała. Ta stacja kolejowa, zamknięta dawno temu, służyła osadzie oddalonej o kilometr i pobliskim farmom. Budynek – z szarego kamienia, z małymi oknami – stał przodem do torów. Podejrzewała, że Hectorowi odpowiadało, że może stąd urządzać te swoje wyprawy w góry po ptasie jaja, a w tamtych czasach, kiedy pociągi jeszcze się tu zatrzymywały, miał raptem dwadzieścia minut jazdy do Kimmerston, gdzie uczył w podstawówce. Był samotnikiem z natury. Nie potrafiła go sobie wyobrazić na eleganckim, nowym osiedlu, jak gawędzi o ratach kredytu hipotecznego czy najnowszym modelu opla.

Już jako dorosłej przyszło jej do głowy, że przyciągnęli go tu państwo Gregory. Pan Gregory pracował jako zawiadowca stacji, a jego żona opiekowała się Verą do czasu, aż ta podrosła na tyle, żeby samodzielnie wrócić ze szkoły i przygotować ojcu podwieczorek przed

przyjazdem jego pociągu. Całkiem możliwe, że Hector zawarł jakąś umowę z panią Gregory, zanim przeprowadził się tu z córką. Nikt nic nie powiedział, ale Vera domyślała się, że pan Gregory mógł należeć do bractwa zbieraczy jaj. Cechowała go ta specyficzna pedanteria, ta staranność. A Hector z całą pewnością nie miał nic przeciwko temu, żeby mieszkać przy linii kolejowej. Kiedyś przyłapała go, jak spisywał numery pociągów w jednym ze swoich notesów.

Vera lubiła panią Gregory. Ciepła kobieta w matczynym typie, której dzieci pozakładały już własne rodziny. Nawet kiedy Hector przestał płacić jej za opiekę, Vera traktowała królestwo zawiadowcy jak swój drugi dom. Kiedy stację zamknięto i państwo Gregory się wyprowadzili, płakała, choć nigdy nie pokazała tych łez ojcu.

Wstała z łóżka i rozsunęła zasłony. Z jej pokoju nie było widać torów, okna wychodziły na płaską łąkę, ciągnącą się w stronę gór. O tej porze roku w wysokiej trawie rosły jaskry i koniczyna. Deszcz ustał, ale wszystko było mokre, błyszczące. Vera spojrzała na zegarek. Szósta. Za wcześnie, żeby dzwonić do Ashwortha. Odrobinę.

Po wyprowadzce państwa Gregory dom zawiadowcy kilkakrotnie zmieniał właściciela. Ostatnio przejęła go parka po czterdziestce, z zapędami w kierunku New Age. Kupili sobie pole po drugiej stronie torów, uprawiali rośliny i hodowali zwierzęta. Ze swojego okna Vera widziała uwiązaną na łące kozę i ogrodzony drucianą siatką wybieg dla kur. Zapiał kogut. Może to ją obudziło.

Leżąc w wannie, planowała dzień. Gdyby nie fakt, że

już przywykła, łazienka wpędziłaby ją w depresję. Emalia w wannie popękana i złuszczone. Ściany wyłożone białymi kafelkami z szarzejącą fugą. W żyrandolu z matowego szkła garść martwych much. Nie licząc spaleni zawartości szafy z niezamieszkanego pokoju, po śmierci ojca Vera nie wprowadziła w domu żadnych zmian. Snuła plany, ale nie mogła się zebrać.

Zanim się wykapała i ubrała, zrobiła się prawie siódma. Chrzanić to, pomyślała. Jeśli sam jeszcze nie wstał, to już powinien.

Joe Ashworth odebrał natychmiast, ale miał przestraszony głos człowieka wyrwanego ze snu.

– Chyba cię nie zerwałam, co? – odezwała się Vera.

– Owszem. – Krótko i zwięźle. Taka mrukiwość nie była w jego stylu.

– Myślałam, że niemowlęta to ranne ptaszki.

– Nie spał całą noc, bo ząbkuje. Dopiero co go uśpiliśmy.

– Przepraszam. – Powiedziała to szczerze, nawet jeśli tak to nie zabrzmiało.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Muszę załatwić dzisiaj rano parę rzeczy. Możesz przyjechać do Holme Park? Zaczynij ustalać, kto wczoraj brał udział w przyjęciu. Livvy Fulwell powinna mieć listę gości. Ciekawe, czy znajdą się tam jakieś znajome nazwiska.

– Na przykład czyje?

– Ludzi związanych z kopalnią. Godfrey Waugh, Peter Kemp, Neville Furness. To są biznesowi znajomi

Fulwellów. Całkiem możliwe, że dostali zaproszenia.

– Czy w takim razie pani Preece by o nich nie wspomniała?

– Nie pytałam. Była jeszcze w ciężkim szoku. Poza tym tam się kłębił niezły tłum. Mogła ich nawet nie zauważyć.

– A wolno mi spytać, co pani zamierza robić?

– Ja? Idę na kawę.

Poprzedniego wieczoru posłała funkcjonariusza do Roda. Pan Owen wspierał Edmunda bardziej niż rodzina i zasługiwał na to, by go osobiście powiadomić o śmierci przyjaciela. Wykazując się – w swoim przekonaniu – wielką wyrozumiałością, najpierw zjadła pszenne płatki i zadzwoniła do niego dopiero po śniadaniu. Zakładała, że restauratorzy późno kładą się spać.

Kiedy jednak odebrał, jego głos brzmiał rześko i profesjonalnie.

– Restauracja Harbour Lights.

Zaczęła się przedstawiać, ale najwyraźniej poznał jej głos, bo przerwał tę prezentację:

– Są jakieś wieści?

– Jeszcze nie. Ale chciałabym o coś spytać. Czy Edmund miał regularny wolny dzień?

– Tak. Od samego początku. Od kiedy wrócił do pracy po wyjściu ze szpitala. W jego życiu mało było rutyny, ale tego się trzymał. To chyba coś w rodzaju przesądu.

– A ten dzień to...?

– Środa.

– Wie pan, co wtedy robił?

– Konkretnie nie, ale zawsze gdzieś szedł. Nawet jeśli akurat wpadał w ciąg, zwykle udawało mu się elegancko ubrać, ogolić. Wychodził z mieszkania około wpół do jedenastej.

– Pracował u pana przez tyle lat i nigdy nie powiedział, dokąd chodzi?

– Nie pytałem. Nie mój interes. Przecież to mogła być jakaś terapia indywidualna. Osobiste sprawy.

– To musiało być gdzieś niedaleko, bo Edmund nie prowadził samochodu. Gdyby to była terapia, to czy nie odbywałaby się w St Nick's?

– Z całą pewnością nie chodził do szpitala. Zwierzył mi się, że ciągle ma ciarki, kiedy mija to miejsce i że w życiu nie chciałby znów przekroczyć progu St Nick's. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby bywał gdzieś w mieście. Kiedyś widziałem go w kolejce do autobusu przy przystani.

– Wie pan, dokąd jechał ten autobus?

– Chyba pani żartuje. To było sto lat temu. Nawet gdybym zauważył, teraz już bym nie pamiętał.

W drodze do Kimmerston Vera minęła sąsiadkę z domu zawiadowcy. Kobieta wychodziła z zagrody dla kur, trzymając w dłoniach płaski koszyk z jajkami. Pomachała, po czym pokazała na migi, że ma nadmiar jajek, gdyby Vera chciała parę dla siebie. Można powiedzieć, że ta parka wzięła ją pod skrzydła. Vera zastanawiała się, czy wiedzą, jak zarabia na życie, i czy nadal traktowałiby ją tak przyjaźnie, gdyby się dowiedzieli.

Komenda w Kimmerston mieściła się w ponurym budynku z czerwonej cegły, naprzeciwko dworca

autobusowego. Niebieskie drzwi pokrywał kurz, mosiężne klamki zaśniedziały. Verę kusiło, żeby zatrzymać się i sprawdzić godziny odjazdów autobusów z przystani do Kimmerston w środowe przedpołudnie. Pomyślała, że z okna swojego gabinetu mogła nawet widzieć Edmunda, jak wysiada z jednego z tych kremowo-brązowych autobusów. Jeśli rzeczywiście jeździł do Kimmerston. Czuła w kościach, że tak było.

Nie zatrzymała się jednak. Wiedziała, że jeśli teraz zabierze się do pracy, to już się nie wyrwie. Przejechała obok komendy w stronę parkingu przy pasażu handlowym. Dochodziła dziewiąta, godzina szczytu na ulicach. Verze skoczyło ciśnienie, z trudem oparła się pokusie, żeby nie zatrąbić albo nie pokazać palca jakiemuś młodemu picusowi w srebrnym mondeo, który wyjechał jej przed samym nosem.

W centrum handlowym znajdowała się tylko jedna kawiarnia. Jeszcze zamknięta, chociaż Vera dotarła na miejsce z opóźnieniem. Witryna wychodziła na patio centrum. Słońce lało się przez szklany dach. Przenikając przez krople deszczu, tworzyło wzorki na betonie. Przed kawiarnią stały plastikowe stoliki i krzesła, ale poustawiane jedno na drugich. Vera nigdy nie należała do osób cierpliwych. Zaczęła z klekotem szarpać zamknięte drzwi lokalu i łomotać w szybę.

– Co pani wyprawia?

Z zaplecza wyszła kobieta w średnim wieku, ze sztywno wyprostowanymi plecami i wściekłą miną.

– A na co to wygląda?

– Otwieramy dopiero o dziesiątej. W pasażu jest automat, jeśli pani umrze bez kawy.

– Nie chcę kawy – warknęła. – Chcę odpowiedzi na parę pytań. – Pokazała odznakę.

Na kobiecie to nie zrobiło wrażenia.

– Tym bardziej powinna pani pomyśleć – stwierdziła.
– Jaki pani daje przykład młodzieży? W tym mieście kiedyś ceniono sobie maniery.

Vera mamrotała pod nosem i niecierpliwie tupiała nogą, kiedy kobieta otwierała drzwi. Weszły do środka.

– W sumie mogę się napić kawy, skoro już zostałam wpuszczona – oznajmiła wojowniczo.

– To musi pani poczekać, aż uruchomię ekspres. Chyba że zadowolą się pani rozpuszczalną.

– Może być.

Kobieta włączyła czajnik, nasypała kawy do kubka. Wyjęła z szafy zielony fartuch, włożyła go na siebie, po czym postawiła przed Verą parujący napój.

– Sześćdziesiąt pensów.

Vera chciała się wyklócać, ale w końcu zmieniła zdanie i zapłaciła.

– Chodzi o dwoje pani klientów.

Kobieta wbrew sobie się zaciekawiała. Przestała się bawić naczyniami w kuchni i usiadła przy stoliku.

– A konkretnie?

– Interesuje mnie pewna kobieta, niejaka Bella Furness. Przychodziła tu regularnie w środy.

– W środy mamy największy ruch, a mało klientów znam z nazwiska. Nawet tych stałych.

Vera wyjęła zdjęcie, które zwędziła z sypialni w Black Law.

– A tę twarz pani kojarzy?

– Pamiętam ją. Tak, bywała tu w każdą środę. Grillowany tuńczyk z kukurydzą, na deser czekoladowa beza. Widziałam ją jeszcze ze dwa miesiące temu. Ale ostatnio nie przychodziła. Zastanawiałam się nawet, czym ją uraziłam. Trochę szorstka w obejściu, a takie osoby czasem się obrażają.

– Nie żyje – poinformowała Vera. – Bywała tu sama?

– Nie. Zwykle spotykała się z przyjacielem.

Ze swojej dużej, miękkiej aktówki Vera wyjęła zdjęcie Edmunda Fulwella – to, które zamieszczono w lokalnej gazecie z prośbą o informacje i które dzisiaj zapewne trafiło na pierwsze strony ogólnokrajowych gazet. Kobiety najwidoczniej nie interesowały wiadomości. A jeśli widziała to zdjęcie wcześniej, nie wspomniała o tym.

– Tak – stwierdziła. – To on.

– Nazwała go pani jej „przyjacielem”. Odniosła pani wrażenie, że to przyjaźń w sensie romantycznym? – Czekając na odpowiedź, zastanawiała się, co pomyślałaby o tym Rachael. Święta Bella miała romansik na boku. To mogłoby zniszczyć wiarę poczciwej pani ekolog w przyzwoitość.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

– Trudno powiedzieć. Zwykle była tu przed nim. A on przychodził zmachany, jakby się spieszył. Zawsze dawał jej całusa. Zwykle cmoknięcie w policzek, ale w ich wieku cokolwiek więcej wyglądałoby nieprzyzwoicie. Chociaż, w

tych czasach... Ludzie ciągle się całują i obściskują, prawda? Nawet tacy, co to dopiero się poznali. Więc właściwie nie wiem.

Vera opanowała zniecierpliwienie.

– Ale co intuicja pani podpowiada? Teraz. Całe dni pracuje pani wśród ludzi. Na pewno ma pani nosa do takich spraw.

Kobietcie pochlebily te słowa i właśnie to Vera zamierzała osiągnąć.

– No cóż, pewnie tak. Więc... powiedziała bym, że byli bliskimi przyjaciółmi. Nie kochankami – umilkła na chwilę.

– Jeśli już, to jemu chyba bardziej podobała się ta druga.

– Jaka druga?

– Nie bywała tu często, w sumie może ze trzy razy. Ale jak już przyszła, to on skakał wokół niej jak wróbel.

– Jakieś nazwisko albo chociaż imię?

– A skąd. – Kobieta wyglądała na zadowoloną, że nie może pomóc.

– Jak wyglądała?

– Młodsza niż tamci dwoje, ale niedużo. Umiała się ubrać, rozumie pani? Może nawet trochę przesadzała. Była wręcz za elegancka jak na wizytę w mieście w środku tygodnia.

– Coś więcej?

Ale kobieta straciła już zainteresowanie. Spojrzała na zegarek.

– Nie – odparła. – Właściwie jej nie pamiętam. Tylko ogólne wrażenie.

– Ale gdybym pani pokazała zdjęcie, potrafiłaby pani

stwierdzić, czy to ona, czy nie?

– Nie, nie ma szans. Jak wspominałam, w środy straszny tu tłok.

Dzięki, nieużyta zołzo, prychnęła w duchu Vera.

Vera przeszła przez centrum handlowe do samochodu. W mieście panował teraz większy ruch, po ulicach snuli się przeważnie starsi ludzie, bo dopiero od dziewiątej mogli korzystać z darmowej komunikacji. Jedna para stała przed sklepem spożywczym i kłóciła się, czy do kolacji kupić kapustę, czy rzepę.

Verę dopadła nagle dziwna wizja, która kazała jej się zatrzymać w miejscu. Przez moment ta awanturująca się kobieta – z nadwagą, agresywna – bardzo przypominała ją samą.

Co ja będę robić na emeryturze, pomyślała. Nie mam nawet się z kim kłócić.

W tej chwili jakaś dziewczyna wjechała jej wózkem w piszczel. Vera odwróciła się, zgromiła ją wzrokiem, i krótki moment rozpaczy minął.

Zamierzała wrócić do komisariatu, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i wyjechała z Kimmerston znajomą drogą w stronę Langholme. Teraz, kiedy już zdobyła dowód, że Bella i Edmund pozostali w kontakcie po wyjściu ze szpitala, żałowała, że nie słuchała uważniej, kiedy Rachael i Edie opowiadały jej o Noble'ach. Była jednak przekonana, że uda jej się nadebrać Charliemu na parę odcisków.

W stajniach panował spokój. Nastolatka w zielonym swetrze z napisem: „Klub Jeździecki Kimmerston”, wyhaftowanym na piersi łądowała widłami na taczki słomę z gnojem. Dwie krzepkie panie w średnim wieku

przygotowywały się, żeby dosiąść koni. Vera pomyślała, że wszystko tutaj wygląda bardzo dostatnio i porządnie. Parking dla klientów wyasfaltowany, z wymalowanymi białymi liniami, ogrodzony drewnianymi skrzynkami pełnymi kwiatów. Charlie to obrotny biznesmen, podobnie jak jego ojciec.

Podeszła do dziewczyny.

– Szukam pana Noble’a.

Pannica spojrzała na nią z powątpiewaniem. Vera miała na sobie kwiecistą sukienkę z krempliny i sandały.

– Chce pani zamówić jazdę?

– Chcę porozmawiać z panem Noble’em.

– Chyba jest w domu. Ale nie lubi, kiedy przeszkadza mu się rano.

– Czemu? Co takiego robi?

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Żartuję, kotku – uspokoiła ją Vera. – Nieważne, sama trafię.

Ruszyła dalej, w stronę świeżo odmalowanego budynku. Mijając nowo odrestaurowaną stajnię, stwierdziła, że jeśli czymkolwiek tutaj śmierdzi, to chyba tylko pieniędzmi.

Charlie Noble osobiście otworzył drzwi. Raczej by go nie poznała, gdyby wpadła na niego na ulicy. Był młodszy od niej. Kiedy widziała go ostatni raz, wyglądał jak ledwie wyrosnięty uczeń – pryszczaty, niezgrabny, ewidentnie zastraszony przez ojca tyrana. Miał ten sam wyraz twarzy, ale teraz był stary, przygarbiony, w okularach.

– Tak? – warknął z irytacją. Był w swetrze i

bryczesach. – Właśnie wychodzę.

– Nie poznajesz mnie, Charlie? – rzuciła jowialnie jak wesoła cioteczka.

– Przykro mi... – zawahał się, zmrużył oczy za okularami.

Boże święty, na pewno postarzałam się tak samo jak on, przeraziła się Vera.

– Oj, przestań, Charlie. Może mi się trochę przytyło, ale niemożliwe, żebym się aż tak zmieniła. Chyba że nie poznajesz mnie bez munduru? Po śmierci twojego ojca spędziliśmy razem sporo czasu w tym mauzoleum, które nazwaliście domem. Piliśmy litry herbaty, czekając, aż moi szefowie ruszą tyłki.

Gapił się na nią. Wyciągnęła rękę; nie opierał się, kiedy chwyciła jego dłoń.

– Vera Stanhope – przedstawiła się rozpromieniona. – Teraz już inspektor. Wtedy zwykły funkcjonariusz.

– Tak. – Odsunął się od niej o krok, jakby była psem, z którym lepiej obchodzić się ostrożnie. – Pamiętam.

– To jak, nie zaprosisz mnie do środka? Na herbatę, w imię dawnych czasów.

– Właśnie wychodziłem – odparł niepewnie.

– Na pewno znajdziesz pięć minut na pogawędkę. I chętnie poznałabym twoją żonkę.

Przepchnęła się obok niego i weszła do domu.

– Pani Noble! – krzyknęła w ciszę. – Macie gościa! Nastaw czajnik, kotku.

Pili kawę z ekspresu w pokoju, w którym Edie i Rachael zostały przyjęte podczas ostatniej wizyty. Kawę

przyniosła Louise, ubrana w lnianą sukienkę bez rękawów, granatową, bardzo elegancką. Lekko zadyszana oznajmiła, że zostawi ich samych, bo jest umówiona z przyjaciółmi na lunch i musi się szykować.

– Mnie pani wygląda na wystarczająco wyszykowaną – skomentowała Vera. – Nie chcę pani teraz zatrzymywać, byłabym jednak wdzięczna, gdyby później poświęciła mi pani parę minut swojego cennego czasu. Zanim pani wyjdzie – uśmiechnęła się ciepło.

Louise zerknęła na męża.

– Tak – odparła. – Oczywiście. – Wycofała się z pokoju i zamknęła drzwi.

– O co właściwie chodzi? – spytał Charles.

– No więc nie przyszłam tu tylko na pogaduszki, chociaż zawsze miło odświeżyć stare znajomości. Chodzi o Bellę.

– Nawet nie wiedziałem o jej samobójstwie, dopóki nie przyszły do mnie te dwie kobiety.

– Tak też twierdziły. Szokujące, prawda? Tyle lat mieszkać w tej samej dolinie i nigdy się nie spotkać. – Vera umilkła na chwilę. – Ona zabiła staruszkę dla ciebie, co, Charlie?

Spojrzał na nią z przerażeniem.

– Już wtedy tak pomyślałam, ale byłam na samym dole drabiny zawodowej, a do tego dziewczyną, więc kto by mnie tam słuchał? Kiedy przyszłam do rzeźni powiedzieć ci, że ojciec nie żyje, spodziewałeś się tego. Oo, cholernie dobrze odegrałeś swoją rolę. Myślałeś kiedyś, żeby się zapisać do Amatorskiego Towarzystwa

Teatralnego w Kimmerston? Wiecznie im brakuje silnych, męskich postaci do głównych ról. Ale tak naprawdę ta wiadomość cię nie zaskoczyła.

Zaczął jąkać odpowiedź, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Bił cię, jak byłeś mały?

Cisza. Mięsień na jego policzku drgał w gniewie.

– Nie tylko jak byłem mały. Aż do czasu, kiedy się rozchorował.

– Więc ona czuła się winna, że cię tam zostawiła, poszła na studia, została nauczycielką i rozkoszowała się każdą minutą życia. I założę się, że potrafiłeś wzbudzić w niej wyrzuty sumienia. Dlaczego sam nie wyjechałeś?

– Nie mogłem. Nie puściłby mnie. A poza tym co bym robił? Nie miałem żadnych kwalifikacji.

– Nie miałeś ikry – rzuciła lekceważąco. – Nie tylko stary chciał ją tu ściągnąć z powrotem. Ty też, co?

– Nie wiesz, jak to było.

– Nie? – mówiła cicho, wyważonym tonem. – Posłuchaj, Charlie, nie masz pojęcia o mnie i o tym, co wiem, a czego nie.

– Ja tylko tak gadałem. W rzeczywistości nie chciałem, żeby go zabiła.

– Doprawdy? Ale to zaplanowałeś. I naciskałeś ją każdego dnia. Więc całe dni musiała znosić starego, a całe noce ciebie. Nic dziwnego, że pękła. – Dolała sobie kawy. – Skąd wiedziałeś, że to się stanie właśnie tego dnia?

Podniósł się, odwrócił do niej tyłem i zapatrzył za

okno. Udawał, że ona tam nie siedzi, że jej nie słyszy.

– Tak dużo mogłeś na tym zyskać – ciągnęła. – Gdyby nie fakt, że nie miałeś możliwości, podejrzewalibyśmy ciebie. Dlatego to był taki odpowiedni dzień. Siedziałeś w pracy z całym mnóstwem świadków. I byli tam nie tylko koledzy, ale nawet inspektor. Nie wychodziłeś z biura, prawda? Jedynie na pięć minut, do łazienki. Wtedy do niej zadzwoniłeś? Powiedziałeś, że dłużej nie zniesiesz brutalności starego? Że jeśli szybko coś się nie zmieni, to ze sobą skończysz? A ona cię kochała, czort wie dlaczego. I, jak mówię, pękła.

Charlie wciąż patrzył w dal, niczym nie okazywał, że ją słyszy.

– Ale ja tu teraz nie przyszłam rozmawiać o tym – dodała Vera tonem towarzyskiej pogawędki. – Tamto było, minęło. Wtedy nikt nie zwracał na mnie większej uwagi. Teraz pewnie by mnie nie zbyli, ale po co miałabym o tym wspominać? Telefon do kogoś to nie zbrodnia.

Charles znów stanął do niej przodem.

– Nie – powiedział. – To nie zbrodnia.

– Więc zawołaj tutaj swoją śliczną żonę na słówko i więcej nie poruszmy tego tematu.

Patrzyła na niego uważnie, kiedy wychodził z pokoju; chciała, żeby dobrze zrozumiał pogrózkę zawartą w ostatnim zdaniu.

Gdy pojawiła się Louise, Vera wstała, jakby nie poznały się już wcześniej, jakby kawę przed chwilą przyniósł ktoś inny.

– No to wio, Charlie – rzuciła jowialnie. – Dokonaj

prezentacji. – Nie odezwał się, więc mówiła dalej. – Jestem Stanhope. Inspektor Vera Stanhope. Chciałabym porozmawiać o Belli Furness.

– Ja jej nie znałam.

– Ale rozmawiała z nią pani przez telefon. Wiem to od Edie Lambert. – Vera uznała, że państwo Noble'owie są sobie warci. Żadne nie potrafiło stawić czoła rzeczywistości.

– Tylko raz.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– To było tydzień przed jej śmiercią. I nie mogło mieć nic wspólnego z samobójstwem.

Vera spokojnie obserwowała Louise. Odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z dziewczynką. Z dzieckiem, które – posądzone o jakieś przewinienie – zbyt pośpiesznie wyskakuje z przemyślanymi kłamstwami. A przecież nie została jeszcze o nic oskarżona. Verze przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Dziwię się, że zadzwoniła tylko raz. Powiedziała, że jeszcze się odezwie. Można by się spodziewać, że przed śmiercią będzie chciała porozmawiać z bratem, swoim jedynym krewnym. – Zwróciła się do Charlesa. – Na pewno się z tobą nie kontaktowała?

– Na pewno.

A nie ośmieliłbyś się kłamać, dodała w duchu Vera. Nie ze świadomością, co na ciebie mam.

– Pani Noble?

Kobieta zaczęła obracać filiżankę na spodku.

– Potrafię zrozumieć, dlaczego niechętnie

odpowiadała pani na pytania pani Lambert – ciągnęła Vera. – Bo niby co? Dwie wścibskie baby zjawiają się późnym wieczorem i wypytyują o wasze prywatne sprawy. Ale to jest co innego. To policyjne śledztwo. Poza tym zawsze możemy sprawdzić billingi telefoniczne z tamtych dni.

Louise spojrzała na nią.

– Rzeczywiście, zadzwoniła. Pod koniec tygodnia.

– Nic o tym nie mówiłaś. – Charles był zdumiony, urażony.

Biedactwo, pomyślała złośliwie Vera. To wszystko go przerosło.

– Czego chciała? – drażyła Vera.

– Rozmawiać z Charlesem. Ale on wyjechał na weekend. Jacyś młodzi dżokeje brali udział w pokazach w Richmond i zabrał się z nimi. Powiedziałam jej to. Stwierdziła, że ja będę musiała jej wystarczyć. Nie mogła czekać. – Louise się zawahała. – Oznajmiła, że potrzebuje swoich pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? – spytała obojętnie Vera.

– Kiedy Charles sprzedał dom ojca, założył dla niej lokatę.

– Na jej nazwisko – poprawiła Vera. – Oczywiście. Edie Lambert mi powiedziała.

– Nie – wtrącił się Charles. – Nie na jej nazwisko. To było oddzielne konto, ale ja nim dysponowałem. Rzecz jasna pieniądze były przeznaczone dla niej.

– Ach tak.

– Nie mieliśmy od niej żadnych wieści. Wiele lat temu

wyszła z więzienia, ale nie raczyła nawiązać kontaktu. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest. A gotówka leżała bez pożytku.

– Więc ją wydaliście?

– Zainwestowaliśmy w interes. W rozwój stadniny. Domki letniskowe. Ośrodek wypoczynkowy. Musimy zabezpieczyć córce przyszłość. Traktowałem to jako inwestycję dla Belli.

Vera nie wyobrażała sobie Noble'ów w roli bezdusznych tuzów biznesu. Byli na to zbyt żałośni. Więc co ich do tego pchnęło? Pomyślała, że zachowali się jak rozpieszczone dzieci z torbą cukierków. Chcieli tej kasy. Nie zamierzali się nią dzielić. Więc ją sobie wzięli. To wszystko.

– I co pani odpowiedziała?

– Że nie ma żadnych pieniędzy. Niby co miałam odpowiedzieć? Przecież bym ich nie wyczarowała. – Louise znów była agresywna, obrażona. – Zresztą niemożliwe, żeby ich tak naprawdę potrzebowała. Czy ktoś kiedyś słyszał o biednych farmerach?

Bella była biedna, odparła w duchu Vera. Tak biedna, że wpadła w rozpacz. Nie potrafiła powiedzieć Dougiemu, że muszą się wynieść z farmy. I następnego dnia popełniła samobójstwo.

Nie przestała się uśmiechać.

– Rzeczywiście – przyznała na głos. – Wszyscy słyszeliśmy historyjki o farmerach. Ciągłe narzekają na fundusze europejskie, a jeżdżą nowymi samochodami. Pani w ogóle poznała Bellę?

– Nie! – Ta sugestia przeraziła Louise.

– Nie była pani ciekawa? Pomyślałam sobie, że może pani zaproponowała jej spotkanie. Nie tutaj i nie na farmie. W jakimś neutralnym miejscu. Może w kawiarni w Kimmerston.

– Boże, nie. – Pani Noble zrobiła zniesmaczoną minę.
– Ta cała sprawa wydawała mi się okropna. Nie chciałam nigdy więcej mieć z siostrą męża do czynienia.

– Teraz już to pani nie grozi – odparła Vera.

Na chodniku przed komisariatem zgromadziła się grupka reporterów. Vera dostrzegła ich, zanim oni dostrzegli ją; zastanowiła się, czy mogą jej się do czegoś przydać, i uznała, że nie. Przemaszerowała środkiem, nie zwracając uwagi na prośby o komentarz czy zdjęcie. Siłą rozpędu od razu wdrapała się na piętro, po drodze zgarnęła Joego Ashwortha i w końcu wylądowała w swoim gabinecie. Postawiła ciężką aktówkę na biurku; klapa była niezapięta i na podłogę posypały się papiery, klucze, zdjęcia, pięć długopisów i niedojedzony pączek w folii spożywczej. Wyrzuciła go do kosza.

Resztę bałaganu zostawiła na podłodze. Wcisnęła guzik telefonu i zaczęła odsłuchiwać pocztę głosową. Joe Ashworth, nie czekając na zaproszenie, kucnął w kącie i włączył czajnik elektryczny – naczynie stało wraz ze słoikami i kubkami na poplamionej tacy. Udawał, że nie słyszy szefa Very. Pytał, co ona sobie wyobraża i czemu się tak opieprza. Żądał też, żeby natychmiast zgłosiła się do niego, jak tylko przyjdzie. Głos brzmiał dość płaczliwie. Komendant dobrze wiedział, że Verze nie da rady. Nie grzeszył bystrością, a ona na wszystko miała odpowiedź.

Pokój był taki sam na wysokość jak na szerokość, z zieloną lamperią, w kształcie celi aresztu. Z jednym oknem z matową szybą. Przypominał Verze damską toaletę, ale gdyby kazano jej się gdzieś przenieść, sprzeciwiłaby się. Zajmowała ten gabinet od dnia awansu na inspektora – nareszcie miała dokąd uciec przed narzekaniami i

żądaniami ojca. Nie było tu obrazków ani kwiatków, żadnych osobistych akcentów, niczego, co zdradzałoby cokolwiek tym wścibskim gliniarzem, wiecznie ciekawym, gdzie i jak mieszka. Ashworth stanowił wyjątek. Z pracy tylko on widział jej dom, a i to późno w nocy, kiedy podrzucił ją po dyżurze. Chętnie zaprosiłaby go na drinka, ale nie chciała narobić mu wstydu. Już i tak nazywali go pupilkiem pani profesor albo jeszcze gorzej.

– Właśnie wróciłem z Holme Park – powiedział.

– I masz coś?

– Nie udało mi się porozmawiać z jaśnie wielmożnym państwem.

– Tylko nie mów, że z tych nerwów nie mogą przyjmować gości.

– A skąd. Są na spotkaniu.

– Z kim?

– Z ludźmi ze Slateburn Quarries. Tutaj, w biurze w Kimmerston. Podobno już dawno się umówili.

– Żeby przedyskutować wstępne ustalenia oceny wpływu na środowisko – mruknęła Vera niemal do siebie.

– Prawdopodobnie. Ale założę się, że przy okazji obgadają, jak śmierć Edmunda Fulwella podziela na opinię publiczną. Ciekawe, czy to wystarczy, żeby powstrzymać Waugha przed forsowaniem planu realizacji budowy. Livvy się wścieknie, jeśli facet zacznie tchórzyć.

– Pani nie jest zachwycona tą kopalnią, co?

– Ja niczym nie jestem zachwycona. Więc jak, wycieczka nic nie dała, twój trud poszedł na marne?

– Nie do końca. Połąziłem trochę po pałacyku,

pogadałem z pracownikami, których zdołałem dopaść. Nikt nie miał pojęcia, że Edmund ukrywa się w domu na końcu alei. Robert musiał być bardzo ostrożny. W takim miejscu na pewno trudno utrzymać coś w tajemnicy.

– A udało ci się porozmawiać z sąsiadką, żoną leśniczego?

– Tak. To dom wariatów. Dzieciaki, muzyka, zwierzęta. Wszyscy na siebie wrzeszczą. Za ścianą mógłby ćwiczyć zespół rockowy i nic by nie słyszeli.

– Nie widzieli, żeby wczoraj ktoś się tam kręcił?

– Cały dzień spędzili w Hall, pomagali przygotować przyjęcie. Nawet nastolatki zostały zaprzężone do roboty.

– Więc nie posunęliśmy się do przodu?

– Sekretarka Olivii dała mi listę gości. Nie zauważyłem żadnego nazwiska osoby związanej z kopalnią. Głównie członkowie rodziny i ludzie ze wsi. – Skrzywił się. – Sekretarka powiedziała, że Olivia chciała zintegrować społeczność.

– Cóż za obywatelski duch. Ale dla śledztwa raczej nic z tego nie wynika. Kiedy impreza się zaczęła, w alei nie było żadnych świadków, a przez to, że zjeżdżali się goście, nikt nie zwracał uwagi na obcych. Bardzo wygodne. Ciekawe, czy właśnie dlatego Edmund został zabity wczoraj? Bo jeśli tak, to zabójca musiał wiedzieć o przyjęciu, nawet jeśli w nim nie uczestniczył. – Spojrzała z góry na Ashwortha. – A domyślam się, że wiadomość o kinderbalu dotarła do wszystkich.

– O tak. Zdaje się, że całe Langholme walczyło o zaproszenia.

Woda w końcu się zagotowała. Sierżant zalał wrzątkiem ekspresówkę w brudnym kubku, dźgał ją przez chwilę łyżeczką, aż ciecz nabrała ciemnobrązowej barwy, i dosypał zabielaacza z puszek.

– Ty nie pijesz? – spytała Vera.

Pokręcił głową.

– Poprosiłem Mary Sawyer, żeby odwiedziła Nancy Deakin. Pomyślałem...

– Świetny wybór! – Mary jest niewzruszona, z klasą, ale nie wyniosła. – I co?

– Nancy była załamana. Robert Fulwell nie raczył jej zawiadomić o śmierci Edmunda.

– Coś jeszcze?

– Mnóstwo wspominków z dzieciństwa. Podobno Nancy ma problem z terażniejszością, ale przeszłość pamięta całkiem dobrze.

Tak jak my wszyscy, pomyślała Vera. Szczególnie jeśli to przeszłość, której się boimy.

– Według staruszki Edmund nigdy nie był chcianym dzieckiem. Jego matka bardzo się męczyła podczas pierwszego porodu, i nie zamierzała jeszcze raz przez to przechodzić. Urodziła chłopca, i dość. Kiedy na świat przyszedł Edmund, ledwie go zauważała. Nic dziwnego, że wyrósł trochę dziwny.

– Nancy wie, kogo facet się bał?

– Jeśli nawet, to nie mówi. – Usiadł przy biurku Very, naprzeciwko niej. – A pani co porabiała?

– Ja? Cały ranek odwalałam brudną robotę za Rachael Lambert. Próbowałam się dowiedzieć, dlaczego Bella

Furness popełniła samobójstwo. – Wyszczrzyła się szelmowsko. – Spokojnie, chłopcze, nie straciłam rozumu. To ma związek ze śledztwem. W każdą środę Edmund Fulwell wsiadał w autobus z wybrzeża i jechał na spotkanie z Bellą do Kimmerston. Musieli podtrzymywać znajomość od czasu wspólnego pobytu w szpitalu. Myślę, że byli tylko przyjaciółmi. Ale bardzo bliskimi, zwierzali się sobie. Kilka razy przyłączała się do nich jeszcze jakaś kobieta. Dałabym sobie palec uciąć, żeby się dowiedzieć kto to taki. Wiek i opis pasowałyby do Anne Preece, mieszka w Langholme i mogła znać ich oboje. Ale jeśli to ona, dlaczego nam o tym nie powiedziała? – urwała. Siedziała z zamglonymi oczami, zamyślona, oddając się najbardziej szalonym przypuszczeniom.

– I znalazła pani odpowiedź? – spytał Ashworth.

– Hm?

– Dlaczego pani Furness popełniła samobójstwo?

– Chyba tak. Choć nawet to nie do końca mi się klei w całość. Ona i Dougie są spłukani. Grozi im utrata farmy. Bella próbuje się kontaktować z bratem, chce poprosić o pieniądze, które odłożył dla niej po sprzedaży rodzinnego domu. O swój udział. Niestety trafia na żonę, a ta cudownie udaje zagubioną dziewczeczkę, ale jest bezwzględna jak modliszka. Louise mówi Belli, że gotówka poszła na inwestycje.

– I wszystko jasne. Bella liczyła na to, że dzięki pieniądzom od brata wykaraska się z kłopotów. Kiedy się okazało, że jednak straci farmę, popełniła samobójstwo. Rachael się myliła. Nie było żadnego spisku.

– Nie. Nic z tego. To nie leżało w charakterze Belli. Była twarda. Przetrwiała długie lata w wariatkowie. Bez narzekania. Spokojnie czekała, aż to się skończy. A potem jak Dougie dostał udaru, sama prowadziła ten cały biznes. Musiała wiedzieć, że są inne opcje. Dlaczego nie porozmawiała z Neville’em? Według Rachael dogadywali się całkiem dobrze. On jej współczuł.

– O ile mówił prawdę.

Vera zgromiła go wzrokiem.

– Oczywiście. Zdaję sobie sprawę, że mógł kłamać. Nie jestem głupia, chłopcze. Ale dlaczego nie wytrzymała jeszcze paru miesięcy? Gdyby ci od kopalni dostali zielone światło, opchnęłaby dojazd do odkrywki za ciężkie pieniądze. Może nie uśmiechało jej się, żeby puszczać ciężarówkę przez podwórze, ale to lepsze niż przeprowadzka do miasta czy skok z beli słomy ze stryczkiem na szyi.

Joe nie odpowiedział. Uznał, że lepiej milczeć. W tym momencie Vera nie chciała inteligentnego komentarza, tylko wielbiącej publiczności.

Mówiła dalej.

– Więc musiały być inne trudności. Coś, co zamknęło przed nią tę opcję. Coś, co sprawiło, że przestała myśleć rozsądnie.

Ashworth wciąż trzymał buzię na kłódkę. Błąd.

– No więc? – spytała z irytacją jak nauczycielka, która wyciąga odpowiedź od niechętnego dziecka. – Jak myślisz, co to mogło być?

– Opieka nad Dougiem?

- Nonsens. Robiła to od lat. To ją napędzało do życia. Milczała przez chwilę.
- Podsunę ci podpowiedź. Mówiłam, że widywała się z Edmundem Fulwellem. Byli przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi. Nieraz wspierali się w ciężkich chwilach.
- A on z pewnością by się wściekł, gdyby sprzedała ziemię Slateburn Quarries czy choćby dogadała z Godfreyem Waughem w kwestii dojazdu.
- Otóż właśnie.
- To by wyjaśniało, dlaczego czuła się pod taką presją. Zrobiłaby wszystko, żeby zostać w Black Law, ale Fulwell postrzegał to jako coś w rodzaju testu na lojalność.
- To możliwe, nie sądzisz?
- Nie odpowiedział wprost.
- Pani inspektor, mogę o coś zapytać?
- Oczywiście.
- Jak to się ma do zabójstwa Grace Fulwell? Czy nawet jej ojca?
- Odwal się, Ashworth. Nie bądź takim cwaniaczkiem. Gdybym to wiedziała, nie siedziałabym tutaj, tylko aresztowałabym sprawcę.
- Ale to pytanie ją rozbawiło. Parsknęła śmiechem w herbatę.

Psychiatra, konsultant w Szpitalu St Nicholas w czasach, kiedy Bella Noble i Edmund Fulwell byli pacjentami, przeprowadził się, by objąć posadę wykładowcy na jednym z uniwersytetów na południu. Vera zadzwoniła do niego bez wielkiej nadziei na jakąkolwiek pomoc. Profesor okazał się zadziwiająco ludzki i głośno śmiał się z jej pytań.

– Dobry Boże, chyba nie oczekuje pani, że po tylu latach przypomnę sobie poszczególne osoby. – Nie złościł się jednak i nie spieszyło mu się aż tak bardzo, by nie pozwolić jej mówić dalej.

– Tu nie chodzi o zwyczajnych pacjentów. Bella Noble przyjechała do was ze szpitala zamkniętego w Merseyside, żeby przygotować się do zwolnienia. Zabiła swojego ojca. Edmund był z rodziny Fulwellów z Holme Park.

– A, pamiętam go. W każdym razie pamiętam, że się zastanawiałem, dlaczego bieduje w państwowej służbie zdrowia, zamiast leczyć się w jakiejś prywatnej klinice. Coś mi się majaczy na temat przeniesienia tej kobiety, ale tylko dlatego, że to był biurokratyczny koszmar. O ile mnie pamięć nie myli, nie została u nas długo. Nie cierpiała na żadną chorobę psychiczną, a już w tamtych czasach brakowało nam miejsc. Dlaczego pani o nich pyta?

– Bo oboje nie żyją.

– Ach tak. – Milczał przez moment. – Przykro mi, ale nie powiem, żeby mnie to zaskoczyło. Opieka środowiskowa działa tylko przy odpowiednim nadzorze. Za

murami jest ciężko. Ludzie wpadają w depresję, kumulują złość. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo samobójstwa czy przemocy.

– Bella wyszła za farmera i wydaje się, że była szczęśliwa, nawet opiekując się nim po jego udarze. Edmund utrzymał tę samą posadę od wyjścia ze szpitala.

– Ach tak – powtórzył profesor, tym razem trochę zażenowany. – A zawsze powtarzam studentom, żeby nie ulegali stereotypom. Podsunęła mi pani pomysł na następny wykład. Obawiam się jednak, że nie potrafię pomóc. Wszelkie zapiski zostały w St Nick's.

– Widziałam je. Zastanawiałam się, czy jest jeszcze ktoś, kto pamiętałby Bellę i Edmunda. Ktoś, kto miał z nimi częstszy kontakt niż pan. Jakaś pielęgniarka albo lekarz stażysta.

– Część personelu pielęgniarskiego może wciąż tam pracować. Proszę skontaktować się z oddziałowymi. W służbie zdrowia im wyżej w hierarchii, tym więcej czasu spędza się za biurkiem. Stażyści zmieniali się tak często, że czasem nawet nie zdążyłem zapamiętać imion. – Przez chwilę rozważał coś w milczeniu. – A najlepiej porozmawiać z Christiną. Christina Flood. Jest psychologiem. St Nick's to była jej pierwsza stała posada, dziewczyna wpadła do szpitala jak powiew świeżego powietrza. Interesowała ją praca grupowa, terapia sztuką, teatrem. Nie wszystko przynosiło jakiś skutek, ale chodziło o interakcję z pacjentami, a nie o to, żeby się przed nimi chować i czekać, aż leki zaczną działać. Jeśli ktoś pamięta tych dwoje, to najprędzej Christina.

– Wie pan, gdzie ona teraz pracuje? – Vera wstrzymała oddech. Pani psycholog była idealistką, entuzjastką. Przy swoim pechu Vera mogła się spodziewać, że Christina została misjonarką w Afryce.

– Wciąż w Northumberland. I wciąż na wybrzeżu. Ale zmieniła miejsce pracy. Kieruje zespołem opiekunów środowiskowych, działającym przy poradni psychiatrycznej. A przy okazji, jak pani będzie z nią rozmawiać, proszę jej przekazać serdeczne pozdrowienia ode mnie. I wyrazy podziwu, że wytrzymała. Nawet ja w końcu uciekłem od pacjentów.

Vera wytropiła Christinę Flood w domu. Kobieta ledwie zeszłego wieczoru urodziła córeczkę i właśnie wróciła ze szpitala. Jej partner, z którym Vera rozmawiała przez telefon, okazał się tak pełen dobrej woli, tak dumny z dziecka i swojego udziału w jego tworzeniu, że chętnie zaprosiłby do domu cały wydział zabójstw, ale Ashworth się oburzył.

– Nie może pani ich nachodzić dzisiaj – stwierdził. – Na pewno chcą spędzić czas sami z maleństwem. Poza tym ona nie będzie się czuła na siłach. Dzisiaj rano opuściła porodówkę.

– Nie sądzę, żeby to jej odebrało zdolność mówienia.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to takie ważne.

– Bo w tym szpitalu wydarzyło się coś, co zbliżyło tych dwoje do siebie i utrzymało ich razem przez długie lata. Muszę wiedzieć co. – Spojrzała na niego. – Ty lubisz dzieci. Nie przeszedłbyś się ze mną?

– Nie – odparł, choć raz wykazując się odwagą. –

Uważam, że to nękanie, i nie zamierzam brać w tym udziału. – Po chwili, kiedy zawahała się w przy drzwiach, dorzucił: – Chyba nie boi się pani iść sama, co? To tylko niemowlę. Nie ugryzie.

Christina Flood mieszkała w wąskim piętrowym domu niedaleko nabrzeża w Tynemouth. Drzwi otworzył chudy mężczyzna w fioletowym, ręcznie dzierganym swetrze. Przy barku trzymał biały podłużny tobołek. Pochylił się lekko, żeby Vera mogła zobaczyć buzię dzidziusia.

– Śliczna, prawda?

Facet nie mógł ustać w miejscu – przestępował z nogi na nogę jak podekscytowany chłopiec – ale dziewczynka spała; od czasu do czasu robiła minki, jakby coś jej się śniło.

– Jeszcze nie wybraliśmy imienia. Chrissie chce jakieś dostojne, szacowne. – Uważał za oczywiste, że Verę to interesuje. – A moim zdaniem mała będzie rozrabiaką. Powinna mieć imię, które do tego pasuje.

Parter domu – jedno wielkie pomieszczenie – służyło za warsztat. Na zasmolonym piecu centralnego ogrzewania, na kocu spał rudy kot. Na jednym ze stołów roboczych była zamontowana bardzo profesjonalna lampa kreślarska, teraz wyłączona, więc tylko nieduże, zakurzone okno dawało światło; kąty tonęły w cieniu. Rzędy burych metalowych półek, stojaki na narzędzia, imadło. Vera wyczuła ukrytą pasję. W takim pomieszczeniu Hector pewnie spotykał się ze swoim bractwem, żeby nakłuwać i wydmuchiwać jajka.

– Co pan tu majstruje? – spytała. Cieszyła się, że ma

okazję uciec choć na chwilę od gadania o dzieciaku.

– Robię flety. I naprawiam, zresztą nie tylko flety, ale też inne drewniane instrumenty.

Od tej chwili Vera widziała w nim grajka z bajki, w fioletowym wdzianku, który na fujarce wygrywa różne melodie swojemu dziecku.

– Chrissie jest na górze. Mówiłem jej, że powinna leżeć, ale mnie nie słucha. – Tanecznym krokiem ruszył na piętro po drewnianych schodach do dużego pokoju z widokiem na rzekę Tyne sięgającym aż po doki w North Shields. Christina Flood siedziała z podciągniętymi nogami na zielonej, obitej lnem kanapie. Ubrana w spodnie i luźną białą tunikę. Miała mocne rysy, kwadratową szczękę, czarne brwi. Prosto ściętą grzywkę. Pokój był pełen kwiatów, a nad oknem wisiał ręcznie malowany transparent z napisem: „Witaj w domu”. Christina zauważyła, że Vera na niego patrzy.

– Wiem. Niewiarygodny facet. Nie było mnie niecałą dobę. – Odwróciła się do swojego mężczyzny. – Na litość boską, Patrick, odłóż ją do nosidełka. Może zajmij się gośćmi i zrób herbatę?

Dumny ojciec przyklęknął i położył dziecko na plecach w nosidełku stojącym na podłodze.

– Zawsze mi zepsujesz zabawę – powiedział i wyszedł z pokoju.

– Patrick wspomniał, że chce pani rozmawiać o Edmundzie Fulwellu, ale nie wiem, czy mogę pomóc. Właściwie ostatnio się nim nie zajmowałam. Od dłuższego czasu był stabilny. A jeśli potrzebował leków, pewnie

dostawał receptę od lekarza rodzinnego.

– Widziałam jego najnowszą historię choroby. Bardziej interesuje mnie czas, który spędził w St Nick's. Pamięta go pani ze szpitala?

– Doskonale. To dla mnie bardzo ekscytujący okres. Pierwsza okazja, żeby zastosować w praktyce swoje pomysły i to wszystko, czego się nauczyłam.

– A przypomina pani sobie jakąś Bellę Noble?

– Tak, przebywała w szpitalu w tym samym czasie co pan Fulwell. Ona też należała do grupy. Po tym, jak została wypisana nie widziałam jej ani razu.

– Ale Edmunda pani widywała?

– Nie zawodowo, ale dość regularnie chodzimy z Patrickiem do Harbour Lights. Czy raczej chodziliśmy – uśmiechnęła się do dziecka. – Teraz pewnie nie znajdziemy tyle czasu na rozrywki.

– Wiedziała pani, że zamordowano jego córkę?

– Tak. Słyszałam, że jakaś kobieta została uduszona niedaleko Langholme, ale nie skojarzyłam jej z Edmundem, dopóki Rod nam nie powiedział. Byliśmy w restauracji dzień po tym, jak policja ją znalazła. Poszłam na górę porozmawiać z Edmundem. Złożyć mu kondolencje i zaoferować wsparcie.

– Zachowywał się tak, jak pani się spodziewała?

– Cóż, wydawał się wręcz bardziej opanowany. Bardziej racjonalny. Bałam się, że ta tragedia znów go sprowokuje do picia, ale był trzeźwy. Spytałam, czy mogę mu jakoś pomóc. Powiedział, że jeszcze nie. Że najpierw sam musi sobie wszystko poukładać w głowie. Ale

widocznie tylko robił dobrą minę do złej gry. Kiedy przyszedł tam tydzień później, zniknął.

– Odniosła pani wrażenie, że wiedział coś więcej na temat śmierci Grace? Nie że ją zabił, nie o to mi chodzi. Ale że miał jakieś pojęcie, co mogło być powodem jej śmierci. Szukam motywu sprawcy zabójstwa Edmunda. Może zginął, bo domyślił się, kto zabił Grace.

– To chyba możliwe. Wtedy przypuszczałam, że mówi o tym, że musi się pogodzić ze stratą córki. Nie żyli ze sobą zbyt blisko w tradycyjnym sensie, ale miał dla niej wiele ciepłych uczuć. Był z niej bardzo dumny.

– Wspomniała pani, że Bella Noble należała do tej samej grupy co Edmund. O jaką grupę chodzi?

– To jedna z pierwszych rzeczy, jakimi zajęłam się po objęciu posady w St Nick's. Wprowadziłam terapię grupową. Pacjenci tkwili w izolacji, nie przywykli nikomu ufać. Jeśli pani tam choć raz zajrzała, wie pani, jak to jest. Każdy siedzi we własnym piekle, gapiąc się w telewizor albo na te cholerne rybki. Bella i Edmund chodzili do pierwszej grupy. Chciałam się wykazać sukcesami, więc starannie dobrałam uczestników. Nie tylko ludzi, którzy mogli z tego odnieść największą korzyść, ale też takich, dzięki którym to mogło się udać. Bella była jedną z tych osób. Niewzruszona jak skała. A jednocześnie uważam, że korzystała na tym tak samo jak reszta.

– To znaczy?

– Słyszała pani, że zabiła ojca?

Vera skinęła głową.

– Nigdy nie poruszyła tego tematu. Przed procesem

adwokaci przekonali ją, żeby przyznała się do winy. Tłumaczyli, że szpital jest lepszy niż więzienie. W ośrodku zamkniętym była odizolowana, niekomunikatywna. Między innymi dlatego ją tam zatrzymali. Na terapii grupowej z początku nie odzywała się słowem. Brała udział w ćwiczeniach i wspierała wszystkich, ale nie chciała mówić o sobie. Oczywiście pozostali byli tym zachwyceni. Większość z nas woli mieć publiczność niż słuchać o kłopotach innych ludzi. To Edmund ją sprowokował, żeby wreszcie wydusiła z siebie, co się stało. Powiedział: „Nie jesteś głupia. Nawet jeśli w domu panowało piekło, nie rozumiem, dlaczego po prostu nie odeszłaś”.

– A Bella odparła, że martwiła się nie tylko o siebie.

Christina spojrzała na inspektorę z szacunkiem.

– Pani o tym wie?

– Po śmierci Belli ucięłam sobie długą pogawędkę z jej bratem. Do niczego się nie przyznaje. W każdym razie do niczego, o co moglibyśmy go oskarżyć, ale rozumiem, pod jak ogromną presją żyła.

– O, to Bella też nie żyje?

Vera podała Christinie ocenzurowaną wersję wydarzeń, które doprowadziły do samobójstwa farmerki.

– Ona i Edmund pozostali przyjaciółmi.

– Naprawdę? – Christinę to ucieszyło. – Czy on nie mógł jej pomóc finansowo? Pochodził z bogatej rodziny.

– Nie sądzę, żeby miał dostęp do ich pieniędzy.

– Tak, rzeczywiście. Nikt z nich nigdy nie odwiedzał go w szpitalu. Tylko Grace.

– Poznała ją pani?

– Ani razu nie rozmawialiśmy ze sobą. Widywałam ją, jak stoi gdzieś w oddali i czeka na niego.

– Czasami mam uczucie, że w moim przypadku jest podobnie. Grace stoi gdzieś w oddali i czeka, aż się dowiem, co ją spotkało.

– Chętnie pomogłabym, ale... – wzruszyła ramionami. Vera przeszła do ataku.

– Może mi pani podać listę wszystkich członków grupy? Nie w tej chwili. Proszę to spisać. Nazwiska i coś na temat każdej z tych osób, dobrze.

– No, nie wiem...

– Zdaję sobie sprawę, że to trudne po tak długim czasie.

– Nie o to chodzi. A raczej nie tylko o to. W pudle w warsztacie leżą moje notatki. Od dawna planowałam napisać na ich podstawie książkę. A przynajmniej artykuł naukowy. Materiały jednak są poufne.

– Przyjdę tutaj. Nie zabiorę od pani tej listy. Pani ich znała. Grace, Edmunda, Bellę. Nie chcę żadnych szczegółów medycznych. One nic mi nie powiedzą. Zależy mi na pani osobistych wrażeniach. Szukam powodu.

– Okej – odparła Christina. – Okej.

Patrick musiał podsłuchiwać pod drzwiami, bo akurat w tej chwili wszedł z herbatą. Zaczął gadać o fletach i zespołach folkowych, i o tym, że teraz, kiedy ma dziecko, bardziej zaangażuje się w walkę o utrzymanie muzyki w szkołach. Mała obudziła się i Christina zaczęła rozpinać tunikę, żeby ją nakarmić. Vera pospiesznie oznajmiła, że na nią już czas i że sama trafi do drzwi. Kiedy wychodziła,

siedzieli razem na kanapie i kłócili się przyjaźnie o imię dla dziecka.

Vera wróciła do Kimmerston dopiero o siódmej.

Po drodze kupiła sobie frytki ze smażoną rybą w barze naprzeciwko komisariatu. Chudy jak szkielet sprzedawca w długim fartuchu rozpoznał ją i obsłużył bez kolejki. Podał jej tłustą paczuszkę nad głowami czekających ludzi. Machnął ręką na pieniądze, powiedział, że doliczy do rachunku następnym razem.

Wciąż podjadając frytki, stanęła w drzwiach wielkiej sali. Joe Ashworth przy swoim biurku gapił się szklistym wzrokiem w ekran komputera.

– Gdzie reszta tych palantów? – spytała gniewnie.

– Ciągłe przesłuchują gości z Holme Park. Spora część ekipy pracowała w terenie.

– I macie coś?

– Nikt nie widział, żeby ktoś wchodził do domu na końcu alei. Nikt nie widział żadnego zaparkowanego tam samochodu. Parę osób szło pieszo do pałacyku, ale ich opisy są mało konkretne.

– Udało ci się skontaktować z Neville'em Furnessem?

– Był poza biurem, wizytował miejsce odkrywki. I nie odbierał komórki. – Ashworth niechętnie odwrócił się od monitora. – A co u pani?

– Kolejne dowody, że Bella i Edmund się przyjaźnili. W szpitalu zwierzali się sobie, ufali sobie. Ale jak to się ma do sprawy? – Wzruszyła ramionami. Zmięta papier po frytkach w kulkę i cisnęła w stronę kosza na śmieci.

– Anne Preece próbowała się z panią skontaktować.

– Po co?

– Tego mi nie zdradziła. Sugerowała, że to jakieś kobiece sprawy. W każdym razie będzie w domu cały wieczór, gdyby chciała pani do niej oddzwonić.

Vera poweselała. To jak odroczenie wyroku. Mogła o kilka kolejnych godzin opóźnić powrót do domu przy torach, po którym tłukł się duch jej ojca. I duch jej samej z dzieciństwa, samotnej, brzydkiej jak torba gwoździ. Kiedyś Hector usiłował być miły i powiedział: „Nie miałbym nic przeciwko, gdybyś zaprosiła koleżankę na podwieczorek”. Tylko że ona nie miała kogo zaprosić, i przez długie tygodnie bała się, że mógłby jeszcze raz o tym wspomnieć.

Powinnam sprzedać ten dom, pomyślała. Wynieść się stąd. Kupić mieszkanie w Kimmerston. Jakieś małe i łatwe w utrzymaniu. Może nawet wynająć. A za pieniądze ze sprzedaży parę razy zafundować sobie zagraniczne wakacje i nowy elegancki samochód.

Ale wiedziała, że tego nie zrobi. To marzenie nie do spełnienia tak jak wygrana na loterii. Była związana z tym domem, z tymi wspomnieniami. Lepsze duchy niż całkowity brak poczucia przynależności. Zorientowała się, że Ashworth gapi się na nią. Pewnie czeka, aż podniosę słuchawkę i zadzwonię do Anne.

– Pojadę do niej – oznajmiła. – Może sobie coś przypomniła. Nie ma to jak rozmowa twarzą w twarz.

– Jechać z panią? – Włożył w to pytanie cały entuzjazm, jaki zdołał z siebie wykrzesać, ale Vera nie dała się zwieść.

– Nie – odparła. – Wracaj do domu, do swojego dzidziusia. – Przypomnieli jej się Patrick i Christina w tym ich domu z widokiem na Tyne. Nie wiedziała, co z nią nie tak. Nawet kiedy była młodsza, na myśl o produkcji dzieci robiło jej się niedobrze. – Reszta tych drani z zespołu pewnie już jest w domu. Leżą do góry brzuchem przed telewizorem. Tobie się też należy.

Ashworth już zaczął wkładać papiery do szuflady, upychał termos do aktówki.

– No dobrze, jeśli jest pani pewna... – I zniknął, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Wcisnęła dzwonek przy drzwiach Priory. Zero odpowiedzi. Jaskółki śmigały pod okapem i co chwila nurkowały do gniazda. W nieruchomym powietrzu wisiały chmury owadów. Przeszła do ogrodu na tyłach, tam zastała Anne przy niskim żywopłocie z krzewów o ciemnoczerwonych kwiatach. Kobieta okopywała brzeg trawnika: ciężkim butem wciskała w ziemię krótki stalowy szpadel, odcinając nierówną krawędź. Była ubrana w dżinsy i bluzkę bez rękawów. Ładnie się starzeje, pomyślała Vera. Anne nie od razu usłyszała gościa; dopiero kiedy Vera doszła do połowy trawnika, odwróciła się przestraszona. W pierwszej chwili, zanim Anne zapanowała nad mimiką, Vera odniosła wrażenie, że ekolożka spodziewała się kogoś innego. A może miała nadzieję, że przyjdzie ktoś inny, bo przez sekundę wydawała się nie tylko zaskoczona, ale też wyraźnie rozczarowana.

– Nie trzeba było się fatygować taki kawał –

powiedziała. – To nic pilnego. Zadzwońłam, żeby się umówić. Sama przyjechałabym do Kimmerston.

Sprawiała wrażenie lekko spanikowanej i Vera uznała, że kobieta chyba nie przemyślała jeszcze do końca swojego wystąpienia. Nie dopracowała historyjki.

– To żaden kłopot. – Vera rozejrzała się z podziwem. – Ktoś tu włożył sporo pracy. Ogród wygląda jak z pocztówki.

– Uwielbiam go. Tęskniłabym za nim, gdybym miała stąd odejść.

– A na to się zanosi?

Anne się wyprostowała.

– Nie wiem. W chacie Baikie miałam się zastanowić, czego chcę. I nie jestem ani o krok bliższa decyzji.

– A co z mężem?

– Z Jeremym? Nie rozmawiałam z nim. On ma własne problemy. Interesy nie idą mu najlepiej. Poza tym jego nie da się traktować poważnie.

– Zawsze uważałam, że to niebezpieczne lekceważyć kogoś do tego stopnia – wyznała Vera.

– Doprawdy? – Anne zaśmiała się zażenowana. – Dziwaczne stwierdzenie. Jeremy nie skrzywdziłby muchy. Nie ma go dzisiaj w domu. Poszedł na spotkanie z jakimś partnerem biznesowym z Newcastle. Z kimś, dzięki komu zarobi fortunę. Jem, wieczny optymista.

– Chętnie bym go poznała – rzuciła Vera lekkim tonem. – Ale skoro wybył, możemy spokojnie porozmawiać. Przy piwie? Jeśli znajdzie pani jakieś w lodówce. Po dzisiejszym dniu chętnie się napiję.

Usiadły w kuchni, z otwartymi drzwiami, żeby móc słuchać ostatnich wieczornych ptaków. Na końcu ogrodu teren ostro się wznosił. Cień góry skradał się w ich stronę.

– No więc? – zagała Vera. – W czym mogę pomóc? – Ostrożnie nalewała piwo do prostej szklanki. – Przypomniała sobie pani coś z tamtego wieczoru, kiedy znalazła pani Edmunda?

– Nie. To nie o to chodzi. Nie wiem, czy powinnam...

– Mogłam się napić piwa we własnym domu. I nie przyjechałam taki kawał drogi, żeby podziwiać krajobraz. Więc niech pani mówi. Niech pani nie decyduje, co jest ważne. Proszę to zostawić mnie.

– Zastanawiałam się, czy rozmawiała pani z Barbarą Waugh.

– A któż to taki?

– Żona Godfrey'a, szefa kopalni. I zdaje się, jego partnerka biznesowa.

– Z nim zamieniłam parę słów po śmierci Grace, żeby się zorientować, o co chodzi z tą oceną wpływu na środowisko. Nie miałam powodów rozmawiać z jego żoną. To jakaś pani przyjaciółka?

– Raczej nie. Poznałam ją ponad rok temu. Slateburn Quarries sypnęło trochę grosza na utworzenie rezerwatu Northumberland Wildlife Trust i Waughowie byli na otwarciu. Barbara podeszła do mnie i zaczęła opowiadać o budowie kopalni. Musiała się skądś dowiedzieć, że jestem temu przeciwna. Spodziewałam się, że mi nawtyka, ale była bardzo łaskawa. Nawet zaprosiła mnie do domu na lunch.

– I o co jej chodziło? Chciała panią przekupić?

– Nie. Jej też nie bardzo podobał się pomysł uruchomienia kopalni w Black Law. Czuła, że firma jest siłą popychana do tej inwestycji. – Anne umilkła na chwilę.

– Rzucała insynuacje, wszystkie bardzo mętne, na temat Neville’a Furnessa. Że jest bezwzględny. Że ma wpływ na jej męża, jej zdaniem wręcz niezdrowy. Sugerowała nawet, że w grę wchodzi szantaż. Twierdziła, że dlatego Godfrey tak uparcie dąży do budowy kopalni. Gdyby to od niej zależało, byłaby bardziej elastyczna.

– Nie powiedziała, czym Neville może szantażować jej męża?

Anne odwróciła się, zapatrzyła na ogród.

– Nie.

– Uwierzyła jej pani?

– Wtedy? Nie. Ale z drugiej strony, niby dlaczego miałyby kłamać?

– Widziała się pani z nią od tamtej pory?

– Tuż przed przyjęciem w Holme Park. W zeszłym tygodniu dzwoniła tutaj parę razy. Jeremy mi przekazał, że próbowała się ze mną skontaktować. Poszłam do niej na podwieczorek. W domu była jej córka. Może dlatego bała się rozmawiać otwarcie, ale mam wrażenie, że coś się stało. Że wystąpiło jakieś zagrożenie. Wyglądała na przerażoną, ale nie chciała powiedzieć wprost, o co chodzi.

– Myśli pani, że mąż ją bije?

– Nie!

Odpowiedź, natychmiastowa i żarliwa, zaskoczyła Verę.

– To się zdarza – stwierdziła łagodnie. – Nawet w najlepszych rodzinach.

– Nie wydaje mi się, żeby jego się bała. Odniosłam wrażenie, że to ma coś wspólnego z Neville'em Furnessem. A teraz on się zainteresował Rachael...

– Uważa pani, że powinnam się lepiej przyjrzeć facetowi? Mówiła pani o tym wszystkim Rachael?

– Próbowałam ją ostrzec, ale jest oczarowana.

– Spotkała się z nim jeszcze raz?

– Tak sądzę. Zadzwoiła wczoraj, żeby spytać, co u mnie, i wydawało mi się, że w tle słyszę jego głos.

– Proszę się nie martwić. – Vera osuszyła szklanekę i z żalem odstawiła ją na stół. – Edie nie pozwoli jej zrobić żadnego głupstwa.

– Edie nie zdoła powstrzymać Rachael, jeśli ta się uprze.

– Dowiem się, co jest grane. Pogadam z nimi.

– Z Barbarą Waugh też?

– A chce pani tego?

– Ona się czegoś boi. Mnie nie powie. Ale przed panią może się otworzy. Tylko proszę jej nie mówić, że to ja panią przysłałam.

– Więc mam tam po prostu wpaść na przyjazną pogawędkę przy herbacie i wyjaśnić, że akurat przejeżdżałam w pobliżu?

– Ona jest udziałowcem firmy. Czy to nie wystarczający pretekst?

– Może.

Vera wyczuła, że Anne chce się jej pozbyć, jednak się

ociągała. Czegoś mi nie mówisz, paniusiu, stwierdziła w duchu. Ale czego? Siedziała więc i czekała.

– Mogłabym wrócić na uczelnię – oznajmiła nagle Anne. – Zrobiłabym doktorat z ochrony środowiska. Dostała stałą pracę, żeby móc się samodzielnie utrzymać.

I tylko o to chodziło? – pomyślała Vera. Ze swoich ambicji naukowych robiłaś taką tajemnicę? Ale nie była przekonana.

– Dlaczego nie? – powiedziała na głos. – Znalazłaby pani sobie kochasia – palnęła ot, tak, bo po prostu nic lepszego nie przyszło jej do głowy, ale kobieta zrobiła zażenowaną minę. – A może już pani znalazła?

– Nie – odparła Anne. – Oczywiście że nie.

– To ja już pójdę. Dzięki za piwo.

Anne odprowadziła ją do wyjścia. W korytarzu wisiało zdjęcie Jeremy'ego na jakiejś eleganckiej imprezie, w ekstrawaganckiej jedwabnej muszce.

Vera zawahała się przy drzwiach.

– Chodzi pani czasem do kawiarni w centrum handlowym?

Tym razem Anne zaczerwieniła się po uszy.

– Zdarza mi się. Skąd to pytanie?

– Bella Furness wpadała tam co środę. Na lunch. Spotkała ją pani kiedyś?

– Nie. Na pewno nie.

Więc z kim się spotykałaś? Z Edmundem Fulwellem czy kimś całkiem innym? – pomyślała Vera

W domu napiła się whisky, bo nie było piwa,

zadzwoiła do Edie, żeby umówić się na rozmowę następnego dnia, obejrzała film Orsona Wellesa w telewizji i zasnęła, zanim nocny do Aberdeen przeleciał z hurkotem przy domu. Zасыpiając, myślała o Neville'u Furnessie. We śnie pomieszał jej się z piratem, o którym czytała w dzieciństwie w ulubionej książce z obrazkami. Przed zaśnięciem musiała mieć jeszcze jeden przebłysk przytomności, bo nagle przyszło jej do głowy pytanie: dlaczego tak trudno go dopaść i przesłuchać?

Rutynowe działania policyjne nie dały żadnego efektu. Nawet jej szef, który wierzył w wytrwałość procedury, który był wcieleniem konwencji, który nie umiał pracować inaczej, musiał to przyznać. Zespół Very zebrał się następnego ranka. Zdążyli już skontaktować się ze wszystkimi gośćmi z przyjęcia w Holme Park, ale niczego nie uzyskali. Wyglądało to, jakby upał i drinki przytępiły imprezowiczom zmysły. Pamiętali strzępy plotek – zabawną rozmowę z dawnym dyplomata z Tokio, czyjąś zachwycającą suknię, zmęczoną i afektowaną starszą panią i że jadła truskawki – ale nic poza interakcjami towarzyskimi. A już z pewnością nic tak prozaicznego, jak to, czy pod bliźniakami na końcu alei stał jakiś samochód.

Instynkt zawsze kazał Verze trzymać ważne informacje dla siebie, dopóki ich nie sprawdziła. Kiedy była jeszcze młodą śledczą, inni zbierali laury za jej pracę i drwili z niej, kiedy szczegóły się nie potwierdzały. Teraz budowała teorie dyskretnie i omawiała je – jeśli w ogóle – wyłącznie z Ashworthem. A on oskarżał ją o paranoję, chociaż od czasu do czasu bronił jej, kiedy przez niechęć do współpracy z resztą wpadała w kłopoty. Teraz jednak zrozumiała, że tajemniczość niczego nie załatwi. Zespół stracił wiarę w powodzenie. Jej żołnierze potrzebowali czegoś, co podniosłoby ich na duchu. Historii, w którą mogliby uwierzyć.

– Dawno, dawno temu... – zaczęła, szczerząc się radośnie na widok ich zdeorientowanych min, bo akurat

tego w ogóle się nie spodziewali. – Dawno, dawno temu żyło sobie dwóch braci. Nazwijmy ich Robert i Edmund. Porządne, staroświeckie angielskie imiona. Starszy był dobry, obowiązkowy i robił, co kazała matka. W nagrodę odziedziczył wielki dom i rodzinną firmę. Ożenił się z ładną dziewczyną, a ta urodziła mu synów. Młodszy brat to utracjusz i pijak. Zrobił dziecko miejscowej pannie i musiał się z nią ożenić. Potem uciekł na morze. Żona popełniła samobójstwo, a córka... nawet jeśli nie piękna, to z pewnością bystra... została zabrana przez opiekę społeczną. Kiedy ten młodszy, Edmund, wrócił z pełnej przygód podróży, nie został przywitany jak biblijny syn marnotrawny. Nikt go nie kochał. Nikt z wyjątkiem córki i szurniętej staruszki, która opiekowała się nim, gdy był mały. – Rozejrzała się po twarzach i spytała ostro: – Nadażacie?

Pokiwali głowami, potulni jak dzieci w przedszkolu. Mogli sobie myśleć, że to ona jest szurniętą staruszką, ale nikt nie zamierzał ryzykować konfrontacji.

– Dotarło do mnie, że Edmund jeszcze bardziej niż swoją bystrą córkę kochał ziemię, na której się wychował. Kochał ją tak mocno, że kiedy jego wrogowie zaplanowali zbudować na niej kopalnię odkrywkową, zmusił córkę, żeby fałszowała dla niego dane. Oni chcieli sprowadzić maszyny do wydobywania rudy, a on nie mógł znieść tej myśli. To stało się jego obsesją.

Vera umilkła, a jej zażenowana publiczność zaczęła wiercić się niespokojnie, bo nie tak powinni się zachowywać inspektorzy. Mieli nadzieję, że skończyła. Ale

ona tylko napiła się coli z puszki na biurku i mówiła dalej.

– Ktoś jeszcze kochał tę krainę z taką samą pasją jak Edmund. Kobieta z farmy przylegającej do majątku. Nazywała się Bella Furness, a jej pasierb okazał się jednym ze złych biznesmenów, którzy chcieli rozkopać zbrocze góry. I niespodzianka! Bella i Edmund się znali. Spotkali się ponad dziesięć lat temu, w szpitalu St Nick's. Oboje byli szaleni. Być może. I tak zostali przyjaciółmi. Nie kochankami, bo Bella wyszła za Dougiego i żyła z nim długo i szczęśliwie. Przynajmniej do czasu, kiedy Dougie dostał udaru, a bankierzy i komornicy zaczęli krążyć jak sępy nad trupem farmy. Ale Bella i Edmund byli bardzo bliskimi przyjaciółmi. Być może Edmund zwierzył się Belli, zdradził jej swoje plany. Powiedział jej, kogo się boi. Być może gdybyśmy ją spytali, dałaby odpowiedź na wszystkie nasze pytania, łącznie z tym, kto zabił Edmunda. – Vera urwała nagle. – Ale już jej nie spytamy, bo na wiosnę, szczęśliwie dla zabójcy, popełniła samobójstwo.

Ktoś niepewnie podniósł rękę. Vera zmarszczyła brwi, jakby zirytował ją ten przerywnik.

– Tak?

– Czy to na pewno było samobójstwo?

– Gdyby nie było, Fraser, powiedziałabym wam.

– Tak, pani inspektor.

– Więc musimy poszukać kogoś innego, kto odpowie na nasze pytania. W szpitalu spotykała się terapeutyczna grupa wsparcia. Bella i Edmund należeli do niej. A po opuszczeniu St Nick's pozostali w kontakcie i regularnie jadali razem lunch. Od czasu do czasu towarzyszyła im

jeszcze jakaś kobieta. Trzeba ją namierzyć. Niewykluczone, że ona nawet nie zdaje sobie sprawy, że wie, kto zabił Edmunda i Grace. To nie będzie łatwe. Może nie chce zostać odnaleziona. Być może jej przyjaciele i krewni w ogóle się nie orientują, że spędziła jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym. Ale musimy z nią porozmawiać.

– Czy szpital nie pomógłby nam w tym? – Odważne pytanie, wykrzyknięte z końca sali.

– Mają dane na temat tego, kto przebywał w danym okresie na danym oddziale, ale nie kto uczęszczał na terapię grupową. Psycholog, która ją prowadziła, właśnie robi dla mnie listę, ale to trochę potrwa, bo musi przekopać notatki, poza tym jest zajęta innymi sprawami. Tak czy inaczej zacznijmy już szukać tej kobiety. Z początku działajmy subtelnie. Żadnych publicznych apeli, które by ją spłoszyły. Żadnych ogłoszeń z napisem: „Czy byłaś w psychiatryku w latach osiemdziesiątych?” Porozmawiajcie jeszcze raz z ludźmi w restauracji Harbour Lights, z personelem i stałymi klientami. Może ta kobieta tam jada. I obserwujcie lekarzy rodzinnych. Nie należy wykluczać, że ma nawroty problemów psychicznych. – Patrzyła, jak skrobą notatki, i pomyślała, że jej się udało. Odżyli na nowo. Znów trzasnęła dłonią o biurko i stanęła przed białą tablicą. – Kolejny wątek do sprawdzenia to kopalnia. Te śmierci są jakimś cudem powiązane z wielką dziurą, którą Slateburn chce wykopać na wrzosowisku. Tu macie głównych graczy w tej firmie. – Zaczęła pisać grubym mazakiem, stawiając nierówne, duże litery. – Godfrey Waugh. Właściciel. Chcę wiedzieć, czy to

przedsięwzięcie to jego pomysł, czy przyszli z tym do niego Fulwellowie. Pogadajcie z pracownikami Waugha i Holme Park, a nuż się czegoś dowiedziecie. Dalej, Neville Furness. Pasierb Belli. Swego czasu zarządca majątku Fulwellów. Potem został podkupiony przez Godfrey'a. Prowadził wstępne negocjacje w sprawie kopalni, ale teraz nagle zrobił się proekologiczny i ckliwy. Wspomina o tym, że zajmie się farmą ojca, chociaż ta jest zadłużona. Czy naprawdę się nawrócił? Jeśli nie, to co kombinuje? Na razie zostawcie go mnie. Jestem z nim umówiona zaraz po naszej naradzie. Ale porozmawiajcie z ludźmi, którzy go znają i pracują dla niego. Potrzebujemy wszystkiego, co uda się zdobyć. Kiedyś mieszkał w tym domu, gdzie Edmund rozstał się z życiem, i chodzą słuchy, że ciągle ma klucz. Dalej, Peter Kemp. Konsultant do spraw środowiska naturalnego. On też zmienił front, tyle że w drugą stronę. Zaczął w Wildlife Trust, a teraz sprzedaje swoje umiejętności wielkim firmom. Co zyska po przeforsowaniu planu budowy kopalni? Co straci, jeśli Waugh się wycofa?

Rozległo się pukanie do drzwi. Vera spojrzała ze złością na praktykantkę, która weszła do sali. Dziewczyna stanęła niepewnie tuż za progiem.

– Tak?

– Przyszedł faks... – Podała Verze papier, zaczerwieniła się i uciekła.

Vera spojrzała na treść. Chciała już zwolnić zespół, żeby spokojnie zastanowić się nad tym, co przeczytała, ale stwierdziła, że nie zaszkodzi im poprawić humory, nawet jeśli będzie to tylko tani śmiech z kogoś niezwiązanego

bezpośrednio ze śledztwem.

– To o Jeremym Preecie. Mężu Anne. Mieszka w Langholme, w domu stojącym najbliżej miejsca, gdzie znaleziono ciało Grace. Sprawdzaliśmy go rutynowo. Wiecie, jak szef lubi rutynę. Otóż pan Preece dostał wyrok za nieobyczajne zachowanie. Sąd Magistracki w Scarborough, 1990 rok. Przyłapano faceta, jak czał się w kłocie na nabrzeżu Filey, wystrojony w bluzkę z cekinów...

Wybuchnął śmiech, wszystkim odpuściło napięcie. Vera zawołała, przekrzykując hałas:

– A wy, po co tu jeszcze siedzicie? Nie macie nic do roboty? Teraz możecie dodać do swojej listy Jeremy'ego Preece'a.

Wdzięczni za zwolnienie pozbierali swoje rzeczy i wyszli. Został tylko Joe Ashworth, siedział z tyłu. Teraz zaczął powoli klaskać.

– Genialne – powiedział. – Doskonałe przedstawienie, od początku do końca. A teraz chętnie bym posłuchał, co jest grane tak naprawdę.

Pochlebiło jej przekonanie sierżanta, że ona to wie.

Vera zabrała ze sobą Ashwortha na rozmowę z Neville'em. Furness wodził ją za nos. Próbowwała się z nim umówić od śmierci Edmunda. Chciała mu pokazać, że nie żartuje, i dwoje policjantów w jego biurze miało sprawić właśnie takie wrażenie. Poza tym przy podobnych okazjach Joe był użytecznym obserwatorem. Czasami ją trochę ponosiło, a on wychwytywał sygnały, które przegapiała.

Firma Slateburn Quarries zajmowała górne piętro biurowca przy rzece. Vera spróbowała sobie przypomnieć, jak wyglądało to miejsce, kiedy stała tu rzeźnia starego Noble'a, ale nie potrafiła. Zbyt już przywykła do nowych ulic. Nawet kiedy patrzyła na rzekę z dużego okna recepcji, nie umiała powiązać swoich wspomnień z geografiją.

Recepcjonistka, surowa kobieta w średnim wieku, zapowiedziała, że pan Furness za moment ich przyjmie. Bo jest na zebraniu. Podała im kawę.

– A w ogóle wie, że tu przyszliśmy? – spytała gniewnie Vera.

Recepcjonistka się obruszyła.

– Zabronili sobie przeszkadzać. Zebranie planowo skończy się o jedenastej.

– Więc nawet mu pani nie powiedziała? – Jej głos musieli słyszeć nawet w spółdzielni mieszkaniowej na pierwszym piętrze. A jeszcze przybrał na sile. – Chcę się z nim widzieć natychmiast.

Sekretarka zawahała się, poczerwieniała z oburzenia, po czym przeszła za biurko, do telefonu. Dosłownie w następnej chwili Neville Furness wyłonił się z korytarza po lewej. Vera widziała go wcześniej tylko raz, w Black Law, w dżinsach i wyświechtanej kurtce myśliwskiej. W garniturze i pod krawatem robił większe wrażenie, nie dlatego że ubranie dodawało mu autorytetu, ale dlatego, że nosił je z taką niezwykłą swobodą. Vera spodziewała się, że on – syn farmera – będzie tutaj wyglądał nie na miejscu. Ale nawet tak obcesowo wyrwany z zebrania zachował stoicki spokój i luz.

– Jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, panie Furness – odezwała się zaczepnym tonem. Nie wiedziała jeszcze, czy chce prowokować kłótnię, ale zostawiła sobie otwartą furtkę.

Furness wprowadził ich do gabinetu z jego nazwiskiem na drzwiach i z widokiem na miasto.

– Zdaję sobie sprawę, że pani też jest bardzo zajęta, pani inspektor. Przepraszam, że kazałem pani czekać.

Pod oknem stało biurko, ale Neville poprzysuwał trzy fotele do okrągłego stolika, żeby usiedli wygodnie. Verę znów zaskoczyły jego swoboda i pewność siebie. Chciała nim potrząsnąć.

– Trudno pana złapać. Chyba nas pan nie unikał?

– Ależ skąd. Mieliśmy tu piekielnie trudny okres. Śmierć Edmunda postawiła pod znakiem zapytania całą inwestycję.

– Dlaczego? Kopalnia nie ma z nim nic wspólnego.

– To kwestia opinii publicznej. Wie pani, że Slateburn

współpracuje przy tym projekcie z Fulwellami. Livvy zależy, żeby to kontynuować, ale odnosimy wrażenie, że Robert wolałby sobie odpuścić. Przynajmniej na razie. Uważa, że to w złym guście.

– A pan co o tym myśli?

Milczał przez chwilę.

– Ja pracuję dla Slateburn Quarries. Będę realizował każdą strategię, jaka zostanie ustalona.

– Ale musi pan mieć jakieś własne zdanie.

– Nie wtedy, kiedy znajduję się w tym biurze.

– Słyszałam, że jest pan mocno zaangażowany w projekt budowy kopalni. Że to pan stoi za całym tym przedsięwzięciem.

– Ciekawe, kto pani to powiedział. – Znow umilkł na chwilę, zmarszczył brwi. Vera nie odezwała się, więc mówił dalej: – Moja praca wymaga ode mnie zaangażowania.

Vera wyciągnęła nogi. Fotele, dość niskie, byłyby wygodne, gdyby chciała się zdrzemnąć, ale nie nadawały się do siedzenia prosto.

– Jednak panu Waughowi z pewnością zależy na tym, żeby sfinalizować plan. Domyślam się, że już zainwestował w to fortunę.

– Moim zdaniem zachowuje otwarty umysł, nie skłania się w żadną stronę. Jeśli zdecydujemy się w to iść, konsultacje społeczne będą nas kosztować, trzeba opłacić prawników. Godfrey z pewnością jest bardziej na tak, od kiedy wiemy, że ocena wpływu na środowisko wypadła korzystnie dla nas. Zasponsorowanie Wildlife Trust było

ruchem hazardzisty. Ale jak już to zrobiliśmy, to teraz nie moglibyśmy sobie pozwolić na niszczenie ekosystemu, który warto chronić.

– Kto zaproponował spotkanie, żeby przedyskutować przyszłość kopalni?

– Państwo Fulwellowie. My nie śmielibyśmy się im narzucać dzień po śmierci Edmunda.

– A konkretnie które z nich? – Jakbyśmy tego nie wiedzieli, pomyślała Vera. Zmrużyła oczy i spojrzała na niego.

– Zapewne Olivia. W nadziei, że jakoś wpłyniemy na Roberta. Podczas spotkania oskarżyła go, że stracił ikrę.

Neville nareszcie pękł. Profesjonalny chłód wyparował. Vera triumfowała.

– Nie lubi pan pani Fulwell – stwierdziła neutralnym tonem.

– Nie za bardzo. Kiedy pracowałem dla Roberta, mieszała się w nasze stosunki. Między innymi dlatego tak chętnie odszedłem z Holme Park.

– Kto jeszcze brał udział w spotkaniu?

– Peter Kemp, nasz konsultant do spraw ochrony przyrody.

Vera znów się przeciągnęła, ziewnęła. W pokoju było bardzo ciepło.

– Jemu pewnie wszystko jedno, jaka zapadnie decyzja. Zapłacicie mu za raport bez względu na to, czy budowa ruszy, czy nie.

– O, jemu już zapłaciliśmy – odparł kwaśno Furness.
– Ale to nie do końca prawda, że nic więcej nie uzyskałby.

Jeśli kopalnia powstanie, Godfrey obiecał mu nowy rezerwat niedaleko miejsca odkrywki. To była część planu. Kemp i firma Slateburn ustalały warunki zatrudnienia dla zarządu i zapewnią personel. To będzie lukratywny kontrakt.

Petera Kempa też nie lubisz, stwierdziła Vera. Ciekawe dlaczego. Irytowało ją, że nie potrafi wyrobić sobie zdania o Neville’u Furnessie, że nie umie go rozgryźć, odgadnąć, co nim kieruje. Brała to za punkt honoru; jej pierwsze wrażenia dotyczące ludzi okazywały się trafne. Bez przerwy przechwalała się tym przed Ashworthem. Ale jej wrażenia co do Furnessa były niejasne i nie mogła na nich polegać.

– Co pan zrobił z kluczem do domu w posiadłości, kiedy odszedł pan z pracy? – Miała nadzieję, że go zaskoczy.

Nie odpowiedział od razu.

– Przecież miał pan klucz, prawda?

– Przepraszam – powiedział, jakby się ocknął. – Najwyraźniej to ważne. Próbuję sobie przypomnieć. Miałem dwa klucze. Jeden do frontowych drzwi, drugi do kuchennych. Na tym samym kółku.

– Oddał je pan pani Fulwell? – Ashworth wreszcie włączył się do rozmowy.

– Nie. Z całą pewnością nie jej. Rezygnację wręczyłem Robertowi. Zostało mi trochę urlopu do wykorzystania, więc w zasadzie odszedłem z Holme Park z dnia na dzień. Tak wolałem. Nie chciałem scen.

– A pani Fulwell zrobiłaby scenę? – dopytywał

Ashworth.

– Jest rozpieszczona. Miewa dziecinne napady wściekłości.

– Czy pańskie relacje z panią Fulwell były wyłącznie zawodowe?

– Z mojej strony z pewnością.

– A z jej?

– Jak już wspomniałem, wtrącała się.

– Podobał jej się pan – przerwała Vera ze śmiechem.

– Niech mi pan nie mówi, że miała ochotę na bara-bara.

Zaczerwienił się gwałtownie i przez chwilę sądziła, że znalazła na niego haka. Nieśmiały, pruderyjny facet. Tak po prostu. Ale błyskawicznie zapanował nad sobą, więc pomyślała, że musiała się pomylić.

– O ile się orientuję – odparł sztywno – Robert i Livvy są bardzo szczęśliwym małżeństwem.

– W takim razie wróćmy do kluczy – powiedziała Vera niespeszona. – Nie dał ich pan Livvy. Czyli dał je pan Robertowi?

– Nie wydaje mi się. On zwykle nie zajmował się takimi błahostkami.

– Więc je pan zatrzymał?

– Hm, możliwe. To znaczy, możliwe, że najwyraźniej zapomniałem je oddać.

– Gdzie mogą być? W domu?

– Nie, zaraz, zaczynam sobie przypominać. Klucze do domu w Holme Park miałem na tym samym kółku co zapasowy komplet do Black Law. Bella mnie poprosiła, żebym go miał na wszelki wypadek. Gdyby coś się stało

ojcu podczas jej nieobecności. A te klucze zawsze trzymałem tutaj. Spędzam w biurze więcej czasu niż w domu. Z całą pewnością leżały tutaj, kiedy poprosiła pani o klucze do farmy po śmierci tej dziewczyny. – Wstał i podszedł do biurka.

Vera ze swojego miejsca nie widziała, jak Neville otwiera szufladę, ale chyba nie była zamknięta. Wrócił z trzema kluczami doczepionymi do breloczka Wildlife Trust.

– Te dwa są do Black Law. Okrągły od frontowych drzwi, Yale od tylnych. A ten jest od frontowych drzwi domu w Holme Park.

– A od kuchennych?

– Nie wiem. Tu go nie ma. A przysięgłbym, że wisiał na tym samym kółku.

– Kiedy pan go widział ostatni raz?

– Nie mam pojęcia. Po tym, jak dawałem pani klucze do Black Law, już nie wyciągałem tego kółka. Zapewne widzę je za każdym razem, kiedy zaglądam do szuflady, ale nie zwracam na nie uwagi.

– Kto jeszcze może się dostać do pańskiego biurka?

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Bardzo dbamy o bezpieczeństwo. Do tej części biur nikt nie wejdzie bez przepustki.

– Ale pańskie biurko nie było zamknięte na klucz.

– Nie. Podobnie jak gabinet. Nie musi być zamykane. Jak wyjaśniłem, to niemożliwe, żeby wszedł tu ktoś obcy.

– Ale każdy, kto pracuje w Slateburn Quarries albo zjawia się tu w interesach, bez problemu sięgnąłby po klucze.

– Pewnie tak. Gdyby chciał. I gdyby wiedział, że tu są.

– Czy klucz był jakoś oznakowany?

Furness się zawahał.

– Tak. Tak jak ten.

Wręczył Verze klucz do frontowych drzwi bliźniaka w Holme Park. Była do niego przypięta plakietka z karteczką; napis wyblakł, ale dało się odczytać ściśnięte literki: „Aleja 1”.

– To oficjalny adres domu.

– Pańska sekretarka miała potrzebę zaglądać do tej szuflady?

– Raczej nie. Trzymam tu głównie osobiste rzeczy. Ale proszę ją zapytać.

– Tak – odparła Vera. – Zapytamy.

Neville Furness nie usiadł z powrotem. Może spodziewał się, że wyjdą, ale nie ruszyli się z miejsca. Przyglądali mu się w milczeniu.

– Nie użyłem tego klucza – powiedział cicho. – I przeraża mnie myśl, że ktoś go ukradł, że przez swoją nieostrożność jestem odpowiedzialny za śmierć Edmunda.

Vera wciąż się nie odzywała. Cisza widocznie działała na Neville’a, bo znów zaczął mówić.

– To był piekielny tydzień. Fulwellowie bardzo nam utrudniali życie. Nie wiemy, na czym stoimy. Gdyby się zdecydowali, w tę czy w tę... Wszyscy tu jesteśmy dość poirytowani – urwał nagle. – Ale to nie państwa zmartwienie. Oczywiście państwo macie o wiele poważniejsze sprawy... Właściwie zdecydowałem, że

muszę się na moment oderwać od tego wszystkiego. Zamierzam uciec na weekend, spędzić trochę czasu w Black Law. To chyba nie problem? Wasz zespół już tam skończył, prawda?

Vera przytaknęła.

– Widział się pan niedawno z Rachael Lambert?

– Tak. Ona też potrzebuje odpoczynku. Jedzie ze mną do Black Law. – Po chwili przerwy dodał: – Nie spytacie mnie państwo, co robiłem w dniu, kiedy zamordowano Edmunda Fulwella?

– W końcu byśmy do tego doszli – odparła Vera swobodnie.

– Do popołudnia siedziałem tutaj, przeglądałem wstępną wersję oceny wpływu na środowisko.

– Sam?

– Tak, ale wychodząc z budynku, trzeba minąć recepcję, a tam zawsze ktoś jest. Opuściłem biuro około czwartej i wróciłem do siebie, żeby się przebrać. Godfrey cały dzień pracował w domu. Wcześniej wezwał do siebie Petera Kempa, zamierzali omawiać plany nowego rezerwatu w Black Law i chciał je ze mną przedyskutować. Zaprosił mnie na kolację, ale miałem przyjść wcześniej, żebyśmy zdążyli załatwić sprawy zawodowe, zanim siądziemy do jedzenia.

– Miło pan spędził wieczór? – Vera dźwignęła się z fotela.

– Tak, dziękuję. Bardzo miło.

Odprowadził ich przez recepcję i poczekał z nimi na windę.

Vera stała chwilę przed budynkiem, wyobrażając sobie Neville'a i Rachael sam na sam w Black Law. Gdyby zamierzał skrzywdzić tę kobietę, to chyba nie powiedziała im o wspólnej wyprawie na farmę? A może panna Lambert właśnie została wplątana w zastawianie bardzo sprytnej pułapki.

Do domu Edie przy Riverside Terrace Vera wybrała się z komisariatu pieszo. To niedaleko, a ona musiała się wyrwać z centrum operacyjnego, od ludzi z zespołu, którzy gorączkowo zabiegali o jej aprobatę i czekali, aż dokona cudu. Miała nadzieję, że dom Edie podziała na nią jak chata Baikie, oczyści jej umysł, pozwoli spojrzeć na sprawy z innej perspektywy i zobaczyć wszystko wyraźniej. Potrzebowała znów poczuć się pewna swego.

Edie zaprosiła ją na lunch. Vera uznała, że nie powinna przychodzić z pustymi rękami, wstąpiła więc do małej kwiaciarni przy High Street. Ktoś zostawiał bukiety w starej kopalni w miejscu śmierci Grace. Kwiaty były symbolem żałoby. Symbolem pamięci. Albo radości.

Na końcu szeregu domów zatrzymała się, żeby odzyskać oddech. Nie chciała przyjść w gości zasapana i spocona. Minął ją samochód, zatrzymał się przed domem Edie; z auta wyskoczył Peter Kemp. Dziś nie prowadził białego land rovera, ale coś zgrabnego i sportowego, z głośnym silnikiem. Był ubrany na luzie: szare bawełniane spodnie i zielona koszulka polo z firmowym logo na kieszeni. Bardzo korporacyjnie. Wbiegł po schodkach i otwartą dłonią wcisnął guzik dzwonka.

Zanim Vera dotarła do drzwi, Peter był już w kuchni w suterenie. Przechyliła się przez barierkę, ale choć widziała ich oboje w środku, nie słyszała, co mówią. Jedno pewne, że nie prowadzili przyjacielskiej rozmowy. Odczekała

jeszcze chwilę. W końcu ciekawość zwyciężyła i Vera zadzwoniła do drzwi. Edie otworzyła jej mocno wzburzona.

– Chwała Bogu – mruknęła. – Gdyby pani nie przyszła, chybabym go zamordowała.

W kuchni, oprócz wyszorowanego sosnowego stołu i krzeseł, stała mała sofa z narzutą z hinduskiej bawełny. Peter Kemp usiadł na niej, kiedy gospodyni wyszła otworzyć drzwi. Rozsiadł się wygodnie, wyciągając długie nogi na podłozie wzdłuż sofy, tak że nie było już na niej miejsca dla nikogo innego. Kiedy zobaczył Verę, wstał powoli.

– Pani inspektor. Co za niespodzianka. A ja zawsze myślałem, że pani Lambert to taka praworządna osoba. Mam nadzieję, że nie przyszła jej pani aresztować. – Spojrzał znacząco na kwiaty, które zaczynały już więdnąć. – Ach, nie. Widzę, że to wizyta towarzyska. – Ostatnie słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

Jego piegi wydawały się wyjątkowo wyraźne na bladej skórze.

– Posłuchaj – przerwała mu Edie. – Lepiej już idź. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Wyglądał, jakby zamierzał się kłócić, ale zmienił zdanie. Zamiast tego odezwał się troskliwym tonem.

– Musisz to wiedzieć. Bardzo lubię Rachael. Jej dobro leży mi na sercu. Nie chciałbym, żeby się rozczarowała.

Edie puściła go przodem na schody, odwróciła się do Very i za jego plecami udała, że wymiotuje. Kiedy wróciła, usłyszały, jak Kemp z rykiem odpala silnik i odjeżdża. Zaczęła z furią tłuc się po kuchni – rozkładała na stole

sztuńce i co tylko znalazła w lodówce. Vera odczekała, aż na blacie pojawiły się już niemal wszystkie zasoby: pół bochenka chleba, zmiędlona kula folii aluminiowej z serem boursin, kawał podeschniętego cheddara i dwa plasterki szynki, dopiero potem zagadała. Edie stała przy zlewie i z plastikowego worka wysypywała do miski gotową sałatkę.

– O co chodziło?

– Arogancki gnojek. Jak zawsze – burknęła Edie.

– Czego chciał?

– Skądś się dowiedział, że Rachael myśli o zmianie pracy. Prosił mnie, bym ją przekonała, żeby została u niego. Jeśli powstanie nowy rezerwat w Black Law, chce, żeby nim zarządzała. Jest przerażony, że nie da rady poprowadzić tego interesu bez niej. I słusznie. Bo nie da rady.

– Moim zdaniem to dość pochlebne.

– Chodzi o sposób, w jaki to zrobił. Wie pani, co powiedział? „Powinna zdawać sobie sprawę, że to nie najlepszy moment. Potencjalni pracodawcy będą nieufnie patrzeć na kogoś, kto jest związany ze śledztwem w sprawie zabójstwa”. Sugerował, że Rachael mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią Grace.

Vera zorientowała się, że jeszcze chwila a Edie się rozplacze. W lodówce zauważyła butelkę wina, pełną w trzech czwartych i zakorkowaną. Wyjęła ją, nalała im po kieliszku, wypła łyk i wykrzywiła usta, zastanawiając się, jak długo już stało otwarte.

– O czym w ogóle pani chce ze mną rozmawiać? – spytała Edie wciąż wściekła. – O Neville’u? Jeśli pani

przyjdzie wieczorem, zastanie pani Rachael. Ona zapewne okaże się bardziej pomocna.

– O ile wiem, jest nim zauroczona. A to nie wpływa zbyt dobrze na trafność osądów.

– Od kogo pani słyszała to o mojej córce?

– Od Anne Preece. Wczoraj odwiedziłam ją w Langholme.

– A, więc ciągle tam siedzi. Dziwne. Myślałam, że postanowiła odejść.

– Ano, siedzi, siedzi – odparła Vera. – Ale wygląda mi na to, że tkwi w jakimś zawieszeniu. Czeka, aż coś się stanie. Pani nie wie, czego ona tak wyczekuje?

– Może jakiegoś mężczyzny. Jest bardzo dyskretna, ale odniosłam wrażenie, że w ich małżeństwie się nie układa. Chociaż w ilu przypadkach się układa?

Vera odkroiła z bochenka nierówną pajdę.

– No więc? – zagadnęła z irytacją. – Jest?

Edie wciąż zamyślona uniosła wzrok znad kieliszka.

– Czy co jest?

– Czy Rachael jest zauroczona?

– Z całą pewnością. Nie widziałam jej takiej od czasu, kiedy zaczęła chodzić z tym padalcem Kempem.

– Nie wiedziałam, że z nim była. – Ton Very wyrażał umiarkowane zainteresowanie, ale jej mózg pracował jak szalony. Kolejne powiązanie. Kolejna komplikacja.

– Zanim się ożenił. Już wtedy go nie lubiłam. Może dlatego trzymała się go tak długo. Na złość mnie. Nie powinnam tak otwarcie wyrażać swoich opinii na jego temat. Z Rachael nigdy nie umiałam być taktowna.

– Ale nie przestała z nim pracować. To kwestia dumy, jak sądzę. Nie chciała, żeby ktoś pomyślał, że ucieka. Poza tym z tego, co mówi, mają tyle zleceń, że ledwo się wyrabiają. I właśnie dał jej podwyżkę. Pewnie to takie przekupstwo, żeby została.

– Więc nie brakuje mu pieniędzy?

– Najwyraźniej nie, choć podobno jego żona ma bardzo kosztowne gusta. – Edie się skrzywiła. – Przepraszam, to było wredne. Nie umiem się powstrzymać, ciągle słucham plotek.

– Słuchanie plotek to nic złego, kotku. Do tego sprowadza się moja praca. Co jeszcze ludzie gadają?

– Że ożenił się z nią dla pieniędzy, a potem odkrył, że nie jest tak nadziana, jak sądził. Tatuś, owszem bogaty, ale niezbyt hojny. – Edie dopiła swoje wino. – Rachael już od jakiegoś czasu dusi się w firmie Kempa. A przypuszczam, że śmierć Grace skłoniła ją do aktywnych poszukiwań czegoś innego. Mają miejsce w placówce badawczej Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków i ona jest tym zainteresowana. Pracowałyby w Walii. Wiem, że bez problemu by się przeprowadziła, ale brakowałyby mi jej. Szczególnie teraz. Ostatnio lepiej się dogadywałyśmy. – Edie umilkła na chwilę. – A ona tęskniłaby za Neville'em. Może dlatego tak długo zwleka z decyzją, czy wziąć tę posadę, czy nie. W skrytości jeszcze marzy, że on porwie ją do Black Law i razem będą tam żyli długo i szczęśliwie.

– A to prawdopodobne?

– Bóg jeden wie.

– Może stąd ta scena z Peterem.
– Nie rozumiem? – Edie znów się zjeżyła na wzmiankę o Kempie.

– Niewykluczone, że on ciągle coś czuje do Rachael i nie chce jej oddać Neville'owi. Możliwe nawet, że mieli romans. Zwłaszcza jeśli Peter nie kocha żony.

– Bzdura! – wykrzyknęła Edie wyraźnie przerażona. – Rachael nie jest taka głupia. Nawet gdyby chciała się odegrać na mnie. A zazdrość to taka ludzka emocja. Nie wydaje mi się, żeby Kemp był do niej zdolny.

Za to Neville może być, stwierdziła w duchu Vera. Ale co z tego wynika dla nas?

– Córka mówiła pani, że młody Furness planuje ją zabrać do Black Law w ten weekend?

– Wspominała o tym. Raz czy dwa. Zachowuje się jak dziecko, które nigdy nie wyjeżdżało na wakacje.

– I pani się zgodziła?

– Przecież jej nie zabronię. Jest dorosła. I za stara na wykłady o bezpiecznym seksie. – Edie posłała Verze podejrzliwe spojrzenie. – Chyba że pani zdaniem powinnam o czymś wiedzieć. Ale nawet jeśli, to tym razem nie mogę się tam wprosić, pojechać jako pies stróżujący czy przyzwoitka.

– To prawda. – Vera napełniła oba kieliszki. – Raczej nie. Co pani myśli o Neville'u Furnessie?

– Potrafię zrozumieć, dlaczego podoba się Rachael.

– Tak – przyznała Vera. – Ja też.

– Mam nadzieję, że nie bawi się jej kosztem.

– A myśli pani, że tak może być?

– Nie wydaje mi się. Jak dla mnie to bardzo nieśmiały, skryty mężczyzna. Nie zdradza niczego na swój temat. Zresztą Rachael jest taka sama. Chyba powinnam zaufać jej osądowi.

– Często go pani widuje?

– Jest bardzo dżentelmeński. Za każdym razem, kiedy po nią przychodzi, informuje mnie, dokąd idą i o której wrócą. Spotykają się codziennie, od kiedy wróciliśmy do Kimmerston.

– Obserwowałam go. Dyskretnie. Ale ostatnio mój cały zespół zajmował się zabójstwem Edmunda.

– A orientuje się pani, gdzie był tego popołudnia, kiedy zginął Edmund?

– Twierdzi, że w biurze. Oczywiście to sprawdzimy. Czemu pani pyta?

– Bo mieszkał w tamtym domu.

– Wiem.

– To co, przekonać Rachael, żeby jednak nie wyjeżdżała z nim na weekend? Może mnie posłucha. Jak mówiłam, ostatnio lepiej się dogadujemy.

– Nie – odparła cicho Vera. – Proszę tego nie robić.

– Nie chciałabym jej narażać na żadne niebezpieczeństwo.

– Tak. Ja też nie.

Vera postanowiła wpaść do Waughów bez zapowiedzi. Neville Furness dostarczył jej pretekstu. Musiała sprawdzić jego alibi na to popołudnie, kiedy został zamordowany Edmund, a dom Waughów miała po drodze. Prawie. Zresztą, odwiedziłaby ich nawet bez pretekstu. Anne Preece obudziła jej ciekawość. Vera chciała zobaczyć rodzinę w komplecie.

Przez całą młodość przechowywała w głowie wyidealizowany obrazek tradycyjnego rodzinnego życia i na brak takiego życia zwała winę za to, że wyrosła na wstrętą krowę. W pracy jednak rzadko spotykała się z prawdziwą domową sielanką, a kolegów, którzy najlepiej udawali szczęście rodzinne, w pierwszej kolejności podejrzewała, że chętnie wskakują do łóżka ze wszystkim, co się rusza. Żyli w kłamstwie. Tylko nie Ashworth. On był wyjątkiem. On przywrócił jej wiarę w dziecięce marzenia.

Starannie wybrała czas wizyty – siódma wieczorem. Godfrey Waugh powinien już wrócić z biura. To z pewnością pora, kiedy rodzina spędza czas razem. Kiedy jednak zajechała na żwirowy podjazd, wyglądało na to, że w domu nie ma żywego ducha. Po burzach z zeszłego tygodnia pogoda znów się poprawiła. Zrobiło się ciepło i bezwietrznie, góry wydawały się dalekie, zamglone od upału – a mimo to wszystkie okna były pozamykane. Vera nasłuchiwała odgłosów telewizora czy krzyków dzieci, ale panowała cisza.

Zadzwoiła do drzwi, ale zaraz odwróciła się, żeby

pójść do ogrodu, bo nie spodziewała się żadnej reakcji. Szczęk zamka i skrzypnięcie otwieranych drzwi zaskoczyły ją. Za progiem stała kobieta z kuchenną ścierką w dłoni. Miała różowe gumowe rękawice, sięgające niemal do łokci. Pod nimi – to na pewno – krył się nienaganny manicure. Kobieta uśmiechnęła się dość sympatycznie, ale Vera zdążyła się już do niej uprzedzić. Umalowana nawet do mycia garów, zauważyła. Wyobraziła ją sobie, jak siedzi przy toaletce i starannie przygotowuje się na powrót męża z pracy. Z pożądania? Obowiązku? Tak czy inaczej makijaż ją zdradził.

– Pani Waugh? – Pytanie zabrzmiało ostrzej, niż Vera zamierzała. Jakoś nie potrafiła dopasować tej pewnej siebie istoty do stworzonego przez Anne Preece wizerunku roztrzęsionej kobiety, ofiary, obiektu zastraszania.

– Tak.

– Inspektor Stanhope. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Edmunda Fulwella. Czy mogłabym porozmawiać z pani mężem?

– Oczywiście. – Barbara Waugh zdjęła rękawicę i wyciągnęła rękę.

Vera, podając swoją, aż nazbyt wyraźnie dostrzegła własne paznokcie: obgryzione, porozdwajane, niezbyt czyste. Gospodyni krzyknęła w głąb domu:

– Kochanie, przyszła inspektor Stanhope. Chciałaby z tobą porozmawiać.

Nie dało się stwierdzić, co pomyślała o tym najściu.

Vera weszła za nią do holu. Przez otwarte drzwi widziała wewnątrz małego pokoju z jasnymi ścianami i

regałem pełnym zabawek za sosnowym biurkiem. Przed komputerem siedziała dziewczynka. Całą uwagę poświęcała grze, ściskając joystick w obu dłoniach. Dźwięk był wyłączony, więc kosmici na ekranie w milczeniu ginęli od lasera. Mrugający zielony licznik pokazał ostateczny wynik i mała na moment się rozluźniła; odwróciła głowę i Vera zobaczyła bladą, nalaną twarz. W następnej chwili musiała już przywitać się z Godfreyem, który szedł korytarzem w jej stronę.

Przebrał się z garnituru i teraz wyglądał jak polityk, któremu kazano ubrać się swobodnie. Miał spodnie z cienkiego sztruku i kraciastą koszulę rozpiętą pod szyją. Gdyby było chłodniej, pewnie wystroiłby się we wzorzysty sweter.

– Pani inspektor. – Zmarszczył brwi. Vera pomyślała, że jeśli ktoś z tych dwojga jest zestresowany, to raczej on, choć starał się to ukrywać. – Coś się stało?

– Nie – odparła. Z wyjątkiem tego, że dwie osoby zostały zamordowane. Ojciec i córka. Tacy jak ty i to dziecko grające na komputerze. – To rutynowa wizyta. Mam kilka pytań, a że właśnie tędy przejeżdżałam...

Wprowadził ją do salonu pachnącego woskiem do mebli. Na poczesnym miejscu nad kominkiem wisiał olejny portret ich córki. Był zbyt wierny, żeby pochlebiać modelce, ale Vera wymamrotała coś uprzejmie na temat jej urody. Zadając się z Ashworthem, nauczyła się, jak rozmawiać z rodzicami. Najwyraźniej wcisnęła odpowiedni guzik, bo Waugh zareagował bardzo ciepło. Mówił z miejscowym akcentem, ale jego słowa, starannie

dobierane, lekko przeciągane, również miały w sobie coś z politycznego przemówienia.

– Już niemal pogodziliśmy się z tym, że pozostaniemy bezdzietni, ale wreszcie zjawiała się Felicity. To była prawdziwa radość, może dlatego, że tak niespodziewana.

Stojąca w drzwiach Barbara też się uśmiechnęła, ale ślad napięcia na jej twarzy sugerował, że wysiłek opieki nad dzieckiem ją przerasta, że dla niej ta radość nie jest tak zupełnie nieskalana. Verze nagle zrobiło się trochę żal tej kobiety. Może Anne Preece jednak miała rację. A jeśli Barbara chce się dla niego pindrzyć, to przecież wyłącznie jej sprawa.

– Zrobić pani herbaty albo kawy, pani inspektor? Potem was zostawię, pewnie woli pani porozmawiać z moim mężem w cztery oczy.

Tak naprawdę najchętniej napiłabym się piwa, pomyślała Vera, uprzejmie poprosiła jednak o herbatę.

– I mam nadzieję, że pani do nas dołączy, pani Waugh. Byłabym wdzięczna również za pani opinię.

Barbarze chyba się to spodobało, ale kiedy wyszła z pokoju, Godfrey powiedział:

– Nie wiem, w czym moja żona może pani pomóc. Siedzi w domu i na cały etat zajmuje się córką. Od czasu, kiedy ta młoda kobieta zginęła w górach, Barbara niechętnie dokądkolwiek wychodzi sama.

– Sądziłam, że jest pańską współpracowniczką w interesach.

To go zaskoczyło. Zupełnie jakby zapomniał o tym fakcie.

– Oficjalnie tak, ale praktycznie nie angażuje się w

sprawy Slateburn Quarries.

– Co myśli o budowie kopalni?

Milczał przez chwilę, uśmiechnął się blado.

– Obawiam się, że ma dość sentymentalne podejście do firmy. Jej ojciec był drobnym przedsiębiorcą i Barbara nie zawsze rozumie, że musimy się rozwijać, odejść od interesów na tak małą skalę. To już nie jest mały biznes. Musimy przetrwać.

– Gdyby przyszło do głosowania zarządu, wsparłaby pana?

Przelotne, wyrażające irytację zmarszczenie brwi, po którym powrócił uśmiech.

– Nigdy nie dojdzie do głosowania. Jaki by to miało sens? Tylko my dwoje tworzymy tę spółkę. Doszlibyśmy do porozumienia. Choć oczywiście są też inni ludzie związani z tą kopalnianą inwestycją. Obecni właściciele terenu, państwo Fulwellowie. Bez ich zgody na dzierżawę nic by z tego nie wyszło.

– A pan Furness?

– Neville jest tylko pracownikiem. Cenię sobie jego zdanie, ale ono nie wpłynie na ostateczną decyzję.

– Więc nie została jeszcze podjęta?

Zawahał się.

– Nie. Wszyscy czuliśmy, że potrzebujemy paru dni na zastanowienie. Spotykamy się znów w piątek.

Urwał nagle, kiedy do pokoju weszła Barbara z tacą. Za nią szła Felicity z talerzem domowych ciastek. Poczęstowała Verę i ojca, po czym odstawiła talerz na stolik i bez słowa ruszyła do drzwi. Vera zauważyła, że

mała ściska w dłoni trzy ciastka, i puściła do niej oko, kiedy ta zamykała drzwi. Dziewczynka odpowiedziała jej kamiennym spojrzeniem.

– Weźmie pani udział w piątkowym spotkaniu, pani Waugh? – zagadnęła Vera tonem towarzyskiej pogawędki.

– W jakim spotkaniu?

– W tym, na którym zostanie postanowione, czy kopalnia powinna być zbudowana, czy nie.

Godfrey wtrącił się pospiesznie.

– Barbara nie musi się zajmować codziennymi obowiązkami związanymi z prowadzeniem firmy. Zostawia to wszystko mnie.

– Ale ja sądziłam, że decyzja już zapadła. – Barbara usiadła naprzeciwko nich ze ściśniętymi kolanami, dłońmi splecionymi na podołku. Klasztorne wychowanie, pomyślała Vera. Zawsze to poznam. – Godfrey, mówiłeś przecież, że na razie daliście sobie z tym spokój?

Wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej Livvy przycisnęła Roberta. Zadzwoił dzisiaj po południu tuż przed moim wyjściem z pracy i powiedział, że warto by porozmawiać jeszcze raz.

– Nie powiedziałeś mi o tym. – Wydawało się, że nagle straci panowanie nad sobą. – Nie wiem, czy jeszcze to zniosę. Ten rozgłos. Ludzkie gadanie.

Godfrey odchylił się w fotelu. Jego mina wyrażała przy tym niesmak, może nawet lekkie obrzydzenie, ale odezwał się łagodnie.

– Właśnie dlatego nic ci nie mówiłem. Wiem, jak ci ulżyło, kiedy projekt został wstrzymany. I tak naprawdę to

ciągle najbardziej prawdopodobny scenariusz. Robert wcale nie jest chętny, a potrafi być bardzo uparty.

– Bzdura. Kiedy Livvy Fulwell i Neville Furness zejdą się razem, żaden z was nie da rady im się postawić.

– Nie wygłupiaj się. Neville’a nawet nie będzie na tym spotkaniu. Wziął sobie wolne w piątek. I musisz mi zaufać, że zrobię to, co najlepsze dla nas wszystkich. Kiedyś ten interes przejmie Felicity.

Bardzo się starał mówić spokojnie, ale w jego tonie zaczynała pobrzmiwać irytacja. Więc to to go nakręca, stwierdziła Vera. Stąd się bierze ta ambicja. Chce, żeby dziecko miało łatwiej w życiu. I wspomniała własnego ojca, któremu zależało wyłącznie na zbieraniu kolejnych partii jaj każdego ptaka gniazdującego w kraju. Który nie pomyślał o niej ani razu.

Waugh wydawał się zażenowany całą sytuacją.

– Porozmawiamy o tym później – dodał cicho. – Pani inspektor nie chce tego słuchać.

Vera wyciągnęła rękę, żeby zamoczyć ciastko w herbacie.

– Proszę się mną nie przejmować, to fascynujące. Przynajmniej mam okazję chwilę odpocząć, strasznie mnie bolą nogi.

– W czym możemy pani pomóc?

– Cóż, muszę sprawdzić parę szczegółów. Nudne to, ale konieczne. Neville Furness pracował w Holme Park. Mieszkał w tym domu, gdzie zamordowano Edmunda Fulwella. I ciągle miał klucz do tego bliźniaka.

– Neville nikogo by nie zabił.

– Nie przyszłam po ocenę charakterologiczną, panie Waugh. Neville twierdzi, że tego tragicznego wieczoru był tutaj u państwa.

– To prawda. Peter Kemp przedstawił roboczo kilka interesujących propozycji dotyczących nowego rezerwatu na terenie Black Law. Musiałem to omówić z Neville'em. Uznaliśmy, że takie przedsięwzięcie zapewni nam dobrą prasę na dokładkę do raportu firmy Kemp i Spółka.

– O której się tu zjawił?

– Nie pamiętam dokładnie. Około wpół do piątej.

– Nie – rzuciła głośno Barbara. – Później. Najwcześniej piętnaście po piątej. Właśnie wróciłam z Felicity. Była u koleżanki na podwieczorku. Podjechaliśmy pod dom jednocześnie.

Godfrey popatrzył na nią spokojnie.

– Pańska żona ma rację, panie Waugh?

– Tak, pani inspektor. Zdaje się, że tak.

Barbara wstała nagle.

– Obiecałam Felicity, że pomogę jej w lekcjach. Godfrey z pewnością odpowie na wszystkie pani pytania. I odprowadzi panią do drzwi.

Wyszła z pokoju, zanim Vera zdążyła się odezwać. Po wcześniejszych przejawach gościnności to niespodziane zniknięcie wydawało się niezręczne, niemal niegrzeczne. Później Vera pomyślała, że mogłaby jeszcze raz odwiedzić Barbarę. Spróbować porozmawiać z nią w cztery oczy, zaoferować pomoc, podać swój numer do pracy, wycisnąć z niej coś więcej na temat Neville'a Furnessa. Idąc za Godfreyem do drzwi, pożegnała się z dziewczynką, która

znów siedziała przy komputerze. Wcale nie odrabiała lekcji z matką.

Po wyjściu Vera postąpiła chwilę przy samochodzie. Jerzyki śmigwały nad domem, rysując na niebie skomplikowane zygzaki. Ociągała się w nadziei, że Barbara znajdzie jakiś pretekst, żeby za nią wybiec. Kiedy się jednak odwróciła, zobaczyła ją w oknie na piętrze; Barbara w ogóle nie spoglądała na nią – patrzyła na góry.

W swoim domu przy torach Vera otworzyła butelkę czerwonego wina i wypła prawie całą, siedząc w otwartym oknie kuchni, dopóki barwy gór nie zbladły w ciemnościach. Kiedy wino zaczęło działać, spokój zakłóciły jej nie problemy związane ze śledztwem, ale wspomnienia Constance. Ujrzała Baikie taką, jaką widziała ją ostatni raz – miękką i galaretowatą, jak leży na kanapie i łypie tymi przebiegłymi czarnymi oczami. Po śmierci ojca Vera często o nim myślała. Z gniewem, poczuciem winy, niekiedy z przebłyskiem niechętniej miłości. Póki żył, miała towarzystwo. Miała do kogo otworzyć usta. O Connie właściwie nie pamiętała do czasu, aż ociekając deszczem, weszła do chaty, by poprowadzić śledztwo w sprawie śmierci młodej kobiety. Wtedy wróciły wszystkie wspomnienia.

Przy drugim kieliszku Verze po raz pierwszy przyszło do głowy, że Hector i Connie mogli być kochankami. Przecież nigdy nie widziała go z żadną inną kobietą. Ale niemal natychmiast odrzuciła tę myśl. Łączyła ich namiętność do nielegalnej kolekcji, sekretna obsesja, która kazała im wyruszać w góry przed świtem, pozbawiać ptaki młodych, zostawiać zimne, puste gniazda. Ekscytowała ich wspólna tajemnica. Zbliżało ich do siebie niebezpieczeństwo, bo kolekcjonowanie jaj narażało ich na szantaż, groziło ich reputacji i karierze. To nie miało nic wspólnego z miłością czy nawet przyjaźnią.

W tej chwili – niemal jednocześnie z myślą o tym, że

nie jadła nic od momentu wizyty w domu Edie – uderzyło ją odkrycie, że zabójca, którego szuka, może być dręczony podobną obsesją. Zabił najpierw córkę, a potem jej ojca. Jak Hector wybierał lęg z tego samego gniazda. Brakowało wyraźnego motywu, były jednak dowody starannego planowania, szczególnie przed śmiercią Edmunda. U źródła tych zbrodni dostrzegła namiętność równie potężną i irracjonalną jak ta, która napędzała Hectora, przyćmiewała mu umysł, rujnowała życie i jemu, i jej. Ale przed śmiercią żony Hector był zupełnie inny. Widziała zdjęcia, na których rozmawiał z przyjaciółmi, śmiał się. Nawet potem zachował szanowaną posadę aż do emerytury; uważano go za ekscentryka, samotnika, ale nigdy za zagrożenie. Zrozumiała, że powinna szukać kogoś z potajemną obsesją, a kiedy się dowie, co to za obsesja, może znajdzie odpowiedź na pytanie, dlaczego Grace i Edmund zostali zamordowani.

Zadzwoiła komórka. Vera otrząsnęła się z zadumy, pomyślała: Co za bzdury, kobieto, weź się w garść. Wyobraź sobie, jak tłumaczysz to Ashworthowi i ekipie.

Dzwoniła Christina Flood, psycholog ze szpitala. W tle było słychać jakąś celtycką smętną melodię graną na flecie.

– Wygrzebałam te informacje, o które pani prosiła. Może pani po nie przyjechać. Wiem, że już późno, ale teraz chodzimy spać o tej samej porze co mała, a ona jest okropnym nocnym markiem. Pewnie posiedzimy jeszcze parę godzin.

Verę kusiło, ale spojrzała na pustą butelkę na

parapecie i się opanowała. Niektórych zasad nie zamierzała łamać.

– Dzisiaj nie mogę – odparła. – Wypiłam parę kieliszków wina. Z całą pewnością przekroczyłam limit.

Christina była dziwnie uparta.

– To może my to przywieziemy? Jeśli nie dostanie pani tego teraz, to dopiero w poniedziałek. Wyjeżdżamy na weekend, żeby pokazać nasze maleństwo kochającym dziadkom.

– Na pewno moglibyście mi to państwo podrzucić?

– Oczywiście. Daleko nam do snu. Patrick i mała bawią się w najlepsze.

Vera już prawie zrezygnowała z czekania; dochodziła północ, kiedy zobaczyła światła zbliżające się drogą do domu. Wyszła im naprzeciw, myśląc, że może pobłądzili i trzeba ich upewnić, że trafili we właściwe miejsce. Jechali furgonetką w kolorze morskiego błękitu, z pomarańczowym napisem „Facet od muzyki” na boku. Christina zaczęła przeproszać.

– Samochód nie chciał mi zapalić. Siadł akumulator. Musieliśmy przyjechać autem Patricka.

– Przykro mi, że narobiliście sobie państwo tyle kłopotu.

– Ależ skąd. Wszyscy mamy frajdę z wycieczki. Szczególnie mała.

– Idziemy na spacer – oznajmił Patrick. – Zostawimy was w spokoju.

– Nie ma potrzeby.

– Ale chcemy – odparł. – Nie spacerowaliśmy jeszcze

przy księżycu.

I ruszył drogą z dzieckiem w nosidełku na plecach. Po chwili zniknął w czarnym cieniu domu zawiadowcy.

– Wybraliście już imię? – spytała Vera.

– Miranda. Wystarczająco teatralne dla Patricka, ale nie przesadnie skandaliczne.

Usiadły z herbatą przy kuchennym stole. Christina wyłożyła na blat papiery w dużym segregatorze. Stenograficzne protokoły ze spotkań każdej z grup i plik kserówek historii choroby pacjentów.

– Potrzebuję ich, bo w stenogramach często używałam tylko imion albo inicjałów, a po takim czasie nie pamiętam już szczegółów dotyczących wszystkich podopiecznych. Ciągle jednak martwi mnie kwestia poufności. Obiecałam każdej grupie, że wszystko, co powiedzą, pozostanie tajemnicą. – Zawahała się przez chwilę. – Chciałabym, żeby pani najpierw przeczytała stenogramy. Dzięki temu ich bohaterowie pozostaną anonimowi. Jeśli coś wyda się pani szczególnie ważne, porozmawiamy o ujawnieniu tożsamości konkretnych osób.

– A nie byłoby prościej dać mi listę pacjentów z grupy Belli i Edmunda? Sprawdziłabym, czy nie znam któregoś z nazwisk, i po krzyku.

Christina znów milczała przez chwilę, szukała odpowiednich słów.

– Może byłoby prościej, ale chyba nic by to pani nie dało.

– Sugeruje pani, że w tych stenogramach jest coś, co

wiąże się ze sprawą?

– Myślę, że powinna je pani przeczytać.

Więc Vera zaczęła czytać. Bella i Edmund należeli do pierwszej grupy. Christina robiła szczegółowe notatki z każdej sesji. Bella była określana imieniem, Edmund inicjałami. Z początku Christinę ewidentnie frustrowała dynamika grupy. Pani psycholog zastanawiała się nawet, czy nie dać sobie z tym spokoju. Jakiś pacjent dominował w każdej dyskusji. W kółko głądził o swojej destrukcyjnej relacji z matką, kobietą nadopiekuńczą, która zaczynała chorować za każdym razem, kiedy chciał się wyprowadzić z domu. Pozostali pacjenci byli zbyt grzeczni czy też apatyczni, żeby kazać mu się zamknąć. Vera dziwiła się, że nikt mu nie przyłożył.

Dopiero na trzecim spotkaniu zrobili jakieś postępy; to wtedy Edmund przerwał tamtemu. Christina dokładnie zapisała jego słowa.

„Na litość boską, myślisz, że ty jeden miałeś główniane dzieciństwo? Czytałeś kiedyś Larkina?”

I zaczął z gniewem opowiadać o swoim życiu w Holme Park, o matce, wiecznie zajętej wyłącznie życiem towarzyskim i starszym synem, o armii niekompetentnych nianieek, o restrykcjach i nudzie.

„Tylko jedna osoba się o mnie troszczyła, a ta cała banda traktowała ją jak szmatę. Jedynie dlatego, że nie najlepiej czytała i pisała”.

Nancy Deakin, pomyślała Vera. A on zajmował się nią aż do końca.

Wyznanie Edmunda pobudziło bardziej ogólną

dyskusję. Inni zaczęli niepewnie opowiadać własne historie. Pojawiły się wzmianki o molestowaniu, biciu. Jedna z kobiet była wychowywana w przekonaniu, że jej matka jest jej siostrą. Ojciec drugiej rzucił się pod pociąg.

Co za radosna lektura, jęknęła w duchu Vera. Miała nadzieję, że Christiny nie przytłacza ta praca.

Bella nie udzielała się aż do piątej sesji. W końcu, lekko sprowokowana przez Edmunda, z którym już wtedy się przyjaźniła, opowiedziała o śmierci swojego ojca. Było tak, jak Vera się domyśliła. Charles wiecznie wpędzał ją w poczucie winy – przecież uciekła, choć tylko na chwilę, znalazła sobie przyjaciół, fajną pracę. A Arthur Noble nigdy jej nie bił. Całą frustrację wyładowywał na chłopaku. Kiedy Bella wróciła do rodzinnego domu, jej młodszy brat naciskał na nią bez litości.

W stenogramie Christina opisała scenę, jak Bella opowiada swoją historię.

„To niezwykle. Dopóki Edmund nie przekonał jej do zwierzeń, zawsze była pasywnym członkiem grupy. Zawsze wspierała innych, ale sama nigdy nie domagała się uwagi. Teraz jakby nie mogła przestać mówić i dosłownie stanęła w środku kręgu. Zaczęła odgrywać, jak zabiła ojca, począwszy od telefonu do brata, kończąc na uniesionej ręce, kiedy trzasnęła Arthura Noble’a w głowę ciężką figurką z brązu. Płakała, mówiąc, że powinna zostać oskarżona o zabójstwo z premedytacją, a nie zabójstwo w afekcie. Zaplanowała tę śmierć. Grupa skupiła się wokół niej, żeby zaofiarować jej wsparcie”.

Vera na chwilę oderwała wzrok od papierów.

– Szkoda, że nie zostawiła ich samym sobie. Że nie wróciła do nauczania. Mimo wszystko popełniła zbrodnię, czuła się za to odpowiedzialna.

– Tak.

– Myśli pani, że to powinno być jej ujść na sucho?

– A pani sądzi, że uszło? – Christina wstała, przeciągnęła się. – Zaparzę nam jeszcze herbaty, dobrze?

Kiedy wróciła z kubkami, Vera siedziała znów pochłonięta lekturą, zgarbiona, ze zmarszczonym czołem. W końcu ze złością spojrzała na panią psycholog i podsunęła jej kartki.

– Dlaczego pani niczego z tym wtedy nie zrobiła?

– Bo w to nie uwierzyłam.

– Nie rozpoznała pani tej historii?

– Oczywiście, że rozpoznałam. Ale to nie było nic niezwykłego. Ta osoba miewała psychotyczne fantazje, wyobrażała sobie na przykład, że jest kimś sławnym. Wystarczyło, że obejrzała jakiś film czy nawet serial. Później udało nam się zapanować nad tymi epizodami, ale wtedy nie mogłam potraktować tego zwierzenia poważnie.

– Jak zareagowała reszta grupy?

– Też w to nie uwierzyli. Współczuli, ale pozostali sceptyczni.

– A co pani myśli teraz? Uważa pani, że to mogła być prawda?

– Moim zdaniem to daleko posunięty wniosek, ale pani ma prawo wiedzieć, co zostało powiedziane na tej sesji. Dlatego tu przyjechałam.

– Przepraszam. – Vera wstała, podeszła do okna.

Księżyc w pełni oświecał łąkę. W bladym świetle rysowała się sylwetka Patricka z córeczką. – Czy taka choroba może powrócić po okresie normalności?

– Musi pani to omówić z psychiatrą, ale z moich obserwacji wynika, że to się zdarza. Sądzi pani, że to właśnie się tutaj stało?

– A pani nie?

– Sama nie wiem – odparła Christina. – Gdyby traktować to jako sposób na przetrwanie, te zabójstwa są absolutnie logiczne. Nie widzę w tym obłądu.

– No cóż, nie ja wydaję wyroki. I chwała Bogu. – Vera odwróciła się z powrotem do Christiny. – Będzie pani musiała pozwolić mi zajrzeć w dane tej osoby. Zdaje sobie pani sprawę, prawda? Muszę wiedzieć, kto to jest. I czy to rzeczywiście jedynie opowieść szaleńca.

Kobieta wahała się chwilę. Przez otwarte okno usłyszały kroki na drodze. Zbliżał się Patrick. Śpiewał dziecku jakąś kołysankę.

– Na litość boską – syknęła Vera. – Pani, właśnie pani, nie może tego odpuścić.

Christina wyjęła z segregatora pojedynczą kartkę i położyła ją na stole. Wyszła z domu na spotkanie Patrickowi. Kiedy wrócili, kartka leżała z powrotem w segregatorze, a Vera rozmawiała przez telefon. Mała spała mocno, z uchyloną buzią, główka lekko opadała jej do tyłu. Vera odłożyła słuchawkę.

– Dokona pani aresztowania? – spytała Christina.

– Jeszcze nie. Jak pani sama stwierdziła, historia jest zbyt nieprawdopodobna, żeby przyjąć ją bez dowodu. Ale

mam nadzieję, że nikt więcej nie zostanie zamordowany.

Odprowadziła ich do furgonetki. Właśnie zaczynało świtać. Na horyzoncie pojawiła się bladoszara luna. Gdzieś daleko rozśpiewał się kos.

– To była obsesja, prawda?

– O tak. – Christina ostrożnie układała Mirandę w foteliku, żeby jej nie obudzić. – Jeśli mamy rację, to była obsesja.

Instynkt kazał Verze czekać. Wzgórza Black Law wydawały się puste, ale były odsłonięte. W żaden sposób nie dałoby się dojechać na miejsce niepostrzeżenie; na pewno zauważyłby ją jakiś leśniczy, pasterz czy turysta, a nie chciała, żeby po Langholme jak pożar wrzosowiska rozprzestrzeniła się plotka, że policja znowu węszy. To małe miasto. Chwila, i wszyscy by o tym wiedzieli.

Rozłożyła na biurku wojskową mapę. Tak samo Hector i Connie planowali swoje wypadki – szukali kryjówek, najlepszych tras do gniazd rybołówów albo perkozów zauszników, kombinowali, jak ominąć miejscowych ekologów i strażników. Znow miała wrażenie, że przeżywa przeszłość.

Jedyna możliwość, żeby dotrzeć do chaty Baikie i starej kopalni bez wystawiania się na widok, to zaparkować na drodze przecinającej szkółkę leśną, a stamtąd dojść na górę, mijając pułapkę na wrony. Ale taką opcję musiała wykluczyć. Spodziewała się, że właśnie tę drogę wybierze zabójca.

Był piątek rano. Kiedy Christina i Patrick pojechali, spała bardzo, bardzo głęboko przez trzy godziny, a potem obudziło ją pianie koguta sąsiadów i turkotanie pierwszego pociągu. Zadzwoiła do Edie. Ewidentnie wyrwała ją ze snu.

– Mogę prosić Rachael?
– Wyszła z Furnessem wczoraj wieczorem i została u niego na noc. – Chwila ciszy. – Nic jej nie jest.

Zadzwoń, żeby powiedzieć, co się dzieje, i podała mi numer Neville'a. Jeśli pani chce, mogę podać.

– Nie trzeba. Mam.

– Coś się stało? – Edie oprzytomniała na tyle, żeby zacząć panikować.

– Nie. – Vera zachowała spokój i jej zdaniem całkiem nieźle jej to wychodziło. – Rachael będzie dzisiaj w pracy?

– Nie, wzięła dzień urlopu. Jadą do Black Law.

– Oczywiście. – Jakby o tym zapomniała. – Wie pani, o której zamierzają wyruszyć?

– Zdaje się, że po lunchu. Zadzwoń do nich? Mogę spytać, jakie mają plany.

Vera zastanowiła się, czy to dobry pomysł, ale uznała, że nie. Lepiej się nie mieszać. Nikt nie mógł wiedzieć, że właśnie dzisiaj interesuje ją Black Law.

– Nie. Proszę tego nie robić. Niech odpoczną sobie dwa dni i nie myślą o śledztwie. Nie chcę im psuć weekendu.

Teraz więc siedziała w swoim zielonym, przypominającym celę gabinecie z mapą rozłożoną na biurku i planowała kampanię. Zdawała sobie sprawę, że czas mija, że jeśli chce tam dotrzeć przed Rachael i Neville'em, musi działać szybko. Zresztą może już było za późno.

Wcisnęła parę guzików w telefonie i porozmawiała z Ashworthem, który czuwał w samochodzie żony zaparkowanym na poboczu od chwili, kiedy Vera zadzwoniła do niego zaraz po przeczytaniu notatek Christiny Flood.

- Coś się ruszyło?
 - Jeszcze nie.
 - Pójdę tam pieszo ogólnodostępnym szlakiem z Langholme, jak każdy inny włóczyki. Jeśli się odpowiednio ubiorę, nikt mnie nie pozna z daleka.
 - Będzie pani potrzebowała wsparcia.
 - Możesz mi je zorganizować później, jak się zorientujemy w sytuacji. Nie chcę, żeby pół komisariatu czekało w gotowości bez potrzeby. Wyszłabym na idiotkę. Mamy za mało danych.
 - Wolałaby pani, żebym ja tam poszedł?
 - Nie wygłupiaj się. Nie znasz drogi. Ja się wychowałam w tych górach – urwała na chwilę. – To jadę. Jeszcze tylko wpadnę do domu się przebrać. Zostawię samochód przy kościele w Langholme. Wszyscy turyści tak robią.
 - To trochę ryzykowne, co?
 - Będę ostrożna. Nikt mnie nie zauważy.
- Słynne ostatnie słowa, pomyślała. Wzięła torbę i wyszła z komisariatu, ignorując policjantów, którzy usiłowali przekazać jej informacje i pytali, dokąd się wybiera.
- Kontaktujcie się przez Ashwortha – rzuciła tonem królowej i pchnęła drzwi. Nawet się nie obejrzała, żeby sprawdzić, czy ktoś ją słyszy.
- W domu znalazła jakieś bryczesy Hectora. Bardzo rzadko nosiła spodnie. Wszystko, co opina nogi, zaostrzało egzemę, więc wiedziała, że jutro będzie cierpieć. Ale w spodniach wyglądała inaczej – zupełnie inny kształt ciała i

profil. Cienka kurtka przeciwdeszczowa, traperki i grube skarpety dopełniły obrazu. Kiedy wyszła sprawdzić, czy mapa jest w samochodzie, podstarzała hippiska, próbująca zagonić kozę na sąsiednie pole, zagapiła się na nią. W ogóle jej nie poznała. Vera planowała przygotować sobie herbatę w termosie i kanapki, ale spojrzała na zegarek i stwierdziła, że już nie zdąży. Wzięła paczkę ciastek czekoladowych z kuchennej szafki, nalała wody do butelki i pojechała. Dopiero wtedy kobieta na polu zorientowała się, że to musi być sąsiadka i pomachała jej niepewnie.

W Langholme panował spokój. Przez otwarte drzwi kościoła dochodziło buczenie odkurzacza, a kiedy ucichło, dało się słyszeć głosy kobiet rozmawiających o kwiatkach. Vera zamknęła auto i schowała kluczyki do zasuwanej kieszeni kurtki. Ostrożnie minęła Priory. Nie zaglądała do ogrodu ani nie patrzyła na samochody zaparkowane przed domem. Droga kończyła się bramą z belek i ogrodzeniem z przejazdem. Przeszła na drugą stronę i ruszyła dobrze wydeptaną ścieżką w stronę Black Law. Szła miarowym krokiem, od czasu do czasu odwracała głowę, żeby się upewnić, czy nikt jej nie śledzi.

Szlak wspinał się po zboczach góry. Na niższych stokach odgradzały go murki z kamienia układanego bez zaprawy. Trawę przystrzygły owce. Kiedy chodziła tędy w dzieciństwie, była w dobrej formie. Droga z Langholme do górskiego jeziora wydawała jej się spacerkiem. Jednak od tamtej pory jadła mnóstwo curry i chińszczyzny na wynos. Piła za dużo, zbyt wiele czasu spędzała w samochodzie. Znów był pogodny, gorący dzień i już po chwili Vera

spociała się jak mops i zaczęło jej się kręcić w głowie z wysiłku. Zdjęła kurtkę i obwiązała się nią w pasie. Nogi już teraz swędziały jak cholera.

Przeszła przez lukę w ostatnim kruszącym się murku; dalej szlak ostro się wznosił. Teren stał się bardziej urozmaicony. Wokół rozciągały się jaskrawozielone torfowiska i kępki sitowia; śpiewały kuliki i skowronki. Ale ona widziała tylko kolejne miejsce, gdzie postawić but, słyszała tylko własny wysiłony oddech. Przy jezioru pozwoliła sobie na odpoczynek. Napiała się wody i zjadła ciastko. Zlizując stopioną czekoladę z palców, poczuła, że jej puls mniej więcej wraca do normy. Lekki wiaterek marszczył wodę i suszył pot na jej twarzy. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła zajrzeć w dolinę, widziała chatę Baikie i dom na farmie Black Law. I starą kopalnię. Wstała i ruszyła dalej; teraz szło jej się łatwiej, bo miała z górki.

Minęła kopalnię, nie okazała żadnego zainteresowania maszynownią czy czymkolwiek, co tam zostało. Przeszła ścieżką wzdłuż potoku, a potem zrobiła sobie mały skrót przez przełaz prosto do ogrodu Baikie. Poczuła się tak, jakby nagle weszła w tropikalną dzicz. W ciągu tych paru dni od wyjazdu kobiet trawa urosła i tylko czekała, aż ktoś ją wreszcie skosi. Słońce i deszcz sprawiły, że zakwitło jeszcze więcej krzewów. Vera obeszła dom, odszukała klucz i otworzyła sobie tylne drzwi. W środku pachniało upałem i wilgocią jak w szklarni. W kuchni zdjęła z siebie bryczesy i stała tak, z zaczerwienionymi, gołymi nogami, rozpaczliwie powstrzymując się od drapania. Czekwała, aż w czajniku zagotuje się woda. Miała nadzieję, że w którymś

ze słoików zostało dość rozpuszczalnej kawy, żeby podtrzymać jej siły.

Weszła na górę i usiadła w sypialni od frontu, bo stąd miała widok na dolinę i potok, aż do młodego zagajnika i pułapki na kruki w jednym kierunku i do starych zabudowań kopalni w drugim. Zanim Connie zrobiła się zbyt słaba i gruba, żeby chodzić po schodach, sypiała tutaj w dużym, podwójnym łóżku z brokatową narzutą. Vera miała mętne wspomnienie z jednego z przyjęć, na którym była jako dziecko. Posłano ją na górę, żeby ułożyła płaszcze gości na łóżku – pamiętała, jak stała tu zafascynowana słoiczkami i buteleczkami na ogromnej wiktoriańskiej toalecie, zupełnie jej obcym zapachem perfum i pudru. Teraz pokój wyglądał jak sypialnia w hostelu: koce poskładane w nogach łóżek, poduszki w pasiastych powłóczkach.

O trzeciej po południu zjawili się Neville Furness i Rachael. Z okna sypialni Vera nie widziała podwórka farmy, tylko jedną ścianę domu i kuchenne okno, ale słyszała samochód i ich głosy, i zobaczyła, jak wchodzi do kuchni z pudłami prowiantu. Zjadła jeszcze jedno ciastko. Miała nadzieję, że Rachael nie zdecyduje się oprowadzić Neville'a po chacie Baikie z sentymentu do dawnych czasów. Martwiło ją nie tyle możliwe fiasko śledztwa, co ewentualność, że zostanie przyłapana tutaj goła od pasa w dół, w samych majtkach i wełnianych skarpetkach. Ale przez całe popołudnie Rachael i Neville w ogóle się nie pokazali. Podejrzewała, że mają lepsze rzeczy do roboty. Jedyni ludzie, jakich widziała, to para starszych, ale

wysportowanych wędrowców, którzy przecięli jej pole widzenia w parę minut.

Odezwał się jej telefon. Dzwonił Ashworth.

– Na razie nic – poinformował. – Ale chyba miała pani rację. Zostały poczynione przygotowania. Były pakowane rzeczy do samochodu.

– Jakie rzeczy?

– Szpadel. I czarne worki na śmieci.

– Ach. – Posłała mu niewidzialnego całusa. – Dzięki ci, Boże!

– To jak, organizować wsparcie?

– Nie, jeszcze nie. Poczekaj, dopóki nie uzyskamy całkowitej pewności, co się dzieje.

Późnym popołudniem słońce zaczęło świecić prosto do sypialni. Vera poczuła, że przysypia, i z trudem zmuszała się, żeby zachować przytomność. O szóstej Neville i Rachael wyszli z domu. Ruszyli w górę, w stronę jeziora, a wrócili przez ogród Baikie. Zatrzymali się na chwilę pod oknem i Vera zaczęła panikować. Słyszała ich wyraźnie, ale tak się bała, że wejdą do środka, że zarejestrowała ledwie strzępy ich rozmowy – a przecież to nie w jej stylu przepuścić okazji do słuchania plotek.

– I co teraz zrobisz? – spytał Neville. – Będiesz próbowała odnaleźć ojca?

– Raczej nie. To chyba jakiś nudziarz. Prowadził weekendowy kurs teatralny dla nauczycieli i właśnie wtedy, ten jeden jedyny raz, Edie go spotkała. Miał już żonę i rodzinę. W ogóle się o mnie nie dowiedział. Zresztą właściwie nigdy nie brakowało mi ojca. Po prostu wkurzało

mnie, że czegoś nie wiem. Ale nie powiedziałam tego Edie. Lubię mieć otwarte różne furtki. To dobre w kontaktach z Edie.

Szli dalej, trzymając się za ręce jak parka dzieciaków, i moment, kiedy Rachael mogła mu zasugerować, żeby zajrzeli do chaty, minął.

Vera zakładała, że wrócili na farmę, choć z pewnością nie weszli przez kuchnię, a z miejsca, gdzie siedziała, nie widziała żadnej wskazówki, że są w domu. Wieczorne słońce świeciło tak jasno, że nie musiała jeszcze zapalać światła, a na ogień w kominku było za ciepło.

Znów zabręczczała komórka.

– Zaczynamy – odezwał się nagłaco podekscytowany Ashworth.

– Ile osób?

– Tylko jedna.

– W takim razie nie trzeba wzywać kawalerii – stwierdziła Vera, wyciągając nogi. Pora się ubrać. – Bierzemy to na siebie.

Aż do zmroku nie było żadnego ruchu, a potem pojawiła się postać – ostrożna, nieufna jak zwierzę, które w ciemności przyszło do wodopoju. Księżyc nagle przesłoniło pasmo chmur i Vera nie mogła dostrzec szczegółów. Widziała tylko cień, odrobinę ciemniejszy na tle szarego wzgórza, a potem niemal zrezygnowała z obserwacji, bo uznała, że to sarna. Spodziewała się mniej subtelnych, bardziej zdecydowanych i pewnych ruchów.

Postać przeszła wzdłuż potoku, od pułapki na kruki aż do kopalni. Co jakiś czas się zatrzymywała, ale najwyraźniej nie po to, żeby odpocząć – chociaż oprócz plecaka musiała nieść jeszcze szpadel – ale żeby nasłuchiwać i się rozglądać. Teraz było już zupełnie ciemno i Vera musiała mocno się koncentrować, by nie zgubić ruchomego celu. Z niezwykłym dla siebie powątpiewaniem we własne siły pomyślała, że może powinna jednak poprosić o pomoc, wezwać ekipę z noktowizorami i urządzeniami namierzającymi. Z taką technologią czułaby, że bardziej panuje nad sytuacją, miałaby pewność, co obserwuje. Potem stwierdziła jednak, że osoba poruszająca się ostrożnie po zboczu wywęszyłaby ich – znała ten krajobraz tak dobrze, że bez wątpienia zauważyłaby bandę obcych, choćby nie wiadomo jak dobrze ukrytych.

Ogarnęło ją niemal zabobonne przekonanie, że jej zwierzyna wychwyci każde jej drgnięcie, została więc na miejscu, w całkowitym bezruchu. Wiedziała, dokąd

zmierza postać, wiedziała, co się tam stanie. Musiała czekać, bo wciąż nie miała dowodu. Nocny spacer wzdłuż potoku nie był niezgodny z prawem. W pewnej chwili całkiem zgubiła swój obiekt obserwacji. Wstrzymując oddech, wpatrywała się w ciemność przez brudną szybę. Nagle ujrzała krótki rozbłysk zapalanej zapałki i miękki blask świecy wyłonił z mroku prostokątny otwór, w którym kiedyś znajdowały się drzwi maszynowni.

Porozmawiała z Ashworthem, najpierw szepcząc, choć nikt nie mógł jej usłyszeć.

– Gdzie jesteś?

– Na skraju lasu.

– To ruszaj do przodu. Zobaczymy się na miejscu. Tylko cicho.

Ostrożnie, powoli Vera wciągnęła spodnie i zasznurowała buty. Na dworze wciąż było ciepło, powietrze pachniało wiciokrzewem i zdeptaną trawą, zapachami letnich popołudni. Ani jednego podmuchu wiatru, który mógłby zamaskować odgłos jej kroków. Wolała nie ryzykować i nie zapalać latarki; na szczęście jej oczy szybko przywykły do szarego światła, niewyraźnych kształtów.

Zbliżając się do strumienia, uświadomiła sobie, że każda minuta tego polowania sprawia jej frajdę. Tak musieli się czuć Hector i Connie, kiedy ograbiali z jaj orły przednie z okręgu Lake, podkradali się do gniazd, wiedząc, że strażnik rezerwatu drzemie niedaleko w namiocie i że policja obiecała wysyłać regularne patrole. Robili to dla dreszczyku emocji.

Chryste, jęknęła. Chyba mi umysł szwankuje z niedotlenienia, skoro myślę, że rozumiem tych dwoje. Oto efekty nadmiernego wysiłku. A na dodatek przez cały dzień zjadłam tylko paczkę ciastek.

Teraz słyszała już wodę: strumień tłoczony w przepust, by poruszać silnik napędzający maszynę kopalni. Rozległ się chrzęst żwiru. Uznała, że to pewnie Ashworth, ale kiedy się obejrzała, nie dostrzegła żadnego ruchu, bo samej postaci z pewnością by nie dostrzegła w tak gęstym mroku. Tej nocy księżyc zasłoniły niskie, kłębiaste chmury, przewalały się jak mgła. Z ruin maszynowni dobiegł kolejny dźwięk, zgrzyt metalu o kamienie i ziemię. Vera podeszła bliżej. Dyszała ciężko po marszu z chaty, ale hałas z budynku uspokajał ją, że nie zostanie usłyszana. Nareszcie znajdowała się dość blisko, żeby zajrzeć do środka.

Kobieta stała plecami do otworu w ścianie. Miała długą spódnicę i czarne botki. Obluzowała płytę posadzki w kącie pomieszczenia i przesunęła ją, by móc rozkopać ziemię pod spodem. Grób musiał być płytki, bo Vera już teraz widziała fragment kości, kremowy jak kość słoniowa, woskowaty w blasku świecy. Kobieta kucnęła i zaczęła grzebać w ziemi palcami.

Vera stała płasko przyklejona do zewnętrznej ściany budynku i zaglądała na skos przez otwór. Teraz wystarczyło tylko zaczekać na Ashwortha. Zaczęła się uspokajać.

Nagle za plecami, tak blisko, że zabrzmiało to jak wrzask, usłyszała zaskoczony kobiecy okrzyk. Potem

głośne kroki i huknięcie Neville'a Furnessa:

– Kto tu jest? Co tu się dzieje?

Do diabła, zakląła Vera. Jeszcze tego mi trzeba. Myślała, że przez cały wieczór zostaną w domu i będą bzykać się jak króliczki.

Kobieta w budynku skoczyła na równe nogi i gwałtownie odwróciła się. Z jej ust wyrwał się gardłowy krzyk zaskoczenia. Chwyliła szpadel, który wcześniej oparła o ścianę. Nie widziała Very, wciąż przyczajonej na zewnątrz, ale Rachael, stojąca w wejściu, musiała być dobrze widoczna w świetle świecy. Kobieta ruszyła przed siebie. Zanim Vera zdążyła ją powstrzymać, zamachnęła się szpadlem. Rozległo się chrupnięcie metalu o kość. W następnej chwili kobieta uciekła i natychmiast zniknęła w mroku.

Po sekundzie całą scenę oświetliła niczym teatralny reflektor latarka Ashwortha. Neville Furness siedział na trawie i trzymał Rachael w ramionach. Nie straciła przytomności, choć mocno krwawiła. Pewnie złamany nos. Vera słyszała, jak Rachael głośno dyszy z bólu, ale pomyślała, że panna Lambert pewnie woli opiekę Neville'a niż podstarzałej policjantki. Odwróciła się do Ashwortha. Jej sylwetka migotała w blasku latarki.

– Ktoś cię mijał?

– Nie.

– Więc nie wróciła do samochodu.

– Co mam zrobić?

– Wezwij pomoc przez radio. I karetkę dla Rachael. Potem zostań tutaj. Ona jest wystarczająco szurnięta,

żeby wrócić.

– A pani?

– Chyba wiem, dokąd idzie. Na przyjazne terytorium.

Odchodząc, słyszała, jak Ashworth woła za nią, żeby nie była głupia, że to nie jest dobry moment na zabawę w policjantów i złodziei, że bez kłopotu złapią ją przed świtem. Ale jego słowa dobiegały jakby z oddali, podobnie jak pocieszające pomruki Neville'a i stłumione jęki Rachael. Odwróciła się raz, żeby powiedzieć mu:

– Słuchaj, wiem, co robię. To jest też moje terytorium.

Ale on wciąż krzyczał, jego usta otwierały się i zamykały w świetle latarki, i nie wiedziała, czy ją usłyszał.

Idąc w górę z boczka do jeziora, poczuła, że naprawdę zna ten teren. I to lepiej w ciemnościach niż za dnia. W dzieciństwie zawsze przychodziła tu z ojcem po zmroku albo przed świtem. Skala była inna – wtedy jezioro wydawało jej się ogromne – ale ukształtowanie terenu pozostało to samo. Zaczajali się tutaj, żeby kraść jaja perkoza zausznika. Ojciec wchodził do jeziora w woderach. Connie stała na brzegu i klaskała zachwycona.

Chmury odrobinę się rozproszyły i przepuszczały smugę mlecznego światła księżyca. Nie było ostrych linii czy konturów. Jakby patrzyła na scenerię przez miękczący filtr fotograficzny. W pewnej chwili wydało jej się, że widzi cień swojej zwierzyny znikający kilkanaście kroków przed nią, ale pomyślała, że to raczej złudzenie, że mami ją mgła. Albo kobieta biegła za szybko i zaczęła ze zbyt dużą przewagą, albo Vera pomyliła się co do kierunku

jej ucieczki. Teraz to już nie miało znaczenia. Ruszyła tą samą ścieżką, którą przyszła rano, ale już bez zmęczenia i irytacji. Czuła w sobie energię dziesięciolatki i mogłaby tak iść całą noc. Ze szczytu skarpy ujrzała światełka Langholme. Pub pewnie jeszcze otwarty. Ludzie siedzą w domach i oglądają telewizję, jedzą późną, spokojną piątkową kolację, piją piwo.

Nagle, o wiele szybciej niż się spodziewała, dotarła do bramy z belek i do przełazu. W uliczce za kościołem nie było latarni, ale główną ulicę wsi dobrze oświetlono, dobiegał stamtąd szum ruchu ulicznego.

Nad gankiem Priory wisiała energooszczędna żarówka w oprawie z kutego żelaza. Na podjeździe stał fiat Anne, nie było volvo Preece'a. Oczywiście Jeremy mógł wstawić auto na noc do garażu.

Podeszła bliżej, po trawniku, nie po podjeździe, żeby nikt nie słyszał jej kroków. W pokoju od strony uliczki paliło się światło. Przez niezastłonięte, szeroko otwarte okno dobiegał głos Anne, pełen troski, ale lekko poirytowany, jakby spadł jej na głowę problem, którym nie chciała się zajmować.

– Wygląda pani okropnie. Co się stało?

Padła wymamrotana odpowiedź. Vera jej nie dosłyszała, ale Anne najwyraźniej zrozumiała każde słowo, bo jej bojowy nastrój natychmiast przygasł.

– On to pani zrobił? – spytała. – Proszę posłuchać, musi pani pójść na policję.

Vera podeszła do frontowych drzwi i przekręciła gałkę. Uchyliły się bezgłośnie. Pokój miała po prawej i

jego drzwi były już otwarte. Stała w progu i odezwała się swoim tonem radosnej cioteczki:

– Kto powiedział, że policji nigdy nie ma, kiedy jest potrzebna? Chyba się nadam, co?

Anne uniosła wzrok. Była oburzona i blada. Tego ładnego pokoju Vera nie widziała podczas swojej poprzedniej wizyty. Wygodna kanapa z obiciem w cytrynowe i białe paski. Dwa fotele w ten sam wzorek. Mnóstwo doniczkowych i ciętych kwiatów. Druga kobieta siedziała na jedynym z foteli z głową opartą na dłoniach. Barbara Waugh, elegancko ubrana w czarną spódnicę i żakiet, w skórzanych botkach. Ale rozczochrana, zapłakana, roztrzęsiona.

– Uciekła od męża – wyjaśniła Anne. – Boi się go. Widzi pani, w jakim jest stanie.

– O nie – odparła Vera. – Nie męża się boi. – Posłała Anne rozbawione, pełne samozadowolenia spojrzenie. – Jeśli już kogoś, to raczej mnie. – I stojąc w progu z rozstawionymi nogami, z rękami na biodrach, by zablokować wyjście, obojętnym głosem poinformowała Barbarę Waugh, że jest aresztowana. A potem poczekała, aż Ashworth przyśle posiłki.

Spotkali się w chacie Baikie z sentymentu do dawnych czasów, choć Edie chętnie ugościłaby ich przy Riverside Terrace, a Rachael, która większość czasu spędzała w domu w Black Law i zachowywała się już jak właścicielka farmy, zapraszała ich właśnie tam.

Edie miała pewne wątpliwości w kwestii Black Law. Ostatnio uważała, że córce bardziej zależy na farmie niż na jej gospodarzu. Ale, jak wyznała Verze, jej życie osobiste trudno nazwać sukcesem, więc chyba nie powinna nikogo krytykować. Rachael mówiła nawet o tym, żeby sprowadzić z powrotem Dougiego, co Edie uznała za chory pomysł. To się dopiero nazywa żyć cudzym życiem. Ale Rachael nie była inkarnacją Belli Furness, i chwala Bogu.

Towarzyszył im jedyny mężczyzna – Ashworth. Rachael chciała zaprosić Neville'a, ale Edie stanowczo się sprzeciwiła.

– On nigdy tak naprawdę nie miał w tym udziału. A zresztą jestem pewna, że i tak mu wszystko przekażesz.

Siedzieli więc w pokoju z wypchanym lisem i gigantycznymi fotelami Connie Baikie i czekali, aż Vera zacznie snuć kolejną ze swoich historii. Edie napaliła w kominku, ale nie z powodu zimna, tylko dlatego, że na dworze było wilgotno i mżyło, a ogień dodawał im trochę otuchy. Bo kiedy Grace została zamordowana, też padało. Może pili również na pociechę. W każdym razie kiedy Vera podjęła opowieść, na stole stały już dwie puste butelki.

Joe Ashworth, który miał odwieźć szefową do domu, został przy herbacie. Zdawał sobie sprawę, że jest tu tylko jako szofer.

Vera najpierw złożyła wyrazy uznania, co było bardzo szczodre z jej strony.

– Rachael przez cały czas miała rację. Wszystko zaczęło się wiele lat temu, kiedy Bella i Edmund poznali się w szpitalu. Na tym samym oddziale przebywała jeszcze jedna kobieta, która należała do tej samej grupy terapeutycznej. Leczone ją z depresji. Rozpaczliwie chciała mieć dziecko. Po kilku poronieniach wreszcie urodziła chłopca, ale zmarł parę godzin po tym, jak przyszedł na świat. Został pochowany na cmentarzu przy kościele Świętego Cuthberta. Ten grób wciąż tam jest. Kobieta całkiem się załamała. Próbowali ją leczyć w domu, ale kilka razy zdarzyło się, że wychodziła i znikwała na parę dni. Mąż znajdował ją na wzgórzu, wygłodzoną i wycieńczoną. Wreszcie została ubezwłasnowolniona i zamknięta w szpitalu. Któregoś razu w tym samym czasie co Barbara zaginął chłopczyk. Matka i jej partner zabrali go na wycieczkę w góry. Była wiosna, chcieli pokazać małemu jagnięta. Kiedy para była zajęta czymś innym, chłopczyk gdzieś przepadł. Gdyby wierzyć lokalnym gazetom, został porwany do gniazda przez wielkiego jastrzębia. Gdyby wierzyć mnie w tamtym czasie, utopił się w wezbranym potoku Skirl. Tak naprawdę wszyscy się mylili. Dziecko porwała Barbara Waugh podczas jednej ze swoich obłąkańczych wędrówek po wrzosowiskach. Nie wiemy, gdzie je ukryła, kiedy przeszukiwaliśmy górę, ale później

zabrała go do starej kopalni i trzymała jak maskotkę, jak zabawkę, jako zastępczego syna. – Głos Very nie wyrażał emocji. Czy bajki nie bywają makabryczne? Ale w duchu mówiła sobie: byłam tam, mogłam się bardziej wysilić, żeby go znaleźć. – Jeszcze nie znamy przyczyny śmierci. Może go zabiła. Może umarł z głodu, kiedy zabrano ją do szpitala. W którymś momencie pochowała go pod jedną z płyt podłogi w maszynowni. Próbowwała o nim zapomnieć, ale nie do końca jej się udało, chociaż miała już własne dziecko i męża, który jej nie zostawił. – Vera wciąż zachowywała obojętny ton bazarza, ale posłała znaczące spojrzenie Anne, bo podczas śledztw zawsze na jaw wychodzi więcej, niż ludziom się wydaje. – Męża tak przerażały jej zwariowane wycieczki w góry, te nagłe zniknięcia bez śladu, że próbował ją trzymać przez cały czas w domu. Nie lubił, jak wychodziła.

– Wiedział o chłopcu? – spytała Anne.

– Nawet się nie domyślał. – Vera dołała wszystkim wina. – Więc Barbara upchnęła śmierć małego w jakiś zakamarek umysłu. Pochowała ją tak, jak pochowała ciało. Czasami odwiedzała kopalnię, przynosiła kwiaty, ale sądzę, że wtedy już wmówiła sobie, że nie jest odpowiedzialna za jego śmierć. Może jego postać zlała się w jej głowie ze wspomnieniem rodzzonego synka. Na jego grób też nosiła kwiaty. I to by tak trwało, gdyby Godfrey Waugh nie postanowił reaktywować w tym miejscu kopalni odkrywkowej. Zaistniało ryzyko, że ktoś znajdzie szczątki, tak schludnie ukryte pod podłogą maszynowni. A wtedy zbrodnia wyszłaby na jaw. Nie mogłaby dłużej udawać, że

to nie jej wina. Więc co postanowiła zrobić? Z początku zagrzewała przeciwników kopalni. Rozsiewała plotki, że jej mąż jest pod złowrogim wpływem Neville'a Furnessa i Olivii Fulwell. Myślała, że jeśli konsultacje społeczne zawyrokują przeciwko budowie, wszystko zostanie po staremu. Wciągnęła w swoją walkę starego przyjaciela Edmunda Fulwella. Był łatwym celem. Zagrała na jego przywiązaniu do ziemi przodków, a miłość Grace do ojca wykorzystwała, by sfałszować dane na temat liczby populacji wydr. Na Bellę też zaczęła naciskać, bo tych troje cały czas utrzymywało kontakt. Bella była w trudnym położeniu. Farmie groziło bankructwo. Bella miała nadzieję, że wyciągnie od brata pieniądze i ją uratuje, ale nic z tego nie wyszło. Jej jedyną nadzieją pozostał układ z firmą wydobywczą, odsprzedaż prawa dojazdu na miejsce odkrywki. Nie podobał jej się ten pomysł, ale to wydawało się lepsze niż utrata farmy. Zaprosiła Petera Kempa do Black Law, żeby omówić możliwości.

– Tego popołudnia w domu był jeszcze ktoś – wtrąciła się Rachael. – Dougie kogoś słyszał.

– Barbara. Godfrey powiedział jej, co jest grane, więc przyjechała dokręcić śrubę. Przyszła pora na szantaż. Znała szczegóły śmierci ojca Belli, wiedziała, że wszystko zostało zaplanowane. Sprawa wyszła podczas jednej z grupowych sesji terapeutycznych. Zagroziła, że to ujawni. Bella w ciężkim stresie nie myślała jasno. Poinformowała Petera, że nie podpisze umowy ze Slateburn Quarries i popełniła samobójstwo. Przez chwilę wyglądało na to, że Barbara jest bezpieczna. Sądziła, że raport wypadnie po

jej myśli. Przecież zaprzyjaźniła się z Anne i pośrednio wpłynęła na Grace. Dowiedziała się jednak od Edmunda, że jego córka zaczyna tchórzyc. Grace wspominała o wizycie u psychiatry czy u opiekunki społecznej. Nie potrafiła dłużej kłamać. Wiedziała, że przez to wariuje. Nie wiem jeszcze, czy Barbara planowała zabić Grace, żeby zamknąć jej usta w sprawie wydr. Ona twierdzi, że nie. Mówi, że poszła do maszynowni tak jak w każdy piątek. Tylko że tym razem chciała przenieść szczątki chłopca i Grace ją zaskoczyła. Edmund, zbyt wstrząśnięty śmiercią córki, z początku nie domyślił się, co mogło się wydarzyć. Został w swoim mieszkaniu, dalej pomagał w restauracji. Potem, jak sądzę, przypomniał sobie historię Barbary opowiedzianą przez nią na terapii grupowej; historię jedną z wielu, w którą nikt nie uwierzył, bo wtedy pani Waugh była wariatką i ciągle fantazjowała. Ta historia mówiła o tym, że Barbara znalazła w górach chłopca. I że wzięła go za swojego synka. Swoje dziecko. Edmund spanikował. Jak zawsze wybrał ucieczkę. To w jego stylu. Zaczął się ukrywać. Najpierw u Nancy Deakin, potem w domu na terenie majątku. Skąd Barbara wiedziała, że on tam jest? Może zgadła. Prawdopodobnie kiedyś powiedział jej, że mieszkał w jednym z tych domów, zanim się ożenił. Numer telefonu i klucz do kuchennych drzwi wzięła od Neville'a. Nie za jego zgodą... – dodała szybko, widząc, że Rachael zamierza się sprzeciwić. – Przez swojego męża miała dostęp do biur Slateburn Quarries i sądzę, że regularnie grzebała w biurkach obu panów, szukając wszystkiego, co by jej pomogło walczyć z planem

zbudowania kopalni. Zadzwoiła do Edmunda, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście tam się zamelinował. I żeby go nastraszyć. Znała go dość dobrze, by wiedzieć, że ze strachu prawdopodobnie zacznie pić. W dniu przyjęcia, kiedy posiadłość roiła się od obcych, użyła ukradzionego klucza i weszła do domu. Edmund zdążył się już urządzić do nieprzytomności. Więc poszło łatwo.

Rachael wyciągnęła ręce w stronę ognia.

– Czy to Barbara tamtej nocy staranowała mój samochód?

– O tak. Była zdesperowana. Panią też próbowała wystraszyć. – Vera umilkła na chwilę, skrzywiła się. – A jeden z naszych ludzi ją wtedy zatrzymał. Uwierzycie? Powiedziała mu, że odwiedzała chorą matkę, a on dał się nabrać. Walka o powstrzymanie budowy kopalni stała się jej obsesją. Może Barbara tylko próbowała ratować własną skórę, ale myślę, że w tym tkwiło coś więcej. Uważała, że grób chłopca zostanie sprofanowany.

Vera westchnęła, usiadła wygodniej, pociągnęła długi łyk wina. Ashworth zaczął się wiercić. Słyszał to wszystko już wcześniej i chciał wracać do żony i ciepłego łóżka, tym bardziej że dziecko wreszcie zaczęło przesypiać noce.

– I co teraz z kopalnią? – spytała nagle Anne.

Vera pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby Godfrey mógł w ogóle o tym myśleć bez obrzydzenia. Ale będzie pani musiała sama z nim porozmawiać.

Zostawiła trzy kobiety, tak pochłonięte dyskusją, że ledwie zauważyły, kiedy wyszła.

Ashworth ostrożnie ruszył drogą, pokonał bród i pojechał w stronę lasu.

* Osoba udzielająca wsparcia duchowego i emocjonalnego ludziom w przełomowych momentach życia; niekoniecznie psycholog (przyj. red.).